



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Vslav 7107.1.11

THE SLAVIC COLLECTION



Harvard College Library

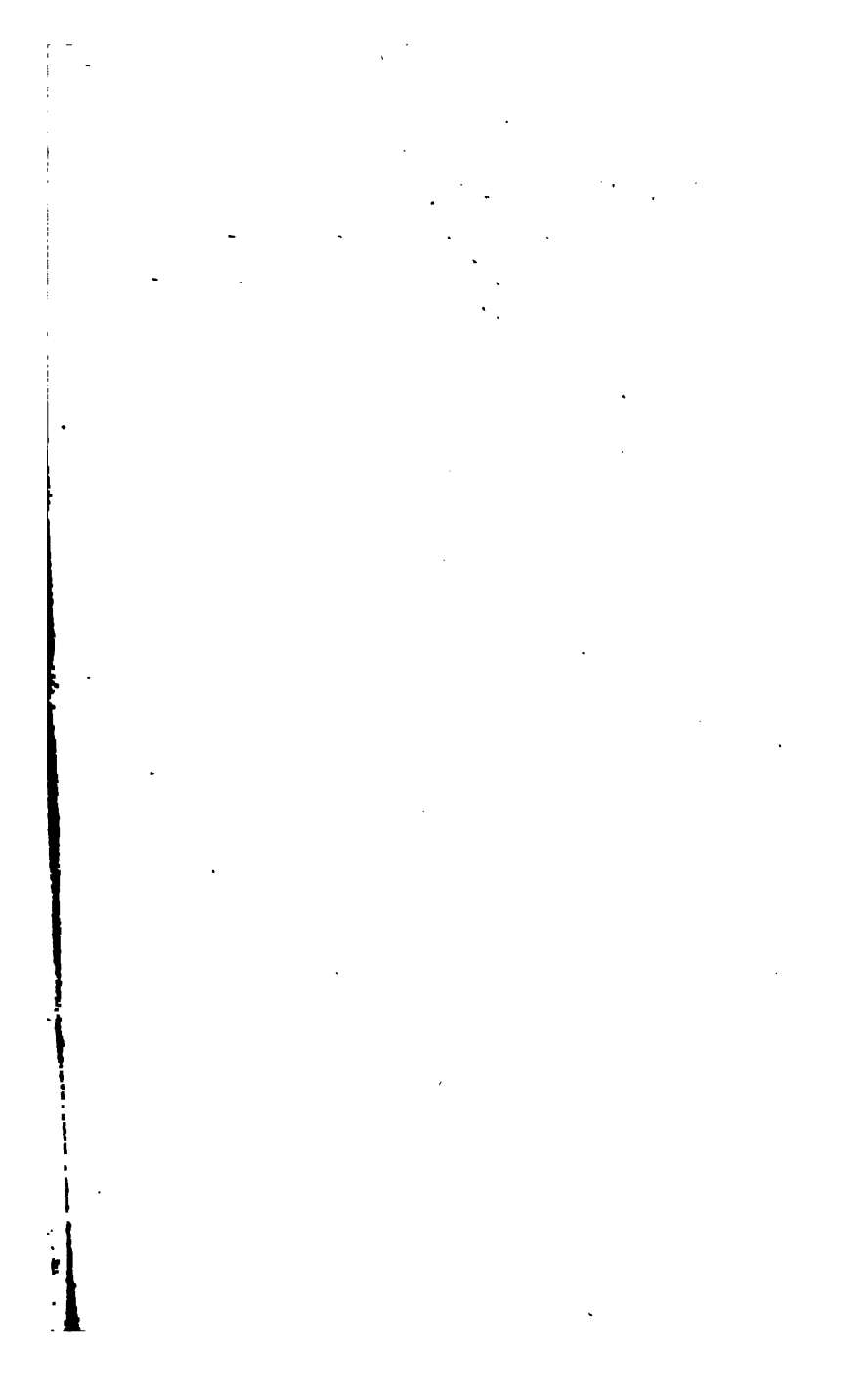
GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

(Class of 1887.)

Received *July*, 1895.







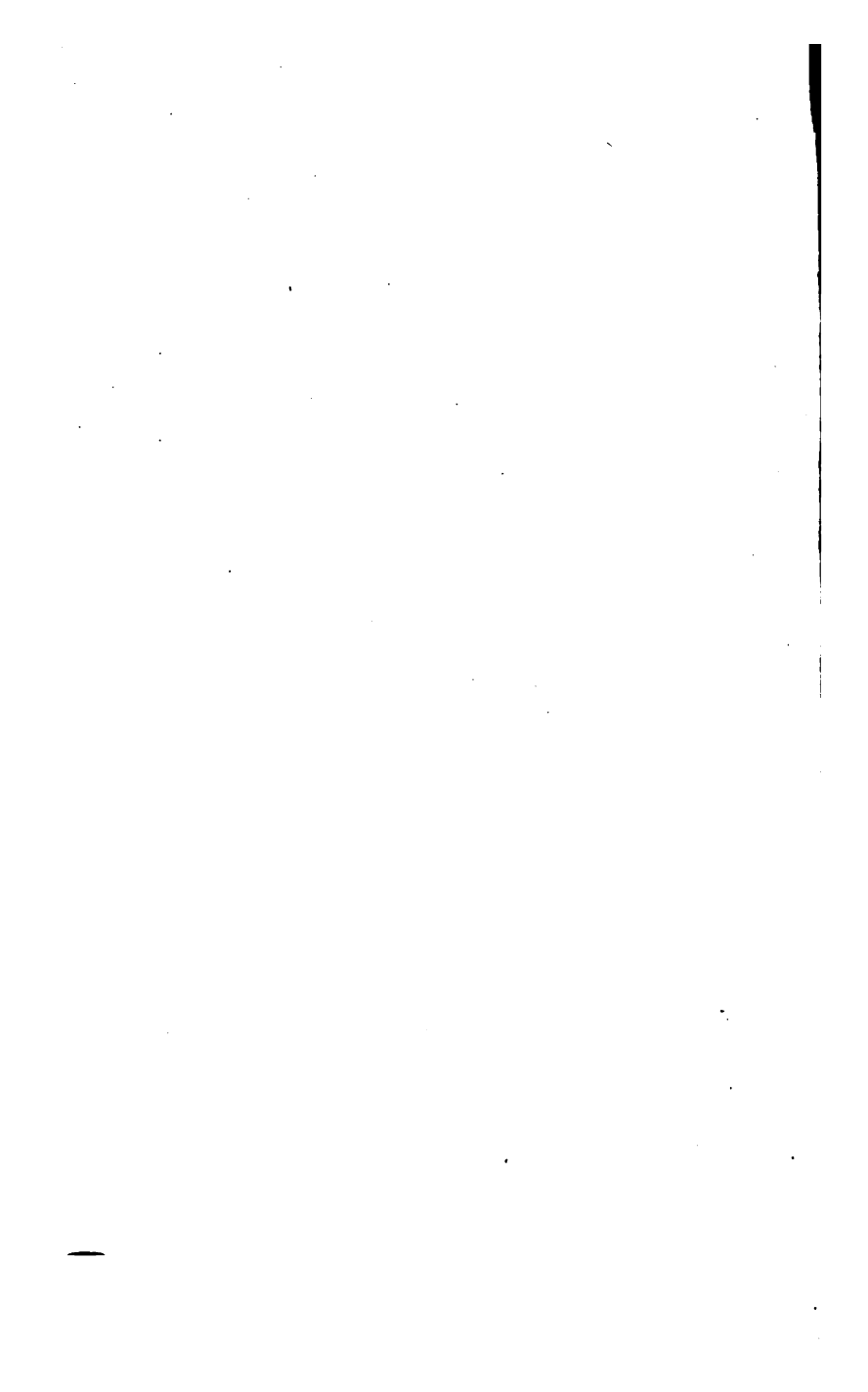
7

10

7-2

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LV.



0

²
ALKHADAR.

USTĘP Z DZIEJÓW OJCÓW NASZYCH

PRZEZ

EDMUNDA CHOJECKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

TOM PIERWSZY.



**LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.**

1869.

✓ Slav 7107.1.11

809 $\frac{10}{2}$

Harvard College Library
Gift of
Archibald Cary Coolidge, Ph. D.
July 1, 1890.

لعنكنّ الله جميعل سميتنّ عمرى
و الهمتننى هذا الكتاب

I.

Był to hotel, a raczej dom zajezdny prawdziwie polski, któremu gospodnik, zwykłym torem ludzi chciwych podwyższenia własnej godności, nadał nazwę hotelu. Dziś, gmach wznoszący się na tem samym miejscu, bez wątpienia słuszniej odpowiada szumnemu tytułowi; w owym atoli czasie, przed trzydziestu laty, sami pamiętacie, w jakim stanie znajdowały się te karawanseraje naszego kraju. Nie mówię tu o gospodach na publicznych gościńcach; w tych dotąd jeszcze zmiany są prawie niepostrzegalne. Ale w kilku pierwszych nawet naszych miastach, przejeżdżający cudzoziemiec z umytej i zamiecionej Europy, przez pierwsze dni pobytu swego kłął i zżymał się, dopóki inne zalety mieszkańców nie uczyniły mu łatwiejszą do zniesienia niewygodę, a zwłaszcza nieczystość siedziby.

Niekoniecznem było wreszcie, dla przekonania się, samemu wkraczać do tych przybytków płatnej gościnności; starczyło przypatrzeć się, jakim trybem zajężdżali zamożni obywatele.

Najprzód szedł powóz, wysoki, wypakowany, skrywający obłudnie pierwotne swe składy pod natłokiem zewsząd poczepianych pudeł, pudełek, tłomoków i tłomoczków, koszów i koszyków. Na koźle, obok wąsatego woźnicy, zimą w kożuchu i w niedźwiedziej czapce, latem w kapocie z materacowego płótna, upstrzonej w niebieskie płomyki, w lakierowanym kapeluszu, a czasami i latem w niedźwiedziej czapce, która niby konieczne dopełnienie głowy, tatarskim obyczajem, chroniła razem od skwarów i od mrozu — obok takiego, powtarzam, woźnicy, siedziała dziewczka w granatowym kaftanie, z twarzą owiazaną czerwoną chustką, z pod której, jak z pod średnio-

wiecznej przyłbicy, błyskało dwoje małych, siwych oczu i z zdziwieniem poglądało na pierwszy w życiu widok wielkiego miasta. Z tyłu powozu pękaty tłumok przywiązany grubemi powrozami, na tłumoku wiązka siana, na wiązce siana, zahaczony o targańce, klęczał kuchcik i niecierpliwie oczekiwał chwili zeskoczenia, znudzony jednostajnym widokiem okienka w tyle powozu, w które bezustannie od wyjazdu ze wsi poglądał, rękawem i śliną je oczyszczał: wtedy bowiem mógł przynajmniej przypatrywać się własnym rysom, ciemnawo odbijającym się w szkiełku. Wprawdzie było to niedokładne zwierciadło, ale kuchcik poprzestawał na niem i dla urozmaicenia podróży, stroił przed okienkiem wykrzywiony, wyscibiał język, przymrużał oczy, czasami parskając śmiechem, wszelako o ile możliwości przytłumionym, z obawy i przez szacunek państwa siedzącego w powozie.

Co się wewnątrz działo, tego ludzkie oko dostrzedz nie mogło; przez szczelnie bowiem pozamykane okna przeblyskiwały tylko kratowane salopy, podczas gdy kobiety, zmęczone podróżą, nierade w zaniedbanych strojach pokazywały się mieszkańcom miasta.

Tuż za pierwszym pociągami zdążyła parokonna bryka, wyładowana, poetycznie mówiąc, pod obłoki, prozą, na kilka stóp: pościelą, obrokiem, kilkoma drewnianymi kuferkami i resztą pudełek, którym resory odmówiły miejsca przy powozie. Na tej piramidzie siedziało dwoje osób: lokaj i panna służąca; odwróceniem od siebie, niezadowolonymi jedno z drugiego, oboje w ciągłej między sobą przytłumionej wojnie, czemu po prawdzie, nie można było się dziwić. Lokaj najprzód był chłopcem u mularza, następnie ogrodnikiem, później przeszedł do stajni, z kądem dostał się do dworu, gdzie przez czas jakiś czyszcząc srebro i pomywając w kredensie talerze, w skutek zapicia się na śmierć kamerdynera, postąpił na jego miejsce. Panna służąca z urodzenia była szlachcianką i dobrze o tem pamiętała; bodło ją sąsiedztwo dawnego mularczyka; nie mogła mu przebaczyć, że w młodzieńczych latach uwijał się z kielnią i nie bacząc na łaskę, w jakiej obecnie u państwa zostawał, nie przypuszczała go do poufności i przemawiała doń zawsze w trzeciej osobie.

... Tak zajeżdżała cała rodzina, w której skład, jeżeli na nie-
szczęście gospodnika, wchodziło jeszcze ze dwoje dzieci płci
męskiej, wtedy można ją było wprowadzić do świeżo wybudowa-
wanego i najwykwintniej przystrojonego gmachu i z zamkniętymi
oczyrna założyć się, że dzięki państwu, dzieciom i służącym, po
dwutygodniowym pobycie nikt nie zdoła poznać, jak od dawna
czystość uleciała z mieszkania. Przemiany dokonywano po-
krótce, ale stanowczo. Na białe drzwi i mury wypelzały lito-
grafje pięciu grubych palców, należących zapewne do wąsatego
woźnicy, lub do dawnego mularczyka. Szczypce okurzone leżały
gdzies w kącie jako sprzęt nieużyteczny i dla świec łożowych
łatwy do zastąpienia palcami lub ścianą. Kanapa ciemno dowo-
dziła, że panna służąca nosiła pomadowane włosy; stoły i okna,
że dzieci kształciły wrodzone zdolności do rzeźby. Co się zaś
działo pod piecem i w kątach! — rzućmy na to czempredzej
zasłonę.

... Ztąd jasny wniosek, że następujący podróżny nabierał nę-
dznego wyobrażenia o gospodarzu, który ze swej strony o tyle
był winnym, o ile nie wierzył w potrzebę zaprowadzenia przy-
jętego w Europie porządku i w wewnętrznem urządzeniu swego
sajazdu przybierał stanowisko niczem niewzruszonego zacho-
wawcy.

... Na pierwszy pogląd opis powyższy może wydawać się nieco
przejaskrawionym. Oświata od tej epoki znacznie postąpiła:
cesarz ruski pogolił żydom brody i pejsaki; Austria tylko co nie
zapuściła u siebie konstytucji; nowe obrazy zatarły wspomnienie
dawniejszych, ostatnie zwłaszcza pokolenie z trudnością tym
słowom uwierzy; zapytajcie atoli starszych ludzi, oni wam po-
wiedzą, czyli czasami i gorzej jeszcze nie bywało.

... Owoż więc, w jednej z najwspanialszych izb podobnego ho-
teli przechadzał się szerokim krokiem młody mężczyzna, zatra-
dniony snąc natłokiem myśli, które w obłokowych kształtach
przesuwały się mu przed wyobraźnią. Niekiedy stawał i wpatry-
wał się w porozwieszane na ścianach ryciny; ale widno, mecha-
nicznie tylko zaprzętał wzrok. Nie wzruszały go dwie poczwary
niezgrabnie narysowane, z których jedna przedstawiała Atalę,
druga Szaktasa, ani nawet znajomy wódz w burce, wskakujący
na siwym koniu w nurty Elastery. Nie myślał wcale o wielkiej

komedji XIX. wieku, patrząc na wieńczącą piec figurę Napoleona z bronzowanego gipsu; nie marzył o sławie, pomimo reopostartej na przeciwnej ścianie jakiejś bitwy, a raczej rzezi: jedni bowiem bili bez litości, drudzy nie broniąc się, uciekali co siły, jak zwykle dzieje się w obrazach, gdzie rodacy malarza stanowią jedną z walczących stron. Podróżny bynajmniej na to wszystko nie zważał; pogrążył się w dumaniach i gdyby jaki natręt był go w tej chwili nagle uderzył po ramieniu, zapytując: — O czym? — byłby spokojnie odwrócił się i najszczerzej odpowiedział: — O niczem.

Być może, iż dokładny znawca teorii Lawatera wyczytałby myśl z rysów podróżnego; ale na to, powtarzam, trzeba było głębokiej znajomości. Twarz młodzieńca na pierwsze wejrzenie nie nosiła na sobie żadnej wyłącznej cechy.

Wprawdzie wyniosła postać, czoło wysokie, ocienione ciemnymi i miękkimi jak jedwab włosami, oczy przenikliwe i zapadłe, usta przyciśnięte, tak, że zaledwie je znać było, mogłyby naprowadzić na pewne domysły, ale pozory tak często mylą! —

Sam widziałem we Włoszech lazzarona, znakomitego w mieście złodzieja, z którego przyjaciel mój Giuseppe Appiani, brał wzór do swego obrazu Marka Aureljusza; odtąd zaprzestalem z rysów domyslać się ducha.

Przed bramą hotelu zaturkotał powóz; młodzieniec wyjrzał oknem; teraz dopiero rozjaśnił czoło, pobiegł i otworzył drzwi, wołając:

— Tędy, Piotrze, na prawo, numer dwunasty.

— Wiem, wiem, odpowiedział gruby głos — znam wybornie miejscową topografię; przecież zawsze tu, a nie gdzieindziej zajeżdżam.

Po tych słowach wszedł niemłody już człowiek, silnej tuszy, łysawego czoła, wesołej, rumianej twarzy, z zawieszonymi wąsami, słowem, jeden z tych ludzi, którzy zdaje się, że wyskoczyli z ram starożytnego portretu i niepotrzebnie szrucił dawny strój dla dzisiejszego kosmopolitycznego ubioru.

Już drugi raz jestem dziś u ciebie — rzekł przychodzący — ale panicza ani zastać. Chodziłeś zapewne oglądać, czy stary Lwów stoi zawsze na tem samym miejscu? Nie omyliłeś się, chociaż bez wątpienia miano od sześciu lat, jak je po raz ostatni

widziałeś, musiało znacznie się odmienić. Często myślę sobie; jakby dobrze było, gdyby ludzie mogli ulegać tymże samym kolejom, co niektóre miasta, to jest de facto starzeć się, a jednak coraz młodziej wyglądać. Ale z nami inna sprawa; ja sam, którego odjechałeś podobnym do Absalona, dziś świecę łysiną; z każdym dniem nową zmarszczkę na twarzy odkrywam.

— Mój bracie, oparł młodzieniec z uśmiechem — po co te wieczne skargi na starość? — Zostaw je tym, dla których życiem młodzieńcze tylko lata, którzy dopóty czują się na świecie, póki krew gra im gwałtownie w żyłach, póki ciało odpowiada na każdy wybuch namiętności. Nieszczęsna gawiedź! — gdy czas im wraz lodu na ognisko dorzuci, napróżno usiłują rozdmuchać przysałą iskrę; popiół tylko przerzucają rękami. Złorzeczą wtedy zgrzybiałym latom, zamiast młodość raczej przeklinać. I cóż z tego, że tu i owdzie włos ci posiwieje? — Czyliż dla tego mniej zdolnym jesteś do czynu? Czyliż kilka świętych prawd, dla których człowiek powinien żyć, mniej silnie sprawia na tobie wrażenie? —

— Nie mówię tego wyłącznie do siebie — rzekł starszy brat — dzięki Bogu, dotąd zdrow jestem; rzekłbym nawet, że z każdym dniem sił mi przybywa; może dla tego, że zakres moich czynności coraz się rozszerza. Ale wierzaj mi, Kazimierzu, starość nie uciecha. Chociaż dzielność człowieka nie opuści, choć tu pod lewą pierś kołacze się coś, co kolejno, zgrozą lub rozkoszą, nadzieją lub rozpaczą, duszę przejmuje, nie ma wszakże już tego rzutnego pochopu do czynu: można go jeszcze wykonać, ale rozważa, rachunek, koniecznie muszą go poprzezdzać; a zastanowienie, jakkolwiek korzystne w skutkach, odejmuje jednak dziełu połowę wartości, o połowę zmniejsza szczęście własnego wewnętrznego zadowolenia. Radbym to jaśniej wytłumaczyć, ale nie chodziłem jak ty na filozofję; musisz sam dopełnić, czego ja wypowiedzieć nie zdołam.

— Zapewne — przerwał Kazimierz, bystro wpatrując się w brata — możesz być spokojnym; ja dopełnię, ale tego, czego ty nie chcesz, nie zaś co nie zdołasz wypowiedzieć. Pan Piotr Poraj, którego w tej chwili mam zaszczyt przed sobą oglądać, zaczyna wdawać się w romansowe jakieś marzenia. Na mą duszę! przyjaciele twoi okrzyknęli by mię szaleńcem, gdybym

uczynił podobne wyznanie. Pan Piotr Poraj, człowiek na czele znacznego majątku, czyli wyraźniej mówiąc, poważany od wszystkich, zawsze i wszędzie gotów każdemu posłużyć radą i uczynkiem, a tem samem powszechnie kochany, wywierający wpływ na okoliczną szlachtę, pierwszy we wszystkich zbawionych przedsięwzięciach, słowem, obywatel w całej potęgze tego wyrazu, skarży się na życie! — Zabawna rzecz, nieprawdaż? Zaczekajcie — powiem wam daleko zabawniejszą. Ten sam pan Piotr oplakuje brak własnego wewnętrznego zadowolenia. Na czym opiera te żale? Podobno ani żaden z was, ani on sam nie wie. Spójrzcie na jego przeszłość: tam może znajdziecie węzeł zagadki. Ojciec, znękaný stratą żony, odumarł go i zostawił mu majątek, jeżeli można nazwać majątkiem sieć długów, pokrywającą parę nędznych wiosek, i młodszego brata, który zaledwie od kilku lat przestał potrzebować piastunki. Pan Piotr z wdzięcznością przyjął obie puścizny; poświęcił wiek młody na wyratowanie się z kłopotów, nie szczędził pracy, zachodów i starań: w chwilach wolnych, a tych usiłował wynajdywać jak najwięcej, oddawał się wychowaniu młodszego brata. Pomyślny skutek uwieńczył jego zabiegi. W przeciągu kilkunastu lat pan Piotr wypracował sobie stanowisko jednego z najmajątniejszych ziemskich posiadaczy. Brat jego kończył naówczas uniwersytet. Pan Piotr przyjechał do niego, pokazał mu stan wspólnego mienia, oddał mu połowę dostatków, w krwawym pocie czoła zdobytych, i wysłał go za granicę: ażeby młody człowiek poznał nieco świata, zwiedził Europę, ażeby odetchnął po naukach i bawił się, podczas gdy starszy brat często bezsenne noce trawił dla zabezpieczenia mu spokojnej przyszłości. Majątek już był zyskany, ale gdzie jedni zyskują, tam drudzy tracą, mówi przysłowie. W obecnym razie przysłowie omijało się z prawdą. Pan Piotr rozszerzył do koła pomyślność, jaką sam zdobył dla siebie. Przejeżdżcie się po jego dobrach, przekonajcie się o stanie ludu wiejskiego. Gdzie dawniej sterczały rozwalone chaty, tam dziś wznoszą się wesołe zabudowania; nie ma pijaństwa, nędzy, ani rozpusty, i w latach nieurodzaju żaden włościanin nie przychodzi do dworu żebrząc chleba. — Po tem wszystkim pan Piotr skarży się na brak wewnętrznego zadowolenia: z rumianą twarzą i z zawieszonym

wąsem, chce udawać tęsknego marzyciela; utyskuje na świat, nie wierzy w ludzi, może nawet i we wdzięczność brata, dla którego był drugim ojcem, dobroczyńcą, aniołem opiekuńczym — nieprawdaż, że to zabawnie? —

Kazimierz zbliżył się do brata i uściśnął mu rękę ze szlachetnym oburzeniem. Piotr zaczął gładzić łysinę, co zawsze zwykł był czynić w chwilach wzruszenia, poczem z uradowaną twarzą, na której jaśniała radość, wywołana słowami brata, rzekł:

— Krótko i węsłowato, ale piękną wypaliłeś orację; ostatnie zwłaszcza porównanie nielada: możnaby podłożyć je pod muzykę. Nazwałeś mnie aniołem; uniżony sługa! — Proszę cię, jeżeli za to wszystko, com dla ciebie uczynił, będziesz kiedykolwiek chciał mieć mój portret, zaklinam, odepchnij naówczas myśl o mojej anielskości; zażądaj raczej wizerunku w czamarcze. Pojmujesz, że przy mojej postaci ze skrzydłami za stary byłby ze mnie Cherubin. O tamtych zaś pierwszych banialukach nigdy mi nie wspominaj; bieda na świecie, kiedy młodzież proste wypełnienie obowiązków uważa za rzecz nadzwyczajną.

— Kto ciebie zna — rzekł Kazimierz — nic w tem nadzwyczajnego nie upatrzysz; ale na świecie inaczej toczą się sprawy. Podczas gdy ty wyłącznie oddawałeś się pracy, ja przez te pięć lat podróży za całe zatrudnienie, przypatrywałem się ludziom, i dziś — dziś, Piotrze, ty jesteś młodszym odemnie.

— Jakto, paniczku! chciałżebyś ty teraz wziąć mię pod kurtkę? Nic z tego nie będzie. Nie pokażesz mi takiej soczewicy, za którą sprzedałbym prawo mego pierworodztwa. Jeżeli przekonany jesteś, że dotąd dobrze ci było z memi radami, posłuchasz ich i dalej. Powiedziałeś coś nakształt tego, że jedni na świecie pracują, drudzy używają. Nie zaprzeczam; ja pracowałem za dwóch, i Bóg poszczęścił moim trudom. Ty powinienesz za dwóch używać; słuszność przedewszystkiem. Świat stoi przed tobą otworem; poznałeś trochę zagranicznego, poznajże i własny. Tu anioł twój zaczął naprowadzać cię na szatańskie ścieżki i będzie radził, abys się przypatrzył naszym kobietom. Cóż to? Ostatni ten wyraz nie rozchmurzył ci czoła! — Ach, kobiety! — miłość! — muszą to być nader piękne rzeczy. Szkoda, że nigdy nie miałem czasu bliżej się z niemi zapoznać.

— Wtedy bowiem — przerwał Kazimierz — wykrzyknąłbyś w liczbie pojedynczej; powiedziałbyś: «Kobieta!» — Zapewne; jest to jedyna poetyczna strona naszego życia. Co do miłości, mówią, że także tuła się gdzieś po świecie. Wyznam wreszcie, że nie lubię rozводить się nad tym przedmiotem. Nie znam człowieka, któryby przez trzy czwarte wieku nie powtarzał tego wyrazu, a powiedz mi, kto go czuje? kto rozumie? Przez jednych mówi pospolita namiętność, przez drugich samolubstwo; ostatni, niby szlachetniejsi, widzą miłość w przywiązaniu do kobiety — jakby kobieta była celem bytu człowieka, pierwszą i ostatnią zwrotką hymnu naszego istnienia. Miłość kobiety powinna być jednym z kwiatów bujnie rozrosłego krzewu ogólnej miłości; nie zaprzeczam, że najpiękniejszym, ale nie jedynym. Spójrz do koła na ten rój uwijającej się młodzieży! — Każdy woła o miłość, każdemu zdaje się, że musi znaleźć kobietę, która będzie za nim szaleć — inaczej wrzeszczy na obojętność, na brak uczucia w niewieściach sercach; nie wierzy w prawdziwe przywiązanie, w poświęcenie; nazywa je czozem wymysłami rozmarzonych poetów. Ogólnie mówiąc, dziwi się, że los nie udzielił mu najwyższej w życiu nagrody, nie pomnąc, że niczem na nią nie zasłużył.

— Cóż to, mości zapaleńcze! — przerwał Piotr, korzystając z chwili, gdy Kazimierz nabierał oddechu do dalszego rozwijania swoich teorii. — Chciałbyś, aby dzisiejsza młodzież, obyczajem dawnych paladynów, po czaszkach rozplątanych olbrzymów i po zakłótych smokach dochodziła do ołtarza?

— Nie mówię o ołtarzu, ale o miłości — odparł żywo młodzieniec — przedmiot nasz i bez ołtarza jest dość świętym. Prawdziwa zasługa niekoniecznie przynależy nadzwyczajnym czynom, a przez takowe bynajmniej nie rozumiem szalonych wybryków średniowiecznego rycerstwa, lub sztuk, jakie pokazują skoczki na linie: chcę tylko dowieść, że kto wart miłości, ten aby ją znaleźć, nie potrzebuje szukać. Łańcuch organiczny wiąże na świecie nie tylko jestestwa, ale i uczucia; jedno wysnuwa się z drugiego, jedno jest koniecznym następstwem, dalszym rozwojem, dopełnieniem drugiego. Radbym zebrać całą młodzież, uskarżającą się na obojętność kobiet, i rzec jej: chcecie uczucia, dopominacie się poświęceń? Podam wam nie-

omylny sposób. Niech który z was, choćby na próbę dla innych, dokona jakiego wielkiego dzieła, niech do osobistości którego przyłgnie urzeczywistnienie świętego jakiego pojęcia ogólnej miłości i prawdy — wtedy przekonacie się, czyli obok zasłużonego nie stanie natychmiast czarująca kobieta, która —

— Która — rzekł Piotr — będzie najszczęśliwszą, że wielki człowiek między innymi ją wybrał, że tym wyborem dowiódł przed światem wyższości jej istoty — nie przeczę — wtedy nie tylko jedna — dwadzieścia, sto, w mgnieniu oka się zjawi. Na nieszczęście wielkich ludzi na świecie mało, miłości pragną wszyscy.

— Wybacz, mój bracie! — rzekł Kazimierz — nie trzeba być historycznym bohaterem, aby dokonać wielkiego czynu. W domowym pożyciu, w zwyczajnym zakresie naszych działań, jest dość miejsca na poświęcenie, na przeprowadzenie wielkich prawd ludzkości. Postępowanie po takiej drodze z nieugiętą stałością, z zastosowaniem codziennem zasad, nie tajnych dził ludziom serca, nazywam wielkim czynem. Wierzaj mi, znajdzie się naówczas kobieta, która potęgą niewieściego przeczucia odgadnie człowieka i najszlachetniejszą część siebie złoży mu w ofierze, dla urzeczywistnienia najdoskonalszego w stworzeniu pojęcia. Jest to niezawodny wypadek; dla czego jednak tak rzadko się pojawia? Rzuć okiem po wszystkich twoich znajomych, sam łatwo znajdziesz odpowiedź. Nie będę wdawał się w dalsze rozbiory; nienawidzę dyssekcji, zwłaszcza skoro ta prowadzi wyłącznie do wykrycia śladów zniszczenia. Wolę tam zwracać uwagę, gdzie postrzegam zarody życia.

→ Tem lepiej — rzekł Piotr — trwaj w twoich zamiarach. Z tego, co mówisz, przekonuję się, że nie masz wstrętu do kobiet; na dziś więcej od ciebie nie wymagam. Ja nie ożeniłem się dla wielu przyczyn, a między innymi może i dla tej, że pragnąłem zachować niepodległość: warunek, bez którego nie rozumiem szczęścia i życia. W naszym kraju, jak to możesz naczynnie sprawdzić, ba! nawet z historii się przeświadczyć, wiesz kto rej wodzi w domu?

— Masz słusność, że każesz na poparcie twego zdania w historii szukać dowodów. Za dawnych czasów, gdy mąż używał działalność swoją na polu bitwy, w obradnej izbie,

w usługach dla obywatelstwa, słowem, gdy miał przed sobą szeroko otwarte życie publiczne, nie dziw że ogólny zarząd domowej strzechy oddawał kobiecie. Później życie to znikło: każdy zamknął się w swym domu jak ślimak w skorupie i mimowolnie przeszedł pod jurysdykcję uświęconą prawem zwyczajem. Starszemu pokoleniu nie można było czynić zarzutów; dziś jednak stan rzeczy, jeżeli dotąd się nie odmienił, w bliskiej przyszłości powinien i musi się odmienić. Przemiana ta zupełnie zależy od mężczyzn. Nie sądź atoli, ażebym chciał prawo rozkazywania wyłącznie jednej stronie powierzyć. Władza powinna zniknąć, albo raczej zawisnąć między obiema stronami. Przechylenie jej w którymkolwiek kierunku niszczy na zawsze wspólną harmonję. Dodam nawet, że działanie obu stron winno być biernem. Kobieta zapatrując się na czynność ducha męskiego, widząc go dążącego po drodze postępu, urzeczywistniającego warunki sumienne życia, już przez to samo stanie się lepszą, ukoiwszy wrodzoną niespokojność serca, postawi się w zgodzie sama z sobą, i wtedy zarysy czynów męża powiedzie łagodną barwą własnych uczuć. Tak rozumiem małżeństwo, boć przecie trzeba je jakimś sposobem wytłumaczyć. Wprawdzie dowodzenia mego przykładami stwierdzić nie zdołam. Każda święta prawda dopóty tylko jest czystą i promienną, póki unosi się nad ziemią; skoro jednak raz spłynie na poziom, tłum kolejno chwytając ją w ramiona, pobrudzi ją, pokala, tak, że następnie dla odkrycia istotnych jej barw, tysiące wprzód powłok przebić należy. Gdyby człowiek mógł tyle, ile wie i jak wie! —

Piotr przysłuchiwał się bratu z zadowoleniem, powstał narazie z kanapy, ujął go za obie ręce i rzekł:

— Coby to była za szkoda, gdyby takie zasady miały pozostać bez zastosowania! W kilku słowach dałeś mi poznać zarysy twego systemu o małżeństwie. Jestem pewny, że teoria twoja zawiera kilkanaście rozdziałów, z których każdy, bez zawodu, mieści wiele nowych i zajmujących prawd. Ja jestem, jak sama wiesz, człowiekiem praktycznym; wywody twoje dla mnie na nic się nie przydadzą, być może nawet, że wcale bym ich nie zrozumiał, albo też przyzwyczajony do wyciągania wniosków prawdy z dokonanego już dzieła, słowami nie dałbym się prze-

konać. Jeżeli chcesz jednak, abym całą duszą przeszedł na twoją stronę, podam ci krótki i nieochybny sposób: ożeń się —, wybierz dziewczynę z uczciwego domu, hołą, wesołą, z dobrym sercem, niekoniecznie posaźną. Usuвам ci jedną ważną przeszkodę — wspólny nasz majątek wystarczy dla twoich dzieci, a wyznam, że wyskoczę z radości, gdy się dowiem, że jestem stryjem. Człowiek w moim wieku, z łysiną, z każdym dniem coraz grubszy, może tylko zdać się na stryja. Powtarzam więc, jeżeli chcesz, abym nie został niczem, abym nie zniknął jako ludzka istota, wynieś mię czempredzej do godności stryjostwa. Nie będę narzucał ci żadnych rad; nie żądam wpływać na twój wybór; wszystko mi jedno, z kim się ożenisz; miej tylko trochę dobrej woli: na pannach u nas nie zbywa. No, cóż! móci Kazi-mierzu? milczysz? Mów, powiedz, że plotę od rzeczy!

— Bynajmniej, mój dobry Piotrze! Doskonale pojmuję twoją niepomiarkowaną żądzę zostania stryjem. Ale cóż ci mam odpowiedzieć? Musiałbym długo mówić, albo wystosować jakiś ogólnik; pierwsze ciebie by znudziło, drugiego ja nienawidzę i nigdy nie używam. Zamiar twój łatwo da się wykonać: wejść tylko w towarzystwo i oświadczyć głośno, że Kazimierz Poraj, człowiek młody i majątny, który skończył szkoły i uniwersytet, podróżował za granicą — możeż nawet dodać, że nie zna własnego kraju, nie wzmą ci tego za złe — który jest jedynym spadkobiercą bogatego i bezdzietnego brata, pragnie wejść w związku małżeńskie z jaką panną, jak mówiłeś, z uczciwego domu, hołą, wesołą, z dobrym sercem i niekoniecznie posaźną. To powiedziawszy, ukłoń się do koła i spokojnie czekaj na odpowiedź. Nie nadużyją twojej cierpliwości. I któryż dom nie jest, zwłaszcza we własnem przekonaniu, uczciwym? Którejże pannie zbywa na hołosci, na wesołosci, na dobrym sercu? Narzeczcie którejże nie oddano by bez posagu? Wtedy zawiąż oczy, wejść w to grono i wybierz którąkolwiek — pierwszą lepszą. Zaprawdę, będzie to postępowanie człowieka trawidłowego niepohamowaną żądzą stryjostwa; czy atoli odpowie onó warunkom mego własnego szczęścia? — Inna zagadka, której tak łatwo rozstrzygnąć niepodobna. W dzisiejszych okolicznościach rozumiem, że domowe życie jest wszystkim, co nam pozostaje. Ależ kiedy koniecznie trzeba się chwytac tego osta-

tecznego środka, należy przynajmniej dla osiągnięcia celu obrać odmienną drogę od tej, po jakiej ogół się tłoczy, i choć dla nadzwyczajności dać się wyłącznie zapowodować uczuciu. Do zawarcia podobnego związku potrzeba — tak wreszcie ja sądzę — zobopólnego poświęcenia. Każda strona winna złożyć najszlachetniejszą część duszy, winna okupić szczęście wyrzeczeniem się, zaparciem czegoś; jest to niezbędny warunek prawa równowagi, oddziaływania rządzącego wszystkim na świecie. Mężczyzna poświęca samolubną swoją wolność, zamienia niezależność na obowiązki, próżniactwo na pracę, obojętność o dzień jutrzejszy na troski o przyszłość. Kobieta idzie za męża, najprzód dla tego, aby nie została starą panną, aby uległa konieczności swego przeznaczenia, bez którego byłaby niczem, lub aby domową niewolę zamieniła na niepodległość mgłątki. Za pozbycie się więc gorzkiego odosobienia, za pozyskanie bytu, za wydostanie się z pod jarzma, chce kupić szczęście. Przyznaj, że za tak kosztowny towar zbyt nędzna zapłata. Tu pragnąłbym wypowiedzieć naturalny wniosek, wynikający z powyższego zapatrzenia, ale ty jesteś człowiekiem nieubłaganej moralności, kochany Piotrze; ty powstałbyś, zgorzysłbyś się, gdybym ci odkrył dno myśli mojej. Ja bym chciał, aby kobieta mniej przysięgała, a więcej wyrzekała się, więcej przynosiła ofiary; aby mniej ulegała zwyczajom i przymusowi, a więcej własnemu sumieniu. Ale to są moje marzenia, moje własne teorje, których nie chcę narzucać nikomu. W istocie, sam nie wiem dla czego, jakiś żalobny kir rozpina się przed memi oczyma, ile razy na stosunki światowe poglądam; jakiś olowiany pierścień smutku owija mi serce i tak mi duszno, tak przykro, że chciałbym uciec, sam nie wiem gdzie. Mary te jak mszyca osiadają na kwiatach mojej myśli. Dajmy pokój tej rozmowie; zostawmy przyszłość właściwemu jej biegowi; cokolwiek nas czeka, stanie się dla tego, że nie mogło stać się inaczej. Człowiek nie powinien stwarzać okoliczności; dość dla niego, jeżeli potrafi stawić im nieugięte czoło. I tak będzie miał oczem się zająć.

— Zgoda! — rzekł Piotr, cofając się o kilka kroków — słowa więcej nie piszę; widzę, że nie jesteś dziś w wesołym usposobieniu, i tem mocniej nad tem ubolewam, iż miałem zamiar —

Piotr tęsknie zachmurzył oblicze, zaczął nucić przez zęby jakąś piosenkę i dzwonić palcami w szybę.

— Miałeś zamiar? — odrzekł Kazimierz, podchodząc ku niemu, jakby z żalem, że mrok własnych jego myśli padł na czoło brata — i jakiż zamiar?

— Chciałem zapoznać cię od razu z całym naszym towarzystwem. Dziś mamy wielki bal w kasynie; ułożyłem sobie, że pójdziesz ze mną, zabawisz się i pokażesz światu. Widzę jednak po twojej rozmowie, że rozrywka nie koniecznie przypadałaby ci do smaku.

— Mój kochany Piotrze, nic nie znam nieznowniejszego jak układać najprzód zamiary i wątpić zarazem o ich spełnieniu. Mamy iść na bal? Zgoda; czyń ze mną co zażądasz; czyliż nie jesteś starszym bratem? czyliż wypowiedziałem bunt przeciw nieograniczonej twojej nademną władzy?

— Do miliona bomb! — zawołał Piotr, ujęty pochlebstwem — tak jest, mam władzę i potrafię jej użyć. Najprzód, wypłoszę panickowi z głowy te niepotrzebne, czarne jakieś myśli, nie stosowne ani do jego wieku, ani do stanowiska w świecie; następnie — zobaczymy co będzie dalej. Tymczasem już dość późno; jeżeli chcesz pójść na bal, mój Kaziu, ubieraj się — ja jestem prawie gotów, poślę tylko po frak do domu. Żywo, mój chłopcze, nie mamy czasu do stracenia.

— Za chwilę stanę na twoje rozkazy — odparł Kazimierz — wychodząc dla przebrania się do drugiego pokoju i zegnając uśmiechem brata.

Piotr położył się na kanapie; dla skrócenia chwil wziął jakąś książkę ze stołu; obojętnem okiem przetrzucał jedne karty po drugich. Wreszcie z litościwym wyrazem odrzucił od siebie tom jeden dzieła Jana Jakóba, podobno «Społeczną umowę». Wygodniej mu było pogwarzyć z własnymi myślami. Zapalił fajkę i jął puszczać kółka z dymu.

W istocie, nie wiadomo czyli to sąsiedztwo genewskiego filozofa, czyli też rozmarzone słowa brata wywarły na nim ten skutek; ale Piotr oddał się cały dumaniom, ku czemu nie mało mu pomagały tytuniowe obłoczki.

Z oczyma wlepionymi w przestrzeń, stwarzał sobie świat nowych nadziei, promieniejących urzeczywistnieniem własnych

widoków. Wypuścił najprzód większe kółko, które miało wyobrażać brata jego, Kazimierza; dalej drugie mniejsze, które popłynęło za pierwszym i splątało z niem perłowe zawoje. Piotrowi zdało się, że w dymnej obrączce rozpoznał błędne kształty niewieściej twarzyczki, uśmiechającej się doń jak do szwagra.

Widzenie rozwiał się w mgnieniu oka. Piotr puścił kilka zupełnie drobnych kóleczek i powitał je ze stryjowskiem zadowolaniem.

I ta ułuda niedługo trwała: wszystkie obłoczki spokojnie przepłynąwszy przez pokój, rozbiły się o ścianę, jak gdyby na dowód niestałości ludzkich zamiarów.

Piotr zrozumiał ukryte w kółkach znaczenie; rozgniewany sam na siebie, pociągnął pełną piersią z cybucha i zakłębił się w tumanie dymu.

— Na miłość boską! — rzekł Kazimierz, wchodząc ubrany — Piotrze! wyglądasz za tym dymem jak dusza czyszczowa. Piękna rzecz, gdy wejdziemy między kobiety, poprzedzeni straszłą wonią tytoniu! Weź tę oto flaszeczkę; za pomocą zawartego w niej płynu ukryjesz przed światem tureckie twoje zwyczaje.

Piotr w milczeniu namaścił łysinę, wąsy, pokropił chustkę od nosa, wytarł rękawy u fraka, dwie krople upuścił na obie strony kołnierza i z niewypowiedzianą łatwością wsunąwszy jedną rękawiczkę na rękę, drugiej bowiem nigdy nie używał, spojrzął na brata.

Urok braterskiego przywiązania wdzięcznie przyjmował niedostatki, a nawet i wady; obojętnie jednak się zapatrując, Piotr byłby pragnął inaczej zidealizować Kazimierza.

Zdaniem jego, młody człowiek chcący podobać się kobietom, winien był być średniego wzrostu, czerstwy, o ile możliwości rumiany, z wesołą i rozjaśnioną uśmiechem twarzą, siejący bezustannie żarty i dówcipy, pomimo to jednak wcale niepowierzchnowy, przeciwnie — głęboko obeznany z praktycznym życiem. Kazimierz tymczasem zupełnie odmienną miał postać: patrząc nań, nie można było, z wielkim żalem Piotra, domyślić się od razu, do jakiego należał narodu. Ciemne, gęste włosy, smagławe, blade oblicze, mogłyby w nim dowodzić mieszkańca.

południa, gdyby wielkie błękitne oczy nie zdradzały mglistego nieba jego ojczyzny. Ludzie, przychylnego ku bliźnim serca, z upodobaniem poglądali na wyniosłą postawę młodzieńca i sztywny skład jego ciała. W swobodnych nadewszystko ruchach przebijał się wdzięk niczem nieskrępowanej natury; z lekkiego zaś pochylenia głowy można było odgadnąć, że namiętność i moralna praca skłoniły ją ku piersiom. Ubiór Kazimierza prosty, z dwóch barw złożony, w którym jednak prawdziwy znawca byłby odkrył piętna wrodzonego, wytwornego smaku, również nie pozyskał zadowolenia starszego brata. Piotr nosił zwykle w dniach uroczystych kamizelki, przypominające żupany z lamy perskiej i okręcał szyję jedwabnymi chustkami dzierganymi w barwiste bukiety kwiatów, lub w arabski. Nie wystąpił jednak w tej mierze z żadną uwagą, przekonany w duszy, że młody człowiek świeżo przybyły z zagranicy, lepiej musiał te rzeczy rozumieć. Nacisnął kapelusza na oczy, zwinął się w niedźwiadkową szubę i wsiadł z bratem do powozu.

Znajomy nam stan ulic naszych miast podczas zimy, usprawiedliwiał użycie powozu, chociaż kasyno znajdowało się tylko o kilkanaście kroków od hotelu.

Smolne kagańce otaczające wjazd, rzucały czerwonawe światło na strojne kobiety, na otołubionych woźniców i na konie, które wyrzucając nozdrzami długie słupy pary, rwały się niespokojnie przed rażącym je blaskiem pochodni.

Bracia przebili się przez obszerną sień napełnioną tłumem służebników, z pomiędzy których jedni pobłyskiwali szamowaną liberją galicyjskich strzelców, innych trzeba było domyślać się z pod przywalających ich piramid płaszców i futer. Weszli do sali.

Naprzeciw głównych drzwi, na ganku ozdobionym fałdami czerwonej firanki, muzyka próbowała instrumentów. Czasami klarnet zadął gammę, zgrzytliwie ją ucinając, to znowu skrzyplce zapiszczały, jak gdyby kto je przecinał na dwoje, lub poważnym głosem jęknęła hasetla.

Kasyno było rodzajem klubu, reżysersy, ogólnego zgromadzenia, gdzie kilka razy do roku zlewały się wszystkie, najróżnorodniejsze strumienie towarzystwa. Stanowisko społeczne

każdego z mężczyzn łatwo dało się oznaczyć po ukłonach składanych dwom lub trzem podeszłym jegomościom, o ile się zdawało po gwiazdach i krzyżach, pierwszym matadorom prowincji. Jedni na ich widok uskakiwali w tył, przypadając się bacznie ich kolanom; byli to urzędnicy. Drudzy podchodzili ku nim z wdzięcznym uśmiechem, któremu usiłowali nadać wyraz poufalej zażyłości; byli to magnaci, przepędzający życie między stolicą cesarstwa a prowincji. Tamci zimno pochylali głowy, starając się nie wydać obliczem żadnego uczucia: jak przystało na butną, zamożną szlachtę, osiadłą na wsi i rzadko kiedy zjeżdżającą do miasta; tych było najmniej. Ostatni nareszcie witali dygnitarzów z roztargnieniem, topiąc spojrzenia w głąb sali, gdzie brzęczał rój kobiet; była to młodzież niecierpliwa zaczęcia balu. Dwóch tylko z jej grona nie kłaniało się nikomu, nie przemawiało do nikogo; wyprostowani jak tyczki jeden obok drugiego, stali dwaj bliźni bracia, wychowani na wsi, nieznający nikogo, po raz pierwszy z pod Karpat zwiezieni do miasta.

Kobiety — każdy z obecnych dzielił inaczej. Młodzież różniła dwie kategorie: piękną i szpetną. Jegomości o gwiazdach obchodzili się z żonami i córkami stosownie do znaczenia mężów lub ojców. Panowie mieszkający w stolicy, stosownie do urodzenia i do względów okazywanych im przez gwiazdzistych jegomościów. Szlachta wiejska baczyła na pochodzenie narodowe lub cudzoziemskie; dwaj tylko bracia podkarpaccy ogólnie widzieli w nich pleć piękną.

Niewieści wzrok upatrywał zapewne odmienne rysy, ocieniające wspólną wszystkim uwagę nad strojami. Bez względu na wiek i powaby ciała, trzy różnorodne strumienie krzyżowały się po sali, i na pierwszy pogląd natychmiast można było odgadnąć nieprzewyciężony wstręt każdego do rozerwania dzielących je brzegów przesądu lub etykiety.

Wieś, miasto i urządztwo, nadawały każdemu strumieniowi odrębną barwę, która kolejno łamała się znowu w różne odcienia. Młodsze kobiety mogły zmięszać się w tańcu; wałowe natomiast siedzące matrony święcie pilnowały, każda swego kalibru.

Pośród czerni mężczyzn i różnobarwnych kobiecych stro-

jów, przeświecali wojskowi: jedni w białych mundurach, sztywni, wyprostowani, z długimi szyjami i z pochmurnem obliczem — była to austriacka piechota; drudzy okapani złotem, krępi, czarni, z świecącemi oczyma i z tą zamaszystą postawą, jaka zwykle odznacza węgierskich huzarów.

— Bal wkrótce się zacznie — rzekł Piotr do Kazimierza — korzystajmy z wolnych chwil: muszę przedstawić cię gospodyni i gospodarzowi. Pierwszą jest pani Sokolnikowa, żona tego oto wysokiego jegomości, który rozmawia z gubernatorem. Drugim Dahlman; znasz to nazwisko: z jego podpisem odbierałeś za granicą weksle; bankier, głowa naszego mieszczaństwa, która zapewne wkrótce zamieni się w ogon naszej szlachty: słyhać, że pracuje w Wiedniu nad wyjednaniem sobie tytułu. Oto go masz. — Panie Dahlman — mój brat Kazimierz.

— Miło mi — odparł bankier — poznać brata kochanego mego pana Piotra (majątniejszych obywateli Dahlman nazywał zwykle po imieniu). Pan niedawno przybywasz z zagranicy; miasto nasze zapewne wyda się mu głuchem po zgiełku europejskich stolic.

W tej chwili wchodził na próg jakiś generał. Bankier nie czekając odpowiedzi, pospieszył na jego przyjęcie. Piotr zwrócił się z bratem ku gospodyni.

— Pan niedawno przybywasz z zagranicy — rzekła Sokolnikowa, jednym rzutem oka od stóp do głowy opatrując młodzieńca. — Zgromadzenie nasze zapewne dziwnem mu się wyda po towarzystwach wielkich miast europejskich.

Jakaś wyfiokowana dama pokazała się we drzwiach. Sokolnikowa w chwili, gdy Kazimierz zabierał się do odpowiedzi, znikła mu z przed oczu.

— Z nikim się teraz nie dogadasz — rzekł Piotr. — Nie wiele wreszcie stracisz, zmuszony ciągle odpowiadać na jedno i to samo stereotypowane zapytanie. Cóż czynić? trzeba trochę pobłażania; ogólniki są to przedpokoje do bliższej znajomości.

— Szkoda tylko — odrzekł Kazimierz — że większa część ludzi na zawsze w nich się osiedla.

— Pójdź — mówił dalej Piotr, nie zważając na słowa brata. — pokażę ci żywotną stronę naszego towarzystwa — młodzież.

Widzisz tego tam panicza, który głośno czegoś dowodzi z powszechnem otaczających go zadowoleniem? — Jest to hrabia Władysław Wilczek, potomek znakomitej, jak wiesz, rodziny. Przewyborny chłopiec! naczelnik wszystkich zabaw, kochany od mężczyzn, ubóstwiany od kobiet. Dla jednych ma serce na dłoni, przed drugimi dłoń trzyma na sercu i żadnej doń wpuścić nie chce, czyli; co na jedno wychodzi, wszystkie razem uwielbia. Zarzucają mu zbyt dużą popędliwość; drogo ją nieraz okupił. Ja nie dziwnię się mu bynajmniej. W młodych żyłach krew bystro krąży; słowo leci przed myślą i chociaż czasami złe skutki sprowadza, ale natomiast od razu daje poznać człowieka. W Wilczku została jeszcze ta dawna natura naszych ojców, o których mówiono, że byli do tańca i do różańca. Taniec, pamiętasz, zawadzono także z Tatarami; różaniec zaś oznaczał głowę nie dla kształtu. — Obok niego, z wysokim czubem i z podkręconemi wąsami, stoi Juljusz Dzierżbiński, nieodstępny towarzysz i od serca przyjaciel Wilczka. O tym sam nie wiem, co ci powiedzieć: jedni za nim przepadają, drudzy go nienawidzą. Pierwszymi, jeśli się nie mylę, powoduje obawa jego języka; drudzy mszczą się za doznane przycinki. Ja do żadnego z dwóch obozów nie należę; po prawdzie nawet chętniej przystałbym do pierwszego; mało bowiem spotkałem w życiu równie zabawnych ludzi. Że zaś tu i owdzie przypnie komu łatkę, niech ci się gniewają, których światło w oczy kole. — Wpatrujesz się, widzę, w tego oto szpakowatego wąsala, którego głos, jak gdyby przez tubę morską zdala nas dochodzi. Nie przypominasz go? Musiałeś przecież widywać go przed laty w naszym domu, kapitana Skalkę, dawnego wojskowego z czasów Warszawskiego Księstwa. Kapitan (pod tem jedynie nazwiskiem zna go cała okolica) jak ów starożytny filozof, ma bryczkę, parę koni i wszystko z sobą wozi. Sposób jego życia jest dziwnie systematycznym: wybrał sobie dwunastu przyjaciół i u każdego jeden miesiąc w roku przepędza. Znajdziesz go na wszystkich polowaniach, za każdym zielonym stolikiem; na jarmarkach także nie jest ostatnim; pospolicie używanym bywa do spraw honorowych całej Galicji. Ale zamiast o każdym szczegółowo ci rozpowiadać, chodźmy, od razu ze wszystkimi cię zapoznam; żadnego tu nie ma, z którym potrze-

bowalbyś zjeść beczkę soli. Polonez ledwo za godzinę się zamie; czekają na panią gubernatorową, która, jako dama wysokiego znaczenia, musi zawsze przyjeżdżać ostatnia.

Podczas gdy Piotr wtajemniczał brata w charakterystykę pewnej części towarzystwa, młodzież między sobą prowadziła zważą rozmowę.

— Tego za nadto! — wołał Wilczek z oburzeniem — dziesiąta wybiła, a my stoimy bezwładni i mrugamy oczyma jak gwiazdy w nieruchomem oczekiwaniu na przybycie słońca.

— Powiedz raczej na przybycie księżycy w pełni — rzekł Juljusz — jeżeli masz na myśli panią gubernatorową. Cierpliwości, młodzieńcze! nagroda cię nie minie. Pożyczę ci moich ramion, abyś łatwiej mógł objąć kibić żony naszego satrapy, skoro zechcesz puścić się z nią walca.

— Dobrze wam tak! — wtrącił kapitan — alboż to bez niej zacząć nie możecie? Co matulom po polonezie? Mogą same przepacerować się, jeżeli im trudno usiedzieć na miejscu. Władysławie! weź oto pannę Różę Podgóorską, zakomenderuj mazura i śmiało naprzód! my za tobą, zwłaszcza ja z moją kulawą nogą.

— Do panny Róży — przerwał Juljusz — nie każdemu radzę się zbliżać. Hrabia Nemesz zaszczyca ją swemi względami. Patrzcie tylko, jeżeli nie wierzycie, jak dziewczynie oczy śmieją się do huzarskiej kurtki.

— Ale nie do mieszkającego w niej Węgry — rzekł Wilczek. — Tego by jeszcze brakowało, abyśmy do naszych panien nie mogli się docisnąć!

— Cóż chcesz? — dodał zimno Juljusz — do wszystkiego trzeba szczęścia. Panowie ci od niejakiego czasu wszędzie czynią nas wyprzedzać.

Wilczek zacisnął usta i przyłożywszy szkiełko do oka, zaczął przypatrywać się kobietom.

— Na mój honor! — zawołał kapitan — wiem do czego ta mowa zmierza. Nemesz w przeszłym miesiącu wygrał zakład o wyścig; ale po bożemu, słuszność była przy Władziu. Nie wielka sztuka wygrać zakład, gdy koń przeciwnika przy drugiej zawadzie zwiąże się i przewali czterema kopytami do góry. Ja zaraz mówiłem, że Nelson był za mocno podpięty, i nie pojmuję,

czyli raczej pojmuję, skoro Władys na nim siedział, że pomimo przypadku potrafił drugi stanąć u mety.

— I przegrać o całą długość pięknej swojej głowy — dodał Juljusz.

— Niech go piekło pochłonie wraz z jego piękną głową — rzekł Wilczek stłumionym głosem. — Dajcie mu raz pokój; nie ma o czem mówić. Dla dwustu przegranych dukatów żaden Wilczek dotąd się nie powiesił.

— Chociaż o ile jasno rzeczy widzę — prawil kapitan; przy-mrużając złośliwie jedno oko — ostatni z tej znakomitej rodziny tym razem miał się nad czem powiesić: za katy, niejedna białoszajka czule poglądała na zranione jego ramię.

— Powiedz mi, kto jest ów nowo przybyły młody człowiek, ten oto wysoki, blady, który w tej chwili rozmawia z Sokolnikiem? — rzekł Wilczek, zwracając się do Juljusza, jak gdyby chciał na inną kolej sprowadzić nieprzyjemną mu rozmowę.

— Nie dziwi mię — odparł Juljusz — że z powierzchowności nie odgadłeś w nim brata Piotra Poraja. Wyjąwszy majątku i nazwiska, obaj bracia nie mają z sobą nic wspólnego. Młodszy przed kilkoma dniami wrócił z zagranicy, sądzę jednak, że nie będziemy mieli z niego wielkiej pociechy. Trzy lata temu, spotkałem go w Wiedniu u szambelana, który podobno jest dalekim jego krewnym; nie uwierzysz, jakie plótł banialuki. Uciekał z Wiednia jak oparzony; niestworzone historie wygadał na nasze dobre miasteczko; krzyczał na materializm, na głupstwo, na brak ludzi, towarzystwa.

— Dla czegoż go szambelan w świat nie wprowadził? — zapytał Wilczek.

— Pytasz jak gdybyś nie znał Wiednia. Co mi za figura pan Poraj, ażeby wszędy miano go przyjmować z otwartymi rękami! Ani z pierza, ani z mięsa, jak to mówią; starszy bowiem brat znajdował się wówczas w samym wirze spekulacji, nie był w stanie częstego dosyłania pieniędzy i sam jeszcze nie wiedział jak wybrnie z interesów. Ztąd jasny wniosek, że panicz nie znalazłszy przyjęcia w salonach, nie mogąc zkądinąd żyć z przy-zwoitą młodzieżą, piorunował na Wiedeń i prawil duby smalone, których często niepodobna było zrozumieć.

— Każdy ma swoje upodobania — rzekł Wilczek. — Być

może, że nie chciał z nikim się poznawać. Z kilku słów nie należy sądzić o człowieku, zwłaszcza młodym. Ja mam nadzieję, że jak się między nas dostanie, nabierze kolorów i cokolwiek się rozrusza. Wkrótce się o tem przekonamy. Kapitanie, czemu się tak na nas tłoczysz?

— Stawam frontem przed panią gubernatorową — odrzekł Skalka. — Cieszcie się dzieci, mama przyjechała!

Ostatnie słowa kapitana zagłuszył huk muzyki, która zagrziała polonezem z Cecylji Piaseczyńskiej; poczem gubernator podał rękę sokolnikowej, Dahlman gubernatorowej, i dalej reszta towarzystwa, jak przystało na wykształconych i dobrze wychowanych ludzi, stosownie do majątku, urodzenia lub urzędu. Rozwinęła się w ogromnego węża, który po wszystkich salach jał zataczać różnobarwe swe skręty, i raz podnosił i wysuwał zgrzybiałą głowę, to znowu młodzieńczemi ruchy brzęczał drugą połową ciała i rozrywał i spajał pierścienie, i raz żądłem kąsał się w ogon, to wnet go odrzucał, prostował się wśród hucznego brzęku muzyki i gwarów i szeptów. Uśmiech przelatywał na twarzach; czasami za nim wrywało się westchnienie, nie płosząc go jednak z ust koralowych. Wszyscy święcili uroczystość terażniejszej chwili, jak gdyby świat dziś się dopiero [był zaczął i jutro miał skończyć. Dziwna tylko rzecz, że jedni nic nie myśleli, drudzy myśleli o niczem; między dwoma temi kategorjami rzeczywiście znaczny leżał przedział.

Poważne akordy lały się jedno za drugimi, coraz donośniej i szerzej niosąc harmonijną płataninę dźwięków.

Zdawało się, że mistrz podsłuchał melodję w jakimś dawnym kasztelu i olbrzymie jej natchnienie podał skarłowaciałemu pokoleniu.

Z obecnych nikt nie przeczuł prawdziwej tej wartości, nikt duchem po czarownych dźwiękach nie popłynął w kraj wspomnień ojczystych.

Myśl jednak twórcza nie mogła zostać bezpłodną.

Naprzeciw sali balowej, na drugiej stronie ulicy, do komnaty Sokolnika, wdarły się wdzięki muzyki. Tam przeciw oknom zwieszony portret pradziada hetmana, z buławą w dzielnej prawicy i z podgoloną czupryną, w pasie, przy szabli tureckiej,

groźnie przed siebie spoglądał. Choć było ciemno w komnacie, to jednak gdyby przychodził wszedł był i spojrzął na portret magnetycznymi oczyma, wnet byłby dostrzegł wyraźnie, jako za każdym akordem na starej twarzy hetmana rys się po rysie ożywiał. Wstrząsł się nareszcie konterfekt: z martwego płótna się wydarł. Blade kolory zostały i rzemieślnictwo sztukmistrza, kwiat zaś bożego natchnienia wyblęsnął w pyłe tęczowym, zstąpił na ziemię i wkrótce wrócił do życia walecznik, wkroczył do sali balowej. Niepostrzegalny dla oczu, po ziemsku tylko patrzących, stanął w pośrodku i długo po zgromadzeniu karlików błędnymi wodził oczyma, w które melodia ojczysta żar coraz nowy wlewała. Bolesny uśmiech na twarzy, żal, zgroza, gniew i tęsknota, kolejno drgały mu w rysach; więc czoło zmarszczył wyniosłe, podniósł buławę do góry, jak gdyby zwrócić na siebie żądał powszechną uwagę, i owian słodką uludą, że ród go wnuczy usłyszy, w te doń przemówił wyrazy:

— Zaprawdę, ja wam powiadam, bezbożne wasze zabawy, przodkom w ich sławnych grobowcach szarpia co chwila spoczynek. Im by tak błogo się śniło przy głosie hymnów pokuty i waszych psalmów nadziei. Nie dla was nasze zabawy, a choć się niemi chępcie, nie dla was nasze nazwiska, z blaskiem krwią naszą zdobytym, a które teraz rdza gryzie, obojętności i pychy, a nawet czegoś gorszego, czego się sromam wymówić. Gdyście się czynów zaparli, my już nie dla was ojcami. Co było wielkiem, szlachetnem, to z nami skryło się w grobach; dla was starczyło zatrzymać męty naszego żywota. Grosz ojców roztrwoniliście, zmiatając czołem bezwstydnem kurz z cudzoziemskich przedsiionków; teraz szelągami ostatnim gościnnoscą płacić musicie. W naszych grobowcach jest więcej życia, niż u was na ziemi. Nie dla was dzisiaj ten taniec, zbytek wam ten nie do twarzy, chociaż zań hojnie płacicie, bo łzami ludu biednego. Gdybyście mogli przewidzieć jak łzy te zrazu bezbarwne, z czasem się w szkarłat zmieniają! —

Tu hetman zakrył wzrok dłonią, opuścił rękę z buławą, chciał kończyć, gdy wtem muzyka ostatnim jękła akordem. Wódz po promyku harmonji do ram swych znowu powrócił, z gniewem przymarłym do twarzy.

.....

— Jako? więc pan nigdy nie tańczysz? — zapytała Kazimiersza Marja, piękna jedynaczka sokolnika, którą po różnych kolejach poloneza młodzieniec odprowadzał na miejsce. — Jeżeli to jest zwyczaj zagraniczny, przez miłość boską, u nas go panowie nie zaprowadzajcie. Cóż my biedne wtedy z sobą pocznjemy? —

— Nie sędzę — rzekł Poraj — abyś pani kiedykolwiek miała prawo uskarżenia się na brak tancerzy. Co do mnie, wyznam, że nigdy nie miałem upodobania w tej rozrywce, może dla tego, że uważałem taniec za skutek wewnętrznej wesołości, jakiej w tak wysokiem stopniu nie pamiętam, abym kiedy w sobie poczuł.

— Nie myślałam, aby równie powierzchowne rzeczy zasługiwały na głębokie zastanowienie. Potępiasz pan bale, zaprzeczasz działania muzyce; ludzie, jego zdaniem, 'powinni tylko tańcować w chwili odebrania jakiej szczęśliwej nowiny, lub niewytłumaczonego usposobienia przypadkowego. Wiek przeto nie stanowiłby żadnej różnicy; starość nie byłaby poważną, młodość musiałaby pozbyć się najpiękniejszej swej cechy — wesołości. Ach, jakże świat zjednostajniałby, znudniał! Nie pojmuję, co ludzie mieliby do czynienia? — Chodziłby posępni jeden za drugim, czasami tylko tu i owdzie jaki szczęśliwy kręciłby się w kółko, lub wyskakiwał do góry.

— Poznanie fałszu jest pierwszym krokiem na drodze prawdy; przekonałaś mnie pani. Nie znajdowałem nigdy upodobania w tańcu, i dla usprawiedliwienia się przed samym sobą, wynalazłem i dopasowałem błędny jakiś system, tem gorszy, że z samolubnych wrażeń zastosowany do ogółu.

— Dobrze więc; jeżeli jednak w istocie słowa prawdy trafiły do pana, najlepszym tego dowodem będzie poprawa. W uczonych Niemczech lub w ponurej Anglii w modzie może zasady przeciwne zabawie; u nas, uprzedzam pana, że nikt ich nie przyjmie. Wreszcie, kto daje rady, powinien poprzeć je własnym przykładem; z tej strony nie potrafisz mi pan nic zarzucić.

Marja z uśmiechem spojrzała na Kazimierza i podała rękę Wilczkowi, który w tej chwili stawał przed nią i jak człowiek nieprzyzwyczajony do odmowy, w milczeniu wziął ją do tańca.

— Byle życie przeskakać — mówił Kazimierz, patrząc za odchodzącą — wam nigdy nie zabraknie na dowodach. Marzyciele z powierzchowności waszej domniemywają się uczuć, serca, poświęcenia, tysiąca ideałów, bez których upadłby na wyobraźni cały ród poetów. Jak gdyby lżą, marny plód nerwów, anielski uśmiech dla tego, że z nim do twarzy, szlachetny czyn dla tego, aby w misternych fałdach spłynął po waszej postaci, były niezawodnym wypływem uczucia; serca, poświęcenia! — I wam także roją się różne, piękne rzeczy, wyczytane w romansach, lub wysłuchane na deskach teatru, a później gdy krew zadrga wam na skroniach, myślicie że serce w was uderzyło. Czarowe kształty waszego umysłu — to gmachy z oparu, co przed wędrowcem majaczeją na pustyni.

— Na mój honor! — rzekł półgłosem kapitan, zbliżając się do Kazimierza — w naszym kraju dziewczęta rosną jak na drożdżach. Niedawno pamiętam Marynię, chudą, szczupłą; teraz przypatrz się pan, co to za ramiona! — jak rokosznie usta w walcu otwiera i białe zębki pokazuje.

— Bardzo piękny ma kolor włosów — odparł Kazimierz znieczierpliwiony, że kapitan myślom jego w poprzek zajeżdżał.

— Czarny jak smoła — dodał Skalka, trzęsąc głową — lubisz, widzę, brunetki.

— Niekoniecznie; bywają i blondynki piękne.

— Zapewne że bywają, ale rzadziej; podzielam to upodobanie, zwłaszcza dla ich czarnych oczu. Na honor, nie masz jak czarne oczy, nie wielkie, ale ogniste.

— Kapitan, jak uważam, jesteś biegłym znawcą.

— Spodziewam się; jeszcześ paniczku chodził na paskách, kiedy ja kochałem się już w każdym niemal mieście Europy — i jak się kochałem! — Bywało, podkreję wása, napuszczę pałas na trzy łokcie od boku, nacisnę kaszkiet na bakier i ruszam prosto przed siebie.

— I to wystarczało na owe czasy?

— Niezupełnie. Trzeba było przedewszystkiem śmiałości, na jakiej właśnie zbywa dzisiejszej młodzieży. Kto nie umie śmiało brać się do kobiet, ten czas tylko marnuje.

— Ależ kapitanie —

— Nie masz żadnego ale. Możesz zaufać memu słowu; mam

w tych sprawach trochę doświadczenia. Księżycowi wzdychacze najgorzej zawsze wychodzili: najęczyli się, napłakali, nadreńczyli; później pierwszy lepszy such ich odeadzał, a panna odprawiała z kwitkiem.

— Dla czego więc nie ożeniłeś się kapitanie?

— Dziwna zagadka! Dla tego właśnie, że znam kobiety, że wiem co o nich sądzić; przytem służąc w wojsku, przyzwyczaiłem się do ciągłej zmiany kwater; dziś zapóźno już myśleć o stałym siedlisku.

— Zapóźno — zawcześnie — są to zdania względne; nie godzi się używać ich ogólnie. W tem oto towarzystwie znalazłbyś kapitanie młodzików, którym by można powiedzieć: zapóźno! — gdy nawzajem, lubownikom różnaitości, ludziom dojrzałym, ale nie zawisłego sposobu myślenia, słusznie dałoby się rzec: zawcześnie,

Skałka spojrział ukradkiem na Kazimierza, nie pewny prawdziwego znaczenia jego słów. Młodzieniec miał twarz zimną, nieruchomą, upuszczał słowa jedno za drugim, nie bacząc gdzie się toczyły. Kapitan widocznie nie zadowolony, rad byłby wytłumaczyć sobie ostatnie wyrazy na swoją korzyść. Szukał po głowie stosownej odpowiedzi, ale napróżno. Czuł jednakże, że nie należało milczeć, z przyjemnością więc ujrzał nadchodzącego Juljusza, który podawał mu sposobność zwrócenia rzeczy na inne szlaki.

— Powiedz mi — rzekł do niego, co stało się Władysiowi? Nie poznają go; jakiś nie swój — kwaśny.

— W twoich chyba niełaskawych oczach, kapitanie — odparł Juliusz. — Ja bynajmniej tego nie znajduję; przeciwnie, patrz, jak dzielnie wywija z panną Karoliną Dahlman. Niemka jak żyje nie znajdowała się w podobnych obrotach. Poznałeś pan już córkę naszego Rotszylda? — dodał Juliusz, obracając się do Poraja.

— Ojciec jej uczynił mi zaszczyt tej znajomości — rzekł Kazimierz. — Panna Dahlman z swojemi długimi pierścieniami jasnych włosów, z mglistem spojrzeniem przypomina mi nadreńskie ballady o czułych kasztelankach i walecznych rycerzach.

— Z daleka chyba — odrzekł Juliusz — wątpię bowiem,

aby w tyłach jej zabłąkała się jakaś kropla krwi kasztełańskiej.

— Dajcie pokój, Juljuszu! — przerwał Skalka — tobie mniej niż komukolwiek przystoi przygryzać pannie Karolinie. Wszakże przeszłego roku jak cień ją ścigałeś.

— Kapitanie, ty raczej przypominasz nadreńskiego rycerza, krusząc zawsze kopje w obronie płci pięknej. Odwrotnie rzeczy pamiętasz; mniejsza o to, chociażby i tak było. Panna Karolina warta przecież zachodu.

— Zapewne że warta; jedyna córka i dziedziczka Dahlmana — powiedz to ślepemu, a ręczę, że natychmiast w niej się zakocha. Ależ ja, a nawet i ty, mało znamy panien, które mogły by porównać się z panną Karoliną. Co za słodycz w obejściu, jaki srebrny dźwięk głosu!

— Mówisz o pannie Karolinie, czy o talarach jej ojca? Mniemam, że o drugich, gdyż pierwszej wcale nie znasz.

— Niepodobna wspomnieć o jednej, nie myśląc o drugich.

— W sam czas przychodzisz, Władziu — rzekł Juljusz do Wilczka, który ucierał czoło i dyszał głęboko — uspokoisz kapitana; nie wiem zkąd wraca, ale historje wygaduje.

— Alboż to nie znacie naszego wojownika? — odparł Wilczek, śmiejąc się. — On zawsze taki przed wieczerzą. Niechno się trochę posili, zobaczycie jak wnet wypogodzi czoło.

Skalka objął w pas Wilczka i grubo się roześmiał.

— Prawisz jak z książki — zawołał. — Wieczerza bezwąt-
pienia jest podstawą każdego balu: z początku jeszcze zaba-
wnie patrzeć, jak się kręcicie; ale po godzinie oczy mimowolnie
się kleją.

— Kapitanie! — rzekł Wilczek — zastanów się: ty, który
zwykłeś kłaść się o wschodzie słońca, teraz jak dziecko napię-
rasz się do łóżeczka.

— Czyliż nie wiesz — dodał Juljusz — że kapitan żyje sa-
memi niewinnymi upodobaniami? Nie uważałeś, że nade-
wszystko lubi bawić się w szkła i w obrazki?

— Julku! — przerwał Skalka, tym razem zupełnie rozwese-
lony — myślałby kto, że ty od kieliszka i od zielonego stolika
uciekasz jak djabeł od święconej wody.

— Róża i fioletek — rzekł jakiś chudy, wyblądły młokos, przyprowadzając dwie damy przed Wilczka.

— Fioletek — odpowiedział Wilczek i znikł w wirze tancerzy z krepą, tłustą dziewczyną, która prędzej zasługiwała na symbol słonecznika.

— Dziś i jutro! — odezwał się drugi, stawając przed Juljuszem.

— Dziś bez wątpienia — odrzekł Juljusz i pociągnął za sobą dziewczynkę, której młodociane lata i nieśmiała postawa wskazywały, że po raz pierwszy znajdowała się na balu.

— Jutro, jak uważam, stosuje się do wieczery — mówił kapitan, uchodząc w stronę bufetu. Kazimierz przeszedł w głąb sali i wsparłszy się o jedną z kolumn, dźwigających ganek z muzyką, w milczeniu poglądał na pary, które przesuwały się mu przed oczyma.

Jakkolwiek zdaje się to niewytłomaczonem na pozór, zaręczam atoli, że spotykaliście w życiu ludzi, których wszystkimi uczynkami powoduje szczególny duch sprzeciwieństwa. Poślijcie im zaprosiny na pogrzeb, ludzie ci mimowolnie będą marzyć o wesołych rzeczach, chociażby dla tego tylko, że reszta towarzystwa wystroїła się w krepę na odzieży i w smutek na obliczu. Przyzwijcie ich na bal, pomimo gwaru i muzyki i pięknych kobiet, odosobią się od zgiełku, niby ananatomy zaczną w myśli krajać jednego po drugim. Pod śnieżnem łonem dopatrzą kościotrupowych żeber, na łabędzich szyjach wyobrażą sobie kołyszące czaszki umarłych, i Bóg wie, zkad, po co, dla czego, przyniosą z sobą wyraz, jakiego zapomnieli przybrać na pogrzebie. Zdaje się, że ludzie ci urodzili się o jeden dzień później, niż im naznaczono, że na scenę komedji życia przybyli o jedno wejście zapóźno i wyuczona rolę powtarzają na opak całemu biegowi sztuki.

Ztąd pomiędzy nimi a ogółem rozdzwięk ten, którego przychyne sam tylko sufler, przypadek, potrafiłby wyjaśnić.

Kazimierz należał do rzędu podobnych istot. Sam często szukał powodu, dla którego nie mógł myśli własnej nastroić na ton obecnej chwili. Być może, że młodzieniec przed zaczęciem życia na swoją rękę wymarzył sobie świat odrębny, zapelniony

ludźmi i stosunkami stworzonymi na obraz i podobieństwo własnej wyobraźni.

Wtargnąwszy w rzeczywistość, spotykał za każdym krokiem rzeczy całę przeciwnę i długo nie mógł się pomiarkować, czy przedtem fałszywie marzył, czyli też później błędnie postrzegał.

Tak często dzieje się z ludźmi, u których teoria nie idzie razem, ale o nieskończoność prawie wyprzedza zastosowanie.

Długo zagłębiany w historii, przyzwyczał się za każdym rzutem oka ogarniać całą ludzkość. Podziwiał niepojęte koleje, jakimi przeznaczenie wiodło ją do wykonania swoich celów. Zdało się mu, że kroczenie tą drogą, że uczestnictwo w spełnianiu świętych jej wyroków, było jedynem szczęściem człowieka na ziemi. Skoro atoli wszedł w życie i zaczął w osobnikach tę ludzkość poznawać, nie pojmował, jak suma podobnych jednostek mogła być wcieleniem potężnej i niezmiernie mądrej myśli, która z taką logicznością, szeroko i spokojnie rozlewała się w bystrym potoku dziejów.

Kazimierz, odmiennie od bajronicznych bohaterów, zafałdowanych w napuszoną pogardę ludzi i bytu, z pełną piersią uczuć i natchnień, niczem nie znudzony, przystępny dla wszystkich wrażeń, skwapliwie szukał życia. Kierował na różne strony działalność swego ducha, ale w cokolwiek uderzał, wszędy odpowiadał mu dźwięk nieczysty, lub przynajmniej nie taki, jakiego się spodziewał. Aż wreszcie sam już nie wiedział, co począć: czyli z dotychczasową wytrwałością prowadzić dalej poszukiwania, lub też bezwładnie oddać się falom losu i czekać póki go na jaką wyspę szczęśliwości nie wyrzucą. W istocie, cel, o jakim roił, może był tuż obok niego; młodzieniec atoli nigdy nie byłby poprzestał na cudzej radzie. Pragnął wyzwolić własnem doświadczeniem. Stanowisko zaś jego osobiste, jako jednostki w tej ludzkości, o której marzył, na pierwszy pogląd przedstawiało nieprzebyte zawady, zwłaszcza jeżeli zakładał sobie rychły kres usiłowań.

Zachwiany w nadziejach, obrał drugą kolej i oddał się życiu obiektywnemu, czekając natchnienia lub wypadku, który miał wyprowadzić go na pole samodzielnego czynu. Pojechał do Francji. Z początku oczarowała go żywotność wielkiego miasta,

buchająca na wasze strony. Zachwycił się, widząc jak na ulicy niemal rozrzygano kwestje najważniejsze dla społeczeństwa, ale ponieważ nie chciał sobie zadawać pracy oczyszczania ziarna z plewy, łowił te tylko wrażenia, które najjaskrawiej stawały mu przed oczyma. Wkrótce odurzył go wrzask niesforny dziennikarzy, wykrzykiwania naczelników stronnictw, którzy pod proporcem ogólnej prawdy dobijali się o własną korzyść. Skaleczała mu dusza widokiem tysięcy społecznych ran. Rzucił Francję i przepłynął na drugą stronę kanału.

Nieszczęściem było Kazimierza, że najprzód stwarzał system wyciągnięty z oderwanych zdań i następnie nie zadając sobie mozółu wnikania w głębię rzeczy, odrzucał wszystko, co nie zgadzało się z jego teorią.

W możnowładztwie widział bezbożną zasadę; nie znalazł jeszcze panów polskich, którzy samego diabła na system możnowładczy potrafiliby przenicować. Spoglądał więc na Anglię przez pryzmat swego uprzedzenia, dręczył się widokiem ludu od najmłodszych lat zaprzęzonego do fabryk; dławił go dym parowych kominów; w głowę zachodził, patrząc na cały kraj zmieniony w jedną rękodzielnię. On, który marzył o zbrataniu miłością rodu człowieczego, spotykał tłum za tłumem, a każdy obojętny na bliźniego, zapamiętałe oddany kuciu sobie złotego bożyszczka.

Zaprzagnął odetchnąć świeżem, słonecznym powietrzem, i wylądował na tej ziemi, gdzie pomarańcza kwitnie i cytryna dojrzewa.

W poprzednich podróżach najprzód zastanawiał się nad ludźmi; tu przede wszystkim wzniosł oczy w niebo, poczem przeszłość i sztuka czekały nań z całą skarbnicą nieocenionych pamiątek i wrażeń. I wpatrywał się w bezchmurny błękit, obrąbiony barwą opalu; słuchał jak przy dźwiękach rokosznej muzyki, Włoch z przepelnionej melodją piersi śpiewał mu pieśń, która zdawała się rozplýwać i ginąć w nieskończoności. Wywołał zmarłych bohaterów, aby mu opowiadali epos dawnej ich chwały. I stanęli grzed nim: Kurcjusz, dwaj Brutusy, obaj Grachowie, Kato i średniowieczny Rienzi, wszyscy dziejowi jego umiłowani, i upiornymi usty z goryczą mówili mu o spełzonych nadziejach. Więc z żalem rzucił się w teraźniejszość

i z uśmiechem spoglądał na lazarona, który owinięty po posągowemu w połatany płaszcz, marł nieraz z głodu, ale pracować nie chciał; starczyło mu swobodnie wygrzewać się na słońcu. Tu jeszcze jest lud, mówił sam do siebie, tu nie przedarł się sturęczny przemysł, człowiek nie oszalał chęcią zysku, tu przecież co innego kochają niż pieniądz. W takich marzeniach powracał do domu, gdy pewnego wieczora zastał wylamane drzwi i wszystkie swoje ruchomości do szczętu skradzione. Nazajutrz Kazimierz opuścił Neapol, zniechęcony powabami natury i upodleniem ludzi; przyrównywał go do pięknej dziewicy piastującej na łonie ohydneho trupa. Z Rzymu wyгнаła go pogańska sromota duchowieństwa. W jednej tylko Lombardji i w Wenecji przebywał dwa lata: tam nagarnął pamiątek i wrażeń, które później na całe jego życie stanowczy wpływ miały wyrzeć.

W takowem usposobieniu wypadalo koniecznem następstwem, że Kazimierz zmęczony uczuciowo-materjalną, że tak powiem, stroną życia, rzucił się na całkiem przeciwne ścieżki i z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której będzie mógł ziemię z oszu utracić.

Przybywszy do północnych Niemiec, nie długo wyglądał na spełnienie swych życzeń. Od razu rostoczyły się przed nim wypadki najzawilszych ludzkich zagadek. Rozprawiano o królestwie bożem na ziemi jak gdyby o mającem jutro nastąpić. Wynaleziono kilka religji, z których każda miała zaspokoić i wyszlachetnić wszystkie sumienia; prawa, na mocy których społeczeństwo rozrywało ostatnie tamy osobistej wolności; postawiono za dogmat, że człowiek tem tylko będzie, czem jest; zniesiono pauperyzm, wymieciono prerogatywy oraz przywileje, i własne przeświadczenie ogłoszono za jedyną skazówkę człowieczych czynów. Rozumowania te poparto taką masą oczywistych i niezbitych dowodów, iż zdawało się, że do urzeczywistnienia ich jeden krok wystarczy.

Często jutrzeńka zastawała Kazimierza zagłębionego nad tyłoma świetnemi płody ludzkiego umysłu. Z niepomiarkowanym zapalem pragnął dalej postępować na tak bujnie poroślem polu wiedzy, gdy wtem pewnego dnia jeden z niemieckich jego przyjaciół filozofów oskarżył go tajemnie przed policją.

o przewrotność politycznych pojęć i o przeroczenie paszportu. Nazajutrz kazano mu wyjechać. Kazimierz osłupiał: po chwili jednak z oburzeniem w sercu, na pozór atoli obojętnie nucąc jakąś kanzonetę, która mu z pobytu we Włoszech utkwiła w pamięci, popalił swoje wyciągi, powyrzucił książki, i przybrawszy na twarz wyraz pogardy, na widok którego sinny postrzegacz nie byłby mógł wstrzymać się od śmiechu, ruszył dalej błędzić po świecie.

Oczywiście wyobraźnia płatała mu nieprzyjemne psoty. Był to zgubny w nim żywioł, którego — znowu przyzwawszy na pomoc ostateczne środki, Kazimierz postanowił na zawsze się pozbyć. Synteza nie prowadziła go do niczego; wziął się do bliższego rozbioru. Dotąd badał społeczeństwo jako jedną moralną osobę; teraz chciał to samo rozumowanie zastosować do człowieka w szczególności; główną zaś kwestję jeżeli nie zupełnie odrzucić, to przynajmniej w bezwładny oczekiwać na jej mimowolne rozwiązanie w wypadku z podsumowanych jednostek.

Jeżeli pierwszy kierunek był błędnym, drugi natomiast stawał się niebezpiecznym. Kazimierz nie przypuszczając tęczowego cieniowania, ale wyszukując barw jaskrawo odbijających, poczynił sobie na wzór tego górnika, który odtrącał bryły złota dla tego, że przypuszczają w siebie mieszczaninę nieszlachetnego kruszcza. Zdało się mu, że tam, gdzie pozory były po temu, za każdą sposobnością, jak za uderzeniem laski Mojżesza, powinno było wytrysnąć źródło najczystszych uczuć, najszlachetniejszych poświęceń. Łatwo odgadnąć, ile odtudzeń czekało go na podobnej drodze.

Po niejakiem czasie został pesymistą. Wtedy od razu już w nic nie wierzył, we wszystkim upatrywał naprzód odjemną stronę, i cieszył się nawet, gdy pierwszy potrafił odkryć folgę tam, gdzie ogół klejnot spostrzegał.

Dotychczas Kazimierz stawał się niejako za obrębem świata; sam nigdy nie był działaczem: pracował umysłem, nie doświadczając przez siebie uczucia. Sądził pomimo to, że dokładnie zgłębił tę stronę duszy; wierzył że jest miłość na ziemi, ale nigdy tak święta i silna, aby zdołała się oprzeć ciężkim uderzeniom wymagalności, stosunków, przesądów i względów świat-

wych. Żałował więc pokryjomu, że nie istniała kobieta zupełnie godna wszystkich skarbów jego serca, i choć nie wyłącznie przekonaniem o swej wartości powodowany, obyczajem jednak większej części marzycieli, uważał się za wyjątek na ziemi, skazany na spopielenie własnym ogniem w braku zewnątrz podsycających go żywiołów.

Przy podobnych wyobrażeniach, Kazimierz, szczęściem dla siebie, silnie czuł w sumieniu głos prawdy i zbyt cenił kwiat swoich uczuć, aby go miał wystawiać na obojętny widok ogółu. Nie owijał się więc w żadne blade cierpienia, nie modelował w tajemniczy posąg przed światem. Upewniony, że powierzchowność była głównym działaczem w powszednim życiu, co miał w sobie powierzchownego, rzetelnie oddał społeczeństwu, głębi myśli wyłącznie zachowując dla siebie.

Tymczasem Piotr, w którego enocie, jednobarwnej wprawdzie, bez subtelnych odcieni i rażących pobłysków, ale rzeczywistej, niezachwianej, młodszy brat pokładał nieograniczone zaufanie, naglił go do powrotu. Podróżnik nasz wyglądał tej chwili z upragnieniem.

Majątek znakomicie pomnożony pracowitością i zabiegami brata, podawał mu w ręce środki zajęcia się polepszeniem bytu tej klasy, którą, nie pojmował dla czego, Bóg stworzył na wieczną nędzę, na krwawe znoje i zaofiarowanie całego życia dla zaspokojenia próżności i zbytku cząstki niezasłużonych. Urodzenie się posiadaczem Kazimierz uważał za grzech pierworodny, którego należało zagładzić poświęceniem całego bytu. Nie przebaczał uprzywilejowanej kacie, że nie postępowała w duchu tejże zasady. Przedewszystkiem tej myśli w człowieku szukał, i jak zwykle się zdarzało, nie znalazłszy jej, o resztę nie dbał, nie pytał i od razu całość potępiał. Ubolewał, widząc że koniecznym wypadkiem jego systematu było podzielenie ludzkości na dwie części: pierwszą a większą, pogrążoną w wiecznej niedoli i płaczu, drugą a mniejszą, której życie radość i śmiech ciągle zapelnily.

W samotności najczęściej zapuścił się w ogólne marzenia; w towarzystwie jednak — mimowolnie — dziwnie rozbiorowe myśli tłoczyły się mu do głowy. Przechodził kolejno od jednego do drugiego z obecnych i sam sobie w duchu zadawał pytania:

po co każdy z nich żył na świecie? dla czego każdy inaczej, a żaden prawdziwie nie pojmował życia?

Takowe marzenia snuły się mu właśnie po myśli, gdy z założonymi rękami, wsparty o poręcz niezajętego krzesła, przyglądał się wrzawie balowej. W tej chwili zaszeleściła przed nim biała suknia. Kazimierz po giętkiej kibici poznał Marję; podał jej krzesło. Młoda dziewczyna zmęczona tańcem, podziękowała skinieniem głowy.

— Widzę — rzekła, ochłonawszy z pierwszego unużenia — że pan zapomniałeś już o moich radach.

— Bynajmniej — odrzekł — ale poprawa moja stosowała się do przyszłości. Wyznam, że nie odważyłbym się pierwszych kroków w tym nowym dla mnie zawodzie próbować przed tak licznym dla mnie zgromadzeniem.

— Mogłabym na to odpowiedzieć ogólnikiem, że przyszłość do nas nie należy; że każdy dobry zamiar o tyle jest dobrym, o ile natychmiast za sobą pociąga skutek. Wreszcie, raz wyszedłszy z tej odurzającej atmosfery balowej, wątpię abym kiedykolwiek przypomniiała panu jego zobowiązania; sama nie przepadam za tańcem, ale wyraźnie z tem oświadczyć się nie mogę, gdyż c panom uchodzi, tego nam nigdy by nie przebaczone.

— I towarzystwo miałoby wielką słusność. Nie sądziłem jednak, patrząc na bal, ażeby ofiara ta miała panią tyle kosztować.

— Uważam — mówiła dalej Marja, bawiąc się wachlarzem — że mniej od pana pozwalałam uwodzić się pozorem. Pomimo zaręczenia, od razu nie wierzyłam w poprawę, gdy przeciwnie pan bierzesz uśmiech za konieczny dowód wesołości. Czyliż nie ma na świecie obowiązków, od których niejeden pragnąłby się uwolnić, ale będąc zmuszonym poddać się —

— Lepiej — przerwał Kazimierz — że ulegnie jak gladjator z uśmiechem na twarzy.

— Może nie byłabym wpadła na równie trafne porównanie, chociaż to samo chciałam wyrazić. Masz pan słusność, i dziś lubo już nie ma starożytnych szermierzów, towarzystwo pomimo to jest cyrkiem; los zaś gladjatorów, możemy bez miłości własnej powiedzieć, nie mężczyzn zwykle dosięga.

— W takim razie trudniejszym jest do zniesienia; dawniej bowiem widze oklaskami zachęcali umierającego.

— Dziś zaś umieją tylko gwizdać.

— Niekoniecznie — czyliż ten szmer pochlebstw, hołdów, ubiegań, pod pewnym względem nie można przyrównywać do oklasków.

Marja pochyliła swą piękną głowę, rzuciła błędny wzrok w przestrzeń i rzekła:

— Oklask wtedy tylko ma jakąś wartość, gdy go wywołuje mimowolne uniesienie rąk; tego zaś, o ile sędzę, niepodobna dostrzedz w zimnych, wiecznie tych samych powtarzanych grzecznościach.

Słowa Marji pograżyły Kazimierza w zadumkę; chciał coś odpowiedzieć, ale znowu stał oparty o próśne krzesło. Powabna doradczyni znikła mu z przed oczu, z dała tylko ujrzał rozpuszczone pierścienie jej włosów, podmuchem wiru tanecznego owiewające jej szyję.

— Mądry będzie, kto tu zdoła wybadać prawdę — mówił sam do siebie Poraj. — Wprawdzie głębokie tylko wody czarują urokiem, ale na dnie nie zawsze kryją perły — częściej żwir. Dziewczyna widocznie rozstępiona; za czem? sama o tem nie wie. Miałołby prawdziwe pojęcie życia pomieścić się w tej kształtnej niewieściej głowie, stworzonej do kwiatów i uśmiechów, lub raczej zapatrzenie to byłoby skutkiem przecucia podobnego do tych, na jakie płaczą sennie nowonarodzone dzieci, gdy śnią jasnovidnie o przyszłości. — Mylisz się! Chwilowe przeciwieństwo — któraż z jej rówieńnic ma piękniejszy strój, liczniejszy rój wielbicieli. Myśl ta dręczy ją i dziewczyna chociaż się do niej nie przyznaje, narzeka jednak i wszystko powlóczy czarnemi barwy — szepnął Kazimierzowi do ucha zły jego duch, tak, że młodzieniec z niechęcią uśmiechnął się i wzdrygnął, jak gdyby chciał otrząsnąć niedźwiczną myśl, mieszącą mu marzenia.

Tymczasem w przyległym pokoju odgrywała się scena, której wielu z wtajemniczonych w stosunki lwowskiego towarzystwa nie umiało sobie wytłumaczyć.

JW. Sokolnik dworu Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości, ścisłszy zwykle taką tylko rękę, która na wskazującym palcu

miała prawo noszenia sygnetu, tym razem odstępował od święcie przestrzeganych zasad: porzucił wygwiazdowanych jegomościów, nie odpowiedział na zapytanie jakiegoś etyulowanego dźwigacza na szyi ogromnego mackańskiego krzyża, i ująwszy pod rękę Dahlmana, w obec całego zgromadzenia raczej przechadzać się z nim i z uśmiechem na twarzy poufałą toczyć rozmowę.

Z pozorów zdawało się, że bankier zimno przyjmował oznaki tej nadzwyczajnej grzeczności; w istocie jednak poił się wewnętrznym zadowoleniem, i czasami w odpowiedziach, zwłaszcza zaprzecznych, głośno się odzywał, ażeby dać poznać obecnym, że wielkiemu panu wcale baki nie świecił.

Sokolnik hynajmniej się tem nie zrażał; przeciwnie, słuchał go z uwagą i potakiwał głową, jak gdyby ulegał dowodności jego rozumowań.

— Jego Książęcia Mość — ciągnął dalej magnat — wspominał mi o podniesieniu przemysłu w naszym kraju; wyraźnie napomknął, że rząd ma zamiar zaciągnięcia pożyczki, z czego wnoszę, że pieniądze te niezawodnie zostaną użyte na zaprowadzenie niektórych fabryk, mianowicie sąs magazynów zbożowych nad Dniestrem. Posiadające ziemscy znaczne stąd wyciągną korzyści: złożąwszy bowiem produkt, będą mogli natychmiast otrzymać zapomogę i unikną rąk żydów, którzy dotąd ustanawiają ceny według upodobania, zwłaszcza dla mniej możnych obywateli.

— Pożyczka z łatwością da się uskutecznić — odrzekł bankier. — Papiery austriackie wysoko stoją i mniemam, że gdyby komu czynnemu powierzono tę sprawę, książę kanclerz nie długo by czekał na jej załatwienie. Nie potrzebujemy wchodzić w cel, na jaki pieniądze są przeznaczone; jestem przekonany, że światły rozum księcia nie zdoła obrócić ich inaczej tylko ku ogólnemu pożytkowi kraju. Interes zdaje się łatwym do przeprowadzenia; być może dla tego, że jasno widzę przed sobą środki, za pomocą których dałby się uskutecznić.

— Nie wątpię — rzekł Sokolnik — i dla tego też pozwoliłem sobie zwrócić uwagę księcia na biegłość pańską, na stosunki i niezachwiany w kraju kredyt.

— I cóż książę odpowiedział?

— Zamyślił się, jak zwykle czyni, gdy waży w głowie wielkie zamiary; mniemam jednak, że słowa moje utkwily mu w pamieci. Od pewnego czasu wszyscy bliżej z nim spoufaleni spostrzegamy, że z szczególnem upodobaniem oddaje się finansom i popiera ludzi stojących na ich czele. Na kilka dni przed wyjazdem moim z Wiednia powszechnie mówiono, że Stametz ma otrzymać tytuł. Wieść ta sprawiła korzystne wrażenie na prawdziwie ucywilizowanej szlachcie. Zasługa dla kraju powinna być jedynym szczeblem do szlachectwa; ponieważ zaś wojna wiecznie trwać nie może, nie należy przeto podczas pokoju zagradzać drogi tym, którzy najwięcej przyczyniają się do rzeczywistej pomyślności państwa.

Ostatnie słowa Sokolnik wymówił ze spuszczonemi oczyma, z obawy, aby przenikliwy wzrok bankiera nie odkrył kłamstwa, jakie zadawał zasadom, z krwią niemal razem krążącym mu w żyłach. Dahlman atoli myślał o czem innem; zawróciło mu głowę otytułowanie Stametza; mimowolnie powiódł ręką po czole, jak gdyby chciał przekonać się, czy zmieści się na niem barońska korona.

— Pogłoska ta wszelako nie miała w sobie nic pewnego? —

— Wprawdzie o zupełnej pewności — rzekł Sokolnik — dopiero pergamin nas przekona; mogę jednak zaręczyć, że w pierwszych towarzystwach głośno o tem mówiono. Za moim powrotem do Wiednia sam księcia kanclerza zapytam; sądzę bowiem że zechce wznowić kwestję pożyczki i wybadać mię o bliższe szczegóły względem terażniejszego stanu naszego kraju. Lękam się tylko, aby mnie kto nie uprzedził i abym mógł w porę wyjechać. Na nieszczęście własne moje interesa zapewne dłużej mię zatrzymają, aniżeli bym tego pragnął.

Dahlman jął przypatrywać się jakiejś brązowej gracji utrzymującej świecznik przy ścianie. Sokolnik spojrział nań z pod oka i zmarszczył przelotnie czoło, widząc jak bankier nagle przybrał zimną powierzchowność.

— Tegoroczny wylew — mówił dalej dygnitarz — rzucił mię w krytyczne położenie, z którego bez pomocy przyjaciół nie zdołam wybrnąć. Na przyszyły rok mam nadzieję zaciągnięcia rządowej pożyczki; ale do tego potrzeba, aby niektóre sumy

zapisane pod pierwszemi numerami na mojej hipotece, chciały ustąpić miejsca.

Dahlman nie spuszczał oczu ze świecznika; zdawało się, że matematycznie obrachowywał wagę kruszcza.

— Administracja zbyt rozległych majątków — prawil Sokolnik — jest u nas niesłychanie trudną. Nie mamy ludzi, którym by można zaufać; na wszystkie strony kradną nas, odzierają. Właściciel pomimo najszczerzej chęci, sam wszędzie nie może się znajdować, a i wtedy nawet nie zdoła wyśledzić prawdy. Wszyscy podwładni trzymają się za ręce; jeden drugiego popiera, zasłania; jest to liga, przeciw której pojedynczemu człowiekowi nie starczy sił.

— Zapewne — odrzekł bankier zimno — czasy są ciężkie. Ale nie sądz pan hrabia, żeby tylko takimi były dla ziemskich posiadaczy; przemyśl również nie może sobie dać rady. Kapitały upornie wszędzie powięzły; system celny i podatki nałożone na krajowe wyroby, śmiertelny cios zadały naszym rękodzielnikom. Nam także w głowie się kręci, ile razy pomyślim o przyszłości.

— Spodziewam się — rzekł magnat — że stan ten, którego dotkliwy opis zadziwia mię w ustach pana Dahlmana, nie przeszkodzi w skutecznieniu pożyczki, o jakiej wspomniałem. Jego książęca mość byłaby wówczas zmuszoną udać się gdzieindziej. Co do mnie, wyznam że nie radbym, aby korzyści mogące wyniknąć z dokonania tego interesu, spłynęły na kogo innego, niż na człowieka, którego przedsięwzięcia i zabiegłość tyle dobra przyniosły naszemu krajowi.

— Pan hrabia jesteś zbyt łaskaw — odparł bankier, pochylając głowę. — Słowa jego raczej do moich chęci dałyby się zastosować, tem bardziej, że szczerze, otwarcie mogę wyznać przed panem hrabią to, z czem nie wystąpiłbym przed nikim innym. W obecnej chwili, jak często zdarza się u ludzi przemysłowych, czekają mię ciężkie przejścia; nie przewiduję, na którą stronę szala się przechyli. Mam przed sobą znaczne wypłaty; uchybienie takowym obaliłoby mój kredyt. Muszę ściągnąć wszystkie moje fundusze, inaczej nie uniknę grożącego mi nieszczęścia.

— Pragnąłbym wiedzieć, co pan nazywasz nieszczęściem? —

przerwał żartobliwie Sokolnik. — Nie wątpię, że stratę; wszelako panowie, stratą mianujecie także zawiedzioną nadzieję zysków.

— I nader słusznie. Czyliż przepadłych procentów, starań, pracy, zachodów, nie mamy prawa uważać za stratę? Czyliż nieuredzaj, pożar lub salew nie są dla obywatela stratami, chociaż kapitał zalkadowy, ziemia, ma pozostać? W tej chwili jednak lękam się czegoś groźniejszego. Podstawa majątków wyłącznie przemysłowych jest ruchomą; jeden kamień wywalony często pociąga za sobą zniszczenie całego gmachu.

— Tam, gdzie budowniczy nie umie znaleźć tysiąca sposobów na pokonanie drobnych przeciwności.

— Zapewne, że trzeba je znaleźć; głównym atoli i najkrótszym jest pociąganie zewsząd własnych kapitałów.

Sokolnik na te słowa znowu wtrącił nieznacznie wzmiankę o Jego Książęcej Mości, która czarodziejsko snąc działała na Dahlmana i zwracała prąd jego myśli w kierunku pożądanym przez magnata.

Bankier przeszedł się zamyślony kilka razy po pokoju i po chwili stanąwszy przed Sokolnikiem, rzekł:

— W istocie muszę wyznać, że gdyby książę kanclerz chciał mi powierzyć interes, o którym pan hrabia powiadasz, postać rzeczy mogłaby się znacznie odmienić. Nie potrzebowałbym tak nagle moich kapitałów, nawet kto wie, czylibym nie ustąpił pewnej części zaległych procentów. Do tego jednak muszę wcześniej być uwiadomionym, aby nadać stosowny obrót moim przedsięwzięciom. Jeżeli w krótkim czasie potrafię zapewnić się względem pożyczki, możesz pan hrabia być przekonany, że z mojej strony nie omieszkam skłonić się do wszelkich jego życzeń.

Sokolnik uściskał mu rękę.

— Dziś jeszcze rozpiszę listy i wysłę je do Wiednia. Wierzę pan, że przyjaciele moi dołożą jak najgorliwszych starań, aby czempredzej przyprowadzić do skutku interes ten, który mię obchodzi, zwłaszcza dla dobra kraju.

— Kraj go potrzebuje i silnie potrzebuje, panie hrabio! — odparł bankier. — Mówię z własnego doświadczenia. Szlachta nasza znajduje się w oplakanyim stanie. Przed laty, pamiętam,

na lada odzew z łatwością można było uzbierać ćwiartkę złota; dziś dakata przez okulary nie dośledzisz. Pustki do koła; zaledwie gdzieśgdzie przyswieca jaki majątny szlachcic, i to zwykle taki, który sam się dorobił; dziedziczeni przysporzyli — ale tylko długów. Oto jeden z tych, o jakich panu hrabiemu wspomniałem — dodał przemysłnik, wskazując na Piotra, który rozmawiał z kapitanem i śmiał się do rozpuku w odpowiedzi na żarty wojaka.

— Poraj? — odrzekł Sokolnik. — Jakto, czyliż w istocie uważasz go pan za tak bogatego?

— Bezwątpienia; nie znam między tutejszą szlachtą ważniejszego podpisu. Wprawdzie nie przekonałem się naocznie o jego bilansie, ale mam powody, dla których przed jego kasą nisko się kłaniam.

Dygnitarz z roztargnieniem słuchał ostatnich słów Dahlmana, poczem zwoła pociągnął go do sali balowej, zatracił w tłumie i sam wrócił do Piotra, z którym wdał się w poufałą rozmowę.

Bankier zatoczył okiem do koła i ujrzał jak Sokolnikowa z macierzyńską troskliwością, ujawszy za obie ręce córkę jego Karolinę, przypatrywała się jej ubiorowi i słodko nakazywała chwilowy wypoczynek po ciągle powtarzających się trudach tańca. Dahlman poprawił kołnierzyków, udał że nic nie postrzega. Gospodyni jednak schwyciła przelotne jego spojrzenie, podniosła więc głos i podwoiła ku mieszczańskiej dziewczynie grzeczności.

Tymczasem bal dosięgał swego apogeum, czyli wyraźniej mówiąc, zbliżał się ku końcowi. Muzyka z jedną powieką snem przytłoczoną machinalnie rzępoliła i dęła ciągle tego samego mazura; raz wpadłszy na wspólny takt, galopowała dalej bez wewnętrznego przeświadczenia o tem co czyni. Zdawało się, że żadna siła ludzka zatrzymać jej nie zdoła; że gdyby nawet skończyła z wysilenia, wtedy jeszcze smycaki przez jakiś czas poruszałyby się galwanicznymi ruchy. Basetla ochrzypłym stękiem pędziła przed sobą skrzypce i piszczałki, które z balkonu jakby w beczkę Danaid lały w salę kaskadę niesfornych dźwięków. Znikła powszechna urzędowa wesołość, wypromieniona z po-

czątku na wszystkich twarzach. Matki i podeszłe kobiety, jedne zacięgie walczyły z ogarniającym je snem, drugie wlepiały w przestrzeń szeroko otwarte oczy, niby skamieniałe potęgą przyzwoitości światowego ułożenia; ostatnie wreszcie uczepliwszy wzrok do postaci córek, kręciły go razem z niemi po sali, nie mogąc dość napatrzeć się swoim dziewczątkom. Rozmowa między matronami ustalała; czasami tylko tu i owdzie wyrывało się, Bóg wie zkąd i po co, jakieś niewczesne zapytanie, mieszczące w sobie zapewne i odpowiedź; jakaś uwaga, którą sąsiadka udawała że słyszy i uśmiechała się, nie zwracając wcale oczu. Życie uciekło z tej połowy towarzystwa; warem natomiast kipiło w młodszem pokoleniu. Namiętności, powięzione po najskrytszych kryjówkach serca, teraz w dłutowanych kształtach wybiegały na lica.

Jak się wam zdaje, o czem marzy na przykład ta para.

Chłopiec z rozognioną twarzą, z błyszczącemi oczyma, obejmuje polotną kibić dziewczyny; włosy jej w nieładzie sypią się pierścieniami po alabastrach szyi; oczy na pół przymknięte, usta na pół otwarte, i serce tak gwałtownie bije, i łono wznosi się z taką roskoszą, a w głowie jakieś upojenie, jakiś zawrot niepojęty, i zdaje się, że cała istota śpiewa tę niedosłyszaną pieśń, jaką po letnim upale szemrzą kwiaty, gdy otwartemi kielichy piją wieczorną rosę. Słowa nie wystarczą na oddanie tego uczucia; chcesz li odpowiedzi? — połóż rękę na puls. W ogóle dla niewieściego rodu jedyna to może chwila prawdziwego zapomnienia, jedyna chwila, gdzie każda strona duszy targnięta, natychmiast odbrzmiewa właściwym dźwiękiem. Atmosfera ta ma w sobie coś odurzającego nawet dla najzimniejszych umysłów; niezwykle zapal rozpręga nerwy, każda kropla krwi krąży wartkim obiegiem. Człowiek najsilniejszy czuje, o ile jest nierozłącznie wplecionym ogniwem w łańcuch społeczeństwa.

W Kazimierzu rozweselały myśli; młodość uporczywie odryskiwała swoje prawa. Marzyciel zapomniał o systemach, o płaczącej i śmiejącej się ludzkości; widział tylko przed sobą urocze postacie, których spojrzenia powoli rozpędzały chmury nieusprawiedliwionych jego trosk. Otrząsł się więc z niewczesnych rojeń, naciągnął strunę dowcipu i sypał do koła iskrzące słowa

kobietom, które z uśmiechem je podnosiły, przeglądały się w ich blasku i upuszczały, chwytając następne.

Urodziwy młodzieniec, świeżo przybyły z zagranicy, zaleta w owym czasie wysoko w naszym kraju ceniona, zwracał na siebie poważniejszą uwagę. Rzeczywiście, w obejściu i powierzchowności Kazimierza było coś wyraźnie go odróżniającego od reszty młodzieży. Inaczej, sami przyznacie, nie warto byłoby wynosić go na bohatera powieści. Cechy te jednym mogły się podobać, drugim wcale nie przypaść do smaku; każdy atoli musiał mniej więcej je spostrzegać. Jasny widok, że kobiety, dopóki za żadną się nie oświadczył, odkryły w nim najprzód stronę zalet. Zdjęte ciekawością, niektóre zaś zajęciem, rade waczynały z nim rozmowę i darzyły uśmiechami.

Marja między innymi w tych zabiegach rozwinęła znakomitą zręczność. Wychowana w pańskim domu, nie jeden tomowy romans, niejedną powiastkę kołysała już w pamięci. Nudzili ją zawsze jednakowo zamazyści, lub wymuskani zalotnicy; wymarzyła więc sobie bladego, dramatycznego bohatera, którego ona tylko jedna miała odgadnąć, zrozumieć i na wieki do swego wozu przykuć.

Kazimierz, z bliska go obejrawszy, mógł śmiało ująć za podobnego bohatera, tem bardziej, że ponura nieco, tajemnicza obojętność, jaką w nim na pierwszy rzut oka spostrzegła, zdawała się zapowiadać jakąś zagadkę — kto wie, może i straszną zagadkę? Drugi wzgląd niemniej sprawiedliwy powodował Marję.

Wilczek zbyt samowolnie obchodził się z niewieściem towarzystwem. Każdej dziewczynie dawał po kolei do zrozumienia, że wybiera ją za cel swoich zalotów; w ogóle zaś od wszystkich razem wymagał tkliwych spojrzeń, uśmiechów i westchnień, i niechętnie poglądał, gdy kto inny stawał się ich celem.

Łatwo pojąć, że Marja wszelkiemi sposobami postanowiła obudzić w powabnym wietrzniku jak można największe niezadowolnienie.

Zamiar ten powiódł się jej zupełnie.

Wilczek po olimpijsku namarszczył brwi, odpowiadał półsłowami i nie szczędził do koła dowodów kwaśnego usposobienia.

Koryfeusze napróżno pragnęli go rozweselić; nadaremnie. Skalka ciągnął go do bufeta: Wiloszek wychylał jedne kielichy po drugich, ale nie wypogadzał oblicza. Pomimo to, jako człowiek wyżyty w świecie, nikomu nie dał poznać prawdziwej przyczyny swego rozstroju. Przeciwnie, kilkakrotnie przystąpił do Kazimierza, postawił się z nim od razu na stopie przyjacielsko-poufalej i roztoczywszy ponęty wesołego swego umysłu, jak najwdzięczniejszą barwą usiłował pokryć tajemną ku niemu niechęć.

— Na mój honor! — mówił kapitan, podając Kazimierzowi ogromny szklany kielich (o srebrnych pucharach wiemy dziś tylko z podania) pieniący się szampanem. — Na mój honor, nie zapomniałeś za granicą być Polakiem! Pijesz tego; dalej, jeszcze ten jeden, w ręce Władzia!

Poraj nie odmawiał podobnych zaprosin; błądził tylko za każdym toastem; krew zbiegała mu do serca; głowa, przeciwnie dzisiejszym zwyczajom, nie ulegała odurzającemu wpływowi napoju.

— Dziękuję ci, kapitanie — rzekł. — Masz słusność; nie zapomniałem dotąd mego pochodzenia. Jest to cecha, po której wszędzie nas można poznać. Poszliśmy u Niemców w przysłowie; pamiętają o nas, jak widzisz. W ręce pańskie! — Co czynić? — Trzeba zapijać sprawę!

— Zapewne, cóż nam lepszego pozostaje? — przerwał Wiloszek, wyciągając rękę. — Nalewaj kapitanie, ale nie z góry — bez szumu, jeszcze jeden, tylko duszkiem! Przecież sama biblja każe nam do dna spełniać kielich.

— Nie czytałem jej — rzekł Skalka — ale mówiono mi, że wszystkie mądre przepisy w niej się znajdują. Nie wątpię więc, że i ten ztamtąd musiałeś wyciągnąć.

— Żartujesz kapitanie — wtrącił nadchodzący Juljusz. — Byłbym przysiągł, a może i założył się, że umiesz Pismo święte na pamięć. Myślałem że nie chciałeś tylko wleźć w sutanę, ale że pomimo to postanowiłeś cichaczem zostać księdzem, i dla tego pędzisz nawet wiek w beżeństwie.

— Możesz śmiało założyć się — odparł Skalka — wygrasz niezawodnie. Postaraj się jeno, aby jaki bogaty klasztor wybrał

mię na opata, a przyrzekam ci, pierwszego zaraz dnia, celebrować na twoją intencję w refektarzu.

— Zanim to jednak nastąpi — dodał Juljusz — przestańmy pod twojem przewodnictwem wybijać pokłony Bachusowi. Już dość późno; starsze pokolenie chce zwinąć namioty, podczas gdy my obiecaliśmy młodszemu jeszcze jednego mazura. Władziu, chodźmy do pokoju; bez ciebie bal zaśnie.

— Radbym — rzekł Wilczek — aby się bezemnie obeszło; dość nam dziś zabawy.

— W takim razie jedźmy do domu; zaręczam ci, że panowie Węgrzy nie pogniwają się na nas. Właśnie w tej chwili hrabia Nemesz kazał zanieść muzyce kilka koszów wina; słyszałem nawet jak mówił do rotmistrza Hozzwarego i do kilku piechurów, że Nelson twój częstuje dziś kapełę.

Juljusz zaczął obojętnie zapinać frak, jak gdyby w istocie zabierał się do wyjścia. Wilczek poskoczył, przygryzł usta, wziął go pod rękę i pociągnął do sali.

Była przerwa.

Dziewczęta zwiewały się wachlarzami; młodzież stojąc przed meblami, sypała grzeczności i z uśmiechem przysłuchiwała się dźwiękowi własnych frazesów. Kazimierz podszedł ku Marji, która jako córka gospodyni balu, upraszała jakąś podeszłą damę, aby raczyła pozostać jeszcze z córką i nie dawała reszcie zgromadzenia złego przykładu. Dama snąc była znajomą węgierskiego oficera: ten bowiem pospieszył przyłączyć prośby swoje do nalegań Marji.

— Jeszcze nie jest tak późno — mówił Nemesz. — Daj się pani ablagać; jednego tylko kotyljona, córka pani oddawna mi go obiecała.

Wymowne spojrzenie córki silnie poparło słowa huzara.

— Zgoda więc, wygraliśmy — mówił dalej Nemesz. — Nie trzeba tracić czasu, biegnę natychmiast do muzyki i każe, aby natychmiast zaczęła kotyljona.

Marja wdzięcznym uśmiechem podziękowała Węgrowi, który kręconemi schodkami poskoczył ku muzyce.

Wilczek właśnie wchodził z Juljuszem do sali i spostrzegł uśmiech Marji.

— Prawdę mówileś — rzekł do towarzysza — balowi zbiera się na sen; trzeba rozruszać go zamaszystym mazurem.

— Czy z panną Marią tańczysz? — zapytał Juljusz.

— Bynajmniej; wezmę tę oto starą Westalkę, która jeszcze dziś nie tańcowała; każę tylko grajkom, ażeby nam ucięli dawnego naszego galicyjskiego.

Gdy Wilczek zbliżał się do muzyki, ta zaczynała już próbować tańca wcale nie narodowego. Podwoił więc kroku i stanąwszy pod balkonem, zawołał:

— Hola! mazura! — tego, co dla mnie zawsze gracie!

Pierwszy skrzypek ruszył ramionami. Wilczek nie przyzwyczajony do oporu, pobiegł na górę.

— Co to ma znaczyć? — rzekł, uderzając gwałtownie nogą. — Mówilem, że chcę mojego dawnego mazura.

Wilczek dowodził całą miejscową młodzieżą, urządzał wszędzie bale, pikniki, przyczem kiesę miał zawsze otwartą. Muzyka z początku nie wiedziała co odpowiedzieć.

Na szmer, jaki wszczął się na balkonie, Juljusz, Skalka i kilku młodych ludzi, wstąpili na schodki.

— Pan hrabia Nemesz — odrzekł bojaźliwie jeden z grajków — kazał nam grać kotyljona.

— A ja wam zakazuję! — zawołał Wilczek. — Do stu piorunów! każdy jest panem u siebie!

Węgier tymczasem, który był zbiegł na dół, nie słysząc muzyki, obejrzał się i spostrzegł grajków pomieszanych i nieruchomych. Iskra gniewu mignęła mu w oczach.

— To jakaś polska sztuczka — rzekł, zakławszy po madziarsku do Hoszwarego. — Chodźmy przypatrzeć się jej z bliska.

Hafty huzarskich kurtek błysnęły właśnie, gdy Wilczek domawiał ostatnich słów. Muzyka, jak gdyby dla zyskania czasu, powoli wyszukiwała między nutami galicyjskiego mazura.

Wilczek zoczył zwycięzcę wyścigowego. Krew uderzyła mu do głowy, usta zaczęły drgać konwulsyjnie. Tajemne przeczucie ścisnęło obecnych za piersi, przepowiadając że zwada nie obejdzie się na sucho.

— Pan hrabia każe nam grać mazura — rzekła do Nemesza w niemieckim języku basetla, która zgodnie z germańską swą

rodowitością, w poczynającej się zwadzie natychmiast stanęła ze strony przeciw-polskiego obozu.

— Bardzo mi przykro — rzekł zimno Nemesz, odpowiadając Wilczkowi na słowa basetli — że pan hrabia nie raczył wrzody w tym względzie objawić swego żądania; nie byłbym go uprzedził. Teraz jednak sądzę, że będzie już za późno.

— Nie podzielałam tego zdania — odparł stłumionym głosem Wilczek. — Przyrzekłem moim damom, że będą tańczyły mazura i obietnicy święcie dotrzymam.

— Nieodżałowany zbieg rzeczy! — rzekł Nemesz. — Ja znajduję się w tem samym położeniu i pojmujesz pan hrabia, że niepodobna mi z niego się wycofać.

— W Peszcie lub w Klauzenburgu — przerwał Wilczek — przyszłoby to panu hrabiemu z daleko mniejszą trudnością niż u nas.

— Przeciwnie — wtrącił rotmistrz Hoszwary, wchodząc między obu zapaśników — w Węgrzech każdy z nas umie szanować prawa gościnności, zwłaszcza względem cudzoziemców.

— Gościnność — rzekł Wilczek — ustaje tam, gdzie na progu płaci się od wejścia. W naszym kraju umiemy także ją cenić, ale tylko względem proszonych, a przynajmniej mile widzianych gości.

— Zapominasz się pan hrabia! — zawołał Nemesz, podchodząc ku Wilczkowi.

— Władziu! ustąp tym panom — szepnął mu sucho Juljusz.

Szmer powstał między Węgrami. Gwałtowność, z jaką prowadzili rozmowę w rodzinnem narzeczu, pokazywała, że oburzenie dochodziło do najwyższego stopnia. Wilczek cofnął się o krok, lewą rękę wsparł na balkonie, prawą zaś wyciągając ku huzarom, rzucił na nich śmiałe wejrzenie i rzekł:

— Panowie! jeżeli słowa moje któremu z was się nie podobają, z prawdziwą przyjemnością ofiaruję wszystkim, jak tu jesteście, zadośćuczynienie.

— Zamawiam sobie pierwszeństwo — podchwycił Nemesz, chyląc głowę ku pierśom.

— Po czem ja będę miał zaszczyt panu służyć — dodał rotmistrz Hoszwary.

Wilczek skłonił się każdemu po kolei.

— Do jutra więc — rzekł Nemesz. — A teraz sądzę, że nie należy podobną drabnostką przerywać balu i puść zabawy naszym paniom. Racz pan hrabia kazać grać swego masura.

Po tych słowach Węgrowie ześliznęli się na dół. Wilczek zaś schwycił pierwszego skrzypka za ramię i zawołał:

— Kotyljona będziesz grał! — natychmiast — albo skrzypce ci pogruchotam!

Niebawem muzyka, w której zwada młodzieży obudziła uspiąną dzielność, zagrzmiała pożądanym od Węgrów tańcem. Wilczek ze śmiejącą twarzą rozpoczął kotyljona. Towarzystwo domyślało się niezwyklego jakiegoś wypadku; ale młodzież wtajemniczona do mających nastąpić wydarzeń, podwoiła wesołość, i bal zakipiał ostatnim przedzgonnym warem.

Wilczek po wybuchu odzyskał spokójność, rozpozgodził czoło i znowu z tą swobodą, jaka ciągnęła ku niemu ludzi, rzekłbyś że nadmiar życia przelewał w zgromadzenie, które posłuszne jego wpływowi, całą duszą oddało się ulubionej rozrywce. Sam tylko Julusz, z przyciętymi ustami, błady, szurkował po sali: darmo uśmiechem kłamał reszcie twarzy; mimowolnie połamanemi rysami wypisywał uwiadomienie o jutrzejszem spotkaniu. Skalka przymrużał oczy, zacierał ręce i niezwykłym sposobem podkręcił wasy do góry.

— Panie rotmistrzu — rzekł z cicha do Hoszwarego — przejdźmy do bufetu; pragnienie mi dokucza. Będziem mogli naradzić się względem przyzwoitego ułożenia jutrzejszej sprawy.

— Jeżeli panu wszystko jedno — odparł Węgier — proszę z sobą do kwatery; tam nas nikt nie podałucha. Jedyńm świadkiem naszej rozmowy będzie butelka starego tokaju.

Skalka w pośpiechu schwycił pierwszy lepszy kapelus i wraz z Hoszwarym wyszedł z sali.

II.

— Szybko — śwawo —
I estaką krzyżową,
Szach na lewo — szach na prawo
I szach po nad głową!

JANUSZ.

Radzi, nieradzi, musicie przyznać, że trafny i dświężny dla waszych uszu wynalazłem epigraf. Co do mnie, spodziewam się, że raz go jeszcze w życiu użyję, i to wtedy, gdy kto napisze obszerną historję szlachty polskiej od pierwszych aż do ostatnich czasów.

Każę wszystkie tomy oprawić w jedną wielką księgę i cztery te wiersze na czarnej okładce wytłoczyć srebrnemi głoskami. Jeżeli zwłaszcza autor w niektórych razach nie będzie umiał wylamać się z kronikarskich obręczy i jasno przedemną nie roztoczy ukrytych, moralnych pobudek, wypadków, naówczas z rezygnacją odwołam się do mego nadpisu. Tak na przykład wszystkie stosunki zagmatwane naszej polityki wytłumaczę sobie przez sztukę krzyżową. Na zapytanie, dla czego pojęcia nie rozwijały się u nas logiczną, prostą drogą? — mimowolnie wpadnę na odpowiedź, że raz było szach na lewo, drugi raz szach na prawo. Dla czego ciągnęliśmy Wiedniowi na odsiecz, dla czego później daliśmy zabijać się za łada ukoronowanego opryszka? — Czyliż można jaśniej wyłożyć jak przez szach po nad głową!

Pomimo to epos naszej szlachty niemniej zostanie wzruszającym do głębi serca.

Znajdą się marzyciele, którzy w samotności, przywodząc na

pamięć ubiegłe zdarzenia, uderzą po boku prawicą, szukając karabeli, wyciągną w przestrzeń lewą dłoń ze zgiętymi palcami, jakby do ujęcia pucharu, i usta zadrzą im gotowością do sejmowych rozterek, a serce do podtrzymywania szablą kopuły ś. Piotra, jeżeli rozrzewniali się nad wielmożnie urodzonymi płodami naszych poetów.

Inne pamiątki, nad którymi trzeba męczyć głowę, lub dyssekować zletargowane ciało, w naszych ciężkich czasach nie warte zachodu. Alboż to sama terażniejszość nie wystarcza na zupełne zaprzątnięcie umysłu? Skoro zaś kiedy niekiedy naganie chętką oglądu na przeszłość, niech jedynym wywoływaczem wspomnień będzie dobytej ze starej szafy pas słucki pradziada starosty, soboli kołpak niedogryziony przez mole, lub sztywny robron nieboszczki kasztelanowej.

Tym sposobem odstraszywszy niejednego smutek, wypłoszy niejedną zgryzotę, ukoi niejednego wyrzut. Nadto pamięć przodków zostanie w poszanowaniu, a nic nie ma zdroźniejszego, jak krytykować i naganiać postęпки dziadów, tem bardziej pradziadów, cóż dopiero naddziadów!

I tak dalej, skocznie wesoło lub romantycznie, przemarzy się lub przehula życie; co zaś do przyszłości, ta, jak nam wiadomo z religji, jest w rękach starego, katolickiego Jehowy, i co ma stać się, to się stanie, a co nie ma stać się, to się nie stanie. Darmo! nikt temu nie poradzi. Po co się frasować; pomnijmy przedewszystkiem na ową maksymę antenatów, którzy w trudnych okolicznościach życia zwykle byli mawiać, że «jakoś to będzie.» I tak mówiąc, częściej niż po rozum do głowy, sięgali po szablę do boku; szczególnież bowiem cenili broń białą i gardzili wynalazkiem niemieckim Bertholda Szwarca, dobrym jedynie dla pokątnych zbójców, lub dla myśliwców na ptaszki.

Tymczasem rapir i szabla, gwoli zepsuciu ostatnich pokoleń, coraz bardziej wychodziły z użycia — tem więcej jedna przyczyna, dla której tu i owdzie zostawały w osobliwszem poszanowaniu.

W naszych polskich prowincjach zwyczaj ten najdłużej utrzymał się w Galicji, do czego bezwątpienia wiele pomogły sąsiedztwo i stosunki z pochopnym do serpentyny narodem węgierskim.

Czara była nalaną, wypadło ją wychylić, czyli mniej szumnie mówiąc, Wilczek powadził się z oficerami, musiał się więc z nimi wyrębać. Wniosek ten w żywych barwach przedstawił się umysłowi kapitana.

Skalka miał pewien wyraz twarzy, ruchy, spojrzenia, które przybierał w podobnych tylko wypadkach. Trzeba go było widzieć jak zapięty po wojskowemu pod samą szyję, zaciskał usta, lice stroił w powierzchowną obojętność, uroczyście stąpał, stanowczo się wyrażał. Zdawało się, że w tej chwili w dwóch słowach byłby rozwiązał kwadraturę koła.

Warunki pokoju już były ułożone; Skalka przepędził noc u Hoszwarego.

Zgodnie z zapowiedzeniem rotmistrza, kapitan przy butelce tokaju z niesłychaną dokładnością i znawstwem rozsypał przed nim wszystkie owoce swego doświadczenia: oznaczył broń, długość i szerokość szabel, miejsce schadzki, godzinę spotkania; obiecał przyprowadzić chirurga, przygotować płócienną skubankę, wodę letnią i plastry, pomyślił o wszystkim, niby kochanek zarządzający pomieszkaniem dla porwanej kochanki.

Wprawdzie godzina czasu byłaby aż nadto wystarczyla na te narady, ale rotmistrz po wypróżnieniu pierwszej butelki ciachaczem postawił na stole drugą. Skalka udał że nie postrzega podstępu, zaczął więc opowiadać dawne swoje i nieswoje, zasłał i niezasłał pojedynki. Węgier rozdrażniony w narodowej dumie, przytoczył również kilka własnych wypadków, i tak dalej za każdym tykiem krew coraz obficiejsz się lała, gradem padały rany niesłychane w rocznikach chirurgji, i nie wiadomo, na czem rzeź byłaby się skończyła, gdyby Hoszwary uniesiony szlachetnym zapalem, nie był wręcz oświadczył, że przed kilkoma laty za jednym zamachem ściał głowę pewnemu Kroatowi i rąbnął jego świadka.

Skalka wytrzeszczył oczy, otworzył usta, ale nie znalazł słowa na odpowiedź. Należało przecie chociaż wykrzyknąć, gdyż rotmistrz topił w nim badawcze spojrzenie; dla zwrócenia uwagi na inny kierunek sięgnął po zegarek. Już była ósma. Skalka przypomniał sobie, że wszystkie przygotowania istniały dotąd w formie zamiaru. Nie miał czasu na zbycie; wychylił ostatni kielich i pożegnał towarzysza.

Kapitan zawsze i wszędzie o każdej wchodził godzinie. Dopelnwszy wprzód przedpojedynkowych urządzeń, zwrócił się ku mieszkaniu przyjaciela i nie bacząc na zaspanego służącego, który przysięgał mu, że pan spoczywa, poważnym krokiem ruszył do sypialnego pokoju.

Wilczek spał w najlepsze.

Z ramieniem podłożonem pod głowę, z włosami w nieładzie, z uśmiechem na ustach, marzył zapewne o najwierniejszej z kochanek, która widząc go zmęczonego po bezsennej nocy, z wybladłą twarzą i podsiniałemi oczyma, nie byłaby targnęła się na jego spoczynek. Skąd w tej chwili co innego snuło się po głowie.

Otworzył drzwi z łoskotem, przystąpił do uspiętego i ująwszy go silnie za ramię, zawołał:

— Władziu! czas wstawać. Cóż to u miliona bomb? Kiedy ja myślę że testament piszesz, ty chrapisz jakby za przebudzeniem śniadanie cię czekało.

Wilczek przemknął oczy, spojrział na kapitana, i ściągając powoli rozpiierzchnione myśli, rzekł:

— Śniadanie, powiadasz? — Już zamówiłem śniadanie, wczoraj a raczej dziś rano — po powrocie z balu — na piętnaście osób. Opatrzność zesłała mojemu gospodarzowi olbrzymią jelenią pieczeń; kazałem przyrządzić tak, jak ją dają u Szwarceberga.

Skalka nie wiedział, czy ma wierzyć własnym uszom.

— Co bredzisz o pieczeni? — dla kogo? — kto ją będzie jadł? —

Wilczek wsparł się na łokciu i z uśmiechem zadziwienia spojrział na kapitana.

— Jakto, dla kogo? Przecież mamy dziś pojedynek.

— Przypomniałeś sobie nareszcie! Cóż więc znaczyły koszalki, jakie mi plotłeś.

— Nic nie plotłem — mówiłem jak ś. Jan Złotousty. Mamy dziś pojedynek; pamiętam wybornie. Ależ pojedynek nie żadna rzeź; chciej mię zrozumieć. Jest to pojedyncza bójka, gdzie dwóch lub trzech uczciwych ludzi daje przedstawienie kilkunastu widzom. Nadto między tymi dwoma jeszcze może się zna-

leść jeden taki, któremu zraz jeleniej pieczeni nie zaszkodzi, zwłaszcza jeżeli kucharz należyście ją przyrządzi.

— Dość tego, dość! — przerwał Skalka — mniejsza o śniadanie; ubieraj się czempredzej.

— Wcale nie mniejsza o śniadanie. Jeżeli chcesz, abym się ubierał, musisz wprzód wysłuchać mojej ostatniej woli, którą w twoje ręce składam, dzielny wojowniku.

Kapitan rzucił się w krzesło, wyciągnął nogi, wznosił wzrok ku sufitowi, błagając nieba o cierpliwość. Wilczek przybierając uroczystą postać i zwracając oczyma, tak, że białka tylko słuchaczowi pokazywał, ciągnął dalej:

— Niedoścignione są wyroki boskie! I któż nazaczy chwilę, w której ma rozwiązać się zagadka jego życia? Prawy katolik wie tylko, kiedy się narodził, i to jeszcze za pośrednictwem wiarogodnych świadków; metryki bowiem często bywają podrabiane. Ale najposłuszniejszy syn kościoła, uczeń największej przynoszący zaszczytu naszym lwowskim OO. Jezuitom, nie potrafi z pewnością powiedzieć kiedy umrze. Samobójcom nawet w tym względzie nie można zupełnie zaufać, od czasu jak w Wiedniu takie panewki wynaleźli, że z dziesięciu na połowie ledwo proch się zapala.

Kapitan targnął się na krzesło. Wilczek uspokoił go, wyciągając nad nim rękę, jak gdyby chciał go błogosławić.

— Owoż tedy, ja, Władysław hrabia Wilczek, rzeczywisty członek stanów galicyjskich (widziałeś mój czerwony mundur ze złotymi szlifami), dziedzic Słomianki, Zawałowa, Końskiej Woli, Chróścina, Zadniestrzan, i t. d., i t. d., i t. d., należąc do tych ludzi nieprzewidujących, pomimo to przewidując, że który z zaciekłych hazardów może w dzisiejszem spotkaniu przeciąć mi jaką żywotną węę lub ateryę, uznaję za rzecz przyzwoitą, złożyć ostatnią moją wolę w ręce obecnego tu Napoleona Bonifacego Skalki. Za pozwoleniem, kapitanie; czy w istocie ochrzczono cię Napoleonem? Zdaje mi się bowiem, że urodziłeś się w ostatnich latach panowania Ludwika XVI.

— Na mój honor! — przerwał zapytany — mogę to stwierdzić aktami urzędowemi, moim stanem służby, moją dymisją.

— Dobrze więc; tym razem wierzę, jakkolwiek z trudnością mi to przychodzi. W ręce zatem Napoleona Bonifacego Skalki,

byłego kapitana w 10. pułku huzarów Tólińskiego, kawalera — tak jest, kawalera, przynajmniej w obliczu prawa, dymisjonowanego z pozwoleniem noszenia munduru — nie myślę się? chociaż nie widziałem, abyś kiedykolwiek niósł gdzie twój mundur.

— Mam go, daję słowo honoru! — zawołał Skalka. — Nie noszę, bom wyrósł, na szerokość, nie na długość, ma się rozumieć. Nowego sprawiać nie chciałem; porządny haft huzarski drogo kosztuje. Ale co nas te banialuki mogą obchodzić? Władziu, jeżeli masz trochę dla mnie przyjaźni, ubieraj się; czas leci. Węgry będą nas czekać, a ty siedzisz tymczasem na łóżku jak Żyd na pokucie; przecież możesz razem ubierać się i rozprawić. Oto słuchaj! nakładam świeżą fajkę; z ostatnim jej dymkiem, jeżeli mię cokolwiek kochasz, staniesz przede mną już ubrany. Mój Władziu, zaklinam cię, daj się uprosić.

— Amen! — odrzekł Wilczek — co znaczy po hebrajsku, niech tak będzie. Spytaj mojego arędarza; wpadłeś na niego w śliwy dzień; nie potrafię niczego ci odmówić. Hola! — jest który? — kąpiel gotowa?

Na potakujący znak służącego Wilczek wyskoczył z łóżka i zsunął się do wanny, gdzie zabelona aromatami woda, pękła go w ciepłe swoje objęcia.

— Obrzydliwa terazniejsza młodzież! — mruczał Skalka przez zęby; każdy co dnia musi płókać się i szorować jak chenny rądel.

— Słuchajże, kapitanie — mówił Wilczek — i pal fajkę po mojemu, jeżeli chcesz, abym zadość uczynił twoim żądaniom. W razie mojej śmierci pamiętaj przyprowadzić tu na śniadanie wszystkich towarzyszących pojedynkowi, nie wyłączając mego zabójcy. — Jędrzeju! daj mi paryską koszulę; jeżeli kiedy, to dziś należy szczególną uwagę zwrócić na bieliznę. — Rachunek zapłaciłem naprzód; policzyłem po trzy butelki wina na osobę; zdaje się, że będziecie mieli dość. — Nie potrzeba kamizelki; mniej kłopotu w rozdzwianiu się na placu. — W razie gdybym nie mógł znaleźć się z wami, czyli wyraźniej mówiąc, gdybym został ciężko ranny, lub co gorsza, zabity, wówczas Juljusz natychmiast po zebraniu pieczystego ze stołu, wzniesie wielki kuławy kielich na moją pamięć i uczyni doń stosowną w tkliwych wyrazach przemowę. — Daj mi na szyję lekką jedwabną

chustkę; wywinę kołnierzyk. — W tej przemowie nie zaniedba wspomnieć krótko, ale dobitnie, o moich obywatelskich cnotach, o nadziejach, jakie dla kraju wraz ze mną zstąpiły do grobu, o tem, czem byłbym mógł zostać przy szczęśliwych okolicznościach, i o tem, jak świat nie umiał mię należyście ocenić. Jednem słowem, postara się słuchaczów zadziwić, wzruszyć i do przykładu zachęcić. Gdyby przypadkiem śród towarzystwa znalazł się jaki z moich hypotecznych krewnych i żądał przeciw mowie nieobecnego tu Juljusza założyć protestację, takowy Filip z Konopi ma być większością głosów skazany na wypicie duszkiem karafki wody. — Daj mi do kieszeni ranną czapczkę; przekłete włosy, za lada poruszeniem leżą mi w oczy. — No, kapitanie? Spodziewam się, że nie nadużyłem twojej cierpliwości? Zewnętrzność moja jest już należyście przystrejoną; co wewnętrzności, tę wkrótce także do równowagi przyprowadzę tylko przejść ze mną do drugiego pokoju, gdzie spotkam się, że pomyślano o rannej przekąsce.

Może lepiej byłoby dać pokój — wtrącił kapitan, którego wypogodziło się na te ostatnie wyrazy.

Dać pokój, czemu? — zawołał z uśmiechem Wilczek — jnkowi czy śniadaniu? Wprawdzie słyzałem, że śniadanie schodzą się czasem bez pojedynku, ale pierwazy raz słyzę pojedynek mógł obejść się bez śniadania. Dalej naprzód! balamućmy. Jędrzej! każ tymczasem zaprzędz do kabryjotu siwego ogiera. John z tyłu konno za nami pojedzie. Służę ci, kapitanie.

To mówiąc, obaj przeszli do jadalnego pokoju, gdzie czekało już na nich, według angielskiego obyczaju, zastawione śniadanie z herbaty, mięs zimnych i hiszpańskich win.

Wilczek podał filiżankę towarzyszowi, który natychmiast nie omieszkał dopomnieć się o rum; sam zaś wyciągnięty w krzesło, z zadowoleniem prawdziwego sybaryty, jał poić się tym najmiłszym dla nerwów napojem.

Wtem, gdy niósł herbatę do ust, przysło cienkie uszko i filiżanka padła mu u nóg rozbita w kawałki.

Skalka drgnął gwałtownie, spojrział przerażonym wzrokiem na przyjaciela, z którego oczu, zdało się mu, że śmierć nagle wyjrzała.

Wilczek uśmiechnął się niedbale i odtrącił nogą skorupy.

— Jak uważam — rzekł — idę na wyścigi z moim Jędrzem: ten nie ma dnia, aby czegoś nie stłukł. Mniejsza o to; do czekam póki cały tuzin się nie wytłucze i wtedy dopiero nowy z Wiednia sprowadzę.

Ńalał drugą filiżankę i spokojnie dopijał, gdy służący oznajmił, że konie już były w pogotowiu. Wilczek wychylił duszkiem szklankę Madery, zapalił krótką fajeczkę, a podawszy ognia kapitanowi, wziął go pod rękę i sprowadził ze schodów.

— No cóż, czy nie prawda — rzekł, gdy stanęli na podwórzu — że w całym Lwowie nie znajdziesz konia równego memu siwoszowi?

— Nie ma co mówić — odparł Skalka — czysta krew jak w szlacheckim dziecku. Na twojem miejscu, kazalbym go angliczować.

— Barbarzyńco! — wykrzyknął Wilczek — otóż to pojęcia estetyczne, zakonserwowane z czasów Księstwa Warszawskiego! Mój koniuszy Błażej tę samą myśl mi podawał, dowodząc że do kabrioletu koń z kusym ogonem daleko lepiej przystoi. Odpowiedziałem, że wolałbym jemu samemu uszy poobcinać, niż jeden włos stracić z ogona mego siwosza. Biedny Fox! wszyscy przysięgli się na jego zgubę. John! podaj lejce, a sam weź konia za cugle.

Wilczek wskoczył rześko do kabrioletu, Skalka wdrapał się za nim, John puścił cugle i panicz z lekka zaciął konia.

Siwosz stał jak wryty.

Wilczek zmarszczył czoło, przykrócił wodze i z całej siły śmi-gnął po delikatnej skórze nieposłuszne zwierzę. Fox wspiął się, wyprostował jak świeca i łbem ku stajni na miejscu zawrócił.

Skalka poczerwienił, uchwycił za gryf od kabrioletu, chyląc się co siły w stronę przeciwną wywrotowi.

— Do tysiąca djabłów! — krzyknął Wilczek — co to ma znaczyć? Znarowili mi konia. Hola, John! weź go za cugle i wyprowadź na ulicę.

Janek, dla którego nazwiska nie miano tyle poszanowania, co dla końskiego ogona, posłuszny rozkazowi, ujął drżącego siwosza przy pysku i głaszcząc go drugą ręką, powoli wywiódł na ulicę.

Wilczek tym razem porzucił żartobliwy ton, zaciął zęby i dał uczuć zuchwalcowi całą potęgę bicza schwyconego silną dłoń. Siwosz prysnął z miejsca trzema sarniami skokami jak gdyby chciał ze skóry wyskoczyć — wiehrem uniósł za sobą lekki powozik.

Dawny spokojny uśmiech wrócił na oblicze woźnicy. Z dziwną zręcznością wymijał kamienie niedbale brukowanych ulic lwowskich, skręcał konia. Zdawało się, że za każdym zawrotem kabriolet w drzazgi potrzaska. Na Skalkę nawet nie patrzył. Kapitan jak kleszczami trzymał się poręczy, pochylał w lewo lub w prawo, przymrużał kolejno oczy, wykrzywił twarz, jak wypadało dla utrzymania przeciwwagi; w duszy zaś przeklinał szaleńca, któremu śnać zarówno było zginąć w pojedynku, lub kark skręcić z powozu.

Niebawem wypadli za miasto i zwróciwszy w bok, piaszczystą drogą, gdzie łatwiej już było pohamować zapal siwosza, wkrótce stanęli przed wysoką murowaną gospodą, dokąd zwykle mieszkańcy Lwowa udawali się na wieczorne letnie przechadzki. Tu dziś, w wielkiej sali na pierwszym piętrze, miał rozstrzygnąć się spór wszczęty na wczorajszym balu.

— Niepotrzebnie spieszyliśmy — rzekł Władysław — długo jeszcze zaczekamy na tych panów. Przejedźmy się trochę, kapitanie; pragnąłbym siwego mego jegomości raz na zawsze odzwyczaić od dzisiejszych jego głupstw.

Skalka za całą odpowiedź przyłożył dłoń nad oczy i wskazał na dalekich płachtach marcowego śniegu czerniejące kształty ludzi i koni.

Rozumiem; nie pora do przejażdżek. Towarzystwo, jak widzę, licznie się zebrało; spostrzegam kilka powozów i kilku konnych.

— W pierwszych — przerwał Skalka — jadą nasi przyjaciele; ci drudzy na koniach są Węgrzy.

Wilczek zapalił fajkę — w staroświeckich owych czasach nie używano jeszcze cygar — podszedł do swego powozu i jął dawać Jankowi polecenia, jak się ma nadal obchodzić z siwoszem. Skalka niecierpliwie oczekiwał jadących. W tej chwili i po tem wszystkim, co z rana widział, obecność Wilczka mu nie wystarczała. Potrzebował koniecznie wygadać się przed

kimś takim, kogo jeszcze sumiennie mógł w poczet żyjących policzyć.

Rozległo się głośnie trzaskanie z bicia. Dwa czterokonne powozy zajechały przed gospodę, dwóch wypiórowanych strzelców otworzyło drzwiczki, i satelity świetnego planety, który dziś albo miał zajaśnieć nowym blaskiem, lub też przyćmić się krwawym obłokiem, zeszkoczyli na ziemię. Młodszy otoczyła Wilczka i poczęła kolejno ścisnąć go za ręce, wesoło przyjmując żarty, jakie przywódca sypał ze zwykłą szczerobliwością.

Juljusz po krótkim powitaniu odprowadził Skalkę na stronę.

— Oto — rzekł — oddaję ci szable; trzy tego przywiozłem: dwie augustówki wypróbowane i wyostrzone jak brzytwy, trzecia klinga na nasz sposób oprawna. Doktor za chwilę przybędzie; poleciłem Mysłowskiemu i Gorajskiemu, aby go przywieźli, nie mówiąc na co i po co. Patrz! huzary tuż przed nami; jest ich pięciu; jadą sobie stępą, jak gdyby na przechadzkę się byli wybrali. Zgadujesz że policja wie o wszystkim, ale pułkownik węgierski, do którego komisarz natychmiast po balu się zgłosił, wytłumaczył mu, że sprawa ma odbyć się w mieście, wieczorem, lub też dopiero jutro rano. Możemy być spokojni.

— Szanownego rotmistrza — krzyknął Skalka do Hoszwarego, który o kilkanaście kroków od gospody spał konia i na miejscu osadzał przed progiem — nie pytam jak się spało; niedawno obaj zeszliliśmy z grangardy; Bóg świadkiem, odprawialiśmy ją razem przez całą noc czujnie i trzeźwo.

— Kapitan przez skromność nazywa grangardę, co w istocie było potyczką — rzekł Juljusz. — Jestem przekonany, że nie jeden trup legł pod stołem.

Rotmistrz Hoszwary uśmiechnął się i woskowane wąsy pokręcił do góry.

— Nie pierwsza to — zawołał — i nie ostatnia, spodziewam się, jaką staczymy z kapitanem. Inaczej, w cóż obróciłoby się wasze polskie przysłowie? — Nie pamiętam go zupełnie, wiem tylko że rzecz idzie o szabli i o szklance, o Polakach i o Madziarach.

Śród tego Nemesz i trzech oficerowie zsiadli z koni i wbiegli

do sali, co postrzegłszy rotmistrz, uciął nagle rozmowę i poszedł połączyć się z towarzyszami.

Młodzież polska spojrzała po sobie. Wilczek skinął na kapitana, postawił Janka przy schodach, z rozkazem, aby nikogo nieznanego na górę nie wpuszczał, sam zaś wszedł na czele swego orszaku do sali.

Była to obszerna izba, którą gospodarz wynajmował na wesela lub bale, ogołocona z wszelkich sprzętów, prócz wąskich ławek do koła, ściany obiegających.

W głębi, otoczony huzarami, stał Nemesz, wsparty na krzywej szabli i przytłumionym, ale namiętym głosem rozmawiał z rotmistrzem.

Bez wątpienia, był to panicz urodzony na żołnierza; nie darmo też rościł prawa do serc niewieściach. Średniego wzrostu, zwinna jego postać, smagłe oblicze; bystre oczy i włosy czarne jak smoła, wdzięcznie przypadały do węgierskiego narodowego stroju. Zamaszystość przytem madziarska, zaokrąglona wyżyciem w świecie i wykwietaem wychowaniem, zdala odznaczały go od rubasznych po większej części towarzyszków.

— Obowiązkiem świadków — rzekł postępując jeden z oficerów — jest raczej wstrzymywać niż zachęcać do pojedynku. Jeżeli zatem pan hrabia Wilczek zechce odwołać wczorajsze wyrazy —

— Pan hrabia Wilczek — odparł Juljusz — może tylko powtórzyć co wczoraj powiedział.

Huzar ukłonił się i wrócił do swoich. Wilczek ścisnął rękę Juljuszowi, rzucił na okno niedopaloną fajkę i powoli zdejmował z siebie zwierzchnią odzież.

Skalka dobył szablę z pochew, jął przykładać do oka, mierzył czy były proste, poczem stanął na prawo ku środkowi, dając znać Węgrom, że wszystko było w pogotowiu.

Przeciwnicy zbliżyli się o kilka kroków do siebie. Na ukłon Nemesza, Wilczek oddał pozdrowienie z grzecznym pośpiechem, podczas gdy rotmistrz znacząc czwarty kąt kwadratu, stawał naprzeciw Skalki. Reszta towarzystwa na dwóch przeciwnych stronach w milczeniu, jeżeli nie w zupełnej spokojności, oczekiwała wypadku bójki. Każdy z widzów starał się przystroić lice w jak najobjętniejszy wyraz; nie wypadło widocznie

okazywać wzruszenia. Nadaremnie. W jednych niepokój, w drugich ciekawość, w innych nawet pewien rodzaj trwogi, kołysały się w twarzach, iskrzyły w oczach; gdyż nie podpada wątpliwości, że jest wiele wrażeń daleko znośniejszych od widoku mordujących się nawzajem dwóch uczciwych ludzi.

Rotmistrz zakomenderował, Skalka uderzył nogą, szczękniętą szable przeciwników.

Odwieczne szczątki azjatyckiej krwi zagrały Węgrowi w żyłach; na pierwszy dźwięk żelaza rozszalała wschodnia maziarska natura, czarne brwi nasunęły się mu na oczy, rozdęły nozdrza. Nemesz przysiadł do ziemi i ulewę ciosów spuścił na galicyjskiego panicza.

Wilczek pobladł trochę, ale nie uronił z twarzy zwykłego uśmiechu; odrzucił nieco w tył głowę i zimno przyjął zacieklą natarczywość Węgra.

Wypadku walki niepodobna było przewidzieć: jeżeli bowiem niezwykła zwinność huzara zapewniała mu pewną korzyść, natomiast głęboki spokój jego przeciwnika dzielny wystawiał mu opór.

Zwątpienie i otucha naprzemian miały obecnymi; jednemu tylko Skalce stłuczona filiżanka i upór siwosza majaczyły przed myślą.

Bój przedłużał się z powszechnem zadziwieniem. Lekki rumieniec wystąpił na twarz Wilczka; zapal w huzarze zdawał się z każdą chwilą pomnażać siły. Nagle Wilczek uskoczył w bok, a skoro wrócił do pierwszej postawy, obecni ujrzeli ścianę obluzganą strumieniem krwi.

Nemesz uchwycił się lewą ręką za twarz, cofnął się o dwa kroki, ale wkrótce nie zważając na krew obficie pluszczącą mu z pod palców, podbiegł ku Wilczkowi i zawołał:

— Jeszcze nie skończona! służę panu hrabiemu.

Z jednej i drugiej strony poskoczyli świadkowie; rotmistrz Hoszwary wstrzymał ramię swego towarzysza, zaklął po maziarsku w Chrystusa i w Matkę Najświętszą i oddał rannego dwom oficerom. Odwiedziono Nemesza do małej izdebki naprzeciw sali, dokąd przyjaciele Juljusza sprowadzili byli lekarza wraz z potrzebnymi chirurgicznymi przybory.

Wilczek spokojnie oparł szablę o ścianę i podsunął się ku

oknu; fajka jego jeszcze się dymiła: wziął ją i otrząsnąwszy popiół, dalej dopalał.

— Mój przyjaciel słusznie mówi — rzekł rotmistrz Hoszwary — jeszcze nieskończona. Pan hrabia zapewne sobie przypominasz, że wczoraj mnie także obiecałeś uczynić tenże sam zaszczyt.

— Za pozwoleniem, rotmistrze — przerwał Skalka — pozwól przecie, aby trochę wypoczął.

— Nie jestem bynajmniej zmęczony — odparł Wilczek — i sędzę że nie ma co zwlekać.

— Pomiaruj się, Władziu! — dodał Juljusz półgębkiem. — chcesz, jak uważam, cały naród węgierski po kolei wytępić.

Wilczek łaskawie przyjął daninę pochlebstwa, wziął drugą szablę i wrócił na miejsce, gdy tymczasem rotmistrz Hoszwary rozdziewał się z munduru.

Pozostały oficer postąpił naprzeciw Skalki i znowu wszczęła się bójka.

Tym razem atoli Wilczek umyślił odmiennym sposobem załatwić sprawę. Rotmistrz Hoszwary był olbrzymiego wzrostu i stosownej siły; jednym zamachem mógł był przeciąć zastawę i wraz z nią głowę przeciwnikowi. Wilczek postanowił czem prędzej z nim się uwinąć, i podczas gdy Węgier zadawał mu wstępne ciosy, przemyśliwając jakim by fortelem najpewniej pomścić się za ranę towarzysza — złożył się, przyskoczył i sygnął kilka uderzeń. Szabla zdawała się jak wąż wic w jego dłoni. Wilczek nagle podsunął kroku, zapuścił stal głęboko i teje chwili cofnął się, stanął jak wryty, dawnym zwyczajem zasłaniając głowę od ciosu. Nikt nie dorozumiewał się podejścia, obecni spojrzeli po sobie i z zadziwieniem spostrzegli u nóg rotmistrza wypadłą mu z rąk szablę.

— Teraz już skończona! — rzekł Hoszwary, podnosząc ramię. Od łokcia aż do zgięcia dłoni krew szeroką tryskała mu strugą.

— Przy tobie dziś szczęście, panie hrabio! — mówił dalej huzar. — Mniejsza o to! Została mi jeszcze lewa ręka, którą mogę podać ci przyjacielskie uściśnienie.

Wilczek z zapalem padł w objęcia Węgra. Obecni na wyścigi jęli go ścisnąć i dopytywać, czy czuje się mocno rannym?

— Fraszki! zadrąśnięcie! — odparł rotmistrz — wołać nie potrzeba chirurga; podajcie mi tylko wody z octem.

Skalka wnet zajął się opatrywaniem Hoszwarego. Wilczek tymczasem spiesznie ubrał się i pobiegł do izdebki, gdzie lekarz kończył właśnie obwiązywać głowę jego przeciwnikowi.

— Nemez! — zawołał wchodzący z rozrzewnieniem — wszakże to my niedawno jeszcze polowali, jeździli, hulali razem! Powiedz, czy już dla nas nigdy te czasy nie wrócą?

— Musisz zapytać o to szanownego lekarza — odrzekł Węgier, podając mu rękę — od niego wszystko zależy.

— Jeżeli pan hrabia przyrzekniesz spokojnie się zachować, wtrącił lekarz — mam nadzieję, że za kilka tygodni lekka blizna będzie mu tylko przypominać dzisiejszy wypadek.

— I honorem zaręczam — rzekł Wilczek — że cię nie oszpeci. Wracajmy teraz do Lwowa; nie puszczę cię z mego domu, póki zupełnie nie wyzdrowiejesz. Powiedz tylko, że nie masz do mnie nic na sercu?

— Mój Władysławie, za kogoż mnie uważasz? Na los jedynie mogę się gniewać. Zkądinał wreszcie cieszy mię, że wy Polacy nie zapomnieliście jeszcze, jak się z szablą trzeba obchodzić; może kiedyś wspólnie na innych karkach jej poprobujemy.

Wilczek odprowadził lekarza ku oknu.

— Chory ma gorączkę — rzekł mu półgłosem. — Kochany doktorze, wsiadaj w wielki, zamknięty powóz Mysłowskiego i odwieź go do mnie.

— Nie postrzegłem w nim gorączki — odparł lekarz, młody mieszczański syn, niedawno wyszły z uniwersytetu, poglądając z pewnym rodzajem złośliwego politowania na galicyjskiego magnata. — Zresztą chory prosił, aby go odwieziono do jego własnego mieszkania. Nie radzę sprzeciwić się, a nawet prosiłbym, wcale z nim nie rozmawiać, gdyż rana jest dość głęboką; mówienie ją rozjątrza.

— Doktor wypędza mię — rzekł Wilczek, zbliżając się do Węgry. — Jestem mu posłusznym, ale zarazem oświadczam, że ostatni raz poddaję się jego woli. Uważam cię teraz jako zachwycają kobietę: gdybyś nie wiem wieloma strażami dom twój poosadzał, ostrzegam, że potrafię się doń wemknąć.

Znać było po oczach Nemesza, że się na te słowa uśmiechnął; jeszcze raz podał rękę zwycięzcy i szczerem uściśnieniem dowiódł, że pomimo rany dość mu jeszcze żywotnych sił pozostało.

— Do widzenia — do widzenia! — i to w jak najkrótszym czasie.

Wilczek zbiegł po schodach; całe towarzystwo zebrane czekało go na podwórze.

Hoszvary ze Skalką siedzieli w powozie. Rotmistrz w najweselszem usposobieniu śmiał się do rozpuku z anegdoty, którą mu kapitan opowiadał, jak dwóch Żydów wyzwano się na pojedynek na pałasze; jak jeden ustępował, drugi uchodził; jak pierwszy przyparty do kanapy, przewrócił się i zaczął nogami wywijać i zasłaniać; jak drugi zaciętrzewiony, nie bacząc na szczególność oporu, siekł go bez miłosierdzia — aż nareszcie świadkowie wpadli pomiędzy nich i rozbroili — z niemałym podziwieniem nie znalazłszy na żadnym najmniejszego zadraśnięcia.

— Wybornie! wysmienicie! — zawołał rotmistrz, zanosząc się od śmiechu. — Dałbym najlepszego konia mego za świadkowanie przy podobnym pojedynku. Ani jednego zadraśnięcia, powiadasz? To nie do uwierzenia!

— Na mój honor! — mówił Skalka — sam obu opatrywałem, tam — na miejscu — natychmiast. Ze świecą nie byłbyś znalazł jednego zakłócia.

— Jakto, kapitanie? — wtrącił Juljusz — służyłeś więc za świadka w żydowskim pojedynku?

Rotmistrz nie mógł sobie dać rady; łzy od gwałtownego śmiechu grubemi kroplami spadały mu na wąsy.

Skalka uciał mowę, niemile zagabnięty słowami Juljusza.

— Świadkiem albo też i nie świadkiem, rzekł — byłem obecnym. Przejeżdżałem właśnie wtedy koło karczmy, gdzie się ta scena odbywała. Ale to już temu dawno; jeszczeście wy młokosy byli naówczas dziećmi.

Hoszvary podniósł się, chcąc wysiąść z powozu.

— Gdzież to Pan Bóg prowadzi? — krzyknął Skalka, rad że na inny tór zwróci rozmowę.

— Przebacz, kapitanie! — odparł huzar — sam nie wiem,

kiedy wsadziłeś mię do powozu, a ja przecież nie mogę Nemesza samego tu zostawić.

— Nie tylko możesz, ale musisz, zacny rotmistrzu — rzekł Wilczek, który właśnie nadchodził na ostatnie słowa. — Lekarz nikogo doń nie przypuszcza, sam go odwiezie do miasta. Nemesz jako najstarszy stopniem z pomiędzy panów — mówił dalej Wilczek, obracając się do trzech oficerów — dziś na mnie zdał komendę. Uprzedzam że nie zaniedbam korzystać z tak ważnej prerogatywy. Pan porucznik może raczy przyjąć miejsce w moim kabrioletcie; będziemy we dwóch stanowili awantgardę, korpus zaś pod rozkazami kapitana Skalki za nami pospieszy. Oto chustka pożyczona od tutejszej gospodyni; kapitanie, zawiąż ją rotmistrzowi na szyję; niech zawiesi na niej chorągiewną rękę. Dalej panowie, w drogę!

Tym razem siwosz nie sprzeciwiał się woli pana. Wilczek posadził obok siebie jednego z oficerów, reszta towarzystwa pomieściła się jak mogła, i po chwili znów było spokojnie w gospodzie. Krzykliwy tylko głos gospodyni zachęcający czeladź do pośpieschu i rozmowa kilku wieśniaków, którzy wstąpili do szynkowni na kieliszek wódki, przerywały ciszę.

— Powiedzcie no Wojciechu — mówił młody rzeński parobczak do sędziwego gospodarza — po co panowie ci zjechali się i co takiego robili, że furman od siwego ogiera nikomu do sieni przystąpić nie pozwalał.

— Czort będzie ich pytał, po co się zjechali. Ten wysoki, to pan graf Wilczek ze Słomianki, reszty nie znam; muszą być Niemcy, bo wychodząc po żydowsku szwargotali.

— Ale bo mnie dziwno jakoś się zdało. Widziałem jak jednego huzara owiązanego na wóz ładowali; musieli snąć pobić się, tyłboż znowu jakżeby się mieli pobić, kiedy wychodząc wszyscy się śmiali i ściskali.

— Co tobie mięszac się do pańskiego dzieła — rzekł stary Wojciech. — Tobie widzi się, że panowie tak jak my hołota w karczmie: skoro raz porwiecie się za kudły, bies by was nie rozerwał. Nie znasz co to pańska natura; oni biją i śmieją się razem.

— Prawdę pono mówicie, Wojciechu; taka to sama pańska natura i w naszym ekonomie: On także śmieje się, ile razy mu

przyjdzie chętką wziąć się do bizuna. Radbym jeno wiedzieć, kto kogo pobił?

— Głupis, alboż to nie mówileś, żeś widział jak Niemców powiązywanych wsadzali do karety? Który z nich chytrzejszy, ten i pobił.

— Co tam chytróść, ojczy Wojciechu! Kulawy Piotr u nas na całą gromadę najchytrzejszy, a niech jeno wlezie mi w oczy, to jak nim zawinę, zaraz się nogami nakryje.

— Wielki cud! boś mocniejszy; ale kiedyś taki chwyt, czemu nie wygrzmocisz tego charlaka, pana Šperlinga, waszego ekonomy? Pono nie dawniej jak w przeszłą niedzielę wyliczył ci po cesarsku dwadzieścia pięć nahajów.

— Pana Šperlinga — Wojciechu? Juźció nie wiele by z psiawiary zostało, gdybym go raz zamalował. Co tu począć z bestyjnikiem? Pójdiesz bywało do dworu na skargę, Szwab wnet zamiele językiem, tak, że djabli tylko i nasz pan go rozumieją; dojdźże tu ładu. Jeszcze człowiek często przydawkę oberwie.

— Słuchaj Grzešku! Widzisz ty tego psiuka i tego kundysa?

— A juźció że widzę.

— No, czybyś bronił kundysa, gdyby ten piesek go obrabiał?

— Dalibóg, że nie; śmiechu warta, ażeby takie ogromne psisko szczenięciu dało się kasać.

Wojciech dopił półkwatkeru, wziął bicz z kąta i wyszedł do swojego wozu. Grzeško pokręcił głową, poglądał kolejno to za odchodzącym, to na pieska i kundysa, które spokojnie wygrzewały się na słońcu.

.....

Tymczasem we Lwowie, w obszernej jadalnej sali u Wilczka, odbywała się druga, w następstwie swoim nieodzowna scena widowiska, którego pierwszą przedstawiliśmy wyżej. Przyłączyło się jeszcze do towarzystwa kilku z młodzieży polskiej, kilku huzarów węgierskich i w najlepszej zgodzie usiadło koło jednego stołu.

Pierwsze miejsce zajmował rotmistrz Hoszwary.

Wprawdzie Skalka przekładał mu, że chociaż rana nie groziła niebezpieczeństwem, wszelako lepiej byłoby wypocząć i przez pewien czas zachować ścisłą dietę. Rotmistrz krótko zbijał te dowodzenia, mówiąc że to nie pierwsze w życiu jego zadraśnięcie, że w łóżku spać nawet nie lubi, a cóż dopiero leżeć, i że nareszcie nie wypadało na polskiej ziemi zadawać fałsz polskiemu przysłowiu, którego dobrze nie pamiętał, ale gdzie oczywiście była wzmianka o Polakach i o Węgrach, o dotrzymywaniu sobie kroku przy szabli i przy szklance.

— Na upor nie ma lekarstwa — odpowiadał Skalka. — Przynajmniej postawię przed tobą karafkę wody; nie potrzebujesz jej zaczeptać, ale będzie ona stała przed twemi oczyma jak «memento mori» przed duszą grzesznika.

O pojedynku więcej nie wspomniano; nie wypadało w domu Wilczka przywodzić na pamięć wypadek, w którym szczęście przechyliło się na stronę gospodarza.

— Panowie! — zawołał Wilczek, powstając z krzesła — każde dzieło należy rozpoczynać w imię jakiejś zasady, jakiegoś hasła, na którego ton całe dalsze postępowanie winno być nastrojone. Pozwólcie więc, abym w tym duchu wzniósł pierwszy toast. Niech żyje szlachetny naród węgierski, który wydał nam niegdyś najznakomitszego jednego króla i który odtąd nie przestał nigdy dawać nam oznak prawdziwego spółczucia.

— Niech żyją Węgry! — chórem odpowiedziała młodzież polska.

Huzary porwali się z krzesel.

Rotmistrz pocerwieniał: otworzyło się mu serce, jak gdyby całą Polskę chciał doń wpuścić.

— Zapewne — rzekł — niech żyją Węgry, bo póki Węgier żyw, przyjacielowi marnie zginąć nie dozwoli. Dziękujemy wam, panowie Polacy. Oby w naszym kraju narodził się drugi taki dla was Batory Isztwan!

— Otóż to się nazywa mówić! — zawołał Skalka. — Wyśmienicie, Władziu! Nie wiedziałem że tak doskonale palisz bez przygotowania. Na przyszłym sejmie zakasujesz samego arcybiskupa. Ale i rotmistrz pięknie się wyraził. Niech tylko narodzi się drugi Isztwan, a my już znajdziemy mu drugich Krzyżaków do zwojowania.

Juljusz kaszlnął homerycznie dla zagłuszenia ostatnich słów kapitana. Wilczek udał w imieniu wszystkich, że nikt tego bluźnierstwa historycznego nie słyszał i rzekł:

— Prosiłem Lichtenstejna, nie rozumiem dla czego dotąd go nie ma. Miał z sobą przyprowadzić młodego Fürstemberga, który dni temu kilka jak został cesarskim szambelanem. Nie znam go jeszcze, ale zdaje się przyzwoity chłopiec; matka jego rodzi się z Trautmansdorffów.

— Nie ma czego żałować — rzekł wesoło jeden z oficerów węgierskich. — Alboż to nam bez nich nie dobrze?

— Z dwóch Trautmansdorffów, czy z więcej? — wtrącił rotmistrz.

— Jakto? — Nie rozumiem — odparł Wilczek.

— Nic dziwnego; nie żyłeś długo w Wiedniu. Tam często człowiek tak lub owak się nazywający rodzi się z dwóch tego samego nazwiska, rzadko kiedy z jednego, a zwykle z żadnego.

— Mówisz mi o Wiedniu, rotmistrzu — mnie wychowanemu prawie na bruku wiedeńskim. Wszystkie moje wspomnienia tam stoją na kotwicy.

— Nic na tem nie straciliśmy, skoro okręt do nas przypłynął — dodał Skalka, uśmiechając się z górnolotności swego porównania.

— Co do mnie — rzekł Węgier — nie radbym tam wrócić. Dla mnie nie ma jak moja madziarska ziemia i stary zamek mego ojca, z kąd żaden policjant nie ma prawa mię ruszyć — i szubienica na mojej granicy, gdzie mogę powiesić jakiego Słowaka lub Wołocha, gdy przeciw mnie zawini. Niech mię piorun spali, jeżeli nie wolę naszych Cyganów od Niemców, a w naszych Siedmiogrodzkich górach jedna sarna sprawia mi więcej przyjemności, niż całe stada danieli w Praterowym zwierzyńcu.

— Jeżeli o polowaniu — rzekł Wilczek.

— Tak jest, jeżeli o polowaniu! — powtórzyli Polacy.

— W takim razie — ciągnął dalej gospodarz — nie będę się z tobą sprzeczał. Wasze polowania ledwo z naszymi dadzą się porównać.

— Jakto z waszemi? — przerwał jeden z oficerów. — Za

pozwoleniem: ja tu nieraz za dwoma bekasami i za jednym wychudłym zającem przez cały dzień się nachodzę, a często bywa, że i tego nie spotkam. O grubej zwierzynie tyle tu sły-
chać co o przedpotopowych mamutach.

— Zaczekaj poruczniku! — rzekł cedząc słowa Juljusz — może i u nas otworzy się polowanie na grubego zwierza.

— Kiedyż się ono przecież otworzy? — Przez trzy lata stałem na kwaterze w Przemyślu i o niczem podobnem nie sły-
szałem.

— Cierpliwość, powtarzam; jeszcze nie nadszedł czas zwie-
rząt. Teraz się płodzą.

— Co też ten Juljusz czasami wygaduje! — rzekł Mysłowski do swego sąsiada. — Plecie jakieś duby smalone; nie wiadomo jak je sobie tłumaczyć.

— Bądź spokojny, Karolu. Juljusz z głupstwem się nie wyrwie; szczwany to list: wie mnóstwo rzeczy, ale łatwiej palcami dobyć korek z butelki, niż dostać się u niego do prawdy.

— Tak sądzisz? — Trwajże sobie w twojem przekonaniu. Ja nie lubię, aby mi kto majaczył; jeżeli ma co powiedzieć, niech mówi głośno i otwarcie; przecież nie ma tu między nami nikogo obcego.

— Za sześć lub siedm miesięcy — prawil dalej rotmistrz — chciałbym was panowie Polacy do siebie na polowanie zaprosić. Właśnie nadejdzie jesień, najpiękniejsza pora w naszej węgier-
skiej ziemi, pora winobrania. Nie znacie tego w waszej Polsce, chociaż na dobrych naszych winach u was nie zbywa, jak tego dzisiejszy gospodarz daje nam wyraźne dowody.

— U nas jesień niczego — odezwał się Juljusz. — Ja czekam z niecierpliwością jesieni; i u nas owoce dojrzeją; trzeba będzie je otrząść.

Powolny ton ostatnich słów głębokie wrażenie uczynił na młodzieży. Spojrzeli wszyscy po Juljuszu, który snąc nie chciał dalej myśli swoich rozwijać, gdyż podniósł głos i uderzając w stół trzonkiem noża, zawołał:

— Ależ panowie, cóż to? Siedzimy jak mnichy; ba! nawet nie jak mnichy — jak starce, i nie jak starce nawet, ale jak

dzieci, i to nader małoletnie. Czyliż nie możemy rozmawiać o czem innym jak o historii naturalnej?

— Dotychczas jego historie były bardzo nienaturalne — szepnął Mysłowski do swego sąsiada.

— Zgaduję myśl mego przyjaciela — przerwał Wilczek. — Wypiliśmy za zdrowie naszych gości; tak się należało. Ale nie zapominajmy, że jest ktoś nieobecny, którego w żaden sposób pomijać się nie godzi.

Skalka wyciągnął szyję w oczekiwaniu na rozwiązanie zagadki; rotmistrz nadaremnie szperał po głowie.

— Gospodarz ma słuszność — rzekł jeden z domyślniejszych oficerów węgierskich. — Mniemam atoli, że do nas to, jako do gości w waszym kraju, należało mieć lepszą pamięć, pokazać że umiemy być wdzięcznymi i napelnić kielich za zdrowie pięknych Polek.

— Na mój honor! — krzyknął Skalka — za zdrowie wszystkich pięknych kobiet, a raczej Polek, gdyż te nas są najbliższe.

— I tem samem najdroższe — dodał Wilczek.

— Za zdrowie królowej tego kwietnika, panny Marji Sokolniczanki! — przerwał Skalka.

— I brylanta tego skarbcza, panny Karoliny Dahlman! — wtrącił Juljusz.

— I sułtanki wszystkich odalisek, panny Róży Podgórskiej! rzekł rotmistrz Hoszwary.

— Tego za nadto! — wołał Wilczek wesoly. — Rotmistrz prawi coś o odaliskach; miałżeby uważać miasto nasze za harem i rościć sobie doń sułtańskie prawa?

— Dla czego nie? Któżby tego nie chciał gdyby mógł? — odparł Skalka. — Zaręczam wam, że harem nie taka głupia rzecz jak się zdaje. Mahomet wcale nie był cymbałem; wiem ja o tem od dawna.

— Jaktó, kapitanie! czy przeszedłeś na bisurmańską wiarę, lub może zechcesz nam dowieść, że przepędziłeś młodość w Stambule? — odezwał się jeden z młodzieży.

— Bynajmniej; kiedy mówię, że wiem oddawna, to znaczy że znam pewną piosenkę, z której nauczyłem się tej prawdy.

Nie tajno wam, że na dnie każdej piosenki, a zwłaszcza starej, zawsze kryje się prawda.

— Zaśpiewaj, kapitanie, starą piosenkę! — prosił Hozwary.

— Tak jest, zaśpiewaj, zaśpiewaj! — powtórzyło chórem zgromadzenie. — Jesteś dziś przy głosie.

— Zawtóruję ci nożem na szklance — rzekł Juljusz.

— Nie, nie, będziem wszyscy z nim śpiewali; nie daj się prosić, kapitanie, zaśpiewaj.

— Zgoda więc; jest to krótka piosenka, ale płynie w niej głęboka moralność. Zaśpiewam ją dla waszej nauki.

I dobywszy grzmiącego głosu, tak zaczął:

Gdy Mahomet żył na ziemi,
Nie gardził dziewczynką,
Poufale z śmiertelnemi
Spisał sobie wiako.

Bo kto w winku nie smakował,
Wstręt do kobiet czuje;
Ten jeżeli nie zwarjował,
To pewnie zwarjuje!

— Drugą zwrotkę jeszcze raz! — jeszcze raz drugą zwrotkę! — zewsząd krzyczano.

Skalka powtórzył, poczem młodzież dzwoniąc nożami w kieliszki, razem z nim zaczęła:

Bo kto w winku nie smakował,
Wstręt do kobiet czuje;
Ten jeżeli nie zwarjował,
To pewnie zwarjuje!

Węgry nie mogąc od razu słów zapamiętać, dzwoniли w kieliszki i powtarzali nutę.

— Według tego, co tu widzimy — rzekł rotmistrz — zdaje się, że żaden z nas nie umrze na szaleństwo.

— Ani na wodną puchlinę — dodał Skalka — na mój honor, życie jest krótkie!

— Zwłaszcza dla ludzi w tym wieku — wtrącił Juljusz.

Kapitan nie chciał słyszyć przycinku i ciągnął dalej:

— Trzeba go używać, póki starczą siły; idzie tylko o jasne pojęcie, czem jest szczęście? Dla mnie, jak mówi inna znowu stara piosenka:

Nie ma szczęścia na tym świecie,
Jak przy beczce i kobiecie.

— Hola! zwolna, kapitanie! — zawołał Wilczek. — Chcesz, jak widzę, przez pół naśladować Wulkana, przez pół Bachusa.

— A to dla czego? — zapytał Juljusz. — Czyliż obu godności nie można połączyć w jednej osobie? Niech się zakocha w pani gubernatorowej, będzie miał kobietę i beczkę zarazem.

Rotmistrz w tej właśnie chwili wypełniał usta winem, prysnął więc od śmiechu jak delfin dwoma strumieniami tokaju na środek stołu, czem ostatki wesołości z obecnych na wierzch wydobyl, i gwar i wrzawa taka powstała, że jeden mógł z trudnością drugiego zrozumieć. Wszyscy rozprawiali; rozmowa stoli przestała być ogólną: każdy zwracał się wyłącznie do swego sąsiada. Nadchodziła ta zajmująca chwila każdej uczy, gdzie opadają z biesiadników pożyczane kształty, larwy ulepione przez samolubstwo i przywdziane dla ponętnego odrysowania się na tle towarzyskiego życia; chwila, gdzie każdy duch wylania się w rzeczywistych swoich zakrojach i albo jak płaz pełza po ziemi, albo jak zwierzę miota się na wsze strony, albo szatańsko wyziera przez oczy, lub rozaniała twarz, skrzy egzaltację i promieni się szlachetnym zapalem. Wtedy, jeżeli słowa nie zawsze jeszcze lecą przed myślą, jeżeli rozhułana fantazja tęczowym pryzmatem zasłania prawdę, to przynajmniej śmiech każdego jest własny, rodzimy.

A trzeba wiedzieć, że śmiech stanowi zwykle próbę tonu człowieczego ducha.

W tem mimowolnem drganiu głosu, w tych dźwiękach niepodobnych do powstrzymania, są takie nitki, na które gdyby zawsze można było natrafić, labirynt ludzkiego serca dla każdego stanąłby otworem. W śmiechu człowiek nosi zupełne określenie samego siebie.

W istocie, posłuchajcie śmiechu głupca na nutę warkotu kół młynskich, albo śmiechu dworaka, gdzie tylko usta się śmieją, a oczy lisiemi podskoki sznurkują po rysach twarzy

patrona; albo śmiechu niewinnej dziewczyny brzęczącego i srebrnie podzwaniającego; albo śmiechu zimnej zalotnicy, podobnego do tych kwiatów wyrosłych na ilowej ziemi, które z daleka jaskrawe, za dotknięciem brudzą — słowem tylu innych śmiechów, ile jest odcieni charakterów, a zwłaszcza pokoleń.

Przypomnijmy sobie, jak się czasami śmiali nasi kontuszowi ojcowie albo dziady, z religijną czcią wspominające o panu Puławskim. Pomijam Targowicę; ta zgrzytać tylko umiała. Bywało, twarz wtedy pocziwcom się zmieniała; oczy nikły gdzieś, lub przeświecały dwoma niedostrzeżonemi paskami, nos kurczył się i pokrywał z obu stron w ukośne zmarszczki, a głos ciągle przelatując gammę od pierwszego do ostatniego tonu, wdzięcznie się jakoś kołysał i wszystkich obecnych urokiem swej wesołości ogarniał.

Dziś już jakiego śmiechu nie słysząc; myślałby kto, że teraźniejsze pokolenie płakać przynajmniej się nauczyło. Chowaj Boże! — Gdzież ta twarz, po której spokojnych rysach w milczeniu gruba łza popłynie? Znikła razem z wylotem kontusza, który ją ocierał. Dziś płaczą tylko dzieci i kobiety — wtedy, gdy się im sprzeciwisz. Jak się wam zdaje: czy gwoli temu tak się zmieniło, żeśmy wzmogli się w spokój dacha, że o naszą pierś zbrojną potężnem przekonaniem rozbijają się wszelkie zewnątrz dochodzące nas wrażenia — czyli też dla tego, żeśmy zubożeli? — Jak się wam zdaje? Odpowiedzcie sami — ja stawiam tylko pytanie.

Obojętność na człowieku, jak łupina na każdym jest owocu; świadomość dopiero i wola precz odrzucają niepotrzebną powłokę. Wiedzieć i chcieć — oto cały nasz przyszły katechizm.

Dobrze więc — to na przyszłość; ale co tymczasem porabia nasze towarzystwo?

Zawrzało po licznych kielichach i teraz kipi, pryska, bucha na wasze strony: jednorodne cząstki skupiają się razem, różnorodne odskakują od siebie. Węgrowie powoli zbliżyli się ku sobie wreszcie zajęli jeden róg stołu i w nierozumiałem swem narzeczu wszczęli żwawą rozmowę. Zapomnieli że byli u Polaków w gościnie; gospodarz też nawzajem nie chciał im przerywać, może, dla tego że sam zupełnie co innego miał na myśli.

— Powiedz mi, Juljuszu! — mówił do przyjaciela — jak sądzisz: czy mogą na to liczyć, że Sokolnik kupi odemnie moją parę angliczowanych koni? Szkapę nie pierwszej młodości, łatwo się męczą, ale za to jak wypoczną, w całym Lwowie nie znajdziesz podobnych paradjerów. Radbym abyś go z boku wybadał; wczoraj już bowiem na balu pytał mię, czy nie mam koni na sprzedaż.

Juljusz obejrzał się do koła; mógł być pewnym, że nikt słów jego nie dosłyszcy. Młodzież otoczyła kapitana, który rozpowiadał jakieś nadzwyczajne szczegóły o polowaniach, mianowicie jak świętemu Hubertowi jeleni pokazał się z krzyżem między rogami, jak odtąd myśliwym często pokazują się rogi, ale krzyża nigdy między niemi nie widać.

— Chcesz, Władziu, abym Sokolnika z boku wybadał? Rozumiem; badanie z boku jest sentymentalna podróż po kieszeni. Lękasz się, po prostu mówiąc, aby dygnitarz ci nie zapłacił? Pojmuję obawę tego rodzaju, chociaż nie uważam jej za uzasadnioną. Sokolnik dla żyda, dla kupca, dla bankiera, dla większego wierzyciela, nie znajdzie pieniędzy; ale w tej samej chwili, gdy będzie zaręczał tym panom, że podobne żądania sprzeciwiają się własnej ich korzyści, w tej samej chwili, powtarzam, z łatwością rzuci kilkaset dukatów na zapłatę honorowego długu.

— Ależ tu wcale nie chodzi o przegraną w karty. Pieniądz za dostarczoną rzecz bynajmniej nie należy do honorowych długów.

— Mylisz się; długi honorowe są te wszystkie, których niezapłacone wystawia na szwank honor domu, czyli inaczej mówiąc, drażni i upokarza najwięcej miłość własną. Chciej tylko raz dobrze pojąć tę teorię. Pan niezaspakający większych wierzycieli, nazywa się człowiekiem w interesach, czasami spekulantem. Żydzi i kupcy muszą czekać z niezapłaconymi rachunkami — to ich psia powinność, ich powołanie; pocóż żyją na świecie i wечно rozprawiają o kredycie? Pan wreszcie nie ma czasu zajmować się podobnymi drobnostkami. Ale tenże sam pan, jeżeli nadto ma córkę na wydaniu, ani na chwilę nie nadużyje cierpliwości człowieka żyjącego w świecie, zaprzyjawnionego z najmądrzejszą młodzieżą w kraju i mogącego

samemu postawić się w rzędzie zalotników. Sprzedawaj śmiało angлизowane konie.

— Sokolnik więc rzeczywiście w krytycznym jest położeniu? zapytał Wilczek.

— Nie mam z nim żadnych pieniężnych stosunków — odzwał Juljusz — dokładnie o niczem nie potrafię cię zapewnić. W powietrzu atoli, jakie go otacza, czuć pewną woń golinny; od kilku miesięcy uwijające się koło niego postacie, kaducznie coś wyglądają na kruków wietrzących hypotecznego trupa. Biedna Marja! jej mi żal najwięcej — starzy, prawdę mówiąc, niczego już nie potrzebują — ale ona, młoda, piękna! —

— Wszelako Sokolnik ma obszerne włości, i gdyby kto zbiegły szczerze wziął się do prowadzenia jego interesów —

— Sądzę, że nie ruszyłby z miejsca. Ciężki to wóz i roztrzęsiony; za pierwszym pociągnięciem rozsypie się w kawałki.

— Czy nie spodziewa się jakiego dziedzictwa, jakiego ciężkiego zapisu?

— Niczego — oprócz serdecznych rad i błogosławieństw; sam jesteś blisko z nim spowinowaconym i wiesz o tem najlepiej. Bogaci krewni mają liczne potomstwo; inni jęczą w rękach Jezuitów; z ostatnich nie wiele kto się pożywi.

Wilczek wpadł w zadumkę; jakieś przystosowania zakrzyły mu po głowie; nie zważał że Juljusz wpatrywał się weń przenikliwemi oczyma, chmurzył coraz bardziej czoło, wreszcie wznosił ramionami, jak gdyby chciał być rzec: — Nic tam nie ma do czynienia.

— Z tem wszystkiem — dodał po chwili — pannie Sokolniczance nie zabraknie na wielbicielach; dziewczyna znakomitego rodu, piękna — tego jej sam djabeł nie odmówi — trochę za szczupła. —

— W kibici i w posagu — odparł Juljusz. — Wszelako nie sprzeczą się. Są ludzie, którzy o względy na nędzny kruszec wcale dbać nie będą — ludzie zacni, szlachetni, wielcy! Nemiesz na przykład nie potrzebuje oglądać się na wiano, a nawet między naszą młodzieżą dałoby się wynaleźć —

— Między naszą? — trudno — ciężkie czasy. Panna z wysokiego domu jest to wypożyczony ogromny kapitał moralny, od którego trzeba płacić społeczeństwu gruby procent.

— Zapewne; ależ znowu nie przyszliśmy do takiej ostateczności. Są jeszcze i między nami majątki; masz pierwszego Poraja: przed kilku laty człowiek mało znaczący, dziś słuszenie można go uważać za jednego z najbogatszych obywateli.

— Pana Piotra chciałżebyś widzieć połączonego z Marią?

— Tak jest; połączonego — pokrewnym związkiem. Zapominasz o jego młodszym bracie: przystojny chłopiec i gdyby miał więcej rozumu, z łatwością mógłby się przenieść ze stanu rycerskiego do magnatów.

— Zwolna, zwolna, mości panie! — zawołał Wilczek, nie powstrzymując tym razem głosu. — Jeszcze to u nas za pieniądze wszystkiego kupić nie można. Pamiętaj wreszcie, że Sokolnik jest moim dalekim krewnym, że przyszłość jego córki mnie także obchodzi. Jeżeli stary utracysz chce koniecznie dziecka z domu się pozbyć, niechże przynajmniej pogodzi tę gwałtowną chęć z honorem rodziny; niech dziewczęcia nie rzuca na pastwę pierwszemu lepszemu szlachciurze. Chce wydać córkę? W kraju nie widzi dla niej przyzwoitych mężów? — Niech rusza do Wiednia; dam mu dwa moje paradjery na kredyt. Tam ma Palfich, Zicznych, Dietrichstejnów, Szwarcembergów, zmedjatyzowanych książąt i hrabiów jak śledzi. Wreszcie po co daleko szukać? Sama Opatrzność zesłała mu do domu młodego Fürstemberga; niech mu swój dom otworzy. Chłopak wprawdzie nie bogaty; jest to najmłodszy syn ordynata, ale rodzina potężnie go popiera. Może z czasem zostać wysokim urzędnikiem, a nawet zasiąść u nas na miejscu Kriega. Więcej, spodziewam się, mu nie potrzeba. Zresztą niesłuszenie się unoszę; znam zasady Sokolnika: fortuna może wpłynąć na jego położenie majątkowe, ale nigdy nie zmieni w nim sposobu myślenia.

— Są to bardzo piękne zasady; szkoda tylko że świat z każdym dniem od nich odstępkuje. Stosunki towarzyskie z każdym dniem coraz bardziej układają się do równowagi, i jeżeli jedna szala zbyt długo będzie przeważać, kto wie czyli nie wypadnie obciążyć jej ciężaru? — Teorje, ideały stawiasz mi przed oczyma. Ty sam, Władziu, wbrew im postępujesz — prawil Juliusz, znaczenie głos zniżając. — Dość popatrzeć jak się obchodzisz z ludźmi, którzy pod żadnym względem nie są ciębie warci

ani z urodzenia, ani z wychowania, a czasami nawet z majątku: żyjesz z nimi jak z braćmi, ściskasz, przyjmujesz, grzeczności świadczysz.

— To całkiem inna rzecz — mówił Wilczek, oparłszy ramię na szyi Juljusza. — Mogę kochać ich z całego serca, będę żył z nimi wieki i żaden nie pomiarkuje się, że jednego nad drugiego przekładam. Wszystkie pokoje mego domu stoją dla nich otworem — jeden wyjąwszy — tak jest — jeden dla siebie wyłącznie zachowuję, a tym jest gabinet moich związków familijnych, interesów i tajemnic mnie samego dotyczących. To nie przeszkadza, że każdego z nich kocham, cenię, poważam. Ale nie każdemu oddałbym moją siostrę za żonę, nie z każdego siostrą sam bym się ożenił. Powinności, jakie człowiek ma względem siebie, są daleko ważniejsze od tych, jakie może mieć względem drugih, rozumie się względem ludzi, z którymi żyje; inni bowiem wcale mię nie obchodzą.

— Masz słuszność, Władysławie. Poraj jednak pochodzi z uczciwej rodziny.

— Nie przeczę — z uczciwej, z bardzo uczciwej, z najuczciwszej, najzacniejszej, najszlachetniejszej, jaka kiedykolwiek żyła na świecie. Wszakże nic przeciw jego rodzinie nie powiedziałem. Niepotrzebnie go bronisz; ale jest to człowiek za młody, za mało doświadczony dla kobiety jak Marja.

— Starszy brat bezwątpienia zapisze mu cały majątek; suma obu tych majątków jest większą niżeli mniemasz.

— Niech mu zapisuje wszystkie kopalnie Potozu, niech swojemi bogactwami przyćmi bogactwa Tysiaca nocy — co mi do tego? Ja obejdę się bez jego dostatków. Niech sobie przewala się po złocie, ja nie przyjdę prosić go o jednego dukata!

Wino targało Wilczkiem i wydobywało zeń głęboko tajone uczucia. Panicz ile razy sobie podchmielił, łamał ujmujące formy, w które go przyzwyczajność światowa przyoblekała, nie rozczulał się według zwyczaju krajowców, a bardziej jeszcze przodków; ale przeciwnie, bladł, chmurzył się i za każdym kielichem coraz bardziej srozał. Juljusza bawiło to gniazdo węży, które za każdym poruszeniem podnosiły syczące głowy i złością na świat świstały.

— Powiadają — ciągnął wolnym głosem — że młody Poraj za granicą nader świetnie ukończył nauki.

— Cóż mię to obchodzi? — zawołał Wilczek widocznie zniecierpliwiony. — Nie jestem profesorem, abym go egzaminu słuchał, jak również uczeń ze mnie za stary; nie pójdę prosić go o naukę. Na ostatek, do miliona szatanów, po co nam mięsząc się do cudzych spraw? Czy nie możemy o czem innem mówić, tylko o ludziach? Nie stworzony jestem ani na opiekuna, ani na doradcę, ani na cenzora!

I przy ostatniem słowie uderzył kieliszkiem w stół: szkło rozprysło się i dźwięcząc rozsypało po posadce. Juljusz spuścił oczy. Wilczek pomiarkował, że zaczynał zwracać powszechną uwagę; zapanował nad sobą i przywoławszy dawny uśmiech na lica, wesoło zawołał:

— Cóż to, panowie? Nie wstyd że wam waszego próżniactwa? Nie macieź litości nad temi butelkami, które tak pokornie szyjkę ku wam wyciągają? Czyliż zapas waszej wesołości zaledwie na godzinę wam wystarczy? Rotmistrzu, brak mi serca powstawać dziś na ciebie za zły przykład, jaki dajesz młodzieży. Dość tych partyzanckich pogadank! Dopóki dno butelki jeszcze zakryte, to i na toascie nie zbędzie. Oto pełne kieliszki. I ja także umiem różne stare piosenki:

Staw butelki, nalej szklanki,
Každy zdrowie swej kochanki!

Powstało popolite ruszenie: Węgrzy ucięli swoją rozmowę; młodzież otoczyła Wilczka, który stanąwszy na krześle i wsparłszy jedną nogę o stół, z butelką węgryzna wzywał towarzystwo do ciągnięcia dalej przerwanej biesiady.

— Kochajmy się! — krzyknął Skalka, obejmując za szyję Hozzwarego.

— Zdrowie gospodarza! — zagrzmiała chórem młodzież i oficerowie.

— Co kto kocha! — wtrącił Juljusz.

— Zapewne! co kto kocha! — powtórzyli obecni, nie bacząc, że w obliczu prawdy większa część piła za własne swe zdrowie.

— Co kto ndaje że kocha! — zawołał znowu Juljusz.

Tym razem nikt nie pomyślił o sobie; wszyscy głośnym śmiechem odpowiedzieli na toast. Jeden Wilczek cisnął na krzykacza błyskawicowe spojrzenie, odrzucił kieliszek, porwał szklankę i napełniwszy ją zamorskim likworem, rzekł:

— Słusznie mówisz! Prawda jak słońce świeci z twego toastu; myśl nowa żąda nowego napoju. W twoje zatem ręce, kochany Juljuszu.

— Władziu! — przerwał Skalka — dotąd mieliśmy do czynienia z napojem, który głowy tylko zawraca; ale ten ostatni nogi zdradziecko podcina. Miej litość nad nami, jeżeli nie chcesz nóg nas pozbawić.

— Wstydz się, kapitanie! Ty, który dokazywałeś już za Prusaków, miałżebyś zapomnieć jako generał Blücher nigdy nie rejterował. Ostatni wreszcie kielich; nie dajcie się prosić. Karnawał skończony; ja za kilkanaście dni wyjeżdżam na wieś; Bóg wie, kiedy się znowu zbierzemy razem.

— W takim stanie rzeczy nie należy odmawiać — rzekł rotmistrz — za moich zaręczam; żaden się nie cofnie. Ja tylko nie dotrzymam dziś kroku, jako odkomenderowany z czynnej armji do lazaretu. Służba atoli na tem nie straci; odwołuję się do ustaw wojskowych i wzywam porucznika, aby mię zastąpił.

Węgier poparł te słowa skinieniem głowy i spojrzał na towarzysza, który potakując mu odpowiedział.

— Zawstydzasz nas, Władziu! — odezwał się jeden z polskiej młodzieży. — W mieście ze wszystkich jesteś najzwawszy, wszędzie cię pełno; ale też za to jak umkniesz do siebie na wieś, po same uszy zakopujesz się w gospodarce, z nieporównanym zapalem sadzisz kartofle, palisz gorzałkę. Nie zaręczyłbym nawet, czy wkrótce nie będziesz cukru z buraków wyduszał:

— Cóż mam lepszego do roboty? Wypełniam jak mogę moje powołanie. Zresztą czyliż nigdy nie słyszeliście, że głównem bogactwem naszego kraju jest rolnictwo; że podniesienie wartości ziemi przyczynia ojczyźnie potęgę, a tem samem jest pierwszym obowiązkiem każdego obywatela.

— Amen! — dodał Juljusz. — Prawisz jak kalendarz gospodarski. Otóż to nazywa się łączyć korzyść z zabawą. Utile

dulce, mawiał nieboszczyk mój dziadek, ilekroć stawiano przed nim butelkę węgryzna.

— Zapewne — ciągnął dalej Mysłowski — tak powinniśmy wszyscy postępować. Ależ znowu żyć samemu na wsi, nie widywać nikogo, nie mieć nawet do nikogo przemówić, wyjąwszy do podwładnych — życie takie, przyznam się, trochę za twarde. Jeszcze żonatemu pół biedy; jest przynajmniej kobieta w domu.

— Chciej tylko Jasiu szczerze się zająć — rzekł Wilczek — a niebawem nie będziesz się na brak czasu uskarżał. Co zaś do samotności? — Ja lubię samotność; przyjemniejszym mi po niej wasze towarzystwo. Nie znam nudy, i jeżeli mam otwarcie powiedzieć, tam tylko się nudzę, gdzie mię nie ma.

— Prawda, Władziu! — dał się słyszeć głos Skalki. — My także ciebie naśladujemy i tam bawimy się najdoskonalej, gdzie ty jesteś. Sądzę jednak, że nie od rzeczy był ostatni dodatek Jasia: wygodnie to na wsi mieć chociaż jedną kobietę.

— Widzieliścież kiedy w życiu co bezbożniejszego od starych bezzenników? — odrzekł Wilczek z uśmiechem, obracając się do towarzystwa. — Kapitanie, zostaw każdego własnym jego upodobaniom. Pojmujemy że przepadasz za kobietami; pozwólże nawzajem, aby i tacy ludzie oddychali na świecie, dla których płeć piękna nie stanowi koniecznego warunku życia.

— Oj Władziu! — odparł Skalka, przymrużając oko — mnie się zdaje, że ty nie masz prawa do nich się liczyć.

Juljusz wpatrzył się w koniec noża i zaczął nucić jakiegoś rokosznego wiedeńskiego walca. Wilczkowi wyraźnie nie do smaku szła rozmowa; z pośpiechem więc prosił Hoszwarego o powtórzenie początku historii, w której rotmistrz opowiadał o dziwnym fatalizmie, ciążyącym nad jedną ze znakomitych siedmiogrodzkich rodzin, nad hrabiami Belleznoj, i właśnie dochodził do miejsca, gdzie ostatni z nieszczęsnego domu wyzwiał był na śmiertelny pojedynek rodzzonego brata, gdy wszedł jego hajduk i wręczywszy mu list, stanął przy drzwiach wyprostowany, czekając na odpowiedź.

Rotmistrz uciął nagle opowiadanie i lewą ręką z niecierpliwością jął rozrywać kopertę.

Obecni ciekawie utkwili oczy w Hoszwarego, w przeczcuciu

że nadesłana nowina musiała ściągać się do całego towarzystwa, albo też, co nie podpadało wątpliwości, do porankowego wypadku. Rotmistrz przechylił się na krześle i trzymał w oddaleniu papier; pismo snąć było niewyraźne. Powoli więc mruczał pod nosem niezrozumiałe węgierskie wyrazy. Wilczek nie mógł dłużej powstrzymać milczenia.

— Jedno tylko słowo, rotmistrzu — rzekł — mów, czy Nemesz jest w niebezpieczeństwie?

— Bynajmniej — odparł Węgier, spokojnie składając pismo — nic się Nemeszowi nie stanie; jest to list od naszego pułkownika.

— Pakuje was wszystkich na tydzień do kozy? — przerwał Skalka.

— Na dwa nawet, ale o tem nie warto mówić. Lekarz pułkowy zapewne wyliczył, że tyle czasu będę potrzebował na wygojenie mego zadraśnięcia. Dla podobnej drobnostki pułkownik nie byłby zadawał sobie pracy pisania listu. Nie o nas tu chodzi. Szanowny mój korespondent donosi, że całą dzisiejszą sprawę bierze na siebie, zapewnia, iż na nikogo nieprzyjemne skutki nie spadną; ale zarazem prosi i radzi, aby gospodarz dla odwrócenia uwagi policji, o ile możliwości jak najkrócej bawił we Lwowie.

— To dobrze — odezwał się Wilczek. — Racz rotmistrzu odemnie podziękować pułkownikowi za jego troskliwość i pošlij mu odpowiedź, że jutro ze świtem wyjeżdżam na wieś.

— Otóż tu właśnie sęk! — rzekł Hoszwary. — Pułkownik daje do zrozumienia, że jutro byłoby może za późno.

— Tak mówi? Każ mu zatem oświadczyć, że dziś, zaraz, natychmiast wyjeżdżam. Panowie! po takim dniu jak dzisiejszy następne mdłemi by się wydały. Na szczęście jesteśmy razem, to mi oszczędzi pożegnalnych odwiedzin.

— Jeżeli jednak nie na rękę ci bezzwłoczny wyjazd — wtrącił Mysłowski — może jaki zaradczy środek dałby się wynaleźć. Zaczekaj — pójdę do gubernatorowej; jesteś u niej w faworze; będę ją błagał, aby wyrobiła ci u męża ulaskawienie.

— Daj pokój — rzekł Juljusz — Wilczek nie chciałby może zapłacić ceny, jaką gubernatorowa nałożyłaby na łaskę męża.

— Rozumiem — zawołał Skalka z grubym domyślnym uśmiechem. — Ja wam podam inny sposób: oto zabierzmy ze stołu butelki, z kuchni rądle, i chodźmy odśpiewać pod oknami gubernatora chór błagalny przy towarzyszeniu kuchennych narzędzi.

— Dziękuję wam za dowody waszej przyjaźni — rzekł Wilczek. — W tej chwili niepodobna mi z nią korzystać. Uwiadomienie pułkownika nie jest urzędowem, ale przyjacielskiem. Idzie o to, aby nie rozmazywać dzisiejszej sprawy, aby puścić ją w niepamięć. Dla nas cywilnych skutki byłyby mniej przykre, niż dla naszych gości, którzy, jak wiecie, ulegają surowszym prawom. Wreszcie nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Pułkownik jak gdyby odgadł, że nam brakowało treści do toastu, nastrecza sposobność wypicia strzeziennego. Hola! jest tam który? — Jędrzeju, policz ile osób i każ przynieść tyle butelek, tego oto, ostatniego — ruszaj!

Jędrzej odchodził.

— Zatrzymaj się, zaczekaj. Poślij natychmiast na pocztę; za godzinę powóz wypakowany i zaprzężony musi stanąć przed bramą. Tylko ostrzegam, nie zapomnij o niczem. Przed wyjazdem wstąp do modniarki i zapytaj, czy zamówione sprawunki gotowe? Chustki moje do nosa czy oznaczone? — krzyknął panicz za odchodzącym sługą, w obawie aby ostatnie jego słowa nie naprowadziły obecnych na niepotrzebne domysły.

Pierwszą połowę rozkazów Wilczka natychmiast wypełniono: wniesiono żądane butelki. Każdy z biesiadujących poddał się tak słusznemu podziałowi pracy. Wesołość przytłumiona na chwilę niewczesnym listem pułkownika, znowu wybuchnęła przedzgonnym jaskrawym płomieniem.

— Zostawiasz nas sierotami! — mówił Skalka ze łzą w oku. — Władziu! pozwól, niech cię raz jeszcze uściskam. Bóg wie, kiedy się zobaczymy.

— Co mówiasz, kapitanie? — wyjeżdżasz z kraju? lub co gorsza, miałżebyś zamiar całkiem wynieść się z tego świata?

— Wolne żarty, Władziu. Przypadki chodzą po ludziach; człowiek dziś zdrow, jutro w rów. Władziu, przed odjazdem pozwól, niech cię z całego serca uściskam! Jakies przecucia uczepliły mię z gardło.

— Jeżeli nie trafniejsze od tych, na jakie dziś z rana naprowadziły cię narowy siwosza i stłuczona filiżanka, mam nadzieję że nie ostatni raz padam w twoje objęcia.

— Z tem wszystkiem jednak — dodał Juljusz — niepotrzebnie nam cię odbierają; byłibyśmy swobodnie kilka jeszcze dni razem zabawili. Bez ciebie życie nasze torby sieczki nie warte.

Wilczek uderzył ręką w stół dla obrócenia na siebie powszechnej uwagi.

— Panowie! — rzekł — wiedziałem dotąd, że prawda kryje się na dnie kieliszka, ale nigdy nie mogłem wybadać na dnie którego z porządku. Otóż teraz zdaje mi się, że tym weredyktem jest przedostatni. Na dowód, słuchajcie jaka myśl mi przyszła do głowy. Rozpędzają nas, arestują rotmistrza i znacznych jego towarzyszków; słowem, odosobieniem i nudami chcą nas sprzątnąć z tego świata. Na nieszczęście atoli naszych prześladowców, trafiła kosa na kamień. Co szlachta polska i węgierska połączą, tego policja lwowska nie powinna rozrywać.

— Do rzeczy, Władziu, do rzeczy! — wołał Skalka. — Niech mię piorun trzaśnie, jeżeli słowo rozumiem.

— Zgoda! Krótko mówiąc, od dziś za dwa tygodnie pochlebiam sobie, że u mnie na wsi zechcecie zaszczyścić Władysława Wilczka waszą obecnością. Wyprawię wam małe polowanie. Zawczasu zapowiadam, że nie będziem bankietować; nie ma u mnie zbytku, ale czem chata bogata, tem rada. Jakże? czy mam spodziewać się szanownych gości?

Skalka z trudnością dzierżył się na nogach; uczuł nadto, że nie oprze się rosnącemu coraz wzruszeniu i zaryczał głośnym płaczem:

— Co? czy przyjedziemy? — kochany Władziu! — zestarejemy, pomieramy u ciebie — na mój honor! — to mi prawdziwe szlacheckie dziecko! — Żyj setne lata! — Wiwat! — Hurra! — Władziu! — łotrze nad łotrami — niechże cię uściskam! —

— Zgoda, zgoda! przyjedziemy! obiecujemy! — odpowiedzieli oficerowie i młodzież polska.

— Tego mam za szelmę, kto się nie stawi na słowie! — wrzasnął Skalka.

Ale gwar do tego stopnia już powstał, że nikt nie uważał na trochę rażące warunki kapitana. Ostatnie butelki leżały już wywnętrzane pod stołem. Jędrzej, ubrany po podróżnemu, wszedł, podając panu szubę. Wilczek uściskał kolejno obecnych, zbiegł, rzucił z powozu jeszcze jedno pożegnanie, raz jeszcze powtórzył obietnicę przyjazdu i zaprosiny. Pocztyljon zatrąbił i niebawem daleki tylko odgłos trąbki oznajmił o kierunku, w jakim się panicz oddalał.

III.

Dziwny to poranek po przepędzonej na balu bezsennej nocy.

W uszach dźwięczą jeszcze powtarzane ciągle tony tego samego mazura lub walca; głowa ciąży ołowiem, krew niby uspokojona zaszaleje czasami w żyłach, a gdy powiędną różę, rozpuszczą się włosy, ucichnie melodia i światła tej nocy pogasną — w pozostałem wrażeniu nie ma ani jednej iskierki wczorajszego uroku — fantastyczny tylko kościotrup balu grzegeoce piszczelami i uwija się natrętnie przed rozstrojonym umysłem. Jakie to sny dziwne chodzą wówczas po ludziach, jakie wyrazy przesłaniają się po licach! wszystkich kolorów, wszystkich tanów! od jednych nie mógłbyś się oderwać, od drugich uciekłbyś na koniec świata!

Chętnie atoli zniósłbyś drugie, gdyby ci tylko wolno było popatrzeć na pierwsze.

Gdyby tajemnicza ręka otworzyła ci, ten oto mały narożny pokoik, do którego trzeba przedzierać się przez izby zaludnione fraucymerem pani Sokolnikowej i jej córki.

«Ostrożnie stąpaj! mówiłby ci duch twój przewodnik; dziecię tak lekko śpi! najmniejszy szelest je zbudzi.» Zbliżasz się więc na palcach; z razu nic nie spostrzegasz; światło cały blask swój zostawia na drugiej stronie grubej, zielonej z jedwabiu zasłony; resztki tylko białych promyków przemykają się ukradkiem do środka; powoli, przyzwyczajasz wzrok do tego zmierzchu, wszystkie zmysły w jedno widzenie zestrzelasz i ozierasz się do koła.

Na stoliku leży zwiędły bukiet z wczorajszego balu — jakiś romans francuzki cienką dzierganą chusteczką przed okiem matki zakryty, przyciśnięty niedbale rzuconym wachlarzem. O kilka kroków, błyszczą na podłodze biały atlasowy trzewiczek z dwiema srebrnymi wstążeczkami, rozkrzyżowanymi jak gdyby w swoje objęcia drobną nóżkę zapraszały.

Pomknij się dalej, ku alkowie, gdzie przejrzyste fałdy musliu spływają na łóżko przez pół rozdartym strumieniem.

Z początku wszystko ci wydaje się mglistem, obłocznem, lęszasz się rozeznawać, nie rozeznajesz kształtów, tylko nad łóżkiem perli się na białem tle różaniec z uwiązaniem na końcu medalikami i błyszczą mały obrazek Najświętszej Panny.

Zakładasz ręce na piersiach, wstrzymujesz oddech i patrzysz.

Dwie rączki złożone jedna na drugiej; na tych rączkach spoczywa wytwornych kształtów głowa z zamrużonemi oczyma. Z nad czoła płynie w nieładzie zwój włosów, czarną wstęgą wije się po szyi, igra promykami po pół-odkrytem dziewiczym łonie. Napróżno pierś chciałaby go odrzucić, ile razy podniesie go w górę, wnet kruczy strumień łagodnie na dół opada i kołysze się na swem łabędziem wezglowiu. Perłowe zębki dziewczyny z rozchylonych ust przeświecają; patrz! — słuchaj! — uśmiechnęła się czy westchnęła —! podobno jedno i drugie zarazem. Jeżeli uśmiech dla ciebie, jeśli westchnienie ku tobie — powiem ci słowa Hafiza: niech motyl twego pocałunku spocznie na róży jej ust, a teraz znikaj, uciekaj! — dziewczę przebudzi się z żalem że sobie sen tak rokoszny przerwało.

Z uśmiechem jeszcze oczy przymruży pragnąc dogonić uciekającego, ale poznawszy daremność zachodu, po chwili na pół gniewnie, na pół wesoło różanemi palcami przetrze powieki i senne mary porzuci dla zwykłej dnia rzeczywistości.

Tymczasem kiedy dziewczyna tak się przebudza, w całym domu oddawna wszystko już na nogach. Sama pani Sokolnikowa nie chciała dłużej używać wywczasu. W obszernym podwłósniku zasiadła przed gotowalnią i słucha plotek, które, czesząc ją, garderobiana opowiada, zwłaszcza o żeńskiej części lwowskiego towarzystwa.

Pan domu także ubrał się wcześniej; on który najwięcej potrzebował spoczynku, nie mógł wyleżeć na niewdzięcznej pościeli. Troski jak komary brzęczały mu w poduszkach; powstał, przeszedł do swego gabinetu, jął przerzucać papiery, rachunki i kilka listów świeżo z poczty nadeszłych.

Sokolnik był sam.

Powszedni, właściwy naturze jego ducha wyraz, twarz mu zalegał; pod nachmurzonymi brwiami znikła wczorajsza pogoda oczu, pod zmarszczkami przepadł uśmiech na chwilę go podczas balu nieodstępujący.

Na drodze życia, równie jak każdy człowiek, i on spotykał zawady. W młodości lekko je przeskakiwał, w dojrzałym wieku siłą roztrącał, teraz jednak gdy włos mu pobielał, a przeszkody głębiej w ziemię wrastały, wyżej i częściej się przed nim wznosiły, poczuwał brak przewyciężających je środków. A tu niepodobna było obniżyć tonu przybranego od początku życia, a tu ciężżyły mu na głowie wymagania wszechwładnej żony, a może i dręczyły serce: szczęście i przyszłość jedynaczki córki.

Urodzony w pańskich pieluchach, ze znakomitem w kraju nazwiskiem i z hojnie wystarczającym do utrzymania go majątkiem, miał swobodnie rozsiać się na wezłowiach swego światowego położenia i starać tylko o utrzymanie dawnego splendoru domu, lub o przyczynienie mu blasku zyskanemi przez siebie zaszczyty.

Taką przynajmniej przyszłość marzył dlań ojciec jego, pan kasztelan przemyski, który w tym celu wyłącznie dał synowi stosowne wychowanie.

Było to właśnie podczas owych ciężkich przedletargowych chwil Polski.

Pan kasztelan, z razu nieuradowany z wyniesienia na tron równego mu szlachcica, w kilka dopiero lat dał się udobruchać; szczerze ujął się partji królewskiej i później z rozrzewnieniem nawet przyjął dwie gwiazdy Orła Białego i Stanisława, które spadły mu na piersi.

Powoli, przyzwyczaił się widzieć w Poniatowskim urodzonego króla, wynalazł (co mu przyszło z łatwością) pokrewieństwo między swoją rodziną a Ciołkami, rozpiął więc nad sobą szmatę

baldachimu królewskiego i usiłował wcisnąć się chociażby pod kawałek łachmana monarszej purpury. Usiłowania te wywierały na okolicznej szlachcie wielkie wrażenie. Pan kasztelan podrósł o trzy łokcie, gdy sprowadziwszy z Warszawy kopję wizerunku królewskiego przez Bacciarellego, pokazywał go sąsiadom i porównywał z portretem swojej babki, upatrując familijne podobieństwo: to w oczach, to w ustach, to w ręce, lub składzie głowy.

Podobne pierwsze pojęcia obijały się o umysł syna, który w dziecięcych latach widział tylko dwie postacie rysujące się na widokregu jego wyobraźni: Króla Stanisława w Warszawie i ojca w galicyjskim jego pałacu; żadnego z nich osobno nie pojmował; zdawało się mu że jeden był dopełnieniem, koniecznym warunkiem bytu drugiego.

Tymczasem nowe burze na kraj nadciągały. Smutne jakieś dźwięki przelatywały przez powietrze; wiatr żałośniej jęczał na ziemi polskiej; kwiaty od słońca, od dżdżu wędły w samych zawiązkach, po chmurnem niebie przeciągły długie klucze tęsnych źórawi, smętarne jakieś wyziewy trwały wiosenne oddechy; i nie mogło być inaczej. Przesławna Polska waliła się z swych posad, i jeżeli byli ludzie obojętnie na powaloną pogląający, serdeczniejsza od nich natura mnogiemi zjawiskami objawiała bolesny przestrah.

Wtedy to pan Tadeusz w krakowskiej sukmance, pochwyił kosę, gromko huknął na tak zwane w Polsce pokolenie Chama; i od Łstwy aż do Wielkopolski, po kniejach i jarach, wszędy bratnie głosy mu odpowiedziały; przemówił Chrystusowemi słowy do ludu i wnet na polach racławickich śród huku i dymu, na działach nieprzyjacielskich zabłyśły piki i kosy, zabielały wieśniacze kierezje.

Taki to olbrzymi hymn poświęcenia zawodził naród; ale ci którzy stali za jego obrębem, głuszyli łabędzią pieśń chrzypkami wrzaski, i — krwawe upiory wirując w samolubnych kołach zaślepienia i nieprawości, zamiast gojenia ran matki, ostatnią krew z niej wysysali.

Kasztelan należał do tych ostatnich. Nie łączył się z wzburzonym motłochem, ale jak przystało na magnata spokrewnionego z Ciołkami, stale trzymał z królem; zaszczycony był

pensją w złocie obrączkowem od Imperatorowej, a gdy go wezwano do otwartego objawienia swoich zdań, zły duch roz-targowiczony w jego ciele na wszelkie bezprawia, pierwszy rzucił klątwę na tych wszystkich, którzy z Rejtanem lub z Kimbarem, śmieli opierać się najwyższej woli carycy.

Po ostatnim rozbiore kraju, Austrja, która bez dobrodziejstwa inwentarza część swoją przyjmowała, otrzymała także kasztelana wraz z jego majątkami. Króla zmieciono z tronu, wypchnięto z kraju i odesłano na urągowisko nad fińską zatokę.

Pan kasztelan nie miał co czynić w kraju, tak dalece ogolonym z przyzwoitej narodowej reprezentacji; z przyjemnością więc poglądał na podwyższenie towarzyskiego swego stanowiska: oczywiście bowiem, z poddanego królewskiego przechodził na apostolsko-cesarskiego, czczą zaś godność kasztelańską zamieniał na dziedziczny tytuł hrabi państwa rzymskiego. Słodkie to uczucie tem goręcej go przejmowało, że jejmość pani kasztelanowa, z domu starościanka Ustrzycka, jeszcze w 1776 roku obdarzyła go była jedynakiem, który tym niespodzianym przewrotem ojczystej fortuny, z drażkowego kasztelanica nagle budził się hrabiczem jak najrzeczywistszym.

Ojciec z dumą poglądał na malca; nie mógł, dla dobra dziecka, dość nacieszyć się przemianą politycznego położenia.

W istocie, chłopiec dawniej byłby pod wąsem a zawsze nazywano by go kasztelanicem; chyba sam, własną zasługą czegoś lepszego byłby się dechrapał; dziś malec jeszcze z psaków nie wyszedł, już był zupełnym hrabią, niby służna jaka osoba.

Tu nastęczał się trudny sęk do rozbitcia. Kasztelan często łamał sobie głowę jakieby wychowanie dać paniczowi, który z Sarmaty posunął się na Austryjaka.

Los pomyślny nie opuścił zafrasowanego ojca. Francja właśnie kipiała wówczas najgwałtowniejszym warem i szumowiny swojej ludności wyrzucała za granice nowych departamentów. Zaczem, pudrowane markizy i wiskontowie, szewalierzy i Pabbowie, w tanemistrzowskich podskokach unosząc przed rozmachaną gilotyną fryzury i głowy, upstrzyli Niemce

z nadewszystko na rościęz zawądy dla oudroziemców otwartą Sławiańszczyzną.

Szożęście wniosło w dom kasztelański jednego z takich l'abbów, czyli jak ich u nas nazywano: labusiów.

Pan kasztelan nie posiadał się z radości; l'abbé wyglądał na człowieka wyżytego w świecie; slysział był już przedtem nieco o Polakach, w Paryżu bowiem znał był przed laty kawalera Boufflers i przyjaciela jego szambelana Trembickiego, Delilla polskiego, który północną swoją naiwnością i zakrojem dowcipu, przez niejaki czas zwracał głowy najpięknijszymi kobietom stolicy.

L'abbé Lasini (z włoskiego znakomitego rodu pochodził, głosił się nawet krewnym Mazarinich) z niewypowiedzianą pociechą kasztelana, wtajemniczonim był do wszystkich prawie zabawniejszych intryg francuskiego dworu. Pamiętał świetne czasy pani Dubarry, przywiózł był z sobą jedną jej rękawiczkę i błękitną kokardkę, o której pochodzeniu mówiąc, z uśmiechem wspominał godło pierwszego angielskiego orderu.

Temu to prałatowi kasztelan powierzył syna z duszą i z ciałem. Czas niebawem przekonał, że czuły ojciec nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach.

Młody hrabia w piętnastym roku życia, według zaręczeń Lasiniego, przywoził mu na pamięć błyszczącą francuską młodzież. Fechtował się jak St. Georges, tańczył jak Westris — dwa te talenta sam Lasini w wysokim stopniu posiadał, z jakim zaś wdziękiem niedbale rzucał się na wznak w krzesło i założywszy nogę na nogę, prawil damom grzeczności, o tem trzeba było naoznie się przekonać, gdzież bowiem pióro zdolne oddać motylkową lekkość zachwycającego panicza?

Z historii powszechnej młody hrabia nauczył się od swego mentora ważniejszych przygod zaszyłych w Trianon, w Jelenim Zwierzyńcu, życiorysów La Valliery, Pani Pompadour, księżnej Châteauroux; z narodowej, znał na palcach własny rodowód po mieczu i kądzieli i ważniejsze zdarzenia, jakoteż dowcipne słowa w różnych nagłych okolicznościach, trafnie przytoczone przez antenatów. Głównie — co mu też w świecie nadawało znaczną przewagę — celował w kilkowrazowych, dziwnie zwięzłych określeniach. Gdy się zgadzało o Bogu, o życiu za-

światnem, o ojczyźnie, o społeczeństwie, o sławie, lub w ogóle o jakimkolwiek uczuciu, o jakiejkolwiek zasadzie, kasztelanicy czyli raczej hrabicz, jednym krótkim frazesem, ale w którym zwierzał bezmiar najzabawniejszych spostrzeżeń, wszystkim zamykał usta. Nie było co odpowiedzieć; najściślejsze rozumowania w same piersi przebijał szpadką swego dowcipu, czasami wprawdzie z przerażeniem kobiet dawnego autoramentu, ale zawsze z powszechnym aplauzem mężczyzn.

Kasztelan pomyślił że grzechem było taki klejnot zamykać w domowym skarbcu i nie poszczycić się nim przed światem.

A propos! — zapomniałem powiedzieć że śród tych pedagogicznych zatrudnień, pani kasztelanowa umarła: pochowano ją w familijnym grobie. Lasini miał na pogrzebie długą francuską mowę; wszyscy obecni a nawet sam ekonom, zanosili się od płaczu.

Kasztelan więc powtarzam, chciał syna wyprawić na widownię świata, sam zaś ukryty w kulisie swego pałacu, poić rżęnistemi oklaskami publiczności. W tym celu, pewnego wieczora kazał przywołać do siebie Lasiniego.

Mentor wszedł; zastał kasztelana rozciągniętego w obzer-nem wolterowskim krześle.

— Mości l'abbé, rzekł mu stary dygnitarz; mam z tobą do pomówienia o nader ważnych rzeczach.

— Słucham z głęboką uwagą, odparł Lasini, rozkraczywszy się przed kominkiem i obracając w dwóch palcach tabakierkę złotą, z portretem jakiejś piękności w mitologicznym stroju.

— To dobrze; znam waszą francuską pojętność; wiem że czego nie potrafię wypowiedzieć, sam w myśli dopełnisz.

Francuz lekko skłonił głowę.

— Dotąd byłeś nauczycielem mego syna. Dzięki zobopólnym naszym staraniom, wychowanie zupełnie nam się powiodło. Dziś, chłopiec wyrósł z lat dziecinnych i nie pedagoga potrzebuje ale przyjaciela. Nie wątpię że nowemu powołaniu jak najdoskonalej odpowiesz.

Lasini strzepnął z żabotku źdźbła hiszpańskiej tabaki.

— Krótko więc i węzłowato, od razu przystępuję do rzeczy. Syn mój głowę ma już należycie umeblowaną; czas go wyprowadzić na świat, gdzie tużę, że oba za niego się nie

powstydzim. Kiedy mówię o świecie, pojmujesz że nie rozumem przez to ani Lwowa, ani Warszawy, głuchej od czasu jak ją opuścił najmiłościvszy kuzyn mój i król — ale Wiedeń. Za kilka dni wyprawiam was do Wiednia; pomyśliłem jakby wam przygotować pochlebne przyjęcie i rozpisałem potrzebne ku temu listy. Książę Kaunitz, któremu w ostatnich krajowych wypadkach miałem zaszyt oddać pewne ważne usługi, łaskawie raczył mi obiecać że weźmie syna mego na swoją porękę, a nawet że zbliży go de Cesarskiego Majestatu. Za jego pośrednictwem, wejdziecie w pierwsze towarzystwa, będziecie ocierać się o najznakomitsze w państwie osoby; pamiętaj więc aby chłopiec nasz wszędy znajdował się, jak wypada na potomka znakomitej rodziny, spokrewnionej niegdys z tronem polskim — aby zyskiwał sobie fawor ludzi mających wpływ u dworu, i unikał niepotrzebnych znajomości, a nadewszystko zgubnych pojęć jakimi ojczyzna twoja świat teraz zapowietrza. Niech jak najczęściej stara się pokazywać na oczy księciu Kaunitzowi i ministrom, a zawsze skromnie, pokornie, z czcią i z uległością, gdyż są to wielcy ludzie i tak głębocy politycy, że dość im jednego spojrzenia do przeniknięcia na wskroś i do ocenienia człowieka. Mam nadzieję że syn mój z czasem może się u dworu na coś przydać, a wówczas przy łasce księżęcej nie przewiduję kresu jego karjerze.

Długo jeszcze kasztelan w tym duchu rozprawiał i tłumaczył Lasiniemu szczegóły ich postępowania na przyszłość. Francuz święcie przyrzekał stosować się we wszystkim do udzielonych rad. Przywołano nareszcie hrabicza i odrazu odkryto przed nim widok promiennych nadziei. Chłopiec podskoczył z radości.

— Wydostajemy się przecie z tej pustyni! zawołał uszczęśliwiony; co za cudowna przemiana! — Ja zawsze mówiłem że papie jednemu przychodzą do głowy te ogromne myśli, w jednej chwili na miejscu zawracające całą kolej życia. Do Wiednia! — Lasini, czy pojmujesz całą potęgę tych słów: — wyjeżdżamy do Wiednia!

— Dość tego moje dziecię, odrzekł kasztelan uradowany szczęściem syna. Oto już zaraz na wstępie, muszę dać ci zbawienną naukę. Powstrzymuj się od wszelkich gwałtownych

wybuchów, czy to wesela, czyli też smutku. Człowiek w twojem położeniu nigdy nie powinien ani się martwić, ani cieszyć. Zostaw to ludziom niższego rzędu, źle wychowanym, u których serce i myśl zawsze na dłoni. Teraz ruszaj i pomyśl o przygotowaniach do podróży.

W kilka dni po tej rozmowie, chłopiec z radością pożegnał się z ojcem, wzruszył ramionami poglądając na jednostajny widok rodzinnych miejsc i myślą dawno już hasał po Wiedniu, podczas gdy ciężki powóz włócił jeszcze ciało po ziemi ojczyściej.

Lasini, na stopie zupełnie przyjacielskiej z uczniem, przez drogę dawał mu poznać odcienia różnych warstw miejskiego towarzystwa, odkrywał fortele kobiece, rzeczywistą wartość przysiąg miłosnych, sposoby korzystnego przedstawiania się w świecie; słowem usiłował w wydatnych zarysach wyłożyć mu kurs toalety i obrotów w stolicy, tak, aby w każdym wypadku panicz umiał sam sobie poradzić.

Ziarna mądrości mentora padały na wdzięczną glebę.

Hrabicz usprawiedliwił powzięte o nim nadzieje. Od razu wlaź w pierwsze wiedeńskie towarzystwa, umiał zwrócić na siebie przenikający na wskroś wzrok księcia i ministrów, z religijną czcią przyjął kilka słów jakie wielcy politycy nań upuścili. Słowa te wysłyszane lub z ręcznie powtórzone, czarodziejską mocą nosiły go po wszystkich wyherbowanych salonach, nastroczały znajomości, zaproszenia, ustalały powszechnie wysokie mniemanie o jego urodzeniu, o majątku, o stosunkach. Sam nawet hrabia Metternich, późniejszy książę, cesarski minister i kanclerz, a który podówczas już szybko rósł w łaskę i znaczenie, odróżniał kasztelanica wśród tłumu stołecznej młodzieży, i w przeciągu jednego roku dwa razy go na obiad zaprosił.

Tu dopiero i Lasini pokazał jak biegłym był sternikiem, jak znał wszystkie skały ukryte pod falami szumnego pańskiego życia; jak niektóre umiał wymijać, inne zaś rozbijał śmiałością uderzeniem.

— Na śliskiej jesteś drodze, mawiał często do swego ucznia; wprawdzie utrzymują cię podpory nadane przez los, ale nie dość na nich; trzeba także samemu niektóre sobie wydobyć,

trzeba światu wbić w pamięć swoją osobistość: inaczej będą mile cię przyjmowali, ale uczucie to nie dłużej potrwa od przelotnych kilku chwil twoich odwiedzin.

Panicz uznawał słuszość rad przyjaciela, pytał go więc jak ma sobie postąpić dla osiągnięcia tego talizmanu. Francuz, za całą odpowiedź kazał mu wieczorem zdawać rachunek z dziennych wypadków i postrzeżeń, rozbiarał je, objaśniał awagami, z resztą zaś zalecał cierpliwość i niczem nie zachwiany takt w postępowaniu.

Pora do działania niebawem nadeszła. Lasini bacznie śledził żywioły wchodzące w skład światowych stosunków swego wychowanka, zanim nareszcie takie wynalazł, jakich potrzebował do swoich zamiarów.

Dotąd, młody hrabia wiódł po większej części z towarzystwem bój odporny, uzbrajał się i zaprawiał do czynnego wystąpienia na własną rękę; teraz, jeżeli sam przez się chciał co znaczyć, powinien był wypowiedzieć walkę zaczepną, dać w niej dowody męstwa i szczęścia zarazem.

W tym celu Lasini tak samotrzask urządził, że za pociągnięciem sznurka, kasztelaniec powadził się z jakimś opasłym styryjskim baronem i następnie pohnął go szpadą.

Pierwsza podpórka była już gotową.

Dalej, Francuz zaznajomił się z pewną damą nie pierwszej młodości ale znakomitego urodzenia, nadającą ton modnemu światu i lubiącą wesołość a tem samem i młodzież.

Do tej to Kalipso, mentor wprowadził swego Telemaka, ale całkiem przeciwnie postępując niżeli bohater Fenelona; zamiast zrzucenia go ze skały, starał się zatamować mu wszystkie sposoby ucieczki z zaczarowanej wyspy.

— Nic, prawil l'abbé uczniowi, nie daje młodemu człowiekowi tak przyzwoitego w świecie stanowiska jak związek z rozumną kobietą, która sama zna życie i umie z pozyskanego wpływu korzystać dla swego ulubieńca.

Kasztelaniec wkrótce zajął to przyzwoite stanowisko; Lasini zrećcznie rozpuścił po salonach wieść z stosunkach młodego polskiego grafa z księżną; nowy też adept do tajemnic alkowy, w kilku tygodni podrośł, zmężniał, spowaśniał, doleko pewniejszym tonem się odzywał, zwy-

czajnie jak człowiek który poznał głęboką, zasadniczą prawdę.

Minał rok jeden i drugi. Młody hrabia, z gościa stał się w Wiedniu jednym z miejscowych gospodarzy; przybywająca młodzież starała się o jego znajomość; kobiety widząc w nim człowieka ustalonego, zwierzały się mu z tajemnic; śpiewaczki i tancerki ubiegały się o jego oklaski; fjakry nie poznawały w nim cudzoziemca tak płynnie mówił wiedeńskim dja-
lektem.

Lasini zacierał ręce z radości; pedagog do szczętu znikł w przyjacielu; oba wprawdzie mieszkali w tym samym domu, ale każdy na osobnem piętrze, schodzili się tylko razem na śniadanie, czasami na obiad, lub wieczorem spotykali w jakim salonie.

Kasztelan odbierał częste listy od syna, częstsze jeszcze od jego przyjaciela.

Pierwsza połowa tych korespondencji wprawiała go zwykle w zachwycenie i łagodziła kwaśny humor w jaki wpadał na widok drugiej. Listy Lasiniego nieodmiennie kończyły się przeciągniętymi rachunkami; syn zaś zapewniając ojca o dozgonem przywiązaniu i posłuszeństwie, polecał się łaskawej jego pamięci i wyraźnie dawał do zrozumienia że życie w Wiedniu drogie, zwłaszcza dla ludzi goszczących w wielkim świecie i zmuszonych utrzymywać przyzwoity ton. Odpowiedzi ojca, przeciwnie, zaczynały się od uwag nad wydatkowaniem, od oznajmień o przesłanych pieniądzach, na ostatku dopiero ukazywały się czule rodzicielskie wynurzenia. Z tego wypadło, że jeżeli syn najciekawszym był początku, ojciec nawzajem rad byłby przesłąpić koniec. Należy wszelako oddać słusność kasztelanowi, że w duszy nie miał jednakowi nic do zarzucenia i że nigdy przywiązanego synowskiego serca odmową nie zraził. Byłby nawet sam chętnie zjechał do Wiednia, ale nie mógł przyzwyczać się do przebywania w miejscu, gdzie nikła jego wielmożność. Do życia, oprócz czterech żywiołów, koniecznym mu był jeszcze piąty: czapkowanie. W pałacu, w dobrach, wszyscy go się bali więc czapkowali; we Lwowie jedni go znali, drudzy potrzebowali, także więc wybijali pokłony; zgroza atoli go przejmowała gdy pomyślił że w cudzo-

ziemskim mieście, mało komu znajomy, szczególnym przypadkiem mógł piechoto wyjść na ulicę i oberwać kuksa od pierwszego lepszego szubrawca. Na tę myśl kasztelan po jędcyżnym się nadymał, kamieniem siedział na wsi i byłby bez wątpienia do śmierci nie ruszył się ze swego pałacu, gdyby nie list od Lasiniego w którym tenże oznajmiał że młody hrabia w skutek zabiegów księżnej, starań możnych przyjaciół i względów mistrza ceremonji, ma być mianowany cesarskim szambelanem. Francuz przebąkiwał wprawdzie o pewnych trudnościach, ale te, dodawał, przy podjęciu stosownych poświęceń i zręcznym obrocie sprawy, łatwo dadzą się usunąć.

— Tak jest! wołał kasztelan rozpromieniony, usuniemy je! Na pana Boga klę się że usuniemy, chociażby nam przyszło ostatnie siły i ostatni grosz wyłożyć! Zostaniemy szambelanem, choćbyśmy mieli całe piekło poruszyć!... Jasnie Wielmożny szambelanie, mówił, kłaniając się jak gdyby syna widział przed sobą — jakże zdrowie pana szambelana? — niech pan szambelan raczy usiąść — ha ha ha! — przewybornie! — Malec niedawno temu po dziedzińcu na kiju się uwijał, dziś już szambelanem. Proszę uniżenie! — Hola! zwołać mi pana marszałka; najdalej po jutrze wyjeżdżam do Wiednia.

Dwóch pokojowców wpadło, każdy z przeciwnej strony. Kasztelan nie śmiał prowadzić dalej monologu, spojrział tylko ukradkiem na wizerunek króla Stanisława i dodał po cichu: «Najjaśniejszy Panie, przybywa ci do rodziny jeden młody szambelan — szambelan — słyszysz królu?»

Król nic mu nie odrzekł i nie dziw: Stanisław August był to zawsze król malowany, inaczej byłby choć litościwie spojrział na człowieka, całego olśnionego blaskiem szambelaństwa, potomka tej butnej szlachty, która niegdyś pytała zali na jej głowie zmieści się monarsza korona.

W tydzień później, kasztelan spadał jak bomba na obu przyjaciół, uściskał syna, uściskał Lasiniego, pozdrowił nawet starego Mateusza, wysłużonego kamerdynera dodanego paniczowi.

Oczywiście, los na całe gardło śmiał się do starego swego.

ulubieńca. Zawady o jakich Francuz w liście mu donosił już nie istniały; poprzężono pod nimi, powywracano jedne po drugich; kasztelan od wczoraj był szambelanem. Lasini napomknął że pan hrabia musi być zmęczonym po podróży; kasztelan bynajmniej nie czuł znużenia — przeciwnie, zdawało się że o kilka lat odmłodził i na dowód wręcz oświadczył, że tego samego dnia pragnie złożyć swoją attencję księciu kanclerzowi, mistrzowi ceremonji, księżnie protektorce, wszystkim łaskawym opiekunom syna i każdemu z osobna podziękować za pomoc w zaszczytaniu jego domu tak znakomitym faworem.

Jak rzekł tak się stało. Księżę Kaunitz go nie przyjął; mistrz ceremonji łaskawie odebrał pokłony, księżna okazywała mu uszanowanie; znajomi zaś nie odmówili zaproszenia na sutą stypę in gratia m zdobytego przez kasztelanicę szambelańskiego klucza. L'abbé przy końcu uczy z gracją odspiewał bachiczne zwrotki.

W kilka dni potem, na samym wyjeździe, kasztelan dowiedział się dziwnym przypadkiem umyślnie przez Lasiniego nastawionym, że panicz miał ogromne długi, że obrączkowe jego dukaty, od ś. p. imperatorowej może jeszcze pochodzące, toczyły się po różnych zielonych stolikach, lub tańczyły na deskach dworskiego teatru. Na tę wieść gniew zdjął go srogi, ale konie stały już zaprzężone, burza nie mogła trwać długo; Lasini pomagał ojcu w gromieniu syna, wszelako obiecywał zań poprawę; kasztelan pół gniewnie, pół czule, pożegnał szambelana i opuścił Wiedeń.

Jeszcze powóz nie był zawrócił w poprzeczną ulicę, kiedy świeży dygnitarz padł w objęcia przyjaciela.

— Victorial zawołał; długi nasze popłacone; siły żywotne naszego kredytu wzmogły się o sto procent.

— Lasini otarł łzę rozczulenia.

Odtąd, kasztelan nie zaglądał więcej do stolicy. Panicz szybko czas pędził przed sobą. Lasini opuścił go; oszczędził sobie znaczną summę na edukacji swego wychowanka na wsi i na wydatkach jego w Wiedniu i z tą wyjechał do Francji, gdzie cesarz Napoleon wywróciwszy Rzeczpospolitą, pogodził był tem samem rząd swój z papieżem i przyzwał

na powrót wychodzców i księży wypędzonych przez rewolucję.

Związek szambelana z księżną trwał ciągle, chociaż obie strony kolejno i często go przerywały. Mistrz ceremonji zawsze witał swego klienta z równie życzliwym uśmiechem: cesarz nawet w przeciągu kilku lat, trzy razy raczył nań zwrócić miłościwą uwagę. Dalsze jednak godności wcale się nie pokazywały; zewsząd ciskał się do nich tłok Niemców, którzy pomimo że nie wyrównywali w pokorze synom czeskich lub polskich magnatów, atoli na mocy prawa rodowitości, mieli nad nimi niezaprzeczone pierwszeństwo. Samo wreszcie błędne, nieszczęsne, ale nie mniej głębokie społeczenie, jakie podówczas wiązało Polskę do Francji i do Napoleona, niekorzystne światło rzucało w Wiedniu na tych nawet polskich magnatów, którzy zdaleka wietrząc grób St. Heleny, zamiast walczenia pod cesarowemi orły, w dworackiem upodleniu składali u stóp Franciszka klątwy przeciw korsykańskiemu przywłaścicielowi.

Kasztelan pomyślił że nadchodziła pora ustalenia losu syna, że panicz z lichwą wypłacił dług młodości i powinien był ustatkować się, czyli wyraźniej mówiąc, ożenić.

Pisał więc do niego, czyli nie ma tam gdzie pod ręką jakiej bogatej księżniczki, niekoniecznie spokrewionej z którym z udzielnych domów niemieckich, ale nieodzownie posażnej; interesa jego bowiem wymagały znacznego napływu kapitałów. W razie gdyby czegoś podobnego nie było na podórzedziu, polecał mu, aby już od biedy wziął sobie jaką majątną hrabiankę, kolligatkę nowego księcia kanclerza lub w ostatecznym razie którego z wysokich dostojników państwa. Oznajmiał nareszcie że po raz ostatni przysyła pieniądze na spłacenie długów, które gdyby w tymże stosunku dalej miały się rozwijać, przeszłyby już nietylko chęci jego ale i możliwość?

Szambelan odpisał list w sposób zupełnie zaspokajający, uroczyście przyrzekając dołożyć wszelkich starań w wyszukaniu na synową żądanej księżniczki, lub w ostatecznym razie hrabianki i przysiągł zarazem że ojciec nadał o żadnym wierzyteliu słyszeć nie będzie.

Młody dygnitarz pomimo najusilniejszych starań, w żadnym z tych dwóch względów nie mógł dotrzymać obietnicy. Książęta i bogaci hrabiowie przyjmowali jak dług należny polską czołobitość, z kądną atoli dobrze wiedzieli że pan konkurent był świeżo utytułowanym szlachcicem, nie tak znowu zawzięcie mającym, aby mógł się być obejść bez mitry lub korony pokrytej niemiecką starodawną pleśnią. Ztąd, skoro przeczuwali hymenowe zabiegi, wnet zwykły uśmiech zmieniali w zmarszczki oziębłości, i grzecznie odprowadzali panicza z kwitkiem.

Kasztelanowi nie mogło pomieścić się w głowie jakim powodem syn nic mu nie donosił o małżeństwie, podczas gdy zdawało się dochodziły go głuche wieści o wierzycielach, którzy niby Tytani, przywaleni wulkanem szambelańskich zagrożeń, podnosili ryczące głosy i z niecierpliwością wyglądali śmierci ojca Jowisza, aby po weksłowych szczeblach wdrzeć się do hypotecznego Olimpu.

Stary magnat przeczuwał że na tej drodze komedia wie-deńskiego życia mogła rozwiązać się tragicznie dla jego majątku, postanowił więc przeciąć pasmo złego póki czas był jeszcze po temu. Nie ufając już w małżeństwo z księżniczką, sięgnął po rozum do głowy, obejrzał się po dawnych swoich stosunkach i niebawem wpadł na zaradczy środek.

O kilkanaście mil od jego dóbr, mieszkał JW. Wojewoda ***, dawny i poufały niegdyś znajomy.

W młodości, oba panowie żyli z sobą w przyjaźni, ale na sejmie czteroletnim Wojewoda coś półgębkiem zaczął popierać Andrzeja Zamojskiego i kodeks przez niego wypracowany, któremu kasztelan jako najohydniejszemu pogwałceniu szlacheckich prerogatyw, z głębi duszy był przeciwnym. Okoliczność ta zubożyła między nimi stosunek; widywali się niekiedy we Lwowie, ale jeden do drugiego nigdy nie jeździł.

Wojewoda miał obszerny, chociaż nieco podziurawiony majątek, do tego trzech synów i dwie córki czyli ekspektatywę gęstego podziału; natomiast lada zagonowiec wiedział że przez prababkę spokrewnionym był w trzecim stopniu z królem Leszczyńskim, w szóstym przeto z Ludwikiem XV. potomkiem

uczciwej Burbońskiej rodziny, w dwunastym zaś z Ludwikiem XVIII. zastąpionym w obecnej chwili na tronie przez cesarza Napoleona Bonapartego, o którym mówiono już, że zamierzał być zięciem Franciszka I. wszechwładcy Austrii z przyległościami.

Tyle to niezaprzeczonych wyższości pan wojewoda miał nad kasztelanem; ostatni więc w braku żądanej Niemki zapragnął przez alians z jego domem wchłonąć w siebie jedną piątą część tych splendorów i wtedy zostawić synowi, oprócz własnego pokrewieństwa z Królem Stanisławem, kolligację z Ludwikiem XVIII., w stopniu czternastym, pomnożnym przez pięć — liczbę wojewodzciców i wojewodzianek, czyli w stopniu siedmdziesiątym.

Były to wprawdzie stosunki trochę dalekie, ale zawsze były — nadto pan wojewoda przestałby już mieć prawo przewodzenia mu swemi związkami familijnymi, syn zaś pojawiający jego córkę za żonę przecieżyby się ustatkował i szczerze zajął swoim wyniesieniem.

W tych ważnych przedsięwzięciach, główne niebezpieczeństwo upatrując w zwłoce, napisał do szambelana z rozkazem, aby tenże niezwłocznie zjawił się we Lwowie celem stanowczej narady względem żywotnych kwestji familijnych i majątkowych.

Pomimo dość gorących wyrażań listu, panicz byłby zapewne wynalazł jakie powody opóźnienia swego przybycia, gdyby na szczęście dla ojca, chwiejący się oddawna stosunek z księżną, nie był tym razem zerwał się na zawsze.

Młody jeden Hiszpan, sekretarz madryckiego poselstwa, nowa planeta świetnie błyszcząca na widokregu wiedeńskich salonów, brzęczał ciągle serenadą miłosnych słów u nóg księżnej i potrafił nareszcie skruszyć jej serce. Towarzystwo kobiece całe się temu nie dziwiło: hidalgo zbudowany był jak to-reader, biurokracja zaś stolicy w przenośnym swoim języku wyraźnie między sobą mówiła że Don Enriquez Almeida wcale nie pozyskał nowej posady, ale z djetarjusza przeszedł na etatowego.

Szambelan nie oszczędził księżnie dwóch w podobnym wypadku niezbędnych wybuchów: jednego ustnego, drugiego

na piśmie; wiarołomna, atoli zamiast upokorzenia się, obłożyła go wyrzutami o niewdzięczność. Nie było co czynić. Z uśmiechem na ustach a piekłem w sercu, odprawiony kochanek, chętnie poddał się zamiarom ojca i wyjechał z Wiednia. Wypadło wreszcie tak postąpić dla uniknięcia pierwszego ognia dwuznacznych spojrzeń, jakimi złośliwi mszczą się na każdym śmiertelniku, zepchniętym przez igraszkę losu ze szczytu światowej potęgi. Dla dowiedzenia zaś księżnie o ile zdrada jej mało go obeszała, niepodobna było wynaleźć lepszego sposobu nad ożenienie się gdziekolwiek, z kimkolwiek, byle tylko jak najprędzej.

Szambelan, z niepojętym dla wierzących zwłaszcza poświęceniem, zniknął z miasta i nie oparł się aż w objęciach swego rodzica.

Kasztelan nie mógł odchwalić się posłuszeństwa syna, rozwinął swoje zamiary wyglądem przyszłości, a widząc w nim wszelką gorliwość do poddania się ojcowskiej woli, zjechał się niby przypadkiem w sąsiedztwie z wojewodą, ujął go za serce, pogodził się i w tydzień zawitał doń wraz z synem.

Panicz wyżyty w pałacach wiedeńskich, o którym wieść powszechnie głosiła że z ministrami, że z hrabią Metternichem, zostawał w poufałych stosunkach, ślepiącym blaskiem zajaśniał na partykularzu.

Panna wojewodzianka, starsza (starszą sobie konkurent był wybrał; z profilu przypominała mu nieco księżnę) nie posiadała się z radości na myśl połączenia swego losu z losem tak znakomitego kawalera. Ze strony rodziców nie było żadnych przeszkód; we dwa tygodnie wyszły zapowiedzie; na trzecią niedzielę rodzina wojewody liczyła już w swoim gronie panią szambelanową.

Państwo młodzi niedługo jednak używali tego tytułu. W powodach jakie go zniosły, jasno pokazuje się wyższość kobiet nad mężczyznami, o którą przecie kasztelan nieraz do upadłego sprzeczał się z wojewodziną.

Księżna — ta sama księżna, która tak niegodnie zdradziła szambelana, która obojętnie podeptała tyloletnie uczucia, zahartowane na zobopólnych chwilowych zboczeniach — księżna, dowiedziawszy się o małżeństwie dawnego wielbiciela, zamiast

mścić się nad nim i zionąc potokiem przekleństw Dydony, poruszyła wszystkie sprężyny u Dworu, obiegła ministrów i dygnitarzy, nie dała im wypoczynku, dopóki szambelan nie został mianowany — czem? — Pióro podskakuje w upojeniu czarownem wspomnieniem — atrament ścina się z podziwu; daremnie zapraszam go ku noskowi, nie chce spływać na papier. — Nie będę nadużywał waszej cierpliwości; porywam za ołówek i piszę dalej — dopóki szambelan nie został — Nie — wyobraźcie sobie wprzód radość kasztelana, szczęście wojewody, uniesienie państwa młodych, okrzyki rodziny, zazdrość sąsiadów, dziw całego kraju — gdy nagle gruchnęła wieść że szambelan otrzymał godność: Wielkiego Galicyjskiego Sokolnika Dworu Jego Cesarsko-Królewsko-Apostolskiej-Mości. Tak jest — syn kasztelana — młody hrabia — słowem szambelan, został Wielkim Sokolnikiem! Upraszam o chwilę przestanku; niech każdy w głębi duszy raczy zastanowić się nad tem, jak wielkie sokolnictwo, niby meteor promienisty spadło z obłoków na to zepsute dziecię fortuny. Wprawdzie godność ta nosiła na sobie charakter czysto nominalny; Cesarz Jegomości nie bawił się polowaniem z sokołami; miał on inne sokoły które wtrawiał w unoszenie żywcem zdobyczy do Spielbergowego zwierzyńca. Zawsze atoli był to zaszczyt niepospolity, tem bardziej że obie rodziny liczyły między przodkami hetmanów, starostów, prymasów, ale dotąd, tak na drzewie genealogicznem wojewody jako i na gałęziach kasztelańskiego rodopisu, żaden pączek nie rozkwitł był w Sokolnika. W samym Wiedniu, szambelanów uwijało się mnóstwo; Sokolnik zaś był rzadkim egzemplarzem w dworskiej hierarchji i w brzmieniu swego tytułu miał coś średniowiecznego, coś feodalnego, coś takiego, za czem w Austrii przepadały najznakomitsze osoby.

In gratiam tego wypadku Król Stanisław dostał nowe ramy; wojewoda kazał odlakierować Leszczyńskiego.

Kasztelan dziękował Panu Bogu za ozłocenie mu starości blaskiem tak jasnej pociechy i przemyślał jakby własnym zachodem, wywalczyć sobie między szlachtą to wyjątkowe położenie, w jakim syn jego znajdował się już na mocy swego urzędu.

Na dnie pełnej czary pomysłności, ojciec młodego dygniarza znajdował jak każdy człowiek troski i niepokoje; długo suszył głowę jakby im zapobiedz, gdy wtem budząc się pewnego poranku, jeszcze niezupełnie wytrzeźwiony ze snu, nagle wyskoczył z łóżka i równemi nogami stanął na środku sypialni. Nawiedziła go upragniona myśl; zamiar niewiadomo kiedy, sam ułożył się w tęczowych zarysach. Kasztelan kazał zaprządz i ruszył z nim do wojewody. Przybywszy, natychmiast wyprowadził go do osobnego pokoju, opowiedział męczarnie przez jakie przeszedł był, zanim szczęśliwą myśl pochwycił i zakończył dowodząc, że jedynym środkiem na zapewnienie rodzinie wiecznego splendoru, jako też na godne odpowiedzenie nowo nabytemu zaszczytowi, było utworzenie majoratu. Tu dopiero kasztelan puścił się w długie wywody nad zbawiennością majoratów, popierał je przykładami, wyciągał z nich ślepiącej oczywistości wnioski. Dlaczego Polska upadła? — Dla tego że majątki rozdrobiły się, że wielkie domy potraciły swoją potęgę. W czym spoczywała niewzruszona moc Austrii? — W tem że cała niemal ziemia w cesarstwie dzieliła się na majoraty; kolos tkwił w miejscu, głównym bowiem warunkiem każdego państwa była nieruchomość; każdy rząd podobnie do gmachu lub do dębu, powinien był głęboko zapuścić w ziemię korzenie lub fundamenta, kroku naprzód nie postąpić, stać niewzruszony pod zagrożeniem wywrotu i zagładały.

Wojewoda nic nie miał do zarzucenia tak ważnym argumentom; przeciwnie — dodał że pochwała tę myśl, że ojczyzna niezawodnie upadła dla braku majoratów; że jednak nigdy nie było za późno wprowadzać do kraju zbawienne instytucje, i wiele podobnych zdań które ustaliły gościa w jego przekonaniu. Kasztelan ruszył czempredzej do Lwowa celem rozmówienia się z prawnikami i przyspieszenia sprawy; chodziło o cesarskie potwierdzenie, tego zaś, zważając na łaskę w jakiej Sokolnik zostawał u dworu, kancelarja nie odważyłaby się odmówić.

Prawnicy po kilku naradach uznali, że należało zacząć od rzetelnego wykazu stanu majątkowego; rząd bowiem dla udzielenia zaszczytnego przywileju, wymagał pewnej ilości rocznego

dochodu. Kasztelan po licznych konferencjach otrzymał kilkadziesiąt arkuszy rad, wniosków, wywodów, cytacji, na końcu których znalazł niezbędny warunek przekonania Najjaśniejszego Pana o prawem oznaczonej ilości swoich funduszów.

Był to twardy orzech do zgryzenia, a raczej skała, o którą miały rozbić się nadzieje erygowania majoratu.

Majątek wprawdzie był obszerny; lany rozciągały się na kilka mil, ale dzięki długiemu pobytowi syna w Wiedniu i tonowi jaki ojciec utrzymywał w kraju, masa grzechów pokrywała rzeczywistość jego wartość.

Kasztelan zasępił oblicze, widział że nie przełamie zawad i wpadł w głęboki smutek. Nadaremnie biegał po rozum do głowy, po całych nocach wartował gospodarskie rachunki, tu i owdzie popodwyższał chłopom daniny, daleko mu było jeszcze do wymaganej cyfry. O przedstawieniu się do majoratu ani podobna było zamarzyć, tem bardziej, że publiczny bilans majątku byłby zadał ciężki raz jego kredytowi; wierzyciele hurmem by się sygnęli, procesa zewsząd nawalnie by spadły, i broń Boże nieszczęścia, majorat mógł łatwo zakończyć się wywłaszczeniem z dóbr, czyli ostatecznie, upadkiem domu.

Odtąd kasztelan całkiem się odmienił; troska osiadła mu na czole, wkradła się do serca. Zaszczyt jaki okrywał syna, przestał być chlubą i przerzucił się w nieustanny wyrzut sumienia. Magnat nareszcie rozchorował się z żalu.

Lekarze różnemi łacińskimi wyrazy poznaczali jego cierpienia, karmili go i poili lekarstwami; pomoc ich była bezskuteczną, żaden nie domyślił się prawdziwej słabości, żaden nie odgadł że pacjent chorował na majorat.

Cesarz lub ministrowie, przekroczeniem litery prawa byłiby mogli od razu chorego na nogi postawić, ale głębocy politycy, w natłoku spraw europejskich nie domyślali się nawet, że tam gdzieś w Galicji żyje jakiś magnat, który niegdyś wybijał im pokłony, teraz zaś usycha na majoratowe boleści.

Łatwo zgadnąć wypadek tej nieszczęsnej przygody.

Pomimo pociechy z wnuczki, jaką synowa go obdarzyła, majorat rzucił się na żywotne części kasztelana i przy pomocy lekarzów sprzątnął go ze świata.

Sokolnik uczcił ciało ojca należytem pogrzebem; przez rok i sześć niedziel nosił żałobę; pierwsze czterdzieści dni z białymi obszewkami, potem ubierał się cały czarno.

W kilka lat, wojewoda także poszedł za kasztelanem; pani Sokolnikowa tymże samym trybem oddała hołd pamięci ojca; był to dla obojga dług najłatwiejszy do wypłacenia: raz go zaspokoiwszy, nikt o nim więcej nie wspominał.

Śmierć ojca pozwoliła Sokolnikowi bliżej zająć się interesami. Sprzedał część majątku, natarczywych wierzycieli poopędzał, starych rezydentów i służących niezdolnych do pracy odprawił, natomiast zaś przyjął Francuza na kucharza, Niemca na rzadcę i dwóch Anglików — jednego na kamerdynera, drugiego na koniuszego.

Ograniczywszy dwór tak, że nie było w nim nikogo, ktoby nie żył wyłącznie dla pańskiej potrzeby lub upodobania, zimę przepędzał w Wiedniu, lato na wsi.

Towarzystwo stolicy uległo znacznym przemianom. Księżna owdowiała — po mężu ma się rozumieć — opuściła salony i oddała się głębokiej dewocji; młodzież pożeniła się lub porozjeżdżała po różnych ambasadach cesarstwa; luminarz wszelako tego pokolenia, świeżą sławą wiedeńskiego kongresu wydęty, Księżę Metternich, błyszczał światłem niepamiętnem w dziejach szachrajstw dyplomatycznych i gabinetowych intryg.

Sokolnik troskliwie utrzymywał święty ogień łaski pierwszego ministra, pilnie unikał rodaków nie podzielających jego sposobu myślenia, uganiał się za ludźmi silnie postawionymi w cesarskiej łasce. Na tej drodze dopiął się niemałego znaczenia i wyraźnych korzyści. W kilku razach śliskich majątkowych obrotów, wyjednał sobie pożyczki w galicyjskim skarbie; jednych wierzycieli łagodził częstkowemi wypłaty, drugich straszył wpływem swoim w Radzie Państwa.

Dzieci mu się nie wiodły; troje w niemowlęcych latach zeszło ze świata; najstarsze tylko — córeczka szczęśliwie się hodowała. Rodzice obrócili na nią całą pieczołowitość; ona niej zbudowali cały gmach przyszłych nadziei.

Nie będę opisywał wychowania jakie pani Sokolnikowa zgodnie ze zdaniem męża nadała Marji, tej czarnowłosej dziew-

czynnie, z którą zapoznałem was na początku mojej powieści. Każdy wie jak się wychowują nasze majątne Polki.

Od dziesiątego roku życia młodej dziewczyny, gdyby w godzinach nauki, udało się niespodzianie spaść jak z obłoków do jej pokoju, możnaby sądzić, nie wiedząc do kogo dom należy, że dziecię kierują na tancerkę, czasami na śpiewaczkę lub muzykantkę, to znowu na aktorkę, lub w najlepszym razie na świeży i żywy egzemplarz chodzącej encyklopedji.

Życie kobiety ma kilka głównych, harmonijnych strun, po których duch jej winien przelatywać dźwiękami uczucia lub wiary, szlachetnej egzaltacji lub poświęcenia, czasami nawet boleści. W młodocianych latach nikt jej nie pokaże żadnego z tych przeddźwięków; wszedłszy dopiero w życie, samo wszystko musi odgadywać, sama wszystkiego się domyślać, szczęśliwa, jeżeli w oceanie stosunków towarzyskich potrafi chwycić perłę prawdy. — A na jednego nurka iluż to bywa topielców —! Biedne dziecię! — Zamiast przetworzenia cię w dawidową harfę, wdzięczną dla każdego improwizowanego hymnu natchnienia, strugają cię w pozytywkę nakręcaną przyzwyczajoną względów światowych, odpowiadającą na poruszenie każdej ręki, nie bacząc czyli ta do mistrza lub do nieuka należy. I później głupio dziwią się lub wrzeszczą, widząc jak miłość dziewicza tonie w trzęsawisku rozpusty, jak czysta wiara przeszatania się w rozwiożłość duszy, w dewocję.

W murowanych pałacach, dają dzieciom wychowanie jako biednym jałmużnę. Dla ukołysania głosu sumienia odkładają dwie summy: jedną ciskając zgrai nauczycielów i guwernantek, drugą mniejszą, w zdawkowej monecie, upuszczając na rany nędzarza. Obowiązek spełniony — nic nie pozostaje do uczynienia, chyba pochełpić się ilością pieniędzy rzuconą na wy-cywilizowanie dziecka — jak gdyby głupstwo nie mogło przebić się przez szaniec talarów — jak gdyby przed workiem pieniędzy, cierpienie koniecznie miało ustąpić od poduszki nieszczęśliwego. Tak dalej rzecz wywodząc, mimowolnie trafiam na uwagę i wniosek — nie — dość tego; sam nie wiem kiedy-bym skończył. Wracam do treści.

Marja zaczynała ośmnasty rok życia; była jedną z naj-powabniej wychowanych hrabianek w cesarstwie księcia kan-

clerza. Z twarzy przypominała matkę, z oczu jedną z ciotek, sławną niegdyś z piękności; chód i postać miała po samej sobie — ojca nie przypominała z niczego, chyba z nazwiska.

Od dwóch lat żyła już w świecie: ostatnią zimę przepędziła w Wiedniu, gdzie rodzice wyprowadzali ją na targ salonów, z obnażonymi ramionami, z utrefionym włosom, z uśmiechem na ustach. Ciekawi bliższych szczegółów, mogli byli w zawrocie tańca dostrzedz kształtną maleńką nóżkę; inni konsumenci goniący za wartością idealną lub poetyczni, poili się pełnym i drżącym dźwiękiem jej głosu, lub uczuciem z jakim wykonywała muzyczne utwory. O rzeczywiste wiadomości jej umysłu wcale nie pytano, gdyż z panną nikt o poważnych rzeczach nie rozmawia, nikt z dobrze wychowanych ludzi nie pomyka się za obręb dziennych, drobnych wypadków, teatru, koncertu, przechadzki lub balu. Odcienia niekiedy się zmieniają; tło zawsze zostaje jednakim.

Gdybym był panną — od czego, w dzisiejszym składzie towarzystwa, Boże mię uchwaj, ogólniki te poniżałyby mię do najwyższego stopnia; zniechędziłbym mężczyzn, albo przynajmniej żadnego bym nie kochał. Próżne kłopoty —! nie ma się czego obawiać.

Dotąd, niepodobna rzecz czyli Marja podzielała to zdanie; chcąc ją odgadnąć, trzeba było mieć wzrok przenikliwszy od tego, jakim natura uposażyła księcia kanclerza; nie podpada wszelako wątpliwości że podczas pobytu swego w Wiedniu, bawiła się ochoczem sercem, wypiękniała jeszcze rokoszą nowego dla niej życia, słowem — na oko, żaden konkurent nic nie miał do zarzucenia towarowi.

Powiadam — na oko — po bliższem bowiem zbadaniu przedmiotu wystawionego na sprzedaż, kupcy pierwszej biegłości, wnet spostrzegali ogromną wadę — wadę taką że zniżyły przed nią wszystkie powierzchowne powaby.

Pomimo że Sokolnik żył wystawnie, że twarz miał zawsze pogodną, że żonę stroił w djamenty, a córkę w jedwabie — złowroga wieść głucho szeptała że gonił ostatkiem. Ci, którzy spotkawszy się z nim, najczulej go ściskali, na uboczu rozpowiadali że Ereb wierzycielów wył mu nad uszami zgrzytliwym chórem; że magnat podkopany ich wymagalnościami,

chwiał się coraz gwałtowniej; że tylko za pomocą niepojętej zręczności utrzymywał dotąd równowagę.

Konkurenci obchodzili, oglądali ze wszech stron dziewczynę, ale choć każdy sypał oklaski, nie szczędził pochwał i kadzideł, żaden nie wysunął się z oświadczeniem.

Ten drugi chór pochwalny, brzęczący nieustannym zachwytem nad wdziękami Marji, z równą pierwszemu boleścią odbijał się w duszy Sokolnika. Wielbiciele córki, mimowolnie zadawali dotkliwy cios jego dumie, jego miłości własnej a nawet i rodzicielskiemu przywiązaniu, boć ostatecznie Sokolnik kochał jedynaczkę, kochał ją jak przystało na wielkiego pana, spokrewnionego ze Stanisławem Augustem i z Ludwikiem XVIII. Przychodziły nań takie chwile że żałował iż djabłu nie mógł duszy zapisać, zapominając że już raz ją był oddał księciu kanclerzowi. Ciężył mu byt rozdarty na dwa strumienie, z których każdy niepohamowanym pędem niósł go i rozbijał o coraz ostrzejsze podwodne skały. Z jednej strony, męczyła go ciągła komedja życia, paliła mu oblicze larwa wesołości, jaką musiał zakrywać się przed światem; z drugiej żał, zagrożony los materialny, sponiewieranie świętego nazwiska, grubemi kroplami wlewały mu truciznę do duszy, i sen odpędzały z powiek, ile razy chciał znaleźć ulgę w samotności lub przy domowem ognisku. Szpada Damoklesa wisiała mu nad głową; lada powiew mógł go przyprawić o zgubę.

Panem jego losu był głównie jeden człowiek: bankier galicyjskiej szlachty, Dahlman.

Od dawnych czasów, bankier miał znaczne summy zahipotekowane na majątku Sokolnika. Wprawdzie oprócz procentów, dłużnik wypłacał się wierzycielowi kredytem swoim w Wiedniu; za pomocą wpływu swego dopomagał mu w różnych interesach, ale sam sobie nawzajem, drogo nieraz kazał płacić powyższe usługi. Dahlman sporządziwszy bilans własnych kosztów i wygód jakie ciągnął z poplecznictwa magnata, wyliczył że pierwsze bez porównania przewyższały drugie i że należało raz zamknąć zbyt uciążliwy rachunek. Niebawem dał uczuć swoje postanowienie Sokolnikowi, być może dla tego że sam jak powiadał, znajdował się w chwili przesilenia,

lub też z obawy, aby chmara innych wierzycieli, zwietrzywszy rozkładający się majątek dłużnika, nie wpadła obcesem na księgi hipoteczne. Nieuprawnione długi Dahlmana, a tych z zaległemi procentami suma była znaczna, przepadały wówczas co do grosza.

Dla Sokolnika wypadek zawsze był jednakowym: ktokolwiek pierwszy uderzyłby do szturmu, zupełna jego zagłada była nieuchronną. Dygnitarz byłby wyszedł z majątku, po prostu mówiąc, z torbą. Wtedy już ani książę kanclerz, ani żaden z jego znajomych, słyszeć by o nim nie chcieli; wpływ jego w stolicy rozwiąłby się bez śladu: zamiast dowodów szacunku, za każdym krokiem byłby spotykał oznaki nieubłaganej pogardy.

Dahlman również jasno przewidywał przyszłość magnata; czuł nadto, że w razie zwłoki w zapewnieniu swoich należytości, pewnego poranku łatwo mógł ujrzeć się na koszu, bez swoich pieniędzy i bez poparcia nadal w Wiedniu. Dać się wywieźć w pole, było dla bankiera wstydem i śmiertelnym grzechem.

Podobne względy, oparte na religijnem przywiązaniu do własności, spowodowały że umyślił pierwszy zatknąć proporzec na murach Sokolnikowego pałacu i z dwojga złego wybierając, raczej potargać z wielkim panem przyjazne stosunki, raczej postradać wygody, jakich mu tenże przysparzał w Wiedniu, aniżeli stracić długą pracą nabyte pieniądze. Tak postępując, Dahlman tworzył sobie w powalonym dłużniku zaciętego wroga, ale wróg ten wyzuty z wszelkich środków szkodzenia, był mu zupełnie obojętnym. Pieniężnik wiedział, że za sam procent od wydostanych należytości w każdym czasie na targu wiedeńskim będzie mógł dostać daleko pożyteczniejszej dla siebie przyjaźni.

Sokolnik czytał jak w otwartej księdze zamiary swego przeciwnika; pojmował on doskonale, że postępowanie Dahlmana było skazówką dla reszty wierzycieli. W istocie, dopóki ostatni zachowywał się spokojnie, inni nie dokuczali mu zaciętą natarczywością; skoro atoli bankier raz byłby uderzył na gwałt, reszta hurmem rzuciłaby się w jego ślady. Wtedy nie było już żadnego ratunku. Sam jeden przeciw wszystkim, magnat musiał uleźć.

Ztąd oczywisty wniosek, że kwestja życia lub śmierci leżała w pozyskaniu wyrozumiałości Dahlmana. Do tego jednak zwyczajne fortele prośb, przyrzeczeń, moralnych negocjacji nie wystarczały; niebezpieczeństwo położenia wymagało potężniejszych argumentów.

Sokolnik na różne strony myślą szperając, upatrzył wreszcie środek niezawodny do wyprowadzenia go z ciemnej przepaści niebytu na wesołą życia równinę.

Rząd austriacki potrzebował zaciągnąć pożyczkę.

Książę kanclerz w ostatnich czasach znaczne był poniósł wydatki. Karbonaryzm we Włoszech, zamfary wyswobodzenia Polski w Kongresowem Królestwie; Ferdynad hiszpański, króle i pretendenci w Neapolu i w Lizbonie, zatargi książąt Rzeszy i kilku innych podrzędnych kauzyperdów lub agentów, nie mało grosza wyciągnęli mu ze skarbu. Pomimo to widnokrag polityczny od strony Alp i Apeninów poczynał się zachmurzać, przyszłość zapowiadała niepewne koleje: przezorny minister potrzebował podwoić zastępy policji i zaopatrzyć skarb.

W tym celu kazał sobie przedstawić projekt do zaciągnięcia pożyczki, w którym ze względu na naglące żądania, warunki dla podejmujących się jej, przedstawiały znaczną korzyść.

Sokolnik znajdował się podówczas w Wiedniu, i jeszcze projekt nie był na papierze, kiedy już przyszła mu szczęśliwa myśl wyrobienia tego interesu na rzecz domu handlowego pod firmą Gotlieba Dahlmana i spółki. W razie dopięcia zamiaru, słusznie spodziewał się, że i na niego spadnie część zysku. Wziął się więc do dzieła, uwiadomił natychmiast bankiera, obiegł swoich przyjaciół, szczególniejszemi staraniami otoczył dwóch sekretarzy księcia kanclerza, i po długich zachodach otrzymał nareszcie kilka obietnic, kilka półgębnych przyrzeczeń, z którymi wyjechał do Lwowa.

Dahlman swojemi drogami przedsięwziął także stosowne kroki; wkrótce jednak przekonał się, że nie wytrzyma spółzawodnictwa z domami stolicy. Ostatnią więc, chociaż słabą nadzieję, położył w poplecznictwie Sokolnika. Ztąd na wczorajszym balu, gdy magnat starał się wybadać jego usposobienie, jasno dał mu do pojęcia, że jeżeli pożyczka jemu zostanie po-

wierzoną, zakwituje z zaległych procentów i przez jakiś czas poczeka na zwrot kapitału.

Sokolnikowi właśnie też chodziło o zwłokę, której zamysłał użyć na wynalezienie zaradczych dla siebie środków; z niecierpliwością więc oczekiwał listów z Wiednia. Kwestja wkrótce ostatecznie miała się rozstrzygnąć. Jakoż zdawała się rozstrzygniętą: tegoż samego poranku dygnitarz otrzymał listy; zasiadł nad niemi i drżącą ręką odrywał pieczęcie.

Przyjaciele donosili mu, że we wiadomej sprawie dotąd nic nie było postanowionem; że atoli nie podpada wątpliwości, iż ksiązę kanclerz związany osobistemi stosunkami z domami Rotszyldów, Wertheimsteinów i Eskelesów, im wyłącznie złożenie pożyczki powierzy.

Sokolnik opuścił ręce i głowę zwiesił na piersi. Spółzła na niczem ostatnia nadzieja ratunku; Dahlman zawiedziony w widokach, stanie się jeszcze trudniejszym do ubłagania. Za trzy miesiące nadejdzie pora kontraktów: rozwiąże się straszna zagadka świetnego dotąd bytu.

Wierzycciele jak drapieżni krucy zlecą się zewsząd, rozerwą, rozdrapią, rozszarpią, zniszczą, wypędzą — na bruku zostawią jednego z pierwszych polskich magnatów, potomka znakomitej w kraju rodziny, człowieka rej wodzącego niegdyś w stolicy cesarstwa, spoufalonego z księciem kanclerzem, z pierwszymi dostojnikami! Na dnie dawnego wpływu, znaczenia i blasku wstyd tylko, hańba i nędza osiędą. Nędza! — Tę łatwo znieść biedakowi od kolebki do niej przyzwyczajonemu, ale nie z dziadów i z pradziadów przemożnemu panu, któremu los wskazywał miejsce u szczytu społecznej hierarchji.

Przerażające położenie! tem bardziej, gdy na domiar nie-szczęścia zgubny cios uderza w żonę przyzwyczajoną do zbytku, w córkę jedynaczkę, urodzoną i wychowaną w przepychu. Dla nich bogactwo tak niezbędnym żywiołem, jak powietrze do oddychania; potrzebniejsze nawet od powietrza, gdyż brak dostatków zadaje klęskę stokroć straszniejszą od śmierci — życie w upokorzeniu, w niedostatku, życie w każdej chwili tłukące jak skała Zyzyfa, której ciężaru samo szaleństwo często nie ulży.

Sokolnik powstał; trupia bledność wystąpiła mu na oblicze.

Ze sroższym nieprzyjacielem szedł w zapasy, aniżeli Wilczek, który w tej chwili za miastem potykał się z Węgrami.

Zalał rękę i w gwałtownem wzburzeniu szerokimi krokami zaczął chodzić po pokoju.

— Odarty ze wszystkiego! — powtarzał w myśli — oprócz z nazwiska i z tytułu! Niech je szatan pochłonie jedno i drugie zarazem! — Prawdę mówili Francuzi, ścinając lby swoim markizom i dukom: że piekło na udęczenie ziemi wynalazło te głupie błyskotki! — Ostatni cham dziś szczęśliwszy odemnie! On zawsze będzie miał kawał chleba takiego, jakim się żywił od czasu, gdy mu zęby wyrosły. Mnie zostanie kilka głosek, które mi wolno stawiać przed nazwiskiem, dziś na szyderstwo — jak dawniej na zaszczyt! Na zaszczyt, powiadam? — Ha, ha! piękny mi zaszczyt! Sprzedam go żydowi za worek złota, jeżeli znajdzie się gdzie dość głupi żyd, aby go kupił. Panią hrabinę — Jaśnie Wielmożną Sokolnikową, może jaki szlachcica z litości przyjmie na gospodynię, jeżeli mu koniecznie chodzi o to, aby za parę lat, jako ja, o kiju żebraczym wyszedł z domu! Marynia, moje biedne dziecię, hrabianka, pójdzie służyć do bankierowej za garderobianę! Ale bo też i świat ten znikczemniał że aż zgroza spojrzeć! Dziewczyna wychowana jak królewskie dziecko, ze świetnem nazwiskiem: młoda, piękna, i żaden z uczciwych ludzi ku niej się nie pośunie! Niemcy mają swoje panny, mówi pani Sokolnikowa; to dobrze. Ależ u nas w kraju jeszcze dałoby się wynaleźć, a nie u nas, to gdziekolwiek indziej, kogokolwiek bądź: Ormjanina, Turka, Wołocha, przechrztę lub kupca, byle nas tylko wyciągnął wszystkich troje z błota, w jakim grzęzniemy!

Sokolnik wstrzymał się: zadrzał na te ostatnie wyrazy; poczuł że szal boleści za daleko go unosił. Dla rozerwania myśli zaczął znowu odczytywać listy, przewracać papiery: cmiło się mu w oczach, nie rozeznawał głosek.

— Jeszcze trzy miesiące dawnego życia — mówił wolnym, piersiowym dźwiękiem — po których — i cóż po których? — Nadejdzie lato, nastaną upały: może da Pan Bóg, piorun w dach mój trzaśnie i wszystkich nas w popiół obróci. Cóż to? jeden list nie rozpieczętowany. Tem lepiej; może w nim będą pomyślniejsze wiadomości od poprzednich? Ba! — zapewne —

pomyślność! — chyba by z księżycą na mnie spadła! — Poznaje po adresie: od Szmula Goldberga; nie warto go rozpoczynać. I ten grzecznie przypomina się łaskawej mojej pamięci. Niegodziwiec! teraz się łasi, ale niechno uderzy moja godzina — wąż wysunie łeb i zacznie świstać mi nad uszami i z żądłem do mnie przyskoczy. Ani zechce przypomnieć sobie, że syna wybawiłem mu od kajdan; gdyby nie ja, byłby zgnił w lochu, boć go już trzeci raz chwytali na gorącym uczynku. Niewdzięczny naród! Tak to zawsze na świecie złem za dobre płacą. Dahlman wczoraj troskliwie jakoś na mnie poglądał: może mu te trzy miesiące długimi się wydają. Wszelako ostatni jego list, o ile sobie przypominam, brzmi w tak przyjacielskich wyrazach. Zaraz — gdzież on jest, ten list? —

Sokolnik zaczął znowu przeglądać papiery. Niespokojność coraz gwałtowniej nim szamotała; co chwila prostował się i czoło z potu ocierał. Porwał nareszcie wszystkie papiery, wrzucił do biurka i zatrzasnął klapę. Duszo mu było w pokoju, mierzył go widok szczegółów, które groźną przyszłość wiodły na pamięć. Postanowił uciec od papierów, od domu, wyjść i ruszać gdziekolwiek — przed siebie, byle tylko przynieść chwilę ulgi wzburzonemu umysłowi. Ubrał się z pośpiechem i wyszedł na miasto, z niemałym podziwieniem służących, którzy nie mogli sobie wytłumaczyć, dla czego pan, wbrew zwyczajowi, obszedł się dziś bez ich pomocy.

Sokolnik znalazłszy się na ulicy, ostygł nieco z pierwszych wzruszeń: chłód go owionął; otaczające przedmioty rozerwały mu na chwilę uwagę. Jął zimniej rozglądać swoje położenie, rozpaczne wprawdzie, ale nie nagłe: miał bowiem przed sobą trzy miesiące zwłoki. Niepodobna mu było przez ten czas wynaleźć jakiego zaradczego środka: w ostatecznym razie trzy miesiące mogły się znacznie wyciągnąć. Od procesu do wyłączenia było daleko: juryści lwowscy słynęli z rozumu na całą Polskę; na kruczkach nie byłoby im nigdy zabrakło. Kto wie czyli nie wypadło zeznać na jednego z nich ogromny jaki dług i nie czekając stanowczego napadu, czemprowadziej zabipotekować. Wtedy łatwiej byłoby komplanovać z wierzycielami. Długi na, szczęście wyrównywały prawie wartości majątku. Można byłoby wytłumaczyć im, że jeżeli będą nalegać, każdy

częstkę za ledwie należytości odbierze; przy wyrozumieniu zaś, powoli — powoli, massa jak najrzetelniej wszystkim zapłaci.

Zwieszony nad otchłanią, magnat chwycił różne po kolei gałązki, ale na krótko tulił się do pomysłnych złudzeń: rzeczywistość jak upiór co chwila przed nim występowała. Podwajał kroku, uciekał przed sobą, gdy w tem zatrzymawszy się w poprzek ulicy dla przepuszczenia jakiegoś szybko przelatującego powozu, podniósł oczy i ujrzał obok siebie Kazimierza Poraja.

Sokolnik poznał znajomą twarz, lecz nie mógł od razu przypomnieć nazwiska młodego człowieka. Pokróćce jednak zebrał rozprzężone myśli i odgadł młodszego Poraja, którego starszy brat przedstawił mu był na wczorajszym balu.

Błyskawicowa myśl mignęła mu przez głowę: widział przed sobą brata owego pana Piotra, przed którego kassą Dahlman, wedle swego wyrażenia, pokornie się kłaniał.

Konieczność i wola, jako czarodziej lub biegły maszynista, w mgnieniu oka zmieniły dekorację jego oblicza. Scena twarzy zakłopotanego magnata przedstawiała śmiejący obraz wewnętrznego zadowolenia; postawa odzyskała zwykłą niewymuszoność. Sokolnik stał na bruku z tą samą swobodą, z jaką dawniej przemykał się po wykwitnych wiedeńskich salonach. Zbliżył się do Poraja i z wdzięcznym wyrazem podał mu rękę.

— Jak uważam, panie Kazimierzu — rzekł — wczorajsze trudy nie musiały bardzo cię zmęczyć, kiedy nie naśladujesz naszej młodzieży, z której połowa, założyłbym się, że śpi dotąd, choć już blisko południa.

Niespodziewana uprzejmość Sokolnika mile zadziwiła Kazimierza.

— Nie mam w tem z mojej strony żadnej zasługi — odrzekł zapytany. — Nie należałem wczoraj do czynnej młodzieży; nie mam prawa korzystać ze słusznego jej przywileju do długiego wywczasu.

— Nie lubisz tańca — przerwał Sokolnik. — Dobrze czynisz. Ja także byłem niegdyś młodym, a wyznam, że nie przepadałem za tem wyskakiwaniem, gdzie zawsze więcej zmęczenia, niż prawdziwej przyjemności. Wolisz przechadzkę, nieprawdaż?

— Niekoniecznie, panie hrabio; nic mię tak nie pęczy jak każda bezcelowa czynność. Wyszedłem dziś dla tego, że od da-

wnych lat nie widziałem Lwowa. Korzystam z pięknego poranku i chcę obaczyć, o ile się od owego czasu odmienił.

— Znajdziesz bezwątpienia wiele zmian — podchwycił magnat. — Sam jeden atoli długo byś ich szukał. Jest to zwykła godzina mojej przechadzki, i jeżeli pozwolisz, będę ci służył za przewodnika.

— Pan hrabia jesteś zbyt łaskaw.

— Tak pan sądzisz? Zapominasz że gonię przede wszystkim za własną korzyścią. Dla nas starych prawdziwa to gratka pobaraszkować z młodzieżą. Towarzystwo wasze jest źródłem odmłodnienia, z którego radzibyśmy jak najczęściej czerpać, gdyby nie obawa zanudzenia was na śmierć.

Kazimierz uśmiechem zaprzeczył słowom Sokolnika.

— Po co prawdę owijać w bawełnę — ciągnął tenże dalej. — Przyjmuję twój uśmiech jako grzeczne kłamstwo dobrze wychowanego człowieka i za karę musisz pozwolić mi oprzeć się na twojem ramieniu; będzie to żywy symbol naszych dwóch wieków.

Przy tych słowach wzięli się obaj pod ręce i poszli w miasto. Sokolnik oprowadzał swego towarzysza, pokazywał mu nowe wzniesione gmachy i zakłady świadczące o wyraźnym postępie kraju, jako to: obszerne więzienie zbudowane na rozkaz księcia kanclerza, koszary dla linjowej piechoty i odświeżone kollegium OO. Jezuitów.

— Według tego co widzisz — mówił mu — zmian u nas nie wiele; daleko jeszcze naszemu Lwowu do miast europejskich nawet trzeciego rzędu.

— Zapewne — odrzekł Kazimierz. — Nie miałby on też dla mnie żadnego uroku, gdyby nie był pierwszym miastem, jakie widziałem w dziecinnych moich latach. Wówczas sądziłem, że na ziemi nie ma większego grodu, i odtąd pośród zgiełku głównych stolic Europy często ku niemu myśli i pamięć obracałem.

— Rozumiem cię, panie Kazimierzu. Jest to skutek owej miłości do rodzinnej ziemi, z jakiej my Polacy po całym świecie słyniemy! Ja także doświadczyłem tego uczucia, długo przesiadując w Wiedniu, gdzie mię powoływały interesa, krajowe raczej, niż moje własne. Pamiętam, z jaką rokoszą po-

rzuciłem stolicę, aby choć na chwilę odetchnąć ojczystem powietrzem. Powiem ci nawet, im dalej zachodziłem w lata, tem tęsknota stawała się nieznośniejszą, tak, że nareszcie całkiem opuściłem Wiedeń i umyśliłem resztę życia przepędzić na wsi.

— Przeszłej jednak zimy pana hrabiego nie było w kraju?

— Ostatnia też to, którą strawiłem w stolicy — tylko com nie rzekł «za granicą». My, ludzie starego autoramentu, nie możemy przyzwyczaić się do uważania Wiednia za naszą stolicę.

Kazimierzowi rozjaśniała twarz na te ostatnie wyrazy, pełne szlachetnego, staropolskiego ducha. Sokolnik postrzegł to i prawił dalej:

— Musiałem uczynić z siebie ofiarę dla dokończenia edukacji mojej córki; szczerze jednak wyznam, że dzień wyjazdu z Wiednia był dla nas trojga familijnem świętem. Żona moja także pragnęła wrócić czempredzej na wieś. Dobro właścian koniecznie wymagało naszej obecności: jeżeli bowiem opieka właściciela ma wpływ na ich stan materialny, nawzajem troskliwa o ich los pani, jest dla nich aniołem pocieszycielem, ucieczką w nadzwyczajnych wypadkach, gdzie bieda ludzka najskuteczniej odwołuje się do niewieściego serca. Pod tym względem muszę oddać słusność mojej żonie, chociaż wystawiam się na zarzut, że sędzę własną sprawę. Wychowana na wsi, w domn dawnego stylu, gdzie cała wieś, całe dobra nawet składały jedną rodzinę, przyuczyła się żyć więcej dla drugich, niż dla siebie — nieraz z uszczerbkiem własnego zdrowia. Często przychodziło między nami z tego powodu do sprzeczek, które, jak zgadujesz, kończyły się zawsze moją porażką. Musiałem ustępować. Dziś ma przecie kim się wyręczyć: wychowała sobie córkę jak sama chciała i cieszy się, widząc że dziewczę wiernie przypomina jej matczyną młodość. Wkrótce wyjeżdżamy na wieś; panie moje bynajmniej nie przepadają za miastem: radeby natychmiast wrócić do domu. Ja także tym razem posiedzę dłużej niż zwykle; muszę bliżej wejrzeć w szczegóły gospodarstwa. Nadchodzi czas, gdzie będę winien zdać rachunek z kilkunastoletniego zarządu.

— Pan hrabia masz zapewne małoletnich pod swoją opieką?

— Córkę własną, panie Kazimierzu.

— Tak blizkie stosunki wcale nie są nagłacemi — odparł wesoło młodzieniec.

— Przeciwnie dziewczyna lada dzień może wyjść za mąż. Dla mnie zaś wszystko jedno, czy pan zięć będzie wymagającym lub powolnym; pragnę od razu stanąć z nim na czysto. Trzeba więc wcześniej pochodzić trochę koło interesów, nie szczędzić pracy, dość nudnej wprawdzie, ale nie przedsięwziętej w samolubnym celu. Ja z sobą nic na tamten świat nie wezmę; pracuję nie dla siebie, ale dla mojej jedynaczki, dla drogiego dziecka, które umiła mi zachód dni moich.

Takiego rodzaju Sokolnik prowadził rozmowę, dziwną bez wątpienia w innym kraju, niż w Polsce. Magnat atoli znał strój duszy rodaków, wiedział czem ich najlepiej ująć za serce. U nas tylko zdarza się, że człowiek od wczoraj dopiero zaznajomiony z drugim, wręcz wtajemnicza go do najakrytszych szczegółów domowego życia. Pojawy te narodowego ducha nie były Kazimierzowi obcemi. Pamiętał on dobrze, że skoro zejdą się dwaj Polacy, zaraz przy pierwszej znajomości jeden drugiemu odsłoni wszystkie tajniki bytu, wyłoży ważniejsze koleje i wypadki swego położenia; wytłumaczy jakim sposobem żyje w zgodzie lub w niezgodzie z żoną, ile ma długów, jakie zamiary na przyszłość; o niektórych z tychże zamiarów rozpowie jako o zupełnie już skutecznionych — słowem, tak dalece odkryje najdrobniejsze strony, że gdyby wśród tej rozmowy jednego z nich krew zabiła nagle uderzeniem do mózgu — drugi, nie ruszając się miejsca, mógłby natychmiast wypalić nad nim pogrzebową mowę, z wstępem: o nieśmiertelności duszy, o nikomości dóbr światowych, następnie z jak najdokładniejszym życiorysem nieboszczyka i nakoniec z uroczystem wezwaniem cienia zmarłego, wzoru cnot i obywatelskich poświęceń.

Otwartość ta i szkodliwe często wynikające z niej skutki najlepiej dowodzą niezgodności charakteru polskiego ze strojem, na jaki nakręca się zgangrenowany świat wojny i przywileju. Kazimierz wszelako był jednym z ludzi umiejących ziarno czucia wydobyć z pod przestarzałych plew śmieszności. Zwierzania Sokolnika w pierwszej chwili nieco go zmięszały, wkrótce atoli z przyjemnością poglądał na zaufanie, jakim go

tenże otaczał, i przygłąd doń całą duszą. Cenił on wyżej starodawne wady, ale wyrosłe na gruncie szlachebnym, niżeli wiele dzisiejszych cnót, chwiejących się na ich podstawach samolubstwa. Sokolnik jasno odgadywał zadowolnienie, jakie obudzał w swym towarzyszczu.

— Już podobno pokazałem ci wszystko, co zasługiwało na twoją uwagę — mówił z wymuzykowanym głosem. — Jeżeli Lwów zawiódł twoje oczekiwania, i do tego nie wiele zabawiłeś się w towarzystwie ze starym gadułą, może zechcesz wynagrodzić sobie te chwile dziś u mnie wieczorem. Znajdziesz się w swobodniejszym i właściwszym żywiole. Czy możesz, panie Kazimierzu, podjąć się zaprosić odemnie twego brata?

— Będziemy obaj korzystali z uprzejmości pana hrabiego — odrzekł Poraj z ukłonem.

— Do widzenia zatem. Czekam was około' dziewiętej; my żyjemy tu na parafiji: nie zaczynamy wieczorów tak późno jak w wielkich miastach.

Sokolnik uściśnął dłoń młodzieńcowi i odchodząc, przesłał mu jeszcze ręką i głową pozdrowienie. Kazimierz pospieszył do brata.

— Biedny mój Piotrze! — rzekł wchodząc — dziś znowu musisz wlać we frak. Spotkałem Sokolnika, który zaprosił nas do siebie na wieczór.

— Zgoda, dobrze — odparł Piotr — pójdziemy. Nie pojmuję, zkąd ta niespodziana łaska, boć JW. Sokolnik ze szlachtą nie rad się wdaje.

— Uprzedzenie z waszej strony, Mości Piotrze, albo też i wina samej szlachty, która za oczami piorunuje na pychę panów, w oczy zaś czapkuje przed nimi, ściele się pod stopy i sama zręka się swojej godności. Cóż więc dziwnego, że później nie oddają jej tego, czego wprzód własnowolnie się wyparła.

— Być może że masz słuszność. Nie chcę wdawać się w rozprawę o niskiej i wysokiej szlachcie; mam czem innem zajętą głowę. Dla mnie wreszcie Sokolnik zawsze był niewypowiedzianie grzecznym. Tymczasem rad jestem, Kaziu, że przyszedłeś. Po zabawie należy wziąć się do pracy. Oto rachunki, które miałem ci przedstawić.

— Ależ mój Piotrze, nie widzę nic tak pilnego; mogę bezpiecznie odłożyć je na później.

— Bynajmniej; pragnę ułatwić się natychmiast. Wkrótce będę musiał wyjechać na kilka tygodni; chciałbym abyś mię zastąpił w niektórych interesach. Nadto zbliża się pora kontraktów; nie wiem czy zgodzisz się trzymać mię nadal za pełnomocnika; może zażadasz podziału? Przypatrz się więc obecnemu stanowi massy. Pamiętaj, że byłeś ze mną w spółce we wszystkich moich przedsięwzięciach; opierałem je bowiem na wspólnym naszym majątku. Passiva najkrócej nas zatrzymają; tych nie ma zupełnie. Tu zaś — mówił Piotr dalej, nałożywszy okulary i przewracając papiery — znajdziesz cały wykaz aktywów i sperandę tegorocznego bilansu.

— Mój Piotrze — przerwał Kazimierz — zostaliśmy jak byliśmy dotąd, z tą różnicą, że ja wezmę na siebie połowę pracy; ty rozporządzaj, ja będę wykonywał twoje rozkazy.

— Dobrze Kaziu, przystaję. Teraz weź ten oto rejestr i przejrzyj rubryki. Gotowego kapitału mamy podobno bez czegoś 48,000 czerwonych złotych. Jeżeli cena złoza, jak mi pisał z Odessy, dalej się utrzyma, spławy naszej i kupnej pszenicy na Dniestrze, powinny drugie tyle uczynić. Przejdźmy do inwentarza nieruchomości.

— Zaklinam cię Piotrze, odłóż te rachunki do naszego powrotu na wieś; nic nas przecie nie nagli. Wreszcie, jak uważam, pracowałeś od samego rana; pozwól, ja sam przejrzę papiery; nie potrzebujesz się trudzić.

— Zgoda, czyń jak chcesz; ale skoro masz zamiar zabrać się do dzieła, bądź łaskaw rzucić okiem na te kilka projektów, mianowicie zaś na ten ostatni względem nabycia lasu granicznego z twoim majątkiem. Kupno nader korzystne, wszelako czworo oczu więcej widzi niż dwoje. Zastanów się nad nim dokładnie i objaśnij go uwagami na piśmie.

Piotr porozkładał w porządku papiery; widząc zaś, że Kazimierz bacznie pogląda przez okno na jakieś chmurki wełniące się na błękitie, osądził że brat zadumał się nad kupnem sąsiedniego lasu, i postanowił nie przerywać mu rozmyślań.

Pan Piotr wiecznie miał na głowie masę swoich i cudzych

spraw; nie miał czasu na zbycie: wyniósł się więc cichaczem na miasto.

Kazimierz przypomniał sobie polecenia brata. Tem więcej pragnął ku nim zwrócić uwagę, że chciał być rozbudłałą myśl osadzić na jakimś punkcie rzeczywistości. Zasiadł przed stołem i położył przed sobą arkusz białego papieru.

Snać musiał głęboko wzięść pod rozwagę zamiary przemysłowe brata: długo bowiem myślił i w górę spoglądał, zaczem zaczął papier pokrywać głoskami. Po niejakim czasie, skoro Piotr wrócił i ukradkiem przez ramię piszącego spojrzął na stolik, z niemałym podziwieniem zamiast cyfer i rubryk, spostrzegł środek tylko arkusza od góry do dołu zapisany. Każdy wiersz zaczynał się od wielkiej głoski, co cztery takich wierszy był przedział oznaczony gwiazdką; po bokach zaś plątały się nakreślone piórem twarze, ułamki krajobrazów, arabeski, konie, dziwne igraszki widocznie chorej wyobraźni. Piotr pokręcił głową i poszedł do drugiego pokoju. Kazimierz ciągle pisał dalej. Korzystał z rozkołysania myśli, z pomyslniej chwili, a była to, widno, nie tylko dla niego samego godzina marzeń i samotnych zwierzeń się przed papierem.

W tymże czasie w pokoiku opisanym na wstępie rozdziału, panna Sokolniczanka, wsparłszy łokieć na stole i powabną swą głowę na dłoni, zapępiała cienkiem piórem czwartą stronicę książki w zielony aksamit in quarto oprawnej, książki powszechnie naszym pannom ulubionej i znanej pod nazwą Dziennika.

Zkąd panny polskie miały upodobanie w monografiach tego rodzaju? Różni różnie tłumaczyli. Jedni wynajdowali przyczynę w rozromansowanej egzaltacji, w eteryczności jakiejś, wysanej z posępnych powieści, lub z ekscentrycznych dramatów. Drudzy, zwłaszcza starsi, powstawali na śmieszne rozbalamucenie głowy, na przywidzenia panińskiego umysłu, dla którego mgła najdziwaczniejszych ułudzeń pokrywała życie praktyczne. Inni nareszcie nie wdawali się w wykrzykniki, zawczasu szydzieli, naganiali. Ostatni chciwie się rzucali na zapomniane niekiedy przypadkiem podobne wspomnienia; polowali nawet na nie z wytrwałą zawziętością.

Nasz sąd w tej mierze może nie jest lepszym, ale przynaj-

mniej różni się trochę od poprzednich. Na widok dziennika młodej dziewczyny przejmowało nas zawsze rzewne jakieś uczucie. Wówczas byliśmy skłonni jeszcze do uczuć i do rzewności. Rzecz wyklada się jak następuje:

W tonach rozmaitych odgłosów duszy, dziewicze akordy wydawały się nam najbardziej harmonijnymi. Chciwie goniliśmy za temi dźwięki, łowiliśmy je całą piersią; ale bo też wśród wrzawy świata lub twardych z nim przebojów, powiew tajemnych uczuć dziewczęcia ogarnia miłszym urokiem, niżeli oaza na skwarnych piaskach zapraszająca pod cień swój wędrowca. Złoto-błękitne te wrażenia rzadko kiedy, prawie nigdy — krótko powiedzmy — nigdy nie dają się spotykać; nadzieja ich więc tem drożej przed myślą połyska. W życiu powszedniem łatwiej je schwytać w milczeniu, w błyskawicznych rzutach oczu, w mglistych, bezcelowych poglądach w przestrzeń — w słowach nikt ich nie dostrzeże. I nie może być inaczej. Do kogoż, w jasnej prawdzie, ma odezwać się to anormalne, fałszywie w towarzystwie postawione stworzenie, które nazywamy panną? Nadaremnie kulisy życia tak blisko wysunięto na widownię, że drobne pachole snadno poznaje w pałacach płótno, w liściach papier i folgę w zlocie. Świat składa się z samych wróżbitów; każdy z nich po szczególe zna sposoby, jakich Pytonissa używa do ogłaszania swoich wyroczeni; chórem wszyscy kłamią wiary w nadprzyrodzoność. Arcykapłani tylko i starsze pokolenie, zebrawszy się między sobą, fałd po fałdzie, nitka po nitce, zdzierają togę z Sybilli; ale skoro która Westfalka odważy się dać poznać, że sprawy tajemne przenika, wnet kamienują ją gradem językowych pocisków i przywalają ciężkim głazem opinii. Westfalka więc zapiera się samejże istoty ducha — swobody; kłamie z pogodą na czole, a im prawda głębiej kryje się na dnie jej serca, im fałsz w ponętniejszych barwach powleka jej lice, tem wspanialszy wieniec kładą jej na skronie, tem droższe palą przed nią kadzidła. Tak więziona prawda, z potężniejszą siłą kiedy niekiedy wybucha, błyszczy świętym ogniem, czasami rozpromienia wszystko do koła; częściej jednak pali, gryzie, wytrawia. Zdrożność żyje tajemnicą, światłoienne ją zabija. Ideałem naszym w tym względzie była owa włoska księżna, która legła za wzór Kanowie; na przeciwnym zaś biegunie stał

czarny, zakapturzony chór tych wszystkich, które się jej postępiem gorszyły. Ideałem naszym! — Ale po co wspominać te uroczyste zjawiska, z których żadne nie wytrzymało próby prawdy i rzeczywistości. Oblędy! — widma! — chimery! — polityczne położenie Polski temu winne. Przewyborna komedia! —

Marja zachmurzyła czoło, ukryła je w dłoniach, pióro wypadło z różanych jej palców; snać nie mogła znaleźć wyrażenia na bezład swoich myśli; nie mogła zdobyć tej pogody, jaka następuje po wydostaniu na jaw wszystkich niepokojów z głębi piersi. Odwróciła kilka kartek, sądząc że dalej dopyta się przerwane wątku; jęła bystro przebiegać wzrokiem zapisane dziś stronnice. Pierwsza z nich brzmiała w te słowa:

«Wczorajszy wieczór smutnie się zaczął; skończył jak każdy bal, więcej zmęczeniem niż wesołością. Myślałam już, że pani Bridoux nie przyniesie mi sukni. Ósma wybiła, z magazynu nikt nie przychodził; w domu tymczasem wszyscy byli pokwazzeni — kwaśniejsi niż kiedykolwiek. Mama chciała, abym włożyła tę samą suknię, w której byłam na balu u gubernatora. Nie wiedziałam co począć; lzy kręciły się mi w oczach; za nic w świecie nie byłabym pojechała w tej samej sukni. Posłałam jeszcze raz Franusią do magazynu, i przecież po trzech kwadransach niewypowiedzianych męczarni, pani Bridoux stawiła się na słowie. Odetchnęłam. Na szczęście przybyliśmy na bal wedle życzenia rodziców: przed panią gubernatorową i jej mężem. Uważałam pokryjomu, że za naszym wejściem wszystkich oczy zwróciły się na mnie. Szmer jakiś powstał między młodzieżą; nie mogłam ani słowa dosłyszeć, ale sam ten szmer na mnie sprawiał rokoszne wrażenie. Jestem przekonana, że nic złego o mnie nie mówiono. Wkrótce zagrała muzyka, Nie pamiętam, abym gdzie tyle tańcowała. Nie opuściłam ani jednego mazura. Mój kuzyn Władysław przewybornie walcuje; jego też najwięcej lubię na balu. Nie pojmuję, dla czego cała młodzież garnie się tak pod jego opiekę; chyba dla tego, że on prowadzi mazurka i wynajduje najzabawniejsze figury. Bez wątpienia musi ich bawić, skoro go tak lubią. Żal mi, że o naszej młodzieży nie mogę tego powiedzieć. Nie dość przecie umieć zgrabnie wykrycać się na jednej nodze. Gdyby podług tego wypadało sądzić, tancerze teatru wiedeńskiego byłiby pierwszymi ludźmi w świe-

cie. Od ludzi, z którymi często się widzimy, pragnęłabym więcej. Dla czegoż nie miałabym o tem z nimi rozmawiać, o czem często myślę, gdy jestem sama, zwłaszcza wieczorem, gdy siedzę w oknie i zacznę wpatrywać się: w gwiazdy, co mrugają do siebie złotemi oczyma, w chmurki, co w tak różnych i dziwacznych kształtach po nich przepływają. Ale oni mają zawsze jedne i te same zapytania, zawsze te same prawią grzeczności. Jeżeli w istocie na nic rozumniejszego nie mogą się zdobyć, niesłusznie chlubią się pierwszeństwem nad nami. Ja będąc na ich miejscu, zupełnie o czem innym bym mówiła. Jestem pewną, że wszystkie panny kochałyby się we mnie na zabój. Jeżeli jednak się myślę — jeżeli ci młodzi panowie głębszymi są, aniżeli mniemam — czemuż więc uważają nas za dzieci? Zkąd w nich to przekonanie, że z nami tylko o pogodzie można rozmawiać, że zbliżając się do nas, trzeba koniecznie zniżć się do naszego pojęcia? I zaraz przybierają inną postawę, inny wyraz twarzy, niżeli kiedy są od nas z daleka. Do nas, zdaje się im, nie można inaczej przystąpić, jak z uśmiechem na obliczu; że nie wypada inaczej przemówić, jak odmiennym, przyćmionym głosem, podobnym do dźwięku, jaki wydaje fortepian, gdy mu na strunach położą lekką, jedwabną chustkę. Wtedy pewni są, że nas bawią, dla tego, że także im się odśmiechujemy, że także same zadajem pytania. A jednak ci jeszcze są znośniejsi. Inni mniej mówią, ale za to tak dziwnie patrzą, tak nas zewsząd oglądają, że ile razy jednego z tych ostatnich spotykam, radabym schować się pod ziemię. Oczy ich jak ćmy brudne biją mię po twarzy, po piersi, po ramionach; a nie są to bynajmniej oczy wyrażające uwielbienie, jakimi się patrzy na piękny posąg, na obraz jaki wielkiego mistrza — takie oczy wpatrują się szeroko, otwarcie, spokojnie — ich zaś wzrok bezustannie biega w kółko, przymrużony, kolący, jak gdyby zawstydzony samego siebie. Nie rozumiem jak ich to nie męczy. Ileż to podobnych ócz w Wiedniu? — Prawie wszystkie takie; tylko że tam i kobiety tak samo patrzą. Do nas jeszcze — dzięki Bogu! — ta moda nie nadszła. Panowie ci myślą zapewne, że tym sposobem potrafią nam się podobać; może poprawiliby się, gdyby która z nas odważyła się powiedzieć im, że to oni są w błędzie.

«Przy końcu balu większa część naszej młodzieży i kilku oficerów węgierskich pobiegło do muzyki na balkon. Nie wiem co tam pomiędzy nimi zaszło; ale gdy wrócili, zdało mi się, że wszyscy jakoś wypiękniali, a przecie żaden z nich się nie wdzięczył. Zwłaszcza też kuzyn mój Władysław dziwnie jaśniał; nigdy nie widziałam go tak przyjemnym. Trzeba jednak być sprawiedliwą. Ten młody człowiek, którego mi wczoraj przedstawiono, świeżo przybyły z zagranicy, pan Kazimierz Poraj, zupełnie inaczej od innych wyglądał. Niepojęte rzeczy prawil mi o tańcu; śmiech mię zabiera, gdy sobie przypominam. Ja myślę że on dla tego nie tańczył, że ma smutek jakiś na sercu. Może zakochał się gdzie za granicą — to przynajmniej bladeść jego pokazuje — i martwi się teraz, że musiał kochankę porzucić. Albo też zdradziła go niewierna, zemścił się nad nią okropnym jakim sposobem — jak to często bywa w romansach — i dziś sumienie go dręczy. Nie ma wątpienia, że nowy nasz gość ukrywa na dnie duszy jakąś straszną tajemnicę. Gdybym mogła ją zbadać, albo odgadnąć przeczuciem? — Kto wie? — Sprobuję: zapiszę ją, a później, jeżeli kiedy o niej się dowiem, zobaczę, czy o wiele się pomyliłam. —»

Na tem właśnie miejscu zatrzymała się Marja. Niewprawna w piśmiennicze rzemiosło, zdało się jej, że dość pióro wzięść do ręki, aby przenieść na papier przelotne wrażenia w tęczowych barwach połyskujące przed jej umysłem. Skoro atoli przyszło do dzieła, spostrzegła że chociaż romantyczna przygoda Kazimierza przedstawiała się jej wyraźnie, nie mogła przecie wynaleźć początku. Aby tylko raz zacząć, mówiła w duszy, dalej wszystko samo z siebie się rozwinię. I uśmiechała się na widok wybiegających przed nią niespodzianych trudności; kręciła głową, odpędzając niestosowne zaczęcia, głaskała białe czoło — ale nadaremnie — natchnienie nie przybywało; owszem z każdą chwilą coraz głębiej nikło gdzieś w oddali. Dziewczyna myślała puścić się za niem w pogoń, gdy wtem głos matki w przyległym pokoju wyrwał ją nagle z zadumki.

Marja czempredzej wrzuciła książkę do stolika i wybiegła do Sokołnikowej z rannem pozdrowieniem. Matka pocałowała ją w czoło i uprzedziła, aby dziś nie spóźniła się z ubiorem, kilka bowiem osób obiecywało przyjść do nich na wieczór.

W istocie wieczorem cały dom, zaczawszy od gospodarza, odmienną przybrał postać.

Z rana samowładnie panowały nieład i rozprzężenie. Służący swarzyli się między sobą: kamerdyner Anglik targał za uszy dwóch pokojowców ze wsi wziętych na służbę do dworu; panna służąca rozpuściła język w kuchni i wyzwierzała się na garderobianę; w przedpokoju kilku suplikantów podejrzanej twarzy i tyłuż Żydów spokojnie liczyło w milczeniu kwiatki na obiciu, czasami tylko wylamywaniem palców dając znak niecierpliwości. Sam zaś pan wewnętrznem usposobieniem bynajmniej nie dodawał światła obrazowi.

Wieczorem co za różnica! --

Wschody i przedpokój wymiecione z nieproszonych gości, służba wygalonowana, salon iskrzy się od świateł. Kępy kwiatów po kątach umieszczzone roznoszą łąkom naszym i lasom nieznanne zapachy, weselą zielenią, z jakiej zima na zewnątrz pańskiego pałacu ogolociła naturę, a weselą tylko oblicza przychodniów; do wesołości bowiem i swobody rozlanych na twarzy gospodarza i gospodyni nie dodać niepodobna.

Śród tego przepychu, jak królowa kwiatów, ślania się biała dziewczyna, piękna jedynaczka Sokolnika. Pani ta otaczających ją egzotycznych krzewów jedną ma z niemi naturę. Taka błada i przejrzysta jak one, tak samo kołysze się na swojej kibici, tak samo do życia zdaje się potrzebować ciepła i słońca, a lękać mrozu i wichrów północnych.

W salonie towarzystwo małowiczne, ale dobre.

Z młodzieży nie ma prawie nikogo. Ta po śniadaniu u Wilczka, zamiast salonowych poziewań, wolała zebrać się do Juljusza na karty. Dwóch tylko mało z nią zażyłych, Kazimierz i młody hrabia Fürstemberg, ten sam, którego Wilczek z upragnieniem u siebie oczekiwał, przybyło do Sokolnika.

Rozmowa z początku — łatwo odgadnąć — potoczyła się o pojedyńku Wilczka. Kilku starych dygnitarzy powstało przeciw szaleństwu młodzieży; kilka podeszłych matron wykrzykiwało na bezbożność; dziewczęta rade że nikt nie poległ, ciekawie wypytywały o szczegóły i przyrzekały sobie w duszy jednym rany, drugiemu zaś odwagę wynagrodzić wdzięcznemi uśmiechami. Sokolnik i jego żona powstawali wraz z dygnitarzami na

szaleństwo, wykrzykiwali z matronami na bezbożność; do dziewcząt całe się nie mięszali.

— Ja bynajmniej nie mam im tego za złe — mówił Piotr Poraj. — Upuszczenie krwi serpentyną najlepszy specyfik dla gorączkowej młodzieży, jedyny zaradczy środek przeciw zbytnej rubasznosci, która od niejakiego czasu zaczyna wkradać się między młode nasze męskie pokolenie. I nie ma czemu się dziwić: z kim kto przestaje, takim się i staje. Nasza młodzież większą część czasu przepędzając z psami i z końmi, odczyła się trochę żyć z ludźmi.

Sokolnik uśmiechnął się z lekka na te słowa Poraja, tym razem rzeczywiście nie owinięte ani w jedwab, ani w bawełnę.

— Zapewne! — odrzekł — jest w tem coś nierozłączonego z naturą szlacheckiego życia. Ludziom dobrze urodzonym życie łatwo przychodzi; słuszną zatem, że z niem igrają, zwłaszcza ci, którzy nie mają żadnych obowiązków.

Ostatnie wyrazy Sokolnik wymówił półgłosem, a widząc towarzystwo rozsypane gronami po salonie, zasiadł z Piotrem na małej kanapie, wszczął z nim obszerną rozmowę o gospodarstwie, o środkach polepszenia bytu włościan, rozwijał mu swoje widoki na przyszłość, zasięgał rady i nasuwał zawile kwestje, w których odwoływał się do jego zdania i całkiem na niem polegał.

Ze swojej strony gospodyni domu nie zaniedbała okazywać Fürstembergowi jak dalece mile widzianym był gościem: wypytywała go o stolicy, o dworze, o dawnych swoich wiedeńskich znajomościach. Szambelan, tonąc w ogromnym fotelu, odpowiadał z niechęcenia, lekko tylko pochylał głowę, ile razy wspomniał nazwisko księcia kanclerza.

Na młodszego Poraja ani pan, ani pani domu nie zwracali szczególnej uwagi. Z początku tylko Sokolnik powitał go uprzejmie, zostawił przy córce; sam zaś odszedł zabawiać pana Piotra. Kilka podeszłych osób stanowiących tło obrazu, w przybocznym pokoju zasiadło do wista. Bawiono się głośno i na pozór wesoło.

W naszych salonach, dzięki potężnemu zapasowi ogólników, jakie zasilają towarzystwo, rozmowa zwykle szybko się toczy.

Wypadki dzienne na codzienną potrzebę aż nadto dostarczają pokarmu.

W szczupłym gronku młodszego pokolenia, zabłąkanego między kwiatami, naprzeciw głównej kanapy, dogorywały zapytania i uwagi nad pojedynkiem Wilczka.

— Czy i pan także jesteś tego zdania — mówiła Marja do swego sąsiada — że ludzie, którym życie łatwo przychodzi, mają prawo z niem igrzać?

— Nie miałbym może nic do zarzucenia, odparł Kazimierz — gdybym mógł zrozumieć znaczenie nadawane tej łatwości życia. Ale muszę wyznać, że nie pojmuję, co to jest życie łatwe — małoważne — nic nie znaczące — czcze. — Niech mi tak powiedzą, a będę wiedział, czego się trzymać.

— Życie bez cierpień — przerwała młoda dziewczyna.

— Życie samolubów — chcesz pani powiedzieć? To zapewne łatwiejszem jest od innych, ale też tem samem daleko droższem cenionem — przez właścicieli — nie przez drugich. W wykazach urzędowych ludzi, podobnie czas trawiących, liczą do żywych — niesłusznie. Łatwość, jak uważam, jest tu jednoznacznikiem z bezcelowością. Nie wątpię, że gdyby człowiek rzeczywisty miał do wyboru dwa życia, z których jedno byłoby najężonem trudnościami, drugie zaś tak wygładzonem, jak zamaryć może najsamolubniejszy odludek — nie wątpię, że z wstrętem uciekłby od drugiego. Jakąż męczarnią wieść życie bez odblasku, bez możności wypowiedzenia czegokolwiek nowego, bez poruszenia na zewnątrz siebie żadnego uczucia! Spojrz pani do koła! Te kwiatki z różanemi lub białemi kielichy mają byt daleko treściwszy; one żyją tem, że uśmiechają się do pani, że mogą w różnobarwnych listkach rozpełknąć, zawdzięczając starania, jakie pani względem nich podejmujesz. Kto wie, czyli gdyby kto inny, bez potrzebnej ku temu miłości, wpatrywał się w ich pączki przed rozwiciem — kto wie, czyliby tak bujnie z ziemi wybiegły?

— Dziękuję panu za dobre przekonanie o moich kwiatkach. W istocie, zasługują one na pochwałę; żaden jeszcze nie uwiadł, a choć wszystkie rosną razem, żaden nie zawział się tak dalece na drugiego, aby zgubą mu zagrażał.

— Zgoda, jaką pani utrzymujesz między kwiatkami, trudniejszą może byłaby do zaprowadzenia między ludźmi.

— Niekoniecznie; gdyby każdy chciał tak myśleć, jak jabym po nim żądała.

— Nie powiem, aby warunek był łatwym do wykonania — niepodobnym wszelako wcale go nie znajduję.

— Przyjmuję to zapewnienie jako grzeczność — dar zewsząd i w każdej chwili obficie nam składany.

— Przyjmujesz pani zatem ofiarę, której złożenia wcale nie miałem zamiaru. Mam zwyczaj milczeć, ile razy zbliżam się do ludzi, dla których mógłbym zdobyć się tylko na czczą grzeczność. Jest to może zasada, może nałóg; ale cokolwiek bądź, nigdy nie przełamałem tego zwyczaju. Co zaś mówiłem o przejęciu kogoś własną swoją myślą, powiedziałem z przekonania. Miałażby odpowiedź pani z częstszego doświadczenia być wyciągniętą?

— Z doświadczenia? Broń Boże! — odpowiedziała szybko Marja. — Zaręczam panu, że myśl ta po raz pierwszy wpadła mi do głowy; dotąd nigdy nad nią się nie zastanawiałam.

Kazimierz uśmiechnął się. Dziewczyna widocznie w słowach jego upatrywała zarzut zalotności i chciała czempredzej zeń się oczyścić.

— W tej chwili nawet — mówił do niej wesoło — pani znowu mylnie znaczenie nadajesz moim wyrazom. Nie stosowałem ich wcale do życia zamkniętego między czterema bogato obitemi ścianami salonu, mającego za widnokrag freski sufitu, a za podstawę kobierzec. Nie miałem również na myśli młodych i pięknych kobiet. Mówiłem ogólnie o człowieku, o cząstce ludzkości. Potęga słowa poprzedzonego silną wolą, wysnutego z miłości, opartego na prawdzie, a częściej sam wpływ trzech ostatnich warunków, bez koniecznego poparcia ich słowem — oto środek przejmowania ludzi własnem przekonaniem, oto głęboka i tajemnicza ścieżka, po której człowiek zawsze dochodzi do wielkich celów.

— Niepodobna zaprzeczyć; ależ środki te niesłychanie są trudnemi do osiągnięcia.

— Przyznajesz pani jednak ich użyteczność —

— Bez wątpienia.

— Ztąd prosty wniosek, że życie nie jest łatwem dla tych, którzy chcą wieść je po ludzku.

— Tak być by powinno; sądzę jednak, że należałoby dodać —

— Cóż takiego?

— Że kto umie przekonywać o potrzebie tych środków, powinien by także —

— Pokazać, jakim sposobem można ich nabyć — wtrącił Kazimierz, kończąc myśl Marji. — Masz pani słuszność; wypadłoby zupełnie i jasno się wytłumaczyć; ale droga to długa i przykra — zwłaszcza dla nas. W ślad za tą myślą wpada w pierś człowieka tłum cierpień, strasznych pasowań się z samym sobą i boleści niewypowiedzianych, tem dokuczliwszych, że wszystkie kryją się wewnątrz, niepojęte a więc wysmiane przez ogół, szarpiające myśl dzienną, wydziewające w sennych marzeniach, i nareszcie wszystkie ukochane, religijną czcią ozłoczone, bo w wypadku dające nadziejski spokój ducha i moc niesłychaną. Do podobnych wypadków kobiety przychodzą na drodze uczucia; odgadują je często w wieszczem natchnieniu — jak ów posąg grecki, w jednej chwili nieraz z zimnych gładów przestwarzają się w stworzenia rozpromienione nadprzyrodzonym życiem, anielską siłą. U nas szczególnie kobietom łatwiej nabycie tych skarbów przychodzi, i ztąd widzisz pani, w historii, w towarzystwie, w rodzinach polskich, jak przeważny wpływ wywierają kobiety.

Długo tak Kazimierz rozmawiał z Marją; płomienna jego egzaltacja odsłaniała nowy świat nieznanych dotąd a uroczych pojęć przed oczyma dziewczyny. Ona też wlepiwszy weń ciemne źrenice, słuchała go z zachwytem — lekkim rumieńcem i zmiennym co chwila wyrazem twarzy dając poznać, jak cała pozwalała się duchowi młodzieńca unosić po nowych dla siebie krainach.

Dziwna to harmonja, słyszana tylko od niebieskich chórów, ta, jaką wydaje dusza młodej dziewczyny, gdy silny umysł męski wydobywa z niej pierwsze dźwięki szlachetnego zapachu; kiedy porywa ją z sobą gdzieś na gwiaździste szlaki i roztacza przed nim tęczowe obrazy, malowane złotem fantazji i błękitem uczucia. Jakże niespokojnie serce naówczas jej bije, jak do-

myśla się i porywczo chwyta słowa, zanim z ust jeszcze wypadną, i lęka się chwili przestanku, myśląc że więcej już nic nie usłyszy. Nie zgaduje dziecię, że wytężeniem i niepokojem własnego umysłu i serca podwaja siły w swym mistrzu, że samem wdzięcznem przyjęciem prawdy, łagodną pogodę i moc wlewa mu do duszy. Olbrzymia siła niczem nie złamana, chyba wyzwaniem tejże samej istoty do rzeczywistego życia, podaniem jej sposobności wcielenia w czyn tychże samych zasad, które w teorji do głębi serca ją wzruszają.

Kazimierz mając ciągle na widoku przezroczyście i tęskne oblicze ciekawej dziewczyny, zapomniał na chwilę gdzie się znajdował, poił się wrażeniami, jakie budził w jej duszy, i zwolna głos podnosił. Większa część towarzystwa zamilkła i zwróciła na dwoje młodych ludzi uwagę, chciała dosłyszyć, o czem toczyła się ważna między nimi rozmowa. I wnet zawiął go chłodny, przejmujący wiatr od tych sąsiadów, którzy wysyłali na zwiady obojętnie ciekawe słuchy. Dreszcz go ukłół w serce, uciał nagle rozmowę i powstał ze swego miejsca.

Marja zatoczyła niespokojnym wzrokiem do koła i zaczęła powoli obrywać liście z jakiegoś kwiatka. Poraj wszedł z towarzystwem w ogólną rozmowę.

— My ciągle tu rozmawiamy o dzisiejszym pojedynku — mówiła pani Sokolnikowa. — Panowie i panie na mnie, jako na kuzynkę Władysława, wkładają obowiązek wyłajania go za tę nieszczęsną popędliwość, którą tyle razy już drogo przypłacił. Spodziewam się, że pan. Poraj, świeżo z zagranicy przybyły, także nie pochwała tej zamaszystości naszej młodzieży.

— Zbyt krótko jestem we Lwowie — odparł Kazimierz — abym miał stanowczo wyrokować o naszej młodzieży. Co zaś do pojedynku, sędzę pani hrabino, że należy go używać w ostatecznych razach, i to dla siebie, nie dla świata. Niech krwawy ten dług będzie wyplaconym własnemu przekonaniu, nie zaś opinji ogółu. Ztąd między dwoma temiż samemi osobami przypuszczam w życiu jeden tylko pojedynek.

Piotr z podziwieniem spojrzął na brata; nie spodziewał się znaleźć w nim tyle zawziętości. Sokolnikowa powierzchownie myśl jego pojęła i rzekła:

— Tak jest; w bardzo młodym wieku — jedna jakaś tam utarczka — między rówienikami.

— Koniecznie między rówienikami, przerwał Kazimierz — Pani hrabina ma słuszość; warunki i ofiary z obu stron winny być równe.

Szambelan Fürstemberg potwierdzając ten sąd, dodał, że zachowanie równości było pierwszym i świętym obowiązkiem świadków. Sokolnik także wtrącił kilka nieznacznych słów. Dwie podeszły matrony rozsiałe na kanapie i pochylone każda w przeciwną stronę w kształt dartego austrjackiego orła, zamruczały potakująco. Zakonkludowano kwestję powszechną zgodą i tą wesołą harmonją, jaką Sokolnik umiał z dziwną zręcznością utrzymywać między swymi gośćmi. Każdy odszedł zadowolony, każdy równie przekonany o własnej wyższości, jako też o subtelnie wykształconym i uprzejmym charakterze państwa domu.

Piotr nadewszystko uszczęśliwionym był z Sokolnika. Magnat tak szczerze wypytywał go o rady, tak szlachetnie rozwijał przed nim zamiary, że zacy obywatel w niechęci, jaką Sokolnik obudzał w kraju, ujrzał zawiść jednych, powierzchowną lub daleką znajomość drugich. Kazimierz zastanawiał się nad Sokolniczką.

Prawdę mówiąc, rodzice Marji nie sprawili na nim zbyt korzystnego wrażenia. Sokolnik wydał się mu nadętym i obłudnym, żona jego przesadzoną i w rozmowie powtarzającą tylko zdania przed chwilą wysłyszane od tego z obecnych, któremu towarzystwo w duchu przyznawało palmę wyższości. Córka ich atoli tem szczególniejszem była dlań zjawiskiem, że nie pojmował, jak na tak pospolitej gałęzi mógł rozpełknąć kwiat równego wdzięku. Dziewczyna prócz tego ujęła go za serce pojętnością, z jaką skłaniała uwagę na jego wyrazy.

Z pomiędzy wielu darów przyciągania ludzi, pojętne ucho na cudze słowa, należy bez wątpienia do najdzielniejszych. Obosieczna to broń: z przyjacielem służy za warunek do nieprzerwanej zgody; wrogowi napadającemu z gwałtowną filipiką odbiera siły i bezbrounego rzuca pod nogi. Człowiek przywiązuje się do roli wdzięcznej za ziarno jego trudu; toż samo dzieje się w świecie moralnym. Silny umysł spotkawszy drugi

sobie podobny, w którym nasienie prawdy niemal w chwili siejby się przyjmuje, kielkuje, rozrasta i barwistem kwieciami wybłyska — zapala się ku niemu miłością Stworzyciela dla swego tworu, kocha własne swoje pojęcia na niwie obcej wyrosłe i wchłania zarazem w pierś cały odblask uczuć istoty, na którą wpływ wywarł.

Kazimierz przybywszy niedawno do kraju, wszędy jeszcze był obcym. W pobycie swoim za granicą musiał przestawać po części na powierzchownych znajomościach, i nieraz gorąco pragnął wejść z rodakami w zażyłe stosunki, wśród których wypocząłby i nabrał sił do przeprowadzania własnego wewnętrznego życia. Młodzież galicyjska, ta przynajmniej, jaką dotąd napotkał, wcale nie przypadła mu do smaku. Życie jej, wyłącznie materialne, w jednostajnej formie się objawiające, odstręczało go czczością. Gdyby Kazimierz był jednym z rzadkich ludzi, posiadających nieskończoną wiarę w siebie; gdyby sam ciągle był przepełniony natchnionem powołaniem i uczył ważność swego stanowiska — naówczas właśnie wśród tej młodzieży byłby znalazł najszersze pole do dzieła. Oczywiście, widnokrag jego pojęć był rozleglejszym i wyższym. Należało więc począć w sobie zamiar odrodzenia podupadłych rówieśników, poprzec go nieugiętą wolą, i spokojnie, z powagą a miłością pośród nich stanąwszy, udzielnie nad nimi zapanować. Ale Kazimierz miał więcej szlachetniejszych poczuczeń, aniżeli przekonania o własnej potędze. Chwilową ofiarę, doraźne poświęcenie, boleść jaką niewypowiedzianą, chętnie byłby zniósł dla przerzucenia wszystkich od razu na prostą drogę; w powolne jednak usiłowania nie zupełnie wierzył. Zdawało się mu, że cząstka ta towarzystwa była chorą nie do uleczenia; unikał jej, nie chcąc dręczyć się daremnie obcowaniem, z którego ani przyjemności, ani pożytku dla sprawy sobie nie obiecywał.

Zkądinąd odosobnienie nie zgadzało się z jego zasadami; brzydził się niem jako samolubstwem tem bezwstydniejszem, że często pokrytem larwą sentymentalizmu, pod którą taił się ostatni stopień nieudolności. Zdanie to wyciągnął z dylematu, że jeżeli świat takim jest, jakim powinien być, szalenie tylko może sobie stworzyć daremne niepokoje; w przeciwnym razie zbrodnia ciąży na wszystkich postrzegających te szczyrby

i rozpadliny, a usuwających się pomimo to od spekanego gmachu.

W drugim tym wniosku, nawet dla przekonanych o chorobie społeczeństwa, a tem samem wyższych nad ogół, odkrywały się w różnych kierunkach święte zamiary do spełnienia, olbrzymie cele do dopięcia i ostatecznie najdoskonalsza rokosz na ziemi, rokosz przeświadczenia o własnej nieśmiertelności, nie dziedzictwem według kodeksu katechizmowego spadłej, ale przebojem przez siebie samego zdobytej.

Wypadało żyć z ludźmi dla usprawiedliwienia głównej zasady bytu. Że jednak często na świecie, w zastosowaniu, nie można poznać najlepszych zamiarów — i Kazimierz więc nie tą drogą się rzucił, gdzieby mógł największą działalność rozwinąć, ale tą, gdzie spodziewał się znaleźć najwięcej ułatwień.

Pomimo fałszu, jaki mimowolnie drażnił mu oczy, ujął go gładki sposób obejścia Sokolnika, troskliwość o dobro krajowe, nadewszystko zaś głębokie, jak się zdawało, przywiązanie do córki. Za przymiotami ojca pięknej dziewczyny, Kazimierz zaczynał nie dostrzegać wad człowieka. Rzeczywiście, młoda hrabianka zapowiadała niepospolite przymioty.

Marja przeczuwała, że jest w świecie umysłowym wiele takich rzeczy, o jakich nikt z otaczających nie dał jej dotąd żadnego wyobrażenia. Zgadywała, że były jakieś powody smutku, wesela, zachwyty, jakim kolejno dawała się unosić, że dokoła otaczały ją miliony dziwnych zagadek, których rozwiązanie dawało wewnętrzznego spokoju, objaśniało przypadkowość bytu.

Młoda kobieta, do szlachetnej ciekawości łącząca tę pojętność uczucia, tak wdzięczną dla każdego objawienia, jest najbardziej ujmującym stworzeniem na ziemi, zwłaszcza też, jeżeli nas z nią żaden wieczysty węzeł nie wiąże.

Kazimierz doskonale ocenił wartość Marji; nie uszło mu żadne drgnięcie jej serca, żaden poryw wyobraźni. Z rokoszłą lubował się tym cudzokrzewnym umysłem, chwytającym zawsze słów jego prawdziwe znaczenie. Uderzył w różne jego struny, a za najłżejszem trąceniem czysty harmonijmy dźwięk mu odpowiadał. Nie chciał pomimo to używać swego wpływu do samolubnych celów, dziękował losowi za postawienie go na jednej szkiełce z młodą dziewczyną, kryjącą w sobie iskry bożych

czuć; wmówił w siebie, że bez niego zewnętrzne towarzyskie wrażenia byłyby zwały się święte owe zawiązki. Postanowił przeto rzucić na nie tyle światła, ile potrzebowały do najbogatszego rozwinięcia. Wtedy na widok wychodowanego przez siebie anioła byłby odszedł spokojny, i dumny, że podejmował starania dla prawdy, nie zaś dla osobistych widoków.

Wprawdzie wstydzila go nieraz ta jakaś na drobną stopę sentymentalność; ale Kazimierz był przekonany, że moc wyradza się tylko z zaparcia samego siebie: owijał się przeto po teatralnemu w poetyczną tę myśl i jak mógł — sam siebie tumał.

Przed Marją o samym sobie nigdy nie wspominał, nigdy nie schlebiał jej próżnostkom, nie palił kadzidel jej miłości własnej. Ile razy wydawało się, że dziewczyna chciała zwrócić rozmowę na podobną drogę, stawał się zimno, sucho odpowiadał, czasami zbywał milczeniem.

Tak myślał i rozważał Kazimierz; Marja sądziła inaczej.

Zajmowały ją niewypowiedziane rozmowy młodzieńca. Zoczywszy atoli, że były przedmioty, których tenże wyraźnie unikał, tem bardziej niepoohamowaną rozplonął ku nim ciekawością. Bodło ją wreszcie, że Poraj na nią samą tak mało zwracał uwagi, i pod tym względem miała zupełną słuszność. Bóg widzi, że miała słuszność — czyliż bowiem te ciemne, polyskliwe oczy, twarz jakby wykunsztowana miękkim dętym snyderca rozkochanego w swej pracy, powiewne ruchy ciała — czyliż te powaby tem cenniejsze, im kto przystępował z większem ich rozumieniem, miały nie istnieć właśnie dla tego, przed kim chciano nimi zabłysnąć?

Marja nie mogła zgodzić się na podobną alternatywę; wezwiała więc na pomoc, a raczej nie wezwiała, ale pozwoliła tylko wrodzonej zalotności, przed sądem serca Kazimierzowego poprzeć trochę swą sprawę. Poraj nie baczył na szyki małych tych pomocników; wystawiał przeciw nim swoje hufce różnych, wymarzonych systemków, gęsto dzierganych w kwiaty poezji, tu i owdzie przetykanych perłami prawdy, i dzięki tej kombinacji, błędnych. Powierzehowność umysłu kobiet, wywołaną wymogami towarzyskiego życia, brał za ostateczny objaw ich wewnętrznej natury. Z radością wypoczywał wzrok na pięknej

postaci; nie przypuszczał atoli, aby która z nich mogła mu dać spokój i zadowolenie duszy, i następnie wynikającą ztąd moralną potęgę.

Tu upraszam czytelników moich o chwilowe zawieszenie wniosków i sądu.

Na pierwszy rzut oka możnaby mniemać, że pragnę bohaterowi memu nadać zimny charakter, szydzący z kobiet, nągawający się i nie wierzący w przyszłość, słowem, że pokuszę się wystawić drugiego Bajrona, ma się rozumieć mniej z talentem do poezji, jak się to z dalszej części jego żywota okaże. Wtedy dopiero, ufałdowawszy go w posępne i odludne teorie, wywiode fantastyka na plac mego romansu, z młodą, piękną kobietą, która w krótkich abcugach przekona go, że głupstwa marzył, że plół niedorzeczności — i zwyciężonego. Za karę przykuje do swego tryumfalnego wozu, w najpomysłniejszym wypadku zaprzężonego przez księdza proboszcza parafji.

Nie — tego zamiaru nie miałem. Znam i głęboko czuję jego popolitość. Tysiące mamy podobnych romansów, tysiące, które ja niegdyś sam czytałem — a ileż to uszło moich oczu, zwłaszcza od dziesięciu lat, gdy prawie żadnego romansu nie spotkałem pod ręką! Przeciwnie; pragnąłem wcielić Kazimierza w zupełnie nową formę; ale pomyślawszy, że wtedy musiałbym cały świat inny stwarzać, co byłoby do wysokiego stopnia niepraktycznem, wołałem zostawić go jakim był rzeczywiście, chociaż wcale niepowszednim, jak tego w dalszym rozwoju powieści dowiodę.

Oddycham. Ciężało mi na sumieniu to niejasne położenie względem mego księgarza i czytelnictwa. Teraz, kiedy obie strony wiedzą, czego się trzymać, wracam do rzeczy.

Tak, zwolna, Kazimierz do potrzeb swego życia, przydawał jedną jeszcze, bogdaj czy nie główną — jak najczęstsze bywanie u Sokolnika.

Z początku wprawdzie chciał był odjechać do siebie na wieś, ulżyć starszemu bratu ciężaru jego zatrudnień. Ale na szczęście, Piotr żył w pracy jak ryba w wodzie; od przybytku nigdy go głowa nie rozbolała. Kilka zatem lub kilkanaście dni opóźnienia nie sprawiało żadnej różnicy. Kazimierz przestał wspominać o wyjeździe.

Sokolnik i jego żona przyjmowali go zawsze z tą samą uprzejmością; czynili mu poufale wymówki, gdy czasami wieczorem spóźnił się na herbatę, zwłaszcza zaś (co było dowodem największej przychylności) przestali się nim zajmować jak gościem. Ponieważ zaś w domu bywało dwóch braci tegoż nazwiska, Marja przeto młodszego po prostu nazywała panem Kazimierzem. Młodzieńcowi dziwnie mile dźwięczało imię jego wymawiane czarującymi ustami dziewczyny. Zdało się mu, że tak zawołany, miał prawo otwierać dno myśli swoich, rozkrywać głąb swego serca; że musiał szeroko odpowiadać położonemu w nim zaufaniu.

Raz tym sposobem zrozumiawszy swe stanowisko, dobił się wreszcie tej spokojności, jakkiej oddawna gorąco pragnął. Odtąd nie zastanawiał się już nad rodzajem stosunków swoich z Marją.

Gospodarz przyjmował go wesoło i otwarcie; pani domu zostawiła mu wszelką wolność, nie troszczyła się o niego, nie zabawiała, siadłszy na kanapie, ogólnikami przeznaczonemi na przyjęcie powszednich odwiedzin. Córka mówiła mu o wszystkim, co tylko wiało przez piękną jej głowę. W ogóle dobrze mu było w tym domu, wygodnie, i dziwak tylko na jego miejscu odmówiłby sobie korzystania z przyjemnego pobytu. Kazimierz nie był dziwakiem.

Zdarzały się chwile, że przychodził wcale nie usposobiony do prowadzenia rozmowy. Nikt go też do niej nie naglił, nikt o przyczynę milczenia nie dbał.

Marja wtedy siadała do fortepianu.

Kazimierz posłyszawszy kilka razy jej śpiew, często naumyślnie wtrącał się w zamyślenie. Nie było go o co oskarżać. Marja miała kontraltowy głos. Owoż dla ludzi niemuzycznych trzeba powiedzieć, że w sferze harmonji, meteorami, czyli rzadkiem zjawiskiem, są głosy kontraltowe. Zasługa ich wcale na tej rzadkości nie polega, chnciaż wieść głosi, że Anglicy najwięcej dla tego ją cenią.

Zwykły głos kobiecy, znany pod nazwiskiem soprana, bawi raczej niż wzrusza; więcej działa na miłe drażnienie organów słuchowych, aniżeli na wskroś przenika. Często zaś podniesiony do zbytnej wysokości, dręczy, dokucza, i wtedy tak staje się

wiotkim i cienkim, że obawa przejmuje słuchacza, aby każda chwila się nie przerwał.

Głos kontraltowy zawsze pełny, z początku zadziwia, później czaruje, naprzemian zdumiewa i rozrzewnia, a oba te wrażenia zlewa w jedno i coraz do wyższego stopnia podnosi. Ma on w sobie ukrytą jakąś siłę złagodzoną uczuciem; niepodobna w nim dopatrzeć ani początku ani końca, jak gdyby iskra nieśmiertelności ciągle po nim przelatywała. Głos ten nie zebrze jako inne wzruszenia — oklasków; idzie przebojem, najuporniej opierających się porywa.

W bolesnych chwilach duchowego rozdźwięku, w napadach niewytłumaczonego smutku, śpiew Marji łagodził, kołysał wzburzenie umysłu młodego jej słuchacza. Kazimierz spostrzegł czasami, że dziewczyna nie zawsze śpiewała z jednakowem natężeniem uczucia. Odgadywał przyczynę różnicy. Dusza jego więcej potrzebowała spoczynku; pragnienie spokojności było gorętszem i tem samem dzielniejsze siły wydobywało z pięknej śpiewaczki. Gdyby mu przyszło tym sposobem życie ratować, nie zaręczał, czyli głos dziewczęcia wzbity do nadludzkiej potęgi, nie byłby za nim cudu u Boga wymodlił.

Marja o tajemnych sprężynach tego stopniowania nie miała żadnego pojęcia. Sokolnikowa lubiła nadewszystko tryle i rudy; Sokolnik przepadał za włoskimi arjami z ostatnich oper. Hrabianka dziwiła się nieraz, że Kazimierz z roztargnieniem słuchał ulubionych w domu motywów, podczas gdy gdzieindziej kilka prostych tonów wprawiało go w zachwycenie. Często zadawała mu zapytania, badając dziwactwo jego smaku. On jej odpowiadał, że tam tylko się unosił, gdzie była prawda; ale nie mógł wytłumaczyć, dla czego fałsz upatrywał w śpiewie, w którym według zasad muzyki, nie było ani jednego tonu, ani jednego fałszywego akordu. Kazimierz uśmiechał się na te słowa, mówiąc, że potrzebowałby bardzo długo zdania swego dowodzić, i prosił, aby zawsze śpiewała to, co jej samej, nie zaś co drugim najwięcej się podoba. Tym sposobem, dodawał, może być pewną, że nigdy nie minie się z prawdą. Głosu jej nie wychwalał, o śpiew koniecznie nie błagał; w chwilach przestanku nie sypał wykrzyknikami podziwu. Marja pomimo to głęboko była przeświadczoną, że nie tylko nie był oboję-

tnym, ale że więcej ją rozumiał i cenił od reszty zgiełkliwych słuchaczy.

Po niejakiem czasie wspólnej znajomości, dziewczyna, często sama nie wiedząc dla czego, rzuciwszy na Poraja przelotne wejrzenie, pędzona niepojętą siłą, siadała do fortepianu, i wtedy sama najwięcej lubowała się swoim głosem. Były to oczywiście chwile natchnienia.

Tymczasem w rozmowaniach swoich Kazimierz stawał się coraz mniej na świat zawziętym; pojmował wiele słabości, o jakich poprzednio słyszeć nie chciał; odkrywał przymioty przed wadami, nadewszystko zaś w starszym bracie z każdym dniem wynajdywał nowe zalety. Poznawszy go bliżej, z rozkoszą rozglądał szlachetną tę istotę, gotową do każdochwilowego zaparcia samej siebie, nie znającą ani czasu, ani przestrzeni, ani zbytich poświęceń, gdy szło o zadowolenie własnego serca, o wyświadczenie bliźniemu przysługi.

Ze swojej strony Piotr Poraj widocznie promieniał szczęściem. Nie wszczynał odtąd wprawdzie rozmów podobnych do tej, w jaką wdał się był z bratem na początku naszej powieści; lękał się niewczesnem słowem zepsuć pomyślnych kombinacji losu. Sam w sobie natomiast nie posiadał się z radości, ile razy podumał, jak rzeczy wybornie się układały, i wtedy zacierał ręce, uśmiechał się, mruzczał jakąś bez słów piosenkę.

Kilka razy Piotr dla własnego spokoju chciał zřęcznie wybać myśli brata: obchodził go z daleka, ostrożnie, napomykał nawiasem uwagi o Sokolniku, o jego żonie; o córce umyślnie nigdy nie wspominał. Kazimierz zbywał go nieznacznemi odpowiedziami, potakiwał, lub, co gorzej, milczał.

Piotr z zaufaniem rzucił się w objęcia przyszłości; powiedział sobie, że czas wszystko wyjaśni. Chodził więc zakochany we własnem marzeniu, często wzdychał; raz nawet Kazimierz schwytał go na jakimś gorącym monologu. Zapytany o treść, odpowiedział, nie bez zmieszania jednak, że obliczał kosztą spławu pszenicy po Dniestrze. Młodszy brat poprzestał na wymówce.

Odtąd Piotr postanowił nigdy nie wdawać się z bratem w długie sam na sam rozmowy; nie był pewnym, czyli uniesiony przedczesnym zapalem, nie rzuci się na szyję Kazimierzowi

i nie zapyta otwarcie, po prostu, czy może mieć pewną nadzieję uściskania wkrótce bratowej? — Gwoli tym myślom zapewne, Piotr od niejakiego czasu odwiedzał często jednego z swoich przyjaciół, budowniczego, wypytywał go, jak długo potrwałoby zupełne przebudowanie i urządzenie przyzwoitego wiejskiego mieszkania. O koszta, jak mówił, nie dbał bynajmniej, byle tylko wewnątrz na niczem nie zbywało, byleby można wprowadzić kobietę po pańsku wychowaną, znającą się na najdrobniejszych szczegółach, trochę nawet rozpieszczoną.

Budowniczy kręcił głową i dawał do zrozumienia, że zgaduje cel tych przygotowań, że zapewne pan Piotr zamysła spalić ofiarę na ołtarzu Hymenu. Piotr klął się duszą i ciałem, że niczego nie chce palić; upraszał jednak, aby rozmowy ich pozostały w tajemnicy.

Innym razem szlachcic gryzł się w duszy, że w ogrodzie jego nie było innych kwiatów, prócz słoneczników, piwonji i lawendy. Rozmyślał więc, gdzieby ich dostać jak największą ilość i jak najrzadszych gatunków, takich właśnie, jakie zdobyły salon w Sokolnikowym domu.

Gdy tak Piotr roskoszował się w swoich nadziejach, a brat jego młodszy spędzał pogodne dni w towarzystwie panny Sokolniczanki, dotychczasowy błękit ich pożycia począł się zachmurzać. Nie wiadomo z jakich przyczyn, Sokolnik nieznacznie usuwał się od Kazimierza; obejście jego chłodło, odcienia jednak tej zmiany były tak lekkimi, że Poraj mógł je zaledwie poczuć tajemną drażliwością uczucia; wyraźnych bowiem oznak niechęci dotąd wcale nie postrzegał.

Sokolnik od kilku dni nie spuszczał z oczu szambelana Fürstemberga; zabiegał mu z równą uprzejmością, jakiej przedtem nie szczędził dla obu Porajów, i czem więcej uważał, że młodszy brat zajmuje się jego córką, tem dobitniej dawał mu uczuć zwrot przychylności ku nowemu ulubieńcowi.

Tak na przykład, skoro Kazimierz zapominając o towarzystwie, zapędzał się z Marją w dalekie rozmowy, Sokolnik nagle z przeciwnej strony salonu odzywał się do córki, prosząc ją, aby zaśpiewała tę lub ową arję, zwykle tę samą, nad którą przed kilkoma dniami wiedeński panicz się unosił.

Jakie widoki chwiejący się w interesach magnat ściagał podobnem postępowaniem? Trudno było odgadnąć, tem bardziej, że doskonale wiedział, iż szambelan jako najmłodszy z rodziny, oprócz nazwiska, bezpłatnego dworskiego zaszczytu i nadziei w przyszłości wysokiego urzędu, nie miał zresztą nic takiego, coby korzystnie za nim przemawiało.

Sokolnik atoli nie darmo ocierał się o księcia kanclerza; bezcelowie żadnego kroku nie przedsiębrał, i nie było wątpliwości, że miał pewne swoje wyrachowania.

Kazimierz udał, że zmiany nie uważa: zachował wiernie tenże sam tryb stosunków, spoważniał tylko względem pana domu i często spokojem postawy, jednym wyrazem zmuszał go do powrotu w dawne łożysko.

Starcia te mało go wreszcie kosztowały: magnat bowiem czasami znowu rozciągał przed nim całą swoją uprzejmość, znowu brał go pod rękę, poufale rozmawiał, głąb serca rozkrywał, wtajemniczał do ważniejszych życia szczegółów.

Kazimierz odzyskiwał dawną swobodę, wyrzucał sobie bezzasadną nieufność, dopóki wejście szambelana do salonu znowu go nie pchało na szlaki tychże samych podejrzeń. W ogóle nie używał na tych obrotach całej uwagi; postać Marji zasłaniała mu resztę świata.

Szkoda że taż postać jego również nie zasłaniała przed światem, zwłaszcza zaś przed kapitułą pobożnych matron miasta Lwowa.

Pomimo że zbawienie duszy cały prawie czas zdawało się im zajmować, zacne jednak galicyjskie dewotki, znalazły porę do wypatrzenia ostrowidzowemi. oczyma, że jakieś skryte myśli względem Marji płaczą się Porajowi po głowie. Podważyły mu językami tajemnicę z serca, i wnet — dzięki gorliwości w udzielaniu sobie wzajemnych spostrzeżeń — domysły, posłuchy i plotki jak nietoperze zaczęły wlatywać nad miastem i nad okolicami.

Matrony, jedne troskliwe o los Kazimierza, drugie niespokojne o szczęście Marji, z rozmaitych stanowisk oglądały zawiązujący się stosunek.

Najobficiej wytytułowane, do nieba wołały o pomstę na drażkowego szlachcince, który śmiał zuchwały wzrok podnosić

do Sokolniczanki. Inne, mniej szczęśliwe pod tym względem od rodu uposażone, dowodziły godności lepszego losu, niepojmaniem tak źle dobranego związku. Ostatnie wreszcie miłosiernie zaręczały, że małżeństwo musi dojść do skutku, za daleko bowiem rzeczy już szły. Panna była skompromitowana: widziano Kazimierza o niezwykłych godzinach wymykającego się z domu Sokolnika; przejęto i listy, z których wypadek odkrył się jak na dłoni.

— Nieszczęście! straszne nieszczęście! — powtarzały zacne damy, kiwając głowami w lewo i w prawo. — Paniuszka piękna, z dobrego domu, starannie wychowana; on także miły chłopiec przyzwoity, wojażował za granicą, i tak fatalnie pośliznęła mu się noga.

— Właśnie też dla tego, że wojażował — odpowiadały drugie. — Bóg wie, z jakimi ludźmi przestawał w Paryżu albo w Londynie. Teraźniejsza młodzież powierzchowność tylko ma przyzwoitą; w duszy na wskroś jest zepsuta. Zgubił siebie, zgubił i paniuskę — wszystkich pogubił!

Tu weszła jakaś baronowa z okularami na nosie. Wracając z kościoła, napotkała swego spowiednika, który miał stosunki z rzymskim klasztornem duchowieństwem, a tem samem wiedział wszystko, co działo się we Włoszech.

— Oj prawda, wielka prawda! — zawołała, wciskając się w szerokie krzesło. — Nie pierwsza to podobna sprawka panicza. Mieszkał on długo w Florencji, a wiecie panie, co to Florencja?

Matrony za całą odpowiedź zaczęły wdychać i zawracać oczyma.

— Owoż w tej Florencji, powiadano, że pan Poraj zakochał się w jakiejś Angielce czy Hiszpance; nie pamiętam, z jakiego nieboraczka była narodu. Jak zaczął się w niej kochać, jak zaczął ostawiać ją szatańskimi siłami, tak doprowadził do tego, że mąż jej nagle umarł, zapewne ze zgryzoty, a może też —

— Może z trucizny? — podchwyciła jedna z obecnych.

— Pat! — przerwała baronowa, kładąc palec na ustach — na miłość bożą! nie wspominajcie o tem nikomu. Po co nam wchodzić w szczegóły? — Dość na tem, że mąż umarł.

— A z nią co się stało? — zapytało chórem towarzystwo.

— Z nią? — Nie wiadomo. To tylko pewna, że Poraj nie przestał u niej bywać. Często widywano ich razem, na publicznych przechadzkach — jak gdyby nic nie mieli sobie do wyrzucenia; prowadzili się pod rękę, niby najprzykładniejsze w świecie małżeństwo.

— Co? małżeństwo! — przerwała ta sama jejmość, która wpadła była na trafny domysł o truciznie. — Ha! niegodziwiec! Pewno ożenił się z nią i potem porzucił. Pięknego dostałyśmy panicza! — Już ma jedną żonę, teraz drugiej mu się zachciewa.

— Zdaje się mu, że my tak daleko siedzimy od świata — że o niczem nie potrafimy się dowiedzieć.

— No! proszę uniżenie! A tak spojrzawszy na niego, można by sądzić, że całe życie nad książką przepędził. Taki potulny, niewinny! — Ani przez myśl komu by przeszło, że tam, gdzieś daleko, ofiara jego przewrotności w łzach i rozpaczcy wzdycha w jakim odludnem miejscu — w klasztorze, albo w szpitalu obłąkanych.

— Masz pani słaszność — odrzekła baronowa. — Alboż to nie ma z czego zwarzjować? Pewną jestem, że nieboga dostała pomieszania zmysłów.

— Nie rozumiem, dla czego panie nad nią się litujecie — wtrąciła trzecia matrona. — Alboż to ona co lepszego? Otruła męża, hańbą okryła dzieci (nie bez tego żeby dzieci nie miała). Bóg sprawiedliwie ją ukarał. Ja — przyznam się — ani dla pana Poraja, ani dla jego miłośnicy, nie mam żadnego politowania.

— Zadewne, zapewne! — mówiła baronowa. — Tylko że on pierwszy na złe ją naprowadził.

— A któż inny miał ją naprowadzić? Alboż to on nie mężczyzna? — Gdzie idzie o popełnienie złego, tam mężczyźni zawsze pierwsi; jako węże lub koty, na to bawią się z ptaszkami, aby je potem zadławić.

— Święta prawda! Od nich to złe na świat się szerzy. My jesteśmy temi biednemi ptaszkami. Mój Boże! ile razy kto wspomni o ptaszkach, wnet przychodzą mi na myśl moje dwa młode kanarki. Wyobraźcie sobie panie, że już piórek dostają. Sama nie wiem co z nimi począć? Nigdy dotąd nie mogłam

odhodować piskląt. Bywało, kilka dni po wykluciu żyją zdrowe i wesolutkie, potem nagle, nie wiedzieć dla czego, zdychają.

— Za wiele cukru, za wiele zieleniny i siemienia pani im sypiesz — rzekła baronowa — trzeba je karmić buleczką maczaną w mleku, i tego dawać lepiej często a potroszę.

— W istocie? Serdecznie pani dziękuję; nie zapomnę korzystać z jej przestrogi. Może też Pan Bóg tym razem ulituje się nademną i oszczędzi mi zmartwienia.

I tu rozmowa potrząsała się inną koleją, w której nie radziłyśmy dalej grzęznąć; damy te wreszcie, wówczas już podeszłe, dziś wszystkie nie żyją. Umarłym nie godzi się przymawiać, tem bardziej, że każda z nich wybrała się w zaświatną podróż opatrzona w spory mantelzak księżych zapasów.

Takowe pogłoski dotychczas jedna tylko koterja między sobą upowszechniała; ani Kazimierz, ani nikt w domu Sokolnika o nich nie słyszał, chociaż do magnata błędne przedwonie tych wyziewów dochodzić już zaczynały.

Młoda para wśród tej atmosfery jądów, żółci lub rachuby, oddychała czystem powietrzem własnej spokojności. Wesole w górę poglądając, nie widziała brudnych węzowisk, jakie wily się pod jej stopami. Podobnie anieli ślaniają się po ogniach czyscowych, bezpieczni, bo strzeżeni talizmanem niebieskiej miłości.

Ostatnie to porównanie wziąłem z Milтона, nie zaś z księdza Semeneki; poczem muszę dodać, że harmonja w zwykłym towarzystwie u Sokolnika coraz zgrzytliwiej się plątała.

Szambelan, widząc gospodarza domu i gospodynię wyraźnie mu okazujących, że nie pojmowali bez niego życia, roztaśował się u nich bez ceremonji.

Po polsku wprawdzie ten perjod napisałem, ale pomimo szczerzej chęci nie podołałem zakończyć go polskim wyrazem.

W prawdziwej, przesławnej naszej Polsce, kiedy się roztaśowywano bez ceromonji, to znaczyło, że gospodarstwo wraz z podwojami domu i serce otwierało gościowi.

O takim gościu nie mówiono, że jest dobrze ułożonym — wyrażenie to zachowano dla psów myśliwskich i cygańskich niedźwiedzi — powiadano tylko, że co ma na myśli, to na

ustach. Zwykle zaś zamiast wdawania się w ogólniki, wyciągano ku przychodniowi szczerą, przyjacielską dłoń, a gdy opowiadał jakie zabawne zdarzenie, to aż za boki porywano się od śmiechu; a gdy smutek miał jaki na sercu, to gospodarz tulił go do piersi, łamał sobie głowę, jakby go pocieszyć, poratować, jakby mu poradzić, dopomódz, a gospodyni łyzy kręciły się w oczach, i rzewnie uśmiechała się do męża, gdy się jej zdawało że tenże na myśl szczęśliwą natrafił. Ceremonji zaś nie znano ani z treści, ani z nazwiska.

Szambelan inaczej rozumiał tę swobodę, inaczej mu też jej udzielano.

Zaczęwszy od pana i pani domu, aż do gości i domowników, każdego miał za nic. Jeżeli kiedy zapomniał się i cisnął komu grzeczne słowo, wnet doń przyłączał to szyderskie lekceważenie, jakie zamiast przyjemności obrazę budzi w słuchaczu. Drwił sobie lekko z Sokolnika, nie szczędził subtelnych przycin-ków jego żonie, Marji przez ramię sypał grzeczności, gości zaś wchodzących do salonu mierzył oczyma, opatrywał od dołu do góry, jak gdyby szukał plamy na ich odzieniu, lub głęboko się zastanawiał nad szewcem ich albo perukarzem.

Kazimierz obojętnie pomijał Niemca, o ile możności unikał z nim rozmowy; mniej go bowiem razilo, gdy szambelan nie wprost przed nim swoje sposoby widzenia roztaczał.

Panicz wiedeński miał w sobie coś z natury błędnego ognika: puszczał się w ślady za odchodzącymi, lubił wsteczne zaczepki i byłby chętnie napadł na spółzawodnika, ale słowa stygły mu na ustach, ile razy chciał wysunąć się ze złośliwą jaką względem Kazimierza uwagą. Niemniej przeto żywił w sobie skrytą ku niemu niechęć, a nie śmiejąc otwarcie nań poskoczyć, ubocznemi ścieżkami go docierał. Jątrzył go widok Marji, która oczywiście radziej lgnęła do narodowych żywiołów. Szambelan mścił się językiem.

Tak na przykład, często w salonie rozprawiał o wygodach, jakie pociągało za sobą świetne urodzenie; użalał się nad smutnym stanem ludzi, którzy niekiedy dobrze wychowani, umiejący przyzwoicie znaleźć się w wykwintnem towarzystwie, musieli niewinnie cierpieć za niedostatek ten spadły wraz z grze-

chem pierworodnym, ale w tem gorszy od grzechu, że niczem zmyć się nie dawał.

Kazimierz nie podnosił podobnych rozumowań; odbijały się one o pancerz jego obojętności. Marja zaś, słuchając ich, doświadczała niewytłumaczonej boleści, udrczenia moralnego, z którego nie mogła dać sobie sprawy.

Rodzice jej i towarzystwo nie przypuszczali żadnego porównania między Kazimierzem a szambelanem. Pominąwszy bowiem niezaprzeczoną wyższość, jaką drugiemu nadawały znakomite nazwisko i sam ród cudzoziemski, Fürstemberg daleko więcej ich bawił.

Poraj zwykle wyprawował jakieś ogólne rzeczy, nie stosujące się do żadnej osobistości, uwagi lub spostrzeżenia nie przydatne nikomu, gdyż ostatecznie każdy miał swój własny rozum i z niego mógł wyciągnąć własne swoje spostrzeżenia i uwagi.

Panicz wiedeński, od kolebki niemal otarty o pierwsze w Austrii osoby, umiał na pamięć tysiące dowcipnych słów, zabawnych wydarzeń, w których ostatni aktor był jeszcze jednym ze znaczniejszych panów cesarskiego dworu.

Trzeba było widzieć, jak go obsiadano do koła, jak wyteżano uszy, aby jednego słowa, jednego gestu nie stracić, gdy rozpoczynał kronikę głównych wypadków życia hrabiego Lebkowitza, gdy przypominał trafne odpowiedzi księcia Lichtenstejna, tego samego, którego dla dziwnej otyłości znano w Wiedniu pod przydomkiem «monstrum». Cóż dopiero, gdy przyszła kolej na miłości hrabiego Montenegro, na psoty Vieil-Castela, na anegdoty o sekretarzach francuskiego poselstwa, na przepychy węgierskich magnatów, na sumy wygrane w karty lub przegrane w moskiewskiej ambasadzie! Niepodobna było nasycić się zabawnymi awanturami, i chociaż szambelan często powtarzał te same z taką wiernością, że nie opuścił ani jednego przestanku, wszyscy jednak w stosownych chwilach razem podnosili okrzyki zadziwienia, razem wybuchali śmiechem, lub równie wiernie powtarzali wtrącone już raz w tych samych miejscach uwagi i zapytania.

Zaloty do Marji, Fürstemberg odprawiał równie ekscentrycznym sposobem. Wtajemniczał ją do hipiki, do sztuki hodo-

wania psów — ta ostatnia nie wiem jak się po grecku nazywa, pamiętam tylko, że od psów cynicy wzięli nazwisko.

Należy wreszcie oddać mu sprawiedliwość. Szambelan nadskakiwaniem nie uprzykrzał się zbyt Marji; czuł on dobrze, że wygrana sprawy zależała od zjednania sobie rodziców. Został więc Marję jej upodobaniem, wystrzegał się wszelkich oznak uczucia lub zazdrości, śmiesznych dla człowieka wyżytego w wielkim świecie, i zanimby o piękną jedynaczkę stanowczo się odezwał, czekał dowodnego przekonania, czyli Sokolnik rzeźwyście, jako udawał, przewala się na złocie. Ponieważ jednak często przesiadywał w domu magnata, ubocznie nie odmawiał sobie rozkoszy ogłaszania Kazimierza za odprawionego konkurenta. Uwaga przeto ogółu odwróciła się na chwilę od Poraja, i znowu jak mrówki rozlały się po całym mieście pogłoski, że Fürstemberg stara się o Sokolniczankę, że panna szalenie w nim zakochana, że rodzice przyjęli go z niewymownem szczęściem, że kazali już w Wiedniu szyć wyprawę, że lada dzień narzeczeni będą przyjmować gości od wszystkich powinowactwa. Matrony dodawały tylko tę pewną wiadomość, że Poraj chciał przeszkodzić szambelanowi, ale ten zagroził mu śmiertelnym pojedyńkiem, i pan Kazimierz wybierając z dwojga złego, wolał wyrzec się załotów niż tycia. Utrzymywano, że szambelan zapytany o prawdziwość tej wieści, ani potwierdził, ani zaprzeczył; nie wypadało bowiem tak zacnemu panu chlubić się z dzielności, która za nadzwyczajną mogła uchodzić u prostaka, ale nigdy u szambelana.

Towarzystwo bawiło się temi posłuchy; weale atoli innego uczucia doświadczał Piotr, do którego głucho dochodziły zjadliwe szmery. O brata był zupełnie spokojnym; nie mógł wszelako nie postrzedz, że szambelan był codziennym gościem w domu Sokolnika, za częstym na człowieka nie mającego żadnych osobistych zamiarów.

Piotr pilnie zastanawiał się nad obrotem rzeczy, nie tracił z uwagi żadnej poszlaki, najmniejszego szczegółu. Urok ciemnych oczu Marji nie zaślepiał go na rzeczywistą stronę wypadku.

— Sokolnik — mawiał sam do siebie Poraj zafrasowany — nie darmo tyle lat strawił w Wiedniu; przesiąkł on tam na

wskroś niemieckimi zasadami i miłością ku cudzoziemczyźnie. Z jego strony Fürstemberg nie znajdzie żadnych przeszkód; pani Sokolnikowa nie ma głosu; panna — to dziecko! Uczyni co jej każą i tak biedny mój brat dostanie odprawę. A stryjo-wskie marzenia w cóż się obróca? — A tyloletnią krwawą pracę dla kogoż zaniechać?

Piotr załamywał ręce z rozpacz; chodził jak obłąkany po pokoju.

— Mój Boże! — mówił sam do siebie — na cóż mię tak srogo karzesz? Czyliż w życiu nie doznam żadnej pociechy? Czy już żadnego celu przed sobą nie ujrzę? — A ja stary fiksak, głowę sobie łamałem jakby im dom urządzić, jak ogród założyć! Nie pominąłem żadnego szczegółu, sam chciałem wyprowadzić się do innej wioski, byle im tylko było dobrze. Pokazuje się, że wszystko przepadło z kretesem! — Ha! przeklęty wiedeński trefniś! — Gdybym go tu na jedną maleńką chwilkę miał pod ręką! — Tu oto — wystawiam sobie, że stoi, że podpiiera ścianę, że wywraca oczyma. Wlazłbym mu na nogę. Hultaj, widząc że go nie przeproszam, pewnoby rzekł: — Pan mię udeptałeś. — Wiem o tem — odpowiedziałbym z przekąsem, i po tem — no! co byłoby potem? — Bóg raczy wiedzieć, ale zdaje się, że płakałyby i Amorki, płakały i Alejony. Tak oto — jednym zamachem — od lewego!

Piotr zaciskał ręce, jak gdyby na miążgę tarł między niemi szambelana i śmiał się szatańskim śmiechem ballady lub melodramy. Rzucił się wreszcie na krzesło i podparłszy głowę na łokciach, wpadł w głębokie zamyślenie.

Piotr był jednym z ludzi nie przypuszczających niepodobieństwa w dokonaniu ludzkiego zamiaru. Gdzie tylko myśl zahaczał, tam w ślad za nią czyn natychmiast posyłał. Ośmielało go nieodstępne dotąd szczęście i przyzwyczało do niedostrzegania różnicy między zamysłem a wykonaniem. Ztąd też, gdy pierwszy wybuch zwątpienia w nim przeminął, powstał, zespokojnił na duchu, choć na czoło trudno mu było wywołać dawną pogodę.

— Zwolna, paniczu! — ciągnął dalej — jeszcze to nie wygrana, jeszcze nie spadłeś z ambony! Wreszcie któż mi zaręcza, że wszystkie te pogłoski nie są najnikczemniejszymi plotkami —

pytam się, kto mi zaręcza — hę? — Tu nie ma co owijać w bawełnę. Niechaj Niemiec jak chce się podkrada i któż mi zbrojni, szczerze, otwarcie dochodzić prawdy? Zamiast dręczyć się niepotrzebnie, od razu poznam czego się trzymać.

Ostatnich słów Piotr domawiał, zbierając chustkę, rękawiczki i kapelusz, poczem puścił się prosto do Sokolnika i tam bądź co bądź postanowił dobić się prawdy, to jest, z pewnością wywieść, jak daleko zaszyły stosunki między szambelanem a panną Sokolniczką.

Dygnitarz tymczasem niby biegły wódz, śledził poruszenia otaczających go napastników; jako bowiem człowiek rozsądny i wytrawny, uważał wszelkie zetknięcia ze światem za potyczki, w których zręczniejszy, chociaż ze szczupłemi siły, nieochybnie wygrywał.

Odwrót ze stanowiska, jakie dotąd zajmował, wydał się mu niepodobnym; trzeba było nacisnąć hełm na oczy i stoczyć stanowczą bitwę. Zkądinąd jednak byłby rad o ile możności przeciwną stan ten zbrojnego milczenia, aby jak najdłużej korzystać z dwóch szanów, które był sobie przeciw wierzycielom usypał.

Szambelan i Poraj niewątpliwie starali się obaj o rękę jego córki.

Przyjęcie pierwszego zapewniało mu sowite pomnożenie wpływów w Wiedniu. Niemiec wprowadzić nie był bogatym, ale przez krewnych mógł u księcia kanclerza wyjednać znaczne łaski dla teścia, lub dla innej jakiej osoby, Sokolnikowi nieodbitcie potrzebnej. Za pośrednictwem szambelana można było pomyśleć o ubarowaniu głównego wierzyciela; Dahlman zaś na widok pergaminu z pieczęcią nie wzdrygnąłby się od penych ze swojej strony poświęceń.

Tyle można było wyciągnąć z Fürstemberga. Połączenie z Kazimierzem było mniej świetnem, dalekiem nawet od świetności, ale natomiast Piotr Poraj siedział na potężnej skrzyni — na skrzyni, przed którą sam Dahlman nisko czapkował; skrzynia zaś w owym już czasie dobiegała wysokości upurpurowanego tronu. Korzyści z drugiego związku były bezpośrednie, natychmiastowe, tem ważniejsze, że magnat nie mógł swego ocalenia odkładać na daleką przyszłość. Zwłoka niezaprzeczenie

groziła mu upadkiem. Wypadało spieszenie i konieczność jednego z dwóch wybrać, i albo materjalnym widokom poświęcić własną godność, blask nazwiska, od kolebki wpojone zasady — albo okazać się prawym następcą przodków i oddać córkę szambelanowi.

Nieszczęście, że Marja nie miała siostry; węzeł sam by się rozwiązał. Zapolowano by od razu na wpływ i na dostatki; wypłacono by dług pamięci antenatów i hypotecznym wierzytelcom. Nie było o czem myśleć. Pozostawała jedna tylko gałązka ratunku: trzeba było i za tę umieć się zaczepić.

W każdym razie nie szkodziło przez pewien czas utrzymać równowagę między dwoma spółzalcami, zasłaniając się nimi przeciw natarczywościom losu i każdego z kolei używając stosownie do natury przeciwników.

Sokolnik przemysliwał, ważył w głowie zamiary, cieszył się swoją zręcznością, gdy błogie pasmo tych marzeń przecięło mu nagle doniesienie o przybyciu Piotra.

— Proszę, bardzo proszę! — krzyknął dygnitarz głosem wdzięcznym i tak donośnym, aby go przychodzień usłyszał; zarazem sam wyszedł na jego spotkanie.

— Otóż to nazywa się nie zapominać o swoich znajomych — mówił dalej wyciągając ku niemu dłonie — i po chrześcijańsku wybaczając ludziom ich opieszałość. Oddawna wybierałem się z odwiedzinami do kochanego pana Piotra. Proszę cię dalej, tu do mego gabinetu. Zastałeś mię samego; panie moje opuściły nas: wyjechały na miasto.

Piotr przez drogę ochłonął z pierwszego uniesienia. Uczuł, że nie miał żadnego prawa mieszać się do spraw domowych Sokolnika. Nie odstąpił wszelako od pierwszego zamiaru, postanowił atoli tylko ukrytymi środkami do skutku go doprowadzić.

— Mówiono mi — rzekł Piotr — że pan hrabia chcesz wyjechać na wieś; pragnąłem przed odjazdem pożegnać panią hrabinę i pannę Marję.

— Nic dotąd pewnego; dzień jeszcze nie oznaczony — odparł magnat, założywszy nogę na nogę i wywracając się w krześle. — Mam we Lwowie kilka interesów do załatwienia; przed dwoma tygodniami niepodobna mi ruszyć się z miejsca.

Piotr pomyślił, że Sokolnikowi niewątpliwie musiało chodzić o wydanie za mąż córki, i rzekł:

— Tak więc pan hrabia zamierzasz aż do letnich kontraktów pozostać we Lwowie?

— Bynajmniej. Wiesz dobrze, panie Piotrze, że my rolnicy z powołania potrzebni jesteśmy na wsi. Zdaje się, że zboże nawet bez naszego dozoru rość nie potrafi. Przez całą zimę ani zajrzałem do domu, i włosy wstają mi na głowie, gdy pomyślę o zaległościach, jakie czekają mię za powrotem. Nie każdemu Bóg dał twoją czynność i zabiegłość, panie Piotrze. A propos! dobrze, dobrze, że jesteśmy razem; chciałem cię właśnie zapytać, jak idą interesa zbożowe, zwłaszcza spławy po Dniestrze? Tego roku podobno wy panowie spekulanci spodziewacie się złotej ulewy?

— Ulewy — niekoniecznie; skarżyć się przecie nie można. Ceny zboża niesłychanie poskoczyły. Co do mnie, rad jestem, żem zachował dwuletnie zapasy.

Sokolnik odkrył w tej chwili w twarzy Piotra coś szlachetnego — coś dziwnie ujmującego.

— Szkoda — mówił Poraj — że państwo mieszkacie w tak odludnej okolicy. Bez bliskich sąsiadów życie na wsi czasami musi być przykrem, mianowicie dla panny Marji, która, jak uważałem, lubi towarzystwo.

— Zapewne — przerwał Sokolnik. — Ależ wiosna sama przez się ma dość powabów. Sądzę wreszcie, że dobrzy nasi znajomi nie ułęką się odległości. Powiadasz, panie Piotrze, że od dwóch lat nie sprzedałeś ani ziarenka zboża; w takim razie musiałeś tego roku wyprawić porządną ilość?

— Dokładnej odpowiedzi nie potrafiłbym dać na pamięć. Oprócz własnego miałem i kupne, przytem należałoby dodać zbiór z dwóch folwarków pod Bukowiną, które dopiero od trzech lat są w mojem posiadaniu.

— Jakto? Nabyłeś pan dobra pod Bukowiną? Nic o tem nie słyszałem. Cóż cię tak daleko zaniosło?

— Nie mogłem postąpić inaczej; interes przedstawił się pod takimi warunkami, że grzechem byłoby go opuścić. Jedną wycięta część lasu i dwuletnie zboże powrócą mi zapłaconą cenę. Piękny to kraj! Żałuję, że zbyt oddalony; inaczej może miał-

bym przyjemność oglądania kiedy pana hrabiego u mnie na polowaniu. W naszej okolicy nie mamy pojęcia o podobnych polowaniach; stepy przytem do chowu koni — jedyne. Pan hrabia, jak wiem, jesteś lubownikiem koni i znawcą; słyszałem także raz pannę Marję mówiącą, że przepada za jazdą konną; zapewne dla tego spieszo jej na wieś?

— W istocie, córka moja namiętnie lubi tę rozrywkę. Nowa moda; za naszych czasów nikt o tem nie myślał. Niech sobie jeździ, skoro ją to bawi; za powrotem na wieś będzie mogła zadość uczynić swemu upodobaniu. — Sam jednak, panie Piotrze, nie zamierzasz wkrótce wyjechać na Bukowinę? Nie pojmuję, z kąd ci ochota do ciągłego ruchu, do nieustannych trudów? Pytam wreszcie, dla kogo pracujesz? Beżzenny, bezdzietny, i jak sam dałeś się słyszeć, dośmiertnie przywiązany do twego kawalerstwa. —

— Dla kogo pracuję? — odparł Poraj z uśmiechem — Alboż nie mam dla kogo pracować? Alboż nie mam brata? — Panie hrabio, kogo Bóg obdarzył takim jak Kazimierz bratem, ten może śmiało nie tęsknić ani za żoną, ani za dziećmi. Różnica wieku między nami znaczna. Uważam Kazimierza więcej za syna, niż za brata. Ja za mało pracuję, za wiele jeszcze dbam o siebie. Pytam bowiem, na co komu się przydam — stary beżzennik? Pytam, czy mogę w życiu znaleźć przyjemniejszy cel, nad oddanie się całą duszą szczęściu mojego chłopca, nad pokazanie mu, że zasługuję na szlachetne jego przywiązanie, że umiem cenić jego zacne serce, jego prawy charakter. Panie hrabio, Kazimierz jest nie tylko moim bratem, ale i wychowawcem. Kiedy był dzieckiem, oparłem na nim wszystkie moje nadzieje, a dziś, widząc że przewyższył moje oczekiwania, że pozwolił mi zakosztować pociechy, o jakiej dotąd nie marzyłem — czyliż nie ja do końca życia pozostanę jego dłużnikiem?

Sokolnik pilnie przysłuchiwał się gorącym wynurzeniom Poraja; rozrzewniał go widok rzadkiej zgody, płomiennej przyjaźni między dwoma braćmi, z których starszy, beżzenny, bezdzietny, za pół darmo nabył dobra pod Bukowiną, miał ogromny ładunek zboża na Dniestrze, rozległe majątki w Galicji,

znaczne kapitały — i to wszystko pozostawiał ukochanemu młodszemu bratu — więcej nawet — dodawał jeszcze do powyższych dobrodziejstw znakomite zdolności i żelazną pracę reszty dni swoich, którą wyłącznie na usługi tegoż ukochanego brata poświęcił. Tyle zaparcia samego siebie, tyle ojcowskiego przywiązania zaszczonego na braterskiej przyjaźni, na wskroś wzruszyło Sokolnika. — Papiery szambelana poczęły nagle spadać.

— Rozumiem cię, kochany panie Piotrze, rozumiem — rzekł magnat po chwili z rozrzewnieniem, ściskając mu rękę — to uczucie poświęcenia, to życie dla kogoś innego, niżeli dla siebie, nie jest mi obcem. Ja także mam jedyne drogie dziecko, dla którego pracuję, którego przyszłość stoi na czele trosk moich.

— I zarówno też pan hrabia możesz poszczycić się córką przed światem. Pannę Marję podziwiają dalecy, uwielbiają bliscy znajomi. Pojmuję, o ile ustalenie jej losu może niepokoić zacnych rodziców; sądzę wszelako, że pod tym względem pan hrabia nie powinien się poddawać się obawie. Nie bez tego, abyś dotychczas nie znalazł stosownego środka na rozwiązanie niepokojącej zagadki.

Tym razem pocisk wprost był wymierzony. Sokolnik nie mógł wymknąć się przed odpowiedzią: poczuł dokąd zmierzało zapytanie. Piotr wytężył słuchy, czekał czyli kamień runie mu na piersi, lub też nadzieja oskrzydli go złocistymi pióry.

Sokolnik podparł się o ścianę, wlepił oczy w sufit, na twarz przywdział frasunek i rzekł:

— Wprawdzie Pismo nas uczy, że znajdziemy, byleśmy szukali; ale ja tych wyrazów w zupełności do siebie stosować nie mogę. Wiesz, panie Piotrze, że człowiek sobie nigdy dość nie ufa, gdy mu idzie o rozporządzenie losem jedyne, ukochanego dziecka. Sam pojmujesz, jak świętą powinnością jest zadość uczynić wszelkim towarzyskim wymogom; inaczej nie ma rękoi prawdziwego szczęścia na ziemi. Marji, dzięki Bogu, nie zabraknie na pretendencjach; tem lepiej, jeżeli jest w czem wybierać. Ale sam tenże wybór ileż przedstawia trudności!

Wzmianka o towarzyskich wymogach dała uczuć Piotrowi, że dygnitarz rozumiał przez nie stanowisko znakomite, utytułowane — właśnie warunek, jakiemu odpowiadał szambelan. Zwałtał więc na duchu i przytłumionym głosem rzekł:

— Wybór zależy także od panny. Mniemam, że pan hrabia jako światły i przywiązany ojciec nie chciałbyś postąpić wbrew jej uczuciom.

— Gdybym miał syna — odparł Sokolnik — nie wdawałbym się w jego postanowienia; ale dziewczęta tak powierzchownie znają świat, tak ślepo dają się uwodzić chwilowym popędem, tak mało wiedzą, czego im potrzeba, że daleko dla nich bezpieczniej zdać się w tym względzie na wolę rodziców.

Piotr pobladł, zacisnął usta, konwulsyjnie zaczął gniesć chustkę w kieszeni. Magnat poznał, że za daleko się posunął; chciał tylko pokazać, jaką cenę przywiązuje do swego towaru, hynajmniej atoli nie pragnął ostatecznie dać uczuć, że nie ma go na sprzedaż. Zamyślił się na chwilę, jak gdyby marzył o przyszłości Marji; poczem otrząsł z dumą głowę i ująwszy Poraja pod rękę, rzekł wesoło:

— Dziewczyna moja jest młoda; ma jeszcze przed sobą dość czasu do namysłu. Co do mnie, inne kłopoty ciążą mi teraz na myśli. Życzyłbym sobie w mojem gospodarstwie pozaprowadzać pewne zmiany, a do tego uważałbym się szczęśliwym, gdybym mógł twoich rad, panie Piotrze, zasięgnąć.

— Pan hrabia zawsze mię znajdzie gotowym —

— Zwolna, zwolna! — przerwał żartobliwie Sokolnik — mogę pochwycić za słowo.

— Tem głośniejsz powtórzę zapewnienie.

— Skoro tak, chwytam bez ceremonji, i jeżeliś łaskaw, panie Piotrze, zechesz nawiedzić nas na wsi — ale pod jednym warunkiem.

— Wszystkim z ochotą się poddaję.

— Że przywieziesz z sobą pana Kazimierza. Wiem, że przy natłoku twoich zatrudnień prośba moja jest może przedwczesną, ale *verbum nobile* — tu stwierdzone — trzeba się poddać pod prawo. Sam na siebie bicz ukreśliłeś. —

Sokolnik wyciągnął dłoń do Piotra, który nie omieszkiał czempredzej przybić obietnicy. Zdumiony, nie umiający sobie zdać sprawy z tego co słyszał, ale z pośpiechem chwytający słaby promyk nadziei, z którego upragnione stryjostwo mogło mu kiedyś wybłysnąć.

Sokolnik wygrał partję; niezaprzeczoną też miał wyższość nad przeciwnikiem. Strawiwszy życie w ciągłych potyczkach na słowa, zrećźnie umiał używać tej broni; podczas gdy Piotr, mistrz skoro przychodziło do czynu, nie potrafił sobie dać rady ile razy musiał występować ze szczerą, prostą swoją naturą, uciekać się do wybiegów i uderzać w jedne tony, aby od drugich otrzymać odpowiedź.

Dygnitarz chciał rzucić mu w serce niepewność, wpoić myśl, że Marja nie mogła pójść za mąż jak tylko za człowieka z wysokiego rodu; pomimo to jednak zaświecić gwiazdą nadziei, na którą Piotr poglądając, niczego by nie oszczędził dla przyprowadzenia swych marzeń do skutku.

Tak nakręciwszy sprężyny, pomysłił że wypadało gdzieś indziej przenieść plac boju.

Pobył w mieście do niczego nie doprowadzał — przeciwnie, bez ustanku stawiał go w obec ludzi, których obecność przypominała mu zobowiązania jego i kłopoty. Postanowił więc czemprędzej wyjechać na wieś, nie dla tego, aby miał potrzebować spoczynku, nabioru świeżych sił: Sokolnik od zbytecznej pracy nigdy jeszcze nie zacierpiał na wycieńczenie. Jedna komedja życia mogła go była nieco zmęczyć, ale larwa, jaką magnat nosił na twarzy, wcale mu nie dokuczała; przyzwyczał się do niej od młodości. Pragnął wyjechać, uważał bowiem, że z daleka i na swoim gruncie łatwiej mu będzie kierować biegiem wypadków.

Kazimierz oczywiście był korzystniejszym zięciem; Fürstemberga wszelako także nie należało zrażać. Szambelan z jednej strony rozpląmiał w młodszym Poraju gwałtowność uczuć, w starszym niepokój — pozyskaniu Marji dodawał ceny; z drugiej zaś jako cudzoziemiec i potomek znakomitej rodziny, zdobył młodą dziewczynę niby bukiet z egzotycznych kwiatów do beku jej przypięty.

Piotr wracał zamysłony do domu. Rzucony między wątpliwość a otuchę, ważył w myśli rozmowy Sokolnika i na ostatnich jego wyrazach budował gmach swoich nadziei.

Zdawało się mu, że nie powinien był tać przed bratem swoich odwiedzin. Nie potrzebował wprawdzie odkrywać wszystkich trosk, jakie nim miały, niepodobną było ałoli powstrzymać się od awiadomienia go, że magnat wymógł na nim wzglę-

dem odwiedzin szlacheckie słowo. Piotr, wezwawszy w pomoc kilka własnych arabesków, dodawał, że w razie gdyby sam nie mógł spiesznie przybyć, zobowiązał się uroczyście przysłać dygnitarzowi młodszego brata na zakładnika.

Kazimierz w głębi serca uszczęśliwionym był z tego zaproszenia, nie pokazał jednak radości na twarzy i spokojnie odpowiedział, że jeżeli zatrudnienia im pozwolą, nie widzi dla czego pomimo odległości nie mieliby skłonić się do życzeń Sokolnika. Piotr upewnił go, że w tej chwili nie było ważnych zatrudnień, że gdyby wreszcie obaj z trudnością mogli natychmiast się wybrać, nie wypadalo drożyć się i zwlekać; że nareszcie prosi go, aby w stosownej porze nie odkładał swego wyjazdu — on sam bowiem — Piotr — miał pewne obowiązki względem Sokolnika, który chociaż nie był z nim w zażyłości, wyświadczył mu jednak w kilku przygodach ważne usługi.

Na zapytanie, jakiego rodzaju były te usługi, Piotr inną koleją obrócił mowę, zaręczył przecie, że niezawodnie miały miejsce, i dodał, że należało pokazać ludziom jak się umiało cenić ich grzeczność; że ojciec Marji nie mógł dość nachwalić się mu brata, że matka z pochwałami o nim wspomniała, i wiele tym podobnych uwag, których celem było znaglenie Kazimierza do zbliżenia się z wszelką ufnością ku rodzinie Sokolnika.

Kazimierz spokojnie wysłuchał Piotra, przyrzekł szczerą gotowość do spełnienia wszelkich jego życzeń i ręczył, że skoro tylko przywoity czas od wyjazdu Sokolnika ze Lwowa upłynie, na wieś do niego się wybierze.

Zapewnienie to pokrzepiło zwątpiałą otuchę starszego brata. Piotr przekonany był, że byle wychowaniec jego szczerze wziął się do panny, pozyska jej miłość i przyzwolenie rodziców. Znowu więc odzyskał dawną wesołość, znów pobiegł do przyjaciela budowniczego, i w chwilach wolnych znów przemyślał, jakby rodzinną wioskę najprędzej można było przeistoczyć w Alhambrę.

Tak zaokrągliwszy rozdział, zostawiam na jakiś czas w spokoju występujące w nim towarzystwo, jak zresztą czytelnik sam z następujących kart łatwo się przekona.

Czy Kazimierz ożeni się z Marją, czy Piotr zostanie stryjcem, czy Sokolnika wywłaszczą z majątku? — sam dotąd nie wiem.

Każdy dzień w życiu człowieka przynosi nowe wypadki, rozwala pierwsze zamiary, odkrywa nowe punkta widzenia. Zostawiam dalszą część przygód naturalnemu ich biegowi; gdyby zaś szczególnym trafem coś nadzwyczajnego w nich się wydarzyło, za nic nie odpowiadam, za nikogo nie ręczę: przedewszystkiem bowiem mam na uwadze burzliwe czasy, jakim dziewiętnaste stulecie otworzyło upusty.

IV.

Słońce jedną połowę swoich złotych promieni —

Nie — przed laty już zacząłem tak być jakąś powiastką, umieszczoną w jednym z perjodycznych pism Kongresowego Królestwa.

Księżyc był jasny i gwiazdy świeczniki —

I to nie, chociażby dla tego, że wyrażenie całkiem nie moje, a ten, który zaczyna niem drugą pieśń nieśmiertelnego swego rapsodu, ściętą zgonem bratnią dłonią, nie przyjdzie bronić swojej własności. Pokój śpiewakowi Anhellego!

Czy zdarzyło się wam kiedy widzieć krajobraz? —

Otóż masz! Znowu początek, którego raz byłem już użył do jednej z moich książek, drukowanych w pierwszych latach mego zawodu.

Dziwne wspomnienia, pół chmurne, pół tęczowe, co chwila stają mi przed oczyma!

Dla czego chmurne? — Dla tego, że przywołują mi na pamięć dzieci mego umysłu, których pragnąłbym zaprzeć się przed samym sobą, przed światem i przed metrykami polskiej biblijografji, pomimo że przez nie nabyłem pojęcia o tajemnem znaczeniu bajecznego Saturna. Dla czego tęczowe? — Tu odpowiedź łatwiej mi przychodzi, dla tego, że przypominają mi tyle lat spędzonych w stołecznem naszym mieście, w grodzie Starego Zygmunta, w tem Herkulanum Polski, gdzie cudzoziemiec masy popiołu tylko spostrzega, ale gdzie dla swojskiego oka pną się ku niebu pomniki ojczystego ducha, gdzie płomień

oczekujący podmuchu wszędy pełza śród rumowisk, gdzie narodowość pławi się w powietrzu, nienawiść ucisku leże na bruku, a nadzieja i zemsta, miłość i zgroza, wyblaskują na dnie każdego uśmiechu, każdej piosenki, lzy lub westchnienia.

Pod takimi to ponętnymi szatami, pamiątki te zkądinąd wcale dla mnie nie pożądane, zlatują się, ile razy wezmę pióro do ręki, i ośmielone zawsze otwartym wstępem do mego serca, radeby na opak mej woli wcisnąć się na papier.

Na szczęście pod różami i zwodniczymi uśmiechy poznaję więdźmy, i wnet obrywam z nich kwiaty, wieńce z nadwiślanych fjołków i nieśmiertelniczek, a pochwycawszy dyscyplinę literackiego sądu, czempredziej wypłaszam. Ślad po nich zawsze atoli pozostaje, czego dowodem, że ile razy stracę z oczu główny mój przedmiot, natychmiast głos zabieram wprost do dawnych moich przyjaciół — jak gdybym w obec nich się znajdował. Mógłbym wprawdzie uniknąć tego usterku, ale nie lubię nic sobie narzucać; zwłaszcza tam, gdzie z wyobraźnią mam do czynienia, swobodnie puszczam jej cugle, nie dbając czy mię po ziemskim widnokregu, czyli też unosi po ciasnej przestrzeni ograniczonej czterema ścianami mojej izdebki. Sam też nie stawiam jej oporu, nie pragnę kierować, inaczej może w obecnej chwili nie dałbym się porwać wszechwładnicy i zaciągnąć w sam środek Galicji, na wieś, do starego pałacu, zamieszkanego przez znajomego nam Władysława Wilczka.

Pałacem zowie się w Polsce każdy dwór szlachecki o piętrze, mniej więcej biały, z dachem mniej więcej czerwonym. Ponieważ zaś piszę po polsku i wyłącznie dla moich rodaków doskonale obeznanych ze szczegółami wiejskiego życia w naszej ojczyźnie, mogę przeto sumiennie oszczędzić wykazowych opisów, na których ani sama powieść, ani charaktery wchodzących osób i następnie ciekawość czytelników, nic by nie zyskały. Rad jestem nadto, że mi wolno uniknąć owych drobiazgowych, materialnych sprawozdań, tych uromansowanych inwentarzy ruchomości i nieruchomości, do których koniecznie trzeba mieć pewien zmysł kómornika lub regenta, dwóch urzędników użytecznych może, ale najmniej poetycznych w starem społeczeństwie.

Owoż więc taki to dom, poprzedzony obszernym dziedziń-

cem, opasany od tyłu ogrodem, wewnątrz połyskujący jeszcze śladami dawnej zamożności, rozlegał się w tej chwili zgiewkami śmiechy, okrzykami i wrzawą.

Pierwsze piętro nie było zamieszkanе: tam zwykle umieszczano gości; gospodarz dół tylko zajmował, pokoje jego atoli były zamknięte: nie było go w domu. Gwar zaś pochodził od licznej służby strzelców, dojeżdźaczy, dżokejów, którzy wyzyskując pańską nieobecność, prześcigali się nawzajem w rozprowadaniu przygód z rannego polowania, igrali z psami, nawoływali je gwizdaniem i trąbieniem, słowem, niczego nie zaniebdywali, coby wesołość, a tem samem hałas mogło powiększyć. Widać jednak było po niedbale rzuconej na stół wykwintej burce i zbytównym angielskim harapniku, że samowładca tej czeredy niedaleko gdzieś musiał się znajdować: jeden bowiem z domowników podrzędnego stopnia często wyglądał oknem, wybiegał na próg, aby za danym znakiem jedną część burzliwców przepłoszyć, a drugiej milczenie zalecić.

Towarzystwo to nie jest tak dalece zajmującym, abyśmy chcieli dłużej pośród niego się zatrzymywać; wyszukajmy raczej gospodarza.

Hrabiego Wilczka nie ma w pałacu. Chcąc się do niego dostać, musimy przebiegnąć cały ogród i dalej, nad brzegiem Dniestru, w stronę przeciwną zabudowaniom i chatom wiejskim, zbaczając tuż po nad rzeką, dopóki z pomiędzy topoli i gęstych krzewów nie błysnie nam mały domek, zewsząd otoczony kwiatami, ze wschodami usypanemi żółtym piaskiem, niepozorny z wejrzenia, ale tem milej zadziwiający oko przychodnia, pierwszy raz wewnątrz wkraczającego.

Nie była to przecie jedna z tych pasterskich lepianek XVIII wieku, gdzie fantazja panów pod skromną strzechą ukrywała najwymyślniejsze wykwinaty rozpieszczonego zbytku. Wnętrze budowy odpowiadało zupełnie powierzchowności: całe urządzenie oddychało powagą i wdziękiem zarazem; można było rzec, że natura, jak to zwykle bywa, nie została za progiem, ale wewnątrz wtargnęła drzwiami, oknami, wszystkimi niemal szczelinami, i w harmonijnym spokoju ułożyła się do stroju z charakterem mieszkanki tego ustronia.

To przynajmniej wniesć można było o dwóch pierwszych izdebkach, gdzie zbytek ukrywał się pod nader prostą powierzchownością i zdradzał tylko w misternem wykończeniu, z jakim błyskał w najmniejszych szczegółów wchodzących do składu niewieściego mieszkania.

Na pierwszy pogląd przychodzić ciekawy odgadnąć z pozorów istotę mieszkanki, wyraźnie byłby dostrzegł cechy właściwe kobietom, zamiłowanym w zakonnem lub w osamotnionem życiu, wystarczającym samym sobie, pędzącym wiek może w kontemplacji duchowej, a może też i w bardziej ziemskiem zatopieniu się w jednej uczuciowej myśli.

Uchyliwszy zasłonę od trzeciej izdebkę, drugi ten domysł ścinał się natychmiast w zupełne przekonanie.

Tu wyraźnie uderzał odmienny wpływ, w zasadzie nawet całkiem pierwszemu przeciwny. Był to pokój, którego widok wywołałby uśmiech zadowolenia w najwięcej rozpieszczonej dziewczynie z wielkiego świata.

Gruby paryski kobierzec zaścierał posadzkę; na okno z jednej szlifowanej szyby oprawnej w mahoń, spadały błękitne adamaszkowe firanki; podobna kotara zasłaniała drzwi i z tejże materji obicie pokrywało ściany, sofę i kilka szerokich krzeseł, w których gość własnym ciężarem mile pokonywał lekki opór uginających się pod nim sprężyn.

Na suficie fałdy białego muszlinu zbiegały się w jedno środkowe ognisko, z którego na trzech spiżowych łańcuchach zwieszała się alabastrowa lampa, na wzór tych kształtów, jakie Rzymianie przejęli niegdyś od artystycznych Etrusków.

Dwa weneckie zwierciadła wprawione naprzeciw siebie w ściany i w głębi kominek z białego marmuru, stanowiły resztę ozdób tego schronienia. Obraz ożywie, gdy powiem, że pokój nie był próżny: znajdowały się w nim dwie osoby.

Pierwszą była młoda dziewczyna.

Z jedną nóżką podwiniętą, a drugą wyprostowaną, z głową wpartą na dłoni, spoczywała na sofie; drugiem ramieniem obejmowała szyję wyciągniętego u nóg jej na kobiercu młodego mężczyzny, w którym czytelnik poznaje oddawna przedstawionego mu Władysława Wilczka.

Oboje milczeli.

Wilczek topił wzrok w przestrzeń i ścigał błędne myśli w obłokowych zarysach przed nim przepływające. Dziewczyna utkwiała oczy w tej głowie, którą tuliła do łona, i z wzrokiem zaprzepaściła umysł w owem rozkołysanem marzeniu, jakie ogarnia kobietę, gdy oddawna doznawane i niewysłowione wrażenia szczęścia i rozkosze, niżej pamięcią w jedną równiankę i wieńczy nią ukochane skronie sprawcy chwil tych przelotnych.

Śród zbytku, jaki ich otaczał do koła, dziwnie odbijał strój wieśniaczy dziewczęcia.

Wprawdzie strój ten krojem tylko przypominał ubiór ludu, żadna bowiem z najbogatszych naszych wieśniaczek nigdy nie zamarzyła nawet o takiej batystowej kószulce spiętej pod szyją guzikiem z drogich kamieni, ani o jedwabnym gorsecie zaściągniętym sutemi haftami; żadnej przez myśl nie przeszło, aby chłopka mogła mieć spódniczkę z cienkiego muslinu, dzierzganą w różne wzory; spadającą na przejrzystą pończoszkę, zakończoną ałasowym trzewikiem.

I nie mogło być inaczej. Któraż z nich bowiem byłaby mogła wysunąć obłocznym rękawkiem, sfaldowanym wstążką nad zgięciem dłoni, tak małą, białą rączkę, jaką miała Nastusia; którejże stopa godną była obuwia, jakie więziło drobną nóżkę Nastusi, rozmiarem przypominającą dziecinne jej lata?

Ciężka fizyczna praca i nędza nie dodają wdzięków; skwary, słoty jesienne i mrozy nie uszanowały miękkości włosów naszych żniwiarek, nie oszczędziły białości ich płci. Kosa żadnej z jej rówiennic, rozwiana, nie spadała tak falistym i jasnym strumieniem na łabędzią szyję. Wiejskie chłopcy okrzyknęliby chorą dziewczynę, u której jako u Nastusi, trzeba było szukać rumieńca głęboko gdzieś pod przezroczystą białością okrywającą jej lice. I siwe, śmiejące sklepki więcej miały dla nich pojęty, niżeli wielkie, ciemno-błękitne oczy Nastusi, jako dwa bliźnie orły pławiące się w przestrzeni.

Dziwne to było stworzenie. Wybiegło wprawdzie na świat z pod wieśniaczej strzechy, ale przyniosło z sobą naturę nieraz już może wypieszczoną przez różne artystyczne, mistrzowskie duchy, i zawierało w sobie dalszy ciąg wielu harmonijnych tonów, w dalekiej gdzieś przeszłości zapewne poczętych.

Los szczególnie igrał z dwojgiem tych młodych ludzi. Towarzystwo nie przeznaczyło ich dla siebie, przeszłość zbliżyła ku sobie, teraźniejszość łączyła razem, podczas gdy przyszłość gotowała im równie może niepowszednie wypadki, jakiem było całe ich życie.

Trybunał opinii dzisiejszego świata, który przechował w sobie wszystkie żywioły dawnej inkwizycji, prędzej czy później musiał stanąć przed niemi z nieublaganym wyrokiem, i dla zadość uczynienia własnym przesądom, z jednego z nich zapotrzebować ofiary, a może nawet z obojga.

Powiedzieliśmy że przeszłość ich złączyła. Zapusciwszy w nią pogląd, przekonamy się o bliższych tego twierdzenia szczegółach. Dalejże więc — wywołajmy ubiegłą! Niech nam wypowie, jakim sposobem dzieweczka powita przy urodzeniu w zgrzebne pieluchy, spoczywa dziś na puchach jedwabnego wezglówia? — Jaką koleją głowa panicza przeznaczona dla piersi wyhojdanej w kosztownej kolebce, wspiera się dziś na łonie wieśniaczej dziewczyny? — Przez ten czas możemy zostawić oboje jako ich znaleźliśmy; żadne z nich nie pragnie zmiany. Nastusia radaby w wieczność przedłużyć te urocze chwile rozmarzenia, w których niczego w świecie dla siebie nie żąda, niczego się nie lęka, prócz przyszłości, strasznej zawsze dla ludzi wybiegłych na szczyt ziemskiego szczęścia. Wilczek także nie ma do życzenia, zwyczajnie jako człowiek zmęczony po polowaniu, dla którego w układzie ciała poziome linje są najmiłszemi. Pierścień z białego ramienia okrążający mu szyję, wcale nie zawadza w oddawaniu się słodkiemu wypoczynkowi po dziennych trudach. Zaczynam legendę.

Pani starościna Mirska wydała jedynaczkę córkę za Augusta hrabiego Wilczka. Małżeństwo ze wszech względów dobrane, zaspokajało wymogi światowe. August Wilczek był człowiek bogaty, w znaczeniu, że znakomitem nazwiskiem; nie wypadło zrażać go rekuzą. Panna starościanka mało go wprawdzie znała, ale dla niej wola matki nosiła na sobie piętno starożytnego fatum. Poszła więc do ołtarza z tą samą uległością, z jaką była by wstąpiła do zakonu, lub została starą panną, gdyby który z tych ostatnich dwóch stanów zgadzał się był z wolą starościny.

Po odprawionym obrzędzie matka pocałowała córkę w czoło i przeżegnała ją trzykroć znakiem krzyża świętego, Tegoż samego wieczora wyprawiła suty bal w pałacu, i nazajutrz młoda małżonka, opatrzona jeszcze jednym pocałunkiem i jednym jeszcze znakiem krzyża, wyjechała wraz z mężem na nowe gospodarstwo.

Kontrakt ślubny, dzięki biegłości regenta, zapewniał nowożeńcom wszelką niezawisłość majątkową; interesa z obu stron były czyste, zapomniano tylko przy końcu dołożyć warunku o zobopólnem szczęściu.

Opuszczenie to niebawem zgubne wydało owoce.

Hrabia, którego życiu obywatelskiemu nic nie podobna było zarzucić, miał wszelako jedną wadę, bynajmniej nie przyczyniającą się do spokoju domowego. Czasami, prawdę mówiąc, często nawet, krew zbyt niespodzianie uderzała mu do głowy. Wtedy zupełnie się zapominał, oczy zachodziły mu czerwienią, rozum w mgnieniu oka ulatywał gdzieś w niedościgłość, ręce konwulsyjnie chwytaly pierwszy lepszy przedmiot żywy lub martwy, i po chwili potrzaskane sprzęty lub nadwergężone członki świadczyły, że hrabia tylko co był uległ jednemu ze zwykłych napadów.

Domownicy drżeli przed nim; dzieci wiejskie, ile razy na koniu przez wieś przelatywał, z krzykiem do chat uciekały.

Powszechna ta trwoga wcale nie uśmierzała zapędów porywczego magnata; przeciwnie, jeżeli każde wykroczenie budziło w nim niepohamowany gniew, natomiast na widok nikczemnego przestradchu, jakim za zbliżeniem się jego ludzie truchleli, tracił ostatnie iskry człowieczej natury, srożał jak rozszalałe zwierzę, pastwił się już nie nad przestępcą, ale nad pełzającą mu u nóg słabością.

Podobne sceny często powtarzały się w domu. Miodowy miesiąc małżeńskiego pożycia przerwał je był na chwilę, wkrótce atoli hrabia wrócił do dawnych zwyczajów.

Z początku żona, niewyczerpana słodyczą, łagodnością uśmierzała wybuchy męża. Ofiary zapalczywości hrabiego często uciekały się do niej pod opiekę; wtedy gniewny pan wlażał w siebie niezaużyte zapędy i cały dzień, samotnie, zamykał się w swoim pokoju.

Pewnego razu, gdy pierś nie mogła już wystarczyć na objęcie oddawna tłumionych namiętności, hrabia August zapomniał, że ta kobieta, która ze łzami i na klęczkach błagała go dla niego samego o litość, była jego żoną.

Pierwszy krok postanowił o dalszem postępowaniu hrabiego. Główna tama była rozerwaną: wściekłość jego buchnęła szerokim płomienistym strumieniem, którego pierwsze ognie spadły na nieszczęśliwą żonę.

Hrabina przez jakiś czas cierpliwie zносиła mężowskie wybuchy, gorąco się modliła się o przywrócenie domowego spokoju; błagania jej były daremne.

Hrabia znał swoją słabość; sam za nią coraz bardziej się zniechęcał i zemstę za własne przekroczenia coraz dotkliwiej na otaczających go wywierał. Domowy lekarz główną przyczynę nieszczęsnych usposobień przypisywał hepaticznym cierpieniom hrabiego.

W istocie choroba musiała gwałtownie się wzmacniać: paroksyzmy coraz częściej przypadały na pacjenta; niepodobna było dłużej wytrzymać. Hrabina wyczerpywała ostatnie siły.

Pewnego dnia, gdy mąż swoim zwyczajem, napełniwszy dom przestraczem, zamknął się u siebie i następnie konno wieczorem pogonił w pole, biedna żona zanosząc się od łez, przy pomocy wiernej garderobianej, przemknęła się ukradkiem do pierwszej stacji pocztowej.

Nazajutrz z powszechnem zadziwieniem całego domu starościny, wygnanka padła u nóg matki.

Pani starościna pocałowała córkę w czoło, przeżegnała ją znakiem krzyża świętego, wysłuchiwała poważnie zażaleń, uznała je słusznymi i stanowczo oświadczyła, że odtąd nie puści jej od siebie i o zgodzie z zięciem na wieki słyszeć nie chce.

Wieczorem wszystko wróciło do tegoż porządku, jaki panował w domu starościny przed zamężciem jej córki. O mężu jej więcej nie wspomniano, uważano związek ten jako zły sen męczący. Biedna tylko hrabina trawiła dni we łzach i w smutku.

Odtąd nikt na bladym jej obliczu nie dostrzegł uśmiechu; poranki zwykle przekłęczczała w kościele, resztę dnia w milczeniu pędziła obok matki.

Hrabia August ze swojej strony nie dawał o sobie żadnej wiadomości, bądź że po szczerzej z własnem sumieniem rozmowie, w ucieczce żony uznał sprawiedliwy wypadek, bądź też że w rozbujalej dumie serca nie chciał pokazać, że dba o kogokolwiek na świecie. Z daleka tylko dochodziły posłuchy, że nikogo nie widywał, że z nikim nie wchodził w rozmowy, że dnie samotny przepędzał na polowaniach — tak przynajmniej ludzie mniemali, chociaż pomimo późnej zwykle pory powrotu, często nie przywoził z sobą żadnej zwierzyny.

Tymczasem w pałacu starościny zaszła zmiana.

W kilka miesięcy po ucieczce od męża hrabina powiła syna. Był to pierwszy dzień radości, jaki po długich smutkach zajaśniał dla nieszczęśliwej matki.

Zdawało się, że wypadek ten odemknął w starościnnie od tylu lat zasklepione serce. Powitała wnuczka z niewypowiedzianem uczuciem szczęścia; ponieważ zaś córkę przyzwyczaiła się była uważać za dziecko, sama przeto postanowiła wyłącznie zająć się jego wychowaniem.

Hrabina, nawykła do ślepej uległości, nie śmiała opierać się życzeniom matki; dla niej dość było szczęścia, że mogła czasami popieścić się z lubem dziecięciem. Noce przesiadywała przy jego kolebce, wpatrując się w różaną uśpioną twarzyczkę; we dnie bowiem starościna, jak gdyby zazdroszcząc pieśczoł, z jakimi dziecię, pędzone tajemnem uczuciem, raczej do matki niżeli do babki się przymilało, na chwilę wnuczka nie spuszczała z oczu.

Hrabina chciała sama karmić swego Władysia; lekarze atoli, bacząc na osłabiony stan jej zdrowia, wzbronili spełnienia pierwszego i najdroższego macierzyńskiego obowiązku.

Tkliwa matka nie byłaby zważała na zagrożenia lekarzy, ale tu starościna położyła swoje nieubłagane veto. Trzeba było poddać się jej woli i obcym rękom powierzyć pierwsze starania o dziecięciu.

Pani domu przykazała rządcy, aby czempędzej pomiędzy wiejskimi kobietami wyszukał mamki. Miała być hoża, młoda i po pierwszym dopiero pogołu.

Pan rządcza, czyli tak zwany komisarz, spieszenie wziął się

do dzieła. Starościna posiadała obszerne włości; nie trudno mu było wypełnić jej rozkazy.

Obejrawszy kilkanaście kobiet mogących ubiegać się o zaszczyt karmienia panicza, rzucił wzrok na młodą wieśniaczkę, która powierzchownością i dziwnym wdziękiem rozlanym po całej postaci, jaśniała wśród rówieśnic.

Pan rządcą nie zastanawiał się długo; nazaczył swój wybór i oświadczył Krystynie, że natychmiast odwiezą ją do dworu. Odprawione z kwitkiem wieśniaczki pozazdrościły może szczęśliwej świetnego losu; na twarzy jednak Krystyny przebijało wcale inne uczucie niż radość.

Młoda matka stała spokojnie ze spuszczoneymi oczyma, podczas gdy pan komisarz wydawał jej rozkazy. Ugięły się wreszcie pod nią nogi, padła na kolana i zalała się rzewnymi łzami. Przerywanemi słowy ją rozpowiadać, że nie czuje w sobie dość zdrowia, że sama ma jedyne dziecię; którego za żadne w świecie skarby nie porzuci, że raczej utopi się, przepadnie, zaginie, aniżeli by miała być komu zostawić małą swoją Nastusię.

Pan komisarz kazał odwieść Krystynę do pałacu.

Starościna na widok zapłakanej wieśniaczki z początku gniewnie zmarszczyła czoło; wzrokiem pełnym pogardy przemierzyła głupią chłopkę, która szalenie odrzucała tak świetną przemianę materialnego bytu. Ponieważ jednak Krystyna w istocie była młodą, hożą, zdrową i miała nadal pozostać w pałacu, pomyśliła przeto, że rozjątrzenie mamki mogło zgubny wpływ wyrzucić na jej zdrowie, na pokarm, a tem samem na ukochanego wnuczka. Zdobyła się więc na niezwykłą łagodność, wystawiając rozżalanej korzyści, jakie z chętnego przyjęcia tak ważnych obowiązków wynikłyby dla niej i dla całej rodziny.

Krystyna nie mogła się utulić: łkaniem odpowiadała na wszystkie zachęty. Starościnnie już miało zabraknąć na ciepłości, gdy szczęściem odgłos niezwykłego w domu ruchu spowodził hrabinę.

Matka Władysia tylko co była powstała z pościeli. Widząc kłęczącą u nóg starościny zapłakaną wieśniaczkę, zbliżyła się ku niej z dobrocią i podniosła ją za ręce.

Krystyna pierwszy raz wzniosła oczy do góry.

Widok bladej, pochylonej nad nią twarzy, zgnęanej cierpieniem i przeświecającej głębokiem z serca miłosierdziem, zastanowił wieśniaczkę. Ostatnie dwie grube łzy zakrążyły jej w oczach, ale już nie spłynęły po licu; utkwiała wzrok w młodą swoją panię. Znać było po jej rysach, że jakaś okropna boleść ostatnim kleszczem przelotnie ścisnęła ją za piersi. Otarła fartuchem oczy i drżącym głosem wyjąkała, że skoro już tak na nią przypadło, aby poszła na mamkę panicza, poddaje się woli Bożej i pańskiej, prosi tylko, aby jej wolno było pożegnać się z maleńką jej Nastusią i powierzyć dziecę jednej kumie, która może też będzie miała nad nią pożałowanie.

Starościna udobruchana nagłą przemianą wieśniaczki, przyrzekła, że sama pośle pana komisarza z rozkazem, aby kuma jak najtroskliwiej zajmowała się dziecięciem; że nadto, jeżeli Krystyna wiernie poświęci się swoim obowiązkom, obiecuje wziąć Nastusię do dworu i zająć się jej losem.

Ostatni warunek nie był koniecznym. Cicha dobroć hrabiny, słodycz jej postępowania, zwłaszcza zaś tajemne wewnętrzne cierpienie, które chyliło ją ku ziemi, niewytłumaczonym pociąganiem ujęły wieśniaczkę za serce. Władys nie mógł dostać lepszej mamki.

Krystyna nieraz byłaby wiele łez swoich oddała za wywołanie uśmiechu na oblicze swej pani; czuwała nad dziecięciem więcej niż niegdyś nad własną córeczką, przekonana że takowe postępowanie dodawało wesela hrabinie. Widząc wreszcie, że chłopiec, dzięki staraniom, zdrow był i silny, całą duszą przywiązała się do wychowanka.

Czasami wprawdzie Krystyna, kołysząc pańskie dziecę lub tuląc je do piersi, coraz ciszej śpiewała swoją piosenkę, aż wreszcie, zaprzepaszczając nie wiedzieć gdzie wzrok, całkiem ją uciwała. Nieboga myślała o swojej Nastusi, która w tej chwili może opuszczona, nadaremnie wyciągała rączkę ku przybranej matce. Z dała dochodzący ją głos hrabiny, lub słodkie i tęskne jedno jej spojrzenie rozpędzały te smutne marzenia — Krystyna znowu ciągnęła dalej wesołą piosenkę, i chcąc niejako wynagrodzić chwilowe zapomnienie, tkliwszemi pieszczoty okrywała dziecę.

Hrabina tymczasem widocznie upadała na siłach. Jaskrawy rumieniec wystąpił na jej lica, głowa pochyliła się ku piersiom, oczy szklily gorączkowo. Chora skarżyła się na kaszel i bezsenność, które przypisywała zaziębieniu.

Pomimo wielu zaradczych środków, stan jej zdrowia wcale się nie polepszał. Lekarze radzili, aby wyjechała do wód i następnie przepędziła zimę pod łagodniejszym klimatem.

Hrabina utrzymywała, że od pewnego czasu czuje się daleko zdrowszą, że nie opuszczając domu, powróci do sił. Stan jej atoli codzien wyraźniej zadawał fałsz tym zapewnieniom.

Staroscina przerażona groźbami lekarzy, zwykłym sobie tonem oświadczyła córce, że za tydzień wyjedzie z córką do wód, a ztamtąd na zimę uda się do Włoch.

Hrabinie łatwiej było umrzeć przy Władysiu, niżeli się z nim rozłączyć; wiedziała że staroscina nigdy nie przystanie na wypuszczenie z domu wnuczka. Nie pomyślała jednak nawet o oporze; ostatnie tylko noce przepędziła przy kolebce Władysia i opatrzona od matki pocałowaniem w czoło i znakiem krzyża świętego na drogę — wyjechała.

Ten pocałunek i ten krzyż miały w sobie coś zgubnego.

Hrabina nie wróciła już więcej do swego Władysia: umarła w Salzbrunn.

Sprowadzono ciało nieboszczki. Staroscina kazała z wielkim przepychem odprawić mszę żałobną, sama też podczas Requiem kilka razy zemdlala i znowu wszystko wróciło do dawnego stanu spokojności i porządku. Władys tylko zamiast różowych lub błękitnych wstążeczek u czepeczka, nosił czarne.

Krystyna odtąd coraz silniej przywiązywała się do chłopczyny; całą miłość, jaką przejęta była dawniej ku matce, zwróciła teraz na jej osierociałe dziecię. Często miewała niepojęte, tajemne ostrzeżenia. I tak, przypominała sobie, że gdy nikt jeszcze w domu nie wiedział o śmierci hrabiny, ona w nocy nagle zerwała się i nie wiedzieć dla czego, zaczęła gorzko płakać i tulić dziecię, które również, choć zdrowe, zanosilo się od łez.

Starania wieśniaczki nie były daremnymi. Dziecię nabierało sił: po roku samo już chodziło. Krystyna na chwilę nie spuszczała go z oka i tak troskliwie pielęgnowała, że gdy chłopiec

przestał do życia potrzebować jej pierai, starościana nie chciała puścić jej z domu, a pamiętna na dawną obietnicę, pozwoliła piastunce sprowadzić do siebie Nastusię. Dzieci miały wychowywać się razem.

Prawdę mówiąc, Krystyna nie upierała się o powrót do chaty. Mąż jej od czasu jak go była opuściła, może z rozpacz, a może też i dla braku kobiecego dozoru, oddał się rozpucie i pijaństwu; że zaś był to wysmukły i rześki parobczak, podoficer zatem huzarski rzucił nań oko i zawerbował go do swego pułku.

Wkrótce pułk przeniósł kwatery gdzieś aż nad turecką granicę i Krystyna odtąd nie miała żadnej wiadomości o swoim człowieku. Nie żałowała go też bardzo, pamiętając co się stało z niego w ostatnich czasach. Terańniejsze położenie zupełnie zaspokajało potrzeby jej serca; o nic się nie troszczyła, byle tylko wszystkie chwile mogła poświęcić dwojgu zarówno ukochanym istotom.

Widok Władysia i Nastusi duszę jej szczęściem przejmował. Nie miała dla nich dość oczu, gdy bawili się razem, biegali po ogrodzie i wśród kwiatów i zieleni brzęczeli srebrnymi głosy, przeświecali jasnowłosemi główkami.

Kilka lat upłynęło. Dzieci znacznie popodraszały, zresztą w domu żadna nie zaszła zmiana. Starościana, jakby dosięgłszy apogeum swej zgrzybiałości, ani o włos więcej się nie pochylała; na twarzy jej nie było już miejsca dla zmarszczków, na głowie oddawna samowolnie zapanowała siwizna. Przywiązanie jej do wnuczka rosło z każdym dniem; chciała, aby cały dom, podobnie do niej, nie żył, nie oddychał, tylko dla Władysia. Chłopiec był małym Jowiszem, którego gniew — trwoga, uśmiech — weselem przejmował wszystkich mieszkańców staro pałacu.

Zkądinąd uleganie woli panicza nie było dla otaczających zbyt trudnem.

Władys był rokosznem dziecięciem: zawsze wesół, dowcipny, Ignący duszą do każdego przychodnia z piezczotą, skarbił sobie poważną miłość i rzadko kiedy nadużywał nieograniczonej władzy, jaką babka składała w drobnych jego rączkach. Było to dziecko powodujące się pierwszym popędem, bawiące

sąg bez granic i rozumiające tylko tersznijszą chwilę, nie znoszące żadnej zawady w swoich zachceniach; przyjazne wreszcie dla ludzi, którzy nigdy nie zrazili go ani sprzeciwianiem, ani odmową.

Wcale odmiennej natury była Nastusia.

W dziewczynce zmęczenie nie wywoływało tych rumieńców, jakimi zawsze błyszcząca twarz małego jej towarzysza. Oczy miała wielkie, błękitne; drobna postać jej za każdym poruszeniem chwiała się i lekko ugiwała, na opak okrągłym zwykle ruchom dzieciennym. Władys nie pojmował przyszłości; dla Nastusi obecna chwila była niczem. Zawsze za czemś myślała goniła, i zawsze zwracała się za czemś innym, aniżeli za celem poprzędnych ubiegów. Nieraz ścigana przez swego rówiennika, wymykając się mu między kwiatami i krzewami ogrodu, nagle stawała jak wryta, pochylała główkę, słuchała oczyma — nikt by jednak nie domyślił się, czego? — Milczenie było do koła — chyba że dziewczyna przysłuchiwała się dźwiękom istniejącym podobno w naturze, ale mało od kogo dosłyszanych.

Innym razem biegając z Władysiem po łące, tuż za ogrodem rozesłanej, znikła mu z oczu i pomimo uporczywego nawoływania, nie dawała żadnej odpowiedzi. Znajdowano ją leżącą wśród polnych kwiatów i z promiennymi oczyma, uśmiechającą się nie wiedzieć do czego. Nastusia tłumaczyła się, że wyaluchkiwały, co kwiatki między sobą szeptały, jak wyśmiewały się z ogrodowych, a bardziej jeszcze z wychodowanych w cieplarni, jak różne złote muszki przylatywały do nich w odwiedzinę. Ale Krystyna nie pozwalała jej długo wyprawować podobnych dziwactw i często srodze martwiła się głupstwem swojej córeczki.

Cóż dopiero, gdy Nastusia jeła rozповідаć o rozlicznych anach, jakie na nią schodziły i czasami nie opuszczały nawet za przebudzeniem, o jakichś królach i królowach, co w złościwych szatach przed nią występowali. Służba pałacowa za boki porywała się od śmiechu, drwiąc z zabawnych przywidzeń małej warjatki.

Rzadko też kto zwracał uwagę na jedno z głównych upodobań dziewczynki, na to, jak wieczorami siedała w otwartem oknie, lub na progu, i niedosłyszczanym prawie głosem nuciła

dziwne jakieś piosenki przeciągłe i smutne, niby dalekie powiewy wiatru, ale tak harmonijne, że słowik dla nich często umilkł, a kwiatki rozchyliwszy kielichy, łowiły dźwięki przyływające do nich po rosie.

Nastusia była w łaskach u starościny: Władysław bowiem nie mógł bez niej się obejść. Dziewczyna nie umiała w niczem postawić mu oporu; często porzucała ulubione swoje rozrywki, aby biedz za czemś, co mniej ją bawiło, ale gdzie znajdowała większą przyjemność w spełnianiu woli małego towarzysza. Była słabszą. Nie dziw więc, że mu ulegała, chociaż zkądinąd ile razy spadała na nich wspólna przeszkoda, lub to samo dziecinne cierpienie, Nastusia starała się cały ciężar, cały smutek przyjmować na siebie i z uśmiechającymi oczyma ocierała twarzyczkę Władysława, który się łzami zalewał.

Tak szybko przebiegły pierwsze lata, wśród których dzieci rozwijały się pod troskliwą opieką Krystyny. Nadchodził czas rozłączenia: wzywały ich dwie przeciwne drogi.

Krystyna obowiązki swe względem panicza miała złożyć w ręce Francuza guwernera i sama powrócić do wioski. Władysław przyjął ten zamiar z najżywszem oburzeniem; poprzysiągł babce, że książki nie weźmie do ręki, jeżeli piastunka jego i Nastusia nie pozostaną w pałacu. Wnuczek postawił na swoim: nie ośmielono się mu sprzeciwić.

Starościna wreszcie wcale nie z niechęcią zatrzymywała przy sobie wieśniaczkę. Przekonanie o jej wierności, o przywiązaniu, a może i pewna wdzięczność za wychowanie wnuczka, dzielnie poparły wolę rozpieszzonego chłopczyny. Nastusia również od pierwszych lat zaskarbiła sobie łaskę swej pani ciągłymi dowodami pokory, uległości i pracy. Dziewczynka nadto była zabawną, krotochwilną, zwłaszcza gdy usiadłszy u nóg wysokiej opiekunki, zaczynała rozpowiadać tysiączne historie, jakie jej chodziły po głowie. Starościna żałowała tylko, że Nastusia nie urodziła się karlicą. Salon jej, zamieszkały przez trzech szpiców, kilkunastu kanarków i wywrzaskującą papugę, dla uzupełnienia obrazu, koniecznie potrzebował karlicy. Zaczynała matrona przypominać sobie, że nieboszczka jej babka, pani stolnikowa, miała podobny dziwotwór i niewypowiedzianie bawiła nim gości. Ponieważ jednak od owych dobrych czasów

takie zjawiska coraz rzadziej się pojawiały, nie było czem suszyć głowy; należało poprzestać na Nastusi, jaką ją Pan Bóg stworzył i przebaczyć jej, że się nie urodziła karlicą. Starościna z przykładną pokorą umiała poddawać się woli Najwyższego i grzechy odpuszczać. Aby wszelako dziewczyna nie myślała, że przestając z paniczem, sama także wyszła na pańskie dziecko, starsza pani, pomimo swej przychylności, a nawet pewnego rodzaju przywiązania, nie pozwoliła jej zrzucić wieśniaczej odzieży.

Ostrożność ta obróciła się na korzyść Nastusi. Pod jedynym gorsecikiem i cienką bielizną postać jej tem wdzięczniejszą się wydawała. Dziewczynka zamiast wyglądaną na zwykłą szlachciankę, przedstawiała jeden z najponętniejszych ideałów wieśniaczki.

Władys tymczasem szybko rozrastał się pod okiem swego nauczyciela. Z łatwością przychodziła mu ta nauka, jaką zamierzano weń wpoić. Starościna nie chciała słyszeć o publicznem wychowaniu; lękała się obojętności obcych rąk, którym należałoby powierzyć ukochane dziecko, i postanowiła po dorocie chłopca do lat młodzieńczych, dla nadania mu ostatecznej ogłady, wysłać go na jakiś czas wraz z nauczycielem do Wiednia.

Władys niczemu się nie sprzeciwiał; czuł pomimo to, że nigdzie nie może mu być lepiej jak przy babce, i jeżeli niekiedy westchnął do wielkiego miasta, bez wątpienia zabawę raczej niż naukę miał na względzie.

O zięciu pani starościna bezpośrednio więcej nie słyszała. Dochodziły ją tylko uboczne pogłoski, że coraz gwałtowniej szalał, że nikt przy nim nie mógł wytrzymać. Aż nareszcie gruchnęła wieść po okolicy, że pewnego dnia hrabia August Wilczek wyszedł na polowanie i więcej nie wrócił. W kilka dni znaleziono go zamordowanego i zawleczonego w jedną z najniebezpieczniejszych gęstw lasu.

Surowe śledztwa nie wykryły zabójcy. Sąd musiał poprzestać na mniemaniu, że hrabia w napadzie hipokondrii sam sobie śmierć zadał.

Starościna zabroniła powtarzać przed wnuczkiem tysięcznych posłuchów, krzyżujących się o nieszczęsnym wypadku;

sama oznajmiła mu o naglej śmierci ojca. Wiść ta nie sprawiła silnego wrażenia na Władysia. Ojciec był mu całkiem nieznajomą osobą.

Wychowanie szło dalej nieprzerwanym torem. Lata mijaly jedne po drugich; Władys nie bawił się już z Nastusią, chociaż często z upodobaniem wysłuchiwał jej piosenek, lub o szarej godzinie w salonie babki kazał sobie opowiadać różne historie, jakie Nastusia, obeznana z pismem, wyczytywała w starych książkach pałacowej biblioteki i powtarzała następnie, strojąc je w złote arabeski i w brylanty własnej wyobraźni.

Dziewczyna ogarniając wszystko potęgą swego czucia, wlewała istotne życie w bajeczne, mgliste wypadki, podnosiła je do teraźniejszej rzeczywistości, a choć zwykle przy końcu tych opowiadań starościna drzemała już w swoim krześle, Władys natomiast porwany malowniczą fantazją małej wieśniaczki, słuchał jej całą duszą i wśród ciemności błędne spojrzenia toczył do koła, zali nagle nie wyjdzie z kąd jedna z tych figur strasznych lub wdzięcznych, na jakiej powieść się obracała.

Nawzajem, ile razy Władys zaczął książkę jaką czytać swej babce — starościna bowiem często go przywoływała, aby cieszyć się miłym jego głosem — Nastusia wtedy zatapiała w nim oczy, chciwie chwytala każdy wyraz, a gdy odchodził, prosiła go ukradkiem, aby na drugi raz przyniósł raczej książkę z wierszami, niżeli zwyczajnie pisaną. Dziewczyna namiętnie lubowała się w tej harmonijnej taktowej mowie. Nieraz pytała, dla czego ludzie zawsze tak nie mówią, tem bardziej, że tych samych wyrazów używają do mowy.

Złe i dobre losy przeplatają pasma każdego życia.

Starościna oddawna wiodąca dni niczem niezachmurzonej pogody, nagle doznała wstrząśnienia do ostatniej głębi uczuć.

Władys, nie wiadomo z jakiej przyczyny, chociaż lekarze wiele ich naznaczali, uległ ciężkiej chorobie.

Gwałtowna gorączka wpadła w biednego chłopca, paliła go nieugaszonymi ogniami, miotala nim na wsze strony, rostrząsała kości, spędziła rumieniec z twarzy i w krótkim przeciągu tak wysuszyła, że chory był do niepoznania.

Starościna z rozpaczy odchodziła od zmysłów. Łzy, których źródło zdawało się w niej wyschłem na wieki, teraz grubami kroplami spływały po sędziwym obliczu.

Lekarze pocieszali ją o ile możności, przemawiali słowami nadziei, ale sami nie mieli w duszy spokoju: szeptali między sobą po łacinie, kręcili głowami, co chwila przemieniali leki; niekiedy na uboczu swarzyli się zażarcie.

Niezrozumiałe ich wyrazy, dochodzące z dala domowników, cały dom napełniały niespokojnością i przestraczem. Starościna przestała płakać: oczy jej zaczerwieniły się, zapadły; nie ałyszała, gdy do niej mówiono, lub odpowiadała bez żadnego związku.

Krystyna wróciła do dawnej służby: znowu dnie i noce przepędzała przy łóżku swego wychowanka. Nie śpiewała mu wprawdzie jak niegdyś usypiających piosenek, ale natomiast ciągle odmawiała po cichu pacierz i wszystkie modlitwy, jakie tylko umiała na pamięć.

Starościna też jej wyłącznie powierzyła pieczę nad Władysiem. Nie potrzebowała zalecać Krystynie czujności: dawna piastunka upadała pod znużeniem, pasowała się wewnątrz z boleścią; pomimo to jedna z całego domu miała najpogodniejszą twarz, najwięcej w sercu otuchy.

Pewnej nocy, gdy Krystyna, jak widmo błąda z wycieńczenia, nie mogła dłużej utrzymać się na nogach, zmuszona odpocząć parę godzin, kazała zastąpić się Nastusi. Posadziła ją na swoim miejscu i odchodząc, raz jeszcze spojrziała na Władysia i na córkę.

Zdziwiona, zatrzymała się mimowolnie.

Nastusi szczególnie patrzyło z oczu. Dziewczyna wyglądała przezroczysto, promiennie; na twarzy jej leżała dziwna powaga, wzrok z pozoru spokojny, błyszczał gorączkowym zapalem. W milczeniu siadła przy łóżku chorego i zaczęła pilnie się weń wpatrywać.

Krystyna pomyśliła, że trud émił w jej oczach przedmioty i odeszła.

Nastusia została sama.

Chory spał; krew gwałtownie nim targała, oddech miał przytłumiony, bladł i czerwieniał na przemiany.

Nastusia zsunęła się lekko z krzesła, uklękła, jak gdyby niewidzialną mocą pchana.

Nad łóżkiem chłopca wisiał obraz Najświętszej Panny.

Dziewczyna wzniosła oczy w górę. Zdawało się że rysy malowidła coraz wydatniej wychodziły z płótna; tło coraz ciemniej w głąb zapadało, boskie oblicze zaiskrzyło się łagodnie, do koła obrazku zawęlniły tęczowe obłoczki, niewymowny uśmiech zwolna rozkwitał na ustach Chrystusowej Matki. — Nastusi zabrakło oddechu w piersiach, wzroku w oczach — zalała się łzami.

Nagle zerwała się wyprostowana, przystąpiła do chorego i ujęła go za rękę.

Władys podniósł powieki, zatoczył niespokojnem wejrzeniem; dziewczyna pochyliła ku niemu swoją twarz marmurowej białości i rzekła wolnym głosem:

— Panie mój! — Władziu! — dość już tych cierpień. Chory jesteś, ależ przecie nie skaleczałeś; zechciej tylko gorącem sercem, a powstaniesz; tyś mocniejszy od choroby. Widzisz ten obrazek nad łóżkiem? Wstawaj natychmiast, dotknij go ustami.

To mówiąc, Nastusia silnie targnęła go za rękę. Chłopiec spojrział na nią z uroczystym przestrachem, zwolna podniósł głowę, wsparł się na rękę, usiadł, uklękł, nareszcie stanął. Nastusia wskazała mu palcem i padła na ziemię bez zmysłów.

Gdy przyszła do siebie, Krystyna klęczała nad nią i octem rozcierała jej skronie; Władys spał spokojnie.

W tydzień potem Nastusia wieczorem wracała z ogromnym pękiem polnych kwiatów i wyśpiewywała jedną z swoich piosenek, podczas gdy Władys, osłabiony jeszcze, ale porzuciwszy już łóżko dla krzesła, siedział w otwartym oknie i patrzył jak zachodzące słońce skrywało się za lasem. Nie wiadomo dla czego słońce nigdy nie wydało się mu tak pięknem, piosenki Nastusi nigdy tak harmonijnemi.

Starościna uszczęśliwiona powrotem wnuczka do zdrowia, nie mogła dość na niego się napatrzeć, dość mu nadogadzać. Mniemała, że Władys dla tego tylko ożył, aby jej wyświadczyć łaskę, której tak gorąco pragnęła. Nie zaniedbała więc wszelkimi sposobami i w każdej chwili okazywać mu swoją wdzię-

czność. Hojnie wynagrodziła doktorów, którzy według jej zdania, dali tym razem najdzielniejsze dowody umiejętności. Krystynie zaś podarowała na wieczne czasy chatę z ogrodem i kawałem gruntu, na posag, jak mówiła dla Nastusi.

Władys szybko odzyskiwał siły, wdzięcznie przyjmował starania krzątających się koło niego domowników. Niewytłumaczone jednak rozrzewnienie przejmowało go, ile razy spostrzeżał Nastusię. Sam często nie wiedział, co jej odpowiedzieć, miewał się; dziewczyna też nawzajem, jak gdyby przeczuwała niepokój, jaki na jej widok ogarniał panicza, rzadko nasuwała się mu na oczy; z dała tylko dochodził go czasami smętny dźwięk jej piosenki.

Władys przepędził jeszcze przy babce dwa lata, podczas których dobiegł młodzieńczego rozwicia. Za ciasno mu było w domu; orlik porastał w pierze i chciał zapróbować siły swych skrzydeł za granicami rodzinnego gniazda.

Starościna nie śmiała sprzeciwiać się woli wnuczka. Wyprawiła go więc wraz z nauczycielem do Wiednia, z kąd po jakimś czasie obaj mieli udać się do Włoch i następnie do Francji.

Władys za poradą mentora, dla oszczędzenia babce bolesnej chwili rozstania, pożegnał ją tklwym listem i przed wschodem słońca wyjechał z domu.

Wszystko spało w pałacu, kilku tylko ludzi wtajemniczonych do zamiaru, krzątało się około powozu i koni. Podróżni, dla nieprzebudzenia mieszkańców, kazali woźnicy cichaczem wyjechać za bramę. Władys całą pierś pociągnął jeszcze tego powietrza, jakim przez tyle lat oddychał; całym wzrokiem ogarnął miejsca pamiętne tylu szczęśliwych chwil. Łzy zakreśliły się mu w oczach, wybiegł szybko za bramę, wskoczył do powozu i jeszcze raz się obejrzał.

W ogrodzie, obok którego przejeżdżali, na znajomym pagórku bielila się jakaś postać. Poranek był świeży i cichy; słońce właśnie wyblyskiwało z pod widnokręgu, a pierwsze jego promienie ślizgając się po zroszonych kwiatach i drzewach, złociły jasnawłosą główkę stojącej na wzgórku Nastusi. Twarzy jej nie było widać: dziewczyna nieco schylona, ukrywała ją w dłoniach.

Władys drżącym głosem krzyknął jej pożegnanie; ostatnie dźwięki jego słów zatonęły w potoku łez. Chłopiec rzucił się swemu nauczycielowi na szyję — woźnica zaciął konie, skręcił na prawo, i niebawem wioska, stary pałac i najwyższe lipy ogrodu znikły im z oczu.

Po wyjeździe Władysia dom całkiem dla starościny opustoszał: każde miejsce przypominało jej rozstanie z ukochanym wnuczkciem. Mało wychodziła ze swego pokoju, żyła tylko chwilami, w których odbierała wiadomości od swoich podróżnych.

Powoli jednak czas i te rany, jeżeli nie zupełnie zabił, złagodził przynajmniej ich drażliwość. Starościna przyzwyczaiła się do swego jednostajnego trybu życia, przeplatane go dewocją, hodowaniem kanarków i wykarmianiem szpiców.

Jedna Nastusia od tego poranku, kiedy stojąc na wzgórku, usłyszała ostatnie słowa odjeżdżającego panicza, przebiegła duchem po różnych tonach uczucia.

W pierwszych dniach wpadła w gorączkową jakąś wesołość. Nigdy przedtem nikt nie słyszał jej tak głośno śmiejącej się i rozmawiającej, zupełnie jak gdyby otaczających uważała za głuchych. Być może że tym sposobem biedaczka pragnęła sama zatłumić wewnętrzne jakieś burze. Później nagle ucięła i zamilkła, jako harfa, której strony ktoś przeciąłby jednym zamachem. Następnie znowu wracała do pierwszych zgrzytliwych pośpiechów; wreszcie rozkołysane niepokoje opadły jej na seree i głowy pochyliły ku pierśiom.

Dziewczyna stała się posępną, milczącą; ślaniała się po samotnych miejscach jak fantastyczne widmo z oparu unoszone wiatrem po łące; czasami tylko pół głosem śpiewała zwykłą tęskną piosenkę. Głos jej wtedy coraz wiotzszymi dźwięki rozwiewał się w przestrzeni, niki w głębi piersi i piosenka kończyła się dwoma łzami, które grubemi perły toczyły po jej wybladłym obliczu.

Tymczasem starościna koniecznie potrzebowała rozrywki; nie pozwalała, aby oprócz niej ktokolwiek w domu się smucił; gniewała ją i nudziła rozteścniiona postać małej wieśniaczki. Oczywiście, chłopka zepsuła się na pańskim chlebie i nadużywając dobroci swej pani, przybierała bladeść i ruchy, zaledwie

panna najszlachetniejszego urodzenia właściwe. Przez wzgląd na zasługi Krystyny, matrona nie powstawała groźnie na jej órkę; zwolna tylko oddalała ją od siebie i wszelkimi sposobami dawała jej usnąć swoją niechęć.

Nastusia poznała, że pani na nią nierada spogląda. Zaprzestała przychodzić do salonu, siedziała cały dzień w pokoiku z matką; o zmierzchu dopiero wymykała się tyłem ogrodu na łąki, gdzie była pewną, że nikogo nie spotka. Zimą, wieczorami przędła, lub niekiedy czytała książki ukradkiem wydestane z biblijoteki.

Władysław wśród tego często babce o sobie donosił.

Panicz przepędziwszy dwa lata w Wiedniu, udał się do Włoch i ztamtąd w listach pełnych młodzieńczego zachwytu opisywał starościnnie swoje wrażenia. O Nastusi ani razu nie wspominał; wir światowych uciech zatarł mu w pamięci pierwsze wspomnienia dzieciennych lat. Bawił się wybornie, nie szczędził złota; kupował miłość, kupował przyjaźń, i miał słuszną — wszakże babka po to wysłała go za granicę, aby nakuł sobie rozumu i doświadczenia.

Czas migał mu błyskawicą, ale podczas gdy w nim siły młodzieńcze rozwijały, babkę jego coraz bardziej chylił ku ziemi.

Trzecie lato mijało od jego wyjazdu. Młody hrabia od roku rozstał się był z swoim nauczycielem i zamierzał Włochy porzucić dla Francji, gdy wtem otrzymał list od starościny, drżącą ręką pisany i błagający go, aby czempredziej wracał, jeżeli chce ją zastać jeszcze przy życiu.

Władysław nie stracił ani chwili; natychmiast wybrał się w podróż do domu, ale przybył za późno.

Starościna już nie żyła.

Hrabia Władysław Wilczek — wyjąwszy bowiem Krystyny, nikt go już Władysławem nie nazywał — wrócił do miejsc rodzinnych w sam dzień pogrzebu.

Orszak żałobny i pochodnie migające z daleka, ostrzegły nadjeżdżającego, że przynajmniej w sam czas przybywa, aby oddać babce ostatnią posługę.

Wilczek od chwili wyjazdu pierwszy raz doznał silnego uczucia boleści. Im więcej zbliżył się do celu podróży, tem

wydatniej stawał mu w pamięci czas pierwszych jego lat, słodko spędzony pod okiem rozmiłowanej w nim babki. Cieszył się nadzieją, że może starościna tylko chwilowo zapadła, że zostanie ją zdrowszą, a wtedy cały dom z okrzykami wesela wybiegnie na jego przyjęcie: Krystyna padnie mu na szyję, starościna rozplacze się z radości — on zaś, bohater rzewnego dramatu, rozruciwszy do koła uśmiechy, powitania, uściski, zasiądzie uroczysto w salonie i w krótkich słowach błysnie ogólnym zarysem wrażeń doznanych za granicą.

Los w poprzek zajechał jego nadziejom i zmusił go do przyjęcia na twarz wyrazu całkiem nieprzygotowanego.

Pomimo żalobności obrzędu, domownicy nie bez przyjemnego rozczulenia ujrzeli zjawiającą się nagle wśród pogrzebnego orszaku postać nowego a dawno im znajomego pana.

Wilczek do żywego był wzruszony; smutnie wszystkich powitał, z nikim atoli nie wdał się w rozmowę, wyjąwszy rządę, z którym całą noc przepędził na pogadance.

Następnych dni hrabia obejmował majątek, urządzał dom po swojemu, od rana aż do późnych godzin odbierał sprawozdania, rozpisywał listy, naradzał się z podwładnymi. Rządca nie mógł odchwalić się czynności młodego pana, który zaledwo pełnoletni, umiał rozkazywać lepiej od wielu dojrzałych.

Wkrótce przeminęły pierwsze kłopoty; nowy właściciel mógł trochę odetchnąć. Uprzątnięte główne zawady teraźniejszego położenia, rozkryły mu przeszłe jego pamiętki.

Wilczek pewnego wieczora siedząc w otwartem oknie, jał przywoływać kolejno na pamięć wypadki ubiegłych lat, gdy wtem nagle uderzył go z dala odgłos oddawna znanej mu tęsknej piosenki. Poskoczył z krzesła, zadrzał — serce gwałtownie w nim zakolało. Ach! z jego wspomnień to może było najczarowniejszem, a on prawie zupełnie był o niem zapomniał!

Wilczek wypadł z pokoju i pobiegł spiesźnie, kierując się po promyku melodji, którego drżące dźwięki chwycił całą duszą.

W najsamotniejszej części ogrodu, na kamiennej ławce zakrytej drzewami ośnieżonemi kwieciami bżów i jasmínów — siedziała dziewczyna.

— Tyżes to Nastusiu? — zawołał, porywając ją za rękę.

— A ja, panie — odpowiedziała, podnosząc na niego wielkie błękitne oczy.

— I od czterech dni, jak tu jestem, nawet nie przyjechaś mię powitać?

— Nie przyszłam, mój Panie! Cóż ja wiejska dziewczyna mam się panu nastęczać na oczy.

— Moja miła Nastusiu? Zupelnie żeś o mnie już zapomniiała?

— Nie zapomniiałam.

— Tego się spodziewam; wszakże ty ocaliłaś mi życie; pamiętasz?

Wilczek pierwszy raz przypominał sobie wypadek, który zostawił niestarte wrażenie na umyśle Nastusi.

— To nie ja pana wyratowałam — odrzekła drżącym od łez głosem.

— Jakto, nie ty? — Przecież nie lekarz?

— Nie — nie lekarz! — Panu Bogu tak się podobało.

— Moja luba Nastusiu! Chodźże do pokoju — do światła — niechże cię obaczę, niech się na ciebie napatrzę. Musiałaś wypięknąć od czasu, jak cię po raz ostatni widziałem.

To mówiąc, zaciągnął dziewczynkę do pałacu i postawiwszy ją przed lampą, zaczął baczenie jej się przyglądać.

Wilczek nie posiadał się ze zdumienia.

Nastusia zadowolniała majestetycznej wykształconą wyobraźnię. Snycerz mógłby wziąć jej rysy i postać na wzór do posągu niewieściej piękności; malarz uważałby się za szczęśliwego, pochwycawszy przezroczysty koloryt jej twarzy; poeta z zachwyceniem byłby spoglądał na to spowietrzniałe, liljowo-różowe zjawienie. Prostak nie byłby się nawet za nią obejrzał.

Wilczek ujął w obie dłonie małe jej rączki. Nastusi ciągle lży perliły się w oczach, tak, że poglądając na dawnego towarzysza lat swoich dziecińczych, widziała twarz jego jakby utęczowaną.

— Powiedzże mi, moja Nastusiu — mówił dalej, wycieczając wzrok na promiennem obliczu dziewczyny — czy rada jesteś z mego przybycia?

— Ja tylko o to jedno modliłam się bez ustanku — odrzekła.

— No, kiedy tak — to ci powiem, że spodziewam się długo między wami zabawić. Nie ruszę z domu przez całe lato, nie rękę nawet, abym na zimę wyjechał; a kto wie, może być, że was nigdy nie opuszczę. Będziemy odtąd ciągle razem.

— Nie, mój panie — ja będę daleko. W święta tylko, w kościele na pana popatrzę. Matka dziś jeszcze wyprowadza się z pałacu. Pani starościna umarła; my obie tu już nie potrzebne.

— Co mówisz, Nastusiu? Teraz właśnie, kiedy sam jestem, chciałobyście mię porzucić?

— To matka chce, a ja muszę za matką.

— Przez Boga żywego! przysięgam, że nic z tego nie będzie! — zawołał Wilczek, okrążając wzrokiem dziewczynę. — Zaczekaj tu Nastusiu, pójdę natychmiast po ukochaną moją piastunkę.

— Nie, panie; już późno i mnie pora odejść.

— Dobrze więc; do jutra, moja miła; ja dziś jeszcze, zaraz rozmówię się z Krystyną.

Wilczek uśmiechem i skinieniem ręki pożegnał Nastusię i wybiegł do swojej piastunki.

Sprawa nie trudną mu była do wygrania. Krystyna uważała się w sumieniu za wszechwładnie podległą rozkazom właściciela gruntu, ku czemu dodawszy przywiązanie do wychowawca, rokosz przejmującą ją na widok dawnego małego Władysia, dziś wyrosłego na urodziwego pana — wypadało, że za całą odpowiedź zaczęła całować go po rękach i rozplakała się, aż trudno z niej było słowa wydobyć.

Wprawdzie nazajutrz napomykała cichaczem, że ona, wieśniaczka, mało na co mogła przydać się w pałacu, że Nastusia była do niczego, że ludzie nazywali ją warjatką. Ale Wilczek wytłumaczył jej, że potrzebował koniecznie powierzyć komu kobietą część gospodarstwa, że nie mógł uczynić trafniejszego wyboru, jak oddając rzędy Krystynie, obeznanej ze wszelkimi szczegółami i posiadającej zaufanie trzech pokoleń panów włości.

Ostatnie ślady po staroście niebawem znikły z pałacu.

Dwie panny respektowe, latami równoczesne prawie z nieboszczką, hojnie testamentem jej wyposażone, wyjechały na mieszkanie do Lwowa, gdzie dzięki sąsiedztwu OO. Jezuitów, łatwiej mogły oddawać się codziennemu uprawianiu cnót katechizmowych i dewocji. Wilczek, oprócz wielu upominków, obdarzył je kanarkami, szpicami i papugą, bez których życie nie byłoby dla nich miało żadnego celu, ani powabu. Uszczęśliwione, przyrzekły uroczyście w porannych i wieczornych modlitwach wspominać o szlachetnym dobroczyńcy.

Po długim letargu, jaki na nim ciążył, pałac zdawał się odychać; pełnymi oknami brał w siebie na wskroś przewiewające go powietrze, napełnił się męską służbą. Ściany i sufity oddawna przyzwyczajone do pełzających po nich rozkrztuszonych szeptań dewotek i pani domu, teraz z radością powtarzały echa gromkich głosów myśliwych, strzelców, dojeżdżaczy i zgielkłej służby młodego właściciela.

Wilczek w podróży swej zapoznał się był z wykwintną wiedeńską młodzieżą. Gwoli własnemu urodzeniu, pokrewieństwu, jakie łączyło go z Sokolnikiem, szczerze szafowanym dostatkom i ujmującej powierzchowności, wszedł do pierwszych salonów; przepędzał nieraz całe tygodnie w wiejskich pałacach bogatych panów cesarstwa i tam wyuczył się tego życia zamkowego uprzywilejowanej kasty, o jakim w całej Polsce nikt nie miał przed pół wieku prawdziwego pojęcia. Życie to, na opak polskiemu życiu, zależało głównie na założeniu w samym gospodarzu domu, ogniska niejako, do którego zewsząd miały zbiegać się promienie wszelkich uciech i przyjemności, jakie nastęrczało posiadanie znakomitego majątku. Gości i domowników o tyle przypuszczano do kosztowania z tej czary rokoszy, o ile miłość własna Amfitrjona znajdowała w tem swoje zadowolenie. Matematyk powiedziałby, że w stosunku do gospodarza była to gościnność dośrodkowa, podczas gdy w starej Polsce odśrodkowość cechowała pański sposób przyjmowania.

Wilczek od dziecinnych lat przyzwyczajony do uważania siebie za istotę przeznaczoną na ukochanie od świata, na czerpanie pełnymi rękami z rogu obfitości, jaki los złożył mu był przy kolebce, wchłonął w siebie te żywioły najwyższego sza-

cunku materialnego dla własnej osoby, które napotkał między cudzoziemskimi przywilejowcami, i własną wygodę położył za ostateczny cel dążeń.

W przesiąknięciu atoli napływowemi wyobrażeniami, nie obeszło się w nim bez wewnętrznej walki. W sercu jego brzmiały tony dźwięczne, rodzime, przeszłe mu w krew wraz z pierwszymi tchnieniami ojczystego powietrza, a które samolubstwo obcych pojęć nie zawsze potrafiło zagłuszać. Wilczek często i mimowolnie dawał porywać się tym harmonijnym popędem, i jeżeli nie miał dość siły do pochwylenia za oś życia jednej rdzennej, świętej idei, garnał natomiast artystyczną, sentymentalną stronę bytu, egzaltował się formą, w przekonaniu, że tem już dowodzi wyższości swojej nad tłumem.

Uczucie to wystarczające w latach młodzieńczych popędów, niecofnioną koleją z każdym dniem musiało ustępować miejsca trawiącemu go zasadniczemu rozmiłowaniu w samym sobie.

Widok Nastusi sprawił na nim głębokie wrażenie.

Doskonałość kształtów dziewczyny, rozmarzoność jakas w całej jej istocie, uroczysty spokój rozlany na obliczu, błękitne oczy ciemniejące lub blednące stopniowo do akordów duszy — wszystko to wydało się mu tak niezwyčajnem, tak odmiennem od tego, co widział dotąd w innych kobietach, że po raz pierwszy może w życiu — zamyślił się.

Dziwne wrażenia, z których sprawy sam sobie zdawać nie umiał! Skoro milczała, nie mógł oczu od niej oderwać: poglądał jako Pygmaljon w swój posąg; gdy przemawiała, czuł się pod tajemniczą potęgą ogarniającego go wpływu, doznawał nawet pewnej niespokojności wewnętrznej. Może też Nastusia wrodzoną sobie prostotą targala w nim fałszywe struny, nawiązane z żywiołów przeciwnych prawdzie.

Rozmowa, której zawsze tak gorąco pragnął, nie łatwo mu przychodziła. Niepodobna było prawić jej grzeczności, karmić łakocią piękných słów. Dziewczyna, czy ich nie zrozumiała, czyli też wstrętu ku nim nie mogła przewyciężyć — dość, że podobnie zagabnięta, z goryczą odwracała głowę.

Zkądinąd, wbrew wieśniaczym obyczajom, towarzystwo pana wcale jej nie mięszalo; przeciwnie, zdawała się doń zrodzoną. Samem uczuciem zabiegła daleko wyżej, aniżeli niejedną

pannę z wysokiego świata zaciągnięto na paskach modnego wychowania.

Z własnych swoich uczuć względem Wilczka, Nastusia nie umiała przed sobą jasno się wytłumaczyć; wiedziała tylko, że od pamiętnej nocy przepędzonej przy chorym paniczku, jeden dzień nie przeszedł, aby o nim nie pomyślała, ażeby się za niego nie pomodliła.

Są takie chwile w życiu ludzkim, gdzie dwie istoty, któreby bez tego wiecznie krążyły po obojętnych sobie sferach, nagle, po szlaku tajemniczego promienia, niespodzianie między niemi rozbłysłego, spostrzegną się, zetkną nawzajem, rozkochają w sobie i odtąd jak para śnieżnopiórych gołębi lecą razem w przestrzeń; a choć niekiedy rozłączą się i z oczu potracą, to przecie jeden wie zawsze o drugim; a choć czasami który oczarowany urokiem nowych okolic, wypuści się samolubną drogą, własną tylko rozkosz mając na celu, to przecie drugi, niedojrzany, w błękitach pławi się gdzieś nad towarzyszem i na pierwsze zmęczone westchnienie rozczarowanego, spuszcza się miłośnie ku niemu i tęczowe puchy swych piersi podściela mu pod zgnękaną główkę.

Nastusia długo nie mogła przyzwyczać się do myśli, że Władysław wyrósł na dojrzałego mężczyznę, chociaż siebie samą oddawna przestała była uważać za niedorosłą dziewczynkę. Pojmująca wszystko uczuciem, może być że przez materialną dojrzałość nie odbierała wrażenia zupełnego rozkwitu człowieka.

Wilczek codziennie przywoływał ją do siebie, lub spotkawszy gdzie w ogrodzie, na rozmowie trawił z nią całe godziny.

Dziewczyna przemawiała z początku ze spokojnem sercem. Nieraz wpatrzywszy się w błękit, odpowiadała mu dziwne przestraszy, lub niewytłumaczone zachwyty, jakie nie wiedzieć skąd i dla czego nagle ją ogarniały. Wtedy zapomniiała, że Wilczek namiętnie ścisnął jej ręce, że jak wąż owijał ramieniem polotną jej kibić, lub twarz swą rozplamioną tulił do dziewiczej jej piersi.

Powoli jednak jakiś jutrzenny rumieniec na widok jej pana oblewał Nastusią. Nie mogła słowa wynaleźć na byle jaką odpo-

wiedź; traciła wspomnienia własnych marzeń, drżała jak listek pod pieszczącym ją wzrokiem hrabiego.

Odąd, pomimo tyloletniego zwyczaju i gorącej chęci, ani rano, ani wieczorem nie mogła za niego się modlić. Odbiegły ją sny i tężowe widziadła, a rozkołysany na wsze strony umysł, zawirował około jednej postaci — towarzysza lat jej dziecinnych.

Odąd często roiła sobie, czemu też nie przyjdzie mu chętka kazać jej rzucić się w przepaść, poskoczyć w ogień — czemu na cokolwiek nie zażąda jej życia? — Z jakimże uniesieniem szczęścia, z jakimiż łzami wdzięczności byłaby mu je oddała? Cóż bowiem biedna dziewczyna więcej mogła zaoferować? Myśl ta młynkowała jej w głowie, na chwilę nie opuszczała, wybiegała w oczach, rozświecała lica.

Na Wilczka dziwnie uderzała nadzwyczajna potęga uczucia wiejskiej dziewczyny; on sam widocznie ulegał nieprzewyższonemu wpływowi, pochylał się ku niemu; nieraz może byłby chciał się cofnąć, ale jak człowiek zwieszony nad otchłanią parł się ku urokowi splecionemu z roskoszy i z tajemniczego przestraszu. Zamrużył więc oczy i postanowił nie opierać się dłużej czarownemu popędowi. Zręcznie unikając wzroku domowników, dzień spędził na ulubionej rorywce, na polowaniu — wieczorem chronił się niby samotnie w swoim pokoju i wtedy albo skrycie wymykał bocznymi drzwiami i dążył w najdziksze ustronia ogrodu, gdzie był pewien znaleźć Nastusię, lub cichaczem otwierał też same drzwi i wpuszczał białe zjawisko do siebie.

Nastusia witała go zawsze ze spokojnym uśmiechem i dotąd nigdy jeszcze nie pożegnała ze łzami.

Wilczek sam siebie nie pojmował. On, który po za granicy starszych wiekiem często zadziwiał obojętnością, z jaką roztrzącał wszelkie tany swoim popędem, teraz drżał uroczyście na widok chłopskiej dziewczyny. Śnać nie ścierał się dotąd z tylu czystymi żywioły. Na zatłumienie tak świętego płomienia pierwszy raz ściągał bluźnierczą dłoń.

Śród tego tajemnica szczęśliwym wypadkiem długo tliła pod ziemią. Służba i domownicy, choć jak zwykle bywa, opatrzeni na pańskie postęпки ostrowidzowemi oczyma, tymczasem jednak nie dostrzegali głównej myśli zaprzętającej hrabiego.

Był atoli wzrok, któremu nie mogły ująć knowania Wilczka.

Wzrok ten czysto sercowy, łowił niespokojne przecucie prawdy, zapuszczał je w piersi, miotał na sumienie, dniem i nocą dręczył Katarzynę.

Życie piastunki obracało się tylko na dwóch uczuciach: jednem obejmowała możnego wychowanka, wykarmionego jej piersią, wychodowanego staraniem — drugie łączyło ją z jedynaczką Nastusią, prawdziwą jedynaczką. Oprócz niej, nikogo nie miała na świecie.

Krystyna nie umiała wdawać się w rozumowania. Długo chodziła szarpana myślą, sen spędzającą z jej powiek. Nareszcie pewnego dnia, jak gdyby szala przechyliła się nagle na stronę macierzyńskiego uczucia, oznajmiła Nastusi, że czuje się silnie znękaną, że nie podoła tak wielkiemu gospodarstwu; że przeto dziś jeszcze chce podziękować panu za służbę i wynieść się do rodzinnej wioski, do chaty, którą nieboszczka staroscina była jej podarowała.

Nastusia zbladła — długo patrzyła na matkę nieruchomym wzrokiem, wreszcie zatoczyła się do nóg jej i załża łzami.

Krystyna pokręciła głową. Pierwszy raz nie podniosła swego dziecięcia, nie utuliła w płaczu; westchnęła gorzko i odeszła do pokoju hrabiego.

Piastunka wkroczyła nieśmiało, stanęła ze spuszczoną głową, gniotła róg fartucha i wahała się wymówić słowo. Naglona ostatecznie przez Wilczka, który przewidywał niezwykłą odezwę, wyjąkała zamiar podziękowania za służbę w pałacu i prośbę o pozwolenie pańskie do objęcia darowanej sobie przez staroscinę chaty.

Panicz z początku nie bez wewnętrznego kłopotu starał się odwieść ją od pierwszych postanowień. Po chwili jednak, rażony szczęśliwą myślą, powstał i zbliżywszy się ku Krystynie z tym pochlebnym, dzieciennym uśmiechem, jakiemu dawna jego mamka nie umiała nigdy się oprzeć, odrzekł: że uznaje sprawiedliwość powodów, że zatrudnienia pałacowe bez wątpienia były dla niej zbyt uciążliwemi; że wszelako prosi, aby go nie opuszczała, i jeżeli ciężko jej ostać się w pałacu, aby w takim razie przeniosła się do Polanki, folwarku milę odległego, i tam

zatrudniła się kobiecym gospodarstwem. Co do chaty i ogrodu, Wilczek wymagał, aby go przyjęła na swego dzierżawcę; potrzebował tam osadzić na łaskawym chlebie jednego z wysłużonych domowników. Łatwo odgadnąć, że cena dzierżawy w dwójnasób przewyższała wartość ogrodu i chaty.

Krystyna uległa prośbom wychowańca. Nazajutrz opuściła pałac i z podziwieniem poglądała na Nastusię, która zamiast wczorajszych łez, z twarzą spokojną, prześwieconą nawet uśmiechem, wybierała się na nową siedzibę.

Wypadek ten rozradował wszystkich w pałacu. Służba nie cierpiała Krystyny, której słowa nigdy w panu nie znajdowały oporu; nieograniczone zaś jego zaufanie i szczególna względność zdawały się niesłusznie wynosić prostą chłopkę nad innych domowników, po większej części ze szlacheckiego pochodzenia.

Wilczek zgodził się na oddalenie Nastusi; z pośpiechem nawet schwyił zamiar Krystyny: nie chciał bowiem wystawiać swego klejnotu na widok gości, zaczynających tłumnie się do niego zgromadzać.

Juljusz, kapitan Skalka i młodzi towarzysze z popojedynkowego śniadania, chętnie zbierali się do pałacu otwartego dla nich zawsze na rozcień i ukochali gospodarza, który obok szerokiej gościnności, najlepiej umiał wyprawiać angielskim obyczajem polowania i na całą okolicę najpiękniejsze miał konie.

Wilczek wśród podobnych zjazdów, dzień przepędzał z przyjaciółmi; wieczorem dopiero, gdy zabawa z kniei przenosiła się na zielone stoliki, gospodarz, pamiętny przedewszystkiem na obowiązki właściciela ziemskiego, wymawiał się przed gośćmi potrzebą narady z podwładnymi, koniecznością wydania im rozkazów i opuszczał na kilka godzin towarzystwo.

Goście, zagłębieni w kartowych kombinacjach, nie cierpieli na jego nieobecności. Wilczek przemycił się przez ogród ku umówionemu miejscu, gdzie poufały jego Anglik, dżokej, czekał już z osiodłanym koniem. Po chwili dawał się słyszeć tentent w cwał pędzącego rumaka i tonął w oddali wraz z cieniem niecierpliwego jeźdźca.

Wiemy już, że hrabia był lubownikiem koni i doskonałym znawcą; nie potrzeba więc dodawać, że pomimo mili dzielącej pałac od folwarku, w kilkanaście minut spienione zwierzę stało spokojnie przywiązane do drzewa, podczas gdy pan jego tulił do piersi drżącą Nastusią.

Dziewczyna oddalona od miejsc, gdzie spędziła życie, w nowej siedzibie wkrótce wynalazła sobie schronienie przed wzrokiem ludzkim. Tam, skoro tylko słońce skryło się za lasy, z oczyma zwróconymi w siostrzany błękit, zaczepiała myśl o każdą chmurkę, kołysała się duszą z każdą gwiazdą, lub powtarzała w pamięci, opróżniając własną fantazję, różne piękne rzeczy, wyczytane w książkach, jakie hrabia dozwolił jej zabrać z pałacu.

Gdy się już ściemniało, a chór ptasząt i świerszczyków zawiódł nocne melodie, gdy księżyc coraz ostrzejszymi promieniami przedzierał się do niej przez zroszone liście jarzębin i leszczyny, a kwiaty drżały miłośnie na swych łodygach i dyszały balsamicznymi oddechami — Nastusia wtedy całą duszą przepadała w tej harmonji, dla niej tylko zrozumianej, ale do której brakowało jeszcze jednego tonu — najsilniej chwytającego za serce.

Tonem tym był znajomy tentent wypuszczonego konia. Zrywała się gwałtownie, byłaby chciała wybiedz naprzeciw jeźdźca, ale nie miała siły kroku naprzód postąpić; tchu jej nie dostawało, za lada poruszeniem zdawało się jej, że upadnie. Jakoż w istocie upadała w objęcia Wilczka.

Pierwsze wzruszenie przemijało. Nastusia zarzucała gościowi białe rączki na szyję, głowę tuliła do jego piersi i dopieroż mu rozповідаła o swoich małych niepokojach, o smutkach, o niecierpliwości, z jaką go wyglądała, o rokoszy spotkania, o tęsknocie odjazdu. Dobrze jeszcze na wiosnę; ale gdy minie lato i jesień, gdy słoty i mrozy nastąpią, szczęście jej wraz z kwiatami zginie pod śniegiem: nie przystoi bowiem na pana, aby pod nędznym słomianym dachem przesiadywał z wiejską dziewczyną.

Ostatnia uwaga szczególnie zastanawiała Wilczka. Rzeczywiście był to ważny wzgląd, ciężka przeszkoda. Hrabia nie

mógł długo nad nią się zatrzymywać: umyślił usunąć ją jednym skinieniem ręki, jednym brzęknięciem kiesy.

Młody panicz przesuwiał się po drodze życia jako zepsute dziecię ludzi i losu. Dotąd niczego sobie jeszcze nie odmówił, i dogadzanie to swoim popędem uważał za jedyne prawo bytu. W mgnieniu oka rozbliżyła w nim myśl zakończenia raz na zawsze tych schadzek, których niewygodną tajemniczość uważał za ubliżającą własnej godności. Nie chciał mieć widokregu niebios za świadka rozmów z Nastusią; nie wypadało mu otwarcie przyjeżdżać do folwarku; niepodobnie było sprowadzać dziewczynę do pałacu. Wilczek chwycił się jednego sposobu, jaki mu pozostawał.

O kilka staj od pałacu ciągnął się gęsty jodłowy lasek, przez środek przekrojony rzeczułką, która w jednym miejscu rozdzielała się na dwa ramiona i objąwszy małą wysepkę, po chwili znowu łączyła szparkie swoje nurty.

Ustronie to leżące w tyle ogrodów, w kierunku przeciwnym wiosce i zabudowaniom dworskim, zdala od wszelkich dróg wiodących do pałacu, było prawie niedostępnem i ztąd przez domowników nawet nieuczęszczanem.

Wilczek kazał brzeg rzeczułki i wysepki posadzać co najgęstszy krzewami, we środku zaś, jakby czarodziejską mocą, we dwa miesiące stanął domek, do którego Wiedeń dostarczył najwymyślniejszych wyrobów swego zbytku.

Hrabia miał wiele fantazji, wiele smaku, wiele miłości własnej; nie szczędził złota, nie cierpiał w niczem niezupełności. Pamiętał opisy różnych czarownych domków, wyczytane w romansach francuskich; gorliwie zajął się wszelkimi szczegółami, a gdy dzieło było gotowe, sam z podziwienia klasnął sobie i z uśmiechem sam w niem się przejrzał.

Wilczek wcale nie wspominał o swoich zamiarach Nastusi. Dopiero gdy domek stanął, gdy sprzęty, stroje i inne zbytkowe wymysły poprzychodziły z Wiednia — o zwykłej, późnej porze schadzek z dziewczyną, kazał tym razem zaprządz do kabrioletu i udał się do Polanki.

Wbrew zwyczajom angielskim obok hrabiego nie rozpierał się żaden dżokej, stosownie do rozkazu mody, trącając go w lewy łokieć wierzchem kapelusza. Wilczek jechał sam, z po-

wrotem dopiero tuliła się ku niemu biała, niewieścia postać. Ale koń snąć nie czuł podwójnego swego ciężaru, gdyż suwał sarniami skoki, strzygł uszami, parskał trwożliwie, jak gdyby złego ducha za sobą unosił. A przecież pan jego śród pędu dzwonił miłosnemi tylko słowy, namiętnie tylko rzucał spojrzenia na lice swojej sąsiadki, blade od srebrnych promieni księżyca, zroszone łzami i błyskające uśmiechem.

Wilczek wprowadził dziewczynę — śpiewnego skowronka — do złoconej klatki. Zawczasu cieszył się zadziwieniem, jakie w niej wywoła pierwszy widok przepychu — ona na nic nie zważała, ona jego samego tylko widziała przed sobą.

Nazajutrz w folwarku Krystyna wystraszyła się nieobecnością Nastusi. Z oczyma pełnemi łez, z sercem silnie bijącym, obiegła wszystkie kąty, w obawie, czyli córeczka nagle gdzie nie zasnęła podczas zwykłych późnych przechadzek. Nadaremnie szukała jej po całym ogrodzie, próżno rozchylała krzewy, wbiegała na pagórki — Nastusi nigdzie nie było.

Krystyna przypomniła sobie, że wczoraj w nocy, właśnie gdy domawiała pacierza, doleciał ją daleki turkot kół, które oczywiście nie należały do wiejskiego wozu. Stała wyprostowana, skamieniała, łowiąc dźwięki uchem, czyli jeszcze gdzie tego turkotu nie dosłyszysz — do koła było głucho. Wieśniaczka zalała ręce, zalała się łzami i padła na ziemię.

Za pierwszą boleścią biedna matka odgadła całą prawdę.

Na folwarku tego dnia nikt nie widział Krystyny. Wieczorem dopiero przyszła gospodyni, ale taka blada, taka znękana, jak gdyby tylko co podniosła się była z długiej choroby. Mówić nawet nie mogła. Zabrała swoją skrzynkę i dwa zawiniątka, poprosiła ekonoma o wózek i odjechała do swojej chaty, darowanej przez niehoszczkę starościnę, w Zawałowie, aż o trzy mile za Polanką.

Ludzie wieczorami jakiś czas gwarzyli o tym wypadku, namawiając się to z Krystyny, to z jej córki warjatki, która fartucha nawet obrąbić nie umiała; ale później, jak to zwykle bywa na wsi, gadali, gadali i wreszcie zaprzestali.

Wilczek odtąd żył w upojeniu szczęściem.

Z powszechnym podziwem znajomych, przed którymi udawał górujące w nim nadewszystko upodobania agronomiczne, choć gości chętnie przyjmował u siebie, sam atoli rzadko kiedy

wyjeżdżał ze wsi, lub jeżeli się wybrał w odwiedziny do którego z sąsiadów, pomimo usilnych błagań gospodarza, nie dawał długo się zatrzymywać, wracał czemprędzej do domu. Starzy obywatele widząc w nim tak przykładne zamilowanie do gospodarstwa, wystawiali go synom swoim na przykład; młodzież zaś ujęta gościnnością, wynosiła go pod niebiosa, podziwiała jego rozum, uprzejmość, szczególnie zaś wysokie światowe wykształcenie.

Wierni towarzysze zabaw nie potrzebowali długiego czasu do wytłumaczenia hrabiemu, że w istocie ludzkość powinna mu być wdzięczną za to, że się raczył urodzić; że los i natura rzeczywiście obrały w nim swego ulubieńca; że zatem zawdzięczenie temuż losowi i tejże naturze hojnym użyciem ich darów, powinno być jedynym jego celem.

Wilczek przypomniał sobie, że coś podobnego słyszał już był niegdys od babki; z roskoszą więc dał się unieść lekko go kołyszącym falom życia. Uczucie to własnej materialnej wartości tak dalece w sobie wydelikatnił, że najłżejsza przeciwność obruszała go do żywego. Wtedy, jeżeli za pierwszym potrąceniem nie mógł skruszyć zawady, jeżeli z kogo silnie bił nań duch oporu, hrabia tracił głowę: krew uderzała mu do mózgu, wyłamywał się z właściwej mu, ujmującej formy i gwałtownymi napady przypominał, że wraz z nazwiskiem, odziedziczył także nieszczęsne ojcowskie uniesienia.

Na szczęście, sposobność do podobnych zapędów zdarzała się nader rzadko. Świat słał się do nóg młodemu paniczowi; zkądiną zaś Wilczek częściej od ojca przypuszczał działanie zimnego rozsądku. Przywiązanie, jakim ludzie otoczyli go od pierwszych lat życia, więcej wypracowało w nim serce; charakter zaś epoki na ogień krwi więcej dorzucał mu lodów samolubstwa.

Skoro tylko przekonał się, że uczucie jego ku Nastusi nie było przelotnem, że urok dziewczyny długo mógł go zatrzymać, porwał ją jak sokół gołębicę, nie bacząc czyli nie zadławi jej w locie, i drżącą złożył na tej wyspie, którą wprzód ozdobił czarami swojej fantazji. Sumienie utwierdzało w nim słuszność postępku: czyliż bowiem nie miał prawa zrywania wszystkich kwiatów, nęcących go powabnemi barwami, zwłaszcza zaś

tych, które wyrastały na własnym jego gruncie. Dumny swoją zdobyczą, nieraz przyrównał się do natchnionego sztukmistrza Galatei, który z nicości wydobyl posąg, rozognił go płomieniem uczuciem i w żywe zamienił bóstwo. Wilczek kochał dziewczynę miłością artysty: żaden najmniejszy rys doskonałej jej twarzy nie uszedł jego podziwieniam; wzroku mu czasami nie starczyło do objęcia jednym rzutem wytwornych kształtów Nastusi — perły, którą hrabia, znawca na klejnotach, stosownie do jej wartości, kazał w złoto oprawić.

Wprawdzie niektórzy ze znajomych, a między tymi Juljusz, odkryli lub domyślali się tajemniczych przyczyn upodobania Wilczka w życiu wiejskiem; doznając atoli tysiącznych usług, nie znachodząc go, żaden na swojej drodze, przytem ujęci czarem, z jakim młody panicz umiał chwytać za serca, nie starali się podnosić zasłony, jaką tenże gęsto przed ich oczyma rozwieszał.

Tak minął pierwszy rok pobytu Wilczka na wsi.

Nastusia dziwnie wypiękniała. Dla niej zamiar ten szczęścia owionięty cichym jakimś smutkiem, wcale nie był niespodzianym. Przypominała sobie dokładnie, że dawno, bardzo dawno temu, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, różne sny na nią zstępowały, a w tych snach widziała wierne odbicie terażniejszego jej bytu; że wysłuchiwała gwaru kwiatów między sobą, a w tym gwarze dochodziły ją dźwięki podobne do tych, jakimi się poila, gdy młody pan złożywszy głowę na jej piersiach, podzwaniał jej półgłosem miłosne wyrazy.

Życie dziewczyny roznrutowało się na dwa strumienie: jeden niewysłowionego szczęścia, wartko pędzący chwilami przetytymi z kochankiem, drugi cichego smutku, oczekiwania i tęsknoty za umiłowanym.

Nastusia, oprócz Wilczka i kobiety zdala przywiezionej a przeznaczonej do jej usług, nikogo więcej nie widywała.

Odosobienie to wcale nie było jej przykre; przeciwnie, za nic w świecie nie byłaby go przerwała.

Trafem urodzona pod wieśniączą strzechą, musiała porzucić życie niezgodne z naturą jej ducha. Z rodzinnych miejsc uniosła tylko prostotę i raj złoto-błękitnych wspomnień jakiegoś bytu, którego pamięcią nie mogła zasięgnąć, a który jednak

w chwilach oderwania od rzeczywistości wyraźnie rysował się przed jej umysłem.

W długich, samotnych godzinach Nastusia wracała do dawnych upodobań i z uniesieniem chwyciła książki, jakie Wilczek na jej prośby czasami z miasta przywoził.

Skoro powieść lub zabawna historia wpadała jej pod rękę, dziewczyna cicho przebiegała ją wzrokiem, a licem odbijała o wrażenia, o jakich autor marzył dla swoich czytelników. Niekiedy odrywała oczy od pisma i zatapiała w błękitach, jak gdyby pragnęła uwić z obłoków postacie świetnie promieniejące przed jej wyobraźnią, lub łzami zalewała się, nie mogąc odwrócić śmiertelnego ciosu, pod którym ginął piękny jaki bohater, zabity przez złych ludzi za to, że był dobry, szlachetny i męzny.

Gdy inną książkę brała do ręki, książkę ułożoną jako piosenki bywają układane, gdzie każdy wiersz zaczynał się od wielkiej litery, Nastusia przerywała milczenie i jakimś rozkołysanym głosem, nie podobnym ani do śpiewu, ani do mowy, łowiła tę lubą harmonję ujętą wieszczem natchnieniem, która wtedy nawet, gdy wyrazy znikły z przed oczu, długo jeszcze dźwięczała jej w uszach, głaskała po sercu, bawiła się z pamięcią. Dziewczyna o zmierzchu wyszedłszy według zwyczaju błaznić nad rzeczką, z tychże samych tonów powiązanych własnem jej czuciem, układała i nuciła jakieś swoje piosenki, takie dla niej ukochane, że po całych dniach i nocach jej nie opuszczały, a takie wdzięczne za uśmiech, z jakim się nad nimi dziwowała, że później na długo nieraz rzucone w zapomnienie, na pierwszy wyzyw stawały przed jej pamięcią, zawsze jednak różowe i świeże.

Nastusia tem bardziej je polubiła, że bawiły Wilczka, gdy mu je powtarzała, lubo młodzieniec zawsze jej przymawiał, że musiała gdzieś ich się wyuczyć, i dziwił się, że przy doskonałej pamięci do wierszy tak łatwo zapominała, z kąd ich się wyuczyła. On niemi się bawił — ona rada na tem poprzestawała i nie zachodziła z nim w dłuższe spory.

Dziewczyna odosobniona od towarzystwa, nie miała z czego wdawać się w rozmowy, uwite z kombinacji codziennych stosunków; widywała jednak swój świat daleko obszerniejszy,

bądź z przeszłości wywołany jej wyobraźnią, bądź też osnuty na tle własnych wrażeń, ulatujących gdzieś daleko za obrębem rzeczywistego życia. Rosła, promieniała, skrzyła się natchnieniem, ile razy zaczepiwszy myślą ubiegłe wieki, jeła rozpowiadać, jak to musiały dziać się uroczyste wypadki w jej ojczyźnie, jacy to poważni królowie w złocie i w purpurze zasiadali na tronie; obok nich hetmani wsparci na buławach i biskupi w infulach, wojewody różne i rycerze, ci w szubach, ci w deljach, ci w siatkach stalowych. Aż tu nagle otwierały się podwoje i wkraczali wojownicy w hełmach ze strusiami czuby, w srebrnych pancerzach, i do nóg składali królowi chorągwie. Te na Szwedzie, te na Turku, te znowu na Moskalu, a te brzydkie i poszarpane na Niemcu zdobyte; kolejno wykrzykiwali rycerze, a król z uśmiechem podpierał się pod boki, z góry na świat poglądał i proporce biskupom do ozdoby kościołów odawał.

Gdy tak Nastusia, w zupełnem zapomnieniu o sobie, zaczęła czasem wyprawować, Wilczek, który z początku słuchał jej z żartobliwą uwagą, powoli czuł się porwany niewytłumaczonym czarem: wstępował w czarnoksiężskie koło natchnień swej towarzyszki. Krew w nim kipiała. I on także poczuwał w sobie siłę wydarcia wrogowi chorągwi, rzucenia się po nią choćby w nieprzeliczone zastępy.

Podobne chwile nie długo trwały. Wnet, jak gdyby upadał pod ciężarem wymarzonej praocjowskiej zbroi, z omdlałej dłoni wypuszczał senny miecz naddziadów, głośnym śmiechem przerywał opowiadanie Nastusi, zamykał jej usta pocałunkiem, nazywał szaloną, warjatką, gwizdał myśliwską piosnkę lub wiedeńskiego walca. Sam też żywością swego dowcipu nie zawsze zdołał rozweselić dziewczynę; na widok przelotnych a wymuszonych jej uśmiechów, tracił wesołość, zmyślał roztargnienie i czempredziej wracał do domu.

Wilczek ważąc własne zachcenia za najwyższe prawo dla otaczających, niecierpliwił, ile razy ośmielono się nie zgadywać jego woli. Niebawem zdawało się mu, że wyuczył się już wszystkich rozmów Nastusi na pamięć, że dla znalezienia jakiegokolwiek przyjemności w towarzystwie z wieśniaczką należało czasami od niej się oderwać i w tym celu coraz częściej wy-

jeźdźał do sąsiadów na polowania, do Lwowa na zapusty, do Wiednia na konne gonitwy.

Środek ten okazał się zupełnie wystarczającym: Wilczek wszędzie przewybornie się bawił.

Otoczony czeredą młodzieży, która prześcigała się w pochwałach jego wyborowej natury, jego prawdziwie pańskiego sposobu wydatkowania, zachwycającej gwałtowności charakteru, średnio-wieczno francuskiej łatwości, z jaką za najlżejszą przemówką, porywał za pistolet lub szpadę — młody panicz nie szczędził żadnej ofiary dla swojej miłości własnej, zapomniał o rozmowach w małym domku i o wiejskiej swojej marzycielce. Przyszło do tego, że nie mógł sobie darować straconego na wai czasu, i skoro wracając nad rankiem z balu lub od zielonego stolika, przypominał sobie czasem Nastusię, wtedy dla zagłuszenia natrętnych, sumiennych głosów, dawał znak swojej pamięci, posyłając jej jaki wykwintny podarek. Postępowanie to dowodziło, że hrabia miał delikatne sumienie.

Samotność, matka zwątpienia, smutków i czarnych podejrzeń, z każdym dniem większy ciężar waliła na serce biednej dziewczeczki. Dla niej świat cały zwierzał się w jednej postaci; teraźniejszość, przeszłość, jedyny cel życia, skupiały się w jednej osobie. Ona tracąc z oczu, a bardziej jeszcze z czucia, towarzysza lat swych dziecinnych, istotę, która wyrwała ją z nicości i uniosła w kraj upajającego szczęścia, widziała się strąconą w przepaść bez dna i bez światła. W piersiach brakowało jej oddechu, w oczach się ćmiło: rada byłaby zatrzymać się, oprzeć na czym — ale Nastusia mogła tylko zawisnąć na szyi Wilczka, mogła tylko wesprzeć się na jego ramieniu.

Pierwsze dni po każdym wyjeździe hrabiego przepędzała zwykle we łzach, ostatnie dźwięki słów jego grały jeszcze w jej uszach. Powoli nie stawało łez: Nastusia zapadała w głuchą tęsknotę, skrywała twarz w dłoniach, długie godziny trawiła w bezwładnem milczeniu. Chmury trosk i udręczeń coraz gęściej zachodziły jej na umysł, czerniał widnokrąg uczuciowego życia — aż wreszcie nagle rozdzierała go błyskawica podejrzenia.

Wnet złe myśli jako krwawe upiory zaludniały bezsenne jej noce, szeptały w poduszkach, unosiły się nad głową, siadały

na powiekach, muskały po twarzy nietoperzowemi skrzydły, powtarzając ciągle jedne i teź same słowa: « On ciebie nie kocha; on cię dla innej porzuca — znudziłaś go — odejdz; lodem dla niego twoje pieśczoły; zbrzydłaś mu! —

Nastusia zrywała się jak szalona, załamywała ręce, wybiegała z domku i cała zadyszana stawała wryta nad brzegiem rzeczki, obejmującej dokoła wysepkę.

Dla czego błędnemi oczyma wpatrywała się w najgłębszą toń? — Trudno było odgadnąć. Dziewczyna sama nie zdawała sobie sprawy z swoich zamiarów; smutki ją tak wodziły, rozpacz nosiła ku swoim ofiarnym ołtarzom.

Szczęście chciało, że ile razy Nastusia ostatnie siły wyteżała do zniesienia szarpiących ją myśli, ile razy duch jej wzmógł się do najwyższego tonu boleści, tyle razy Wilczek, pędzony niespodzianym wypadkiem, lub niepojętą koniecznością, nagle wracał do domu.

Wprawnem okiem wnet spostrzegał ślady, jakimi smutek każdy dzień rozłączenia zapisywał na twarzy dziewczyny. Rzewny jakiś żal chwycił go za serce. Hrabia tulił Nastusię do piersi i okrywał ją pieśczołami. Czarodziej wiedział dobrze, że na swoich ustach przynosił jej życie, wesołość i rumieniec.

Skoro jednak minęły chwile pierwszych uniesień, Wilczek znalazłszy się sam z sobą, stawał zdjęty trwogą, gdy pomyślał, jakie to warunki niezbędnymi były do życia Nastusi. Widział się przykutym do kobiety równej mu wiekiem, do istoty, której na słońce stosunków towarzyskich nie mógł wprowadzić, którą trzeba było kiedyś porzucić, czyli wyraźniej mówiąc — dodawał cichym głosem — zamordować ją w obliczu praw bożych.

W podobnych przystępach zimnego rozsądku i rachuby przywoływał na pomoc cały gwar otaczającej go teraźniejszości, głuszył nim zgrzytliwe odgłosy przeczuć; im zaś szczelniej zamykał serce, tem szerzej otwierał dłonie, i dla przekonania Nastusi o swoim przywiązaniu, dla omamienia samego siebie, bawił umysł wynajdowaniem dla niej tysiącznych zabytków. Nie wątpił on, że tym sposobem dawał dowody najczystszej miłości.

Nastusia obojętnie patrzyła na podarki: kaleczyła się kosztownemi ca kami, wygładzony kruszec raził jej oczy, dobór kolorów nigdy nie przypadłał do smaku, żaden przedmiot w samotności nie błyszczał jej miłym wspomnieniem.

Rozpatrzywszy się głębiej w przyczynach rozstrojenia, silnie już między młodą parą kielkującego, nie trudno było główną z nich wynaleźć w sposobie obejścia się hrabiego z Nastusią.

Postać dziewczyny, prostota jej serca, prawda świecąca z każdego słowa, widocznie niepokoiły Wilczka. On, dla którego igraszka z własnem życiem była zwykłą rozrywką; on, który dziwił towarzyszków zuchwałością, z jaką stawiał czoło najmniej przewidzianym wypadkom — w obecności Nastusi, pod wpływem jej spojrzenia, często nie mógł wyszukać odpowiedzi: mieszał się, doznawał niewytłumaczonej obawy.

Później dopiero, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, żył się na samego siebie i półgłosem zaczął nazywać jarzmem stosunki, których sam pierwszym był twórcą.

Czysty duch Nastusi panował nad tem dzieckiem odwiecznej pańskiej krwi, tłoczył je ku ziemi dziwną potęgą żywotności, głębią uczucia, jakiej nie dostawało potomkowi starożytnej rodziny.

Kto wie, czyli Wilczek nie wyobrażał w sobie żywiołów zużytych, schodzących już z pola, na miejscu których dobywały się nowe, od wieków przysądem, bezprawiem i nędzą dławione ku ziemi, pełne jednak dzielności i siły, przygotowane do samowładnego wystąpienia na pole narodowego życia.

Ostatni wyjazd Wilczka trwał najdłużej.

Każdy dzień przepędzony zdala od Nastusi, dorzucał zarzewia na ognisko jego niepokoju; z każdą chwilą potrzeba mu było szukać na zewnątrz siebie coraz więcej środków do wtłoczenia w zapomnienie obrazu tęskniącej za nim dziewczyny. Cisnął więc cugle między unoszące go namiętności, zwołał towarzyszków, uciekł przed światłem słońca, rzucił się w gorączkowe życie nocy, i przy blasku jarzących płomyków, ze spieczonemi usty, z zadyszanaą pierśią, zatapiał wzrok w zielonym stoliku.

Innym razem szukał wytchnienia w parnym balowem powietrzu, lub z zaczerwienionemi oczyma wznosił spieniony kielich

na część podziemnym bogom, w towarzystwie jak gdyby umyślnie przez tych ostatnich na ziemię zesłanem.

W istocie, życie to skrzyło ogniem piekielnym, ogniem, który podgryzłszy naprzód spróchniałe podwaliny szlacheckiej, zmaterializowanej Polski, trawił teraz pojedyncze postacie, przetapiał teraźniejszość i ziemię naszą zamieniał na kupę popiołów, w kolebkę dla przyszłego Feniksa.

Czas jednak było wracać do domu. Uwagę tę nie serce powtarzało Wilczkowi, ale głos daleko silniej przemawiający — stan jego interesów.

Zamiar łatwiejszym był do zwłoki, niż do wykonania. Panicz zwlekał więc od dnia do dnia, nie zważał na kwestję majątkową, która z początku niby niedostrzeżona plamka na widnokregu jego bytu, rozprężyła się w coraz groźniejszą chmurę. Hrabia byłby daleko dłużej jeszcze zachwycał Lwów swoją obecnością, gdyby nie sprawa pojedynkowa, gwoli której ujrzał się zmuszonym do bezzwłocznego opuszczenia miasta.

Wilczek tym razem więcej niż kiedykolwiek wiózł dla Nastusi podarków. Zniewolony do rozstania się z przyjaciółmi, w bachicznym zapale zaprosił ich wszystkich do siebie, i w kilkanaście godzin po strzeмиennym kielichu zajechał do domu.

Na nieszczęście nie mógł natychmiast pobiedz na wysepkę: wpadł od razu w ręce rządcy, który oczekiwał go z niecierpliwością, pragnąc usprawiedliwić się ze zwłoki, jakiej pan hrabia kilkakrotnie doznał w przesylce żądanych funduszów.

Wilczek cierpliwie wysłuchał długiego sprawozdania, tem mniej ciekawego, że w żadnym szczególe nie znalazł dla siebie pociechy; poczem odprawił niewczesnego doradcę i spiesznym krokiem ruszył do Nastusi.

Dziewczyna stała na progu; odgłos znajomych kroków oddawna ją był doleciał: Gdyby Wilczek był szedł równie prędko jak biło jej serce, oddawna byłaby mu już zawisła na szyi.

— Mój panie! — rzekła przytłumionym głosem, cała drżąca jeszcze od pocałunku, jaki młodzieniec złożył na jej wybladłych jagodach — biedna ja, przecież się doczekałam.

— Mój panie? — przerwał Wilczek. — Zkąd znowu, moja luba, tak mię tytułujesz? Ty raczej jesteś prawdziwą moją

panią, a ja przecież po imieniu cię tylko nazywam. Czy mię już nie kochasz, Nastusiu? — mówił dalej, wpatrując się w jej błękitne oczy i prowadząc ją do ostatniego pokoiku, który oświetlony, starannie zdobny w kwiaty, zdawał się oczekiwać jego przyjęcia.

— A cóż ja mam innego do roboty na świecie? — odrzekła rozplamieniona tem zapytaniem dziewczyna. — Powiedziałam mój panie, dla tego że jak cię długo, mój miły, nie widzę, zdaje się mi, że zapomniałeś już o mnie, że ci naprzykrzyła się wieśniaczka z twojej wioski. Wtedy sama nawet przed sobą, kiedy myślę o tobie, panem cię nazywam, i kiedy cię znowu oglądam, nie śmiem po dawnemu się odezwać.

— Szalone dziecko! Nie pojmuję, zkąd ci podobne myśli przychodzą do głowy, albo może i za nadto pojmuję? Moja w tem wina: zostawiam cię samą jedną, nikogo nie widzisz, z nikim nie rozmawiasz, nudzisz się więc.

— Nudzę się? O, nie! Ja nigdy się nie nudzę, ja nigdy nie jestem samą.

— Jakto, Nastusiu? Któż tu u ciebie bywa?

— Nikt nie bywa, nikogo tu nie ma, oprócz kwiatów, które co poranek mają coś nowego do powiedzenia, oprócz tych słów, jakie mówisz przy pożegnaniu, a które zostają po tobie w tym domku, brzęczą twoim głosem, świecą twojemi oczyma, coraz inaczej, a zawsze tak lubo dla mnie się układają, choć wyraźnie boją się mego wzroku, bo dopiero gdy zamknę oczy, to zaczynam je słyszeć; dopiero gdy nie patrzę, to ciebie widzę, ale tak dobrze, tak blisko widzę, jak teraz, gdy tu na mojem sercu wspierasz drogą twoją głowę.

— Trzeba przyznać, że bardzo ci z tem wygodnie: wszystko bowiem jedno, czy jestem tu, czy gdzieindziej.

Nastusia nic nie odpowiedziała.

— Odnieśli ci dwa pudełka i paczkę, przywiezione ze Lwowa?

— Odnieśli.

— I nic mi nie mówisz? — Nie ganisz, nie chwalisz mego wyboru?

— Nie otwierałam jeszcze pudełek.

— Zgaduję; rzuciłaś się najprzód na paczkę. W istocie, co

za szkoda, że nie urodziłaś się chłopcem? Z tą namiętnością do książek wykierowałabyś się na pierwszego w Galicji bakałarza, a może na samego księdza biskupa. Wreszcie bez tego przekonany jestem, że i dziś więcej umiesz od naszego proboszcza.

— Nic ja nie umiem, niczego się nie nauczyłam; co wiem, to sama z siebie. Mądrzy ludzie wiedzą to, o czym nie myślą, na co nie patrzą, a ja wtedy tylko coś wiem, kiedy widzę, albo kiedy bardzo się zamyszę. Tak teraz myślę sobie, a jednak nic nie wiem, przecie zgaduję.

— Cóż takiego, Nastusiu?

— Oto że musiałeś chorować w tym przeklętym Lwowie; zmieniłeś się, zbladłeś, pochudłeś nawet trochę.

— Nie spałem przez kilkanaście nocy. Dziwna rzecz! w mieście cierpię zwykle na bezsenność.

— Mój Boże! — zawołała z uniesieniem dziewczyna — i ja nie byłam przy tobie, ja, która cię tak doskonale usypiam moimi opowiadaniem,

— Wierzaj mi luba, nie byłabyś tam na nic się przydała. Wreszcie dziś nie czuję już zmęczenia, i przy tobie znowu odżyję.

Ostatnie słowa wymówił Wilczek takim głosem, że Nastusia zdrząła. Żadne spojrzenie, żaden uśmiech nie towarzyszył jego wyrazom: znać było, że nie sercem, ale ustami tylko wypowiadał suchą grzeczność. Opuściła w zamyśleniu rękę, którą bawiła się z jego włosami, i umilkła.

Hrabia pierwszy przerwał milczenie.

— Otóż to — mówił z goryczą — tak zawsze dzieje się ze wszystkimi nadziejami. Nawał przeklętych interesów zwlecze człowieka do miasta; trudy, kłopoty, frasunki, zewsząd go obsiadą, skołatają mu zdrowie, i kiedy nareszcie szczęśliwy potrafi im się wydrzeć, połowę zostawiając Opatrzności, kiedy chciałby skrzydeł sobie pożyczyc, aby czempredziej wrócić do domu, w nadziei, że tam jedna chwila całą przeszłość mu wynagrodzi, wtedy w upragnionym tym domu kwas podają mu zamiast słodyczy. Zawsze, jak widzę, przyjechałem; nudzi cię moja obecność. Ile razy na mnie spojrzysz, mileczysz i smutniejesz; uśmiechy twoje i wesołość zachowujesz sama dla siebie, kiedy nie ma mię w domu. Niech wyjdę za drzwi, jestem pewny że

wnet twarz odmienisz. Milej ci w samotności z twojami rozszalałami bredniami, które kiedyś do szpitala obłąkanych cię zaprowadzą.

Nastusia zerwała się, uklękła przed Wilczkiem i złożyła obie ręce jak do modlitwy.

— Mój panie, mój drogi, mój kochany! — mówiła drżącym od łez głosem — w czymże ja tak zawiniłam? Że trochę smutno wyglądam, to dla tego, żem tak długo czekała — a teraz mało się odzywam, bo nie mogę ochłonąć z szczęścia; skoro mówię, to nie mogę tyle się napatrzeć, a ja chcę patrzeć tylko i patrzeć na ciebie. Zaraz, poczekaj, będę weselszą, tylko przemów do mnie jak dawniej — prawda, jam winna — ale ty taki dobry — ty mi odpuścisz.

Wilczek uczył, kto był prawdziwym winowajcą. Własnego to ducha odzwierciedlenie chłostał on w niewinnej wieśniaczce. Byłby rad chciał przysądzić sobie słusność, ale oczy Nastusi wzniesione do góry, tak przezroczyście lśniły się dwoma brylantowymi łzami, rozchylone jej usta tak wdzięcznie i pokornie dopraszały o łaskę, że zaświecała w nim jeszcze iskra pierwotnego przywiązania; że potęgą wspomnień odepchnął bijące nań złe wpływy. Porwał dziewczynę w objęcia i dalsze żale przerwał pocałunkiem.

Były to ostatnie pobłyski uczucia, znanego w psychologii pod nazwiskiem miłości; były to ostatnie źdźbła tęczowego pyłku, poderwane wichrem rzeczywistego bytu z wonnego kwiecica pierwszych marzeń człowieka.

Wilczek prędko pozbył się tych ulotnych złudzeń. Żył przez pewien czas przyzwyczajeniem, nuda nareszcie i to w nim wytrawiła; podczas gdy wymogi światowe dniem i nocą naśmiewały się z niego, szeptały mu do ucha złośliwe ucinki, lub pokazywały rozsądnie praktyczną stronę życia, i w razie niepośluszeństwa zagrażały zgubnymi skutkami.

Oczywiście, na drodze samolubstwa i przesądu należało zakochać się w samym sobie z równą namiętnością, z jaką Wilczek niegdyś pokochał był siebie w Nastusi.

Gdyby hrabia umiał być cierpieć w drugich jako doskonale potrafił w nich się uwielbiać, bez wątpienia nie byłyby mu przechodziły przez głowę myśli, które niepojętym wpływem

krw ścinały w żyłach jego towarzyszki. Ale natura odmówiła mu możebności tej antytezy, a teorie uzbierane w praktycznym zapatrywaniu się na świat, wyobraziły mu z błżeńskim trzepeem tak miłość jako wszelką egzaltację.

O pierwszym uczuciu hrabia kilkakrotnie i stanowczo wypowiedział swój sąd w różnych wiedeńskich i lwowskich towarzystwach — zwłaszcza też raz na głowę poraził kilku idylowych zwolenników, i to nawet (rzecz szczególna!) w skutek szerokiej rozmowy nad świeżo pojawiającym się systemem doktora Hanemana.

— Homeopatyczne dozy miłości, jakich świat sobie dziś nawzajem udziela — mówił Wilczek do swoich słuchaczy — a które jednak wystarczają do wywołania najgwałtowniejszych skutków, naprowadziły zapewne uczonego Eskulapa na ten system zgubny dla aptekarzy. Nie myślę jednak, aby wynalazek dał się do nas zastosować, chociaż, mojem zdaniem, zasada się on na niezaprzeczonej prawdzie, podobnie jak miłość, która niezaprzeczenie jest najświętszem i najwłaściwszem człowiekowi uczuciem. Gdybym atoli chciał zapewnić powod nie dwom ludziom, z których jeden byłby zdolny na idealnego kochanka, drugi zaś owładniętym niepohamowaną żądzą praktykowania homeopatji, musiałbym cofnąć dla obu ziemię o kilka tysięcy lat, w owe czasy, gdy Astrea i wiek złoty panowały na ziemi.

«Piękne to były czasy! — powtarzam obyczajem starych ludzi, którzy zawsze do przeszłości się odwołują. Człowiek wolny od wszelkich wpływów światowych, pił się mlekiem i miodem, żywił owocami, nie potrzebował o nic się troszczyć, co mu dawało swobodne sumienie i krew niesłychanie czystą. Jasna rzecz, że w tym błogosławionym stanie o niczem innem nie myśląc, na widok kobiety, całą duszą garnął się ku niej, nią się tylko zajmował, kochał, jako dziś, niestety! w dramach tylko i w romansach kochają. Kochał tem bardziej, że umysł miał swobodny i zdrowie po temu. Skoro zaś biedak czasami trochę zachorował, lada kropelka, lada pyłek lekarski do sił go przywracały.

Tak działo się w bajecznej owej epoce. Dziś, gdy nie ma prawdziwych ludzi, tylko niedobitki ludzkości tułają się po świecie, dziś gdy puszka Pandory w miljonkroć rozmnożyła, do

nieskończonej potęgi nędze swoje podniosła — dziś, gdy dla podniesienia fizycznego i moralnego bytu wyczerpaliliśmy tysiące środków wysyłanych kolejno na egzekucję do ciała i duszy, aby jedno i drugie do ruchu pobudzić — dziś jedno jest tylko ustronie, gdzie należałoby pomieścić homeopatów i czułych kochanków, zwłaszcza gdyby koniecznie upierali się, że działają w dobrej wierze. Ustroniem tem — dom czubków.»

Upuściwszy ostatni frazes, hrabia bawił się od niechcenia złotą galką swej laski, szyderczo poglądał na mężczyzn, kobietom rzucał spojrzenia, w których pokazywał, że do nich należało zdanie to w nim odmienić.

Podobne teorje z początku żartem rozprowadzane jedynie w celu oryginalnego rysowania się przed tłumem, traciły zwolna ulotny swój charakter i przechodziły w krew, tak dalece, że Wilczek ani się spostrzegł, jakim sposobem sam przed sobą chcąc czasami czysty odgłos z serca wydobyć, odbierał w odpowiedzi zimne, metaliczne dźwięki, wyraźnie mu powtarzające, że wszystko co nie grzało, nie upajało, nie łechtało podniebienia w fizycznym świecie, nie pochlebiało zaś miłości własnej w moralnym, było zgorączkowanym wymysłem marzycieli, utopją, którą według upodobania można było sobie ułożyć, byle tylko społeczeństwo, ślepem przywidzeniem zawsze wiedzione, chciało w niej zasmakować.

Zdarzały się jednak chwile, gdzie sam na siebie wpadał w szalone zapędy gniewu. Została mu pamięć pierwszych wrażeń młodzieńczych, wrażeń, które niegdyś pierś mu przepelniały, wprowadzały w czarowny kraj zachwycenia, a których dziś żadnymi środkami nie mógł zwołać napowrót.

Widok Nastusi naprowadzał go zwykle na podobne myśli. Wilczek uciekał wtedy wewnątrz siebie, biegł rozgartywać popioły dawnych uczuć, czyli nie tli gdzie jeszcze jaka zapomniana iskra dawnego ognia. Przypominał sobie wyrazy, jakimi dawniej do niej przemawiał, powtarzał je tym samym głosem, jak gdyby w dźwięku słowa szukał tej siły tajemniczej, która wywierała mu już z serca.

Rysy twarzy miał dziwnie posłuszne; promienił je uśmiechem lub rozglądał w obojętność, bez względu na wewnętrzne usposobienie. W tej chwili najbieglejszy fizjonomista, widząc

go tak swobodnie wspierającego głowę na białym ramieniu Nastusi, sam Lawater nie byłby odgadł, że hrabia krył w sobie tłum myśli: jednych zaprzątniętych wyłącznie majątkowymi kłopotami, innych, przysiadłych do różnych wspomnień ostatniego we Lwowie pobytu, a wreszcie i takich, które znudzone, bezbarwne, mogły tylko ziewaniem objawić się w formie zmysłowej.

Tak minął miesiąc.

Wilczek trawił poranki na posiedzeniach z rządcą, poczem zwykle siadał na koń i pędził w pole, nie wiadomo czy w gospodarskich celach, lub też aby zatłumić niepokoje, jakie budził w nim rozchwiany stan jego interesów.

Hrabia szeroko używał życia, ale brał je ze strony praktycznej; złudzeniami żadnymi nie poił się i w nie nie wierzył. Był to jeden z ludzi najmniej wyrachowanych, chociaż doskonale znał się na rachunkach. Długo nie wdawał się zupełnie w swoje interesa, powierzył zarząd dóbr agronomowi na ten cel ze Szląska sprowadzonemu; osobiście zaś postanowił nie dać się oszukać przez czas, i sam raczej zużyć młodość, niż pozwolić, aby wiek kropla po kropli mu ją wysączył. Kwestję majątkową odłożył do pojutra tego święta młodości, które zamierzył był na pół życia rozciągnąć. Natenczas z równą wyłącznością miał oddać się skupianiu grosza do grosza.

Na nieszczęście święto nie dobiegało jeszcze południa, gdy niespodziany wypadek zatrzymał nagle tryumfalny pochód jego kapłana.

Szląski agronom oznajmił hrabiemu, że niektórzy wierzycciele gwałtownie się odgrażali.

Wilczek kazał sobie podać rachunki, inwentarze, i wykazy.

Pomimo objaśnień rządcy, który wszelkimi sposobami pragnął mu rzeczywistość zasłonić, jednym rzutem oka zmierzył otchłań, w jaką pędziła go własna lekkomyślność.

Przejażdżki do stolicy, pobyt w Wiedniu, podróże do Lwowa, gonitwy, gra, przyjaciele, uczty — mniej więcej w żydowsko-niemieckich nazwiskach pozapisywały swoje wspomnienia w księgi hipoteczne dóbr pozostałych po ojcu Władysława i po babce staroście.

Nadto literatura ulotna, czyli doręczne weksle, przedstawiały znaczną rubrykę.

Należało zapobiedz oczywistemu niebezpieczeństwu.

Pierwszą drogą ku temu celowi wiodącą, było przykrócenie trybu życia, zaparcie się tych uciech i wystawnych roskoszy, jakich młody panicz był wcieleniem, najwyższym wyrazem. Z pana trzeba się było przecucić w hreczkosieja; z przywódcy młodzieży, z Amfitrjona tej nieustannej biesiady, wypadało zejść na obojętnego postrzegacza, przybrać całkiem podrzędne w społeczeństwie stanowisko.

Wilczek po długim namyśle stanowczo odepchnął ten środek.

— Liche trzciny — mówił sam do siebie — gną się za lada powiewem; w szlachetne drzewa grom uderza, ale ich nie ugina.

Hrabia czuł w sobie uroczystą powagę dębu. Zalety, jakimi błyszczał na świecie, czyliż na to przypadły mu w podziale, aby miał pod brzemieniem ciężkiej pracy zadławić je na wsi? Czyliż upodobania, popędy, smak wykwintny, prawdziwe pańskie zamiłowanie w zbytku, natura w nim na to zaszczerpiła, aby nikczemnie je powarzyć w samotnych, wiejskich kłopotach? Widocznie była w tem pomyłka losu, którą należało sprostować, nie gwałcąc w niczem wrodzonego charakteru.

Dla pogodzenia głosu natury z wymaganiami wierzycieli, należało tych ostatnich zaspokoić, w niczem przyjętego trybu życia nie zmieniać, nadal jednak majątkowo tak się urządzić, aby nie dopuszczać więcej podobnych sprzeczności między dochodami a usposobieniem.

W tych terminach Wilczek postawił sobie do rozwiązania zagadkę.

Plan atoli chybiał raz w założeniu, to znowu we wnioskach: rwały się gałązki, pękały składki jedna za drugą. Wilczek jasno przewidywał, że jeżeli nie ugnie się, zginie — a poprzysiągł był za żadną cenę się nie ugiąć.

Troski truły mu spokojność.

Uchylony z pod widoku ludzi równego mu położenia, zrzucał ujmującą maskę obejścia: za lada wykroczeniem buchał

niepohamowanym gniewem, za lada słowo odpowiedzi wpadał w szalone zapędy.

Domownicy drżeli przed nim; wieczorem czeladź w kuchniach dziwy wyprawowała o uniesieniach hrabiego, wspominając pokątnie tajemniczą śmierć jego ojca.

Nastusi każdy dzień więcej ciężaru przywalał na piersi; ciasno jej było w domku, duszno na wolnem powietrzu. Dreszcz ją zimny przejmował, gdy wieczorami po krótkiej, ucinanej rozmowie, Wilczek w roztargnieniu wpatrywał się w nią szklistem i oczyma, jak w obojętny przedmiot.

Innym razem dostrzegłszy ślady łez, hrabia ukłuty pod serce wyrzutem sumienia, porywał ręce Nastusi, okrywał je gorączkowemi pieśczoćmi, nazywał językiem pierwszej miłości, śmiał się gwałtownie i często szukał upodobania, a może i ulgi, w licznych kielichach.

Po jednym z takich wieczorów, Wilczek zwyczajem swoim leżał na kobiercu u stóp wieśniaczki, głowę wsparł na jej łonie i rad, że uniknął twarzą śledzącego wzroku dziewczyny, jął myślał przeżuwać zwykle wędzidło trosk i zabiegów.

Północ już dochodziła, zdejmując nerwom człowieczym ostatnie obrączki. Nastusia ukołysana jedwabnemi słowami kochanka, jako te nocne kwiaty, które księżycowi tylko rozchylają puhary, zapomniała o troskach, ku gwiazdom rzuciła myśli i wpadła w zwykłe marzenia, to głaszcząc srebrnym a półcichym głosem wywołane fantazją obrazy, to przyzywając je uśmiechem i spojrzeniem, gdy znikają z przed oczu jej ducha, gdy tonęły gdzieś w mglistej przestrzeni, i niby boska prządka niżąc kwiaty i perły, iskrzące kamienie i barw tęczowych miljony, rozścielała przed kochankiem fantastyczne zawoje swoich wdziań.

Ostatnie tylko akordy tej muzyki słów, te, w których mimowolnie wybija się głos tajemny przeczucia, sama nie pojmując dla czego, urywała zgrzytliwie, boleśnie, tak, że cień od nich padał długim, kirowym słupem na duszę jej przerażoną niespodzianym rozdźwiękiem.

— Chorą masz piękną twoją głowę — mówił do niej Wilczek — ale tak miło chorą, że gdybym cię mniej kochał, rad-

bym abyś nigdy nie wyzdrowiała. Śmierć nazywasz liljowym snem; zaprawdę musisz bać się tej kościstej jejmości, skoro jej tak pochlebiasz.

— Bać się? — Ja niczego się nie boję, chyba tylko — tak — tak; tego jednego się boję.

— Czegoż takiego?

— Powrócić tam — do chaty, gdzieby mi drzwi nikt już nie otworzył.

Wilczek nie odpowiadał.

— Mój luby panie! Nie śmierci ja się boję. Takby mi było z nią dobrze, gdyby chciała, teraz oto, w tej chwili mię do siebie przytulić. Albo też we śnie, w takim, jakie czasami na mnie schodzą — możeby wtedy mnie i mój sen gdzie razem przeniosła, tak, abyśmy na wieki już się nie rozłączyli. Ale nie każdemu Pan Bóg ześle takie szczęście, jako tej dziewczynie, o której mówi piosenka. Mało też kto umie sobie na taką łaskę zasłużyć. Ona naciępiła się nieboga, a nikt jej w życiu nie pożałował, nikt nie dał dobrego słowa.

— O jakiej piosence prawisz? — przerwał Wilczek z uśmiechem. — Widzę że znowu jakaś przybyła podczas mojej nieobecności. Tem lepiej; lubię, moja miła, twoje piosenki, i jeżeli zechcesz, rad posłucham.

Nastusia pokręciła głową, spuszczać oczy, zwyczajnie jako wieśniaczka, która się wzdryga. Wilczek świadomy tego wstępu, bynajmniej na nią nie nalegał, i miał słusność, gdyż po chwili dziewczyna głosem, który nie wiadomo czy mowę czyli też śpiew wyrażał, tak mu zaczęła rozpowiadać:

Gdzież to tak biegniesz, dziewczeczko biedna,
Mróz z ciemnych ocząt lzy ci wyciska,
Na polu pusto — ty sama jedna,
A zimno bierze, i noc już bliska?

Kwiaty pod śniegiem, nie znajdziesz wiauka,
Pierwiosnek jeszcze się nie dobywa,
A z miłosierdzia dana sukmanka
Zaledwie drobną postać okrywa.

Co wieczór tędy Halka ucieka,
Jak tylko dziecinną ustanie praca,

Próžno nieboga na ojca czeka,
 Drugi rok mija — ojciec nie wraca.

Drugi rok mija, drugi przeblysnął,
 Jak Piotr rodziną strzechę porzucił,
 Wziął starą kosę, żonę uściśnął,
 Wyszedł — jak poszedł tak i nie wrócił.

Wyszedł — zapomniał zasunąć wrota,
 I wnet się bieda do chaty wkradła,
 Uleciał spokój, śmiech i ochota,
 Nędza no progu Piotra usiadła.

Matce aż zdrowie przyszło utracić —
 Wiódarz ją co dnia gwał bez litości.
 By ten powietrza oddech zapłacić,
 Którym na pańskiej żyła własności.

Aż się i zwlekać nie mogła z łoża.
 Zia doła w chacie się rozpostarła,
 Wreszcie gdy na chleb zabrakło zboża,
 Z głodu i smutku — biedna umarła.

Boleść na ust jej zgasił koralu
 I łza przystygła, gnana tęsknotą,
 Łza skargi na świat — ciężkiego żalu
 Za dzieckiem — swoją odtąd sierotą.

Chwilę przed zgonem skostniałą ręką
 Od zimna tuląc się w płachtę starą,
 Szkaplerz, z wyszytą Chrystusa męką
 Ze Zbawiciela świętą ofiarą,

Z szyi zsunęła wół martwe palce,
 Jedyną biednych matek chudobę:
 Oddała szkaplerz maleńkiej Halce,
 Mówiąc: «Masz miła na twą żalobę,

«Módl się co-rana, módl się wieczorem,
 «A gdy dokuczą i głód i praca,
 «Biegnij na drogę, patrz czy pod borem
 «Ojca nie widać, czyli nie wraca?»

Żal i mróz Halce ciężko doskwierał,
 Na łonie chorej skryła twarz siną,
 Tak jako dawniej, gdy płacz ją zbierał,
 Szła się utulić na pierś matczyną.

I tak by zmarła, klęcząc przy matce,
Oj! bo do śmierci miała już blisko!
Od dwóch dni chleba nie było w chatce,
A od tygodnia zgasło ognisko.

Szczęściem sąsiedzi się dopatrzyli,
Sprosil księdza, zwołali cieśli,
Zbili trumnicę, pacierz zmówili,
I na mogiłki ciało wynieśli.

Biedną, płaczącą gorzko, żałośnie,
Halkę, ekonom przyjął do siebie,
Ale na piasku Hlga nie rośnie —
Bieda sierocie na cudzym chlebie!

Oj, gorzki piolun! Lecz od piolunu
Bardziej jest gorzki chleb z łaski pana.
Oj, czarny całun! Lecz od całunu
Smutniejsza odzież z litości dana.

Halka płakała, aż się dziwili,
Zkąd i dla czego łez lała tyle,
Bo nawet wtedy, gdy jej nie bili,
Całe wieczory przepłakiwała.

Nadeszło lato — w polu wesoło
Nućą dziewczęta, aż serce skacze.
Halka wzrok tęskny wodzi w około,
I gdy te nućą, to ona płacze.

One chcą wracać — ona nie żąda,
Tylko gościńcem mknie pokryjomu,
Wbiega na wzgórek, staje, przegląda,
Czyli nie wraca ojciec do domu?

Nadeszła jesień i śnieg zimowy,
I wycie wiatrów ponure.
Halka jak pierwiej — po za domówy
Próg biegnie — drogą na górę.

Kwiaty pod śniegiem, nie znajdziesz wianka
Pierwiosnek jeszcze się nie dobywa,
A z miłosierdzia dana sukmanka,
Zaledwo drobną postać okrywa.

Biało i pusto na okolicy!
 Żeby choć obcy z daleka,
 Żeby choć dzikiej pióro orlicy,
 Żeby choć z pieśnią kaleka!

Żeby choć Piotra cień z dalekości,
 Tem wyglądanem zwołany,
 Po gwiazdach śniegu (jak wierzą prości)
 Zawiał do Halki szałakanej!

To gdy tak sobie duma dziewczeczka,
 Bieluchny motyl zaświeci,
 Do spóźnionego niby listeczka,
 Spóźniona myśl wiosny leci.

Leci i płatki mija śniegowe,
 Dziewczęć okrąża do koła,
 I niby mówi — a ona mówi
 Halka rozumie i woła:

* * *

«Mnie i tobie krótka droga
 O, biedne sieroty!
 Pusto! — nagi tylko Boga
 Znak — i z ciernia ploty —

* * *

«Gdzie mnie wieszysz? Stój! zaczekaj!
 Pod krzyż? — na rozstaje?
 Ach, dla Boga! nie uciekaj!
 Już mi tchu nie staje!

* * *

«Jeszcze chwilkę! — Przebóg, Panie!
 Co nad krzyżem świeci!
 Biegnę, biegnę na spotkanie,
 Tam gdzie motyl leci!

* * *

«Z gwiazd korona, a w koronie
 Lice rozaniela,

I wyciąga ku mnie dłonie
Matka Zbawiciela!»

* * *

Halka pada u stóp krzyża,
Głos drży, usta bledną;
Krzyż ramiona swe unıza
Nad sierotą bledną.

* * *

I znów głucho w okolicy —
Ten sam śnóg bieleje.
Sron ten sam skrzy na krynicy,
Ten sam wicher wieje.

* * *

Tylko nowy grób dodali
Sąsiedni wieśniacy,
Co z za góry powracali
Do ognisk po pracy —

* * *

.....
Bo zziębniętej Halki ciało
Pod krzyżem zostało.
.....

* * *

Bo krzyż ojcem był, co wraca
Z otwartem ramieniem,
Śmierć gościńcem, bo odpiaca,
A motyl — wspomnieniem.

— Oj, tak! — Gdy piersi matczynej, gdy objęć ojcowskich zabraknie, to jeszcze sierocie ramiona krzyża zostaną. Te dla niej wiecznie otwarte. Ostatnia ucieczka przed biedą i ludźmi? Ucieczka przed biedą do tego, który mógłby na zawsze ją ustatkować; ucieczka przed ludźmi do tego, który ich ludźmi stworzył. Nie, nie — bieda — źli ludzie -- to nie boże wymysły. Źli ludzie stworzyli biedę, dla złych ludzi są tylko sieroty; biednemu cudza nędza droższą od własnego dziecka. A przecież chleba nie zabraknie. Bóg dał więcej łąnów, niż ludzi. Za cóż

kiedy każdy łan bujnie zbożem porasta, kiedy ziemia każdemu tak gęsto sypie ziarna, niejednego głód nieraz przyciska, i kałka musi chodzić o żebranych chlebie. Prawdą to, że nie zawsze biedakowi bieda. Sama pamiętam ociemniałego starca, który często do Polanki przychodził. Ślepy był, biedny, włókł się o kiju, ale twarz miał pogodną, wesołą. Bywało, dzieci otoczą, znoszą mu nabiał, pieczywo, owoce; on śpiewa im piosenki, rozповіда długie historie, błogosławi i z uśmiechem ciągnie w dalszą drogę. A kto się uśmiecha, ten ma jeszcze siła życia i nadziei; temu zgrzyzota nie sypnęła swych żarów na głowę i na piersi. O! Bóg widzi, że nie ma biedy gorszej od bezsennych nocy, od niepokojów, w których serce nie domaga i świat za ciasnym się wydaje. Zkąd i dla czego troski te przychodzi? Zkąd po wesołym poranku wieczorem człowiek rady sobie dać nie może? Dla czego często usłyszane lub nie usłyszane słowo ciężej go niż niemoc dolega? Dla czego boi się myśleć o jutrze; dla czego marząc, co z nim na później się stanie, drży jak gdyby w nocy sam jeden ujrzał się na smętargu? Dla czego nieraz w obawie jutra, pragnąłby aby słońce nigdy nie zaszło, aby dzień nigdy się nie skończył? Dla czego budzi się z boleścią, usypia z westchnieniem, choć mu na niczem nie braknie, choć mu nic nie doskwiera?

— O stokroć lepsza nędza i choroba, aniżeli te niepojęte bole, co nie wiedzieć zkąd rodzą się w głowie i nie wiedzieć dla czego rzucają na serce. —

Nastusia podniosła dłoń do zwilżonych łzami powiek. Od kilku chwil w ślad za myślami zaprzepaściła się tak dalece, że postradała świadomość otaczających ją przedmiotów.

Lampa zwieszona u sufitu zwolna dogorywała; alabastrowy jej glob niepewnie i drżące przepuszczał promienie. Cień coraz smutniejszym kirem zachodził do koła.

W pokoju głucha zaległa cisza.

Piosenki i rozpowiadania dziewczyny i Wilczka snąć wpędziły na szlaki głębokich rozmyślań. Hrabia nie zmieniał postawy: wyciągnięty, jak widzieliśmy wyżej, u stóp kochanki, z głową na ramieniu jej wspartą, zachowywał nieruchomość posągu.

Żal ścisnął serce Nastusi: z jej to winy roje czarnych myśli płynęły na ukochanego pana. Rozświeciła lice łagodnym uśmiechem, schyliła ku niemu pokornie głowę, chcąc wzrokiem w oczach łubego wyblagać przebaczenie.

Zbliżywszy twarz swą ku obliczu Wilczka, mimowolnie drgnęła; głęboki wyraz bólesci rozłamał się w jej rysach.

Wilczek spał kamiennym snem.

On spał! — Jemu dał zasnąć łoskot gorącego serca kochanki. Namiętne słowa, tkliwe uczucia, głos pieśczośliwy i pierścień białego ramienia okrążający mu szyję — w nim sen tylko budziły!

Ona z najskrytszych zawojów duszy dobywała wrażenia — ona rzucała mu pod nogi najmiłsze kwiaty swej wyobraźni — ona dla każdego słowa, dla każdej myśli, dla każdego uczucia, w sercu umiłowanego szukała odgłosu — ona mniemała, że przy nim mogłaby wieczność przemarzyć, przegadać, a on przez wieczność jej słuchać! — Biedaczka! — On spał!

Nastusia, jakby dla przekonania się, czyli sama nie śpi, ukryła twarz w dłoniach. Lampa błysła ostatnim płomykiem i zgasła. Dreszcz zimny przebiegł, trwoga zdjęła dziewczynę; zdawało się, że z tym ostatnim płomieniem ulatywała ostatnia iskra nadziei jej szczęścia.

Lękając się lada poruszeniem obudzić śpiącego, zwolna wzięła ciało ku wezgiłowi i oparłszy się na łokciu, wpadła w bezdenną toń powikłanych dumań.

Próżne nadzieje! — Straszna rzeczywistość nie pozwalała przystępu złudzeniom.

Dawna Wilczka wesołość, niewymuszona swoboda obejścia, z każdym dniem ustępowały miejsca zimnemu roztargnieniu, a czasami nawet i cierpkim zapędem gniewu. Stosunki raz puszczone tą pochyłością, gdzie miały się zatrzymać? — Nastusię zawrot głowy porywał, ile razy niepotrzebnie rzucała wzrok w tę otchłań piekielnych niepewności, jaką sądziła, że przyszłość wkrótce przed nią otworzy. Drżała wtedy przed samą sobą, przed odzwierciedleniem własnej postaci, zwłaszcza też przed wyrazem, jaki w chwilach zapomnienia zalegał twarz jej kochanka. Biedna! opuściła ku piersiom zwątpioną głowę; czuła, że przytomność ją odstępuje.

Nagle w oddali przerwał milczenie dźwięk pocztarskiej trąbki.

Nastusia mimowolnie usunęła ramię; Wilczek poskoczył na nogi.

Ciemność otaczała go do koła. Szczęściem w tej chwili przez szparę okiennicy wdarł się promień księżycy i padł na siostrzane blaskiem lica dziewczyny.

— Zdrzymałem się — rzekł Wilczek, przecierając oczy — ale widzę, że i ty nie lepszaś odemnie: pozwoliłaś lampie zagasnąć.

— Nie widziałam kiedy zgasła — odrzekła cichym głosem wieśniaczka.

— Wierzę — kto śpi, ten nie patrzy. Szczególniejszy miałom sen.

— Jaki sen?

— Nic ciekawego, moja luba — nie umiałbym go nawet powtórzyć. Wreszcie był to sen wcale nie poetyczny, tyczący się moich interesów. Długo nie mogłem znaleźć sobie rady.

Tentent kopyt końskich i warkot kół coraz się przybliżały. Pocztyljon na całe piersi trąbił pobudkę.

— Masz tobie! — zawołał Wilczek — znowu jakiś przyjacielecki zajazd — właśnie kiedy najwięcej potrzebuję spokojności.

— Czyliż to nie spodziewałaś się temi dniami gości ze Lwowa?

— Tak jest, w istocie — ale pochlebiałem sobie, że może raczą nie dotrzymać obietnicy. Cóż czynić?! — Każdy dźwiga swój krzyż. Do widzenia, moja miła! Przeklinaj tu za mnie tę nieszczęsną gościnność, dzięki której nie znajdę jutro czasu zajrzeć do ciebie.

Wilczek pocałował w czoło Nastusię i spieszenie wybiegł do pałacu na przyjęcie gości.

— Przekłety zamiar! — mówił sam do siebie z zachmurzonym czołem. — Czyliż do wypełnienia go innych środków niepodobna wynaleźć? — Tyle sobie nad nim nałamałem głowy! —

Darmo! Na gwałtowne choroby trzeba gwałtownych lekarstw! — Przecież i sam wielki Napoleon —! Co począć? — Zwierzęciu nawet uprzykrzy się to samo zawsze jarzmo! — Z tem wszystkim twardy to będzie orzech! — Ha! mniejśa z tem. Nie ma w czem wybierać!

X.

— Powiadasz, panie Lumpman, że arędy za dwa lata z góry wybrane?

— Tak jest, Jaśnie Wielmożny grafie. Oto rejestra i pokwitowania.

— To dobrze. Gdzież więc podziały się pieniądze?

— Pewną część Jaśnie Wielmożny graf rozkazał przesłać sobie do Lwowa; resztę wypłaciłem Szmulowi Goldbergowi za należne procenta.

— Do stu piorunów! — krzyknął Sokolnik — od kiedyż to Waszmość przywłaszczył sobie prawo rozporządzania funduszami bez wyraźnego mego rozkazu?

— Nie miałem ani chwili do stracenia, inaczej nie byłbym powążył się —

— Zapewne! Droższe ci twoje chwile, niż moje pieniądze. Darmo! darmo! piekielne czasy! Nikomu zaufać niepodobna! Ależ przez miłość boską! to gorsza od rozboju na publicznej drodze! Jeszcze jeden stopień wyżej, a nie zaręczam, czy nie przyjdiesz z nożem prosić mię o życie lub o pieniądze.

— Z tem wszystkiem, Jaśnie Wielmożny —

— Nie ma tłumaczenia! Wiesz acan, ile mam interesów na głowie, ile wypląt, ile wydatków na utrzymanie domu! W przeciągu dwóch tygodni zaszczytam cię czterema listami; w każdym nalegam o jak najspieszniejsze zgromadzenie i przesłanie funduszów. Czekam, niecierpliwę się, nareszcie zjeżdżam do domu i na samym wstępie dowiaduję się, że okradziony jestem przez Szmula Goldberga.

— Ależ rewers podpisany jaśnie wielmożną ręką samego pana grafa.

— Co mi acan pleciesz o rewersie? Żydowska psia powinność czekać. Lichwiarz bez cierpliwości gorszy pana bez herbu. Wreszcie nie tyle mi idzie o pieniądze jak o obrazę. Zuchwalec poważa się najężdżać mię we własnym domu, sprzysięga z ludźmi, którym jak głupiec powierzyłem zarząd moich interesów; rabuje mię z ostatniego niemal grosza!

— Jaśnie Wielmożny grafie, przez piętnaście lat służby nie słyszałem jeszcze tak gorzkich wyrzutów. Od świtu do nocy ciężko pracuję nad pańskim dobrem. Dziesięć dni temu, żyd przyjechał, dopominając się o pieniądze. Odprawiłem go z kwitkiem. Zadał nosa do góry, począł szumieć, na całe gardło przed ludźmi wykrzykiwać. Kazałem wyszesuć go psami. Onegdaj znowu się zjawił, ale tym razem w towarzystwie komornika. Chciał tradować inwentarz, zabierać sprzęty, pieczęcie na drawi przykładać. Nie było rady. Łotr nie pozwalał wspominać nawet o układach. Myślałem nasmarować łapę komornikowi, ale Szmul widać z duszą i z ciałem był go zakupił. Nalegałem o dwa dni zwłoki, o czas na wyprawę listu i otrzymanie od JW. grafa odpowiedzi. Napróżno! Żyd zatykał uszy, na komornika coraz silniej nastawał. Po długich korowodach zgodził się wreszcie na zwłokę, z warunkiem że mu natychmiast wypłacę czwartą przynajmniej część długu — pięćset dukatów.

— Ciemięga z acana! Raz już wyrzuciłeś żyda za bramę, mogłeś i drugi raz tak samo sprawić się z komornikiem.

— Kryminalny proces, JW. grafie; nie śmiałem brać na siebie podobnej odpowiedzialności.

— Drwisz acan! Znasz moje stosunki we Lwowie i w Wiedniu. Raczej dziesięć procesów aniżeli jedno takie głupstwo — dziś już nie do naprawienia. Proces za wypędzenie żyda i komornika? Ależ nie ma sędziego, któryby śmiał w podobnej sprawie palec na mnie zakrzywić. Przecież, dzięki Bogu, żyjemy w kraju cywilizowanym, gdzie nie hołota sprawiedliwość wymierza.

— Słusznie JW. graf mówi. Straciłem głowę.

— Mniejsza o to. Acan prędzej doczekasz się powrotu twojej głowy, niż ja moich pieniędzy. Od piętnastu lat, jak powiadasz, wiernie mi służysz. Tem gorzej. Nie dziwiłbym się, gdybyś pierwszego roku był podobnego baka ustrzeżił — ale po piętnastu latach służby, po piętnastu latach znajomości moich interesów, moich zwyczajów, moich stosunków, moich potrzeb — wciągnął mię w podobne błoto! — Nie — to nie do darowania! Kto mi zaręczy, że jutro, że dziś, zaraz, natychmiast, pierwszy lepszy obszarpaniec nie wpadnie z rewersem i znowu tak acana nie wystraszy, że mu w nocy pościel z podemnie wyciągniesz, że — aby sam wyleść z kłopotu — ostatnią łyżkę, ostatni mój rądel mu oddasz? Dość tego! Piętnaście lat u mnie służysz; jutro będziesz mógł powiedzieć, że piętnaście lat u mnie służyłeś. Wybaczysz, jeżeli przez dwadzieścia cztery godzin nadużyję jeszcze twojej gorliwości, poczem rozrządzisz sobą według upodobania. Uwalniam acana od obowiązków.

Lumpman pochylił głowę, usiłując przyoblec na twarz wyraz ciężkiego frasunku.

— JW. graf wypędza mię.

— Bynajmniej; po tem atoli, co zaszło, nie możemy dłużej razem pozostać. Trudno! Straciłem do acana zaufanie.

— Rachunki, które za chwilę będę miał zaszczyt przedłożyć, dowiodą o ile nie zasłużyłem na podobną nieufność. JW. graf w mądrości swojej oceni rzetelną wartość moich zasług, przekona się, czyli we wszelkich uczynkach pańskiego dobra przedewszystkiem nie miałem na celu, z zapomnieniem, .ba! nawet często z uszczerbkiem własnego.

— Ha, ha! przewybornie! wysmieniciel wolne żarty! Acan zechcesz mi teraz dowieść, że w mojej służbie nadwergąłeś własny twój majorat — po ś. p. twoim rodzicu? Trzeba przyznać, że zabawną gramy komedję. Zapominasz acan przed kilkunastu laty Lumpmana, chudego we Lwowie kancelistę, który świecił łokciami a chodził na cholewach, i tylko dzięki mojej protekcji, wykręcił się z nader nieprzyjemnej, jak mówiono, sprawy, w jaką go była zaplątała gadatliwość gubernialnego rachmistrza?

— Pamiętam — odparł Lumpman, prsygryzając usta — pamiętam łaskę JW. grafa. Do śmierci też wdzięczność docho-

wam: co wieczór przykazuję dzieciom, aby się modliły za szczęście pańskiego domu. Pamiętam również, że jeżeli Bóg pozwolił wydostać się z biedy, oczyścić z niegodziwych potwarzy, winienem to szczególniejszej opiece JW. grafa, kilkakrotnym nadetatowym wynagrodzeniom za wierne usługi, a trochę też i własnej oszczędności. Ostatni dozorca folwarczny żyje lepiej odemnie. Rachunki przekonają, że od trzech lat grosza nie wybrałem zasług, że nawet od przeszłego św. Jana w czterech razach nagłaćce wydatki opędziłem z własnej kieszeni. Nie chciałem upominać się, trudzić drobnostkami JW. grafa. Na szczęście, rachunki mam w pogotowiu, kwity pańskie własnoręczne w porządku, i jeżeli jutro mam dwór opuścić, JW. graf dziś jeszcze się przeświadczy. —

Sokolnik bacznie ważył w myśli każde słowo, które rządcą jego zwolna cedził jedno za drugim. Pohamował gniew srogi, opuścił ton wyniosły; na wzmiankę bowiem o rachunkach odgadł, że Lumpman przed ciosem odprawy zasłaniał się jak puklerzem należnemi sobie od trzech lat zasługami i wyłożonemi z własnej kieszeni pieniędzmi.

Siły obu stron nagle zmieniły stosunek; szala w mgnieniu oku odpadła na korzyść dawnego kancelisty.

Sokolnik w same piersi ugodzony niespodzianym argumentem, daremnie wspiął się na palce społecznego znaczenia. Lumpman bez miłosierdzia chłostał go grubym pękiem rachunków, lub o dno próżnej jego kasy pełnemi garściami niewypłaconych kwitów, złowrogą wydzwaniał mu wróżbę.

Wypadek sporu nie był wątpliwym; własna godność i bezpieczeństwo doradzały raczej wdać się w układy. Sokolnik, biegly woźnica, zawrócił na miejscu.

— Niepotrzebnie — mówił z udaną tym razem grozą — prawisz mi acan o swoich zaletach. Wiem, że jesteś oszczędny, zabiegły, gospodarny. Znam twoje zdolności, umiem ocenić przywiązanie do mego domu, i dla tego też właśnie oburza mię postępek, który nie dziwiłby wcale w człowieku mniej zręcznym, wiernym, gorliwym. Wprawdzie od kilkunastu lat pokazujesz mi acan pierwszy dopiero powód niezadowolenia, sam atoli przysnaj, czyli mogłeś dać go w mniej stosowną porę. Wam wszystkim zdaje się, że my panowie rozkładamy się na różach.

Minęły te czasy. Dziś lada cham przy barszczu i razowym chlebie, szczęśliwszy od magnata obarczonego ciężarem znakomitego nazwiska, zmuszonego sumiennie podtrzymywać sławę przodków i własną swoją godność. Bądźże dziś jednym z pierwszych dygnitarzów Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości, utrzymuj przyzwoity ton, karm chmarę swoich i cudzych darmozjadów i pomimo to zacieraj ręce z radości, ile razy żyd obedrze cię z długo oczekiwanych, niezbędnych pieniędzy. Nie — nie — panie Lumpman, ciężki klin zapuściłeś mi w głowę. Niech ci Bóg tego nie pamięta, jako ja zapomniałem już co rzekło się przed chwilą względem twojego oddalenia.

Lumpman szydersko układnym wzrokiem pociągnął po Sokołniku i skłonił się głęboko.

— Wola JW. grafa — rzekł — będzie zawsze najświętszym dla mnie rozkazem.

— Wola moja! rozkaz! czcze słowa! Wiesz dobrze, że w tej chwili mam niezłomną wolę wydbcycia się z kłopotu, w jaki mię wpędziłeś. Co zaś do rozkazu, jeżeli ten w istocie ma jakie znaczenie, weź go: czyn co chcesz, szukaj środków, byłeś go tylko wypełnił. Nawarzyłeś piwa, wypij je teraz: mówiłeś o gorliwości twojej w usługach — daj mi jej dowód — czekam na radę.

— Rada, jakiej JW. graf wymaga, jest tak łatwą, że nie warto nad nią się zastanawiać.

— Nie rozumiem cię.

— Idzie o zastąpienie pięciuset dukatów zarwanych przez Szmula Goldberga? Jaśnie Wielmożny graf potrzebuje tej sumy?

— Bez wątpienia; w tej nawet chwili poprzeszałbym na polowie. Ś. Jan za pasem. Siadajże, panie Lumpman. Ś. Jan, powtarzam, nie daleko: wpłyną nam pieniądze za czynsze, za węgę, za dzierżawy. Przeciw żydowskim zasadzkom potrafimy się tym razem na ostrożności. Kupno karecianych koni odłożę do końca przyszłego miesiąca. Wiesz zapewne, że gniada zdechła mi we Lwowie, a kary tak okaleczał, że musiałem go sprzedać prawie za cenę skóry.

— Pierwsze słyszę — odrzekł Lumpman głosem spółczucia dla gniadej i dla karosza.

— Niedbalstwo ludzi; furman hultaj zalewa się gorzałką. Daj mu od siebie przyjacielską naukę i przyrzecz, że za pierwszym wykroczeniem, z żoną i z dziećmi wyrzucisz onego za bramę.

— Rozmówię się z nim. Ależ JW. grafowi nie wypada niedobraną parą choćby na folwark wyjechać. Kupna koni odkładać nie należy, tem bardziej, że na tysiącu dukatach, które pojutrze będę miał zaszczyt wnieść do kasy, śmiało będzie można parę set na ten cel odłożyć.

— Tysiąc dukatów! Na honor, panie Lumpman, jesteś alchmistą.

— Sługą wiernym Jaśnie Wielmożnego grafa, niczem więcej. JW. Pan wie, że w skutek przeszlorocznego nieurodzaju i zarazy na bydło, rząd wyznaczył dla chłopów zapomogi. Na dobra nasze przypada przeszło tysiąc dukatów; jutro termin wypłaty.

— Rozumiem! zgaduję! szczęśliwa, trafna myśl! Chłopom będziem mogli udzielić na zasiew zboża ze skarbowego szpichlerza. Zapewne! Gdyby nawet który niezbędnie potrzebował wołu lub szkapy, każ mu wydać z własnego mego inwentarza i zaciągnąć w księgę długową. Nie cierpię między innymi ludźmi niedostatku; nienawidzę narzekania.

— JW. graf jesteś ojcem dla swoich poddanych.

— Tak zawsze w moim rodzie bywało. Lud wiejski to dalsza część pańskiej rodziny. Jutro ze świtem weźmiesz potrzebne papiery i udasz się do gubernjum. Dam ci własnoręczny list do dyrektora wydziału.

— Chciałbym nie stracić czasu i dziś jeszcze na noc wyruszyć. Wszystko mi jedno, czy przespać się na bryczce lub w domu.

— Czyn według upodobania; nie przeszkodzi ci to jednak zjeść z nami obiad.

— JW. graf zbyt łaskaw.

— Pamiętaj stawić się za pierwszym uderzeniem kuchennego dzwonka. Rosół nie czeka na nikogo.

— JW. graf zna moją akuratność.

Sokolnik pożegnał ręką zacnego intendenta. Lumpman co-

fał się w głębokich ukłonach, dopóki plecami drzwi, a ręką klamki nie namacał.

Dygnitarz rozpogodził czoło.

Wybieg obrotnego rządcy otwierał przed nim przynajmniej dwa miesiące niczem nie zachmurzonej przyszłości. Dwa miesiące spokoju za garść złota! — Jeden tylko Sokolnik mógł nabyć podobny skarb za równie lichą cenę. Przez dwa miesiące najmniejsza plamka nie miała sposobu wedrzeć się na błękit jego żywota!

Troski o dalszą przyszłość przystawały pani domu, zatrudnionej zbawieniem duszy, wdarcie się do nieba, zajęciem w raj u równie wygodnego miejsca, w jakim dziś rozpościerała się na ziemi.

Marzenia o przyszłości godziły się Marji, zapuszczającej tęskny wzrok w tajemnicze kraje uczucia, niecierpliwie probującej młodzieńczych skrzydeł do lotu w te sfery, gdzie miłość w parze z poświęceniem, chwytają w drżące roskoszą objęcia męską powagę czynu, uroczysty spokój bohaterstwa.

Trwoga o przyszłość dobrą była dla Lumpmana, który dnie obliczał na zyski, lata oznaczał lichwą, drżał aby go nie schwytano na ciepłym uczynku, poił się gorączkową radością na myśl, że po kilku jeszcze latach służby i on także będzie mógł zostać panem, i on podobnym sobie ludziom wrzuci na szyję dziwactw przywidzeń i samowoli swojej obroże.

Frasować się o przyszłość mógł chłop z dóbr hrabiowskich, biedny niewolnik, którego, po sześciu dniach ucisku, nędzy i pracy, w niedzielę ksiądz piekłem straszyl z ambony, dla którego urodzenie było złą dolą, życie deptakiem uwierzycenia, starość zgrzyzotą bez siły, śmierć przedsiönkiem do wiecznych udręczeń.

Boleć mógł nad przyszłością prawy syn polskiej ziemicy, który widział jak z każdym dniem chwastu na groby ojców przybywa; który za sobą popioły, wedle siebie zgniliznę, a przed sobą chmury brzemienne krwią, łzami i sromotą spozstrzegał.

Szaleńcy! szaleńcy! — Atalanty zadyszane w pogoniach, to za ścią, to za motylem, to za nietoperzem!

Sokolnik jeden o przyszłość troszczyć się nie potrzebował; umiał bowiem jak należało holdować bóstwu przypadku. Znał on czczość filozofii ludzkich wyrachowań, pojmował daremność wszelkich zabiegów w obec nieubłaganej konieczności, wiedział że czas włócił się niepokojem, a pędził uciechą, i wywnioskował, że im cięższym czas ten był do popchnięcia, tem gwałtowniej, tem prędzej wypadało go pędzić.

Wewnątrz atoli serca żywił gorącą wiarę.

Wierzył, że gwoli prawom natury, orzeł w błękitie żagle swych skrzydeł rozwija, że wedle niecofnionych wyroków, płaz czołga po ziemi; że kogo los stworzył panem, temu hołyzem upaść nie dozwoli.

W Galicji, po pańskich domach, nie można było uskarżać się na brak podobnej wiary. Co do innych ziem Polski, jako Wołynia, Podola, Litwy, tam pod tym względem w cuda nawet wierzone.

Czas wreszcie tylko próżniakowi dłuży się i cięży. Sokolnik zbadał teorię rozkładu zatrudnień i tak umiał czasem rozporządzić, że nikt nie widział go ziewającego, chyba z głową na poduszce.

Z rana, owinięty w szerokie fałdy szlafroku, udzielał posłuchania podwładnym.

Pierwszym na wstępnej liście — tym, którego w żadnym wypadku nie wolno było uprzedzić — był kucharz.

Sokolnik, dokładnie oznajomiony z historją świata, pamiętał ile klęsk spadło na ludzkość, ile stoczono krwawych wojen, ile przegrano stanowczych bitew, ile potracono koron, lub zgubiono znakomitych rodzin, jedynie dla źle często strawionych pokarmów w monarszych lub wielmożnych żołądkach. Swoboda myśli, bystrość pojęcia, żywość uczuć, zależały od regularnego ruchu organów mózgowych. Mózg nawzajem czerpał wszystkie siły z żołądka; ten zaś ostatni za najłżejszą obrazą, Nielitościwie mścił się nad głową i wprawiał ją w bezwładność. Żołądek, ergo, był głównym kołem człowieczej maszyny, kołem, którego doskonałość i smarowidło nie mogły przezornemu umysłowi nastroczyć dość uwag.

Sokolnik w tym to względzie nie miał sobie nic do wyrzucenia.

Z religijną pieczołowitością pielęgnował koło swej maszyny. Ważył w myśli, rozbierał, wyjaśniał biegłym sporem każdy artykuł obiadowej listy, którą przy samym wstępie kucharz podawał mu na srebrnym talerzu.

Niekiedy uderzył się w czoło, jakby rażony niespodzianem natchnieniem.

Nowa kombinacja przyprawy lub sosu, stawała mu przed wyobraźnią. Myśl zstępowała nań w wszechwładnej potędze przyczyn i skutków. Rزتaczał ją w całej delikatności zarysów przed osłupiałym z podziwu kucharzem. Jako genialny chemik lub farmaceuta, oznaczał prawie co do atomu wagę wchodzących do wynalazku żywiołów, obrachowywał czas waru i natężenie ognia; po czem, gdy objawienie wytłumaczył był co do najmniejszego szczegółu, dla odmalowania uczucia, jakie myśl jego ujęta w kształt rzeczywisty przez kucharza, miała sprawić na podniebieniu, zwykł był przykładać do ust pięć w jeden punkt skupionych palców i nagle roztwierać je, odrzucając rękę z pewnem cmoknięciem, jakby gonił w przyszłości za pasmem lubych wrażeń, przebiegających od końca języka aż do żołądka.

W dniach, których poranek cechowały dowody podobnej twórczości, dygnitarz nie zdejmował uśmiechu z oblicza. Wyraz tajemniczego tryumfu promienił mu czoło: z miłą hipokryzją przemawiał do żony; nucąc przez zęby melodję pełną ukrytych znaczeń, prowadził córkę do stołu — aż dopiero, gdy tajemnica odkryła się jasno jak na talerzu, obecni zgadywali przyczynę wesołych usposobień grafa.

Sokolnik cieszył się powszechnem stołowników zachwytem i wnet chrzcił wynalazek imieniem osoby najwięcej w nim smakującej.

Pamiętniki, jakie kucharz miał obowiązek w tym przedmiocie utrzymywać, były nader ciekawe.

W przeciągu nie pełna sześciu miesięcy wynaleziono trzy sosy, dwa pudynki, jeden majonez, cztery nadziania. Frykas z kuropatw, zaostrzony oliwkową przyprawą i ochrzczony nazwiskiem «à la Basia», przypominał, że pani domu miała za patronkę ś. Barbarę. Jeden krem i dwie galarety z owoców, pod tytułem «à la Marysia», godnie odpowiadały innym zale-

tom pięknej Sokolniczanki. Cąber jeleni z trufiami i z winną podlewą, kapłon z daktylowem nadzieniem «à la Sokolnik», jako też szczupak na buljonie «à la ksiądz kapelan», w niczem nie ubliżały okolicznej w żarłozofji sławie wynalazcy.

Z powyższych szczegółów nie należy przecie wnioskować, aby Sokolnik miał być zatwardziałym materjalistą.

Przeciwnie. Graf, jak go służba nazywała, pojmował związek między ciałem a duszą; nakarmiwszy pierwsze, drugą bynajmniej na głód nie wystawiał.

Tuż za odchodzącym kuchmistrem, drzwi zwolna, tajemniczo się otwierały i potulnym krokiem wsuwał się do komnaty pałacowy kapelan.

Ksiądz Serafjon Tapczyc, alumn lwowskiego zgromadzenia Jezusowego, miał z urzędu powierzoną sobie straż nad zbawieniem jaśnie wielmożnych dusz pańskiej rodziny.

Dusza gospodarza domu najmniej mu dawała zatrudnienia. Rozpostarta wygodnie w ziemskiej swojej pokrywie, wcale nie trudziła się wycieczkami po sferach nieskończoności. Dobrze jej było na tym padole płaczu; przymioty zaś właściwe jej naturze, wynoszące ją nad poziom tłumu dusz gminnych, obiecywały w zaświatnym bycie godne jej stanowisko.

Sokolnik nie był chłodnym katolikiem. Oprócz kapelana, którego utrzymywał z własnych funduszków, proboszcza wiejskiego czasami sadzał u swego stołu, i kilka razy do roku podczas świąt z pałacowej piwnicy słał mu podarki. W okolicy między szlachtą uchodził pomimo to za encyklopedystę: umiał bowiem na pamięć wszystkie prawie anegdoty o Wolterze.

W tych to ostatnich zapewne źródłach czerpał łatwość do sporów teologicznych i wagę dylematów, jakie często i z upodobaniem kapelanowi do rozwikłania zadawał.

Rozmowy te zwykle toczyły się sam na sam. Pani nie rada im uczestniczyła; Marji zaś obecność byłaby nieodbitcie przeszkodziła wprowadzeniu większej części kwestji w najciekawszych ich szczegółach.

Ksiądz Tapczyc, zagadnięty o wiarogodność cudów, o bezżenstwo duchownych, zwłaszcza zaś o skuteczności poetów, bronił się jak mógł powagą ojców kościoła, wyrokami soborów, bullami papieży. Sokolnik dowodził, że w każdym zgromadze-

nią większość przystępniejszą była fałszowi, aniżeli prawdzie; wyrzucał pychę i zbytek duchownej hierarchji, przytaczał papieża Jana XXII., który w młodości bawił się korsarstwem, lub Aleksandra VI., z domu Borgia, który —

Kapelan z poszanowaniem przerywał dalszy ciąg cytacji. Przyciśnięty argumentem, przyznawał że hrabiemu trudno było dotrzymać placu, i uciekał w niezdobytą fortecę okapturzonej wiary.

Sokolnik nawzajem szlachetnie korzystał ze zwyczajstwa: w zamian za uległość księdza, przyznawał mu z uśmiechem nieśmiertelność duszy i osobistość Boga.

Na podobnych mniej więcej platońskich djalogach, stosownie do pory, w pałacu lub w ogrodzie, schodził poranek. Sokolnik przystrajał następnie ciało, ruszał w odwiedziny do żony i do córki; czasami rzucił się w krzesło, słuchał fortepianu Marji, wybijając takt nogą. Po chwili jednak niespokojnie zrywał się na nogi, przechadzał żywym krokiem, wyglądał oknem, chmurzył czoło, aż dopóki widok ciągnącego od kuchni lokaja z ugiętą za uszy wazą nie wracał mu nagle pogody oblicza, łagodności uśmiechu.

Po odprawionej na cześć brzucha ofierze, arcykapłan tej uroczyści udawał się na chwilowy spoczynek.

Przed zachodem słońca, w towarzystwie kapelana, czasami zaś żony lub córki, przejeżdżał się po gospodarstwie lub po sąsiednim lasku. Spotkawszy chłopca, wozem lub piechotą, pytał skąd, gdzie, po co i zczem dąży; wracał następnie do domu pokrzepić wyczerpane od obiadu siły.

Tak mijał jeden dzień za drugim: Sokolnik w niczem przyjętego trybu życia nie zmieniał.

Pewnego poranku kucharz dłuższe niż kiedykolwiek miał posłuchanie; kapelan zaś zastał kollatora, wbrew zwyczajom, o niezwyklej wczesnej porze już ubranego. Wstążeczka nawet jakiegoś cesarskiego orderu połyskała mu u guzika.

Dygnitarz od wczoraj przyjmował w domu gościa.

Szambelan Fürstemberg skorzystał z zaprosin i wybrał się w odwiedziny do polskiego pana, a bardziej jeszcze do jego córki.

Słońce dochodziło południa. Wiedeński panicz tylko co był

zszedł, złożyć dzień dzień dobry damom. Gospodarz spieszył go przyjąć.

W salonie Sokolnikowa pochylona nad misternym kobiecym stolikiem, wyciągała złote nitki ze starego polskiego pasa. Niemiec wsparty niedbale o okno, rozmawiał z Marją, która wodziła błędny wzrok po gęstych klombach świeżo rozkwitłych bzów i jasmínów.

— Mogę pani zaręczyć — mówił szambelan skrzypiącym lekko głosem — że wcale nie miałem o polskich wioskach złego wyobrażenia. Wierzę w harmonję natury, a dość przypomnieć obraz mieszkanek polskiej ziemi, aby nabrać przekonania, że ramy godnie mu odpowiadają.

Marja przelotnym uśmiechem podziękowała mu za grzeczność.

— Co do mnie wreszcie — ciągnął dalej szambelan — jedno pojmuję tylko stopniowanie tak między ludźmi, jako między ich krajami i sposobem życia. Ludzie dobrego urodzenia nie należą do żadnego narodu; stanowią oni jedno towarzystwo, to samo od Kadyksu aż do Petersburga, z pewnemi odmianami, które tworzą upragnioną we wszystkim różnaitość, ale które w żadnym razie nie przypuszczają stopniowania. Pamiętasz pani naszą wiedeńską koterję, gdzie bylibyśmy mogli zabrać się do budowania wieży Babel, gdyby każdy chciał był mówić swoim językiem? Pomimo to, cudzoziemiec pierwszy raz wprowadzony w nasze grono, z łatwością mógłby uwierzyć, żeśmy się wszyscy urodzili pod jednym dachem.

— Albo też może — przerwała Marja — podobnie jak muzyka jest powszechnym językiem, tak samo w uczuciu natury, piękności, sztuki, spotykają się ludzie z różnych stron świata. Lękam się tylko, abyś pan nie zamykał w zbyt ciasnych granicach osób składających to towarzystwo.

— Przebacz pani; nie wyłączam żadnego narodu. Każdy kraj ma swoją historję, swoje nazwiska, jednym słowem: swoich ludzi.

— Zapewne; ale kiedy już mówimy o muzyce, o sztuce, o uczuciu piękności, wtedy nam nie wolno pomijać tych ludzi, którzy, jak ten oto — mówiła, wskazując zwój nót z podpisem Mozarta — zostawili nam tyle dzieł nieocenionej wartości.

— Ha, zgaduję! Muzycy, malarze, rzeźbiarze, artyści — masz pani słuszność — są to ludzie wysokich zasług. Nie trzeba atoli zapominać, iż to, co nazywam towarzystwem, dla tego odłączam od ulubieńców pani, że bez niego nie byłiby niczem, podczas gdy towarzystwo żyjące samo przez się i dla siebie, śmiało może obejść się bez artystów. Przypuść pani kraj, gdzieby malarzowi nikt nie był w stanie zapłacić obrazu, gdzieby nie było pięknych palców do odgrywania muzycznych utworów, gdzieby nie znalazł się żaden człowiek wykwiutnego smaku, mogący zamówić posąg lub rzeźbę — w kraju tym, przysięgam pani, Djogenes z latarnią nie znalazłby jednego artysty. Panowie ci są to niejako ożywione kwiaty, piękne w bukietach lub w wieńcach; ależ bukietu niepodobna kłaść w gliniane naczynie, do wieńca potrzeba alabastrowych skroni. Te zaś, jak pani sama wiesz, w ludziach, Bóg wie z kąd powstałych, nie miały jeszcze czasu się wykształcić.

— Ja myślałam, że kiedy artysta tworzy, nie myśli wówczas ani o zysku, ani o kolejach, jakie dzieło czekają. Tworzy z myślą wyłącznie zwróconą ku swemu ideałowi.

— Ideałem zaś tym jest zadowolenie ludzi, którzy potrafią go zrozumieć, a tem samem ocenić i wynagrodzić. Patrz pani na te sztuczne zarysy pałacowego parku! Czy może być co wdzięczniejszego, jak ta harmonja drzew, krzewów, kwiatów, wody, spadków, pochyłości, wyniesień? W istocie, trzeba być artystą, aby coś podobnego wykonać; ale pan tylko równie piękną myśl mógł w sobie począć. Nie przeczę, że ogrodnik tutejszy jest artystą; nie ma atoli wątpienia, że bez wyraźnych planów pana hrabiego, bez rozkazów pani hrabiny, a zapewne i bez rad pani, znakomity artysta szczyliłby się dziś tylko kwaterami rzepy i szpinaku, lub w najlepszym razie grzędami słoneczników i piwonji.

— Szambelan krytykuje, widzę, mój ogród — rzekł Sokolnik, który wchodził właśnie na ostatnie słowa rozmowy.

— Krytyka nie trudną jest tam, gdzie ledwie starczy czasu na podziwienie.

— Na honor! przerażasz mię, szambelanie! Chciałem pokazać ci cały ogród i ciągnący się za nim zwierzyńiec; panie nasze nie odmówiłyby nam może swego towarzystwa. Po tem

jednak, co słyyszę, lepiej będzie podobno zostawić cię pierwszym wrażeniom.

— Przeciwnie, przeciwnie! jestem gotów. Pan hrabia, jak uważam, wystrzegasz się zbytku zaufania, lub może chcesz cieszyć się nagłością wrażeń moich i podziwów. Zawczasu uprzedzam, że ostatni zamiar się nie powiedzie. W tym domu pod względem piękności spodziewam się wszystkiego; po tem atoli, co dotąd widziałem, co widzę, niczemu więcej dziwić się nie będę.

— W takim razie nie ma niebezpieczeństwa — przerwał wesoło Sokolnik, przepuszczając szambelana, który podawszy rękę pani domu, ciągnął z nią do ogrodu.

— Wyobraź sobie pan — mówił dalej magnat — że kiedy obejmowałem majątek po ś. p. ojcu moim kasztelanie, ogród ten był wielkim łąnem pokrajanym w zagony, lub zarosłym trawą, starymi gruszkami, jabłoniąmi, a nawet tu i owdzie krzakami leszczyny. Właśnie na kilka miesięcy przedtem wróciłem był z Anglii i świeżo miałem w pamięci park jednego z dobrych moich przyjaciół, księcia Devonshire.

— Pamiętam go; o dwie mile za Londynem, na lewym brzegu Tamizy.

— Ten sam. Na nieszczęście, planu z sobą nie wziąłem, więc z pamięci musiałem zabrać się do dzieła. Ten oto staw, długi na tysiąc sążni a niezbędny — jakże bowiem w pejzażu obejść się bez wody — kosztował mię po skończonym rachunku oprócz gotowych pieniędzy, przeszło czterokroć sto tysięcy dni pańszczyzny. Kilkuset ludzi przez trzy lata nad nim pracowało. Z wykopanej ziemi usypałem te pagórki, wyżyny, kopce. Stare drzewa po większej części kazałem wyciąć, porznięłem wawoży i sprowadziłem te siwe złomy granitu, które na pozór zdają się tu od wieków spoczywać. Tak przyrządziwszy grunt, złożyłem berło władzy hrabinie. Jej to staraniom zawdzięczamy te ćwierkowe i brzożowe laski, klomby, chodniki, gęstwie zieleni, czyli, że tak powiem, całe wystrojenie, wszystkie fjołki ogrodu.

— Kiedyś, jak się to wszystko rozrośnie — odrzekła Sokolnikowa — istotnie będzie czem się pochwalić; dziś drzewa jeszcze młode, wszędzie prawie brak cienia, wszędzie za nadto światła, za mało różnaitości.

— Niezaprzeczona prawda, pani hrabino; ręka ludzka swego dokonała, reszty czas dokaże.

— Nie zupełnie — wtrącił Sokolnik. — Sam się szambelan przekonasz, że człowiekowi nie brak tu jeszcze na trudzie. Zdaję się na własny twój sąd. Stanąwszy w wielkiem oknie salonu, widzisz tylko niebo, wodę i massy zieleni. To za mało różnaitości. Co powiesz, gdyby na przeciwnym brzegu kanału, tuż nad wodą, postawiono dwanaście pięknych białych posągów, czyli dwadzieścia cztery, licząc te, które zwierciadło wód odbije? Wzrok miałby na czem wypocząć, nie tonąłby w bezdennej, ciemnej głębinie — nieprawdaż?

— Cudowna myśl! — zawołała Marja, klaszcząc w dłonie — dwanaście posągów znakomitych królów polskich, lub innych wielkich ludzi!

— Albo też dwunastu Apostołów lub Świętych Pańskich — dodała z bogobojnem westchnieniem Sokolnikowa.

— Nie, nie, świętych proboszcz zbyt by mi zazdrościł. Królów? — Chyba z ostatnich, z którymi jesteśmy spokrewnieni; ale i tych muzeum Ossolińskich gotowoby nam porwać. Nie, nie — trzymajmy się przyjętych w świecie zwyczajów. Mitologia, przed ośmnastu wiekami wypędzona ze świątyni, schroniła się do ogrodów; nie odmawiajmy jej ostatniego przytułku. Przypominam sobie podobny areopag bogów w jednym z ogrodów pałacowych księcia Dietrichsteina w Styryi. Nic tak nie ożywia zieleności jak posągi.

— Ale czy pan hrabia znajdziesz we Lwowie ludzi, których mógłbyś w tym celu użyć?

— We Lwowie, szambelanie? — We Lwowie nie wiem czy jest jeden dobry kamieniarz. Za pierwszym pobycem w Wiedniu pochodzę po tamecznych rzeźbiarzach, lub w ostatnim razie napiszę do Włoch. Najkrótsza sprawa gotowe sprowadzić z Rzymu lub z Florencji. Taniej wypadnie; może nawet i kilka antyków uda się dostać.

— Radzę panu hrabiemu raczej posłać do Florencji, niż do Rzymu. W świętem mieście przed Anglikami niczego nie można się dokupić.

— Wolałabym — rzekła Sokolnikowa — słyszeć pana obstående za Rzymem. Wtedy i ja bym na tem zyskała. Od dwóch

lat ksiądz proboszcz doprasza się o relikwie i o nowy obraz do wielkiego ołtarza.

— Mniejsza o to, moje życie. Dostaniesz twój obraz jak sama zechcesz; wybierz Świętego lub Świętą według upodobania. Każę ci w Rzymie odmalować i sam papież poświęci. Nie powie świat, że tyran ze mnie małżonek lub wyrodny ojciec. Ty, moja panienko, zamiast twoich królów dostaniesz na tym oto wzgórkę małą ptaszarnię. Codziem wyglądam z Wiednia planu. Kazałem ją urządzić na lato i na zimę, całą z drucianej siatki i z ruchomych tafli szklanych, które w mróz przepuszczają słońce, a zasłonią od wiatru i śniegów. Piwniczka z piecykiem i dymnikiem, wyprowadzonym pod ziemią między te oto ruiny, pozwoli ci w nowem twojem gospodarstwie utrzymywać wieczną wiosnę.

— Będzie to dopiero pomieszkanie, mój ojcie; ale kogoś w niem umieszczę?

— Nie troszcz się, moje dziecię. Zaręczam ci, że żaden z twoich podwładnych nie będzie upośledzony europejskiem pochodzeniem. Zwróćmy się na prawo: właśnie ludzie pracują nad fundamentami twojego powietrznego pałacyku.

— Panie hrabio! — przerwał szybko szambelan — budowniczego sprawa zaglądać w fundamenta, dozorczy zaś pilnować robotników. Zostawmy pannie Marji złudzenie, że pałacyk jej to sen — pewnego poranku urzeczywistniony przez wróżki, jej przyjaciółki —

— Dziękuję panu; odgadłeś mię. Kto wie, czy patrząc na tych biedaków ciężko pracujących dla zadowolenia mojej fantazji, zbyt smutne wspomnienia nie mięszałyby mi kiedyś radości z mojej ptaszarni?

— Dla jakiegobądź powodu — mówił z ironicznym uśmiechem szambelan — więcej zyskamy, kierując się tu na lewo, w te fale kwiatów, między którymi pani jesteś jak u siebie.

— W istocie, jest to królestwo mojej córki. Pamiętaj, że ty nas tu przyjmujesz.

— Całem sercem — odrzekła Marja. — Wszyscy moi poddani stoją do wyboru.

— Niesprawiedliwe masz pani o nas pojęcie. Któżby poważił nieść spustoszenie w te spokojne dzierzawy?

— Pierwszy ogrodnik, co rana dziesiątkuje biednych moich wazalów: ma się rozumieć dla mamy lub do salonu; ja nie lubię zerwanych kwiatów.

— Niewdzięczność, czarna niewdzięczność! — mówił Fürstemberg. — Czyliż z wieńcem na głowie, lub z bukietem u piersi nigdy nie spojrziałaś pani w zwierciadło?

— Częściej patrzyłam na kwiaty. Czulałam na skroniach omdlewające listki jedne po drugich; mimowolnie zatrzymywałam uwagę na wędnącej róży lub na cicho konającym fjołku. Obraz tej zagłady z mojej przyczyny ciążył mi na sumieniu.

— Wyborna teorja! — przerwał Sokolnik. — Gdyby przez zbytek czulego serca chciano ją stosować i szanować życie tego wszystkiego, co nas otacza, pomierilibyśmy z zimna i z głodu.

— Pan hrabia zapominasz, że znajdujemy się w tej chwili w królestwie kwiatów: że to, co się dzieje w innych państwach, ludzi, zwierząt lub roślin, wcale nas nie obchodzi. Piękna monarchini pośród swoich poddanych, dla samej przyzwoitości, nie mogła inaczej się odezwać.

— Co to za nieszczęście urodzić się w wielkiej stolicy i oddychać dworskiem powietrzem! — rzekła Marja. — Wszędzie potem widzi się tylko berła i korony. Moje kwiatki — żadne królestwo! Nie ma między nimi ani dworzan, ani dygnitarzy, ani bogatych ani biednych — żyją wszystkie w zupełnej równości.

— Zwolna, zwolna, mała Jakubinko! Któż to pannie podobnych pojęć napędził do głowy? Piękne na pozór słowa, ale tyle w nich prawdy, ile w humanitarnych wrzaskach rozbójników z francuskiej Konwencji! Chciałbym na jeden dzień mieć w ręku Europę, aby wszystkich apostołów równości zamknąć do jednego szpitala obłąkanych.

— Ach, mój ojczu!

— Słowa! marny wiatr i nic więcej! Spojrz wreszcie na te zagony, pokaż mi równość między twemi kwiatami? Wyłumacz, dla czego te krzaki bzu głuszają całe rzędy konwalji, dla czego róża gasi blaskiem brudno-popielaty kwiat lawendy, dla czego nakoniec ty sama nazajutrz po naszym przyjeździe kazałaś powyrywać osty, dziewanny i większą część astrów?

Marja na świeżo usypanej piaskiem ścieżce kreśliła końcem parasolki jakieś hieroglificzne znaki. Rozumowanie Sokolnika było nie do zwalczenia.

— Nie zawadziłoby — dodał szambelan — gdyby cała ta zgraja intrygantów i oszustów, którzy pod nazwiskiem frankmasonów i karbonarów zawracają głowę nieszczęsnej młodzieży, na kwiatkach chciała najprzód spróbować zastosowania swoich teorii. Jeżeli człowiek może być czem innym, aniżeli czem się urodził, dla czegożby z nasienia maku nie miała wykwitnąć lilja, z pokrzywy powój, z cykorji hjacynt, z chwastu magnolja?

— Prawdę, świętą prawdę pan szambelan mówi — rzekła potakując Sokolnikowa. — Każdy powinien cieszyć się swoim stanem, a przedewszystkiem szanować kościół i władzę, które zarówno z nieba pochodzą. Ale od czasu jak wiara stygnie, Bóg za karę zesłał na ludzi szalone myśli, zgubne dla ich sumienia i spokoju.

— Zanim jednak wiara według twego życzenia się rozpali, dziękujmy Bogu, że nam zesłał księcia Metternicha. Dopóki ten żyje, Europa nie potrzebuje obawiać się żadnych gwałtownych zmian.

— Książę kanclerz jest zaszczytem, sławą wieku swojego i Austrii — rzekł szambelan, chyląc głowę. — Jemu winniśmy potęgę cesarstwa, pokój Europy i powrót do tych zdrowych pojęć, jakie przed trzydziestu laty bandy zbuntowanych we Francji Kannibalów chciały na wieki we krwi zatopić.

Marja wzdrygnęła się i upuściła czerwony gwoździć, który dotąd bezmyślnie obracała w rękę.

— W istocie nie umiem sobie wytłumaczyć — ciągnął dalej Niemiec — jak ważąc w dłoni losy ludzkości, kierując polityką wszystkich dworów — słowem, dźwigając na barkach taki ciężar zatrudnień, książę kanclerz wieczorem w salonie swobodnie rozmawia; każdemu umie przyjemne słowo powiedzieć, przytem wszystko widzi, wszystko uważa, wszystkiego słucha, wszystko pamięta. Nadzwyczajny człowiek!

— Przywilej genjuszu, dar Boży — wtrąciła Sokolnikowa.

— Pojmuję, szambelanie, że zadziwia cię niesłychana sprężystość umysłu księcia. Ja często ulegam temuż samemu wrażeniu, wpatrując się w szlachetne jego oblicze — ja, który znam

go oddawna. Między nami mówiąc, jeden z pierwszych, a podobno i pierwszy, w samym początku zawodu księcia, przepowiedziałem przyszłe jego koleje. Pamiętam, że z kilka mało-
 znacznych, potocznych rozmów, jakie z nim wówczas miałem, uderzyła mię przenikliwość, głębokość i bystrość, których później na polu dyplomacji dał tak znakomite dowody. Przeszłego roku, w zimie, przypominałem mu pewną rozmowę, przed dwudziestu blisko laty, na obiedzie u generała Vincent, tego samego, z którym księżę wyjechał był później jako ambasador do Paryża. Czy uwierzysz szambelanie, że powtórzył mi co do joty własne moje słowa?

— Wierzę, bardzo wierzę; ze strony kanclerza wszystkiego się w tym względzie spodziewam.

— Co za czarowny przytem dar opowiadania! Jaki delikatny dowcip! Jakie bystre sprostrzeżenia!

— Komuż to pan hrabia mówisz? Dość raz go usłyszyć, zwłaszcza gdy wpadnie na tor anegdot swoich z Napoleonem. Bonaparte z początku chciał go lekceważyć; niebawem atoli poznał, z kim miał do czynienia.

— Trafiała kosa na kamień, jak mówi polskie nasze przysłowie. Słyszałeś kiedy szambelanie anegdotę o kapeluszu Napoleona?

— Nie — tej nie znam.

— Podczas ambasady swojej w Paryżu, w skutek plotek Fouchego, księżę Metternich stał był przez niejaki czas na bakier z Napoleonem. Pewnego dnia, cesarz srodze rozdąsany na Austryę, spostrzegł w posłuchalnej sali ambasadora Jego Apostolskiej Mości. Natychmiast uciął żywą rozmowę z ministrem policji i skinieniem ręki zaprosił księcia, aby mu towarzyszył do jego gabinetu. Wszyscy rozeszli się: zostały w sali tylko dwie osoby: Savary i Talleyrand. Drzwi od gabinetu nie były zupełnie zamknięte. Napoleon gwałtownymi wyrazami napadł na księcia; zajął się, giął w rękę kapelusz, i szybko przechadzał. Zniecierpliwiony nareszcie, stanął tuż przed ambasadorem i właściwym sobie gestem ręce w tył założył. Poruszenie to wytrąciło mu z rąk sławne z prostoty nakrycie głowy.

Księżę głęboko milczał, stał nieruchomy jak posąg.

Napoleon umilkł na chwilę, zatrzymał się, rzucił wzrok na

kapeluszy i na księcia; widząc jednak bezskuteczność pantomimy, jak niepyzany sam schylił się po ów pamiętny trójrożnik.

— Wyborna, przedziwna historia! — wykrzyknął w zachwyceniu szambelan. — Co za odwaga, co za szlachetne uczucie własnej godności! To mi dopiero człowiek stworzony na ambasadora wielkiego monarchy!

— Zdziwiająca przytomność umysłu! — szepnęła Sokolnikowa, która po raz setny wysłuchiwała anegdoty o Metternichu i o napoleońskim kapeluszu.

— Co do taktu i talentu w przedstawianiu, żaden podobno z wielkich panów w Europie nie wyrówna naszemu księciu. Cóż to za miły ton obejścia, jaka ujmująca grzeczność!

— Daruj, mój mężu, ale sędzę, że zapominasz kogoś, który w tym względzie na równą zasługuje pochwałę. Jeżeli książę nic nie pozostawia do życzenia, nawzajem księżna jest perłą wiedeńskiego towarzystwa. Co mówisz, Maryniu? Przypominasz sobie, jak cię grzecznie przyjął?

— Ach, jaka ona piękna! — odrzekła Marja. — Pamiętam, na ostatnim balu u księcia Lichtensteina miała na głowie strój z opalów i z djamentów; tańczyła kotyljona z młodym Hiszpanem, z hrabią Montenegro, jeżeli się nie mylę. Nikt nie śmiał pójść w drugą parę: wszyscy rozsunęli się w koło i z zachwyceciem w nią wpatrywali.

— Jak się nazywa ten rodzaj róży? — uczepił z niechcenia Sokolnik, pragnąc przerwać rozmowę, którą wspomnienie hiszpańskiego kawalera w towarzystwie z księżną mogło być wprowadzić na zbyt ślizkie manowce.

— Róża burbońska, mój ojczu.

— Bardzo piękna; wolę ją od stulistnej. Co powiadasz szambelanie o widoku z tego wzgórzka? Jeżeli masz bystre oczy, możesz na milę przed sobą rozeznać okolicę.

— A nawet i ludzi — odparł Niemiec, przysyłając dłońią powieki. — Widzisz pan hrabia, w dali, na lewo, tam oto pod lasem, czarny, ruchomy punkt. Jest to powóz zaprzężony czterema końmi.

Marja szybko wbiegła na pagórek. Na wzmiankę o powozie mimowolnie uczuła żywsze bicie serca.

— Widzę tuman kurzawy, ale nie poznaję powozu — rzekła

głosem lekko wzruszonym, od zmęczenia może, lub też od niewytłumaczonego jakiegos przeczucia.

— Zaczekaj pani chwilę; teraz oto na zakręcie.

— Teraz i ja wyraźnie spostrzegam — dodał Sokolnik.

Podróżny szparko zbliżał się ku pałacowi. Cztery dzielne konie swobodnie unosiły za sobą lekki wiedeński koczyszek. Wkrótce można już było dosłyszyć tentent kopyt i turkot kół. Powóz znikł na chwilę między pierwszymi chatami wioski, lecz niebawem zjawił się znowu i skręcił w długą, lipami wysadzaną ulicę. Woźnica na miejscu przed gankiem osadził spienione konie.

Kazimierz Poraj wyskoczył z powozu.

Marja odgadła nieusprawiedliwioną na pozór przyczynę pierwszego wzruszenia. Jemu również serce silnie zakolało. Ona od wyjazdu ze Lwowa jednego dnia nie przepędziła, ażeby o nim nie pomyślała; jemu czas rozłączenia i podróż śmiertelnie się dłużyły.

Wiosna balsamicznymi powiewy rozwijała drzewa i kwiaty, ziemia dyszała ku niebu dziewiczymi zapachy, gwar nieustanny ptasząt wtórował tajemniczemu weselu natury; za jedną iskrę czucia można było kupić bezmiar roskoszy.

Marja, podobnie do swoich kwiatów, niezadowolnionych wiecznie ze słońca, a które druzkom tylko gwiazdom rozchylają kielichy, kryła się sama w sobie przed dziennym blaskiem; wieczorem dopiero, gdy błękit roziskrzył się djamentowym nocnych światłał tumanem, gdy księżyc sypnął snopy promieni na ośnieżone majowem kwieciem drzewa, gdy jął dumać i przeglądać się, i roztapiać smętne oblicze w drżących głębinach stawu; gdy gdzieś między bzami zaprzepaszczony słowik pełną natchnienia pierśią rozjęczał się miłosnym bolem i bolesną miłością — Marja wtedy dopiero samotnie wymykała się do ogrodu. Tu zabłąkana wśród blasków księżycy i kirów nocy — I cóż chcecie, abym wam powiedział? — Jeżeliście sami byli młodzi, jeżeli wam się zdawało, że macie za wielkie serce dla małych w około was ludzi, jeżeli myśl wierząc wam mózg rozpalonem fantazji dłułem, wrywała się z głowy i jak szalona to na włosku wieszala was nad przepaściami, to lekko składając na jedwabnem wezgiłowi, chłodziła wam skronie wieńcami

z róż i narcyzów, podawała puhar czarodziejskich upojeń, rzucała w wasze objęcia stworzenia, jakich później nie spotkaliście nigdzie; jeżeli życie w was tak kipiało, że pierś wam schła od pragnienia kogoś pokochać, za kogoś się poświęcić, z boleści lub ze szczęścia nad kimś się rozplakać; słowem, jeżeli w pierwszych latach życia lekarz biorąc was za puls, rzekł do waszej matki: «Nerwowe dziecko! kąpać go w zimnej wodzie, nie szczędzić świeżego powietrza i rozrywek —» Ach! wtedy na próżnoby wam tłumaczył: dla czego oczy nie widzą, choć patrzą, dla czego wzrok ściga błędne pogonie chmur po stepach lazuru, dla czego chwieje się wraz z kroplami rosy roziskrzzonej po liściach i kwiatach, dla czego drży z każdym zmarszczkiem rozbłyskotanej na wodzie fali, dla czego mruga z każdą gwiazdą, przepada za każdym światelkiem?

Błogosławione chwile! drogie powiernice najskrytszych przed sobą wyznań, najdziwaczniejszych nadziei, najszaleńszych zamiarów, najstroższych bólów, najtwardszych zgryzot, najmilszych wspomnień, najłodszych roskoszy! Czarowne bańki mydlane, pękające za pierwszym przestąpieniem na wewnątrz domowego progu, spotworniałe za pierwszym blaskiem salonowej lampy, za pierwszym słowem gościa lub gospodyni, gospodarza lub domownika, przyjaciela lub kochanki!

Ach, jeszcze chwilę tej błogiej samotności! Wracajmy, wracajmy tam, gdzie bez wstydu lub śmiechu wolno nam zamarzyć o mądrości starców, o dzielności młodzieży, o przyszłej godności i szczęściu dorastających pokoleń. Tam snują się w fantastycznych kształtach szczerzy przyjaciele, przywiązani krewni, pełni zaparcia samych siebie politycy; kochający więcej wolność niż siebie apostołowie ludu, zapaleni ewangeliczną miłością duchowni, niewypasłe na ludzkiej nędzy filantropy; goniący za ideałem artyści, wypromienione poświęceniem ulubieńce fortuny, wrogowie kłamstwa, niezgody, obłudy, samolubstwa i potwarzy. Tam jeszcze mamidła wyobraźni potrafią wywołać wszystko — nawet kobietę anielską od prostoty, od prawdy, od miłości — choć zrodzoną w bogatej kolebce. — Nie — nie, dla takich zjawisk noc nie dość czarna.

Tych bożych istot nie w sferach fantazji nam szukać. Dość obejrzeć się do koła, pierwszą lepszą wziąć za wzór doskona-

łości, tchnąć w nią własne życie, oddać najszlachetniejsze żywioły własnej duszy, nadewszystko zaś ślepo uwierzyć jej słowom i nigdy nie wystawiać na próbę. Bez wiary nie ma zbawienia, a zbawienia bez cierpień, jako róży bez kolorów, jako roskoszy bez boleści.

Do ostatnich zwłaszcza trudno nie policzyć uczucia, jakiego doświadcza młoda dziewczyna, gdy romantyczność myśli znęca ją na przechadzkę po księżycu, na przechadzkę samotną.

Błądzić samemu jednemu, wśród cichej nocy, między gęstemi zarosłami ogrodu, zapuszczać się w czarne jak piekło szpalery, słyszeć gałązki chrupiące pod nogą, tajemnicze szelesty w liściach, w dali niby westchnienia, czasami jęki, a niekiedy złowrogi krzyk puszczyka — widzieć przemykające w gęstwinie, nie wiadomo czy słupy promieni, odbicie światła czy widma; poczuwać czasami na skroni szczególniejsze powiewy wiatru, niby ciepłe oddechy — wyglądać za lada krokiem spotkania z jakąś nadludzką istotą, słowem, doświadczać wszystkich tych wzruszeń, a nie uciekać — na to, sami przyznacie, trzeba mieć piękną dziewczycą głowę, zaprzątniętą dziwnie głębokiem marzeniem.

— Marzeniem powiadam, albo też tą wewnętrzną targaniną ducha, wstrętną dla poważnej, samej o sobie świadomej myśli, odurzającą głowę, jak wschodnie napoje z makowego nasienia.

Choroba serca! rozpusta wyobraźni! Prawda — ale jakże jej uniknąć? Gdzie materiały do rzeczywistego bytu, gdzie pole do rozwinięcia życia wolnego, prawdziwie człowieczego? Zkąd prawo wymagać aby potok, zatruty u źródła, rzeźwiące nurty toczył przy ujściu? —

Marja, jak wszystkie dziewczęta uprzywilejowanego rodu, przeznaczoną była do życia w świecie.

Życie w świecie, dziwnem sprzeciwieństwem wyrażenia z pojęciem, zasadzało się na potępieniu, na zaniedbaniu i niezajomości tego, co stanowiło rzeczywisty świat, wywołując natomiast inny, zmyślony, fałszywy, próchno kryjący pod błyskotkami, nicosć pod szumnymi wyrazy: suchy mróz pod udaną lawą wrzących uniesień.

Istotę przeznaczoną do życia w świecie, od pierwszych dni

ściskano w pęta przyjętych zwyczajów, głupich przywidzeń i głupszych jeszcze przesądów. Rodzice wychowywali dziecię nie dla dziecka, ale dla siebie samych, czyli raczej na pokaz przed światem.

Gawiedź gnała za świecidłami, klaskała powierzchownej oglądzie, ceniła treść w miarę zewnętrznego blasku; prawdziwej zasłudze urągała, o sumiennej wartości nie miała żadnego pojęcia.

W wychowaniu głównie chodziło o pozaczepianie na dziecku tysiąca złocistych blaszek, jaskrawych wstęg, błazeńskich dzwoneczków i folgi i szychu, tak, aby najobojętniejszy przechodzień nie mógł spotkać go bez podziwu, bez okrzyków i poklasków na cześć naturalnych stwórców cudowiska. Byłe tylko chełpliwemu oku zadość uczynić.

Metoda ta może mieć swoją konieczność, swoje środki usprawiedliwienia; ależ wtedy jakim prawem z pogardą wspominały o murzynach, którzy za garść szkiełek i paciorek zaprzęcają swoje potomstwo? — Czyliż nasze szkiełka dla tego więcej warte, że ich nie wyrabiają nad brzegami Mozambiku lub Senegalu? Czyliż nasze paciorki wiele szlachetniejsze od ozdób z Madagaskaru?

Ciż sami ludzie, którzy z rana kiwali głowami w kościele, potakując, gdy ksiądz dowodził, że życie walką, trudem, przebojem — wieczorem w postępowaniu z dziećmi jasno wykazują, że życie dla pewnej liczby wybranych jest niczem innym, tylko ciągłym tryumfem. Pocóż więc zbroić głowę lub pierś, hartować prawicę, wlewać dzielność do serca, ostrzyć wzrok, krzepić rozwagę i śmiałość, lub uczyć gladiatorского uśmiechu w chwilach skonaniam?

Nie, nie! Próżno ojczyzna jęczała w niewoli, próżno Niemiec i Żyd grabili w drapieżne dłonie ostatki krajowej chudoby; próżno ciemności, trzema berłami rządzone, zalegały narodowy widnokrąg; próżno młodzież wędła w rozpuście, kobiety w beczesnej sentymentalności; próżno bezrząd gryzał zatrutym zębem spokój rodziny — życie pomimo to nie było walką — życie było ciągłym weselem, tryumfem!

Dalejże więc na skroń co najbarwistsze kwiaty, na pierś najpiękniejsze jedwabie, klejnoty na wypieszczone ręce,

uśmiech na rozwałęsane rokoszą oblicza; a w usta upajające melodie i garście upiornych słów o miłości, o poświęceniu, o ciężkiej niedoli kraju, o twardem jarzmie wrogów — w usta wieczną gotowość do potwarzy, ryki zbójcekiej zawiści, zajadłe na cudze wady rozwścieklenie, wreszcie roszczenie do nierozwanej solidarności z Bogiem.

Ha! z tym ostatnim dziwną odgrywano komedję.

On tak, rzekłbyś, sądząc po nich, stworzył świat przypadkiem, w chwili chactycznych rozstargnień. Stworzył go, ale wnet pożałował niewczesnej fantazji i głęboko nią pogardził.

Złe się stało. Ludzie chodzili po ziemi; trzeba było dla naprawy wybryku wytłumaczyć im, że pobyt ich na tej dolinie płaczu nic w sobie nie miał poważnego, że natchnienia genjuszu, bolesne poświęcenia za bliźnich, szlachetne kajdany pracy, były marnością marności; trzeba było obrzydzić im własne swoje dzieło.

— Pielgrzymujemy, pielgrzymujemy! — wrzeszczały wytuzzone powszechną łatwowienością fakiry; w przedśionku dopiero jesteśmy, gdzie ledwie warto otrząść proch z obuwia.

Zaczem życie rozdarło się na potok i strugę. Pierwszy bystro i wesoło toczył codzienne rokosze, zadowolnione namiętności, rozlechtaną dumę, radą z siebie próżność, obrzękłe pijaną swawolą zmysły; druga ciekła westchnieniami ku zaświatnym bytom, dymiała kadzidłami zawistnemu Jehowie, szemrała wynurzenia bezsilnej miłości, a co największa, usprawiedliwiała pierwszy strumień z wartkich jego prądów i rozhulanych zalewów.

Wygodna teoria!

Gwoli niej, schło serce, to źródło gorzkich cierpień i oczarowań. Liche ostatki tak zabitego organu parowały do głowy, dawały zupełne złudzenie uczucia, miłości, przyjaźni, poświęcenia; pozwalały we łzach tonąć nad każdą nędzą, promień zapaleń na wzmiankę o szlachetnym czynie, płonąć zgrozą przeciw uciskom, drżeć gotowością ofiary, na włos atoli nie zaprzec samego siebie, gdy szło o wykonanie. Dla urzeczywistnienia tych wzniosłych uczuć w niczem żdźbła sobie nie

ująć — pomimo to jednak uważać się za istotę wyższą od gminu, uprzywilejowaną od Boga, czasami nawet świętą.

Dzięki temu systematowi, można było ze spokojnem sumieniem i z równą łatwością złamać życie bliźniemu, jak opłatek na komunji.

Przed ludźmi starczyło, na zwaliskach szczęścia i spokoju, lub na mogile ofiary, udrapować się w fałdy mistycznych z niebem stosunków; przed sobą samym i tego nawet nie było potrzeba. Dogmat Brenusowego fatalizmu bronił przeciw zgryzocie.

Wprawdzie ewangelja, którą znano po wierzchu, więcej przywiązywała wagi do czynów, aniżeli do słów; ale na te w wydatkowej księżce była osobna rubryka.

Co piątek rzucano garść pieniędzy żebrakom, nędzarzom; włóczęgom po domach rozdawano grosze, przytem tańczono, bawiono się, koncertowano na dochód ubogich.

Takimi krocząc ścieżkami, nie pojmowano dla czego żywcem nie dostawano się do nieba, chociaż po prawdzie, mimo niezaprzeconych praw do rajy, srodze obawiano się śmierci.

Podobny system bezrozumnej wiary i niewiernego rozumu, jako plugawy owad, kalał najbielsze młodzieńcze natury. Czasami wyjątkowy osobnik, wiedziony opatrzną dłonią wytrawionego w bolach umysłu, lub niespodzianie wstrząśnięty widokiem szczególnych a ważnych wypadków: rwał haniebne okowy, wydostawał się z jaskini fałszu na pełny przestwór rzeczywistego bytu, chłonał całemi pierściami nowe życie i od przeszłości swej ze zgrozą wzrok odwracał.

Liczba wybawionych własną potęgą od zgubnego wpływu, była nader szczupłą; coraz się nawet zmniejszała.

Inni, zawieszeni między tem piekłem kłamstwa a Olimpem prawdy, wazyli się w niepewności, z której biały lub czarny przypadek miał ich zepchnąć na jedną z dwóch stron.

Najszczęśliwsi zdawali się ci, których wykształceniem najmniej się niepokoiono, których naturę zostawiono najwięcej wolności.

Marja pod tym względem nie miała prawa się skarżyć.

Obowiązki, jakie rodzice byli sobie względem niej zakreślili,

nie wymagały ani zbytńich natężeń serca, ani poświęceń z własnej osobistości, ani wysilenń rozumu.

Ojciec uważał się za wywiązanego z długi rodzicielstwa, wydawszy pewną sumę na wyuczenie córki: muzyki, śpiewu, tańca i cudzoziemskich języków. Matka koiła sumienie, uprawiając ją do obrzędów religijnych, wodząc do spowiedzi, karmiąc w post rybami i ciastem. Oboje we własnym przekonaniu dopięli celu, czego wyraźnie im dowodziły pochlebne do koła sądy o piękności i o starannem wychowaniu Marji.

Szczęściem ziarno padło na wdzięczną z przyrodzenia glebę i rozkwitło w bujny kwiat wcale innej barwy i wartości, aniżeli te, o jakich marzyli siewnicy.

Wrodzone przymioty hrabianki, żywość jej natury, głębokość pojęcia, polskim zwłaszcza kobietom właściwa, wlały ducha w materjalne szczegóły jej wiedzy, w martwe formy sztuki, jakie próżność rodziców rzucała na pastwę dziewiczej jej ciekawości.

Sokolnik kierował córkę na piękny automat z pozytywką w głowie; Sokolnikowa szukała w niej własnego odzwierciedlenia.

Marja, dzięki swobodzie, w jakiej chowano jedynaczkę, wyrosła na kobietę. Powaby i zalety, w które strojono ją dla świata, ona w zapomnieniu o świecie, przyswoiła dla samej siebie. W tem leżała możebność jej zbawienia.

Ojciec kazał ją uczyć muzyki — jak zwykle, dla podziwu gości.

Wychowana samotnie, bez rówiennic, przyzwyczajona nad wszystkim zastanawiać się, marzyć i dumać, Marja wkrótce odgadła ukrytą, prawdziwą stronę sztuki. Pojęła, że muzyka miała swoje eleuzyjskie tajemnice, swoich wybranych arcykapłanów; że jeżeli dla ogólu była grą pokombinowanych dźwięków, przed namaszczoneymi natomiast rosła do potęgi mądrości serca, filozoficznego uczucia.

Cześć ta miała swoją hierarchję, swoje stopnie, godności, które czciciele musieli zdobywać ciężkim trudem, wyzwalaniem się z codziennych na świat zapatrywań, z materjalnych fałszywego życia przesądów.

Czerń bałwochwalcza sztuki hołdowała zewnętrznym jej przymiotom, biła czołem przed potęgą pokonanych trudności, męczyła ją dla uciechy podziwu nad potwornemi kształty, laskała do śmierci dla wzbudzenia nerwowych rokoszy.

Prawowierni w religijnem poszanowaniu otwierali upusty naturalnym jej wylewom, przestawali na usuwaniu zawał, na rozścielaniu przed nią szerokiego łożyska; uczestniczyli w uroczystem natchnieniu głębokiemu a spokojnemu biegowi czarowych jej nurtów.

Cóż dopiero rzec o tych, którym muzyka była rozrywką materialną dla ucha — a czasami nawet igraszką tylko dla oczu?

Sokolnik uważał talent córki za własną swoją zasługę. Często wyczerpawszy z gośćmi rozmowę o tytułach i zaszczytach antenatów, o wydatkach zamierzonych w celu powiększenia lub ozdoby majątku, o stosunkach z księciem kanclerzem i z dygnitarzami cesarstwa, prowadził ich do salonu, gdzie dla urozmaicenia czasu, prosił córkę o wyjątek z nowej opery, o walc kanclerzyny, o marsza księcia Lichtenstejna. Nazwiska te, od niechcenia przypięte do utworów muzycznych, utwierdzały w obecnych przekonanie o znajomościach, jakimi pan domu szczylił się w stolicy.

Marja, na wzór rozsamolubionych w skąpstwie Amfitrjonów miała swój gościnny, muzyczny katalog. Składała go zgraja tych hałaśników, jacy w każdej epoce opędzają muzyczne potrzeby gawiedzi, u których harmonja, melodja, natura, ustępują miejsca wrzawie, dysonansowym wrażeniom, upornym walkom z mechanizmem.

Poważnych mistrzów nie tyrała dla powszednich uszu. Ci dotąd byli jedynymi towarzyszami jej samotności. Przed nimi rozręskniona dziewczyna wypowiadała swoje żale, wspomnienia, nadzieje; u nich szukała pociechy na niewytłumaczone smutki, na błędne pogonie za pełną przyszłością przeczuwanych wrażeń. Śród nich znajdowała ulgę w gwałtownych biciach serca, w gwałtownych obiegach krwi.

Ileż razy wlepiwszy oczy w przestrzeń, puszczała swobodnie różane palce po klawiszach fortepianu, ileż godzin przetrwała w tej tajemniczej rozmowie z genjuszem melodji, gdzie

każde zapytanie znachodziło słodką odpowiedź, każde uczucie żywą wzajemność. Ież razy z rozchylonemi od wzruszenia ustami, ze łzawym od wewnętrznych niepokojów wzrokiem, zmuszała go, że płakał z nią i weselił się zarazem, że w kraje aniołów ją z sobą porywał, rozścielał czarowne krajobrazy, osłaniał tęczowemi chmury, tulił do śnieżnych skrzydeł i rzewno szemrał do ucha drżące a płomienne słowa miłości.

Głos ojca, przypominający spóźnioną porę, strącał ją nagle na ziemię.

Znikało złudzenie rozwiane zimnym podmuchem rzeczywistości. Marja z westchnieniem zamykała fortepian i dośpiewywała w myśli przerwana melodję.

Sprzeciwieństwo to między nią a starszem pokoleniem बोdło ją we wszystkim.

Sokolnik od pierwszych lat życia córki, kazał ją uczyć kilka języków. Wiedeńskie salony były zbiegowiskiem ludzi z różnych stron świata. Dygnitarz poił się radością na myśl, że w obec zdziwionego tłumu, dziecko jego z Włochem, z Francuzem, z Anglikiem, rozmówi się w rodzinnem każdego narzeczu. Dla niego i dla wielu jemu podobnych, głupstwo wypowiedziane w kilku odmiennych mowach, podrasowało do potęgi mądrości.

Marja, do chwili pierwszej nad sobą rozwagi, godnie zadowolniała ojcowską próżność. Wkrótce atoli daleko porzuciła za sobą rodziców, zaklętych w ciasnem ich kółku zapańżeń i wiedzy, która dla nich była ostatecznym celem: ona ją dla siebie uziła za środek.

Sokolnik rad rozrzucał po stolikach swego salonu bogato oprawne książki. Szczęściem było to podówczas, gdy zagraniczni księgarze po raz pierwszy powzięli byli myśl ozdobnego, panteonowego wydania znakomitych poetów.

Dzięki bogatym okładkom: Dante, Petrarca, Szekszpir, Goethe, Szyller, a nawet przed rokiem zmarły pod Missolongi poeta angielski Byron, dostali się do galicyjskiego pałacu.

Marja, znęcona wykwiłtnemi pozory, wzięła mistrzów do siebie.

Zaledwie jednak weszła z nimi w bliższą znajomość, wnet poczuła, że przestała do siebie należeć. Jedno było tylko uczu-

cie, gwoli któremu, jak się jej zdawało, pierś przesławnych wieszczów wzbierała natchnieniem. Byłóż ono prawdziwem, istniałóż rzeczywiście, zawierałóż w sobie tyle cudownych potęg, że człowiek niem przerażony płakał i wspominał bożemi słowy, jak Petrarka, że zdobywał mądrość i zgadywał Stwórcę wszech rzeczy, jak wielki Alighieri; że zatraczał myśl, ciało i ducha w głębinach szalonych rokoszy jak Romeo, lub w napadzie rozpaczy kończył jak Werther?

Beatrix, Julja, Medora, byłyż to kobiety do niej podobne, wzięte z rzeczywistego życia, lub też senne postacie rozognionej wyobraźni? Mogłaż dziś młoda kobieta tak samo czuć, kochać, cierpieć, poświęcać się, umierać? —

Marja odsuwała książkę, schylała powieki, tłumiała dłońmi nawalne tententy serca i w głąb własnej duszy zapatrzona, szukała odpowiedzi na ten różaniec zapytań.

— Ach! są jeszcze — mówiła sama do siebie wzruszonym głosem — są Desdemony i Gulnary, są jeszcze w naszym kraju kobiety, jak córka Portinarego, jak kochanka niemieckiego samobójcy — ale gdzież szukać Konrada, Otella, Romea, Werthera?

Marja nie śmiała od razu potępić jednej połowy rodzaju ludzkiego; oczekiwała więc, wyglądała, otwierała wolny wstęp przekonaniu, opartemu na rzeczywistości.

Nawał podobnych myśli roziskrzonych ciekawością serca, odbił piętno swoje na jej postaci.

Z głową nieco naprzód sklonioną, ślaniała się raczej niż chodziła. Pędzona z jednej ostateczności w drugą, z gorączkowego często wesela wpadała w głębokie zamyślenia. Nieraz pochylona u stóp matki, przez długie chwile słuchała rozmów jej z kapelanem. Sokolnikowa cieszyła się w duszy gorliwością, z jaką córka naklaniała ucha religijnym księdza Tapczyca przestrogom.

Marja słuchała, ale nie słyszała. Jednostajny dźwięk zapytań i odpowiedzi, bogobojnych westchnień i katechizmowych prawideł, pozwalały jej, kołysząc się szmerem słów, uciekać w kraje, o jakich kapelan miał niedokładne, Sokolnikowa zaś żadnego wyobrażenia. Rozpieszczona dziewczyna pomimo to wcale nie lekceważyła religijnych przekonań matki, ani prawd

wypowiadanych gętkim językiem księdza Tapczyca. Przeciwnie: żywiła ona gorącą cześć dla swojej patronki, pięknej nawróconej grzesznicy. W uroczystem zebraniu myśli często rozpamiętywała cnoty Zbawiciela, unosiła się nad łagodnym jego wyrozumieniem błędów ludzkich, nad miłością nawet ku wrogom, nad zaofiarowaniem się nawet za niegodnych. Ku niemu też rano i wieczorem zwracała pełną uwielbienia myśl, do niego odnosiła swoje uczynki, w jego imię niosła pomoc nędzy, jemu składała na ofiarę drobne swoje smutki, bezprzyczynne troski, szlachetne nadzieje.

Zgorzkniały życiem postrzegacz, fanatyczny pessimista, widząc jak dziewczyna, podobnie do nienasyconej pszczoły, rzucała się na każdy kwiat, na każdą moralną słodycz, byłby może wpadł na wniosek, że bierność ta natury oznajmiła brak rodzimych, twórczych sił; że zielona ta gałązka napróżno pięła się do życia, do słońca; w drzewie, na którym wyrastała, rzeczywistość, prawda, żywotność od dawna były już wypróchniały. Szlachetna niegdyś krew, dziś sączyła chorowite soki; kasta oberwanych wyzyskiwaczy z każdym dniem traciła warunki, byt jej usprawiedliwiające.

Zkądinąd dla czegoż Marja nie miała być labędzim śpiewem jednej z takowych rodzin? Niezaprzeczona wyłączność jej natury, zwłaszcza w pierwszej połowie naszej powieści, wbrew przeczyła najlogiczniej wywiedzionym paradoksom chudych apostołów rewolucji. Darmo! — Życie, dzięki Bogu! ma w sobie tyle różnaitości, że długo jeszcze nie będzie można podciągnąć go pod żaden żelazny system. Równość? — Ta dotąd najwyraźniej objawia się między dniami na wsi zamieszkałego szlachcica; ztąd życie sielskie dla ludzi, których natura w biernym mianowicie rozwija się kierunku, z upragnieniem z rokoszą chwytą każdą sposobność urozmaicenia swoich cieków.

Przyjazd szambelana głaskał próżność Sokolnika, który ze szczęściem ugaszczal potomka znakomitej w cesarstwie rodziny. Pani domu i kapelan chętnie witali w nim jednego z dalekich krewnych świeżo zamianowanego kardynała Szwarcemberga i arcybiskupa Szałgocza. Marji gość dodał obecnością swoją światła do własnych jej marzeń. Samo towarzystwo młodego

mężczyzny ożywiło mary jej wyobraźni, przyrzuciło wdzięku dośnionych przez nią ideałów, przedewszystkiem zaś nastroczyło przedmiot porównania.

Niemiecki panicz miał niezaprzeczoną zasługę. Nie tylko że na pierwszy pogląd nie raził oczu, ale nawet przyzwoicie odpowiadał wyszukany, światowym wymogom. Wrodzona narodowa sztywność trafnie mu przypadała do wyniosłego tonu pańskiego wychowania. Dobór wyrazów, okrągłość w obejściu, kawalerski szacunek dla kobiet, tłum ciekawych szczegółów, zaczerpniętych w kronice wysokiego towarzystwa pierwszych miast Europy, zdradzały człowieka z korzyścią wyżytego w wielkim świecie.

Dwudziesto kilkoletni junosza, który pomimo młodego wieku poufale wspominał o księciu kanclerzu, zrećźnie przytaczał na własne uszy słyszane dowcipy Talleyranda, odwoływał się tu i owdzie do rozmów toczonych na obiadach u Wellingtona — jednym słowem, pierwszej wody cesarski szambelan w całym znaczeniu tego wyrazu, nie małą ku Sokolnikowi wzbudził zazdrość w okolicznej galicyjskiej szlachcie.

Wtrawiony do pańskiego życia, do kielznięcia wrodzonych popędów, młody Fürstemberg nigdy się nie unosił, niczem nie dziwił, nad niczem nie zachwycał. Nieprzystępny, jak się zdawało, wzruszeniom, każde uczucie, każdy wypadek oceniał na wagę przyjętych w świecie prawideł i zwyczajów. Człowiek dobrze urodzony, zdaniem jego, miał do wypełnienia nieodłączne od siebie powołanie, ku któremu zimno, spokojnie musiał kroczyć, oraz święte obowiązki, oparte na godnym podtrzymaniu nazwiska i dotłoczeniu się, o ile możności, najbliższej do cesarskiej purpury.

Na tej ostatniej drodze szambelan znaczny już był uczynił postęp: podczas walnych dworskich uroczystości stawał z serwetą za krzesłem samego cesarza. Co do zadość uczynienia pierwszym warunkom, potrzebował bogatym małżeństwem powetować nieszczęsne pierworodzstwo starszego brata, który prawem majoratu zagarnął był całą ojcowiznę.

Ton, jaki Sokolnik utrzymywał w Wiedniu, a może nawet w pewnej części i wdzięki Marji, zwróciły uwagę wydziedziczonego na polską hrabiankę. Nie chcąc atoli mieszczać się nie-

przystojnym dla panów pośpiechem, wyrobił sobie w Wiedniu rozkaz udania się za rządowymi sprawami do Lwowa. Stanowisko to dozwalało mu prowadzić poczęty zamiar z należytą ostrożnością, niepotrzebnie za daleko się nie wysuwać, godności własnej w niczem nie narażać, zwłaszcza zaś majątkowi Sokolnika z blizka się przypatrzeć.

Zaproszony we Lwowie na wieś, z początku wymawiał się rządowymi zatrudnieniami; po długich jednak naleganiach przyjął zaprosiny i w kilkanaście dni po wyjeździe Sokolnika z miasta stawił się na słowie.

Marja wcale nie odgadywała prawdziwych zamiarów szambelana. Dusza jej pełna szlachetnych uniesień, broniła przystępu pojęciu nawet o możebności w podobnym razie jakiegokolwiek rachuby. Nie wątpiła atoli, że rodzice jedynie wdziękom córki winni byli odwiedziny młodego dygnitarza.

Stanowisko społeczne, wykwintna powierzchowność, powszechnie cenione zalety nowego czciciela, wywoływały w niej to uczucie zadowolenia, jakiem hołdy zalotnika, poważanego od gawiedzi, przejmują każdą młodą dziewczynę. Hrabianka mimowolnie uległa wpływowi wiary we wrażenie, jakie istota jej wywierała na gościu. Oczywiście, ten ostatni porzucał świetne towarzystwo stolicy, przyjeżdżał z Wiednia dla zadość uczynienia niepokojom serca, tajemnym a nieprzyzwyczajonym popędom uczucia, przyjeżdżał uwielbiać, cieszyć się drogim widokiem.

Wypadało odpowiedzieć temu poświęceniu, roztaczając przed nim w całym blasku urok, którego skutki objawiały się w tak wyraźnych dowodach.

Szambelan nadewszystko cenił wykwintność obejścia. Zepsuty pod tym względem przez kwiat kobiet najświetniejszych towarzystw, na każdy szczegół codziennego postępowania, na każdy odcień w słowach, w ubiorze, zwracał drobiazgową uwagę.

Po kilku dniach pobytu na wsi przekonał się, że kobiecy ten kwietnik, o jakim często wspominał, znalazł w pięknej Polsce swoją królowę.

Marji z łatwością udało się przewyższać wszelkie jego oczekiwania. Dość było rozwinąć wrodzone kobietom jej narodu

zalety i dziwną łatwość do odgrywania wszelkiego rodzaju komedji.

Tymczasem przybycie nowego, drugiego gościa otwierało jej nowe pole, nowe wrażenia, nowe zajęcia.

Kazimierz na kilka dni przed Sokolnikiem opuścił był miasto. Piotr naglił go do wyjazdu, tłumaczył się koniecznością zdania mu na gruncie rachunków z opieki, żalił się na zbytek zatrudnienia; z niechęcia przypominał, że czas nadszedł, aby młodszy brat połowę ciężaru przyjął na siebie.

Kazimierz z serdecznym pośpiechem biegł naprzeciw życzeniom Piotra; w podziale pracy sądził, że według słuszności, nie połowa, ale całość mu przypadała. Po dwudziestu przeszło latach ciężkich dla wspólnego dobra trudów, opiekun jego miał niezaprzeczone prawo do spoczynku.

W tym też duchu młodszy brat przy wyjeździe ze Lwowa wypowiedział starszemu nieodmienne swoje postanowienie. Uгода pod takimi warunkami trudną była do zawarcia.

Dla przepełnionej działalnością natury Piotra, spoczynek mógł się znaleźć tylko w zajęciu. Bezczynność, pogoń za rozrywkami, nazywana dotąd używaniem życia, byt osadzony wyłącznie na pasożytnem w siebie wgarnianiu, byłyby go zabiły. Praca, trudy, zabiegi, były właściwym żywiołem, który w miarę obfitości, sił mu dodawał.

Z początku jednak Poraj zmyślił wdzięczne przyjęcie ofiary brata, wypytywał go ciekawie o szczegóły życia zagranicznego, o osobliwości, o przedmioty rozrywek. Kazimierz poił się uciechą, w nadziei, że pochwydzi sposobność wywdzięczenia doznanych przysług, że z kolei zastąpi dobroczyńcę w jego zachodach i pozwoli mu nacieszyć się widokiem zagranicznych zakładów rolniczych i przemysłowych, o których Piotr z żywą ciekawością zawsze wspominał.

W podobnem usposobieniu obaj wyjechali ze Lwowa.

Po kilkunastu godzinach szybkiej podróży, droga zaczęła łamać się w częstsze zakręty. Po obu jej stronach tu i owdzie otwierały się wąwozy, dalej ziemia wzdymała się w pagórki, ścieląc garb na garbie, pięła ku czerniejącym jodłowym lasom, aż wreszcie rozhukanemi podrywy darła błękit siwym grzebie-niem karpackich wierzchołków.

Po długim pociągu pod górę, podróżni zjechali rozplaszczonym jarem na lekko wklęsłą dolinę.

Karpaty wisiały im nad głową. Dzikie a zadumane, stare, uspione w zgrzybiałej potędze, przeglądały omszone grzbiety w rozzwierciedlonem na dnie doliny jeziorze.

Z drugiej strony wody, jakby w ucieczce przed powodzią, stado wiejskich chat pod przewodnictwem kościoła z wieżą i dzwonnica, tuliło się jedna za drugą do gościnnego łona gór.

Chmurne szlacheckiem oburzeniem zwaliska starego zamku, urągające jezioru ze szczytu zwieszonyj nad niem skały, z pychą zdawały się poglądać na korną ciżbę przypadłych im do stóp siedzib chłopskiego ludu.

Niezgoda między gruzami zamczyska a wioską, od razu biła w oczy. Słomiane strzechy odwracały powoli czupryny, stroniły ze wstrętem od zwalonego z nóg olbrzyma i biegły co siły ku starannym wiejskim zabudowaniom, biejącym wśród drzew i ogrodów, wesoło rozsiadłym około nowego pańskiego dworu, który nasunawszy na oczy czerwony dach, na milę przeszło świecił jasnemi ścianami.

Kazimierz w zachwyceniu wodził wzrok po krajobrazie, pieścił się ze szczegółami, weselił dziwną grą barw, wspaniałym widowiskiem natury, swobodą, z jaką ludzie w mimowolnem poczuciu tej krasy umieli pośród niej się osiedlić.

Piotr nie otwierał ust; mało przed siebie, na brata jednak nieustannie z pod oka poglądał: śledził pasmo wrażeń, jakie każdy krok przed duszą młodzieńca rozwijał, marszczył skrytym uśmiechem usta, rozjaśniał oczy. Pierwszy nareszcie przerwał milczenie:

— Nie miałeś, Kaziu, spełna dwóch lat — rzekł — kiedy z nieboszczką naszą matką po raz pierwszy byłeś w Hucułowie. Ona to wniosła w dom nasz ten majątek. Byłaby nawet chciała w nim zamieszkać, ale ojciec, pomimo najszczerzej chęci, nie mógł tak daleko od własnych dóbr się wynosić. Nie uwierzysz, z jakim rozrzewnieniem nieboszczka wspominała zawsze o Hucułowie. Marzyła osiąść tu na stare lata, założyła nawet w tym celu ogród; z własnych oszczędności wystawiła chłopom nowe chaty i gospodarskie zabudowania; co rok dawała im zapomogi, wyposażała dziewczęta, żywiła biedne i kaleki.

— Kochana matka!

— Wiesz, jak ciebie kochała. Ty miałeś być dziedzicem tego majątku i błogosławieństw, o jakie ludzie modlili dla niej u Boga. W kilkanaście miesięcy po twojem urodzeniu przywiozła cię do ulubionej wioski. Tutejszy proboszcz chrzczył cię z oleju, tutejszy sołtys z żoną trzymali cię do chrztu. Ludzie z płaczem ją żegnali: obiecywała im na przyszłe lato powrócić. W trzy miesiące potem już jej nie było na ziemi! —

— Biedna matka!

— Bóg nie pozwolił jej doczekać się z ciebie pociechy. Z jakimże szczęściem, z jakim seroem, byłaby myślała o twojem osiedleniu, urządziła ci mieszkanie, wyglądała twego powrotu! Sądziłem że nie możemy godniej uszanować jej pamięci, jak wypełniając ostatnią jej wolę.

— Odgadłeś mię, Piotrze! Nie spodziewam się żadnych podziękowań; to ostatnie dobrodziejstwo niczem nie da się odplacić.

— Zaczekaj, zaczekaj, jeszcze nie wysłuchałeś rachunków. Pamiętaj, że dokupiłem do Huculowa cztery wioski, przeszło pięćset włók gruntu. Jeżeli zatem chcesz, możesz objąć ten majątek. Jest on wprawdzie mniejszy od części, którą zachowałem dla siebie; nie zapominaj atoli, że ciężary całej masy przyjąłem na własne plecy, że wreszcie i druga część, iż wszystko do ciebie należy. Co do hipoteki, majątek ten czysty jak Iza.

— Piotrze! żartujesz sobie. niecierpliwisz mię — przerwał z uśmiechem Kazimierz, ściskając mu rękę.

— Byle się tylko na tem skończyło! Obawiam się, abyś czego gorszego nie powiedział na widok mizernego stanu twojej chałupy, niewygody, braku tych wszystkich szczegółów, do jakich przyzwyczaiłeś się w zagranicznych pałacach. Cóż chcesz? Co brat, to nie matka!

— Mój Piotrze! — przez litość! przestań, albo wyskocz z powozu.

— Śmiej się — tem lepiej! Wolę cię widzieć wesółym. Mnie samemu lżej na sumieniu; może też tym sposobem uniknę bury. Masz tobie! choćbyśmy chcieli, nie czas już zawracać; zajeżdżamy.

Szeroko brukowana ulica wiodła do dworu. Kilka gęstych klombów zasłaniało od frontu kuchnie, stajnie i inne gospodarskie zabudowania. Piaskiem usypane ścieżki błyszcząły między aksamitnymi płachty zielonej murawy.

Dwóch służących w świątecznej odzieży poskoczyło do drzwiczek powozu.

Stary, z siwą jak gołąb głową, kredencierz stał u progu.

Kazimierz osłupiał z podziwienia. Piotr żywo pociągnął go za sobą.

— Jak się masz, Mateuszu? — Stary druh, mój bracie, usługiwał nieboszczce naszej matce, kiedy była jeszcze panną. Mateusz skłonił się głęboko. Kazimierz uściskał mu rękę.

— Oto masz wchód, sień i przedpokój. W głębi izba dla służby; na prawo drzwi do stołowego pokoju, na lewo do bawialnego. Prowadź nas, Mateuszu!

Trzeba było dziwnej delikatności serca, macierzyńskiej prawie pamięci, aby nie zapomnieć tych wszystkich szczegółów, jakie przedstawiły się zdumionym oczom nowego dziedzica. Uczucie kobiety i przezorność ojca mogły tylko zdobyć się na podobne zadośćuczynienie potrzebie; wygodzie, wdziękowi, a nawet zbytowym przyborom.

— Jakto, mój bracie! biblioteka? — O wszystkim więc myślałeś?

— Zakupiłem ją na licytacji po profesorze literatury krakowskiego uniwersytetu. Nie spełna dwa tysiące tomów, ale wyborowych. Zaręczano mi, że znajdziesz w niej wszystkich polskich pisarzy i znakomitszych zagranicznych. Wreszcie to, czego ci brakuje, sam najlepiej potrafisz dopełnić.

Kazimierz wzruszył ramionami; zdało się mu, że marzy.

— Ten oto stolik do pracy wykonany we Lwowie, wedle własnego mego planu; w samą miarę do pisania; szeroki — jest gdzie się rozprzeździć.

— Cóż znaczy rozwieszona nad nim na ścianie zielona zasłona?

— Chciałem szczegół ten zostawić na ostatek, ale darmo! Kiedyś wypatrzył moją tajemnicę, samże ją odsłonił.

Młodzieniec wskoczył na stół i porywczco odchylił fałdy jedwabiu.

Był to naturalnej wielkości wizerunek młodej kobiety. Między szlachetnymi jej rysy a dwoma braćmi uderzało wyraźne podobieństwo.

Starszy z założonemi na piersiach rękami, z oczyma pełnemi łez wpatrywał się z dala w obraz; młodszy w milczeniu zbiegł na ziemię, rzucił się w objęcia brata i cały naprzód pochyłony, topił wzruszony wzrok w to uroczyste dłań oblicze.

Wrażenie ogarniające dwóch tych ludzi, w oderwaniu od świata zapatrzonych w martwe barwy płótna, było akordem dziwnej świętości, chwilą zobopólnego zatracenia się w bezdennej toni niewysłownych uczuć.

Kazimierz pierwszy wrócił do rzeczywistości i raz jeszcze uściskał brata.

Piotr śmiał się serdecznie z niespodzianki; łzy grubemi kroplami płynęły mu po twarzy.

— Chodźmy dalej, Kaziu; przed wieczorem musisz wszystko obejrzeć. Nie pamiętałem, czy jesteś myśliwym; od przybytku jednak głowa nie boli. Przeszłego roku, wracając z Karlsbadu, zwiedziłem czeskie rękodzielnie broni. Zamówiłem dla nas obu kilkanaście sztuk. Nie ma miesiąca jak mi je przysłano. Mateusz koniecznie chciał porozwieszać je w trofea. Posądzam go, że wymyślił te ceregiele dla wyłudzenia mi dwóch zupełnie starożytnych uzbrojeń, których, jak utrzymywał, nieodbicie potrzebował dla ornamentu. Cóż czynić! Musiałem uleść wymogom ornamentu. Ale dość już oglądać twoją chałupę; czas przejść do rzeczy nieco ważniejszych; obejrzyjmy z blizka gospodarstwo.

Poszli między zabudowania, gdzie Piotr znajdował się w właściwym sobie żywiole. Ujawszy brata pod ramię, wodził go po okólnikach, kazał wyprowadzać wierzchowe i pociągowe konie, pokazywał bryki, kolaski, powozy, wstępował do obór, do owczarni, do stodół, nie pokwitował z żadnego szczegółu, nie zaniedbał korzystać z najmniejszej sposobności wtajemniczenia go do arkanów rolnictwa i wiejskiego przemysłu.

— Początki we wszystkim trudne — mówił, objaśniając niektóre własne odkrycia — przy chęci jednak w końcu roku możesz ujść za pierwszego gospodarza w cyrkule. Polecam ci twojego rządcę, starego Sikorskiego. Człek doświadczony,

dobry dla ludzi i od wielu lat duszą do naszej rodziny przywiązany. Szkoda tylko, że czasami nie umie pohamować swoich gospodarczych zapalów. Czy uwierzysz, że ledwom wyprosił u niego nietykalność dla gruzów zamczyska? Dowodził, że nie godzi się zostawiać bez użytku doskonałej cegły i koniecznie chciał z reszty zwalisk wystawić na tem samem miejscu browar. Wyznam ci, że gdyby Huculów do mnie należał, może nie byłbym wcale się mu sprzeciwiał; ale ty jesteś młodszy, masz zapewne w tym względzie odmienne od moich pojęcia. Wreszcie zamek po Firlejach, pamiątka historyczna; nie chciałem ruszać jej bez twego rozkazu.

— Miałeś słusność, mój Piotrze! Prędzej rozumiem na szczyte skały kupę gruzów, aniżeli fabrykę piwa i gorzałki.

— Zapewne; szkoda położenia. Kto wie zresztą, czy kiedyś jeżeli Bóg pracy naszej pobłogosławi, a dom twój za ciasnym się okaże, kto wie, powtarzam, czyli nie udałoby się podźwignąć stare mury? W całej okolicy nie znam na dom mieszkalny piękniejszego miejsca.

Nadzieja w przyszłości pracy dla synowców, pracy, jakiej dotąd Piotr nie szczędził dla młodszego brata, na chwilę go nie odstępowała. Życie jego zdawało się nie mieć innego bodźca, innego celu. Kochanek schnący z upragnienia za ślubną obrączką, nie staczał uporczywszych walk z własną niecierpliwością.

Kazimierz udał, że nie odgaduje ukrytego znaczenia ostatnich słów brata. Snać nie rad był wszczynać rozmowy, w której sam przed sobą, z własnych przekonań i zamiarów, nie byłby zdał sumiennej sprawy. Wolał raczej dla wywdzięczenia bratu jego dobroci, zwrócić rzecz na ulubioną mu kolej rolniczych ulepszeń, gospodarskich przedsięwzięć.

Piotr chętnie rozwijał przed nim pasmo swoich doświadczeń, wskazywał najpewniejsze drogi ulepszenia bytu włościan, pomnożenia wspólnego dobra. Wiedziony wrodzoną pojętnością serca, nie wyzywał brata na sprawy o małżeństwie; lękał się, aby niewczesne słowo nie rzuciło uroku na plan, jaki od pobytu we Lwowie snuł się mu po myśli. Czasami jednak, mimowolnie niby, otwierał furtkę wynurzeniom Kazimierza, śledził naturę

jego charakteru, natrącał swoje uwagi o kobietach — ale nadaremnie.

Kazimierz chętnie towarzyszył mu w fizjologicznych wycieczkach na pole niewieścich uczuć, sam atoli stawał się na zewnątrz i do własnej osoby unikał wszelkich zastosowań.

O Sokolniku i jego żonie żaden z nich dotąd ust nie otworzył. W kilka dni dopiero, na samym odjeździe, Piotr żegnając się z bratem, przypominał mu niby od niechcenia, że nie należało zalegać odłogiem zaprosin magnata; że obietnica dotrzymania słowa na obu nich zarówno ciążyła, że jednak rad byłby, aby Kazimierz go wyprzedził; on sam bowiem dla nader ważnych spraw, przez parę tygodni kamieniem będzie musiał w domu pozostać. Kilka ogólnych zaręczeń brata, wyrzeczonych z uśmiechem, ze ściśnięciem ręki, uspokoiły obawę Piotra, który pełen nadziei i otuchy odjechał, przędząc w myśli szczęśliwą nić ulubionych zamiarów.

Kazimierz pozostał sam.

On nie zastanawiał się, ani rozmyślał nad swoją przyszłością; skupiał raczej w jedno ognisko rozpierzchnęte iskry doznanych wrażeń i własnych pojęć, wywoływał w imię rzeczywistości otaczającą go teraźniejszość, rozglądał jednego po drugim ludzi, z którymi los na rodzinnej ziemi rzucał go w stosunki; kładł im rękę na tętno, pytając, siła li w nich jeszcze życia; ważył ich w sumieniu, badał zarody dzielności i prawdy.

Fanatyczny prawie czciciel białego, wszechwładnego Boga, wierzył w złe strony ducha jako w przypadek, jako w chorobę, z której trafne a proste częstokroć lekarstwo mogło cierpiącego wyzwolić i w całą potęgę sił moralnego zdrowia uwielmożyć.

Sił tych na gwałt było potrzeba.

Druga matka, ta, którą Kazimierz zarówno kochał, matka nieśmiertelna, konała z wycieńczenia. Wróg dławił ją do ziemi kolanem, krew z niej wysączał, a co gorsza, co najgorsza: truł w niej żywiły serca, gasił błyski rozumu, bezcześcił jej istotę gangreną dworskiego służalstwa, jezuickiego obskurantyzmu, szlachecianych, strupieszalnych pojęć.

Dzięki magnatom, księżom, mniej więcej otytułowanej

szlachcic i cesarskim urzędnikom, najdroższy niegdyś klejnot polskiej korony, Galicja, grzęzła w ostatniem upodleniu.

Hańba, przesąd i hierarchiczny ucisk, coraz gęstszym kirem zachodziły na jej widnokrąg.

Oczywiście był to stan anormalny, z którego przy dobrej woli można było się otrząsać.

Jakto! Czyliż wówczas, gdy Włochy pasowały się w konwulsyjnych z ciemną przebojach, gdy zapępiały ofiarami cesarskie więzienia, gdy prąd rewolucyjnych pojęć nurtował Francję; kiedy w Królestwie wszystko gotowało się do wybuchu, kiedy Litwa uniwersytecką młodzieżą zaludniała Sybir, kiedy sami Moskale przed niedawnymi czasy grudniowym zamachem tylko co nie byli wygnietli carskiego plemienia — miałaż w obec tego powszechnego stanu umysłów sama jedna Galicja pełzać u stóp księcia kanclerza, pić, grać, hulać, jeździć konno, polować, lub małpować uwierzęconych w próżności wiekańskich magnatów? —

Nie — nie! Letarg nie śmierć, gorączka nie dżuma, chwilowy obłąd nie wieczne zbydłecenie! Świat był do podważenia; należało wynaleźć dźwignię, a tą było piorunowe słowo wiary w wolność i w prawo do życia.

W podrózach swoich po Włoszech, Kazimierz zaprzyjaźnił się był z ludźmi, którzy później przeszedłszy przez Golgotę sądów cesarza Franciszka, wiele nazwisk dodali do świętego martyrologu ludów. Zetknięcie z tymi krzyżownikami wolności, wywarło na nim potężne wrażenie, roznieciło w szeroki płomień tłące na dniu ducha iskry.

Powróciwszy do kraju, szukał ludzi podobnych do lombardzkich swoich druhów.

Do koła rozlegały się śmiechy, hulanki, polowania, tańce.

Nic dziwnego. Ileż to razy we Włoszech, na walnych balach sprzysiężeni szepotali sobie w ucho tajemne hasła, lub podczas gradu oklasków, sypanych prima-donnie w La Scala, udzielali sobie nawzajem niebezpiecznych wieści!

Albo nieśmiertelność duszy była głupią chimera, lub też niewiara w obudzenie uspiętego zapału, zdrętwiałej miłości do swobody i do kraju, stawały się świętokradztwem.

Położenie Kazimierza usprawiedliwiało ufność, jaką sam w sobie pociuwał.

... Młody, trawiony gorączką czynu, zahartowany przekonaniem, majętny, wsparty powagą powszechnie szacowanego brata, po raz pierwszy zjawił się w kraju. Cierpkich stosunków nie liczył, nieprzyjaźniom nie dał żadnej przyczyny; pełen poleźania dla drugich, wierzył w ludzką wzajemność. Sam gotów na wszelkie ofiary, dla czegożby nie miał otworzyć oddawna wyschłych w kraju źródeł poświęceń?

Ach! na brak poświęcenia uskarżać się niepodobna. Dopóki w jednej chociaż Polsce krąży krew narodowa, dopóki język ojczysty w jednym jeszcze niewieściem sercu budzi lube wrażenie, dopóki dziewczęta śpiewają pieśni o Częstochońskiej Królowej, dopóki jedna jeszcze matka kołysze dziecicę przy takiej piosence.

W naszym kraju kobieta stoi na straży arki ojczystej nieśmiertelności: ona pchnie męża do czynu i dzieci wyśle na pole bitwy, i nad poległymi zapłacze, a więźniom przez kraty błysnie promieniem nadziei.

Samemu jednemu tęskno puszczać się w przepaścistą wędrówkę żelaznych z przemocą zapasów.

Stokroć szczęśliw, na czyjej drodze los postawi polską w Polsce kobietę, anioła z mieczem świętej odwagi i palmą męczeńskiej wytrwałości! Ten nie zachwieje się zobojętnieniem, nie zastygnie rozpaczą; temu boleść skarbem słodkich wynagrodzeń, walka koniecznem użyciem niezmiernych sił, zwycięstwo czystym od osobistości tryumfem, porażka źródłem pociechy z dopełnionego obowiązku, zgon zdobyczą podwójnego na wieczność szczęścia.

Człowiek zamknięty w wyłącznej swojej osobistości, jest istotą bierną, niczem i wszystkim zarazem, stosownie do wpływów, jakie nań biją. Nie ma ludzkiego stworzenia, któreby nie posiadało zupełnej gamy tonów ducha. Być może, że struny życia często fałszywie dźwięczą, że ślepe uczynki zgrzytliwym skrzypem co chwila słuch rozdzierają — godziź się zawsze obwiniać narzędzie, nigdy zaś przypadek, który mąci melodię bezmyślnymi akordami? Niechaj biegną dłoń mistrza spocznie na porzdzewiałych strunach, niechaj w pełni natchnienia

wywie je do życia, niech potęgą woli rozbudzi w ostatecznych atomach uspiony hymn wielkości i prawdy — wnet ciemne dane rozstroje ulecą przed promieniami boskiej harmonji.

Jeżeli podobnym wpływom ulega mąż, cóż dopiero rzecz o niewieście, gdzie mistrzem często iskra jednego szlachetnego uczucia, jeden mimowolny wykrzyk z głębin serca wyrwany?

Szaleństwem ukarzać się na świat, dziwić jego zepsuciu, samolubstwu, małostkom, błędom, wadom lub zbrodniom! Ludzie są tem, czem sami ich tworzymy. Za zbrodniarza powinni odpowiadać rodzice, krewni, przyjaciele, znajomi; jak nawzajem któryż bohater dorósł wysokości własnych czynów?

Jedynem uczuciem, jakie pierś człowiecza sama w sobie, przez siebie i nie dla siebie wyrabia — jest poświęcenie kobiety.

Starzy ludzie prawią, że w podobnych chwilach niewiasta traci w sobie ziemskość, że staje się nieprzystępną boleści, że nie rozumie cierpienia; że o szczęściu, o rokoszy, o przyjemnościach własnego życia słucha obojętnie, jak gdyby w słowach tych nie znachodziła żadnego znaczenia. Seraficzne stworzenie! Jeżeli często ofiaruje się za istoty niegodne jednego zdźbła tych skarbów serca, czegoż się po niem spodziewać, skero wzniosłość męzkich usiłowań, energia narodowego czynu, nadzieja powszechnego wyzwolenia, sypną zarzewia na to poświętne ognisko miłości?

Starzy ludzie gwarzą o tem słodko, z uśmiechem, jak o kwiatkach paproci.

Niech skąpiec, gracz, lub spekulant, samotnie puszczają się w pogoń za złotem; niech rozpustnik i samolub pędzą sami jedni za rokoszą, niech opętani chęcią zaszczytów lub władzy, pelzają w odosobieniu przed tronem lub opinią gawiedzi — człowiek, który w sercu nosi ludzkie zamiary, który życie wydaje dla zwycięstwa sprawy światła, swobody, godności — raczej niż samotnym manowcem ruszy we dwójną, szeroką drogą, wsparty potęgą siostrzanego ducha, koniecznem dopełnieniem ludzkiej jednostki.

W podobnych rozmyślaniach Kazimierz strawił kilkanaście dni po odjeździe Piotra. Odosobienie coraz ponętniejszemi

barwy tęczywało mu ideal, który na dnie serca wypieszczał. Śród wieczornych przechadzek nad jeziorem snuły się mu szeregi niewieściich postaci przyodzianych w rysy żywo tkwiące mu w pamięci.

Pewnego dnia kołysany wewnętrznym niepokojem, przypomniał sobie daną Piotrowi obietnicę. Przywiązanie do brata nie pozwalało mu zwlekać spełnienia choćby ostatniego z jego życzeń.

Kazimierz wyjechał nazajutrz do Sokolnika.

Magnat przyjął go ze zwykłą uprzejmością, dziękował, kilkakrotnie ścisnął za rękę.

Szambelan jakkolwiek we Lwowie jeszcze uprzedzony przez Sokolnika, że Poraj należał do znakomitej w kraju rodziny, nie słysząc atoli żadnego tytułu przed nazwiskiem nowego gościa, zeszytniał i o dwa guziki wyżej zapiął się pod szyję.

Dropnostki te uchodziły uwadze Kazimierza. Nie przypuszczał skutku bez przyczyny. Jakież zaś powód niechęci ludzie mogli byli wynaleźć przeciw niemu, który względem każdego żywił najczystsze zamiary? Pocóż wreszcie było zastanawiać się, badać, gatunkować poziome chwasty i pełzający mech, wówczas, gdy w rokosznej woni i czarownych barwach rozwijał się mu przed oczyma kwiat, młoda dziewczyna, stulistne różowe zjawisko, uosobienie przyrody, rozweselonej do kęsa we wiosnie?

Kilka tygodni ubiegłych od wyjazdu Kazimierza ze Lwowa śladu nawet cienia nie rzuciło na znajomość z Sokolnikiem i z jego rodziną. Marja przywitała go z tym siostrzanym wdziękiem, do jakiego ośmielały ją długie i poufałe w mieście rozmowy i uprzedzająca dla Poraja gościnność rodziców. Pamiętała, że Kazimierz pierwszy odzywał się do niej odmiennym od powszechnego, nowym dla niej językiem, że rozmowy nie prządl z bladych ogólników o jej wdziękach i często odkrywał przed nią pojęcia i prawdy, nad którymi później w samotności dziewczyna wpadała w głębokie dumania.

Pospolite niewieście natury dają się ujmować holdowi składanemu ich postaci; wykwintniejszym wystarcza zadość czynienie ich próżności; wyborowe cenią przedewszystkiem sprawiedliwość oddawaną zaletom ich umysłu, powzięte przekonanie

o niezwykłych przymiotach rozumu, a zwłaszcza serca. W ogóle chcąc pozyskać ich łaskę, nie należy posądzać je o pojęcie rzeczywistego życia, czyli o brak poezji, o poważną sposobność odpowiedzenia obowiązkom kobiety w rodzinie, czyli o tak zwaną prozaiczność, odartą z wszelkich złudzeń.

Rzecz prosta, do wywnioskowania niesłuchanie łatwa. Pojmować filozofję, czuć i rozumieć sztukę, zgłębiać stosunki narodów i ludzi, daleko trudniej, aniżeli być dobrą matką i gospodynią. Lada chłopka potrafi wykarcić dziecię i mężowi zgotować strawę.

W towarzystwie Sokolnika najchętniej rozmawiano o zagranicy.

Szambelan dostatecznie w tym względzie zaspokajał ciekawość starszego pokolenia, przytaczając anegdoty o znanych z nazwiska ludziach. Marja radziej słuchała Kazimierza, który z umysłowego lub estetycznego oglądu przypominał swoje podróże. Uderzała ją nowość spostrzeżeń; bawił szczególniejszy zakrój opowiadań młodego gościa.

Ile razy rozmowa zapędziła się na cudzoziemskie okolice, Poraj schwyciwszy pierwszą lepszą myśl, obraz, zwyczaj, wynalazek, mimowolnie powracał do ojczystej ziemi. Porównanie zawsze wypadło na korzyść Polski. Tu i przyroda miała więcej różnaitości, i historia więcej bohaterów, i męże więcej dzielności, i kobiety więcej powabów. Na polskiej ziemi mniej było przepychu, ale i mniej zbrodni — mniej blasku, ale też mniej fałszu — mniej wygładzonej układności, ale więcej serca i poświęcenia.

Marja po raz pierwszy niemal dowiadywała się o istnieniu Polski.

Pojęcie ojczyzny zakiełkowało w niej pod natchnionem słowem młodzieńca. Lud wiejski, natura, niebo, wypiękniały jej do koła, kwiaty wyrosłe na rodzinnej niwie nabrały nowego uroku.

Stworzycielem tego nieznanego jej dotąd świata był Kazimierz; każda myśl z tego wątku wysnuta w głowie dajewczyny, musiała wracać, odnosić się do jej twórcy.

Poraj pełnemi usty chłonał szczęście z tej Pygmaljonowej czary rokoszy, lubował się słodyczą napoju, chociaż dotąd

wcale nie badał, nie pomyślał nawet o określeniu sam przed sobą natury przejmującego go uczucia. Cieszył się widokiem życia, ujętego w powabne kształty, zapominał o sobie — gdzież bowiem szczęście bez zupełnego oderwania się od własnej osobistości?

Towarzystwo Kazimierza rzuciło Marji nowe światło na otaczające ją przedmioty, na sądy jej, na myśli, na marzenia.

Drobnostki, które bawiły ją dawniej, dziś mdłemi zaczęły się jej wydawać. W anegdotach szambelana, w sposobach zapatrywania się na świat ojca, w religijnych argumentach kapłana, raziła ją czczość, fałsz, jednostajność. Do gościnnej nawet muzyki straciła odwagę; wolała w milczeniu zaniechać fortepjan, aniżeli upokarzać go kłamiwą harmonją, w jakiej smakowali zwykli jej słuchacze. Skoro zaś gwoli powszechnym naleganiom przyszło jej koniecznie zaczepić klawisze, siadała sama rozstrojona, uderzała kilka akordów, wyrwała stronom kilka ulotnych przejęć, poczem ciągnęła dalej przerywaną rozmowę, jak gdyby spieszyła z wypłatą nieznośnego długu. Żal jej było ulubionych mistrzów dla ogłuchłych na prawdę uczuć — żał większy występować przed Kazimierzem z tak oczywistemi dowodami artystycznej ciemnoty.

Poraj na szczęście wiele rzeczy pojmował lub umiał odgadnąć. Czasami za pierwszym drgnięciem strun, jakby do żywego dotknięty niezwykłością tonu, nagle porzucał towarzystwo, siadał w przeciwnym rogu salonu i osłaniał się milczeniem.

Marja spostrzegąła go w zwierciadle, zawieszonem naprzeciw fortepjanu.

Kazimierz nie błagał nigdy o muzykę, sposobem atoli z jakim słuchał, dowodził o ile był jej godnym. Utkwiwszy w dół oczy, od pierwszej do ostatniej nuty nie zmieniał postawy, nie podnosił wzroku, nie wyrzekał słowa; zdawało się, że z posyłanych mu dźwięków wiał w głębi ducha jakieś drogie sercu fantazje.

Dziewczyna z początku ukradkiem poglądała w przyjazne zwierciadło; przekonana atoli, że nie potrzebowała lękać się zdrady, pozwalała unosić się porywającemu ją uczuciu. Zapatrzona w tęskne oblicze młodego słuchacza, powoli z muzyki tworzyła monolog, o jakim w rozumialszej mowie nie byłaby

może śmiała udzielić najłżejszego domysłu. Rozповідаła więc przed zwierciadlanym obrazem to, czego sama przed sobą wypowiedzieć nie mogła: niepojęte smutki, gorące niepokoje serca, urywki drżących rokoszą, błagalnych hymnów, słowicze bole, lzy omajone uśmiechem, rzewne wesela, rozpacje pełne nadziei, gniewy konające w uściskach, skargi na krótkość chwil, żale na nieskończoność oczekiwań, różane wstydy mimowolnych rumieńców, westchnienia do podwójnych w samotność ucieczek, bojaźń przezroczyści tajemnych wyobraźni poszeptów.

Miedziany głos szambelana, który w podobnych chwilach sądził niezbędnem wyrażać swoje zadowolenie, odgłos kroków Sokolnika, który nie umiał długo usiedzieć na jednym miejscu, dawały hasło ostatniego akordu.

Kazimierz powstawał, zwolna włosy odgarniał, przecierał oczy, jak gdyby budził się ze snu. Słowa więzły mu w piersiach, nie mógł nigdy zdobyć się na jedną nutę w tym chórze pochwalnych ogólników, jaki towarzystwo zawodziło na cześć młodej mistrzyni.

Szambelan, Sokolnik, czasami nawet ksiądz Tapczyc, dopraszali się o więcej muzyki; kapelan zwłaszcza przepadał za wiedeńskimi walcami. Marja za całą odpowiedź sucho zamykała fortepjan.

— Napróżno błagasz, księżę kapelanie! — mówił pewnego dnia Sokolnik, zrażony jedną z podobnych odmów córki. — Wiesz dobrze, że na upór nie ma lekarstwa. Poprzestań na tem co słyszałeś i przez grzeczność nazwij stałością charakteru obojętność na twoje prośby.

— Ależ mój ojciec! grałam przeszło godzinę — jestem zmęczoną.

— Czasami grywasz po całych nocach; niepodobna oderwać cię od fortepianu.

— I niszczysz zdrowie — dodała Sokolnikowa — słusznie ojciec mówi; nie masz sama nad sobą miłosierdzia.

— Młodość żyje w ostatecznościach — rzekł doktoralnie magnat — w niczem nie zna miary.

— Hrabianka ma swoje niezwalczone przyczyny — wtrącił niedbale szambelan, zakładając nogę na nogę — gra, kiedy

czuje się usposobioną; przestaje, skoro chęć ją odleci. Wreszcie niezależność od cudzej woli lub prośb jest pierwszym i niezaprzeczoną przywilejem każdego artysty.

— Któż tu między nami artysta? — zapytała z uśmiechem Marja.

— Widać że pani nigdy nie słyszałaś się grającej; tem więcej jeden dowód prawdy słów moich.

Rodzice ukradkiem z dumą po sobie spojrzeli. Kapelan śmiał się i kiwał głową z potakiwaniem.

— I nie może być inaczej — odezwał się Kazimierz. — Jestem pewny, że pani nie siebie samej słucha, ale Beethovena lub Mozarta, Bacha albo Palestriny. Nie zaręczam nawet, czyli czasami nie zdaje się pani słyszeć samego twórcę Don Juana, odgrywającego czarowne swoje melodje.

— To byłoby nie dość — przerwał szambelan. — Jeżeli mamy przypuścić pośrednictwo, lepiej wywołać samego Don Juana, niżeli Mozarta. Niech nam pani wyzna, czyli niekiedy w nocy, wśród cichości przerywanej posępными jękami wiatru, odegrawszy arję Leporella, drzwi nagle nie pękają z łoskotem i gość kamienny —

— Nie — nie, żadnych nie widzę zjawisk. Nielitościwie panowie żartujecie; odtąd Mozart może być pewny, że nie znajdzie się w nocy na moim pulpicie.

Kapelan i Sokolnik przygryźli usta z uśmiechem. Kazimierz dostrzegł poruszenie i czoło gniewnie zachmurzył.

— Tem lepiej — rzekła Sokolnikowa — radabym dla twego zdrowia, aby do reszty odstępiono cię od nocnych muzyk.

Szambelanowi tok rozmowy mocno przypadał do smaku.

— Szczęśliwi ludzie! — mówił; cedząc słowa — Haydn, Gluck, Beethoven! O każdej porze zarówno mile witani. Do nich należy pierwsza myśl poranku i ostatnia wieczorem. Jak tu im nie zazdrościć?

Mdły ten ogólnik zniecierpliwiał Marję. Kazimierz powstał w milczeniu i jął roztargnionym wzrokiem przypatrywać się znajomemu nam wizerunkowi króla Stanisława.

— Po co zazdrościć? — przerwała żywo dziewczyna. — Po co męczyć się nieznosnym uczuciem, zwłaszcza gdy tyle jest pewniejszych środków zapewnienia sobie podobnych korzyści?

— Czy wolno panią chociaż o jęden zapytać?

— Dla czego nie? Dość na to napisać drugą Armidę, Fide-
lja lub Requiem.

— Pokornie dziękuję! — odrzekł żartobliwie szambelan. —
Nie zaniedbam z rady korzystać. Zaraz, jutro, zabieram się
do dzieła.

— Jakto? Po tak długiej znajomości, dziś dopiero dowia-
dujemy się, że szambelan nie tylko jesteś lubownikiem i zna-
wcą, ale nawet —

— Biegłym wykonawcą, a może i kompozytorem — przer-
wał Niemiec. — W istocie jest to tajemnica dla mnie samego
jeszcze zakryta.

— Po tem jednak, co slyszeliśmy, godzi się nam zapytać, na
jakim instrumencie? — Zapewne na skrzypcach?

— Nie wiem, pani hrabino; być może, że i na skrzypcach.
Nie próbowałem dotąd, nie mogę więc z doświadczenia zarę-
czyć, czy potrafię lub nie, obejść się ze smyczkiem.

Żart Austrjaka rozweselił towarzystwo. Sokolnik znalazł go
niesłychanie dowcipnym; kapelan zapuścił się nad nim w dłu-
gie komentarze.

— Mojem zdaniem — ciągnął dalej Sokolnik — możemy
zostawić muzykę indywiduom pozbawionym innego sposobu do
życia, i kobietom, których ona jest właściwą ozdobą, jako ka-
pelusz z piórami lub djamentowy bukiet. Dla ludzi żyjących
w świecie wystarcza znać się na sztuce, aby módz wspomagać
grajków i znaleźć jedną więcej sposobność uwielbiania płci
pięknęj. Oddajmy wreszcie Cezarowi co Cezarowego. Panowie
ci, których moja córka nazywa swymi mistrzami, dbają raczej
o sąd kobiet, aniżeli — jak mówią poeci — o pochwały brzyd-
kiej połowy rodzaju ludzkiego. Jasne rozumowanie. Muzyka
jest rozrywką i jako taka przynależy tym, których życie ska-
zane jest na ciągłą zabawę.

— Wyborne wyrażenie, mój ojczę! Na ciągłą zabawę można
być tylko skazanym.

— Rozrywka, zatrudnienie, są to słowa, którym wartość
nadajemy według upodobania. Co dla nas mężczyzna jest zabawą,
dla was stanowi pracę. Natura mądrze się urządziła: jednemu

dała siłę, drugim wdzięk; siłę wyznaczyła za cel użytek, kobiecemu życiu przyjemność.

— Wyrok ten, panie hrabio — rzekł Kazimierz — mógłby obu stronom nie przyspaść do smaku. Mniemałbym że uczucie piękności do wszystkich zarówno należy. Prawda jest jedna na świecie i równą wartość posiada, zawarta w surowym objawie ściślejszej pracy, lub w natchnionem dziele sztuki. Jeżeli zaś zdarza się, że to ostatnie na męskiej połowie ludzkości mniej do rążne sprawia wrażenie, dzieje się to dla tego, że kobieta magnetyczną niejako siłą czucia od razu tam się wznosi, gdzie mąż, często po mozolnej pracy, zaledwie potrafi się dostać.

— Nie jasno się wytłumaczyłem, panie Kazimierzu. To, co nazywasz sztuką, zdobi, upięknia życie ludzi należących do towarzystwa. Nie przeczę — ale dodaję, że wyobraźnia, będąc, jak sam przyznajesz, czulszą, drażliwszą w kobietach, dzieła większej części sztuk do nich się raczej odnoszą. Poeta, muzyk, malarz, żyją zmysłem; kobieta z natury swej unika rzeczywistości; jedni i drugie mają wspólny punkt zetknięcia, na którym od razu się rozumieją. Stanowisko to niedostępnem jest dla nas, zajętych zwykle poważnem przebijaniem się przez życie, sprawami żywotnemi rodzin, niekiedy nawet i państw. Ten, kto powiedział, że artysta była to kobieta w męskiej postaci, może nie o wiele się pomylił.

— Zwłaszcza — wtrącił Kazimierz — jeżeli przez tę allegoryę rozumiał połączenie w jednym kształcie bogactw obu natur.

— Zgoda, niech i tak będzie! Bynajmniej nie lekceważę wartości znakomitych sztukmistrzów. Zarzut wandalizmu wcale mię nie dotyka; przeciwnie, nieraz zbyt może dałem się unosić namiętności do sztuk; dowody wiszą na ścianie. Tego oto Ruysdaela nad kanapą sam zapłaciłem na licytacji w Wiedniu trzysta dwadzieścia siedm czerwonych złotych. W ogóle jednak mniemam, że nie błędę, utrzymując, że sztuki wyzute z czystego a często niedokładnie określonego uczucia, jako: śpiew, muzyka, poezja, są głównie udziałem tych niedokładnie określonych — może dla tego, że niedostatecznie jeszcze kochanych, cenionych stworzeń — poprawił się Sokolnik, lekko uchylając

głowy przed żoną — dla których, ku tem większemu naszemu szczęściu, wszystkim jest uczucie. Nawzajem, im mniej w sztukę wchodzi zmyślenia, a więcej prawdy, rzeczywistości — tem takowa staje się nam przystępniejszą, a tem samem miłszą. Malarz, przedstawiający wdzięki przyrody, o ile wiernie oddaje co widział, o tyle jest artystą męskim, o ile zmyśla — lub jeżeli wolicie, tworzy, o tyle pracuje z niewieściego natchnienia i na niewieścim polu.

Sokolnik — pomyślał Kazimierz sam w sobie — dzieli artystów jak krawców, na męskich i żeńskich.

Dygnitarz uradowany powszechnem milczeniem i uwagą, tak dalej prawił:

Snycerz uwieczniająca w marmurze lub spiżu postacie monarchów, bohaterów, prawodawców, nie poczuwa w sobie isierki rzewności, łzawych westchnień, rozteknionych zadumań; nie ma więc nic wspólnego z krainą muzyka lub poety, i ztąd więcej od malarza przechodzi na stronę męską, zwłaszcza też jeżeli wystrzega się Kupidyna i jego matki. Ostatnia nareszcie sztuka, królowa wszystkich sztuk, najwznioślejsza, bo najużyteczniejsza i najtrwalsza — architektura, nie nosi na sobie cienia nawet kobiecego wpływu. Przypatrz się pan starożytnym pomnikom Rzymu, a więcej jeszcze Grecji. Gdyby wierszopisarze, snycerze i etruscy rysownicy, nie byli nam podali ówczesnych niewieścich kształtów, z tego, co nam po budowniczych zostało, moglibyśmy wnosić, że w dawnym świecie sztuki i umiejętności, kobieta nie miała żadnego znaczenia. Kto wie, czyli starożytna architektura nie zawdzięcza wiecznej swojej piękności temu właśnie uchyleniu się z pod słodkiego jarzma niewieścich wdzięków!

— Zapewne — rzekł szambelan — kwestja nie ulega żadnej wątpliwości, tem bardziej, że z ulotnej architektury Greków nic nam nie pozostało; w tem zaś, co widzimy, jak słusznie pan hrabia mówi, samolubnie nie grzeczny, męski tylko genjusz przebija. Słyszałem raz podobne dowodzenie z ust księcia Hardenberga.

Kazimierz spokojnie ściagał estetyczne wywody Sokolnika, dziwił się łatwości, z jaką ludzie w mgnieniu oka na podstawie fałszu wznosili piramidy błędów, składał na karb zastarzałych

pojęć herezje magnata; skoro jednak usłyszał wspólnicze bluźnierstwo szambelana, nie mógł przenieść swobody, z jaką ci dwaj panowie rozpościerali mialkie swoje teorie, i rzekł:

— Pan hrabia nie pośadzisz mię o pochlebstwo, jeżeli odważę się bronić sprawy greckich kobiet, a raczej mężczyzn, którzy tem właśnie uchylaniem się w architekturze z pod niewieściego wpływu, byłiby więcej dali dowodów barbarzyństwa, niż wykwintnego smaku. Szczęściem, rzecz miała się wcale inaczej. O bezpośrednim wpływie kobiet lub przynajmniej tego rzewnego, sercowego uczucia, jakie pan nazywasz wyłącznie kobiecem, nie godzi się nam powątpiewać.

— Wiem — odparł wesoło Sokolnik — że podobnej sprawie nigdy na obrońcach nie braknie; tym razem atoli obrona trudna, mianowicie jeżeli zechcemy oprzeć ją na wyraźnych dowodach.

— Tych mamy aż do zbytku; dość otworzyć tę oto podróż po Grecji — dodał Poraj, rozkładając wielką księgę w czerwony saffan oprawną.

Towarzystwo zbliżyło się do okrągłego stołu: Sokolnik z uśmiechem niedowierzania, szambelan z na pół znudzoną ciekawością; Marja wsparłszy na dłoniach piękną swą głowę, z przecuciem zwycięstwa własnej sprawy jąla przypatrywać się wytworzonym angielskim stalorytom.

— Po co daleko szukać? Widzisz pan hrabia te cudowne kolumny, podpierające szczyt świątyni Minerwy? Co za wdzięczna lekkość kapitelów! Jeden z najpiękniejszych w Grecji porządków, koryncki; niezaprzeczony owoc pośredniego wpływu kobiety i czystego niewieściego uczucia.

— Nigdzie nie czytałem wzmianki o kobiecie między starożytnymi architektami, chyba że pan zechcesz przekonać nas o istnieniu Minerwy?

— Dla czego nie? — odezwał się kapelan. — Idzie przede wszystkim o wygranie sprawy.

— Bynajmniej; idzie przede wszystkim o prawdę. Na jednej z wysp greckich żyła dawnemi czasy młoda dziewczyna, istne uosobienie wiecznej wiosny, jaka w szczęśliwych tych krajach unieśmiertelnia zieleność i kwiaty.

Grzeczynka była biedną sierotą, żyła z pracy rąk własnych: plotła koszyki.

Między wyrobami jej znajdował się jeden, którego nie byłaby oddała za wagę złota brody Fidjaskowego Jowisza. Koszyk ten, napełniony kwiatami, przyniósł jej był w dzień rozłączenia towarzysz lat dziecinnych, młody żołnierz, którego obowiązki względem ojczyzny odwoływały na daleką morską wyprawę.

Po szczęśliwym powrocie z wojny piękna koszykarka miała zaprzestać sieroctwa.

Żołnierz odjechał; dziewczyna co rano napełniała koszyk świeżem kwieciami, co chwila wodziła wzrokiem po darze narzeczonego; żyła wspomnieniami.

Mijały dni i tygodnie, mijały miesiące, młody wojownik nie wracał.

— Ciekaw jestem, jak z tego wszystkiego dostaniemy się do świątyni Minerwy i do korynckich kapitelów?

— Mój ojczu, pozwól, niech pan Poraj dokończy historii.

— Bądź spokojną, moje dziecię; żołnierz za chwilę powróci i tym razem nie koszyk, ale rękę i serce odda koszykarce.

— Żołnierz nie wrócił: wieść doszła, że zginął śmiercią walecznych w obronie swego okrętu.

— A biedna narzeczona?

— Dopóki sił jej starczyło, plotła dalej koszyki; stara krewna, u której mieszkała, pozbawiona owoców jej pracy, byłaby musiała pójść o zebrany chleb.

Opiekunka jej często odtąd spostrzegła, że pomimo żarów słonecznych, kwiaty w koszyku przez całe dni z rosy nie osychały. Być może, że zmęczone wiekiem oczy nie umiały rosy odróżnić od łez. Dziewczyna coraz upadała na siłach, bladła, powietrzała.

Pewnego poranku, ciotka wstawszy jak zwykle o wschodzie słońca, zobaczyła ją klęczącą, z głową ujętą między dłonie i o koszyk wspartą. Zbliżyła się do niej z rannem pozdrowieniem, ujęła ją za ramię.

Ciało, jak kwiat wiatrem złamany, zwolna zsunęło się do stóp matrony.

Koszykarka nie żyła.

Nazajutrz wielka była na wyspie uroczystość. Przyjaciołki

zawodząc żałobne hymny, odprowadzały na smętarz zmarłą towarzyszkę. Ostatnia za korowodem, wsparta na kiju, szła ciotka, zanosząc się od płaczu. Lewą ręką tuliła do piersi osierociony po sierocis koszyk. Morze sabrało połowę jej nadziei; ziemia chłonęła drugą.

Dziewczęta usypały mogiłę, osadziły do koła kwiatami i różowym laurem; na wierzchu zaś złożyły na pamiątkę ulubiony koszyk nieboszczki. Każda z nich co dnia kolejno napełniała go świeżem kwieciami; on tylko jeden nic nie utracił na śmierci sieroty.

W rok później kilku majątnych Greków, uderzonych w podróż wdziękami tego szmaragdu, utkwionego śród fal szafiru, wylądowało na wyspę. Pomędzy nimi znajdował się młody sztukmistrz, wsławiony już świetnemi objawy znakomitego talentu.

Podróźni trafili właśnie na rocznicę uroczystości. Chór dziewcząt, przy odgłosie żałobnych pieśni, z koszykami na głowie, ciągnął na smętarz.

Artysta udał się za orszakiem, wysłuchał hymnów i kazał sobie opowiedzieć zdarzenie. Śpiewaczki od dawna już się były rozeszły — on sam pozostał przed grobem i dumał.

Natura wcieliwszy za życia co najpiękniejsze swe kształty w młodą dziewczynę, po śmierci nie zapominała jej grobu. Bluszcze kapwały z gałązek zielonej Dafny, powój o błękitnych oczach wił się do koła mogiły, lotusy i wodne lilje rozwijały posępne kielichy; wierzch porastał gestemi liśćmi akantu.

Kilka z tych liści dopełzło aż do koszyka i wnet ze wszech stron zarzuciło nań miłosne objęcia, przytuliło się do wklękości, wybiegło aż do brzegów, ciekawie zaglądając między wieńce świeżych kwiatów, co dnia wewnątrz rzucanych.

Sztukmistrz długo przyglądał się czarownej igraszce kształtów, śledził harmonję liściowych zawojów, rozpaniętywał tęskną przygodę koszykarki, pochylił nareszcie głowę i odszedł, ważąc, jak można było sądzić po zamyśleniu, niezwykle jakies zamiary.

Wkrótce Grecja z oklaskami powitała w dziedzinie sztuki nowo odkryty porządek, porządek tak zwany koryncki. Znamieniem onego była — jak pan hrabia łatwo na tej rycinie mo-

żesz się przekonać — kolumna z kapitelem naśladowującym koss kwiatów, opleciony liściem z akantu.

— Cóż, mój mężu! — rzekła Sokolnikowa — podobno wygrałyśmy sprawę?

— Zręcznie wynaleziona historia, i że prawdziwa, zaręczylbym pierwszy, gdyby poetów nie było na świecie.

— Dla czegoż, mój ojczy, miałyby być nieprawdziwą, wszakże nie ma w niej nic nadzwyczajnego? — rzekła Marja, nie podnosząc wzroku z ryciny, która w tej chwili przedstawiała jej już nie zwaliska starożytnego pomnika, ale wyspę wiosennej Grecji, i umierającą dziewczynę, i żałobne pieśni płaczek, i koszyk na umajonej mogile, i greckiego, młodego, sztukmistrza.

Ten ostatni, mimowolnie wydawało się jej, że musiał w postaci mieć wiele podobieństwa z Kazimierzem.

— Niech i tak będzie — odezwał się Sokolnik — przystaję na zdanie większości. Nie uwierzysz, panie Kazimierzu, na co by mię przed moją córką naraziło powątpiewanie o prawdziwości poetycznej przygody. Jeden atoli kapitel nie stanowi całej architektury. Pojmuję, że wynalazek jakiejś ozdoby da łatwo odnieść się do kobiety; ależ architektura bez ozdób nawet byłaby pierwszą sztuką, gdy tymczasem —

— Zapewne, panie hrabio; ozdoby bez budynku na nic by się nie przydały. Nie należy wszelako sądzić, że w starożytnej sztuce jeden tylko porządek koryncki zawdzięcza byt niewieściemu uczuciu i względowi na kobietę. Racz pani podnieść głowę i obrócić się do nas bokiem. Z podobnych oto warkoczy zwiniętych w węzła spiętego na skroniach, powstał porządek joński. Dowody na to mamy pod ręką — dodał Kazimierz, przerzucając dalej księgę i zatrzymując się na kilku widokach z Aten. — Wreszcie po co dzielić i gatunkować przymioty lub uczucia, które nie do kobiety, nie do mężczyzny wyłącznie należą, lecz do serca lub wyobraźni? Czyliż siła charakteru, odwaga, trudniejszymi są na polu bitwy, w upojeniu wojenną kurzawą, aniżeli w skrytej wytrwałości niewieścich cierpień, lub w tajemnicy nadludzkiego nieraz a niepokaźnego poświęcenia kobiety? Czyliż mamy jednym poczytywać za zasługę brak częsty drażliwego poczucia, obojętność na lekkie odcienia serca,

ociężałość wyobraźni, drugie zaś oskarżać o niedostatek grubych materialnych sił, o wrodzony popęd do piękności, do rzewnych lub wzniosłych objawów ducha? Obwiniamy kobiety o zmienność, o niestały i powierzchowny pogląd na świat. Bezwstydną to z naszej strony obłuda. Jeżeli zarzut jest słusznym, prawdziwy winowajca dotąd się ukrywa. Kobiety, mamy jakimi je mieć chcemy. Któż z nas pojął je w istotnej wartości ich znaczenia, w świętej ich powołania powadze? Kto zbliżył się do nich jak do stworzeń równych? Kto nie upokarzał fałszem czczych grzeczności, nie skrywał przed nimi wiedzy, nie rozwieszał przed rzeczywistością gęstej zasłony? Kto w związku szukał szczerego stowarzyszenia na wzajemne bóle i roskosze, trudy i wypoczynki? Dziś, masz pan hrabia słuszną, kobieta często jest kwiatem pełnym woni i wdzięku, ozdobą raczej życia, niżeli podporą. Niech jednak społeczeństwo raz zechce ją wyzwolić z tej niewoli przesądu, gorszej od wschodnich haremów; niech raz zdejmie wyrok, skazujący ją na wieczny zarzut powierzchowności — wtedy przekonasz się pan, zanim jedno pokolenie upłynie: nam przybędzie serca, kobietom siły. Rodzina, kraj, ludzkość, sztuka, nauki, zawdzięczą znakomity postęp oswobodzicielowi kobiety.

— To się nazywa być biegłym obrońcą! Sprawa wasza, moja żono, wpadła w dobre ręce; wygrana jak najzupełniej. Lękam się tylko, abyście same nie rzekły się korzyści, jakie wam zapewnia wykonanie wyroku. Co do mnie, zawczasu uprzedzam, że skoro która z was zostanie prawnikiem, architektem lub astronomem, długo będę się namyślał: zanim rozpocznę proces, wdam się w budowę pałacu, lub w kupno kalendarza.

— Możem być spokojni — wtrącił szambelan. — Reforma, jaką nam pan Poraj zagraża, zapewne nie za naszych czasów się dopełni. Nie przewiduję usposobień przyszłego pokolenia; co do naszego jednak, zaręczam, że woli ono poprzestać na tych kobietach, jakie dziś uwielbiamy. Za kilka wieków moda może się odmienić: młode i piękne kobiety z zapalem może zechcą szperać w zapleśniałych szpargałach, lub marszczyć zawczasu gładkie lica trudem matematycznych wyrachowań. Nie pojmuję atoli, jak potrafią zasmakować w tem rzemiośle sawantek, które dziś po większej części stanowi ucieczkę uposiedzo-

nej od natury, niezamężnej szpetności, lub pokrywa nieszczęsny popęd do politycznych intryg.

— Prawda, święta prawda! — zawołał Sokolnik. — Od powietrza, głodu, ognia, wojny i nadto mądrych kobiet wybaw nas Panie!

— Jest to modlitwa — mówił dalej Niemiec — którą, nie pamiętam w jakiej okoliczności, słyszałem z ust samego księcia kanclerza. Rzecz niezaprzeczona, że wielcy ludzie stanu nie cierpią tego rodzaju stworzeń. Przypomina mi to pewien nieoceniony dowcip księcia Talleyranda.

— Słuchamy, słuchamy! — wykrzyknęli jednocześnie gospodarz domu i kapelan.

— Znajome państwu paroksyzmy miłości własnej i szczególniejszej dumy, w jakie często wpadała pani Stael. Mądra baronowa myślała, że świat cały powinien być oddychać uwielbieniem dla jej pisarskiego genjuszu. Najznakomitsi ludzie w porównaniu z nią, podrzędną tylko mieli wartość. Pewnego wieczora na balu, Korynna i pani Récamier postanowiły wprawdzie w kłopot księcia Talleyranda i zadać fałsz powszechnie uznanej sławie o jego przytomności umysłu.

— «Mości książę — rzekła pani Stael, zatrzymując się przed nim z piękną niegdyś swą towarzyszką — gdybyśmy obie tonęły, którąbyś z nas wprzód ratował?»

— «Myślałem — odparł minister — że pani umiesz pływać!» —

— Przedziwnie! wyśmienicie! — wołał Sokolnik, zanosząc się od śmiechu.

Kapelan i hrabina poglądali po sobie i z podziwieniem trzęśli głowami.

Szambelan zatrzasnął anegdotą dalszą rozmowę i o sztuce i o kobietach. Nastąpiła chwila milczenia, w której każdy z wyrzeczonych słów wyciągał własne wnioski. Sokolnik z przyjemnością przeżuwał dowcip ex-biskupa w Autun, sznurkował po pamięci, szukając wydarzenia odpowiedniego przypowieści szambelana, gdy wtem nowa okoliczność w całkiem przeciwną stronę popchnęła kierunek jego myśli.

W prawym rogu dziedzińca, tuż za bramą, zatrzymała się bryczka.

Magnat przymrzył oczy, postąpił ku oknu i poznał niecierpliwie oczekiwanego rządcę.

Przeszedł się wolnym krokiem kilka razy po salonie i nieznacznie wysunął do swego gabinetu.

Rządca stał przy drzwiach wyciągnięty jak struna.

— Od dwóch dni, panie Lumpman — rzekł zgrzytliwie dygnitarz — na ciężką próbę wystawiasz moją cierpliwość. Wszakże onegdaj jeszcze obiecywałeś stawić się z powrotem. Pieniądze są? —

— Nie wszystkie, JW. grafie. Pomimo usilnych zabiegów i szczerzej chęci samychże urzędników, sprawa inaczej poszła, aniżeli mieliśmy prawo spodziewać się i wymagać.

— Ile z sobą przywozłeś?

— Ledwo trzysta dukatów wykołatałem.

— Trzysta dukatów! — oszalałeś! — Cóż chcesz, abym z niemi począł?

— Wiem, że dla JW. grafa jest to fraszka, ale targować się było niepodobna. Rząd nagle kazał wstrzymać chłopom zapomogi; snać w skarbie nawet cesarskim zabrakło pieniędzy. Mówią, że sam Najjaśniejszy Pan w Wiedniu nie może nastarczyć wydatkom.

— Brednie mi acan prawisz; głupstwa pleciesz! Najjaśniejszy pan szczęśliwszy odemnie, z uczciwymi ludźmi ma do czynienia. Nie, nie — w tem wszystkim są jakieś płątaniny, które w ciasnej mojej głowie w żaden sposób nie dadzą się pomieścić. Rząd bez pieniędzy! panowie bez kredytu! Na honor! świat się do góry nogami przewraca.

— Ciężkie czasy, JW. grafie! Od maleńkiego dziecka nie pamiętam trudniejszych na gotówkę.

— Stara piosenka ludzi, którzy jej szukać nie umieją! Cóż acanu mówił gubernialny komisarz? Jak tłumaczyli się urzędnicy! Wspomniałeś, że potrafię im buty uszyć w Wiedniu? Kradzież, niegodziwa kradzież! — rozbój na publicznej drodze! Jakto! Nieurodzaj ogołaca nas ze zboża, zaraza wybija bydło; chłop nie ma czem zasiać, ani zorać. Rząd grosza nie opuszcza z podatków; po długich ceregielach przyznaje wreszcie zapomogi. My jak głupcy, w zaufaniu rządowemu słowu, zakładamy ręce za pas, stawiamy się na wyznaczoną porę — i w ostatni

dzień, gdy już zapóźno szukać gdzieindziej ratunku, dowiadujemy się, że rząd cofa trzy czwarte pożyczki! Próżno! Nikt nie wytłumaczy, żeby to był czysty interes! Dałżeś acan do zrozumienia komisarzowi, że ja darmo od nikogo nie przyjmuję usług?

— Znają oni wszyscy pańską wspaniałość; tym razem atoli dobre ich chęci na nic się nie przydały. Sekretarz pokazywał mi rozporządzenie, podpisane własną ręką ministra. Nie zaniedbałem żadnego sposobu. JW. graf może być przekonany, że ludzką siłą szeląga jednego więcej niepodobna było uzyskać. Co administracja, to nie sądownictwo. W gubernium wszystkich urzędników mamy za sobą. Gdybyśmy choć jednego równie przychylnego mieli w sądownictwie, byłbym z lepszymi nowinami wczoraj jeszcze powrócił.

— W sądownictwie, powiadasz? Cóżżeś acan tam robił? Sprawa nasza nie ma z sądem żadnego stosunku?

Lumpman widocznie zakłopotany, wylaamywał za plecami palce ze stawów, przestępował z nogi na nogę — nie wiedział jak zacząć.

— Gadajże acan! co znaczy ta nowa niespodzianka? Co nasze interesa mają wspólnego ze sprawiedliwością?

— JW. grafie, mam przy trybunale dawnego przyjaciela, woźnego, do którego zwykle zajeżdżam. Człek zacny i nie w ciemię bity.

— Cóż mi do acana przyjaciół?

— Zaledwom zsiadł z bryczki, woźny Hochstimm wziął mię pod rękę i wyprowadził na miasto. Pani Hochstimowa była w domu; nie chciał przy niej ze mną rozmawiać.

— I cóż ci powiedział?

— Powiedział, że od początku miesiąca wedle tego, co mu doniesiono ze Lwowa, co dnia nowy jakiś ciekawiec przychodzi do trybunału i szpera w naszych księgach hipotecznych.

— Trzeba mu było odpowiedzieć, że błazen ze swojemi nowinami. Alboż to nam wolno trzymać pod kluczem nasze hipoteczne księgi? Czyliż — dzięki bezrozumnym, a Bóg widzi, że nie przezemnie ukutym rozporządzeniom — pierwszy lepszy szubrawiec nie ma prawa wścibiać swój nos w nasze interesa?

— Też samą uwagę uczynilem Hochstimowi; ale nie na ten koniec.

— Cóż dalej?

— Woźny uprzedził mię, że od dwóch dni złożono przeciw nam siedm pozwów.

Lumpman rzuciwszy iskrę na prochy, nabrał ślepej odwagi pierzchliwców; sądził że lepiej od razu cały podkop w powierze wysadzić, niż co chwila kaleczyć się drobnymi wybuchy.

Skorzystał więc z przelotnego osłupienia, w jakie wprawiła dygnitarza niespodziewana nowina, przymrużył oczy i jak gdyby kto w nim poruszył ukrytą sprężynę, z nadzwyczajną szybkością jął prawić:

— Tak jest, JW. grafie, siedm pozwów w jednym tygodniu, ani mniej, ani więcej:

Pierwszy o dwa tysiące dukatów za niedostawienie zapłaconej pszenicy Ickowi Gewissloz. Żyd korzystał nikczemnie z naszej pomyłki. Przeszłego roku, tegoż samego niemal dnia, JW. graf we Lwowie, ja zaś na wsi, sprzedaliśmy dwom kupcom tę samą pszenicę.

Drugi o jedenaście tysięcy złotych za brak próby w okowicie, odwiezionej temu dwa miesiące Abrahamowi Durstgeld. Fałsz niegodziwy, JW. grafie! Lotr sam dołał do kuf wody. Okowita była wyborna! mogliśmy śmiało sprzedać ją aptekarzom na alkohol.

Trzeci za podwojenie od roku mieszczanom czynszu. JW. graf zepsuł tę hołotę niesłychaną dobrocią. Dziś pozywający dowodzą, że od stu lat płacą jednakowe czynsze. Prawda — ale od tego czasu podwoiła się wartość ziemi; ówczesną złotówkę można dziś kupić za półzłotek.

Czwarty, za dwanaście tysięcy reńskich niezapłaconych Wucherzweigowi. Rewers wyraźny, nikt mu go nie zapiera — hultaj atoli od dwóch lat już czeka, może śmiało trzeci jeszcze rok zaczekać.

Piąty, bagatela! Idzie o czterysta dukatów zaległych od pięciu lat procentów z sumy małoletnich Sobaczyńskich. Tak to przeklęte plemień odwdzięcza doznane dobrodziejstwa!

JW. graf raczył przyjąć sumę ich na własną hipotekę — dziś opieka płaci mu za to pozwem.

Szósty, ze szlachtą z Zarembowa o zajęte bydło i o łąkę. Hultajstwo to dopomina się o prawo wypasania pańskiego siana i zboża. Trzeba wszystkich z torbami wyprawić, inaczej od Zarebowskię granicy nigdy nie będziem spokojni.

Siódmy nareszcie, kryminalny, o rozjechanie podczas ostatnich zapust we Lwowie dziecka siodlarza Darzyńskiego. Któż temu winien, że furman JW. grafa zalewa się gorzalką? Czemu nakoniec matka lepiej nie pilnuje? Dobrze jej tak! na drugi raz będzie uważniejszą.

Ostatnia sprawa najłatwiejsza do załagodzenia; z pierwszemi trudno będzie się uwinąć. Sto siedm tysięcy złotych do wypłacenia na kontrakta! Od dziś za sześć niedziel! Jak gdyby skarb pański oprócz podatków nie miał innych wierzytelności i ciężarów.

Biegałem do Durstgelda i do Wucherzweiga; wysyłałem woźnego na zwiady do Gewissloza i do opieki małoletnich Sobaczyńskich. Żydzi, widno, porozumieli się z sobą: żaden nie chciał ze mną gadać. Hochstimm również nic nie mógł wskóżyć. Co gorsza, że dwóch prawników nam niechętnych, podjęło się wszystkich siedmiu procesów. Obaj młodzi ludzie, na dorobku, niepodobna odzywać się do nich zwykłym językiem.

— Całe piekło na mnie się sprzysięgło! Codzień nowa litania kłopotów! Widziałeś acan naszego adwokata? — Co ci powiedział? Idzie o czas, o zwłokę; z każdym pojedynczo damy sobie radę — ze wszystkimi razem, twardy orzech do zgryzienia.

— Adwokat obiecuje pociągnąć procesa, ale zawczasu grozi ogromnemi kosztami.

— Zapewne! Syp im pieniędzmi na to, abys później przegrał sprawę. Dość tego; ruszaj acan do gospodarstwa. Pięknego przywiozłeś mi gościńca, łamże teraz nad nim głowę. Tymczasem bądź w pogotowiu; jutro albo pojutrze wyślę cię do Lwowa.

Lumpman skłonił się głęboko. — Dotknij niedźwiedzia gałązką, mruczy; zwał go pałąką, milczy — myślał sam w sobie, zdziwiony łagodnością skutków, jakie nadsięciągnęły preraża-

jące dla magnata nowiny. Niezwykły tego ostatniego w podobnych okolicznościach spokój, a może nawet i hart duszy, energia, wielce go zastanowiły.

Lumpman się mylił.

Sokolnik zostawszy sam, splótł ręce, wzrok wbił w ziemię, twarz w sieć zmarszczek pokrajał.

W głowie mu się kręciło; widział przed sobą zionącą przepaść. Siedm procesów wymienionych przez Lumpmana stanowiło przednią straż nawałnicy ważniejszych klęsk.

Wymagalne każdego czasu roszczenia bankiera Dahlmana kilkakrotnie przewyższały wierzytelności natarczywych synów Izraela. Rewersa były w porządku, sprawa musiała być przegrana. Wprawdzie procedura austriacka podawała wszelką łatwość wleczenia procesu; fortel atoli wymagał znacznych, natchmiastowych kosztów,

Ogolocony z kredytu i z dochodów, Sokolnik w płomienistych głoskach spostrzegł w przyszłości wyraz — wywłaszczenie!

Wywłaszczenie! zaguba domu, haniebne ubóstwo, starość o żebranym chlebie!

Hamletowe być albo nie być, dla niego postradało już stronę wątpliwą; kładka pierwszej alternatywy pękała mu pod nogami. Między bytem bez majątku a niebytem nie widział żadnej różnicy.

Bezwiednie roztworzył kalendarz i wsparł palec na 24. czerwca, na strasznej epoce kontraktów. Kilka zaledwie kratak, każda po siedm dni przedzierała go od fatalnego terminu. Schwycił się za puls, rachował ile mu chwil pozostawało do życia.

— Jeszcze kilka tygodni, jeszcze kilkadziesiąt dni! — mówił sam do siebie zaduszonym głosem — a w gruzy runie jedna z pierwszych rodzin cesarstwa. Żyd będzie wytrząsał na licytacji moje ruchomości, sprzęty, obrazy. Nieprzyjaciele zawistni poklasną zagubie; hołota, która dziś w proch się przedemną ściele, jutro błotem mię orzuci. W Wiedniu o mnie zapomną, wyprą się znajomości, będą stronić jak od zapowietrzonego. Nie, nie — choćby same piekło przyszło do dna poruszyć, nie dopuszczę tej sromoty!

— Ale gdzie rada, gdzie sposób! Bóg mię cudem nie wyratuje, djabeł o mnie zapomniał!

Sokolnik jął dzwonić palcami w szybę i wodził do koła obłąkanym wzrokiem. Czarna postać mignęła mu przed oczyma. Ocknął się, zapukał i na pół wycieńczony padł w szerokie krzesło.

— Słuchaj mię, księże kapelanie — rzekł do wchodzącego — wiesz że dla ciebie nie mam tajemnic; uważam cię za jedynego przyjaciela całej mojej rodziny. W przykrych okolicznościach, w jakich się znajduję, nie mogę do kogo innego stosowniej udać się po radę. Krótkimi słowy wszystko ci opowiem. Pamiętajsz, w jakim stanie po ś. p. ojcu moim kasztelanie objąłem majątek. Czasy były ciężkie i odtąd wcale nie zelżały. Dziś kontrakty wiszą mi nad głową. Mam około trzydziestu tysięcy dukatów do wypłacenia. Sprawy tak powikłane, że o układach z wierzycielami, o zwłoce marzyć nawet niepodobna. Jeżeli nie zapłacę, sprzedadzą mi majątek; na zapłacenie zaś nie mam grosza funduszów, nie mam iskierki nadziei kredytu. — Cóż ty na to, księże? — uśmiechasz się? — Bawię cię drogim kosztem!

— To, co pan hrabia powiada, zdaje się mi tak niepodobnem do uwierzenia.

— Trzeba więc najazdu komorników, aby ciebie przekonąć. Powtarzam: trzydzieści tysięcy dukatów mam do wypłaty.

— Trudna rada, trzeba je wypłacić. Nie masz pan hrabia pieniędzy — trzeba ich dostać; nie ma kredytu — trzeba go wynaleźć. Wierzyciele dziś nie chcą czekać — jutro niech obaczą gotówkę, na kolanach będą się dopraszać o łaskę zostawienia sum na hypotecę.

— Prawisz księże jak z ambony, ale dotąd nie odpowiadasz na główne zapytanie: gdzie dostać pieniędzy? Co do mnie, przyznaję, że nie widzę żadnego podobieństwa! —

— A jednak pan hrabia nie waha się przypuszczać rzeczy daleko więcej niepodobnych. Wywłaszczenie! Sprzedaż majątku! Przez Boga żywego! dajmy pokój tym odwoływaniom się do lepszej przeszłości! Dla hołyszów czasy zawsze były, są i będą ciężkie; ale szczipak z łatwością przebija matnie, gdzie plotki wiążną.

— Słowa, cześć słowa, księżę! Do rzeczy, na miłość boską do rzeczy! Staremi przysłowiami nie wydwigniesz mię z kłopotu. Trzeba pomyśleć! — myśl!

Kapelan przymrużył oczy, jak gdyby w dali na olśnionym słońcem widnokregu wyszukiwał tajemniczych gwiazd ocalenia. Sokolnik wpatrywał się mu w oblicze, śledził poruszenie każdego muszkułu, badał niejako pełzanie mózgowych nerwów pod czaszką, oczekując chwili, w której myśl księdza spocznie na niezawodnej kotwicy ratunku.

— Pan hrabia masz licznych przyjaciół; czy pomyśliłeś o wszystkich?

— Przyjaciół do wysokości kieszeni. Niech jutro podupadną, wszyscy mię opuszczą!

— A między lwowskimi bankierami?

— Pierwszym z nich Dahlman, mój główny i bez wątpienia nie najcierpliwszy wierzyciel.

— W Wiedniu także nie ma komu zaufać?

— W Wiedniu nie pożyczają pieniędzy obywatelom z Galicji! —

— To źle — bardzo źle! Sprawa ta trudniejsza niż sądziłem!

— Sam widzisz — nie ma żadnej nadziei.

— Zwątpienie jest grzechem, przeciw któremu jako kapłan protestuję. Mamy przed sobą trudności — to prawda, ależ Bóg na to dał człowiekowi rozum, aby umiał je zwyciężyć.

— Mojego rozumu zapasy już wyczerpane.

— Ale moja dobra chęć nie do wyczerpania.

Kapelan ręce w tył założył i jał przechadzać się w milczących sam z sobą monologach. Sokolnik niespokojną dłońią pochwycił kalendarz, zacisnął usta i bystrym wzrokiem przebiegał nazwiska Świętych, z których każdy zdawał się szeptać mu do ucha grobową legendę Kartuzów.

— Szambelan Fürstemberg musi mieć silne we Wiedniu stosunki? Ma on przecież jednego wuja ministrem, a drugiego kardynałem, nadto masę krewnych przy dworze i w wojsku?

— Zapewne; cóż mi po tem?

— Pan hrabia także zachowałeś dawne znajomości?

— Bez wątpienia. Księżę kanclerz zawsze na mnie jednako w łaskaw. Rozumiesz jednak, że gdybym prosił o pieniądze —

— Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. Nie o to chodzi. Za ostatnim pobycem we Lwowie, widziałeś się pan hrabia z księdzem Zefiryнем, prowincjałem Jezusowego Zgromadzenia?

— Byłem u niego dwa razy; głowę ma nie dla kształtu i język płytki jak turecka szabla. Cóż dalej?

— Sądziłbym, że niepotrzebnie suszymy mózg kontraktami. Sprawa nasza daleko łatwiejszą, aniżeli się wydaje.

— Jakto? Nie rozumiem cię; mów, gadaj księżę!

— Będę prosił o arkusz listowego papieru, Pan hrabia przeczyta.

— Masz! siadaj, pisz — spiesz się!

Kapelan złożył papier we dwoje, przyciął pióro, pomyślał chwilę i wkrótce szybko zaczął okrywać papier głoškami. Sokolnik wsparł się za nim na poręczu, czytał mu przez ramię wyrazy, w miarę jak wypadały z pod pióra.

List był następującej osnowy:

«Najprzewielebniejszy ojczcie!

«Ostatnia rozmowa, jaką w wigilję mego wyjazdu ze Lwowa, na trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, miałem zaszczyt mieć z Waszą Ekscellencją, głęboko utkwiała mi w pamięci. Illustrissima verba Waszej Ekscellencji znajdują potwierdzenie za każdym niemal krokiem. Wiara stygnie. Juventus albo nolit studere, albo też, co gorsza, horrile dictu, chłonie w siebie pryncipia Beliala, zgubne dla matki naszej, prze-najświętszego kościoła rzymsko-katolickiego. Tempus, magnum tempus quaerere salutem. Jeżeli edukacja młodzieży jeszcze dłużej pozostanie w ręku profanów, futura generatio pójdzie ad inferos. Jedyna spes salutis w uzyskaniu przywileju, na mocy którego wychowanie młodzieży powierzony był wyłącznie świętym staraniom ojców Societatis Jesu. Talis fuit opinio Waszej Ekscellencji, takie też i moje zdanie, i sąd wszystkich przywiązanych owieczek

jednej owczarni. O mojem zdaniu wspominam jak o gorącej nadziei niegodnego sługi, który w przyczynie wedle słabych sił do publicum bonum całe zakłada szczęście.

«Kolator mój, JW. Sokolnik, *vigilans custos* o dobro kościoła, kilkakrotnie powtarzał mi, że *possibile est* wyrobić u rządu przeniesienie wszystkich edukacyjnych funduszy na rzecz kolegium *patrum Societatis*, głównie zaś tych, które świętem prawem przynależą Zgromadzeniu *ex re* zapisu *aeternae memoriae* Samuela Głowińskiego. W tym nawet celu JW. kolator mój zaprosił do siebie na wieś *illustrissimum hospitem* szambelana Fürstemberga, siostrzeńca *eminentissimi principis ecclesiae*, kardynała Szwaremberga, bratanka ministra spraw duchownych i oświecenia publicznego, tudzież krewnego wielu potentatów, zaszczyconych *favore imperiali*. Według tego wszystkiego *quod hic dicitur*, sprawa *translationis* może być na przychylniej stopie w Wiedniu postawioną, tem bardziej, że sam *illustrissimus optimusque colator meus*, obiecuje poprzeć ją całą potęgą znakomitych stosunków swoich i wpływów.

«Brakuje nam tylko pewnych liczbowych wyjaśnień względem *quantitatis* edukacyjnych funduszy, pozostałych po ś. p. Samuele Głowińskim, i miejsca, gdzie takowe są *intabulowane*.

«Gdyby Wasza Ekscellencja raczyła nas w tej mierze oświecić, moglibyśmy *cum majori lumine* naprzód kroczyć i *conclusio felix causae* zyskałaby na pośpiechu.

«Taka jest pokorna prośba najpoddającego w Jezusie, Waszej Ekscellencji sługi i brata.

P. S. «Dodaję kilka słów z prośbą o radę, w sprawie żywo obchodzącej *illustrissimum meum colatorem*. JW. Sokolnik potrzebowałby podczas kontraktów mieć w skarbie swoim trzydzieści tysięcy czerwonych złotych. Suma ta jest mu niezbędną do traktowania z ludźmi, do których *infame aurum* więcej przemawia, niż święte słowo. Z ostatnim dniem kontraktów *połyca*ka własnymi mojemu rękami i w całkowitości *integraliter* zwróconą by została *honestissimo benefactori*. Tak mi dopomóż Panie Boże, o którego łaskę dla

Waszej Ekscellencji nie przestaje codzień błagać humillimus
ac obedientissimus servus,

Serafjon Tapczyc, SS. Jesu mp.»

Książdz wzrokiem list odczytał, do wielkich głosek pododawał zakręty, nad niektórymi wyrazami w przypisku poznać drobne kółka i krzyżyki. Sprzysiężeni Zgromadzenia Jezusowego używali niekiedy między sobą tajemnych znaków, które wykrywały prawdziwe znaczenie myśli, stwierdzały wiarogodność przysięgą, wyrażały konieczność, naleganie, zwłokę, lub odmowę.

Tym razem ojciec Zefiryn odbierał natarczywe żądanie pieniędzy, zapewnienie ich zwrotu, w zamian za pomyślny obrót sprawy przeniesienia funduszów edukacyjnych po ś. p. Samuelu Głowińskim.

— Przeczytał pan hrabia? — zapytał książdz, wycinając kopertę.

— Od deski do deski, ale nie dość na tem; musisz mi wyjaśnić, co teraz pozostaje do czynienia.

— Nic panu hrabiemu nie powiem, czegoby już nie było w liście. Szambelan za rządowymi sprawami przyjechał do Lwowa. Zapewne zda raport o wazystkiem, co mu pod oczy podpadnie. Szkoda tylko, że panicz-śródm balów i rozrywek tak dalece zapomniał o obowiązkach, że dziś byłby w stanie zdać sprawę o kuchni ledwo, o winie, o muzyce galicyjskiej i o lwowskich kobietach.

— Są to bez wątpienia rzeczy godne uwagi, ale książdzę kanclerz zajmuje się niemi raczej we Wiedniu, aniżeli we Lwowie.

— Postarajmy się więc dopełnić chrześcijańskiej powinności i wybawić szambelana z kłopotu, nastęrczając mu piękną pracę o stanie wychowania publicznego w Galicji. Przedmiot głęboki, żywotny pod względem religijnym, politycznym i moralnym. Jestem przekonany, że wystawienie tej kwestji w prawdziwym świetle zjednałoby w świecie urzędowym wielką sławę autorowi.

— Nie przeczę; gdzież chcesz atoli zaprzęgać szambelana do podobnej pracy!

— Bynajmniej, panie hrabio; szambelan nie potrzebuje brać pióra do ręki. Książdz Zefiryn od roku ma sprawozdanie gotowe.

Idzie tylko, aby gość nasz przedstawił je w swoim imieniu, abyście obaj panowie poparli wnioski całą siłą stosunków, jakie macie w Wiedniu. Pod tym warunkiem sądzę, że ojciec prowincjał nie odmówi nam żądanej w przypisku usługi.

— Zdziwiasz mię! Nie domyślałem się, aby zakon mógł na pierwsze zawołanie rozrządzać tak znacznymi sumami. Musicie mieć ogromne kapitały?

— Zakon nie posiada żadnych kapitałów; ma wierne sługi, które nie szcędzą życia i majątków, ile razy toczy się o dobro kościoła.

— Uważaj jednak kapelanie! Jeżeli, jak powiedziałeś w przypisku, za kilka dni obowiązujemy się zwrócić pożyczkę, przysługa ojca Zefiryne nie ma dla mnie żadnej wartości. Czy nie możnaby wyjednać rocznego, lub też dwuletniego terminu?

— Zakon nie jest bankierem, nie handluje pieniędzmi; obowiązuje bez procentu ludzi zasługujących na jego względy. Z dwuletnim terminem, nie wiem czy dostalibyśmy tysiąc dukatów. Nie zapominaj pan hrabia, że nam idzie o trzydzieści. Zanim przystąpimy do układu z wierzycielami, pokażemy im w gotówce sumę przewyższającą ich wymagania. Upewniam że skoro tylko zobaczą pieniądze, na wyścigi będą dopraszać się o zatrzymanie wierzycielności na hypotece lub nawet bez hypoteki. Co więcej, zewsząd sypną się ku nam prośby o przyjęcie nowych kapitałów. Kredyt nasz ustali się na granitowych podstawach. Znikną niepokoje, wróci swoboda, a tymczasem — tymczasem — hrabianka może bogato pójść za mąż. —

— Tymczasem, kochany księżu, zyskamy nieoceniony kapitał: czas! Wyborna rada! Pozwól, niech uścisnę tę rękę, która, nie zaręczam, czyli już ongi nie wyglądała z purpurowego rękawa Richelieu'go, lub z koronkowej komży Mazarina. Błogosławiona myśl przyszła ci do głowy.

— Każda myśl jest błogosławioną, skoro tylko zaczyna od dobra kościoła —

— A kończy na naszym — przerwał, śmiejąc się dygnitarz. Wróciłeś mi humor, księżu; nie darmo nazywają was lekarzami duszy. Prowadźże dalej zaczęte dzieło; wypraw natychmiast

konny posłańcem list do Lwowa i następnie zajmij się szambelanem. Licz na moją pomoc; czekam cię w salonie.

Obaj wybiegli nawzajem z siebie uszczęśliwieni.

Ksiądz, dzięki przysłudze nie wymagającej żadnej rzeczywistej ofiary, widział w przyszłości całe młode pokolenie rzucone w szpony zakonu. Wracały dawne czasy. Każda zdolność, każdy popęd, każde uczucie, padały do nóg następców Ignacego. Czarne mnichy ujawszy się za dłonie, znowu oplątały ziemię łańcuchem przesądu i niewoli. Wypędzony rozumem szatan, wracał straszyć umierających testatorów, wylękle dewotki, pierzchliwe dziewczęta; przerażał królewskie sługi głupią a bezbożną grozą piekielnych mąk, napełniał trwożą samychże monarchów.

Ostatnim wreszcie nie trudno było wytłumaczyć ich obowiązki.

Pomazańcy, bożym obdarowani wzrokiem, jasno widzieli oczywiste złego ducha objawienie w popędach ludów do światła i do swobody. Wystraszeni o przywilej, podpierali go z jednej strony katem, z drugiej księdzem: toporem rąbali ciało, kropidłem gasili promienie wolności i światła.

Na miejscu Zbawiciela, w świętej pokorze za prawdę konającego, zasiadał w jezuickiej czapce, z pozieleniałą jadem twarzą, roztygryسیونy na ludzi Jehowah, wieczny oprawca wiecznego Prometeusza.

Zakon musiał zginąć, albo nakazać ku sobie przystęp maluczkim. Przez dziecko zapanowywał nad matką; przez matkę słał sobie pod stopy męża i ojce, cisnął ołowianą prawicą wszystko co śmiertelne; co nieśmiertelne, oddawna już wylącznie doń należało.

Podczas gdy Lojolita tak promienną przed sobą rozglądał przyszłość, Sokolnik, osiwiwały motyl, trzpiot jedną nogą chyłący się ku mogile, rozfanatyzowany czciciel własnej folgi, jakie wypasiona na próżnactwie pycha na nim pozaczepiała, stary dzieciuch, z naiwną lekkomyślnością uganiał się za cackami, nie bacząc czyli mu pod stopą pękało sumienie, czy brodził w potokach łez, czy tuczył się cudzą krwią. Roztrzepaniec wydmuchnięty pańskim wychowaniem, byłby w chwili zabawy rozbił

głową człowiekowi jak lalce, dla zobaczenia co się w niej znajdowało.

Sokolnik i szambelan byli to ludzie nader przyjemni w towarzystwie; żaden z nich nikomu nigdy nie ubliżył. Przeciwnie, pierwszy sływał wdziękiem ułożenia, dowcipem często zachwycał; drugi budował bogobojnymi przymiotami, usłużnością skarbił powszechną przychylność. Jeżeli co do treści niewczesny jaki pesymista miał im co do zarzucenia, było to najprzód winą tegoż pesymisty, następnie niedokładności naszego padółu, który będąc, jak wiadomo, na próbę tylko stworzonym, nie dziw, że tu i owdzie przedstawiał wiele do życzenia.

W Galicji nazywano Sokolnika po imieniu, jak króla. W istocie magnat pod wielu względami trzymał berło, przed którym chylili czoło ludzie równego mu nawet urodzenia. Wesołość miał niewyczerpaną, twarz zawsze rozpogodzoną, uśmiech zadowolenia wiecznie rozkwitły na ustach, jako sami możecie przekonać się i w tej oto chwili, gdy żonę z córką i z Kazimierzem wsadza do pierwszego powozu, sam zaś w drugim, z księdzem i z szambelanem, jedzie do odległego o milę lasku, gdzie go czeka suto zastawiony podwieczorek.

Jednostajność wiejskiego życia przerywają niespodzianki, szerokie pole dla gościnności gospodarza i dowcipnych wymysłów gospodyni. Los tym razem przychodził w pomoc Sokolnikowi i od siebie gotował mu niespodziankę.

Na pół drogi od celu przejażdżki leżała nędzna wioska. Polepione z gliny chałupy, w ziemię zapadłe ze wstydu przed słońcem, świadczyły o bycie, jakim cieszyli się właścianie magnata. Do koła ani jednego wesołego drzewa, ani jednego ogródka, ani jednego kwiatka; widok smutny i bolesny dla zwyczajnych ludzi, obojętny zapewne dla Troglodytów, zrodzonych wśród tego upokorzenia natury.

Pomimo roboczego dnia niezwykle ruch panował w Zagłuszewie. Krzątano się, zwijano, biegano tu i owdzie; z daleka dochodziły krzyki i gwałtowne nawoływania.

Na końcu wioski, odosobiona nieco od rozłachmanionych towarzyszek, paliła się chata. Ogień dogryzał resztki ścian i sprzętów; korzystając z ciszy wiosennego wieczoru, prostym słupem pędził w niebo, pełzał jaskrawymi płomyki u stóp dy-

mnika, ponuro rozsiadłego na zgłiszczach spopielonej budowy. Garstka ludu z założonemi po większej części rękami, otaczała miejsce klęski.

O kilka kroków od progu, na osmalonej skrzynce, siedziała podeszła w laty niewiasta. Z osłupiałym wzrokiem jedną ręką grzebała machinalnie w popiele, drugą ocierała oczy, ile razy wiatr sypnął jej w twarz iskrami i dymem. U nóg jej młoda wieśniaczka z dzieckiem u piersi, zanosila się od płaczu. Kilkoletni chłopak i tegoż wieku dziewczynka, oboje na pół nadzy, obojętnie rzucali kamieniami w ogień. Zkrania młodej matki przerywały milczenie dotkniętej klęską rodziny.

Natomiast po drugiej strony chaty, od wioski, wrzawa i krzyk coraz się wzmagaly. Słyszać było zwłaszcza jeden ochrzypły głos miotający bezustannie bluźnierstwa, przekleństwa i niecne obelgi. Sokolnik właśnie nadjeżdżał, gdy tenże sam głos wrzeszczał dogorywającemi siły:

— Związać w kij łotra, hultaja, opryszka; postawić przy nim dwóch strażników! Zaczekaj podpalaczu, rabusiu! zginiesz ty pod bizunem w więzieniu, albo da Bóg, i na szubienicy! Odpowiadacie mi za niego; ani na krok nie odstępować!

Widok nadjeżdżających pojazdów uciął nagle dalsze pasmo wykrzykników. Człowiek, przeciw któremu srożył się jegomość ze szlachecka wytarto ubrany, nie stawał żadnego opru. Sam oddał ręce pod postronki, zuchwale nogę naprzód wysunął, wyprostował wyniołą postać i zdziwiałym wzrokiem poglądał na ulatujące w powietrzu ostatnie zakłęby dymu.

Sokolnik zdjęty ciekawością, kazał zatrzymać.

— Cóż się tu dzieje, panie ekonomie? Zkąd pożar wybuchnął? Co znaczy ten związany człowiek?

Dozorca z czapką w ręku podskoczył do powozu, chciał odpowiedzieć, otworzył usta, ale wysilony długim nadużyciem, głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Gadajże acan! Straciłeś mowę?

— JW. grafie — wyjąknął ekonom, doczekawszy się nareszcie języka — psie plemię! — do kajdan stworzone! Już z batogiem nie doszukasz się ładu. Łotr, zaledwie całej wioski nie puścił z dymem. W samo południe podpalił własną chałupę. Ludzie przybiegli na ratunek; hultaj nie pozwolił gasić:

groził, że pierwszemu, co z wiadrem przystąpi, głowę pałą rozbije.

Przyjezdni okrzykiem zgrozy odpowiedzieli na słowa ekonoma; kapelan i Sokolnikowa miłosiernie westchnęli do Boga; szambelan wzrokiem pogardy zmierzył złoczyńcę; Kazimierz do rysów i postawy obwinionego stosował psychologiczne swoje teorie; Marja poglądała nań z przerażeniem.

— Masz acan świadków na poparcie tego, co mi powiadasz? zapytał pan włości.

— Cała wieś, JW. grafie, zaświadczy; niegodziwiec wreszcie sam do wszystkiego się przyznaje.

— Tem lepiej; sprawa nie długo potrwa: obwieszą go bez ceremonji. Czy pytałeś acan, co go do zbrodni spowodowało?

— Pytałem; nie chce odpowiadać.

— Szatan go opętał! — westchnął kapelan.

— Człowiek ten — rzekł Kazimierz półgłosem do Marji — wcale nie wygląda na zbrodniarza; czoło ma szerokie, wyniosłe, wzrok spokojny, otwarty.

— Czemuż więc przypisać?

— Ukrytym jakimś przyczynom — może chorobie umysłu, monomanji.

— Wyleczy się z niej w kajdanach — dodał Sokolnik, którego uszu doszły ostatnie słowa. — Księżę kapelanie, wy przyzwyczajeni jesteście do rozmaitych badań; zapytaj go, żąd mu przysła chętką zapalić wioskę; może szczęśliwszym będziesz od ekonoma. — Hola! każ go acan przyprowadzić tu, do powozu.

— Słuchajno, przyjacielu — rzekł ksiądz z łagodnym uśmiechem — popełniłeś straszną zbrodnię, obraziłeś Boga i pana grafa; czeka cię odpowiednia kara, którą przecie możesz złagodzić, przyznając się szczerze do winy.

— Ja się nie zapieram, dobrodzieju! — odparł winowajca śmiało, patrząc mu w oblicze. — Jam sam podłożył ogień, własną ręką, w samo południe.

— Co cię do tego skusiło? Dla czego chciałeś wioskę spalić, pana i tyle ludzi na nieszczęście narazić?

— Gdybym był dybał na ludzką biedę, byłbym w nocy chałupę zapalił. Ja chciałem tylko zbyć własnej chudoby.

— Czy masz żonę, dzieci?

— Jest kobieta, stara matka i czworo dzieci.

— Swoich więc chciałeś wyprawić z torbą, o żebranym chlebie?

— Swoich, Dobrodzieju.

— Cóż ci zawinili?

— Nic. Matka ledwo nogi powłóczy; kobieta od świtu do nocy przy robocie. Panie Boże, daj taką każdemu!

— Ona tego o tobie nie powie, ona cię będzie przeklinać. Zamiast dopomagać jej w pracy, zmuszasz ją do wyciągania ręki.

— Doma byliby wszyscy prędeż z głodu pomarli, a dopóki chałupa stała, żadne nie chciało ruszyć w świat.

— Szczególniejszy sposób zachęcania do podróży! — rzekł Sokolnik. — Widzę jednak, mój przyjacielu — mówił dalej, odbierając księdzu słowo — że w około ciebie ludzie pracują, a z głodu nie umierają. Ale ty zapewne częściej włóczyłeś się do karczmy, niż na pole?

— W święto nawet, JW. grafie, ja do karczmy nie chodziłem. Sołtys zaświadczy, kto przed słońcem szedł do roboty, kto po słońcu ostatni powracał?

— Bardzo słusznie; jeżeli jednak, jako mówisz, szczerześ pracował, jakimże sposobem popadłeś w nędzę?

— Skoro bieda raz komu na strzesze usiądzie, nie wynasz jej ani z Bogiem, ani z djabełem. Łońskiego roku do samej Wielkanocy, dla siebie i dla ludzi dostatkiem było chleba w chałupie. Dopiero wedle Zielonych Świątek mor wytlukł dobytek. Na jesień nie było czem sprzątnąć, na zimę czem zaościć. Na przednowku już nie stawało chleba. Chodziliśmy na najem, ja i dziewczka moja Hanka; kobieta ostawała doma pilnować starej matki i jeść dzieciom gotować. Na Nowy rok pan rządca kazał wziąć Hankę na folwark. Prosiłiśmy zmiłowania; kobieta moja do nóg padała; nic nie pomogło. Ludzie obchodzili zapusty, u nas nie tylko okrasa, ale ziarka zboża nie było. Wszystkiego została jedna krowa. Trochę mleka dawaliśmy dzieciom, resztę odpuszczali ludziom za chleb. W post włódarz jął do

akwierac o podatek, o daniny do dworu. Kobieta moja sprzedala za dwa złote ostatni kozuch. Włodarz sfolgował, ale w kilka niedziel znowu powrócił. Nie było co wywieść na targ. Pan rządca kazał wczoraj zabrac krowę. Dzieci dokuczaly o chleb; w izbie wróbel byłby zamarł z głodu. Wyganiałem je na świat, do ludzi; schowały się pod piec. Matka nie chciała zwlec się z barłogu, kobieta łamała ręce. Byliby tak doczekali się śmierci. Podpaliłem chałupę.

Ekonom stał jak na węglach, konwulsyjnie gniół batóg; nie mógł nareszcie wytrzymać, poskoczył ku powozowi i silnym zamachem odepchnął podpalacza.

— Łże skórka na buty! — wrzasnął, łże bezwstydnie, JW. grafie! Przez całą zimę nie mogliśmy wypędzić go do roboty. Do karczmy nie chodził, ale pił w domu. Wszystko przepił, przehultał. Pan rządca z litości kazał wziąć mu córkę na folwark; żali się na biedę i skarży, że mu oszczędzili jednej gęby do żywienia. Wytlumaczysz się niecnoto przed sądem; obaczmy, czy wyjdiesz cały!

— Zapewne — odrzekł Sokolnik. — Nie potrzebujemy wdawać się w dalsze ceregiele; każ go acan odstawić do cyrkułu i pošlij z nim świadków. Jedźmy dalej! — ruszaj! Niepoczciwy ród, złością tylko oddycha; za własne błędy mści się na budynku. Czy uważałeś szambelanie, z jaką bezczelnością przyznawał się do winy?

— W niektórych prowincjach cesarstwa, mianowicie w Węgrzech — odparł zimno Niemiec — właściciel w podobnych rasach nie potrzebuje odwoływać się do sądu. Znakomite roszyny mają jus gladii, prawo karania na własnym gruncie i za własnym wyrokiem.

— Co kraj, to obyczaj. U nas za lada szczegół musimy udawać się do urzędu. Urząd jest wszystkim, panowie niczem, stąd też w ludzie taki brak moralności.

— I religji — dodał kapelan — zwłaszcza od czasu jak świętkim nauczycielom powierzono znaczną część publicznego wychowania.

— Tak to zawsze bywa — mówiła w drugim powozie Sokolnikowa — we wioskach, gdzie nie ma ani kościoła, ani plebana. Ludzie zapominają Boga i sumienia.

— Ależ oni tacy biedni, moja mamó! Nie mają znikąd ani pomocy, ani dobrego przykładu. Nikt im nie wspomniął o wytrwałości, ani o poświęceniu.

— Nędza, moje dziecię, jest zawsze koniecznym skutkiem moralnego zepsucia. Kto nie ma Boga w sercu —

— Ten nie wart mieć chleba w żołądku — pomyślał z uśmiechem Kazimierz, pieszcząc wzrokiem dwie łzy, jakie widok ludzkiego nieszczęścia wywołał na piękne oblicze Marji.

W Zagłuszewie tymczasem straż odwodziła podpalacza. Zgliszczą chaty słały ku niebu ostatnie pierścienie dymu. Stara wieśniaczka, niby skamieniała, nie ruszyła się dotąd z miejsca; kobieta winowajcy osłupiałym wzrokiem poglądała za odchodzącym; dzieci ciągnęły ją za fartuch, dopominając się strawy.

Słońce wiosenne zachodzącemi uśmiechy wdzięczyło się do ziemi; ptastwo ucieszone majowem liściem, z każdego drzewa zawodziło harmonijne chóry; kwiaty pełnemi kielichy garnęły w siebie balsamiczne powietrze.

Sokolnik mądrze uczynił, że korzystał z pogody i powiózł gości na podwieczorek.

Wdzięki wiosny, wonie kwiatów, melodje słowika, wszystkie ponęty przyrody, wszystkie uroki nieba, to jeszcze nie obraz, to dopiero ramy.

Nie oprawiać w nie ani widoków samoluba, ani spiekłych pragnień skąpcza, ani przepaścistych badań filozofa, ani pobożnych westchnień dewotki. Roskosz spółcuje tylko z rokoszą, życie pnie się tylko ku życiu. W rokoszy też życiem, w cieszeniu się bytem, jedyna prawda. Reszta fałsz i bezbożność, zwierzęcość lub ascetyzm, dwa termina jednego i tegoż samego pojęcia.

A ztąd wniosek oczywisty, że bezrozumnie czynią okrzykujący mędrce człowieka, który poglądając na świat, w rozsofismowanej dumie wykrzyknął: Próżność próżności! —

Gdziekolwiek drga życie, gdziekolwiek gore pragnienie oddechu, tam spoczywa istotne dobro, tam tkwi wiekuista prawda. Chcieć żyć, mózż żyć, umieć żyć, i żyć ciałem i wyobraźnią, duchem i zmysłami, sercem i myślą, uczuciem i siłą — to prawdziwa świętość, to mądrość jedyna.

Gardzić jednym dla drugiego, drwić z ludzi, mówiąc im, że urodzenie jest grzechem, życie pokutą, ciało wrogiem, piękność uludą, rokosz zagubą, cierpienie koniecznością, wstręt do samego siebie zaslugą — to dopiero próżność nad próżnościami, fałsz, o którym w głębi sumienia aż nadto był przekonany kochanek królowej Saby, zawołany izraelski mędrzec.

W takowej ucieśze życiem są chwile tego, co może nazwać się przybliżonem szczęściem. Zstępują one wówczas, gdy pod wpływem gwałtownego wzruszenia, wszystkie ziarna szlachetnych uczuć, zawiązki drogich nadziei, cele tajemnych marzeń, stulistnie rozwiną się naraz w człowieku, i niezaspokojone, ale pełne zaufania w przyszłość, wycieniowane bezzasadnym niepokojem; zaostrzone żądzą, ale odpychające zadowolenie, uniesmiertelnione w teraźniejszości i błękitem tęczącej nieskończoności, skupią człowieczą istotę w jedno ognisko, utopią wszystkie siły, myśli i uczucia w jeden przedmiot widzialny a żywy; życie bowiem potrzebuje życia; serce tyle warto, ile w drugim odzwierciedlić się zdoła; duch używa pełności życia, o ile się w drugim uzupełnia.

W podobnych razach dziewczyna spuszcza oczy, tłumi westchnienia, błaga serce o wolniejsze tententy, weseli się, chciałaby odejść, nie śmie uciekać, radaby nie słyszeć i słucha, nakazać milczenie i prosić o dalsze słowa, choć zwykle słowa nie warte milczenia; pierwsze kują prawdę w kajdany, drugie wszystko powiada.

Młodzieniec poi się tym widokiem, dusza w nim mężnieje, wzbiera szlachetnym zapalem, myśl się ujasnowidnia; on pierwszy raz pojmuje życie, czuje że żyje, wzbija się tam, gdzie dotąd samopas ani rozum, ani wiedza, ani marzenia, ani fantazja go nie unosiły.

Życie takowe na wsi, podczas wiosny natury i wiosny uczuć, jest najwyższym wyrazem osobistego szczęścia na ziemi. I Kazimierz i Marja, lubo z uroku nie zdawali sobie sprawy, umieli go czuć i kosztować. Z całego towarzystwa oni sami jedni byli prawdziwie, cieszyli się lada drobnostką, pojmwali spojrzeniem, odgadywali nawzajem wspólnością sądów i upodobań.

Zostawiono ich sam na sam.

Matka trochę cierpiąca, nie wychodziła od siebie. Sokolnik z księdzem zaprosili szambelana na długą konferencję o stanie szkół i wychowania w Galicji.

Dziewczyzna swoim zwyczajem wywoływała z fortepianu dziwne jakieś, na pół zmaczone melodje. Młodzieniec z założonemi rękami wpatrywał się w niebo, które coraz gęstszemi zachodziło chmurami. Oboje długo milczeli, targani tajemnym niepokojem, lub może przytłoczeni na duszy ciężarem zbliżającej się nawałnicy. Marja grała widocznie pod wpływem gorączkowej elektryczności atmosfery.

— Zaprześtań pani muzyki — przerwał nagle Kazimierz — trzeba mieć w sercu trochę litości.

Zagadnięta niespodzianą prośbą, ucięła akord w połowie, roziskrzyła ciemne oczy zadziwieniem spłoszonej łani, podniosła lekko głowę, czekając niby na objaśnienie.

— I pocóż się tłumaczyć? — ciągnął dalej Poraj. — Pani tak doskonale rozumiesz muzykę, że po tonie łatwo potrafisz charakter pieśni odgadnąć.

— Nie sądziłam, że pan nie lubisz muzyki.

— I teraz pani nie sądzisz?

— Pomyliłam się może — nie odgadłam.

— Bynajmniej, jesteś pani w prawdzie; inaczej nie ośmieliłbym się tak wyraźnie wymówić prośby.

— Zwykli moi słuchacze są dla mnie łaskawsii; pierwsi zawsze dopominają się o muzykę.

— Być może dla tego, że nie czują prawdziwej jej wartości. Słusznie wreszcie czynią, jeżeli chodzi im o materialny dźwięk. Do przyjęcia takowych jest się zawsze zarówno usposobionym; skoro jednak muzyka nie tylko gada, ale mówi, skoro daje się nie tylko słuchać, ale słyszeć, wtedy przyznaj pani, że są chwile, gdzie, niezdolni całkiem oddać się rozmowie, nie jesteśmy jej warci.

— Nie przeczę; ale między taką muzyką, o jakiej pan mówisz, a moim biednym fortepianem —

— Na miłość boską! nie posądzaj mię pani o chęć prawienia czczych grzeczności! Jest to zarzut, na który, zwłaszcza po mojej prośbie, bynajmniej nie zasługuję. Pojęcia moje o muzyce są może fałszywe, ale własne. Przypominam sobie, że nieraz

we Włoszech wychodziłem znudzony podczas arji primadonny, przerywanej grzmotem oklasków. Innym razem, wieczorem, sam jeden wśród głębokiej ciszy, łowiłem chciwie dźwięki pełnego świerszczyka; czasami z niewypowiedzianą rozkoszą połem się dochodzącą mię zdala jednostajną chłopką piosenką. Muzyka! — Słyszałem ją w gwarach, w szeptach, w westchnieniach, w nieokreślonych dźwiękach natury, częściej, niż w paryżkiem konserwatorjum, lub w akademji świętej Cecylii. Uczone kombinacje tonów chcą — mogą być — ale nie zawsze są muzyką. Ileż razy zdarzało mi się słyszeć to samo grono akordów, też samą arję, grane lub śpiewane przez różne osoby, lub nawet przez te same w różnych życia okolicznościach, w rozmaitych usposobieniach duszy. Te same melodje zachwycały mię lub niecierpliwiły; błogosławiłem je lub przeklinałem, często sam nie wiedząc dla czego. Mam jedno uczucie, na którego samo wspomnienie zdaje się mi, że drgnąłbym nawet w grobie. Nadewszystko cenię własną wolność. A przecież nie waham się wyznać: z tego to najdroższego uczucia własnej wolności często składam ofiarę na ołtarzu muzyki. — Są chwile, są usposobienia, w których staję się niewolnikiem geniusza harmonji. Sił mi brakuje na odpór; muzyka porywa mię, unosi myśl moją dalej, niż własnowolnie śmiałybym ją zapuścić; ogarnia mię urokiem, którego lękam się zwodniczych wpływów; otwiera kraje, gdzie nie mam dość wiary w szczęście, abym odważył się wstąpić; błyska przedemną nadziejami, w które lękam się zaufać. Wtedy — jeżeli zdołam się upamiętać — wyrwam się z czarodziejskiego kręgu, uciekam, lub też zbieram całą odwagę, i jako teraz, jako w tej chwili, proszę o miłosierdzie.

— Ależ to z pańskiej strony czarna niewdzięczność! Jeżeli w istocie muzyka przenosi nas w piękniejszy świat, po co się jej wyrwać, dla czego ją odpychać?

— Lękam się rozczarowań, nie dla tego, abym samego siebie oszczędzał; przeciwnie — dotąd sam ku sobie więcej czułem obojętności, niżeli pociągu. Uważam atoli życie ze strony zbyt poważnej, zbyt przedmiotowej, aby je zaprzętać czczemi pogoniami za własnem szczęściem. Inny cel obrałem w życiu, niż samego siebie. Cel ten stałby się kłamstwem, gdybym cały poświęcił się urzeczywistnieniu osobistych marzeń, chociażby naj-

droższych: zawsze jednak marzeń i nic więcej. Krótko mówiąc, w obawie przegranej, uciekam od gry; nie uważam bowiem zakładu za wyłączną moją własność.

— Gdyby nasz kapelan słyszał te słowa zwątpienia, powstał by na pana o bluźnierstwo. Ja mogę tylko bronić nadziei, jako broniłam muzyki; jednej i drugiej za nic w świecie nie chciała-bym porzucić.

— Bez wątpienia; tem bardziej, że obie więzisz pani w pięknych swoich dłoniach. Komu jedna służy za tak uległą powiernicę, dla kogo druga jest tylko dopełniającem się w chwili powzięcia życzeniem, ten byłby chyba —

— Chcesz pan powiedzieć: niewdzięcznym. — Wybornie! Własne moje zarzuty na mnie teraz spadają. Odwołuję się do sprawiedliwości. Jakiem prawem zabraniasz pan drugiem tego, co sam sobie pozwalasz? Komuż z nas wolno zrękać się ufności w przyszłość, nadziei? — Któż zabroni marzyć o własnem szczęściu, jeżeli umiemy je pojmovać? — Nieraz słyszałam pana ubóstwiającego potęgę woli. Gdzież ta cudowna siła, jeżeli sama myśl o przeszkodach, może nawet nie istniejących, potrafi ją ubezwładnić!

— O, mów pani, mów dalej! Nie mam w charakterze uporu. Jeszcze kilka podobnych słów, a chętnie wyprę się dawnych błędów, zapomnę fałszywych teorii, jakie zrodziło we mnie dotychczasowe osamotnienie wśród świata. Nie znajdziesz pani łatwiejszego do nawrócenia grzesznika; pokutę nawet przyjmę z pokorą i wypełnię. Co więcej, przysięgam poprawę, pozwolę sobie zamarzyć o szczęściu, pokocham nadzieję jako już pokochałem — —

— Wielki Boże! Patrz pan, jaka straszna burza! — zawołała Marja, zrywając się nagle z krzesła. — Wicher połamie mi wszystkie kwiaty. Biedne moje kwiaty! — Niektóre z nich wcale nie poprzywiązywane. Żałowałam ich na bukiety, a teraz — —

Kazimierz uderzył się w czoło, zebrał powoli rozhukane zmysły i niespokojnym wzrokiem poglądał za powstającą.

Sam nie pamiętał co wyrzekł; mniemał w tej chwili, że tarzanina żywiołów rozszalałych na dworze w zaciętej walce, dostała się mu aż do głębi duszy.

Marja, z ramieniem wspartem na poręczy krzesła, stała nieruchoma jak posąg, wpatrując się w bój drzew z wichrem, w harfiane struny ulewy.

Spojrzał na nią; ręka jej konwulsyjnie drżała.

Snać łom gałęzi, huk nawałnicy, groza rozdzierających chmury błyskawic, rozpręgały jej nerwy.

Nagle krwawa światłość wyiskrzyła widnokrąg, a za nią tuż w ślady straszny łoskot zdawał się drzeć, gruchotać ziemię do ostatnich posad.

Piorun uderzył w stojącą opodal lipę.

Marja ukryła twarz w dłonie, zachwiała się i bezprzytomnie spłynęła w objęcia Kazimierza.

Jedna kropla przepelnia naczynie; jedna iskra rzucona na prochy, zniszczenie szerzy do koła; jedno przyłożenie ręki błogosławi lub uzdrowia; magnetyczna potęga dotknięcia więcej zawiera cudów, aniżeli śniło się waszym filozofom.

Są zwłaszcza pewne chwile! —

W gwałtownych niepokojach serca, w niewyznaczonych jeszcze otwarciu przed samym sobą uczuciach, w niepewności o nowych ducha popędach, w mglistych nadziejach szczęścia, w gorączkowej obawie o niespełnienie nadziei — często zdarza się, że pierwsze dotknięcie ręki przechyla szalę, że ślizka miękkość jedwabnej sukni, łagodny ciężar bezsilnej kibici, pospieszne fale dziewiczego łona, rozwiane pierścienie włosów, muskające twarz pochyloną ku twarzy, wyraz cierpienia, niby jutrzienka uśmiechu, rozlany na podpartej własnymi pierściami wytwornej głowie — ach! jedno takie oka mgnienie, w którym wszystkie te wrażenia nagle i od razu schwycą za serce, za rozum, za zmysły, postanawia nieraz o losie człowieka, odkrywa mu szczęście, za którym gonił, lub wtrąca w przepaść, której zwodniczym pętlom niebacznie zaufał.

Kazimierz lewą ręką tulił zemdloną dziewczynę; prawą szybko przysunął szerokie krzesło iłożył na nim to, co dawni klasycy nazywali lubym ciężarem, a co w istocie w miarę do sił, wieku i wielu innych okoliczności, może zasługiwać na podobne nazwisko.

Pospiech ten wcale mu nie zaszkodził: równocześnie bowiem

otwarły się drzwi naprzeciwko i ukazała się blada jak widmo Sokolnikowa.

— A słowo stało się ciałem! — krzyknęła wystraszona gromem i widokiem bez zmysłów córki.

— I mieszkało między nami! — zawołał, wpadając bocznemi drzwiami, kapelan.

— Na Boga! Maryniu, co się z tobą dzieje?

— Lekkie omdlenie; chwilowy przestrah. Bądź pani hrabina spokojną — rzekł Kazimierz, podając Sokolnikowej karafkę z wodą.

Wkrótce całe towarzystwo znalazło się koło Marji. Kilka kropel wody powróciło ją do zmysłów; osłabienie ustępowało wraz z chmurami, pogoda wraz z błękitem na niebo wracała na lice, uśmiech zawitał wraz z pierwszym promieniem słońca.

Burza ustała na dworze, spokój atoli nie wszędzie powrócił.

Co się w sercu młodej dziewczyny działo, trudno było odgadnąć, tem więcej, że odzyskawszy przytomność, użyła jej najprzód na sprawdzenie w zwierciadle, o ile gwałtowny wypadek zostawił śladów w nieładzie jej stroju. Jeden rzut oka ją uspokoił.

Kazimierz zdradzał obliczem więcej wzruszenia. Obejrzał się po obecnych i spostrzegł, że ksiądz bruździł mu po twarzy przenikliwym wzrokiem. Niepewny sam siebie, korzystał z powszechnego zamięszania i nieznacznie oddalił się do swego pokoju.

Zaprawdę, człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Stwórcy; bezbożnicy tylko wątpią i czciciele szatana, których czeka za to kiedyś w piekle biesiada z rozżarzonych węgli i gorącej smoły. Podobieństwo to uderza mianowicie ze względu na twórczą moc; dogmat zaś tem łatwiejszy do uwierzenia, że co chwila samemu o jego niezawodności można się przekonać. Kazimierz wyszedłszy z salonu, oczywiście go na sobie dowodził.

Obyczajem ludzi zaplątanych w położenie, jego obecnemu podobne, skoro tylko znalazł się sam, natychmiast wziął się do pracy tworzenia. Z własnej wyobraźni, z popędów własnego serca; szybko wznosił podnoże; postawił na niem znajomą nam dziewczynę, wpatrzył się w nią z zachwyceniem, i dalejże wlewać życie w ulubioną postać, barwić ją fantazją, tężować

wszystkimi kolorami własnego uczucia, cieniować delikatnościami własnego serca, aż dopóki z idealnych wdzięków marzenia wyblęśła taka doskonałość treści i kształtu, że uniesiony tworzyciel nieśmiertelnością swojego dzieła, padł przed niem na kolana.

Wprawdzie wszystkie te przymioty mogły istnieć na jawie, ale Kazimierz w podobnych razach gardził materialnem doświadczeniem, porzucał je dla niezawodności tajemnego przeżucia.

Tak stworzywszy anioła, w połączeniu z nim własnego bytu, we wzajemności uczuć, jakie go przejmowały, widział otwarte przed sobą gwiaździste niebo, poił się rajskimi roskoszami zobopólnych uniesień, gubił wzrok w nieskończonych radościach życia, ściagał mleczne szlaki wedwójnej, kwiecistej pielgrzymki.

Zaczem i ziemia uśmiechnęła się doń wszystkimi ponęty, i cele, jakie obiecywał sobie spełnić, łatwiejszemi się wydały, i ludzie mu wycnotliwili, i drogi ku ich wyzwoleniu się wyprostowały, i wolność człowieka bliższą mu była do osiągnięcia.

Na raj u atoli i na ziemi świat uczucia się jeszcze nie kończył.

Kazimierz, jak każdy człowiek rozmiłowany w swobodzie, wygórowane miał w sobie uczucie własnej odpowiedzialności. Kochał Marję, ale on sam byłże jej godzien? Mógłże ze spokojnem sumieniem podjąć się szczęścia tej uprzywilejowanej między ludźmi istoty? Sprawiedliwą byłoby, aby nie jeszcze dla nikogo nie uczyniwszy, rozpoczynał czynne życie od przysądzenia sobie tak niezmiernego szczęścia, tak nieocenionej nagrody? Cóż go wreszcie upoważniało do nadziei, że Marja podziela jego uczucia, że rodzice żadnych nie postawią mu przeszkód?

Głowa mu płonęła, ile razy myśl tym kierunkiem zawracał; piekło całe czuł w piersiach, gdy niepewność czarne płachty wątplenia rzucała na sny jego złociste.

Ostatecznie niepokój roztratował mu nadzieje i tak dalece jął gryźć serce, że Kazimierz nie znalazł w sobie z czego wystroić się przed towarzystwem w obojętne oblicze. Nie wystarczało mu kilka tu i owdzie zarwanych chwil samotności.

Przywołał służącego i kazał mu natychmiast gotować się do wyjazdu. Pięciodniowy pobyt, aż nadto długi jak na pierwsze odwiedziny, dostatecznie usprawiedliwił go przed gospodarstwem.

Z obu stron pożegnano się z oznakami jak najwyższej przyjaźni.

Kazimierzowi zdało się, że lekki cień smutku, głębokie może kryjący uczucia, wybiegł przy rozstaniu na piękne lica hrabianki.

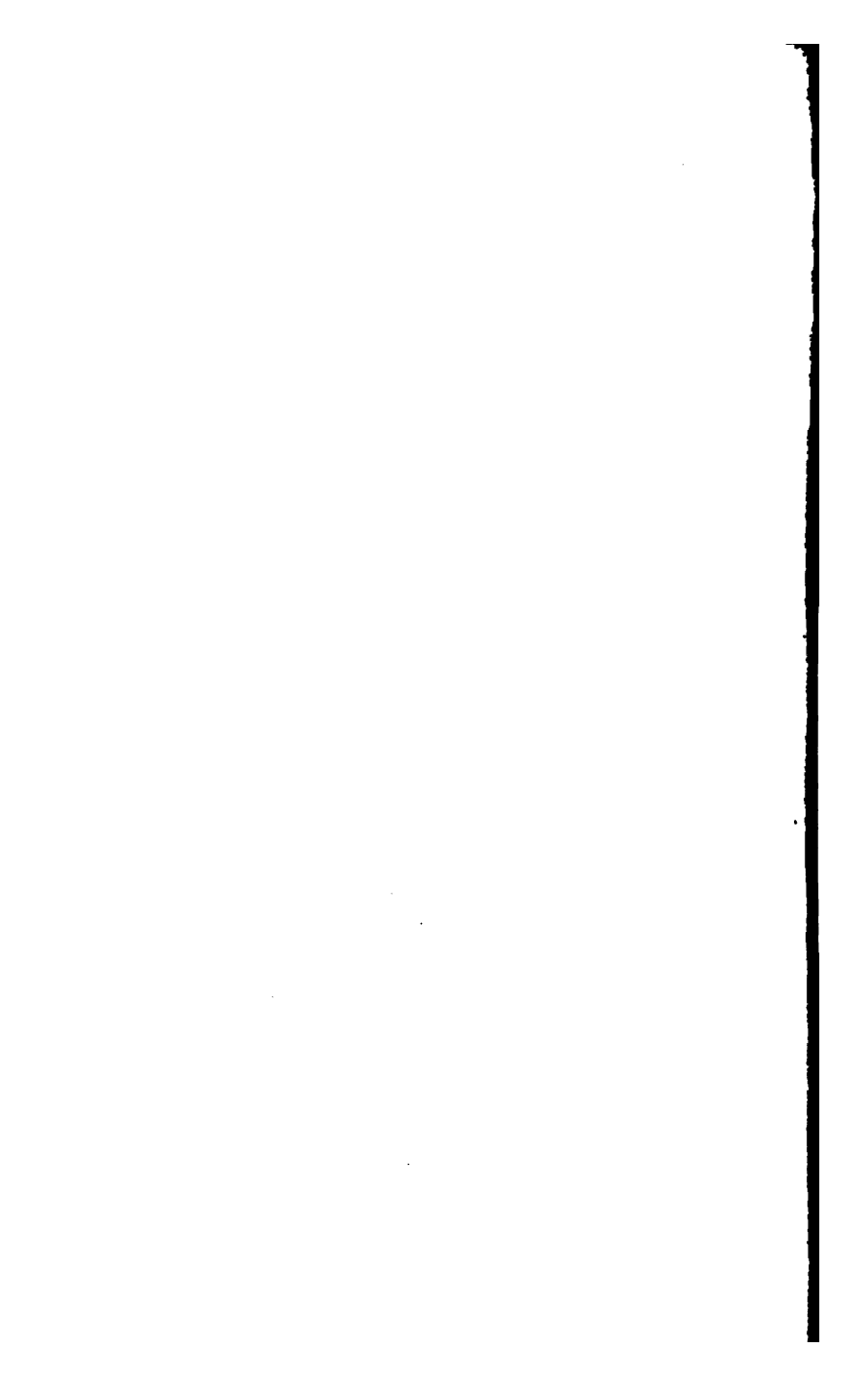
Pojechał. — Prorok czy szaleniec? — Nie wiadomo!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

2

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LVI.



ALKHADAR.

USTĘP Z DZIEJÓW OJCÓW NASZYCH

PRZEKŁAD

EDMUNDA CHOJECKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

TOM DRUGI.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1869.

Slav 7107.1.11

Harvard College Library
Gift of
Archibald Gray Coolidge, Ph. D.
July 1, 1896.

لَعَنَكَ اللهُ جَمِيعَ سَبِيْتِنِ عَمْرِي
وَالهَيْتَنِي هَذَا الْكِتَابِ

VI.

Jeżeli się mają pożenić, po co powieść przewlekać?

Czyliż nielepiej od razu zaprowadzić ich do ołtarza, dodać zwawy opisa wesela i zakończyć prognostykiem długiego zobopólnego szczęścia i liczego potomstwa?

W istocie, nic nie mam przeciw temu rozumowaniu, sam nienawidzę epizodów, szczegółów, oczekiwań, przezroczyстых intryg, przebojem naginanych fortelów; sam nieraz, pragnąłbym z cudzego a może i z własnego życia wziąć tylko spis rzeczy, summaryczną treść rozdziałów, kamiennym stylem wypisany nekrolog upadłej w bezmiar pewnej ilości lat, resztę zaś ku większej nauce a zwłaszcza wygodzie, rzucić niepamięci na pastwę.

Daremne życzenia! czas, niepokonany walecznik, drzwi z roszczeń do wieczystych swoich praw, układów nie przyjmuje za żadną cenę.

Życie, dla większej części ukaranych niem istot, sączy się kropla po kropli, sznurkuje strumieniem śród przepaści; czasami srebrną taśmą spada ze szczytu gór, to znów ginie w piaszczystych zaspach, wychyla się dalej na kwieciami zesłanej murawie, toczy ily i ostre kamienie; dopóki nareszcie po długich i rozmaitych zakrętach, w najmniej spodziewanem miejscu, w najmniej oczekiwanej chwili, nie spotka się z ujściem.

Toż samo dzieje się z powieścią, jeżeli chcecie w niej znaleźć wierne odzwierciedlenie ludzkiego żywota. Czasami wlecze się ona jak urzeczywistnienie gorącej nadziei, pędzi warkotem

jak następstwa gwałtownych a przypadkiem następczonych wydarzeń, wpada w letarg zadumek po wycierpieniu dokuczliwych bólów, budzi się i śmieje w chwilach zapomnienia; śni o przyszłości, rozpamiętuje przeszłość, kształci się, mieni, przeistacza, niekiedy kończy pełną wątku do długiego rozwoju; lub jako starzec kuleje wsparta na wspomnieniach, żyje pożyczanem życiem wtenczas, kiedy oddawna powinna była je pożegnać.

Byłoby może lepiej, gdyby życie snuło się pasmem gęsto sypiących wypadków, nieustanną grą pomysłów, czynów i namiętności, wówczas i zadyszana powieść bystrzejsze pędziłaby nurty, i księgarz mój, który z łokciem i wagą ma zwyczaj wchodzić ze mną w umowy rozmaitych prac literackich, gościnniejszego by doznawał przyjęcia.

Dopóki jednak warunki bytu w niczem się nie zmieniają, póty z prawdziwem zadowoleniem sumienia, piśmienni pracownicy będą mieli prawo oporu przeciw natarczywości lipskich lub praskich kramarzów, ile razy takowi posuną się do niedelikatnych namów na pędzse wyprawienie na tamten świat, ojca, na otrącie opiekuna, morderstwo spółzawodnika, zemstę opuszczonej kochanki, małżeństwo niewiniątek, ukaranie cnoty — myślę się — ukaranie zbrodni i nagrodę cnoty — wszystko w trzech najwięcej tomach in 12^{mo}, każdy tom naprzód zamówiony o 335 stronniach, każda stronna o 34 wierszach, każdy wiersz o 40 głoskach, nie licząc znaków pisarskich, nadpisów, kropek, kresek, liter początkowych, kursywy, ale owszem, rachując prawdę lub piękność objawioną w zwyczajnym garmencie lub mniejszym cyclerze, jako w jedynych charakterach trafiających do przekonania czytelników.

— Mnjejsza o to mój przyjacielu, zgadzam się na garmont i na kursywę; przyrzekam co sam zechcesz, zejdź mi tylko z oczu! —

Poszedł dzięki Bogu. Oddycham! — Niktże nam nie potrafi wrócić na tych ludzi inkwizycji i tortur? — Darma! nie ma sprawiedliwości na świecie! Cóż czynić; uzbroić się w potrójny pancerz cierpliwości? To niedość. W poczwórny więc? — Jeszcze za mało. — W posetny do stu szatanów! — I to nie wystarczy. — Kiedyż więc będzie dość? — Nigdy! — Ro-

zumiem; milczę, drzwi na klucz zamykam, chwytam za pióro, wracam do rzeczy, piszę dalej.

W obszernej komnacie jezuickiego, lwowskiego collegium, przechadzał się średniego wieku, wysoki, czarny jegomość. Czasami z widoczną niecierpliwością zbliżał się do okna, przysłuchiwał dalekiemu turkotowi pojazdów, podsuwał ku lampie, przykładając do oczu okulary, przezierał rozrzucone na stole papiery. Światło, snopami promieni padało mu wówczas na wygładzoną czaszkę i rozbryzgując się po twarzy, wyjaśniało ją wśród zaległego do koła zmierzchu.

Człowiek ten niepospoliłą miał postać.

Pewność ruchów zdradzała w nim niezwykłą energję; w głosie pełnemi siły drgała młodzieńczość, chociaż na piękne oblicze jeden za drugim wybiegły zmarszczki, i żar myśli aż do szczytu głowy wypalił mu włosy, i ciężar znużonych powiek przygaszał blask wielkich błękitnych oczu, i cienkie jak nic usta pobladły od bezsennych nocy i mozolnych umysłowych trudów. Dusza nie dość w nim uszanowała doskonałość formy, brózdziła ją, pochylała, ómiła gwoli wewnętrznej rozsterce uczuć i pasowaniu się z namiętnościami. Niewdzięczna! — zapominała że nieraz, dzięki harmonji kształtów ziemskiej pokrywy, oszczędzała sobie połowę drogi w pogoniach za celem, utwierdzała zwątpiałych, nawracała niewiernych, kruszyła męskie upory, opanowywała niewieście wyobraźnie; często jednym pogłaskiem łagodnego wejrzenia, jednym wyciągnięciem białej, wypieszczonej ręki.

Ten głos, to wejrzenie, ta dłoń pasterska, ileż głów nieraz kornie ku ziemi chyliły, gdy z katedralnej ambony, przemawiał do grzeszników Ojciec Zefiryn, Prowincjał Jezusowego Zgromadzenia.

W tej jednak chwili, gorliwemu pasterzowi Pańskiej owczarni wcale nie chodziło o zapędzanie pobożnych dusz do raj. Zaprzątnięty bardziej ziemskimi kłopoty, po raz trzeci odczytywał list podwładnego w Jezusie brata Tapczyca: wyluszczał prawdę z łupin wyrazów, ważył alternatywy, obiegał pamięcią plac walki, jaką zamierzał wydać przeciwnościom, obrachowywał własne siły, odgadywał przeszkody, naznaczał zaczepne punkta.

Przed bramą zatrzymał się powóz.

Jezuita usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i odgłos kilku stąpań po schodach. Wsunął szybko pod zielone sukno stołu kilka tajemnych papierów, rozmarszczył czoło i wzrok wypogodzony ku drzwiom obrócił.

Pierwszym przybysem był znajomy nam bankier Dahlman; za nim weszło dwóch cesarskich urzędników, miejskich dygnitarzy, jak łatwo było można odgadnąć po orderowych wstążkach i tym wyrazie zuchwałego niewolnictwa, jaki w państwie księcia kanclerza piętnował jego podwładnych. Szereg zamykali czterej ojcowie Zgromadzenia, niewiadomo chudzi czy grubi, starzy czy młodzi, wysocy czy niscy, piękni czy brzydcy; wszyscy bowiem z założonemi rękami i spuszczonemi oczyma, w pół zgięci, w sobie skupieni, sunęli jak mary i pozdrowiwszy przełożonego, cichaczem przysiedli w rogu komnaty niby dla wypełnienia obrazu.

— Witam was panowie, pokornie witam, rzekł duchowny podchodząc ku gościom — i zarazem przepraszam że powążyłem się zwoływać posiedzenie i trudzić was w tak spóźnioną porę. Każdy z nas ma dzienne zatrudnienia i wieczorem potrzebuje wypoczynku. Odrywać panów od święcie zapracowanych chwil wytchnienia dla sprawy wyłącznie dotyczącej zakonu, byłoby nadużywaniem ich gorliwości.

— Dobro zakonu, odparł Dahlman, jest dobrem świętej naszej religji; jako takie przed każdym innym pierwsze trzyma miejsce. Co do mnie, z serdecznym pośpiechem stawiam się na wyznaczoną godzinę, chociażby dla złożenia jednego więcej dowodu, o ile obchodzą mnie sprawy czcigodnego zgromadzenia i jak drogą mi jego pomyślność.

— Z naszej też strony, wtrącił jeden z urzędników, nie zapominamy że jesteśmy sługami cesarza, Jego Apostolskiej Mości. Sam ten tytuł przypomina spójnię rządu z kościołem, i względem obu, podwójne nasze, zarówno święte obowiązki.

— Dziękuję panom uniżenie w imieniu zakonu. Potęgi całego piekła nie przemogą bram kościoła mówi Pismo Ś., dając tem do zrozumienia, że świętej katolickiej wierze nigdy nie braknie na gorliwych wyznawcach i obrońcach.

Czterej Jezuici w głębi, podnieśli się na to słowa i skłonili w milczeniu.

— Czas byłoby zagaic posiedzenie — ale brak nam jeszcze jednego gościa.

— Siadajmy, Wielebny Ojciec — przerwał Dahlman; księcia koniuszego tylko co nie widać; powóz jego zaprzężony stał przed bramą. Zdaje mi się nawet że słyszę go zajeżdżającego.

W istocie, drzwi otwały się niebawem i wszedł Książę *** Wielki Koniuszy Dworu, jeden z najrozgłośniejszych galicyjskich magnatów.

Natura ruchu, za pomocą którego dygnitarz dostał się do sali, zasługuje raczej na nazwisko wtoczenia aniżeli wejścia. Książę składem ciała przypominał pewne urny na krótkich nogach, z gałką na wierzchu dla łatwiejszego zdejmowania pokrywy. Z gałki tej jednak, błyszczało dwoje żywych oczu, wyskakiwał nie dla samego kształtu nos, czerwieniły się usta wiecznie śmiejące i wykształtowane niejako na siedlisko weselości i próg świątyni żołądkowych rokoszy.

Obecność magnata w tak poważnem zgromadzeniu, świadczyła o zabiegłości zakonu, który garnął w siebie najróżnorodniejsze w społeczeństwie żywioty, przyciągał je widokiem właściwych korzyści i z każdego umiał do ostatniej kropli wysączyć stosowny dla siebie pożytek.

Stowarzyszeni, nie zaciągali żadnych zobowiązań; przeciwnie — zakon pierwszy zaczynał od wyświadczenia im przysług, ale dary Zgromadzenia były jako koszula Dejaniry; kto raz przydział zgubne odzienie, z duszą chyba mógł je zwlec z ciała. Wdzięczność i gotowość na rozkazy zakonu stawały się koniecznemi, podczas gdy osobiste, drażliwe często a dziwaczne zwykle tajemnice, warowały uległość zwolenników Lojoli.

Zakon atoli nie nadużywał swoich wpływów; materialnych ofiar za życia nie wymagał, poprzestawał na oddaniu sumienia, na moralnej propagandzie, na poświęcaniu pewnej części zdolności i stosunków, ku załatwianiu spraw Zgromadzenia.

— Przepraszam za spóźnienie! — rzekł książę, śmiejąc się

na całe gardło; *tarde venientibus* — Ojcie prowincjale — miałem kilka osób na obiedzie — przy kawie — gawędka, dla strawności — to i owo — czas zleciał. Witam panie Dahlman. — Uniżony sługa panowie. Nie trzeba było na mnie czekać; ja od razu zgadzam się na wszystko.

— Wasza Książęca Mość w samą porę przybywa — odrzekł jeden z Jezuitów, ku któremu magnat obrócił był ostatnie słowa — ci panowie tylko co nadeszli.

— Tem lepiej, tem lepiej — siadajmy więc i nie traćmy czasu. Czas droższy od złota, mówią Angielczycy. — Jakto? ja mam zasiąść na prezydjalnem krześle?

— Książę nie odmówisz nam tego zaszczytu!

— Zgoda, ojcie prowincjale; będziemy obradować jak w parlamencie. Przewybornie! wysmienicie! — Wzywam więc przewielebnego ojca prowincjale aby raczył wyłożyć nam sprawę. Obejdzie się i bez dzwonka; jesteśmy w dobrem towarzystwie — cha! cha! cha!

Przełożony wsparł łokiec na stole, splótł palce, roziskrzył oko surową, chociaż nie bez wdzięku, bogobojnością, i zwracając rzecz głównie ku dwom koasyljarzom sądu zaczął:

— Sprawa zakonu tak jest jasną i słuszną że kilka słów na objaśnienie jej wystarczy. Wiadomo panom że przed czterema miesiącami zgasła w Przedwiecznym, niezamężna i podeszła w laty Starościanka Dąbrowska. Obecny tu brat, Florenty Jaskier, był jej spowiednikiem i pocieszycielem w dolegliwościach, jakie sprowadziły na nią, bardziej niż wiek, gorliwość w pełnieniu kościelnych przykazań i gorąca chęć zbawienia duszy. Pobożna ta córka kościoła, sądziła że dla ubłagania Stwórcy, nie dość było jałmużn, modlitw i postów. Chciała po śmierci jeszcze zapewnić sobie przyczynę do Boga. W tym celu, jako też dla wspomnienia nędzy ludzkiej za pośrednictwem kościoła, na kilka lat przed zgonem, rozporządziła majątkiem na rzecz ojców Zgromadzenia Jezusowego, którego ja dziś jestem niegodnym przełożonym.

Zakon oddawszy dobrodziejce ostatnią posługę, zabierał się do zadość uczynienia jej woli, gdy wtem odwieczny nieprzyjaciel boży, któremu dotąd udaje się znachodzić na ziemi godne siebie narzędzia, stanął w poprzek, nietykal-

nym wedle świętych i ludzkich praw rozporządzeniem testatorki.

Dwaj synowie siostry śp. starościanki, Jan i Grzegorz Jakubowicze, oba wyznania ormiańskiego — proszę pamiętać tę okoliczność — zależeli w sądzie protestację przeciw ostatniej woli nieboszczki, i doręczyli poswy JQ. Księciu i panu Dahlmanowi, jako egzekutorom własnoręcznie przez Starościankę naznaczonym.

Pozwajający, z urodzenia zatwardziali heretycy, i zacięci wrogowie kościoła, nie tyle dbali o sprawiedliwość, ile o znieważenie świętej wiary katolickiej i pozbawienie jej pewnej części doczesnych środków rozpostrzeniania się i krzepienia.

Podobny napad, w najhaniebniejszych tylko pobudkach mógł znaleźć poparcie.

Młodzi Jakubowicze, którzy, jeżeli się nie myłę, raz już byli sądzeni za obelgi przeciw cesarskiemu majestatowi — proszę na to zważać: kto nie szanuje władzy ten musi wojować z kościołem — nie wahali się odwołać do fałszywych, zapewne przekupionych świadków, zawęzwali sąd o unieważnienie testamentu, dowodząc że śp. starościanka, od dziesięciu blisko lat, zapadła była w zdziwienie umysłu, a nawet że czasami ulegała napadom obłąkania. Łatwo panowie zgadniecie, że dzięki zepsuciu epoki i wpływowi pieniędzy, nie zabrakło im na świadectwach lekarzy, ani na innych ustnych i piśmieanych dowodach, których oczywistość byłaby niezaprzeczoną, gdybyśmy nie wiedzieli z jaką biegłością szatan umie czasem pętać najzdrowsze umysły.

Za kilka dni, sprawa ma być wprowadzoną przed kratki.

Obecni tu panowie konsyljarze rozsądzą ją według głosu samienia i sprawiedliwości.

Zakon tak dalece ufa w zwycięstwo prawdy, że znaczną część silnie przepawiających za nim argumentów, zostawia bez użytku. Między innymi, na szczególną uwagę zasługują listy pisane przez śp. starościankę, częścią do mnie, częścią do brata Florentego.

Listy te zawierają wprawdzie wiele faktów właściwych samemu tylko Zgromadzeniu, w niczem nie obchodzących profanów, i dla tego nie spieszymy wystawić je na publiczny

ogład. Powinnością atoli naszą nie szepścić wszelkich środków mogących oświecić sumienie sądu. Między nami nie ma tajemnic.

Wspólna nasza gorliwość o dobro kościoła — mówił Ojciec Zefiryn wolniej i z widocznym przyciskiem — najlepszą jest rękojmnią, że żadne wymówione tu słowo nie wyjdzie za obręb tych murów. Oto są listy; panowie konsyljarze raczą naocznie o ich treści się przekonać.

Dokumenta, którym Jezuita tak znaczną wartość nadawał, składały się po prostu z sentymentalnych wynurzeń starej dewotki, z wylewów uległości bez granic i przywiązania do Zakonu. Niektóre wyszczególniały przesyłane podarki w gotowiznie, w kościelnych ozdobach, lub w wiktuałach.

Urzednicy sądowi bystro je przezierali; poglądali po sobie ukradkiem, tręcali się kolanami pod stołem; reszta zgromadzonych oczekiwiała w milczeniu na skutek przeglądów.

— Moralne dowody są niezaprzeczone — rzekł po chwili jeden z konsyljarzów, wysoki, chudy, z rudemi faworytami i w takiejże peruce jegomość — sąd atoli, na nieszczęście, ślepo trzyma się litery prawa i pomimo najszczerzej chęci, w przedstawionych nam listach, prawnego argumentu ani jednego nie potrafiłby wynaleść.

— Zdanie sądu jest nieomyślne, a ufność nasza w mądre jego wyroki nieograniczoną — odparł przełożony lekko uchylając głowy — nie pojmuję wszelako jak można przeczyć wiarygodności testamentu osoby, która w odpowiedzi na prośbę o przyczynienie się do naprawy katedralnej kaplicy, przemawia temi słowy: «Z prawdziwem szczęściem ofiaruję co mogę, czyliż bowiem wszystko co posiadam nie należy do matki naszej, przynajświętszego kościoła katolickiego?» List własnoręczny, o kilka zaledwie miesięcy poprzedzający testament nieboszczki. Porównajmy daty. Niech Księżę Jegomość raczy także łaskawy wrok rzucić na te papiery. Szanowny panie Dahlman, oto druga część korespondencji.

Ksiądz przyjął z rąk urzednika sądowego papiery i podając je bankierowi, rzucił z pod oka wejrzenie jednemu z swoich podwładnych.

Jezuita obracający głowę na nazwisko Florentego Jaskra, podsunął się chyłkiem ku konsyljarzowi w peruce.

— Sprawa jasna jak słońce, panie radeo — rzekł mu półgłosem — zakon w żadnym razie przegrać jej nie powinien i nie może. Pomimo to, mniej mu chodzi o zapis, o kosztą procesu, jak o danie zbawiennego przykładu napięciem karku upornemu grzesznikowi. Przewielebny ojciec prowincjał przeznaczył na ten cel pięćset dukatów w obrączkowym złocie, które mam rozkaz doręczyć natychmiast po —

— Nie ma wątpienia Mości Księżę, przerwał konsyljarz bez peruki, odpowiadając na silny raz w kolano zadany mu pod stołem przez towarzysza — nie ma wątpienia że sprawa Jakubowiczów na uwagę nawet ze strony sądu nie zasługuje. Nieboszczka własnoręcznie podpisała testament, listy zaś jej aż nadto dowodzą, że mniemana słabość umysłu jest niegodziwym fałszem zawiedzionych w nadziejach spadkobierców.

Ojciec Florenty Jaskier, za pierwszym słowem, cofnął się na swoje miejsce i siedział niewzruszony, jakby oddawna zażyły w tejże samej postawie.

Mój towarzysz ma słuszną, panie Dahlman — dodał konsyljarz w peruce. Nie wpadło mi na myśl sprzeciwieństwo między jasnością stylu nieboszczki, a głównym punktem skargi Jakubowiczów. Wziąwszy rzecz na ścisłą uwagę, rękę za siebie i za mego kolegę, że skoro sprawa wytoczy się przed sąd, żaden z nas ani chwili nie będzie namyślał się nad wyrokiem. Byłoby dobrze aby pan prezes sądu mógł rzecz obejrzeć ze stanowiska równie jasnego jak nasze.

— Zapewne, odrzekł Dahlman, styl listów dostatecznie odpowiada na zarzuty Jakubowiczów, wszelako nie należy zapominać że pozew w motywowaniu nadużycia zaufania, wspomina pewne fakta, które zdają się naprowadzać na domysł, że nieboszczka pisała pod okiem czcigodnego spowiednika, że nawet w pewnych razach tenże prowadził jej rękę.

Zarzut ten, panie Dahlman, nie jest zupełnie bezzasadnym, podchwycił szybko prowincjał — kto prowadzi duszę ten pod pewnemi względami musi mieć prawo kierowania ciałem. Brat Florenty jako przewodnik duchowny śp. starościanki,

uspewniał ją radami na śliskiej drodze zbawienia, wierny atoli świętemu powołaniu i regułom Zakonu, w ziemskie sprawy bynajmniej się nie mieszał. Jakubowicze grożą fałszywemi świadectwy; zakonowi nie braknie na bogobojnych świadkach za prawdę. Wreszcie czyliż sam użytek, jaki obie strony zamierzają uczynić z puściany po nieboszczace, nie wykazuje dostatecznie kto ma za sobą sprawiedliwość? Mniemani spadkobiercy powszechnie są znami, okrzycczeni za marnotrawców, za ludzi drwiących z nieba i z piskla; pozostałą wioskę za bezcen sprzedadzą, jedną część znacznych kapitałów, tę która jest umieszczoną na dobrach Księcia Jegomości, natychmiast podniosą i roztrwonią drugą, zachowaną w gotowiźnie: użyją na obrazę Boga i świętej Jego wiary.

Zakon inne cele naznacza szczodrobliwym datkom wiernych.

Zakon wspiera kaleki, odziewa nagie, przytula sieroty, karmi łaknące, rozszerza prawdziwe światło, krzewi miłość i posłuszeństwo ku Bogu i rządowi. Zakon nie ugania się ani za wysokimi procentami ani za gromadzeniem gotówki. Przeciwnie, z radością widzi mienie swoje strzeżone przez tak przykładowych synów kościoła jakim jest Książę Jegomość, z pośpiechem oddaje kapitały swoje ludziom tak zacnym i dbałym o dobro religji, jakim jest szanowany nasz pan Dahlman. W obecnym atoli wypadku jeszcze raz powtarzam, kwestja moralna przenosi kwestję ziemską. Mniejsza o dostatki! Ja pierwszy w imieniu Zgromadzenia wyrzekłbym się ich chętnie, gdybym był przekonany o uczciwości ludzi poszczęcych do nich prawo. Gorąca chęć pomnożenia chwały Pańskiej i potęgi kościoła, powoduje nami że dbamy o wygranie sprawy. Przez usta naszych przeciwników, piekło tegoż samego dla swoich celów się domaga. Każdy tu z pomiędzy nas, jestem pewien, w głębi własnego sumienia znajduje odgłos na moje słowa. Jeżeli zaś, nieobecny na dzisiejszem posiedzeniu — czego szczerze żałuję, pan prezes sądu, niedostatecznie ze szczegółami sprawy jest oznajomiony, spodziewam się że zacni egzekutorowie testamentu śp. starościanki, Książę Jegomość i pan Dahlman, nie odmówią nam orędownictwa, i na zjednanie prezesa użyją wszystkich tych wpływów, jakimi każdy z nich słusznie się chlubi.

Ojciec Zefiryń wyciągnął się w krzesło; piękne jego oblicze błyszczało spokojnem zadowoleniem z wrażenia, jakie widocznie każde słowo wywierało na obecnych. Podał po obu stronach wiadom złotą tabakierę, prawicę roziskrzoną kosztownym pierścieniem, wsparł na równej prawie białości papierach. W tej śnieżnej dłoni, duchowny dzierżył wygraną sprawę przeciw bezbożnym Jakubowiczom, sumienia dwóch urzędników sądowych, ślepą uległość magnata i bankiera, z których pierwszy, potęgę stosunków w stolicy, drugi, wielmożnością pieniędzy, przeczuli mu zawczasu zdanie Prezesa.

— J. O. Kancelarz cesarstwa niedarmo popierał Jezuitów; wiele musiał się od nich nauczyć.

— O prezesie sądu mowa? — o prezesie? — rzekł Książę — nam go bardzo dobrze; bliski mój przyjaciel — jutro zaproszę go na obiad — wyborny człowiek — przy kieliszku wyjaśnię mu sprawę. Właśnie przyjąłem nowego kucharza — Ojciec Zefiryń nie odmówisz mi zaszczytu? — Panie Dahlman, wiesz, że przy moim stole, na twoją intencję zawsze zostawiają jedno próżne nakrycie. Panowie, jeżeli łaska i czas wam pozwoli, czekam jutro, punkt o czwartej. Wypijemy za zdrowie szanownego Zgromadzenia i za pomyślny wypadek procesu. Prezes chcąc nie chcąc podzieli z nami toast, i tym sposobem mimowolnie zobowiąże się na przyszłość. Bachus i Pomona zjedną nam Temidę — cha cha cha! — doskonała myśl!

— Ma słuszność, pomyślał w duszy Dahlman, że nie wspomina o najważniejszym bożku, o Plutusie; nie każda prawda znosi widok słońca a nawet i dwóch lamp.

— Mości Książę, dodał głośno bankier, winniśmy podziękować przewielebnemu ojcu prowincjałowi, że raczył wezwać naszej pomocy w sprawie, której wygrana ucieszy ludzi sumiennych i prawowiernych. Sposobność wypełnienia drugiego obowiązku jest jedną z tych przysług, do jakich Zakon oddawna już nas przyzwyczaił.

Obecni gestem wyrazili spółuczestnictwo w uczuciach bankiera; przełożony, ręką i skinieniem głowy dziękował do koła.

— Zakon, prawil Ojciec Zefiryń, równaż wdzięczność czuje ku tym, którzy w czasach powszechnego zubożnienia żywią

w sercu gorącą wiarę i troskliwość o dobro kościoła. W istocie, zepsucie doszło do tego stopnia że religja liczy wyznawców nie tysiącami jak dawniej ale zaledwie dziesiątkami. Chwast zarósł Pańską winnicę zwłaszcza odtąd, jak ster wychowania publicznego wpadł w ręce niedowiarków. Złość ludzka widocznie się wzmagą. Daj Boże aby z czasem zupełnie nas nie pochłoneła!

— Na Boga! powątpiewanie to w ustach, które zwykły dawać nam nadziei, bolesną jest przepowiednią. Jesteśmy ojcami rodzin, wszyscy zarówno czujemy zgubne skutki świeckiego wychowania, ale któż nam dowiedzie że Najjaśniejszy Pan, że sam książę kanclerz, nie zechcą zwrócić uwagi na tak ważny przedmiot i nie oddadzą Bogu co boskiego.

— Nadzieje, panie Dahlman, zawsze nadzieje i nic więcej! Tymczasem rak zgorzenia coraz się roztacza, potok zatruty u źródła, im bliżej ku ujściu tem szkodliwsze toczy wody.

— Zdaje mi się, rzekł książę, że przed rokiem roztrząsalimy tę kwestję na jednym z naszych posiedzeń? Zakon miał przedsięwziąć w tym celu stosowne kroki, podać sprawozdanie o teraźniejszym stanie szkół, i wyraźnie zażądać przeniesienia funduszków edukacyjnych na rzecz kolegium.

— Tak jest Mości Książę; Zakon od śmierci Cesarza Józefa pracuje nad odzyskaniem nieprawnie wydartych mu przywilejów. Wiele pod tym względem już uzyskano, więcej jeszcze pozostaje do otrzymania. W ostatnich czasach, sprawa w Wiedniu stała na dość pomyślnej stopie. Przyjaciele nasi w stolicy, znaleźli przystęp do księcia kanclerza. Nie ma wątplenia, że gdyby szło o uzykanie dla którego z naszych opiekunów wysokiej honorowej oznaki, tytułu, przywileju na interes ze skarbem, lub podwyższenia w urzędowym stopniu, życzenia nasze łatwo dałyby się urzeczywistnić. Nam atoli głównie chodzi o odwołanie dawnych cesarskich rozporządzeń, jakoteż o zwrot funduszków przekazanych Zakonowi przez śp. Samuela Głowińskiego. Rząd obiecuje, przyrzeka; przede wszystkim jednak wymaga sprawozdania miejscowych władz. Pierwsza więc trudność leży w załatwieniu sprawy we Lwowie, poczem z większą otuchą przystąpiłoby się do przeczytania następnych zawad w Wiedniu.

Jezuita szczęśliwie uderzył kilka razem akordów; Księgę laknął orderu złotego runa; na Dahlmana dwa any tylko schodziły: tytuł barona i wyjednanie pożyczki; konsyljarzów trawiła żądza wyższych stopni i pieniężnych nagród.

Sprawa przeniesienia funduszków edukacyjnych i zwrotu zapisu po Samuelu Głowińskim, na rzecz Jezusowego Zakonu, oddawna biegła po lwowskich urzędach. Wielebni ojcowie poruszali ostatnie sprężyny, wyprowadzali do walki co najdzielniejsze siły. Napróżno! — cel z każdym dniem zdawał się bardziej od nich oddalać.

Od czasów Cesarza Józefa, fundusze edukacyjne wzmogły się znacznymi summami hipotecznymi i kapitałami powstałymi z zapisów. Testatorowie wszędzie, za wyraźny warunek kładli użycie darów w sposób przez nich oznaczony, wielu zaś zastrzegało zwrot zapisu do rodziny, w razie powierzenia zakładów naukowych Zgromadzeniu Lojoli. Rząd, przychylny zakonnej czerni, bezskutecznie dotąd szukał prawnego kruczka na dowolny obrót funduszami, otwarcie zaś nie odważał się gwałcić litery testamentu.

Austria nie miała jeszcze wówczas konstytucyjnych urzędzeń zdobytych wybuchem 1848 r. Jezuici tymczasem, nie tracili nadziei. Raz założywszy sobie cel, wedle reguły błogoślawionego Ignacego, jawną lub podziemną drogą musieli go dopiąć. W środkach, jak wiadomo nie przebierali.

— Sprawa wlecze się żółwim krokiem — to prawda — rzekł konsyljarz w peruce — niepodobna atoli oskarżać o brak szczerzej chęci żadnego ze zwolenników zakonu. Co do nas, nie oszczędziliśmy starań dla popchnięcia jej na pożądane stanowisko; pomimo jednak najgorliwszych zachodów, muru głową nie przebodziesz; warunki intabulacyjne i zastrzeżenia testamentowe są tym nieprzebitym murem.

— Czcze formalności procedury, panie radco! dobre w sprawach cywilnych, bezbożne w kościelnych. Kościół nie o lupinę dba ale o ziarno, nie o wyrażenie ale o treść. Mieszkańcy naszej prowincji poprzecznicowali pewne fundusze na zwiększenie funduszków edukacyjnych. Jakiż ścigali cel czyniąc te zapisy? — Oczywiście, mieli na widoku wychowanie młodzieży na prawych katolików i wiernych poddanych JC. Mości. Pytam

teraz czyli dżisiejsi posiadacze dochodów godnie odpowiadają włożonym na nich obowiązkom? Na pytanie to każdy z nas podobno jednakowo odpowie. Pytam następnie czyli jest kto w stanie lepiej niż zakon, żadość uczynić woli testatorów? — Nikt! — zgoda. Komuż więc po Bogu przynależą fundasze?

— Prawda, święta prawda ojcze prowincjale, odrzekł konsyljarz bez peruki. Zakon ma za sobą słusność, ale świeckie zakłady opierają się na literze prawa. Niepierwszy to raz prawo zachodzi w poprzek sprawiedliwości. Summum jus, summa injuria, wiadomy aforyzm. Dopóki nie zdołamy zmienić prawa, wszelkie nasze usiłowania na nic się nie zdadzą.

— Zmieńmy je więc, wtrącił książe. Jeżeli prawo złe, trzeba natychmiast je zmienić. Mam w Wiedniu liczne stósunki, ofiaruję — całem sercem ofiaruję. Człowiek prawo ustanowił, człowiek może je znieść. Nieprawdaż panie Dahlman?

— Zapewne Mości Książe; rząd nie wykonanie litery prawa ale publiczne dobro winien mieć na celu. Skoro zaś prawa z takowem się nie zgadzają, rząd jest naturalnym naszym opiekunem, wie najlepiej czego nam potrzeba; wszakże na to pobiera podatki, cła i stęple. Starać się o zmianę prawa dotyczącego fundaszów edukacyjnych, byłoby mojem zdaniem, postępować najpewniejszą drogą. Wszelako, nie zapominajmy z drugiej strony że rząd nasz przyjął za niewzruszoną zasadę, w niczem nie zaprowadzać najmniejszej zmiany. Ztąd nowa trudność! Gdyby nawet dzięki zachodom i kosztom, udało się skruszyć tę pierwszą zawadę, pozostaje nam wówczas przeprowadzić rozporządzenie przez wszystkie władze administracyjne i sądowe. Wedle przyjętych u nas zwyczajów nie wiem czyli za sto lat doczekalibyśmy się skutku? Krótko mówiąc, w jakimkolwiek obróćim się kierunku, wszędy, przeszkody prawie nie do zwalczenia. Stanowczego środka, przynam, w tej chwili nie widzę. Sprawy jednak zaniedbywać nie należy; kropla wody częstym upadkiem marmury wyźłabia.

— Zdarza się często, panie Dahlman, że nie postrzegamy środków, chociaż moc ich tuż wedle nas się znajduje. Człowiek nieraz szuka między gwiazdami tego, co słania się mu u nóg. Różne drogi wiodą nas ku świętym celom. Mądrość

zależy na dokładnem każdej z nich ocenieniu; ku wzbudzeniu zaś mądrego ducha, nader pożyteczną jest wzajemna narada. Zakon rad odwołuje się do zdania znakomitych swoich przyjaciół, zwłaszcza w sprawach tak ważnych ze względu na dobro kościoła. Trudności o jakich szanowni panowie wspomieli, nie uszły naszej uwagi. Głęboko nad nimi rozmyślamy, na różnych szlakach wyszukujemy środków. Niech mi będzie wolno przytoczyć na dowód jeden z podobnych, otrzymany dziś zrana, a który napomyka nam o przybyciu do Lwowa wysokiego urzędnika, zaszczyconego zaufaniem Jego Cesarskiej Mości i księcia kanclerza.

Mówię o szambelanie Fürstembergu, który w tej chwili bawi na wsi u hrabiego Sokolnika.

Jeżeli w istocie szambelan ma znaczne wpływy u Dworu i przyjeżdża tu z rządowymi poleceniami, może nie od rzeczy byłoby korzystać ze sposobności i użyć go do naszych celów. Hrabia Sokolnik, ze swojej strony, poparłby nas stosunkami w Wiedniu, i tak, sprawa mogłaby od razu znaleźć się na stanowisku nadspodziewanie pomyslnem. Wprzód jednak zanim przedsięweźmiem wstępne kroki, chciałbym usłyszeć jaką wagę sami panowie przywiązujecie do wpływów Sokolnika i jego gościa? Niewczesny krok często jest szkodliwszym od bezczynności.

— Ten zaś, ojczy prowincjale, byłby zupełnie niewczesnym — rzekł z szyderskim uśmiechem konsyljarz bez peruki. — Nie znam; nie mogę więc dostatecznie ocenić powagi stosunków szambelana Fürstemberga w Wiedniu; co się tyczy atoli znaczenia jego we Lwowie, to, o ile wiem, nie ma w sobie nic ważnego, nic tajemniczego. Pogłoski krążące o pobudkach jego przyjazdu, wzbudziły po biurach powszechną ciekawość. Starano się dośledzić wątku, badano pilnie ludzi, do których szambelan przywoził polecające listy. Pokazało się że w pobycie jego między nami, rząd całę podrzędne miał widoki.

— Zkądże więc tę wieści o tajemnych poleceniach, o sprawozdaniach o stanie materialnym i umysłowym Galicji? Dla czegoż sam szambelan postępowaniem swoim zdaje się podobne domysły utwierdzać?

— Są inne wieści, bardziej wiarogodne — wtrącił konsyljarz w peruce — z których prawda daleko widoczniej się wyjawia. Mówią że szambelan pędził w Wiedniu życie, może cokolwiek za wesołe; wspominają także o jakichś teatralnych stosunkach, które mocno niepokoiły znakomity ród książąt Fürstembergów. Dłuższy pobyt w stolicy, stawał się dla panicza niebezpiecznym. Moźni krewni wyrobili u księcia kanclerza rozkaz dla szambelana policzenia gwiazd w Galicji, lub wypełnienia innych temu podobnych poleceń. Sądzę jednak że młody dygnitarz samym wyjazdem z Wiednia zupełnie wywiązał się z danego mu posłannictwa. Pozory wysokich celów, w jakie dziś między nami się przystraja, wynikają może z młodzieńczej próżności, a może też i z chęci ukrycia prawdziwych przyczyn pobytu swego w Galicji.

— Nic nie mam przeciw wykładowi panów konsyljarzów — rzekł bankier — zgada się on z własnymi memi domysłami. Między listami polecającemi, najważniejsze, bezwątpienia, są te które my odbieramy. Gdyby szambelan zjeżdżał tu jako pełnomocnik księcia kanclerza, rząd byłby go zaopatrzył w stosowne fundusze. Tymczasem, dom Eskelesów i Spółki który dał mu do mnie list kredytowy, nie tylko że naznacza nader umiarkowaną summę, ale nadto w osobnej korespondencji ostrzega mię, abym w razie zalecanek panicza do kassy, dał mu wręcz odmowną odpowiedź.

— Nic dziwnego, panie Dahlman, nic dziwnego — mówił książę ocierając pot z czoła. — Szambelan jest najmłodszym synem ordynata: w Austrii zaś najstarszy tylko ma prawo zaciągania długów. Dobry zwyczaj — zbawienny zwyczaj — nieoceniony zwyczaj! Ordynat może umrzeć z głodu, majątek pomimo to zostaje przy rodzinie. Do wpływów szambelana nie przywiązuję wielkiej wagi. Gdyby rząd chciał ulegać wpływom wszystkich młodszych i najmłodszych synów, ordynaci staliby w przedpokojach. Dajcie mi Feldmarszałka Szwarcemberga, księcia Pawła Esterhazego albo Jana Lichtenstejna, Kolowratów lub Chotka, wtedy pomówimy! Ale szambelan? — Zwyczajny szambelan! — Ojciec Zefirynie, tacy zaledwie w rzadkich uroczystościach zbliżają się do wielkiego ołtarza i to jeszcze z serwetą na ramieniu.

— Rozumiem, Mości Książę, i dziękuję za objaśnienia. Krótko rzecz zebrawszy, wypadnie, że szambelan na nic się nam nie przyda; co zaś do hrabiego Sokolnika, o tym spór niepotrzebny. Wiadome powszechnie bliskie jego stosunki z pierwszymi dygnitarzami cesarstwa.

— Przez miłość bożą, wielobny ojczy, nie róbmy z muchy wielbłąda! W istocie, zdaje się że dość raz postawić nogę w Wiedniu, aby później mieć prawo trąbienia po całym kraju o swoich stosunkach z pierwszymi dygnitarzami cesarstwa. Książę kanclerz ma ogromny pałac, odpowiednie swojemu stopniowi pomieszkanie, a jednak na balu — co mówię? na prostym wieczorze, przez cztery nieskończone salony, trudno się do niego precysnąć. Od progu aż do dna, wszystko zajęzione magnatami z pięciu części świata, z których ostatni, co do rodu, majątku i urodzenia, w niczem nie ustąpi Sokolnikowi. Czyliż mniemacie, że każdy kto tu i owdzie podniesie kilka łaskawych słów wypadłych z ust księcia kanclerza, lub zatrzyma przypadkiem na sobie wzrok JC. Mości, otwiera tem samem drzwi ministerjalnych gabinetów, lub znajduje nazajutrz klucz od szkatuły monarszych względów? Książę kanclerz zna Sokolnika — nie przeczę — ale zna go tylko z widzenia, mówi z nim niekiedy — to prawda — ale nigdy nie widziałem aby go brał pod rękę. Powiedzmy sobie raz na zawsze, że chcąc coś znaczyć w stolicy, trzeba wielkim panom ciągle następować na fałdy. Kto raz zejdzie z oczu, ten schodzi z pamięci a następnie i z faworu. Nowe sitko na kolek! — prawdziwe przysłowie! — wyborne! — doskonałe! — cha! cha! cha!

— Zapewne, Mości Książę — odezwał się konsyliarz bez peruki — kto chce poprzeć jaką sprawę w Wiedniu, ten osobście winien jej pilnować i trudów nie szczędzić. Korespondencje w podobnych wypadkach do niczego nie prowadzą. Wątpię zaś aby hrabia Sokolnik pod jakimkolwiek względem mógł udać się do Wiednia. Obawiam się aby własne jego interesa, na długi czas nie zmusiły go pozostać między nami.

Na te wyrazy sądowego urzędnika, Dahlman szybko obrócił ku niemu głowę; rozmowa wpadała na tor nader dlań zaj-

mujący. Bankier, jak wiadomo, był jednym z głównych wierzycieli zakłopotanego magnata.

— Nie sędzę — rzekł z niechcenia — aby Sokolnik znajdował się w tak dalece krytycznych obrotach. Na wielkich majątkach plamy więcej odbijają, łatwiej dają się dostrzedz. Nieład, bezrząd, brak pańskiego doglądu, mogą zatrząść na chwilę znakomitym dostatkim, podobnie jak cierpliwość i własny dozór, snadnie ratują z tego rodzaju niebezpieczeństw.

— Daj Boże — odparł konsyljarz w peruce — aby słowa pana Dahlmana dały się zastosować do hrabiego Sokolnika. Wątpię jednak — a powątpiewam nie bez pewnych przyczyn, aby w tym razie ziściły się jego przepowiednie.

Zimny pot wystąpił bankierowi na czoło; rozwarła się przed nim przepaść pochłaniająca znaczną część grosza, uzbieranego z długim trudem.

— Ojczy prowincjale, mówił usiłując tłumić widoczne wzruszenie, wiem że dla Zakonu nie ma tajemnic. Hrabia Sokolnik zaszczyca mię swoją przyjaźnią; los jego mocno mię obchodzi. Miałożby w istocie być prawdą co nam mówią o stanie jego majątku?

— Świeckie to sprawy, wiarę w niczem bezpośrednio nie obchodzące; Zakon nie rad się w nie miesza. Hrabia Sokolnik jest gorliwym synem kościoła; hrabina świętą niewiastą i hojną naszą dobrodziejką. Na nieszczęście, nie mogąc dostarczyć wieści pomyślnych dla tej rodziny, wolimy zamilczeć.

— Rozumiem! przerwał książe — sapienti sat; bo i ja także czasami trocha po łacinie — szkolne wspomnienia! disc puer! cha, cha, cha!

— Miejskie pogłoski! zawołał z gorzkim uśmiechem bankier, płonne postrachy na wierzycielów! Nie mówię, gdyby szło o przemysłowy, o kupiecki, lub o drobny ziemski majątek: te często topnieją prędzej niż wiosenne śniegi. Zanim jednak pański gmach runie, długiego potrzeba czasu!

— Niekoniecznie! odrzekł konsyljarz w peruce, dotknięty do żywego posądzeniem o brukowe plotki — zwłaszcza tam gdzie podwaliny oddawna już świecą próchnem. Słów moich nie cofam; o ludziach nie mam zwyczaju rozsiewać wieści

podniesionych na rynku. Cudze sprawy mało mię zajmują; skoro jednak chodzi o prawdę, nie wacham się powtórzyć że: hrabia Sokolnik najdalej za kilka miesięcy utraci ostatnią piędź ziemi. Dowody na to oczywiste, niezbite mam w sądzie, u siebie, pod kluczem. Dziś już może w księgach jego hipotecznych wierzyciele skarżą się na brak czystego papieru; jutro zapewne, woźni przed kratkami skargi te powtórzą, pojutrze dywidenda; a za parę dni Sokolnik będzie mógł położyć kamień węgielny do nowego majątku. Z dawnego, zostanie mu tylko doświadczenie.

— Wiedziałem o tem jeszcze przed rokiem, rzekł jezuita kornie wznosząc oczy ku niebu. Cierpiałem nad klęską zanego pana, ale boleść tłumilem w sobie; za żadną cenę nie byłbym go naraził przed ludźmi.

— Zgubiony! — zawołał bankier — zgubiony bez żadnej nadziei, bez żadnego sposobu ocalenia!

— Miłosierdzie Pańskie nie zna granic, odrzekł uroczyście duchowny; ludzka potęga jest ograniczoną. Niespodziany, cudowny wypadek może Sokolnika wybawić; zwyczajne środki nic mu nie pomogą.

Dahlman przetaił oczy jakby dla przekonania się że nie marzy. Spadała przed nim zasłona. On, który dotąd umiał sterować się pośród najzawiślejszych interesów; on, który z zadziwiającym instynktem zgadywał z kąd mu groziła burza, z kąd wiatry pomyslnie wiały; on, który słusznie chełpił się bystrością przemysłowego wzroku, biegłością kupieckich wyrachowań; on, podziw i cel zazdrości swoich spółzawodników, on — Johann Fryderyk Gottlieb Dahlman, pozwalał się wywodzić w pole człowiekowi, najmniej może w całej Austrii oznajomionemu z handlarstwem?

Upokorzona miłość własna, czemże była atoli w porównaniu z rzeczywistemi stratami na jakie go upadek Sokolnika narażał? Kilkanaście tysięcy dukatów opartych z pozoru na ogromnym majątku, ulatywało z dymem! Cios ten własne jego interesa mógł wpędzić na niebezpieczne bezdroża. Bankier nie chciał wierzyć swemu nieszczęściu.

Wyszedłszy z jezuickiego kolegium, natychmiast wysłał do cyrkulowego miasta jednego z swoich rachmistrzów z roz-

kazem wybadania urzędników sądowych, obrońców, woźnych, i jak najspieszniejszego zdania mu sprawy z zamachów wierzycieli na spokojność Sokolnika. Pełnomocnik otrzymał zarazem polecenie rozsiania pogłoski jakoby Dahlman skłonił się był do zawarcia na rzecz magnata półmilionowej pożyczki. Wieść ta miała służyć za hamulec na zaciekłość Wucherzweiga i jemu podobnych.

Nazajutrz bankier udał się do archiwów hipotecznych, przyzwał w pomoc dwóch biegłych prawników, rozesłał na zwiady komisantów, wszystkie poruszył sprężyny, we wszystkie struny od razu uderzył.

Ściśle zewsząd obłożona prawda, wkrótce poddała się bezwarunkowo.

Korespondent przywiózł długą listę wierzycieli zamierzających stanowczy szturm przypuścić do majątku dygnitarza. Prawnicy, biegłe niby anatomy, wykazali mu i udowodnili cały szereg śmiertelnych finansowych chorób na które pacjent musiał ducha wyzionąć.

Dahlman przedewszystkiem pragnął wyjść z niepewności; stan ten bardziej kurczył jego działalność niżeli najwięcej zatrważająca prawda. Raz, skrupulatnie oznaczywszy rozmiary walki i zdawszy sobie z truności dokładny rachunek, natychmiast jął ważyć w myśli plan zaczepki i odporu.

Sokolnik mógł zginać ze szczętem; kassa domu handlowego pod firmą «Dahlman i Spółka,» nie powinna była ani szeląga utracić.

Takie było zadanie, które przemysłnik poprzysiągł rozwiązać w sposób zadowalający, i w tym celu, nie tracąc czasu, ruszył do swego dłużnika.

Na wsi tymczasem, w pałacu magnata, spostrzegano tu i owdzie ciągnące chmury, nawałnicy stoli nikt się nie obawiał, nikt nie przewidywał.

Sokolnik cieszył się tym szczęśliwym a często w naszym kraju spotykanym spokojem duszy, którego jedynym warunkiem było zapewnienie na dwadzieścia ctery godzin nieykalności. Jutro, chociażby najgroźniejsze, było tylko jutro, to jest przyszłością a tem samem czasem nieodgadnionem, podległem tysiącom nieprzewidzianych zmian, zazwyczaj po-

myślnym, tak się przynajmniej zdawało ludziom, którzy w istocie nie już nie mieli do stracenia.

Po odjeździe gości, mieszkańcy pałacu wrócili do zwykłego trybu życia.

Pan domu ranki przepędzał na konferencjach z kucharzem, za drwinkach z teologicznych aforyzmów kapelana; przez resztę dnia lekko trudił głowę zamiarami upiększenia pałacu, sprowadzał w myśli włoskie posągi, zakupywał w marzeniu cenniejszych mistrzów obrazy, posyłał w wyobraźni na Wschód po arabskie rumaki, wznosił we śnie maurytańskie kioski, pagody, szalety, ermitaże, ruiny; z zazdrością wspominał o wersalskich wodotryskach, z pogardą o Zofiówce. Ta ostatnia, za kilka lat miała zagasnąć w porównaniu z jego pałacem.

Hrabina, pogrążona w zwykłej umysłowej zaprzeczności, tkala dalej siatkową komżę dla proboszcza, dziergała albę dla księdza wikarego; zrzędziła na słotę, cieszyła się pogodą, uolbrzymiała najmniejsze drobnostki życia; pilnie krzątała się wedle zbawienia własnej duszy, wdychała za niebem, odmawiała pacierze, różańce, koronki, litanje, nowenny.

Człowiecze życie uczuciowe, wewnętrzne, samo w sobie i przez siebie bytujące, zwarło się w jednej istocie.

Widokrąg marzeń Marji rozstępował się w nieskończoność. Każde miejsce w ogrodzie, każdy przedmiot w salonie, akord w muzyce, opalowa czasami chmurka na niebie, lub na błękitie nocnym rozmrugane gwiazdy: przypominały jej niedawne rozmowy, świeże jeszcze wrażenia, przemawiały do niej pełnym życia językiem, pędziły myśl w kraj lubyh a nieokreślonych nadziei.

Dziewczyna jako śnieżna gołąbka pławiła się w tej jasności uczuć rozświecających jej duszę, goniła za spokojem, uciekała od rozrywek, osamotniała się bardziej niż kiedykolwiek.

Dla czego serce jej, dawniej łagodne, dziś nieraz tak gwałtownie biło; dla czego przedtem na zewnątrz siebie szukała zatrudnienia lub zabawy, dziś zaś całe godziny pędziła w mimowiednych zadumkach? — Na zapytania te, sama przed sobą nie śmiała odpowiedzieć. Zdawało się jej że jedno słowo wymówione niebacznie, w złą godzinę, mogło na wieki rozwiać czar, którym oddychała z tak niewysłowioną roskoszą.

I dobrze im się działo w pałacu, i wszyscy byłiby chętnie, jak Jozue zatrzymali czas, który ich tak wygodnie drogiemi marzeniami kołysał, pogodną teraźniejszością usypiał.

Podupadły wielmożnik byłby chętnie zgodził się przez nieskończoność stawiać zamki na lodzie, garnąć ludzkie pokłony, wyciągać się na sprężystych węzłowiach fortuny. Małżonka jego niekoniecznie spieszyła dostać się do upragnionego na pozór raj; w ostatecznym razie byłaby poprzestała na dźwiganiu coraz dalej i dalej krzyża na tym padole płaczu, gdzie z każdym dniem źródła łez wysychają.

Co do pięknej hrabianki, dość przypomnieć gdzie i z kogo się urodziła, aby nie wątpić że najwłaściwszym jej stanem była romansowość.

Wprzód nim nowy Diogenes zapali u nas latarnię, nie powiem wam do jakiego stopnia wysokie o sobie rozumienie i czczy sentymentalizm, rozgościły się w biednej naszej Polsce.

Tem lepiej! niechaj pełnią się czasy!

Pewnego nareszcie dnia wrócił posłaniec wyprawiony z listem do przełożonego jezuitów.

Sokolnik właśnie rozwodził się nad planem założenia u siebie bogatego gabinetu medalów, gdy kapelan, który tymczasem włóczył wzrokiem po dziedzińcu, nagle pośkołysł z krzesła, wybiegł nie zamykając drzwi za sobą i niebawem zjawił się z listem ozdobionym znajomą mu pieczęcią.

— Odpowiedź od ojca prowincjała, rzekł oglądając na wsze strony pismo, jak gdyby z herbowego wyciaku i zakrętów adresu, chciał odgadnąć treść niecierpliwie oczekiwanej nowiny.

— List od księdza Zefiryna! zawołał powstając dygnitarz — daj go! — albo nie — zobacz co w nim jest — opowiedz mi treść — albo też nie — zaczekaj! słucham cię — czytaj! — dalej księżo, rozpieczętuj i ruszaj — wiesziesz cesarza i jego losy.

Sokolnik znowu pograżył się w krzesło, nogę na nogę założył i z udanym na twarzy spokojem słuch ku księdzu wytyżył.

«Czcigodny i miły nam w Jezusie bracie — czytał Kapelan.

«Troskliwość twoja i szanownego twego kolatora o dobro kościoła i o krzewienie świętej katolickiej wiary, zawsze miłą jest dla serca naszego pociechą. Wyrwalność w usiłowaniach, gorliwość w zachodach, wspólność w dążeniach i w pracy, mogą nam jedynie zapewnić obfity plon w Pańskiej winnicy. Błogosławiony kto czuwa i w trudach nie ustaje; każda chwila służbie poświęcona w stokroć mu będzie wynagrodzoną. Kto pielęgnuje ziarno, ten doczeka się owocu; ale biada drzewu którego nasienie toczy robak zepsucia.

«Prawdę tę, jak widzę, głęboko w sercu nosi zacny syn kościoła JW. hrabia Sokolnik; prawdę tą i ty miły nam w Jezusie bracie jesteś zarówno przejęty, skoro oba tak szczerze ujęliście się sprawy powrócenia zgromadzeniu przypadających po śp. Samuelu Głowińskim funduszków.

«Zakon, którego jestem niegodnym przełożonym, składa JW. hrabiemu pokorne dzięki za frasunek jego o wiarę i o moralność młodego naszego pokolenia. Pierwsze kroki już przedsięwzięte; idzie teraz o dalsze przeprowadzenie sprawy. Sukces jest niewątpliwym jeżeli czcigodny twój kolator, zechce tak we Lwowie jakoteż w Wiedniu poruszyć w tym celu wszelkie przystępne mu sprężyny. Zaiste, nie brak mu ani na wysokich opiekunach świętego dzieła, ani na zręczności w przedstawieniu im takowego, zwłaszcza też na dobrej chęci. Boże cele i nieskazitelna sprawiedliwość walczą za nami, jak tego dowodzą motywa żadanego sprawozdania które przy niniejszem załączam.

«Ze swojej strony, Zakon, jak wiadomo, w usługach dla dobroczyńców nie zna granic. Skoro tylko sprawa, obecnie tak żywo go zajmująca, stanie na pomyślnej stopie, z prawdziwą roskoszą będziemy mogli oddać się zadość uczynieniu żądaniom wyrażonym na końcu twojego listu. Dalej więc! naprzód miły bracie w zaczętem raz dziele; przy naszych staraniach i przyczynie Świętych Pańskich, Bóg wszystko na dobre obróci.»

— JW. Sokolnikowi i pani hrabinie wyraz głębokiej estymy i błogosławieństwo załącza.

— Dość tego! — krzyknął Sokolnik porywając się z miejsca. Wyrwał księdzu z rąk list i sprawozdanie, podarł je w kawałki, rzucił pod nogi.

— Przeklęty klecha drwi sobie ze mnie! — Pod miodowemi słowy kryje zwykły wam wszystkim fałsz! — Zaprzęga mię do swego wozu, każe ciągnąć do ostatnich sił, a wtedy jeżeli zdołam wywlec go z błota, jeżeli naładuję mu kieszeń i pomogę cisnąć na pastwę młode nasze pokolenie, skrepowane w dyby przesądu — wtedy zacny prałat obiecuje zaprosić mię na okruchy swojej biesiady! — Uniżony sługa! — Szczęściem nie mnie wyprowadzą w pole te jezuickie fortele. Zakon zna wartość moich stosunków. Chętnie byłbym użył ich w jego sprawie, z całego serca byłbym pofolgował własnym kłopotom — wszakże sam jesteś świadkiem gorliwości z jaką pracowałem nad szambelanem, sam wiesz z jakim trudem wbiłem mu w głowę, wszystkie szczegóły sprawy funduszów i nakłoniłem do popierania jej całą potęgą pokrewnych wpływów i możnych znajomości! Wówczas atoli, spodziewałem się że Zakon godniej oceni moje usługi. Dziś, poznaję że chciano zahawić się moim kosztem, użyć mię za ślepe narzędzie do celów, z którymi nic nie mam wspólnego. A przecież położenie moje nietajne naczelnikowi waszego djabelskiego zgromadzenia. Wie on, lepiej może aniżeli ja sam, że każdy dzień coraz głębszą przepaść przedemną otwiera, wie że każda chwila zwłoki przynosi mi niepowetowane straty, że siły przeciwników moich coraz się wzmagają, że odpór z mojej strony, staje się coraz niepodobniejszym — wie, powtarzam to wszystko i pleci mi androny o czynności, o zawdzięczeniu Zakona w zamian za ułatwienie sprawy, której sam cesarz wszechmocnością swoją, nie mógłby w dwudziestu czterech godzinach rozwiązać.

Nikczemna, zwykła wasza obluda! — Ksiądz, przyzwyczajony kadzić umarłemu, obiecuje mi pomoc po mojej śmierci. Zgoda! — Ja także przysięgam za życia nie wchodzić z wami w żadne stosunki. Jak dziecko, jak szalony, dałem się uwieść fałszywym waszym obietnicom! Przekonany, że Zakon w tak stanowczej chwili nie odmówi mi wsparcia, założyłem ręce, nie myślałem gdzieindziej szukać ratunku, czekałem — I cóż teraz począć, gdzie się obrócić? — Mów, księżę! — Jeżeli wszystkie twoje rady tyle warte co pierwsza, zamiast jutro, może dziś jeszcze przyjdzie nam wynieść się z pałacu!

— Nie pojmuję, panie grafie, sam przyznam, nie pojmuję odpowiedzi przewielebnego ojca prowincjała, lub raczej, szczerze mówiąc, inaczej ją rozumiem. W każdym razie, zgromadzenie bynajmniej nie zasługuje na wyrzuty jakimi pan graf je obaroz.

— Zapewne; masz słuszeń! powinienem czołem przed wami uderzyć, rozplnąć się z wdzięczności za dobrodziejstwa jakie mi wyświadcza.

— Gdzie nie ma usługi, tam nie ma co mówić o zawdzięczeniu. Z odpowiedzi ojca Zefiryna możemy oskarżać go o niemożność przyścia nam w pomoc, nigdy o złą wolę. Słowa jego widocznie pokazują, że Zakon, pomimo najszczerzej chęci, nie ma na zawołanie żądanej przez nas summy, że mógłby wprawdzie takową wynaleźć, ale do tego potrzeba mu środków dzielniejszych, sił potężniejszych od tych, jakimi dziś rozporządza a których, po większej części, udzieliłoby mu pomyślnie załatwienie sprawy zwrotu nam przynależnych edukacyjnych funduszów. Ad impossibilia nemo cogitur, oto prawdziwa treść listu naszego przelożonego. Nie przeto atoli, panie grafie, wypada nam powątpiewać, rozpaczać. Jest to wprawdzie ciężka próba na jaką Bóg nas wystawia, ale z daleko cięższych wyprowadzał on nieraz tych, którzy pokładali w nim ufność i nadzieję.

— Amen, amen, księżę! oszczędzaj twoich biblijnych argumentów; nie będziesz miał z czego powiedzieć w niedzielę kazania. Wiem że na parabolach, na apologach i przypowieściach ci nie brakuje. Wiem że równie dobrze a może i lepiej od wielu czarnych twoich braci, wystosujesz mi legendę o ślepym Tobiaszu, o wybawionym z lwiej jamy Danielu, o schorzałym Jobie. Dziś atoli, mniej jesteśmy głupi lub więcej zepsuci; cuda już się nie udają. Wreszcie, przypominasz sobie że pośrednictwa te Jehowy miały zawsze miejsce na korzyść Żydów — kto wie — może nawet na korzyść antenatów dzisiejszych moich wierzycieli? Dziś, jedyny dla mnie cudowny talizman jest brzęcząca gotówka, jedynem zapytaniem jakie potrzebuję rozwiązać jest — zkad jej dostać?

— Za pozwoleniem, panie grafie; rozumiemy logicznie. Rozbijmy kwestję na dwa konieczne terminy; naprzód, kto

ma pieniądze? — następnie jak ich zapożyczyć? Czy przebiegliśmy myślą wszystkich zadość czyniących pierwszemu warunkowi?

— Wszystkich, o ile zapamiętam. Nie ma w Galicji ani jednej pełnej kieszeni, którejby właściciel nie znajdował się już na liście moich wierzycieliów.

— Mniejsza oto. Wszakże nie o nowych wierzycieli chodzi nam, ale o nową pożyczkę; możemy więc w razie potrzeby i dawnymi się posłużyć. Któryż pomiędzy nimi zasługuje na szczególną naszą uwagę? Powiadają że Wucherzweig ma zawsze summy na zawołanie; Geldzieher uchodzi także za jednego z pierwszych kapitalistów.

— Prawisz od rzeczy, księżę, jak człowiek który w podobnych sprawach nie ma żadnego doświadczenia. Wspominasz o lichwiarzach, którym więcej chodzi o wysokość procentu niżeli pożyczki. Wyciągnąć z kłopotu i to na znaczny przeciąg czasu może nas tylko jeden człowiek.

— Któż taki?

— Dahlman.

— Dahlman! — powtórzył kapelan upuszczając powoli jedną za drugą głoski bankierowego nazwiska i opierając na czole palec głębokiego zastanowienia.

— Dahlman — rzekł ponuro Sokolnik i ze swojej strony w myślach utonął.

Tegoż samego wieczora, jakby czarodziejskiem zaklęciem wyzwany, zjawił się w pałacu Johann Fryderyk Gotlieb Dahlman, pierwszy pieniądze na połączone królestwa Galicji i Lodomerji.

Przyjechał ulubieniec fortuny; niespodzianemi odwiedzinami wszystkich zadziwił, zwłaszcza zaś domysłem gospodarza domu szerokie pole otworzył.

Istny obraz bożka Merkurego: w jednej ręce niósł kiesę ze złotem, w drugiej węzową laskę. Miałże zamiar upuścić pierwszą lub drugą smagać bez miłosierdzia? Cokolwiek bądź, nie należało pod zagrożeniem bytu pokazywać niewczesnej obawy; przeciwnie, nie było stosowniejszej pory do rozpodgodzenia oblicza, do wywołania na usta uśmiechu, do nastroszenia głosu na bardziej harmonijny ton.

Sokolnik, jako biegły strategik, jednym rzutem oka rozpoznał swoje położenie.

Natychmiast więc zajął jak najkorzystniejsze stanowisko, otoczył zasadzkami przeciwnika, ze wszech stron przypuścił szturm i otworzył ogień.

Nigdy służba pałacowa nie lśniła od tyłu złocistych galonów, nigdy stół nie uginał się tak dalece pod ciężarami starych familijnych sreber, nigdy pan domu nie opuszczał tak często towarzystwa wyzywany głosnemi o posłuchanie prośbami: intendentów, komissarzy, koniuszych, łowczych, nadlesnych.

Marszałek dworu, z głębokim ukłonem zwiastował co chwila nowego z pańskiej służby urzędnika; raz nawet Sokolnik, w obec bankiera, pozwolił sobie przyjąć ober-intendenta Lumpmana i na schyłku nieznaczej pogawędki, z niechcenia kazał mu polecić kasjerowi wypłatę dwustu dukatów za parę angielskich koni do karety pani hrabiny.

Sokolnikowa tymczasem, w skutek poleceń męża, pilnie wypytywała gościa o zdrowie ukochanej jedynaczki, pod niebo wynosiła wdzięk jej ułożenia i powierzchowne zalety.

Dahlman w kilka godzin po przyjeździe wręcz otrzymał przestrożę żeby się dźmierzył na ostrożności; gotowano przeciw niemu mały spisek. Hrabina z tajemniczym uśmiechem poglądała po mężu; bankier zadrżał i mimowolnie schwycił się za kieszeń.

Daremna obawa! nie chciano nadużywać jego cierpliwości; odrazu przyznano się do winy. Kapelan; jednym lekko-myślnem słowem zdradził całą tajemnicę. Panna Karolina bez towarzystwa, samotnie, marnowała we Lwowie piękną porę roku; Marja pędziła ją wprawdzie na wsi, ale czemże dla młodej dziewczyny w odosobieniu kosztowane wiejskie powaby? Młode serce potrzebuje oddźwięku, spółczucia, żyje więcej cudzą niż własną radością, chętniej pospołu za goryczą pogoni, niżeli samopas rozchyli usta, koralowe progi, dla słodkiego napoju.

Oczywiście dwa te charaktery, hrabianki i bankierowej, były wzajemnem jeden drugiego dopełnieniem. Sokolnikowa obiecywała sobie wyblagać pozwolenie ojca lub w przeciwnym razie porwać pannę Karolinę i aż do pierwszych przymroz-

ków, na wsi u siebie zatrzymać. Macierzyńska jej troskliwość wystarczała na dwoje dzieci. Panna Karolina godną była przywiązanej matki; Marja zasługiwała na ukochaną siostrę.

Dahlmanowi kręciło się w głowie. Uderzały mu na mózg wonie jakie z wyherbowanej starej kadzielnicy, nieustannie dymiły pod stopami syna ubogiego kramarza z Salzburga. Rozlechtana, chępliwa duma tłumila w nim wrzaski wierzycielskich roszczeń; poił się nektarem subtelnych pochlebstw, wspierał z niechcenia na ramieniu, które mu dygnitarz z poufałą przyjaźnią podawał, rozciągał się w krzesłach, głośniej niż zwykle przemawiał — zwyczajnie jako ludzie z wielkiego świata, umiejący w każdym towarzystwie o sobie zapominać. Czasami tylko, skutkiem dawnego nałogu, zapuszczał rękę w kieszeń i pobrzękiwał pieniędzmi.

Brzęk ten sprawiał na Sokolniku dziwnie nieprzyjemne wrażenie.

Noc wydzwaniała późne godziny. Bankier po długiej podróży i całodziennych wzruszeniach, potrzebował wypoczynku. Gospodarz domu, poprzedzony przez lokaja z srebrnym w rękę świecznikiem, odprowadził gościa do sypialnej komnaty, pożegnał serdecznym uściskiem dłoni i kilkakrotnymi życzeniami błogiego snu.

Podróżny znalazł się w pokoju, który co do wykwintu, bogatych sprzętów, drogich obrazów i tysiąca kosztownych drobnostek, w książęcym pałacu pierwsze mógł trzymać miejsce. Bankier z uśmiechem zatarł ręce, odesłał służącego i wprzód nim legł na spoczynek, ze świecą w rękę puścił się w szczegółową pielgrzymkę około swojej sypialni.

Wykrzykniki polskie, a częściej jeszcze rzucane w rodzinnem niemieckiem narzeczu, świadczyły o natłoku przepelniających go wrażeń. Wkrótce atoli myśl jego na nowe wybiegła szlaki.

Dahlman wydobyl z kieszeni pugilares z pieniędzmi i z wartościami, postawił na krześle tuż obok łóżka podróżną swoją sakatulkę, otworzył ją i zatrzymał wzrok na starannie poukładanych w niej papierach.

Większa część tyczyła się kapitałów powierzonych Sokolnikowi.

W długich szeregach ściśnięte cyfry, przesuwaly się kolejno przed oczyma bankiera, świadcząc o ciężkiem brzemieniu hipotecznych dygnitarza grzechów. Za hufcami głównych summ, wlokły się płodne procentowe ciury, z głową zaledwie wysuniętą naprzód, z resztą ciała w bezmiar gdzieś zaprzepaszoną. Każdemu z tych orszaków przywoził właściwy wódz wierzyciel, zazwyczaj z izraelsko-germańskiem nazwiskiem: wszyscy zarówno rozstrożeni na ofiarę wyprawy, każdy stoli walecznik na swoją tylko rękę, zażarty jednako na poboczników i na wroga.

Dahlman niespokojnym wzrokiem zatoczył oko po placu boju.

Po obu skrzydłach własnych jego, ciężkich rot hipotecznych i lekkiej, a na zgubę Sokolnika zawziętej wekslowej jazdy, czerniły się tłumy towarzyszków jego łatwowierności, pouzbrajanych w urzędowe skrypta, w doręczne rewersa, w pozwy wyostrzone na niedotrzymanych zobowiązaniach, podczas gdy ostatni zaślaniał się niby szansem, pochwytanemi w zastaw włóściami.

Jakież były środki obrony przeciw strasznyim tym przygotowaniom do napadu?

Dahlman pogrążył rękę na dno szkatuły i wyciągnął wykaz hipoteczny pomnożony własnemi uwagami i doniesieniami swoich powierników.

Biada, biada zwyciężonym! Ze strony magnata nie było ani możebności ani nadziei odporu. Los, wsparty powagą prawa, przeznaczał go na rozszarpanie. Za pierwszą zaczepką najezdniczej hordy darł się w szmaty znakomity niegdys dotatek.

W podobnym stanie rzeczy, cóż miał począć główny wierzyciel?

Poprzestać na układach dłużnika, na poufałych uściskach dłoni, w zamian za kadzidło czczych pochlebstw rzucić mu część własnego a krwawą pracą zyskanego grosza; cieszyć się marną przyjaźnią Sokolnikowej, układnem obejściem hrabiego, dać się oszukać powierzchownym blaskom fałszywych bogactw,

wówczas gdy pierwszy lepszy lichwiarz będzie mu rwał pod bokiem drogę kawalały ziemi?

Wreszcie gdy hafty z pana opadną, gdy nędza mu na kark wypełźnie — jakież zaszczyt z jego towarzystwa, jaka korzyść z jego poufałości? — Podupadły wielmożnik wstydem zarzdewieje, pośmiewisko w ślad za nim powlecze; wyprą się go dawni przyjaciele, wysokie urządztwo do przedpokoju go nawet nie wpuści, krewni odepchną. Najznakomitszy herbowy klejnot, pod łachmanami nędzarza, hieroglif uragowiska! Gawiedz szydzi, uliczne chłopcy miotają nań błotem.

Gdzież więc prawdziwa istota potęgi, gdzie talizman, przed którym syn ziemi w proch czoło ściele? — W błyszczeniach rodem? — Ród sam przez się nie błyszczy; lśniący dziś ozdoba na stroju bogacza, jutro tenże sam grzbiet odarty z sajety, niemilosiernie ku ziemi przygniata. W wysokim urządztwie? — Urząd towarem jak inne; na targu często drożej dokupisz się zboża niż sumienia. We wdziękach niewiasty! — Z kiesią i ze stulą książęce wrota żydowskiemu plemieniu staną otworem!

Lampa Aladyna, różeczka Mojżesza, pierścień Salomona, czar wszechmocny, wartość nad wartościami — pieniądz!

Niechaj szalencie goni za ognikami powszechnego dobra lub sławy, za majakiem głupich poświęceń, za obłudem marnych podbojów wiedzy — rozum tam kroczy gdzie prawdziwa siła, gdzie dźwignia wszech stosunków, gdzie istna rzeczywistość.

Zbawiony kto posiada — przekleństwo wydziedziczonym! wzgarda wypasionemu na zbytku i kłamstwie sentymentalizmowi, który dla przykrycia sromot własnego sumienia, śmiałyby fałsz zarzucać oczywistości! Wprzód nim moralista odważy się powstać w obronie tego co w książkach nazywają cnotą, co potomność mieni zasługą, niech wyzna ile razy sam, przed cielcem ugiął korne kolano, ile razy wytrzeszczył zadziwione, oczy gdy mu wskazano na ulicy najbogatszego w kraju lichwiarza, a z obojętnością pominął wysokie często duchem ale wysrane z krwi przez pijawkę ofiary? Niech powie dla czego w głupstwie ożłoconem witał dowcipne dźwactwo, dla czego w mieliznach paktolowego piasku, dostrzegał niezglębione

tonie kryształu, w pieniężnej szpetności podziwiał wdzięk; w upodleniu dukatowców wynosił słodycz obejścia, w oszustwie bogacza uwielbiał zřęcnosć, w samolubstwie cenil fantazję, w jędczych nadęciach poklaskiwał wysokiemu poczuciu człowieczej godności? — Dla czego? — Cezarowi co cesarowego. Marzycielom — obłoki; ludziom prawdy i rzeczywistości, ziemia!

Magnat urosł we wziętosć nie gwoli nazwisku i dworskim zaszczytom, ale dzięki rozgłosowi o swoich dostatkach. Dziś rzeczy się zmieniły. Wystawiano na sprzedaż przepych a z nim i powagę jaką błyszczał Sokolnik. Ratować go było niepodobna, zamiast więc względów bezużytecznych dla skazanego na stracenie, rozum radził nie wzbraniać przystępu tym środkom z jakimi bliskiemu nieboszczykowi tak dobrze było na świecie.

Bankierowi podobała się pozostałosć po dygnitarzu, rozważył w myśli korzyści z jej nabycia, z szyderstwem odepchnął niewczesne skrupuły i sam, na swoją rękę postanowił zabawić się w magnata.

Raz osiodławszy zamiar wyzucia Sokolnika z majątku, Dahlman bystrym czwałem puścił się na gościniec dalszych wniosków i następstw i z każdą chwilą utwierdzał w sobie i hartował przedsięwzięcie.

Nowe stanowisko, jakie zapragnął zająć w świecie, sen mu zganiało z powiek, podczas gdy walka którą nazajutrz musiał stoczyć w tym celu z dłużnikiem, niepokój pędziła mu w pierś. Trwożyło go trudne dla obu stron rozwiązanie dramatu, obawiał się gwałtownego wybuchu rozpaczony ze strony gospodarza domu; drząc, przewidywał nalegania gospodyni a kto wie może i łzawe prośby córki.

Ale kość już upadła; po swoje chociażby w piekło! Szaleństwem było chcieć zbawiać człowieka, dla którego nie pozostawała żadna nadzieja ratunku.

Bankier o wschodzie słońca zerwał się z niewdzięcznej pościeli, długo ważył w umyśle środki osłodzenia hrabiemu gorzkiej pigułki, dłużej jeszcze obrachowywał spodziewane zyski z zřęcnego zakręcenia sprawą; dowiedziawszy się wreszcie, że w pałacu wszyscy już byli na nogach, zabrał z sobą pa-

piery, jako rycerz wstępujący w szranki naciska przyłbicę, nasunął na oczy kapelusz i pełnym postanowienia krokiem ruszył do komnaty dłużnika.

Sokolnik poskoczył ku gościowi, ujął go uprzejmie za ręce, z uśmiechem posadził w najwygodniejszym krześle. Widok papierów ostępłowanych cesarskim orłem, dotkliwie wzrok mu zadrasnął; podniósł nieznacznie rozmowę i uciał z kopyta na step mniej więcej dowcipnych ogólników.

Bankier, w pierwszym zaraz zapędzie osadził go na miejscu.

— Przejdźmy do rzeczy ważniejszych, panie hrabio — rzekł śladając na stole [papiery. W domu pańskim, dzięki ujmującej gościnności gospodarstwa, czas szybko mija, chwila wyjazdu na myśl nie przychodzi; godziny jednak moje są policzone, a zanim ostatnia wybiję, zdałoby się pomówić trochę o naszych interesach.

— Zapewne panie Dahlman, zapewne; pomówimy, kiedy zechcesz, natychmiast, albo raczej pan będziesz mówił, ja będę słuchał. Przy takim mistrzu, godniejsi odemnie uczenie mogliby wiele jeszcze skorzystać.

— Bądź pan hrabia przekonany, że przedewszystkiem własną jego korzyść mam na celu. Umieć cenić drogą przyjaźń jaką mię dom ten zaszczyca i z prawdziwem szczęściem schwycę każdą sposobność dowiedzenia mojej wdzięczności.

— Za pozwoleniem! — przerwał Sokolnik — mówiąc o wdzięczności polujesz pan na naszym gruncie. Dotąd ja tylko uginam się pod ciężarem braterskich twoich przysług.

— Nie mówmy o tem panie hrabio; ważniejsze sprawy tłoczą się nam pod uwagę. Lato dobiega połowy; zbliża się termin wzajemnych porachunków; czekają mię znaczne wypłaty; nie wiem jak im potrafię zadość uczynić, zwłaszcza jeżeli nie będę mógł, stosownie do naszej umowy, podnieść na 1. lipca, summ umieszczonych na dobrach pana hrabiego. Czegoż się mam spodziewać?

— Panie Dahlman, odparł Sokolnik wpatrując się pilnie w arabski złotej tabakiery — ściane nasze stosunki nakazują mi zupełną otwartość, nieograniczoną szczerotę. — Nie chcę długo nadużywać twego wyrozumienia; odpowiem szczerze, otwarcie. Pomimo najgorętszej chęci, muszę jeszcze na tea

rok odwołać się do twojej łaski. Na przyszły Ś. Jan, poprzyśgam — wypłacę się do szeląga. Zaległe procenta, chciej również do tegoż terminu odłożyć. W ostatnich czasach, wydałem wiele pieniędzy na gospodarskie ulepszenia. Grosz to nie stracony; mam nadzieję że wkrótce obfity plon mi przyniesie. Nadto, w tej chwili, mam właśnie na myśli pewne rolnicze i przemysłowe kombinacje; o skutku nie wątpię; za kilka najdalej miesięcy, otrzymam dotykalne, brzęczące dowody. Sąsiad mój, pułkownik Gruszeński, chce koniecznie sprzedać mi dwie wioski; kupno to zaokrągliłoby moje posiadłości. Pomyślę; jeżeli nie będzie się drożył, kupię; w przeciwnym razie poprzestaną na oczyszczeniu własnego majątku. Zakres moich działań się nie rozszerzy, uniknę atoli natomiast wszelkich trudności i niepotrzebnych w moim wieku kłopotów.

Dahlman przymrużył oczy; wyraz pogardy mimowolnie wybiegał mu na lica.

— Ani kapitału, ani procentu! rzekł zakładając ręce na piersiach; zawód ten stawia mię w krytycznym położeniu; sam nie wiem co począć; poprzyjmowałem nieublagane zobowiązania: 1. lipca, kassa moja, pod karą śmierci, musi dla wierzycieli moich stanąć otworem.

— I pokazać im, przerwał Sokolnik, kopalnię złota której dna najdłuższy weksel nie dosięgnie. Żartuj zdrow panie Dahlman! Gdybym dziesiątą część twego kredytu miał na zawołanie, pomierzyłbym się z pierwszymi panami cesarstwa. Co mówię! gdybyś chciał dziś, w niewyczerpanej dla domu mojego dobroci, lichą częśćią twoich dostatków, raz jeszcze przyjść w pomoc moim zamiarom, jednym zamachem ręki oczyściłbym majątek i dokupił dwie wioski pułkownika Gruszeńskiego.

Bankier zerwał się z krzesła.

— Na Boga! zawołał, pan hrabia grubo się mylisz, przesądzasz o mojem, a więcej jeszcze o swojem własnem położeniu. Postawmy rzecz w prawdziwym świetle. Szczera przyjaźń o tyle żyje, o ile karmi się prawdą. Pan hrabia toczysz się w przepaść i ludzisz płonną nadzieją ocalenia. Serce mi pęka gdy pomyślę, że ten sam dom w którym do-

znałem tyle gościnności, za miesiąc może, zamknie swe wrota dla dzisiejszego właściciela. Przestańmy mówić: pan hrabia o dokupie nowych wiosek, ja o zaległych procentach. Powiedzmy sobie że lekceważąc sprawę, za kilka tygodni, tak z tego majątku jako z moich kapitałów, dym tylko zostanie!

Sokolnik zadrzał i poskoczył jak gdyby nastąpił na padalca.

— Za kilka tygodni, prawisz pan, ha ha ha! Szkoda że moja córka nie jest pięcioletniem dzieckiem; możeby uwierzyła i wylękała się złowrogiej przepowiedni. Przez czarne okulary poglądasz pan na moje interesa; ja znam je trochę bliżej i trochę lepiej. Zapewne — nie przeczę — dźwigam na sobie znaczne ciężary, ależ pański majątek to nie żadna szlachecka fortuna, ugryź go można — rozszarpać na sztuki nie podobna. Podobnie jak wszyscy możni, mam wielu nieprzyjaciół; nie potrzebnie podałeś pan ucha niechętnym a fałszywym wieściom; lepiej było wprost udać się do mnie, byłbyś sobie oszczędził daremnych niepokojów.

— Bez wątpienia! bylibyśmy we dwóch, zwieczeni nad otchłanią, uczepili się pajęczej nitki w przekonaniu, że pochwyciliśmy okrętową linę. Racz pan hrabia przyjąć słowa moje w prawdziwym ich znaczeniu. Gdybym gonił za własną tylko korzyścią, byłbym odwołał się do innych środków, niżeli do przyjacielskich odwiedzin i poufałej sam na sam rozmowy. Wspólne dobro miałem na celu. Słów na wiatr rzucać nie umiem. My przemysłnicy zwykliśmy wprzódzie myśleć niż mówić, wprzódzie liczyć niż myśleć. Na interesa nie poglądamy ani czarno ani biało; pilnujemy czarnego na białem. Com rzekł przed chwilą, powtórzyć się nie wacham. Wierzyście pana hrabiego gotują groźną wyprawę. Majątek nie oprze się przeciw złączonym ich siłom. Runie od pierwszego ciosu. Pan hrabia nie masz w zwyczaju pieniężnych obrotów, nie wystosowałeś sobie zapewne tego, co my nazywamy bilansem, nie zapełniłeś z uwagą dwóch rubryk, z których jedna nosi na czele wyraz WINIEN druga wyraz MA?

— Intendent mój, panie Dahlman, jest człowiek biegły i uczciwy; pokładam w nim nieograniczone zaufanie.

— Tem gorzej! tem gorzej! — mojem zdaniem intendent pański jest głupiec, lub łotr pierwszego rzędu — a może jedno i drugie zarazem.

— Dotąd, nie mam przeciw niemu żadnego dowodu.

— Ja mam ich pełne dłonie, racz pan hrabia usiąść; weźmy ołówek; urzędowemi cyframi wykażę prawdę moich słów. Na miłość boską, po co daremnie się ludzi! Zapobiedz nieszczęściu po niewczasie, sam Bóg nie podoła. Lepiej od razu, oko w oko zmierzyć się z kłeską, odwrócić jeżeli podobna, lub przynajmniej złagodzić bolesne jej skutki, jeżeli znajdzie się stosowny ku temu środek.

Bankier wziął arkusz białego papieru, rozłożył swoje sprawozdania i wyciągi, i z niewypowiedzianą szybkością jął układać Sokolnikowi jego bilans.

Nadaremnie magnat silił się czasami wprowadzać go na oślądne manowce, próżno przeczył nieomylności liczb lub przeceniał rzeczywistą wartość aktywów, Dahlman z matematyczną niemal dokładnością stawiał mu przed oczy szereg długów, dołączał procenta, obrachowywał gruntowe ciężary, wymieniał zaległości, wypisywał koszta rozpoczętych processów — poczem, z wykazów hypotecznych, z wyciągów, z ksiąg gospodarskich, dostarczonych mu skrycie przez samego Lumpmana, z inwentarzów miejscowych, obliczył wartość ziemi, lasów, budynków, dobytku, ruchomości.

Sokolnik nic nie miał do zarzucenia; bankier skrupulatny w rachunkach długów, szczodre ceny sypał wartościom czynnym.

Akt oskarżenia i obrony był gotów; szło o wydanie wyroku.

Dahlman podsummował obie nienawistne sobie kolumny, odrzucił ze wzgardą ołówek który przy ostatniej cyfrze skruszył się mu był w dłoni, splótł ręce na piersiach i utopił bystry wzrok w połamanem zgryzotą obliczu Sokolnika.

Strona bierna w tysiącach, w dziesiątkach tysięcy, w krociach, przewyższała stronę czynną.

— Cóż panie hrabio — zapytał bankier z przyciskiem — czy miałem słusność?

— Nie podobna! — nie do uwierzenia! — mylimy się oba — odrzekł grobowym głosem dygnitarz.

— Jak żyję nie pomyliłem się w rachunkach, ale mniejsza o to; zacznijmy na nowo.

— Nie — nie, dość tego! nie przeczę pańskiej biegłości; szalony wypadek! — nie, nie, powtarzam to nie podobna!

— Daj Boże! lękam się jednak aby wkrótce sądowe wyroki nie wystosowały panu hrabiemu daleko surowszych rachunków.

— Jesteś bez miłosierdzia panie Dahlman.

— Jak lekarz lub spowiednik; jako ten, który wprowadzie tylko widzi środek ocalenia ciała lub zbawienia duszy.

— Prawda dobra choremu lub konającemu, ale mnie, jeżeli istotnie mieści się w twoich cyfrach, na cóż może się przydać? Jestem zgubiony, zgubiony bez żadnej nadziei! — nieprawdaż?

Bankier wzruszył ramionami.

— Potwierdzasz wyrok? Nie — to nie podobna! los nie pozwoli nędznie upaść jednej z najznakomitszych w kraju rodzin. Chory jestem, powiadasz? — Zapewne; sam czuję w sobie ubytek sił, ale choroba moja nie śmiertelna, do zgonu mi jeszcze daleko. Są przecież zaradcze środki — gdzie? — głowa w tej chwili mi pęka; napróżno siliłbym się je wynaleźć — ty jednak panie Dahlman, ty oznajomiony z trudnemi w życiu położeniami, ty który z doświadczenia wiesz, że często od biegłego postawienia sprawy zależy powodzenie jej lub upadek, ty przez samą pamięć na przyjacielskie nasze stosunki, czyliż dozwolisz aby jeden z najzyczliwszych ci ludzi, z żoną, z dzieckiem na wydaniu, tonął w bezdni ostatniej nędzy? — Uwzięli się na mnie moi nieprzyjaciele, poprzysięgli wydrzeć z pod głowy ostatnią poduszkę; zgoda! niech się dopełni miara przeciwności. Ja w późny wiek zachodzę, krócej mi niż dłużej na świecie, ale za cóż pokutować ma biedna moja dziewczyna? — Mów! czyliż nie ma już sposobu przeciągnąć dwa lata, rok? — Wydamy ją przez ten czas za mąż; zabezpieczymy jej przyszłość. Kto wie, może Pan Bóg ześle nam bogatego zięcia? Jaka szkoda że nie masz syna!

Dziś, o jedną tylko upraszam łaskę, o zwłokę, o zwłokę! wszakże sam jesteś ojcem!

— Zapóźno panie hrabio! wiem z urzędowych źródeł, że wierzyciele pańscy naradzają się jak wspólnym kosztem zmusić Pana do sprzedaży majątku.

Wstrzymaj się drogi przyjacielu, nie spiesz z odpowiedzią! Nie namyśliłeś się jeszcze; zostawię ci godzinę czasu — do jutra — noc często niesie zbawienną radę.

— Cóż tu radzić przeciw rzeczywistości?

— To są ostatnie twoje słowa? Nic że więc nie znajduję na dnie serca twego, prócz zwątpienia i rozpaczny?

Dahlman wsparł czoło na dłoni, wpatrzył się w papier; podniósł ołówek i zaczął z niechęcia kreslić na pół niedokończone cyfry. Sokolnik śledził każdy ruch jego palców; z drżącym sercem czekał formuły zbawienia.

Po chwili namysłu, bankier wyciągnął się w krzesle i rzekł:

— Wierzycielem głównym, chociaż najmniej natarczywym, jestem ja. Pomimo to, z mojej strony zgoda na zwłokę na nic się nie przyda; pojmujesz bowiem pan hrabia, że skoro pretensje zewsząd rzucają się na majątek, ja, pod stratą własnej fortuny, zakładać rąk w bezczynności nie mogę. Pośpieszę więc razem, a nawet przed drugimi aby zabezpieczyć moją należytość. Jeżeli zatem rzeczy pójdą zwykłym trybem, nie ma wątpienia, że massa nie wystarczy na zaspokojenie długów.

Sokolnik stłumił ciężkie westchnienie; Dahlman ciągnął dalej:

— O ocaleniu majątku nie mówmy; żaden z nas nie jest alchmistą, a ludzkie środki ku temu nie wystarczą. Postawmy kwestję na łatwiejszem stanowisku. Pan hrabia masz córkę na wydaniu, żonę przyzwyczajoną do wygod, sam nadto z trudnością zgodziłbyś się zejść na ostatnie szczeble społecznej drabiny.

— Masz słuszność; raczej śmierć niż podobne upokorzenie.

— Rozumiem to uczucie — odparł spokojnie bankier — i mam nadzieję, że unikniemy gorzkiej dla nas obu ostateczności.

— Masz nadzieję? — mów! jaką, gdzie? chociażbym miał duszę zaprzedać!

— Ten towar dziś nie popłaca. Nie potrzebujesz pan hrabia nic na targ wystawiać. Sprawę w następujący sposób myślę rozwiązać: rozpiszę natychmiast listy do moich przyjaciół; za kilkanaście dni musi znaleźć się w kassie pańskiej pół miliona w gotówce. Wprzód nim nadejdą pozwy, zjedzie tu kilku główniejszych wierzycieli. Za pierwszym żądaniem wypłaty, poprosisz ich pan hrabia o zwłokę i otworzysz kassę. Widok pieniędzy wzbudzi w nich zaufanie i skłoni do uległości. Odjadą i rozniosą wieść o tem co widzieli. Jeden z moich podwładnych który przybędzie tu z pieniędzmi, tegoż samego dnia odwiezie je do Lwowa. Ja tymczasem, pod ręką, skupię jak największą ilość ręcznych pańskich i urzędowych długów, i korzystając z chwilowego zawieszenia broni, zaintabuluję się pod pierwszym numerem na hypotece. Resztę wierzycieli odeślesz pan hrabia do mnie: odtąd bowiem ze mną tylko będą mieli do czynienia.

Jakto, panie Dahlman; tyle ofiar! — cóż ja z mojej strony? jakże zawdzięcę?

— Za pozwoleniem; jeszcze nie skończyłem. Przyjmuję na siebie wszystkie ciężary, ale pod warunkiem, że rękojmia ich do mnie będzie należeć. Dobra pana hrabiego wraz z wasztkiem co się na gruncie znajduje, przechodzą na moją własność. Zgadzam się jednak do zamełcia hrabianki, zostawić zacyim jej rodzicom używanie pałacu, tytułu nawet posiadaczów włości. Nadto, obowiązuję się panu hrabiemu i pani hrabinie płacić tysiąc dukatów dożywotniej pensji, wypłacalnej, do dnia zaślubin hrabianki, w tym oto pałacu, następnie we Lwowie, w dobrach zięcia, lub gdzie pan hrabia rozkażesz.

Oto moje warunki, jedyne, pod któremi będę mógł nie złączyć się z resztą wierzycielów. Jeżeli pan hrabia znajdujesz je godziwemi, czekam na przychylną odpowiedź; jeżeli masz inne, dogodniejsze dla siebie środki, cofam moje słowa.

— Inne środki? — gdybym na dzie serca miał jaką radę, ztamtąd b m jeszcze ją wydobył! Słuchaj panie Dahlman;

ę na świecie położenia, które nie każdy jednakowo rozumie. Mówiono mi nieraz, że dziecko tyle cierpi nad stłuczonym cackiem, ile wódz nad przegraną bitwą. Fałsz! fałsz oczywisty! Klamstwo wierutne! Cierpienie, jako zabójcza roślina z ziemi pełźnie ku człowiekowi. Im nieszczęśliwy wyżej stoi, tem wyżej dorasta, tem go gęstszymi pierścieniami oplata. Widzisz ten oto kryształowy dzbanek! upuść go na stół — nie rozbije się; zrzuć go z wysokości — w iskry rozpryśnie. Nie każdy głos jednakowo oddźwięknie o mury tego pałacu. Przyzwyczały się one do pewnych tonów, których nie przekażą nowym właścicielom: chyba własną krew przelałbym im w żyły. Stare mury, zużyte dla nowych nazwisk, dla starych z każdym dniem bezpieczniejsze i trwalsze. Ja, do dna wychylę czarę, opuszczę rodzinny dach, porzucę ten dom, gdzie dla mnie więcej wspomnień niż świeków; ale cóż pocznę gdy przyjdzie mi swoich z sobą zabierać — gdy zacznę, jeden po drugim, wydzierać z ram obrazy przodków, gdy ściągnę świętokradzką dłoń na śp. kasztelana, rodzica mego; gdy w zamian za pałacową ścianę, dam podróżną jukę dziadowi memu wojewodzie Łuckiemu, pradziadowi hetmanowi Polnemu i całemu temu szeregowi dostojników z buławami, z łaskami, w sobolowych deljach lub w srebrnych pancerzach, na których każdy dziś jednakowo spogląda, ale którzy na każdego inaczej patrzą. Tego dnia, panie Dahlman, nie radzę nowemu właścicielowi stać przy mnie; posadzka może się pod nami rozstać, dach się nad nami zawalić.

Sokołnik ukrył twarz w dłoniach i głowę na piersi opuścił.

— Bądź pan hrabia przekonany — rzekł bankier połykając ziewnięcie (nie spał był bowiem poprzedniej nocy) że pojmuję i dzielę jego boleść, ale z koniecznością trudno walczyć. Za życia znacznych pana przodków nie znano jeszcze hipoteki. Wiem również, że cierpienie stosunkuje się do wysokości upadku; sądzę atoli, że ludzie wysoko postawieni, w przeciwnościach właśnie okazują wyższość uprzywilejowanej natury. Łada chłystek da sobie radę z fortuną; do boju z zawistnym łosem potrzeba hartu duszy, na jaki gawiedź nie łatwo się zdobywa. Sam cesarz Napoleon, dopiero na wyspie Ś. Heleny dowiódł wielkości swego geniuszu. Przeciwność

jest probierczym kamieniem znakomitych rodów i szlache-
tnych umysłów.

— Chciałbym być widzieć, panie Dahlman, twojego Napoleona odartego z blasku i przechadzającego się po Europie pomiędzy głowami, z których wprzód nie jedna chyliła przed nim koronę, później zaś żadna nie byłaby mu oszczędziła upokarzających wejrzeń. Odesłać żonę i dziecko pod opiekę najpotężniejszego monarchy, samemu dać się zawlec na odludną wyspę i tam, przed spczupłym orszakiem sfanatyzowanych dworzan, dyktować własną epopeję i podbijać świat językiem, kiedy już szabli nie stało — to rzecz ludzaka, zwyczajna. Ale przewodzić w salonie pierwszemu co do znaczenia zgromadzeniu, błyszczyć światłem nabytem lub przekazanem, być jednym z królów społecznej biesiady, dawać rozkazy, odbierać hołdy, nie baczyć na pokłony, i nagle — opuścić spółbiesiadników, wyjść do sieni i wrócić natychmiast, zamiast w pańskiej odzieży, w żebraczych łachmanaach; przy blasku jarzących świateł wystawiać na widok ohydą liberję nędzy, mierzyć się oko w oko z dawnymi towarzyszami uczy; zbierać pogardę tam, gdzie dawniej dość zapachu dla czci nie było; przyjmować świsty w miejscu poklasków, wstrętne milczenie w miejscu układnych odpowiedzi; znać, być znanym, a nie być poznanym — wierzaj mi pan, wytrzymać to piekło za życia, jest więcej niż znieść wieczny brak nieba po śmierci. Tamten na swojej skale miał sławę za pociechę; tu wstyd, hańba i pośmiewisko jedynym udziałem.

— Wszystkie te klęski nastąpiłyby bez wątpienia, gdybyś pan hrabia założył ręce i dał folgę zamiarom swoich wierzących. Droga jaką ja wskazuję daleko jest znośniejszą; zabezpiecza przyszłość hrabianki, raz na zawsze kładzie tamę procesom i przykrym ztąd następstwom; nadewszystko zaś pozwala panu hrabiemu w niczem nie zmieniać dotychczasowego trybu życia i otwiera szerokie pole nadziei. Panna Marja może bogato wyjść za mąż; sam chętnie pomogę w wyszukaniu zięcia. Wreszcie, raz jeszcze powtarzam — w podanych przezemnie zamiarach, nie szukam własnego zysku. Bóg widzi, że nie moje dobro mam na celu i jeżeli pan hrabia — —

— Wiem, wiem że nie ma innego środka; krwawe dla mnie przejście! Wczoraj jeszcze, dziś rano, przed godziną, nie myślałem aby rzeczy tak daleko zaszyły. Pozwól mi nieco ochłonąć z pierwszego wzruszenia, przyzwyczaić się do nie-szczęsnej konieczności. Muszę pomówić z żoną; biedna kobieta nie spodziewa się co ją czeka! Po obiedzie, wieczorem, tu, w moim gabinecie, dam ci ostateczną odpowiedź. Ułożymy sprawę jak należy. Teraz, przejdźmy do salonu, panie nasze oddawna czekają nas ze śniadaniem.

Magnat otrząśł na chwilę z trosk oblicze, usiłował wypogodzić czoło; larwa spokoju niewdzięcznie lgnęła mu do połamanych boleścią rysów.

Sokolnikowa bez trudu odgadła skołatany stan duszy męża; kapelan za pierwszym rzutem oka przeczuł całą sprawę; jedna tylko Marja zagłębiona sama w sobie, nie zważała na powszechnie rozprzężenie umysłów.

Młodość, samolubna zwykle, ilekroć marzy zużytecznie swoje żywiołów, patrzy tylko przed siebie, upęda się za nadzieją, lekceważy troski starości, poziome, materjalne nie wykraszone barwą uczucia, a tem samem nie godne uwagi dusz tkliwych, oderwanych od ziemskich względów. Nie zapominajmy że hrabianka miała duszę tkliwą.

Rozmowa kulawo się wlokła, szwankowała na wątku. Każdy w głębi duszy czuł się przepelnionym myślami, nikt atoli nie pragnął na biały dzień ich wystawiać. Pan domu szepnął na uboczu kilka słów księdzu do ucha; kapelan natrącił z niechcenia bankierowi myśl przechadzki po gospodarstwie; Dahlman skwapliwie ją uchwycił i niebawem towarzystwo rozpięzchło się w różne strony.

Gabinet Sokolnika był widownią, na której odgrywały się dalsze sceny dramatu. Tym razem słychać w nim było przytłumioną rozmowę. Czasami głos męża długo wydzwaniając jedną nutę, przyskał nagle cierpkim wykrzyknikiem, tonął w milczeniu, podczas gdy przeciągłe, jęczące łkania wydzierają się z niewieściej piersi.

Sokolnik zawiadamiał żonę o układach z bankierem.

Hrabina stępiała z podziwienia. Biedaczka, żyła dotąd

w przekonaniu, że oboje za krótki mieli wsrok, aby kiedykolwiek mogli dopatrzeć dna swoich dostatków.

Dahlman tymczasem ujawniwszy księdza pod rękę, zahaczył w drodze intendenta Lumpmana, zatrzymał go i kazał wprowadzać się po wiejskich zabudowaniach. Przez drogę wszczął z nim rozmowę, wypytywał nawiasem o rozległość i rodzaj ziemi ornej, o przestrzenie lasów, pastwisk; badał sumę dni pańszczyzny, pracowitość ludu, ilość i gatunek bydła, troskliwie śledził najdrobniejsze szczegóły gospodarczych budynków, wchodził na poddasza i ztamtąd opatrywał okolicę. Powaby natury głębokie czyniły wrażenie na sercu byłego kramarza z Salzburga; ogarniał wzrokiem widokrąg, pieścił oko czarownym krajobrazem jaki okolica słała mu pod nogi, zachwycił się falami rozzielenionych pól z ciemną obrąbką niknących w oddali lasów, witał uśmiechem starożytny pałac rozsiadły poważnie wśród klombów i kwiatów, i w religijnej zadumce podziwiając pracę człowieka hojnie rozbłogosławioną potęgą wszechmocnej opieki, powtarzał w duszy: «To wszystko wkrótce będzie moje, moje, moje własne.»

Ludzie na ziemi pną się jedni nad drugich; tysiące z nich nie wie gdzie jutro skłoni głowę, gdzie zażąda strawy; wielu starzeje a wola ich, niewolnica potrzeb ciała, mało co niemowlęce lata przerasta; ale kto wśród człowieczego mrowiska potrafił rozeprzeć się na szerokich łańcach czarnoziemu, kto posiadaniem, kto własnością wyszlachetnił swoją istotę, kto umiał uwszechmocnić się na pewnej przestrzeni gruntu i zapanować nad pewną ilością podobnych sobie stworzeń, ten więcej niż człowiekiem, ten żyje dłużej niż życie; ten gdy ciało w proch się rozpadnie, z zagrobu jeszcze rozkazuje spadkobiercom.

Bankierowi łzy rozrzewnienia zakręciły w oczach; dziękował Bogu, że dozwolił mu na starość doczekać się tak trafnych rozumowań i tak świetnego skutku swoich zachodów.

Sprawiedliwość pełniła się na świecie.

Sokolnik, od młodych lat bezwstydnie trwonił nie wiedząc dla czego przekazany mu majątek; głuchy na cudzą niedolę, ślepy na bliźnią nędzę, nie umiejący ani sporządzić bilansa

ani wynaleźć najmniejszej spekulacji, wyniósł ołtarz swoim namiętnościom, ofiarował im złoto, mirrę i kadzidło; żył cudzym kredytem i sam nieograniczenie kredytował przyszłości.

Los, sumienny rachmistrz, wyzuwał próżniaka z dostatków.

Dahlman od kolebki prawie upędzał się za groszem, handlował, przemyślał, nadmierzał, nadwazał, językiem dodawał towarom wartości, pożyczal na lichwę; bezsenne noce trawił na kramarskich zabiegach, przez sen czasami cyfry belkotal, zaprzeczył w sobie ciało, żył jak asceta, dopokąd nareszcie po długich przebojach nie rozciągnął się na workach złota. Opatrzność wieńczyła w nim skrzętne zabiegi i niezmordowaną pracę.

Los, sumienny rachmistrz, wynagradzał go majątkiem marnotrawnego magnata.

Pełniła się sprawiedliwość, ale pełniła się także i historia.

Promienie rzeczywistości coraz silniej rozpraszały mrok fałszu i przesądów. Zastęga siadała na miejscu fantastycznego przywileju. Bajka o różnicy krwi, o znakomitości urodzenia, ustępowała przed prawdą o wszechmocnej potędze pieniądza. Filozofowie wszystkich szkół utrzymywali, że postępowanie się toczył; rewolucyjni obłąkańcy dowodzili, że z każdym dniem przybywało niewolników, że jarzmo z każdą chwilą dotkliwiej gniotło. Stary świat zdziecinniał i spróchniał, na klęczkach czekał na ostatnie pomazanie — białym czyli czerwonym olejem? — przyszłość miała rozwiązać.

Ale nie o tem mowa.

Podczas gdy spiekła chciwość i rozpacz, rostaczały skrzydła nad domem Sokolnika, łagodniejsze uczucia ogarniały inne osoby naszej powieści.

Piotr Poraj należał do rzędu tych ludzi, którzy najszczerzej uśmiechali się do przyszłości i na pełny wiatr rozpuszczali żagle nadziejem.

Całą duszą oddany pracy, której owoce w oczach mu prawie dojrzewały, w każdym powrocie widział błogosławieństwo Boże zastępujące na ulubioną mu myśl ustalenia losu brata.

Piotr wiedział o odwiedzinach Kazimierza u Sokolnika; pamiętał również, że sam obiecał był zjechać się tamże z bratem, ale z jednej strony natłok zatrudnień niezwalczonym urokiem ciągnął ku sobie gorliwego pracownika, z drugiej zaś zatrzymywało go w domu niewytlumaczone uczucie niepokoju.

Pobyt u dygnitarza wydawał się mu trudnym do zniesienia. Bez dostatecznej wiary w pomyślne przeczucia i w pewność urzeczywistnienia drogich sobie marzeń, byłby dręczył się każdym obojętnym spojrzeniem Marji, byłby rozpaczał nad każdym nierozważnym słowem Kazimierza. Lękał się wreszcie niebaczną mową lub wyrazem oblicza odtajemniczyć powód wewnętrznych wyruszeń, dać się porwać biciu własnego serca, i jak sam nazywał, pośpiechem zepsuć całą sprawę. Przyczaił się więc w domu, krępował niecierpliwość zachodem wedle wspólnego dobra i czekał — czekał aż los gwoli jego nadziejom, pewnego poranku nie przebudzi go szczęśliwą wieścią o zatłonej między bratem a hrabianką iskierce, której niebawem miało starczyć światła na jasną pochodnię hymenu.

Piotr lubił mitologiczne porównania; przypominały mu one czas szkolny i łacińskie exercitia, z których słychać ongi na całe kollegium. Że zaś majątek jego leżał prawie na drodze Sokolnika do Kazimierza, był zatem pewny, że ten ostatni go nie pominie i że jakikolwiek obrót rzeczny wezmą, z pierwszej ręki i bezzwłocznie otrzyma wiadomość. Ztąd, nie dziw, że pełen błogich przeczuć kilka razy na dzień zwracał kroki ku drodze, na której oczekiwał brata, że wbrew zwyczajowi nie spieszył z obiadem, że do śniadania nawet na dwie osoby kazał nakrywać.

Wieczorem, Piotr znużony, bywało, chciał dłużej czuwać niż zwykle, chwycił pierwszą lepszą książkę dla odstraszenia natarczywego snu, ale widok jednostajnie drukowanych liter działał nań jak napój z makowego nasienia; kleiły się mu powieki, głowa opadała na poduszkę, rękami zaledwie starczyło siły na zagaszenie światła temże samem dziełem, jakim autor, nieraz zapewne, pochlebiał sobie oświecać potomność.

Opatrzność atoli, nadzieje cnotliwych podczas snu często urzeczywistnia.

Aforyzm ten, wynaleziony bez wątpienia przed śmiercią ojca księcia Hamleta, w epoce bajek i cudów, aforyzm ten, powtarzam — (powtórzenie stylowi niekiedy pomaga) ziścił się względem marzeń naszego szlachcica.

Pewnego wieczora, gdy sen po raz trzeci przeszkodził mu w dokończeniu jednego z najciekawszych rozdziałów teorii wyrabiania cukru z buraków i w zamian za słodycz materiałną, słał mu pod głowę niemniej przyjemne ułudy uczuciowych widziadeł, odgłos trąbki pocztarskiej nagle rozdarł ciszę nocną w oddali.

Piotr przewrócił się na drugi bok i z uśmiechem wyciągnął ramiona jak gdyby z powitaniem.

Fantazja na tle rzeczywistego dźwięku haftowała mu senne obrazy.

Niebawem, tenże sam dźwięk rozległ się powtórnie ale tym razem donośniej po kroplach rosy dopłynął do dworu, rozbił się o ściany i przecisnął do ucha śpiącego.

Piotr ocknął się, przetarł ciężkie powieki, siadł w kłębek na łóżku, słuchał.

Tentent koni i turkot powozu dudnił zdaleka na drodze.

Nie było wątpienia; przybywał oczekiwany gość.

Piotr wyskoczył z łóżka, gromko rozbudził służbę i wnet ciemne przed chwilą okna dworu, zewsząd zajaśniały światłem.

Kazimierz na wjeździe w bramę, spostrzegł na progu białą postać oświeconą dwoma świecznikami, przez dwie inne istoty ciemniejszej barwy. Ciemne postacie widocznie należały do dwóch służących, biała, nie wiedzieć dla czego, wśród nocy, osłaniając wzrok dłonią jakby przed blaskiem słońca, chyliła się ku przyjezdnemu, w chęci rozpoznania zapewne sprawcy tak późnych odwiedzin.

Białą postacią nie mógł być kto inny jedno pan domu.

Wiadomo powszechnie że szeroka opończka z dwoma paskami niby lejce z tyłu uczepionemi, oznacza w polskim kraju pana zwykle, w rannym, lub Żyda w świątecznym ubiorze.

Arędarz o tej porze nie miał zwyczaju chodzić do dworu, oczywiście więc w płóciennej oponczy znajdował się pan. Że zaś tak było a nie inaczej, dowiodły wkrótce wyrazy w jakie istota odezwała się z tej odzieży do podróżnego:

— Kto późno przychodzi panie Kazimierzu, sam sobie szkodzi, nie moja wina; czekałem do dziesiątej z wieczerzą; ale mniejsza o to; widzę po twarzy Bonifacego, że nie puszczą cię na czczo do łóżka; znajdzie się jeszcze od biedy przekąska.

— Daruj Piotrze, odrzekł Kazimierz, serdecznie ściskając bratu rękę; nie zapoznałem się dotąd z naszymi drogami; myślałem wcześniej cię najechać, zwłaszcza też pocztowymi końmi; moje wprost odesłałem do domu.

— Słusznie uczyniłeś; rozbraja mię twoja obecność; lepiej późno niż wcale. Dalej! ruszajcież się! — Czy rozbudzili kucharza? Ty z zaspanemi oczyma, nakrywaj do stołu.

— Przedewszystkiem proszę cię mój Piotrze, nie trudź dla mnie twoich ludzi; nie potrzebuję niczego.

— Bądź spokojny i nie lękaj się świetnego przyjęcia. Stara Jastrzębka jutro oczy by mi wydarła, gdyby się dowiedziała żem ci pozwolił zasnąć o głodzie. Siadaj! co na placu to nieprzyjaciół. Wracasz od Sokolnika? Cóż — jakże cię przyjęli? — czy dobrze się zabawieś?

— Wybornie, wejska gościnność Sokolnika w niczem nie ustępuje przyjęciu jakiego doznawałem u niego we Lwowie. Sokolnikowa pod tym względem jest godną małżonką swego męża. Wszyscy wyglądali twego przyjazdu, spodziewali się że dotrzymasz słowa. Zgadujesz żem cię tłumaczył o ile możliwości.

Kazimierz ani słowa nie wspomniał o Marji; Piotr siedział jak na węglach, lękał się ucześć niewczesnego pytania.

— Sprawiedliwie postąpiłeś mój bracie, rzekł starszy; Bóg widzi że pomimo najszczerzej chęci, nie mogłem znaleźć ani chwili wolnego czasu. Kontrakty, sam wiesz, za pasem. Od dwóch tygodni dom mój jak austerja; co godzina nowy ktoś zajężdża; dzierżawcy, kupcy, posłańcy z listami. Za ledwie potrafiłem na dwa dni wymknąć się do ciebie na wieś, gdzie miałem jeszcze pewne zaległości na sumieniu.

Kazimierz wrzucił z uśmiechem ramionami; nieustanna troskliwość brata zamykała usta jego podziękowaniom; wyrzucania wdzięczności za każdą przysługę Piotra byłyby oczywiście wpadły w sferę najpowszedniejszych ogólników. Wolał milczeć.

— Teraz mówił dalej starszy brat, nalewając gościowi wina — teraz stoimy na czysto; mam kilka wolnych dni przed sobą i mogę nieco odetchnąć. Wśród jednak zdam ci sprawę z niektórych szczegółów zaszłych podczas twojej nieobecności. Jesteśmy w stanowczej porze roku, każdy dzień coś nowego przynosi. Szczęściem, nie mamy przyczyny uskarżać się na los, sprawy nasze powiodły się nad oczekiwania. Dziś, śmiało już mogę powiedzieć to, o czym sam przekonasz się na kontraktach, mianowicie że w ostatnich dwóch latach podwoiliśmy majątek.

Ostatnie wiadomości z Odessy, od dozorczy naszego zbożowego magazynu, wpłynęły stanowczo na oznaczenie czynnej strony naszego bilansu. Nie potrzebuję nawet zatrudniać cię drobnostkami, stawiać ci przed oczy pojedyncze cyfry; w kilku słowach dostatecznie zrozumiesz obecne nasze położenie.

Piotr kazał podać drugą butelkę, drugi kieliszek i dwie fajki. Kilka zapowiedzianych słów rozciągnęło się na długą litanję wyszczególnień, liczb, wypadków, uwag, objaśnień, wykazów, sprawozdań, wyciągów, opisów. Poraj w interesach miał zadziwiającą pamięć; dziesiątki, jednostki, ba nawet utamki nie uchodziły przed bystrym jego wzrokiem; historję każdej korzyści, patoloję każdej straty, znał w najmniejszych zakrętach od źródła aż do ujęcia. Z natury nie był mowny; skoro atoli raz wpadł na ulubione sobie szlaki, nie podobna go było zatrzymać. Otwierał wówczas mowie upusty, pędził tabuny wyrazów, lubował się łatwością z jaką zdawał sprawę z prac swoich, z pomyślnie uwiecznionych zabiegów, z szczerze wynagrodzonych trudów. Żrenice płonęły mu niezwykłym ogniem, przechadzał się szerokimi krokami, stawał, zakładał lub rozrzucał ramiona, dopomagał sobie gestami, rozświecał twarz uśmiechem: na dnie bowiem każdego przedsięwzięcia, obok własnej korzyści, błyszczały

zawsze wyświadczono ludziom usługi, podźwignęta bieda, lub zwycięstwo dobrej wiary nad powszednich przemysłników szalbierstwem.

Kazimierz umiał słuchać; w milczeniu zdążał uwagę za słowami brata, znać było jednak że mniej go zajmowały cyfry i majątkowe szczegóły, niżeli psychologiczne spostrzeżenia do jakich rozkrywająca się na rościach, szlachetna dusza Piotra, odkrywała mu szerokie pole.

Mówca tymczasem dobiegał do brzegu; pochwycił obiema rękami ostateczny wypadek swego opowiadania, wyrzucił go z pośpiechem, gdy w tem zatrzymał się, spócił ręce na pierśiach, nagle uciął i zapadł w milczenie.

Kilka zmarszczków nieodstępnych towarzyszków troski, wybiegło mu na czoło.

Kazimierz drgnął mimowolnie, rażony niespodzianym przewrotem uczuć w duszy brata.

— Cóż ci takiego, mój bracie? rzekł powstając; może nastąpiłeś przypadkiem na znak mu niej, tam gdzieś dotąd więcej spostrzegał? Nie troszcz się; różnica nie może być znaczną.

Piotr milczał.

— Mówże, o najpart szy z ludzi! gdzie węzeł, który cię zatrzymał? W dwóch prędkiej go rozplączęm.

— Mylisz się Kaziu i masz słuszność zarazem; mylisz się gdy mniemasz że zastanowiły mię rachunkowe wypadki; masz słuszność mówiąc że sam jeden nie podołam przeciw kłopotom, jakie mię w tej chwili obiegają.

— Tem lepiej; jeżeli mogę na co się przydać, wiesz dobrze, że cały mój czas i wszystkie siły są na twoje rozkazy.

— Zgoda; pomóż mi więc naprzód w rozwiązaniu zawiętego pytania, które często serdecznie mię niepokoi. Każdy dzień przysparza dostatków, zewsząd powodzenie do nóg się nam garnie. Cóż z tego? - we dwóch samotnie nie przeżyjem ucziwie zapracowanego grosza. Gromadzić dostatki dla samej roskoszy posiadania — nie nasza rzecz. Broń Boże, na jednego z nas nieszczęśliwego przypadku, na drugiego bezdzietnej śmierci, cóż się stanie z owocem naszych zabiegów. Krewnych bliskich nie mamy; jesteśmy ostatni z naszej rodziny.

— Jakto, zawołał wesoło Kazimierz, martwi cię pemyślność naszego położenia? chorujesz na zbytę bogactw? Na naszą duszę, Piotrze, dziękuj Bogu że się nie urodziłeś za czasów Moliera! Szczęściem choroba twoja nie zaraźliwa, nie lękam się jej podpaść. Wypełnia się nam róg obfitości? — Tem lepiej! — Pieści nas fortuna? Otwórzmy jej drzwi na roścień! — Nazbieraliśmy grosza? — Starajmy się znieć go coraz więcej! Jeżeli zamiast troski o używanie, zakłopotczem się o użytek, nigdy nie będziemy dość bogaci. Ach mój bracie, spojrz do koła, patrz co się dzieje! Dzikiej nędzy wprawdzie nie wiele, z głodu nikt nie umiera, ale chłocze nas pląga stokroć dotkliwsza od braku łachmanów na grzbiecie kilku będzarzy. Cóż odpowiemy gdy ojczyzna nas zapyta co zrobiliśmy dla massy jej dzieci? Straśniew narodowej prawdy, kiedyżesmy na biały dzień ją wystawili? Czyliż świętej naszej głęby nie zaprzedałiśmy Austrjakowi za kalużę słuźalczych, dworskich zaszczytów? Czyliż odrodna szlachta, nie zamieniłiśmy staropolskiej gościnności za gnaśne małpiarstwo wiedeńskiej rozpusty — czyliż spółwinowajcy z mordercami narodu, nie odepehnięliśmy z pogardą nauki tak, że aż poszliśmy w pośniewisko nawet u tych braci, którzy pod moskiewskim knutem potrafilii nabyć prawa urągania naszemu niedoleństwu? — Ciemności coraz gęściej nad nami zachodzą; chłop galicyjski coraz głębiej w barbarzyństwo grzęźnie. Ślepa obojętność możnych, praepaść rozbratu kopie między szlachtą a ludem. Rosprzegają się rodzinne węzły jakie ich dawniej łączyły. Wiesz dla czego, przed czasy, chłop cierpiał często ale na pana nie szemrał? — Odpowiedź łatwa! Chłop ciężko pracował — to prawda; pana rzadko widywał, ale kiedy zjawiał się mu ten ostatni, bila z niego dziwna powaga, szczególniejsza potęga ducha. Okryty wojennym znojem, szlachcic wracał z poszczerbioną szablą, z czerwonymi jeszoze blizny na ciele. Wiedzianno powszechnie że przywilejowiec ten, ze swejej strony upórnie pracował na bojowem polu, że rosił je własną krwią w obronie strzechy rolnika. Innym razem przyjeżdżał z sejmu, gdzie obradował nad losem kraju, z urzędu gdzie sprawiał publiczne dobro, z sądu gdzie wdowie i sierocie wymierzał sprawiedliwość. Czyny te świeciły mu z oczu;

na wsi kłaniano się przed niemi raczej niż przed człowiekiem. Dziś, gdy z cesarskiej Gomorrhry, wybladły panica przywlecze się angielską uprzężą, dziś, gdy rozniezczony magnat zajedzie z hałastrą zagranicznych służalców — gdy domownicy drobnej szlachty gwarzą po kuchniach o pańskich pijatykach za jakich setną część ekonom chłopa batoży, o całonocnych grach w karty, gdzie w kilku godzinach znikają często całoroczne dochody — dziś gdy Żyd w karczmie bezkarnie odziera a rządca swobodnie się pastwi, pytam — gdzie łącznia między ludem a panem i jakiej natury wrażenie ten drugi wywiera na pierwszym? Ach! mój Piotrze, lękam się aby przyszłość nie gotowała nam twardych a zasłużonych przepraw! Otchłań, powtarzam, między nami a ludem coraz szerzej się otwiera; bezdnia, dla zapewnienia której nigdy nie będziemy mieli ani zbyt środków, ani zbyt woli. Jeżeli zaś założym beczynne ramiona, kto wie co nam na dnie jej nie daleka może przyszłość ukaże?

— W krótkim czasie wiele obaczyłeś — rzekł Piotr głosem posępnej rozwagi. Świeże oczy złe łatwiej razi. Słowom twoim niepodobna zaprzeczyć prawdy, chociaż wyznam, że co do mnie, nigdy z tak wysoka rzeczy nie rozglądałem. Teraz mróz mię ścisnął gdyś mi palec na ranie, położył. Widzę złe, widzę je dokładnie jak gdybym sam był jego sprawcą, a jednak dobrze ci wiadomo, że jako właściciel, z czystym sumieniem słucham twoich zarzutów, spokojnie przyjmuję złowrogie przepowiednie. Ale cóż z tego? pojedyncze a rzadkie tu i owdzie wyjątki nie odwrócą burzy, pojedyncze usiłowania znikną w natłoku codzien wzmagającego się zła. Nie idzie stąd abym w zwątpieniu chciał opuszczać ręce; przeciwnie — czuję i rozumiem konieczność silnego działania; działania atoli wspólnego, działania tak powszechnego, jakim jest zagrażające narodowi niebezpieczeństwo. Podzielmy bliskich i dalekich naszych sąsiadów na kilka odcieni, oznaczmy pierwszym tych, których przekonanie najskorzej słowom naszym odpowie, których wola najprędzej pójdzie za przekonaniem. Udajmy się do nich, wystawmy im stan rzeczy, zniewolmy kolejno każdego do uczestnictwa w świętej sprawie, a powoli, za bledszymi pójdą ciemniejsi,

i tak dalej, aż dopóki pod okiem słońca uknuty związek, kraju całego nie ogarnie. Wtedy dopiero możemy spodziewać się zbawiennych, stanowczo zaradczych skutków. Nie dość na tem. Chcąc wpłynąć na spółobywateli, potrzeba z nimi żyć, trzeba widywać ich u siebie i u nich, nadewszystko zaś należy pozyskać dla sprawy trzy czwarte woli i przekonania w naszym kraju, czyli wyraźniej mówiąc, poruszyć i ująć serce kobiet. Byłoby to nie trudno gdyby jeden z nas mógł mieć dom otwarty, gdyby jeden z nas był — żonaty — z osobą ze wszech miar odpowiadającą swemu powołaniu, gdyby powagą rodzinnego życia mógł świecić przykładem włościanom i szlachcie — ale dziś — oba bezzenni — ja stary, ty młody; świat powie że nie mamy nic do stracenia, że narażamy własne tylko losy. Ludzie, przed wielą obowiązkami chętnie zasłaniają się obowiązkiem względem żony i dzieci; jak gdyby samolubstwo we dwoje lub w kilkoro było lepszem od pojedynczego.

— Doskonale rozwinięta kwestja, mój Piotrze; znać po zakroju człowieka przywykłego do czynu. Takby się przynajmniej zdawało, gdyby ten dom, od tylu lat przez żadną kobietę nie zamieszkanym, lekkiego podejrzenia na słowa twoje nie rzucił.

— Nie mówmy o mnie; ja oddawna dałem już za wygrane; dla czego? — długa to historia. Dziś weselny bukiet śmiešnieby odbijał od szpakowatej czupryny. Samotność wreszcie bynajmniej mi nie ciąży; przyzwyczailem się tak, że pod żadnym warunkiem i za nic bym jej nie zamienił. Inna rzecz gdybym miał twoje lata i takiego jak ja starego Piotra, który w ustaleniu mego losu widziałby najwyższą życia swego pociechę, najśłodszą prac swoich nagrodę.

Kazimierz uściśnął bratu dłoń i z rozczuleniem wpatrywał się mu w napół zafrasowane śmiejące oblicze.

— Argumentum ad hominem — rzekł po chwili — zapominasz, mój Piotrze, że własny przykład lepszy od najlogiczniejszego rozumowania. Nie chcę atoli wchodzić w pobudki twoich postanowień, chociaż, dzięki im, mniej jedną szczęśliwą kobietą na świecie. Co do mnie, nie trzymam się w tym względzie żadnego systemu. Nie zarzekam się mał-

żeństwa mi też za niem uganiam. Zamiary naprzd powięte kradną wolność, skarb w byciu najdroższy i świecie nietykalny. Pewnego dnia, niespodzianie, dowiesz się może że przybywa ci do rodziny bratowa, ale skąd i kiedy? — na to żaden z nas dziś nie potrafi odpowiedzieć. Pamiętaj wreszcie że jestem świętym w kraju gościem, żem ludzi dość widział, mało dotąd poznał.

— Słusznie przypominasz mi niedawny twój przyjazd; przed chwilą słysząc cię tak dokładnie skreślającego stan Galicji, byłbym rzekł żeś jej nigdy nie opuszczał. Ztąd też przebac mi, ale nie przypuszczam aby szczegóły miały uchodzić wzrokowi bystremu na ogół. Narodowy nasz charakter podpadł, to prawda; atoli zostało nam jeszcze wiele otwartości. Poznać u nas i ocenić tak męczyzną jako i kobietę — nie trudno.

— Zwłaszcza kobietę, Piotrze, i te ludziom którzy taką jak my mieli matkę. Zaprawdę, nie byłbym synem, nie byłbym Polakiem, gdybym nie pojmował czem jest Polka w rodzinie i w narodzie. Wiem, że jeżeli wolno nam jeszcze żywić nadzieję wyswobodzenia, zawdzięczamy ją nie tyle powszechnie sfanatyzowanemu swobodę, a na wszystkich możebnych drogach objawiającemu się odporowi narodu, jak raczej tywiołowi czysto niewieścianu, który sam jeden dźwiga na sobie rękojnię naszej nieśmiertelności. Mówię o poświęceniu, o wytrwałości, o zaparciu samego siebie dla ojczyźstej sprawy, o modlitwie czynem nie usty, o tej modlitwie która w naszym narodzie zwykle wydziera się z niewieścioj piersi.

— Historyczny ideał kobiety, mój Kaziu, w naszych czasach także często się urzeczywistniający — nie wątpię. Podczas twego pobytu we Lwowie, musiałeś nieraz szukać go pośród dziewcząt, które ci przesuwaly się przed oczyma?

— We Lwowie? — odparł Kazimierz po chwilowym prestantku — we Lwowie zaledwo miałem czas zabrać pierwszą znajomość.

— Do podobnych poszukiwań nie trzeba długiego czasu; przedmiotów miałeś podostatkim. Jakżeś naprzykład znalazł pannę Różę Podgórską?

— Godną ze wszech miar swego imienia. Dzieweczka

zdaje się wesoła jak gazella; życie skrzy jej z oczu; widziałem ją śmiejącą się i tańczącą.

— A dwie panny Dzieduszyckie?

— Ze starszą ledwie mówił dwa słowa; młodsza jeszcze dziecko.

— Pamiętasz pannę Julję Ponińską?

— Pamiętam więcej jej ojca, który na pół łamie się przed anstrjackimi urzędnikami.

— Nie mogłeś przecie bez uwagi pominąć panny Stadnickiej?

— Tej wcale sobie nie przypominam.

— Nie podobna! — młoda, wysoka dziewczyna, z czarnymi włosami, z niebieskimi oczyma. Na ostatnim balu u Sokolnika siedziała przy stole, obok — horrendum! wykrzyknął Piotr wychylając dla animuszu kieliszek wina — łamię sobie głowę nad twojemi znajomościami a zapominam o tej, którą najprzód powiniennem był wymienić! Czyliż, u pioruna, nie pamiętam już z kąd przyjeżdżasz? — Panna Marja Sokolniczanka! — Tę przecie zbliżka poznałeś?

Kazimierz zmarszczył lekko czoło; rozmowa wpadała na niewygodną mu kolej, ale nastrój jej dźwięczał w tonie tak poufałym i przyjacielskim, krew rozchłostana spóźnioną porą i kilkoma kieliszkami starego węgryka tak trudnem czyniła wszelkie udawanie, że młody człowiek nie zadał sobie nawet łatwej pracy odgadnięcia zasadki jaką mu starszy brat stawiał.

— Tak jest Piotrze, rzekł obojętnie, tę ostatnią lepiej poznałem, o ile można poznać istotę bierną, jaką jest każda panna w obec mężczyzn i pod okiem rodziców.

— Hm! — jedynaczki często wyłamują się z pod tego prawa; zwykle one rządzą domem i rodzicami.

— Zaręczam ci mój bracie, że ta o której mówimy, nie ma żadnego pociągu do władzy. Jest to dziecko pełne szlachetnych przeczuć, z sercem oddźwięczającym na każdą piękność, na każdą prawdę, na każdy cudzy ból. Chęć rozkazowania właściwą jest pospolitym niewieścim naturom, tym które same z siebie niezdolne nic wyczerpać, pokrywają czczość umysłu i serca wpływem, jaki im udaje się wywierać

na tysiące zewnętrznych drobnostek. Córka Sokolnika nie potrzebuje tych nędznych podpórek. Życie jej szerzej zatacza się niż okrąg domowego ogniska, myśl jej wyżej wybiega niż szczyt pałacu jej ojca.

— Słyszałem o tem; mówiono mi już we Lwowie, że panna Sokolniczanka trochę romansowa.

— Ha! rozumiem; mejskie języki pomarszczonych dewotek, matka jaka wyprowadzająca na świat szpetne potomstwo i trawiona zazdrością; rówiennica może zaćmiona blaskiem pięknej towarzyszki; kilku pierwszych mazurystów w których dziewczyna nie pospieszyła się zakochać — jednym słowem zawiść, oszczerstwo i głupota, w niemożności uzasadnionego zarzutu, posądziły ją o romansowość. Ona romansowa! — Mój Boże! oby wszystkie kobiety mogły być tyle tylko romansowemi! Zgoda wreszcie; przystaję na zarzut. Panna Marja wstręt ma do plotek, nie zużywa białych ząbków na szarpaniu cudzego spokoju lub sławy, pobłażająca na ułomności, prędzej dobrą niż złą stronę w ludziach spostrzega; nie bawi ją kosztem nieobecnych błyszcząca rozmowa, broni salonowe ofiary złośliwego dowcipu — nie dziwnego! myśl jej buja gdzieś w niedościgłych przestrzeniach; panna Marja jest romansową! — W domu, często długie godziny trawi przy fortepianie, odwraca obojętne ucho od ekliwych rozmów księdza, od światowych anegdot ojca; w domu, zarzucają jej dziwaczny popęd do samotności wtedy, gdy ona może pędzi czas w najznakomitszem towarzystwie wielkich mężów literatury, lub, biedne dziecię! gdy zapada w mimowolne marzenia o nieznanym a widomym dla niej drogach życia. Któż zdoła odgadnąć jakie wówczas myśli snują się po tej kształtnej głowie, jakich obowiązków lub boleści przecucie ściska ją za serce? Gdyby życie jej było pasmem chwil poświęconych błyskotkom, gdyby natura mniej była ją ukochała, złość ludzka nie znalazłaby do niej żadnej przyczepki, dziś atoli stworzenie niepowszednie, tem samem więc skazane, potępione bez miłosierdzia. Dalejże, kto żywy i języczny, kryżować winowajczynię za romansowość! Nie dziwi mię tłuszcza zwykłych języków — ale ty Piotrze — ty mój bracie!

Kazimierz splótl ramiona na piersiach jak niegdyś cesarz naprzeciw Brutusa; Piotr z radością ręce zacierał pod stołem.

— Niewiedomość mój Kaziu nie czyni grzechu, rzekł ze skruchą starszy; powtórzyłem co sam nie pamiętam gdzie obilo się mi o uszy. Wreszcie, jak powiada nasz proboszcz, wszyscy i on nawet, jesteśmy śmiertelni; wszyscy — i on nawet, nie jesteśmy bez grzechu.

— Proboszcz twój nie dodaje, odparł Kazimierz, że i na słońcu są plamy. Wiem dobrze że nikt z nas nie jest bez wady, wiem także że znaczną ich część słusznie zwać możemy na karb zwichniętego naszego bytu i niegodziwego wychowania. Dla kobiet zwłaszcza, w ostatnim względzie, niepodobna mieć dość wyrozumiałości: widząc jak rodzice poczynają sobie z dziećmi, dziwię się nieraz z kąd jeszcze uczucia prawdy i szlachetności biorą się na świecie? Pokaż mi dziewczynę, która własnymi siłami wzniosła się nad wysokość marjonetki poruszanej próżnością i głupstwem społecznych przesądów — pokornie zdejmę przed nią kapelusz. Cóż dopiero gdy szczęśliwy, niesłychany traf zbierze wszystkie zawiązki tego ideału, pod jakim przed chwilą wyobrażaliśmy sobie polską niewiastę! Zapewne; zawiązki te zginą w przedpączkowym bycie, jeżeli żaden promień prawdy nie rozedrze tłoczących je ciemności, ale dodaj im światła, swobody, powietrza, dodaj im pojęcia o rzeczywistych warunkach życia, opromień je poważnem przywiązaniem męża a obaczysz w jak pełne bukiety rozpukną.

— Zgrzeszyłem mój bracie, przyznaję. Widzę teraz że nie poznałem się na pannie Sokolniczance i nie dziw się temu; żyłem więcej w gospodarczej pracy niż w tem co nazywają światem. Zarzut mój wreszcie małoważny; rad jestem że dziewczątko zeń oczyszczone; bardziej mię jednak cieszy że w tobie znalazło obronę.

— We mnie i w każdym komu prawda miłą.

— Bez wątpienia; nie każdy jednak zdolny bronić prawdy z jednakowym zapalem.

— Do rozbicia fałszu nie potrzeba zapalu; dość sumiennego przekonania.

Piotr nie mógł znieść dłużej wewnętrznych udręczeń

w jakie go wprawiało to polowanie na tajemnicę w sercu brata ukrytą. Bódl go do krwi każdy podstęp; otwarty jego charakter z wstrętem odwracał się od wszelkiego udawania, od przymusu. Zerwał się niecierpliwie z krzesła, postąpił ku Kazimierzowi, okrążył mu ramieniem szyję i rzekł:

— Wszak wiesz, Kaziu, że przyjaciela wierniejszego odemnie nie masz i nie znajdziesz. Reszta życia mego, owoc prac moich, to twoja własność. Nie odmawiaj mi w zamian trochy serdecznego wynurzenia, podziel się ze mną troskami, niepokojami, a może i nadzieją szczęścia. Powiedz mi, czy jedynie przez cześć dla prawdy bronisz pięknej twojej klientki? — czy pod słowami twemi żadna inna myśl się nie kryła?

Kazimierz obrócił z uśmiechem ku mówiącemu głowę; widok twarzy Piotra rozjaśnionej tkliwą dobrocią, ogarnął mu duszę niewysłowionem uczuciem.

— Mówiłem, rzekł, com myślał, mój Piotrze. Ale po co te korowody? Czyliż nie jesteś starszym moim bratem wedle świata: ojcem, matką, rodziną, przyjacielem wedle serca mego? Chcesz zajrzeć na dno myśli mojej? — pytaj otwarcia. Sam wreszcie ułatwię ci drogę. Pragnąłbyś dowiedzieć się czy kocham pannę Marję Sokolniczanę? Zgoda; przyjmuję zapytanie i z mojej strony równie otwarcie odpowiem. Mógłbym ją kochać, może ją kocham — może jej kiedy to powiem — może się nigdy o tem nie dowie.

— Przebacz mi; nie rozumiem zagadki.

— Zaraz ją wytłumaczę. Córka Sokolnika ze waszech miar godna miłości. Tak przynajmniej sędzę; ale czyli się myślę lub nie, mąż jej tylko sam jeden będzie mógł powiedzieć ci to po kilku latach wspólnego pożycia. Dziś, w moich oczach, Marja jest czarującym stworzeniem. Jest to Anioł, z którego może być kiedyś kobieta. Pojmujesz, że w mojem przekonaniu, trudniej i więcej jest być kobietą niż aniołem. Mógłbym więc ją kochać. Czyli ją kocham? — Wprzód nim sam sobie na to pytanie odpowiem, muszę wypowiedzieć nie tylko serce moje ale i sumienie. Miłość dla mnie, to nie gwałtowne bicie tętna, to nie chwilowe opętanie głowy — to święte przeniknięcie się nawzajem dwojga szarmonizowanych dusz w poważnym spokoju myśli i uczucia, w pogodnym a uro-

czystem zrozumieniu wspólnych obowiązków względem siebie, względem narodu, względem ludzkości — w niesławnem zaufaniu w zobowiązującą wytrwałość, i w siłę na przeciwności i w chęć na ich zwalczenie.

Potrzebuję przez pewien czas sam z sobą pozostać. Jeżeli z ręką na piersiach, sumiennie będę mógł rzec żem wart ją kochać, wtedy pozwolę sobie kochać, wtedy będę mógł wiedzieć czyli ją kocham. Nie mów mi że są ludzie najmniej odpowiadający moim warunkom, a przecie zdolni do miłości. Nie wierzę! Kochać może tylko ten, kto działa i żyje na miłości i na prawdzie. — Mój Piotrze; świat zwie cię praktycznym; zrozumiesz więc gdy ci powiem, że kto kocha ten musi pilnie rachować. Bez poświęcenia nie ma miłości.

— Jakto, mój bracie? poświęcenie z kredką w rękę? — miłość z rachubą? — trochę podejrzany związek.

— Mówisz jako pewna kobieta — jeżeli tylko stworzenie to było kobieta — która gwoli podohsemu rozumieniu rzeczy, zgabiła jednego z bliskich moich przyjaciół.

On, kochał ją, nieszczęsny szaleniec; ona mistycano-sentymentalno-miłośnicie chyliła mu głowę na piersi. Przeklęte dla obojga chwile!

On był wygnańcem, z Włoch, dajmy na to, gdzie wróg jego kraju bez miłosierdzia ścigał tych, którzy marzyli o wyswobodzeniu ojczyzny. Opuścił rodzinną ziemię, ale z tem większą gorliwością w świętej sprawie pracował. Życie jego stało się pasmem gwałtownych wzruszeń, upornych prześladowań, niebezpiecznych przedsięwzięć, ciężkich niepokojów, niepewności z dnia na dzień. Trzeba było silnego zaufania i odwagi aby przypuścić ukochaną istotę do wspólki w tak udręczonym bycie. — «Wyjadę na jakiś czas — mówił do niej — zostawię cię samą; nie chcę korzystać z wyznań wyrwanych pierwszemu uniesieniu szlachetnego zapалу. Zbadaj się przez ten czas, o luba! jeżeli rodzinny spokój, nadzieję łatwiejszego szczęścia, z nieugiętym przekonaniem poczujesz się gotową zamienić na burzliwe losy wygnańca — rzeknij słowo — wrócę szczęśliwy i dumny żem znalazł towarzyszkę życia poświęconego celom, do jakich powszednia gawiedź nie dorasta.»

Ona nie zrozumiała go biedaczka, chociaż za każdym niemal wyrazem odwoływała się do Jezusa.

«Rezumowanie, odrzekła mu, rachuba — to nie miłość, to nie poświęcenie.»

Wiatr rozwiął uroczyste przysięgi; szatan wykrzywił przed nią znaczenie słów człowieka poważnej prawdy i męskiego przywiązania.

Ona porzuciła go, rozbiła mu życie, zawsze w imię Jezusa, oburącz pochwyconym paradoksem; on duszę swą nienawiściom rzucił na pożarcie, ciało zatarcil gdzieś w oddalonych krajach.

A przecież on był zapewne ostatnim, któremu można było zarzucić brak poświęcenia i miłości; o jednym wprawdzie i o drugiej rzadko się kiedy odzywał, i wzdychać do księżycy nie umiał i pobożnymi wyrazy bezcześcić i mordować ludzi nie potrafił. Ale wzrok miał jasny; wiedział że prawdziwe poświęcenie zaczyna się od zimnego obrachowania kolei, jakie mogą spotkać drogą nam osobę lub sprawę, a kończy na zaparciu samego siebie, na wchłonięciu we własne piersi wszystkich boleści dla cudzego spokoju lub szczęścia.

Nie, mój bracie; płytki tylko umysł, czcze serce, obłudne sumienie — żyją bez rachuby.

Wprawdzie i samolub rachuje, ale rachuje dla siebie — dla siebie więc wszystkich poświęca; człowiek prawy rachuje dla drugich, poświęcenie zatem jego jest koniecznym wynikiem rachuby. Na nieszczęście, więcej samolubów niż ludzi prawych, więcej rachuby dla siebie niż dla drugich; nie dziw przeto że powierzchowne oko w każdej rachubie samolubstwo tylko spostrzeża.

— Nie sprzeciwiam się doświadczeniu — rzekł Piotr który w istocie byłby z radością bez niego się obszedł — chociaż za wypadek naprzód zaręczam. Kto równie dobrze jak ty rozumie swoje obowiązki, ten zdolny zadość im uczynić.

— Nie zawsze. Między wiedzą dobra a czynem, piętrzą się góry ludzkich słabości.

— Nie zawsze, ale tym razem. Zostaw mię memu przecuciu. I moja głowa także długo gonila za spokojem. Teraz pakwitowałem się z Bogiem; nic już od niego w życiu nie żądam.

— Zwolna, mój bracie, wstrzymaj się! zaklinam cię! Mówiłem ci dotąd o sobie: alez pamiętaj że nie jestem, a nawet co większa, że w tym razie nie chciałbym być wszechmocnym. Któż ci zaręcza że Marja — że jej rodzice —

— Panna Sokolniczanka? na honor, jeżeli podobna do twego opisu, pozna się na tobie jako ty się na niej poznałeś! Zostawiam was jedno drugiemu i o skutku nie wątpię. Inna rzecz co do rodziców. Znam dobrze ale nie zawsze rozumiem Sokolnika. O żonie jego tem mniej mam dokładnego wyobrażenia. Wszelako niechaj ci to nie odbiera spokoju. Z drobnymi trudnościami często przykrzej się łamać niż z wielkimi zawadami; podrzędne niepewności więcej nieraz męczą niż stanowczo zadany cios. Atoli, powtarzam, nie męcz nad tem głowy; szczegóły ja wezmę na siebie. Postępuj prostą twoją drogą, nie trać z oczu głównego celu, ja tymczasem zapoznam cię z uboczami.

— Na Boga! mój Piotrze — zawołał Kazimierz, jakież masz zamiary? po co ten pośpiech? nie brak nam przecież na czasie. Zaklinam cię, zwłaszcza oszczędź mi wszelkiej zwadźby. W podobnych razach, między mną a celem moich życzeń nie potrafiłbym znieść pośrednika.

— Widzę mój Kaziu, odparł starszy z chińska trzęsąc głową — że na wielu ludziach i rzeczach poznałeś się lepiej, niż na uniżonym twoim bracie. Lękasz się abym cię nie naraził, abym nie wyrwał się z przedwczesnem a niezgrabnem słowem. Przypomnij sobie Piotra od czasu jak pamięcią możesz zasięgnąć! czyliż względem ciebie lub względem kogokolwiek dałem kiedy dowód jakiej lekkomyślności?

Przyjacielskie rozżalenie dźwięczało w głosie Piotra; stał z założonemi rękami przed bratem, wpatrywał się mu w oblicze i jak niewinnie oskarżony, z pokorą oczekiwał powrócenia mu należnej czei.

Młodszy ścisnął mu dłonie i mówił:

— Nie, nie, mój drogi kochany Piotrze; ani ja ani nikt w świecie nie ma prawa czynić ci najmniejszego zarzutu. Moja wina, moja ciężka wina żem poważył się nie słuchać cię z zamkniętymi oczyma. Przekonywaś się teraz, że nie bez powodu w wielu rzeczach sam sobie jeszcze nie ufam.

Róż, czyń co sam zechcesz; wiem że każdy twój krok będzie prawdziwym i szlachetnym. A teraz zgoda! nieprawdaż? — milczysz — odwracasz się — czy jeszcze na mnie się gniewasz?

Piotr w istocie odwracał się ale ze wstydu. Usta drżały mu jako chłopięciu, kiedy zabiera się do płaczu, gruba łza spływała na wąż po ogorzałem obliczu.

Przychodził wreszcie i na niego czas, gdzie należało mu zacerpnąć potężną piersią kilka oddechów szczęścia.

Od młodych lat boleście tylko wzruszały mu serce; możliwa praca była jedynym wypoczynkiem. Na jego rękach skonał stary ojciec, ostatni raz westchnęła przywiązana matka. Zsy znał te jedynie, które rozpacz wyciąka. Podczas gdy różniennicy z kwiatami na skroniach, wznosili puhar wesela, on grzebał drogie sobie istoty, niepokoił myśl losem małego brata, w znoju czoła sprawował wspólną puściń, ojcowskim wzrokiem towarzyszył pierwszym krokom wychowania, matczynem sercem osłaniał i medlił za jego niedoświadczenie.

Od czterdziestu przeszło lat, Piotr pierwszy raz płakał z radości.

Owionęło go niesnane dotąd uweselenie duszy; nowa rzeźwość we krwi mu zakrężyła; czuł się lekkim, swobodnym, jako prawowierne pachole, które matka pierwszy raz wiedzie od spowiedzi. Cały rozjaśniony nadzieją, zdawało się mu że sięgał już ręką po czarowny a długo marzony owoc wszystkich swoich trudów. Los zamykał mu epokę samotnej pracy i niepokoju o przyszłość. Piotr wkrótce miał zdobyć sobie rodzinę, żyć odtąd jej szczęściem, wypoczywać przy jej ognisku.

Zwątpienie o pomyslnym skutku nadziei ani na chwilę przez myśl mu nie przeszło. W jego przekonaniu, która dziewczyna przy iskierce zdrowego rozsądku i promyku chociaż uczucia, mogła nie pokochać tego Kazia, którego on wypieścił, wyhodował, a który tak świetnie odpowiedział jego oczekiwaniom. Piotr pod tym względem obawiał się przedej sztyku niż braku miłości.

Jedyną dotąd zawadą w spełnieniu jego życzeń, było po-

stanowienie brata; trudność ta już nie istniała. Kazimierz przestał być panem swego serca, stanowcze tylko kroki hamował, jak przystało na człowieka pojmującego świętą ważność przyszłych obowiązków. Niepewność przyzwolenia rodziców, sama jedna męciła mu nieco nadzieje. Sokolnik puszył się nieraz nazwiskiem, okazywał widoczną słabość do tytułów, rad wspominał o stosunkach swoich z pierwszymi magnatami cesarstwa, chętniej przebywał w Wiedniu niż w kraju; mogło się zatem wydarzyć, że gwoli ułomnościom i upodobaniem, upatrzył sobie jaś był zięcia w sferach, ku którym szczególniejszy miał pociąg. Żona jego zdawała się być odbiciem pojęć męzowskich; z jej strony próżno było liczyć na samodzielne zdanie.

W ludziach atoli najkrótszego wzroku, przywiązanie rodzicielskie często jest jasnowidnem. Któż mógł zaręczyć że Sokolnik dla rzeczywistego szczęścia jedynaczki, nie odłoży na chwilę napadów śmiesznej próżności i z każdym dniem butwiejących przesądów?

Jakkolwiek los miał rozstrzygnąć wątpliwość, należało oszczędzić Kazimierzowi tradów rozbijania tego ośka. Młodzieńcza drażliwość uczuć mogła być swank ponieść za łada pojawem dygnitarskiej pychy.

Piotr wyjaśnienie tej niepewności postanowił przyjąć na siebie.

Pożegnał brata, który nazajutrz do siebie na wieś odjechał; pod pozorem ukończenia dzieła, naznaczył mu wkrótce spotkanie na kontraktach we Lwowie, sam zaś, kryjomo przed Kazimierzem, niby dla wypłacenia długu zapowiedzianych odwiedzin, ruszył do Sokolnika.

Czas nie wlekił mu się nigdy tak niecznośnie; bliska przyszłość nigdy przed nim tak rączo nie amykała.

U Sokolnika tymczasem, chmury nawleczone przybyciem Dahlmana, zwiarszały coraz gęstsze całany.

Bankier po kilku dniach pobytu i rozpatrzeniu szczegółów majątku, zabierał się do wyjazdu. Gospodarz z obliczem boleścią połamanem namawiał go do przenecewania; gospodyni przerażona niepojętą dla niej wszechmocnością gościa, łączyła

pokerne prośby gdy w tem zjeżdżająca kolaska, zwróciła na inny kierunek powszechną uwagę.

Poznano Piotra.

Sokolnik wyszedł ku podróżnemu, zebrał wszystkie siły, uśmiech na twarz naciągnął, ale nadaremnie. Trochę tym razem zwyciężyła długi obyczaj; wypogodzone na chwilę czoło wkrótce tem gęstsze porały zmarszczki; rozchylone uprzejmością usta znowu ścięły się konwulsyjnie.

Sokolnikowej również zbywało na siłach i na ochocie do walki; ukazała się w całej prawdzie swoich udręczeń; z wybladłym licem, z zaczerwienionymi oczyma, z chwiejącą postacją.

Powitania, wstępne rozmowy, pozwoliły dwom ofiarom Dahlmana nieco odetchnąć. Kilkanaście zewsząd rzuconych ogólników zamgliło rzeczywistość przed wzrokiem nowoprzyjeźdnego.

Niebawem atoli Piotr zaczął rozeznawać za tumanami prawdziwe kształty. Uderzył nań chłód zimnego przyjścia, ubodły go przymusem tłoczone grzeczności gospodarza, ponure milczenie gospodyni. Wyobraźnia jego pognęła przepaścistym manowcem domysłów.

Wnioskując ze słów jakie dotąd usłyszał, żadna klęska, żadne nagłe nieszczęście nie spadło na Sokolnika. W domu wszyscy byli zdrowi; o pożarze, o gradobiciu, o powodzi lub o zarazie, nikt nie wzmiankował.

Serce zabiegło mu podejrzeniem i strachem, uczuł że rój niespokojnych myśli pełźnie mu na mózg.

Szczęściem, bankier czuwał nad honorem tego domu, który za swój własny poczynił już uważać.

Rozstrój dwóch głównych postaci towarzystwa, zdaniem jego dla wszystkich był zarówno męczącym.

Pieniężnik zawiązał rękawy i umyślił sam jeden wydołać obowiązkom gospodarstwa. Rozsiadł się więc w krzesle, podniósł głos i dalejże rozpowiadać miejaki wiadomości, potrząsając je uwagami o polityce Europy i Cesarstwa, barwić szczegółami o postaciach znanych z nazwiska lub z osoby, żądać wyjaśnień od Sokolnika, zapytywać o zdanie Sokolnikową, zwracać się czasami do kapelana, wywoływać spór

przecząc z lekka słowom Poraja: aż nareszcie wpadł na tor handlowych i przemysłniczych żalów, nadziei, zamiarów, ulepszeń, odkryć, rozporządzeń. Na tym dopiero szlaku, Dahlman otworzył upusty wymowie, wysadzał ją cytacjami, roziskrzył masą cyfer, haftował przykładami wyjętymi z życia pierwszych kapitalistów świata.

Piotr z początku więcej słuchał niż mówił. Zwarzone oblicza państwa domu srodze go niepokoiły. Rozpamiętywał w myśli dawne swoje przeciw Sokolnikowi zarzuty, utwierdzał się w podejrzeniach; lękał czyli przedłużone pierwsze odwiedziny brata nie odkryły magnatowi uczuć jego i zamiarów, czyli Marja ujęta zalotami młodzieńca, w przystępie dziewiczego uniesienia nie zwierzyła się rodzicom z tajemnicy swojego serca. W takim razie — mówił sam do siebie, pyszałek nie bez kozery się chmurzy, żona jego naumyślnie zimno mię wita; oboje chcą od razu dać poznać że za wysokie tu dla nas progi. Piotr żałował niewczesnego przyjazdu, przemysliwał już o odwrocie; skoro jednak bankier wdał się w szerokie rozprawy o krajowym handlu i wrzekomo czyli świadomie upuścił kilka gospodarczych herezji, Poraj poczuł się drażnionym w ostatniej głębinie swoich przekonań, i umyślił nie puścić bezkarnie fałszywych zdań brukowego rolnika. Podniósł więc rękawicę, przy wstępie zaraz pobił na głowę przednie hufce bankierowych dowodów, dalej uderzył w sam środek jego szyków i jednym niemal zamachem pole z nieprzyjaciela oczyścił.

Rozmowa wartko zakrążyła; sam Sokolnik mimowolnie dał się jej porwać, utopił w niej troski i raz jako słuchacz, to znowu kolejno jako uczestnik, jednemu lub drugiemu słuszność przysądzał.

Zaczem, gwar powszechny, powoli i gospodynię z zadumki rozbudził, i zbladłe jej usta tu i owdzie do uśmiechu przymusił, i życie znów zakipiało, tam gdzie przed chwilą ciężki smutek chylił posępne głowy.

Noc zapadała; wieczera wesoło odbyła się przy dalszym ciągu sporów; wrócono do bawialni, proszono Marję o muzykę.

Rozległ się zamaszty mazur; dziewczę odgadło artystyczne upodobania nowego gościa.

Piotr, wparty na fortepianie, takt nogą wybijał, wpatrywał się w drobne paluszki, które raz z niepojętą siłą budziły łaskoty harmonji, to znawu niby mucha trącająca w siatkę pajęczą, otrząsały oo najłżejsze pyłki z kwistów melodji.

Muzyka nie przeszkadzała wymianie myśli; Poraj lubował się wdziękiem i słodyczą uroczej istoty która z Bożą pomocą, miała stać się dlań aniołem pociechy i szczęścia.

Nie długo atoli dozwolono mu cięższyć się podwójnem pośród wszystkich odosobieniem.

Dahmaan wziął na kiel.

Danny ożyweją potęgą swojego słowa, bez upamiętania dawał mu folgę. O wyjeździe już nie myślał; nocleg z podzięką przyjmował. Na towarzystwo wcale nie uważał, pomijał Sokolnika, hrabinę i księdza, głównie zaś zwracał się ku Piętrowi, zahaczał go pytaniami, wyciągał na odpowiedzi. Obejście atoli dziwnie wyglądał, jak gdyby ściagał nowy jakiś zamiar, przed chwilą w mózgu mu wyległy. Rzecz było można że pieniądze polował na łaskę Poraja, tak widocznie nadśkakiwał, tak uroczyście zdań jego słuchał, podziwiał obszernie wiadomości, czasami nawet rzucał, niby z niechcenia, grubo ociosane pochlebstwa. Sokolnik, stary gracz wywieszony, rozmyślał w kącie nad dwoma temi ludźmi, z których jeden wybijał pokłony, drugi zaś wcale nie zdawał się ich przyjmować dla siebie.

— Zmalały czasy! powtarzał w myśli dygnitarz — panowie zepsuli mieszczaństwo. Kramarz ten sądzi że pierwsze głowy w kraju przerasta, dla tego że wspiął się na worku dukatów. Wymieciono za próg ród i znaczenie. Na miejsce prawego Boga, Żydzi wydobyli starego cielca ze złota. Ludzkość w proch się przed nim ściela. Szczęśliw ten tylko, kto ze sromotnej powodzi potrafił ocalić jaki taki klejnot szlachecki i podeprzeć go stosem pieniędzy. Szczęśliw ten oto na przykład, przed którym bankier grzbiet teraz ugina — szlachcic, jak gdyby w osepku się urodził, przy ucziwem naswiaku i pełną skrzynią może się poszczycić. Wprawdzie, byłoby mu trudno zawiesić w galerji szereg przodków o krzesłach, o infulach, o buławach; ale dziś są ludzie którzy

nie wstydzą się otwarcie wymawiać, że jeden dobry włoski lub hiszpański obraz, więcej wart od całej ściany antenatów! — Jakże lichwiarz mój niezgrabnie przed nim się płaszczył! — Poraj, bez wątpienia musi mieć ogrom pieniędzy; mówiono mi już o tem we Lwowie. Przypominam sobie! Sam Dahlman na ostatnim balu, z religijnym szacunkiem wspominał o jego kasie. Szacunek ten, przebija się w każdym spojrzeniu bankiera. Ha ha! zadusi go, jeżeli tak dalej będzie mu będzie kadził. Jak żyję, nie widziałem Dahlmana w podobnych zalotach. Hm! — miałżeby mój Krezus mieć także swoje fraunki? miałżeby skrycie dolegać nieco na tę samą chorobę która mnie pędzi do grobu, na chorobę łatwą do wyleczenia jednym słowem bogatego pana Piotra? — Tak jest, bogatego — bardzo bogatego! inaczej bankier wcale by nań nie zważał.

Sokolnik, ostatnie słowa zwolna w myśl upuścił. Wyraz «bogactwo» — srebnym dźwiękiem zabrzączał mu w duszy i na tle żalu wywołał rojowisko marzeń, kombinacji, widowków.

Mgliste zarysy ważnych jakichś zamiarów, zaczęły ścinać się mu przed wyobraźnią w jaśniejsze kształty; magnat przesunął rękę po czole i powstał.

— Zwolna, Mości Dahlman, domawiał w duszy — nie zapominaj że jest tu nas dwóch i że w tej chwili nie chodzi nam o ułożenie bilansu.

Sokolnik, przed ostatecznem poddaniem się w żydowską niewolę, postanowił stoczyć jedną jeszcze rozpaczłą potyczkę.

Z wypogodzonym obliczem, wkroczył w rozmowę i subtelnie, wyostrzonymi słowy natarł na bankiera. W gonitwie tej, wygrana nie mogła być długo wątpliwą.

Magnat, niebawem zdobył uwagę Piotra, zajechał bankierowi w poprzek, niweczył kwiaty jego poehlebstw, niepokoił go zręcznem napomykaniem o przykrych koniecznościach handlarskiego życia; Porajowi natomiast, podścielał puchy całej tej uprzejmości jaką słusznie sływał na okolicę.

Piotr grzecznościom gospodarza nie stawiał żadnego oporu. Tak mu było lubo wziąć rozbrat z wrażeniem jakiego był doznał na progu, tak rad zapominał o powstępnym niepoko-

jach, że gościnnemu obejściu państwa domu na rozciętą wdręcane otworzył serce i pełną pierś chłonał zachwiane na chwilę nadzieje.

Ów pan, ów potomek znajkomej rodziny, dziedzic jej sławy i oglady, mógł zostać teściem Kazimierza; ta zaona matrona, której wiek zdawał się dodawać słodyczy, przypomniałaby mu cnoty ukochanej matki; to czarowne stworzenie staniające się w białej odzieży jak błogosławione zjawisko, mogło mu szczęściem wypromienić resztę dni życia.

Piotr nigdy nie sądził aby na jeden raz mógł objąć w sobie tyle radości. Genjusz nadziei szybko pędził przed nim chwile, a gdy gospodarz odprowadził go do sypialni i pośegnał, pierwszą jego myślą było wspomnienie matki. «Biedna kobieta! — mówił mrużąc powieki — umarła nie doznawszy jedynej matek pociechy. Ach, gdyby szczęście drogich nam istot umiało wskrzeszać, ty pierwsza, Aniele macierzyńskiego przywiązania, powstałabyś z grobu.»

Piotr zasnął z cichą na ustach modlitwą.

W przyległej komnacie, bankier również nie bez wesela zacierał ręce.

Podczas gdy służący, któremu przykazał o świcie być do wyjazdu gotowym, pakował rzeczy, Dahlman szerokimi przechadzał się kroki, ważył zysk z dokonanego przedsięwzięcia, zdawał sobie rachunek z trudności i przeszkód, sprawa bowiem nie zupełnie jeszcze była wygraną; współwierzyciele hurmem zebrani, mogli odmówić zwłoki lub drogo kazać sobie za nią zapłacić.

Alternatywa ta silnie zachwiałaaby jego korzyściami. Bankier, jako niejeden podobny mu przemysłnik, miał wprawdzie ogromny majątek, ale majątek ten opierał się tyleż na spekulacjach i na kredycie, ile na rzeczywistej gotówce.

Doraźne zaspokojenie długów nowo nabytej posiadłości, wymagało wykładu znacznych kapitałów. Na targu lwowskim i wiedeńskim, spółzawodnicy jego w temże samem rzemiośle, nie omieszkaliby korzystać ze sposobności upuszczenia mu jak najwięcej krwi.

Krwią, w handlowem narzeczu, nazywa się gotówka.

Niespodziane spotkanie Poraja, zdawało się mu promieniem światła przez samą Opatrzność zesłanym. Dahlman wiedział że Piotr, w skutek ostatnich zbożowych powodzeń, rozrządzał znacznemi summami, że ziemi więcej skupować nie chciał, że szerokim kupieckim zamiarom nie łatwo dawał się uwodzić. Należało zrećznie sprawę wystawić, pieniądze ten, co najwięcej, na piąty procent pozyskać i umieścić go na hipotece dóbr nowego posiadacza Sokolnikowych włości.

Bankier nie wątpił w powodzenie, zwłaszcza że Poraj przez cały wieczór zaszczycał go szczególną przychylnością.

Tymczasem spieszył do Lwowa gdzie wygodniej mu było zastawiać pułapkę.

Gdy tak obu gości sen słodko kołysał marzeniami każdemu z nich właściwemi, w komnacie gospodarza, płonąła świeżo zażęgnięta lampa. Bładawe jej światło lamało się w zmarzczakach troski wybiegłych na czoło Sokolnika, i tonęło w czarnej postaci, z założonemi jak do różańca rękami, księdza kapelana.

Dygnitarz pierwszy przerwał milczenie.

— Żona moja — rzekł mocnym głosem — opowiedziała ci ostateczne warunki Dahlmana; cóż ty na nie?

Ksiądz wzruszył ramionami.

— To nie dość! Czy sądzisz że nic więcej nie pozostaje jak nachylić grzbietu i poddać się konieczności.

— Kogo Bóg kocha, tego dotyka. Rzeczy mogły wiaśać gorszy obrót. Dziękujmy Opatrzności że na tem się skończyło i z pokorą przyjmijmy święte jej wyroki.

— Ha, ha! wybornie! Za życia mego, jak widzę, układasz pogrzebową mowę. Wy księża, umiecie tylko krakać nad trupem. Zaczekaj! jeszcze nie w trumnie, jeszcze zdrową głowę noszę na karku.

— Nie zasłużony zarzut, panie hrabio. Pogrzebową mowę chciałbym powiedzieć — z radością bym powiedział ale na grobie tych którzy targają się dziś na naszą spokojność. Wspomniałem o uległości względem Stwórcy dla tego, że w każdym wypadku należy mieć Boga za sobą, należy wówczas zwłaszcza wielbić Jego wolę, kiedy z naszej strony ostatnich sił dobywamy aby ją odwrócić. Po co niepotrzebnie gniewać potęgę

o których wszechmocności żaden z nas nie ma dokładnego wyobrażenia? Alboż i bez tego mało mamy nieprzyjaciół na ziemi?

— Rozumiem cię, księżę. Znasz na pamięć dworacki kodeks Pana, któremu służysz. Zostawiam ci też wyłączną troskę o wypełnienie w tym względzie wszelkich ceremonji; proszę tylko abyś raczył zajmować się nimi u siebie, tu zaś, u mnie, w moim gabinecie, zwróć umysł głównie na poziome sprawy. Bankier podał mi swoje warunki; wczoraj jeszcze przyjmowałem je — dziś, stanowczo odrzucam. To dobrze, ale cóż dalej?

— Pani hrabina nie dawno mię o nich uwiadomiła. Odpowiedziałem że bankiera trzeba z kwitkiem odprawić, ale nie wprzódó aż gdzieindziej zdobędziemy środki czynnego poparcia odmowy, bez niebezpiecznych dla nas skutków. Odtąd, ani chwili nie byłem sam; nie miałem czasu do namysłu.

— Tem łatwiej byłbyś powinien radę wynaleźć. Powiedz mi: — dziś w salonie, podczas rozmowy, czy nie szczególnie nie zauważałeś, czy nic cię nie uderzyło?

— Cóż takiego? — niezwykła wesołość i gadatliwość Dahlmanna? — Nic dziwnego! — Bankier rozradowany korzystnem kupnem, mniema że zapisano go już między magnaty.

— Nie o wesołości jego mówię, ale o obejściu.

— Z panem hrabią?

— Nie.

— Ha, z nowym gościem! I to mię nie dziwi. Złoto łągnie ku złotu; prawda to była niezaprzeczoną, dawno jeszcze przed Habdankiem. Handlarz łasi się najbogatszemu zapewne szlachciciowi w całej Galicji.

— Najbogatszemu — powiadasz?

— Bez wątpienia. Nie ma Żyda któryby panu hrabiemu tego nie powtórzył; żydowskie zaś słowo, często w podobnym razie więcej warte od urzędowej hypoteki. Wreszcie, przypominam sobie że za ostatnim pobytem moim we Lwowie, na obiedzie w kollegium, wszczęła się raz rozmowa o Poraju. Ojciec Zefiryń nie przepada za nim; szlachcic trochę filozof;

wszelako gdy rzecz wpadła na tor o majątkach, sam musiał w pierwszym rzędzie miejsce mu naznaczyć.

— Doprawdy?

— Nie inaczej.

Sokolnik zadumał się; długo dzwonił palcami w złotą tabakierę, nareszcie powstał i rzekł:

— Sam księżę znalazłeś warunki Dahlmana szalone. Można było uczepić się ich w pierwszym napadzie zwątpienia; po bliższej rozwadze, myśleć o nich nie podobna. Zrywać atoli z bankierem, nie mając suto grosza — niebezpiecznie. Pękłaby nam w rękach ostatnia gałązka. — Zanim więc pokażem lichwiarzowi rogi, trzeba oprzeć się na kimś równie bogatym ale nie tyle lichwiarzem. Gdzież znajdziem podobnego Feniksa?

— Nie daleko; odparł zimno kapelan — tu na pierwszym piętrze — śpi w gościnnym pokoju.

— Ha! widzisz więc księżę — zawołał z uśmiechem Sokolnik klepiąc Jezuitę poufale po ramieniu — że o sprawach tego padołu płaczu, skoro zechcesz, wymowniej prawisz niż z ambony o niebie. Świętą prawdę wyrzekłeś. Jeden tylko człowiek może nas zbawić — tym zbawcą jest Poraj. Bogaty, w gotowiznę zasobny, jak wieść niesie uczynny, z obejścia widno że domowi naszemu przychylny, nie odmówi mi obywatelskiej przysługi. Poraj! Poraj! — księżę, powtarzaj mi to nazwisko i tłumacz się dla czego pierwiej go nie wymieniałeś?

— Pan hrabia masz na myśli pożyczkę?

— Bez wątpienia; o czemże chcesz abym myślał?

— Tak też sądziłem i dla tego nie wspominał o Poraju.

Sokolnik cofnął się o krok jak gdyby na węża był nastąpił. Kapelan spostrzegł poruszenie ale zataił w sobie głośny o niem wniosek i cedząc słowa, dalej prawil:

— Nie zapominajmy że nie chodzi tu nam wcale o przyjacielską lub — mniejsza o wyraz — o obywatelską przysługę, ale blisko o milion gotowego grosza. Z milionem dopiero możemy wejść w godne a korzystne układy z wierzycielami. Pożyczka miliona jest czemś więcej niż przysługą, jest poświęceniem — zwłaszcza ze strony ludzi, którzy jak

Poraj dorobili się mienia własną pracą i chociaż są majątni ależ znowu korcami złota nie mierzą.

— Nazywaj to przysługą lub poświęceniem; któż ci zaręcza że zęczenie zażywszy szlachcica, nie otrzymamy pomyslniej odpowiedzi?

— Zęczenność nie podoła za granicami możebności, ba nawet i prawdopodobieństwa. Gość nasz nie jest wyłącznym posiadaczem swoich dostatków; ma brata. Mówiono mi że na kontraktach zdaje mu rachunki z opieki i dzieli się majątkiem. Przed dokonaniem podziału zupełnie ogłosić się nie zechce.

— Mylisz się księżę; brat jego objął już połowę dóbr w ziemi; do rachunków mu nie pilno; wiadomo wreszcie, że Piotr rządzi nim jak dzieckiem. Niepotrzebnie dzwonisz mi złowieszczą wróżbę.

— Strzeżmy się panie hrabio daremnych złudzeń, gorsze one od rzeczywistego nieszczęścia. Młodszy brat ulega starszemu? — Tem więcej jedna przyczyna aby mu nie odmawiał złożenia obrachuku, pokwitowania z opieki, których, wiem z pewnością, że Piotr oddawna się domaga. Z boleścią powtarzam — nie myślmy o pożyczce.

— Według ciebie zatem, próżno się do niego udawać?

— Według mnie, Poraj na hypotece naszej miljona nie umieści.

— Księżę, myśl co mówisz! — wrywasz mi z pod nóg ostatnią kładkę ocalenia.

— Bynajmniej; utrzymuję tylko że ratunek nasz nie w prostej pożyczce.

— W czemże więc?

Książd milczał; magnat nurtował po głowie, ścigając ukryte znaczenie słów Jezuity.

— Wiem — rzekł po chwili — nad czem przemyślasz. Nie uszły twojej uwagi grzeczności, jakie gość nasz prawil mojej córce, pochwały jakimi okrywał jej muzykę, rozczulenie niemal z jakim w nią się wpatrywał. Bogaty! — bezżenny! — hm! — jest to także środek — twardy wprawdzie — ale jeżeli nie ma innego. — Cóż, czy odgadłem?

Książd na znak przeczenia liściwiwie potrzęsł głową.

— Mówże więc, do tysiąca szatanów! — z pod serca dobywasz mi ostatki cierpliwości.

— Poraj — odparł zimno kapelan — jest człek w laty podeszły i rozsądny. W młodości, nieraz chciano go żenić; zawsze odmawiał. Dziś, prędzej spodziewam się widzieć go w szpitalu obłąkanych niż na ślubnym kobiercu. Poraj umrze w bezżeństwie.

— Cóż więc znaczyło to mimowolne wzruszenie jakie błyskało mu na twarzy, ilekroć w zapomnieniu o sobie wpatrywał się swoją córkę.

Kapelan zagłębił wzrok w posadzkę.

— Nie uprzedzam się; bądź spokojny, nie jestem ojcem tak dalece zaślepionym. Chyba — zaczekaj! — powiadano mi że go nad życie kocha — bardzo być może! — że pogładając na Marję, myślał o niej i o młodszym bracie razem?

Ksiądz zerwał się z krzesła i wyciągnął ku Sokolnikowi ramiona.

— Wybornie! — wysmieniecie! — wołał — w istocie pan hrabia w ważnych sprawach jesteś wymowniejszym jeszcze niż w salonowej rozmowie! Tak jest — nie ma wątpliwości! — śledziłem go zbliżka. Poraj musiał nie dawno widzieć się z bratem i w skutek rozmowy z nim, przyjechał rozpatrzyć alternatywy. Poraj marzy o małżeństwie hrabianki z Kazimierzem. Pewnik jasny jak dwa a dwa cztery; do nas należy zbudować na nim gmach, którego wszystkie potęgi wiezielskie nie przemogą.

— A do którego ty znalazłeś klucze! — dodał Sokolnik uderzony przebiegłością księdza. — Rzecz prosta! — myślałem nad nią dawniej — we Lwowie — i dziś, jak na złość, nie przyszła mi do głowy. Cóż teraz począć? Poraj może odwlec wstępne kroki; żadnemu z obu braci zwłoka nie grozi niebezpieczeństwem. Gość wyjedzie nie rzekłszy ani słowa i nas znów w niepewności pogrąży.

— Tego też właśnie nie trzeba mu pozwolić. Jeżeli pan hrabia zechcesz szczerze wziąć się do dzieła, szlachcic serce ma na języku — wszystko wyśpiewa.

— Zgoda — wszelako nie dość na tem; cóż dalej?

— Dalej, bity gościniec. Poraj, w sprawach ziemskich jest człowiek niesłychanie zręczny ale przytem szlachetny i otwarty. Trzeba z nim działać otwarcie, zwierzyć się zupełnie, zapytać o radę i wreszcie los całej rodziny w ręce mu oddać. Wybadanie zamiarów obu braci, oto główna nasza trudność; raz ją przełamawszy, z pomnożonemi stokroć siłami przystąpimy do innych.

— Jakie inne trudności? — ja żadnych innych nie widzę.

— Pierwszą bez wątpienia, jest przekonanie o uległości hrabianki.

— Żartujesz księżę, przerwał Sokolnik; troszczysz się o zdanie Marji wówczas, gdy nam chodzi o wyrwanie całej rodziny z hańby i z nędzy. Córka moja zaślubi kogo jej przeznaczą. Oporu z jej strony nie rozumiem. Gdyby z resztą w tym razie, znalazły się do zwyciężenia jakie naganne przesady, pošemy na nią matkę; ta przemówi do jej serca w imię dziecięcego przywiązania i macierzyńskich uczuć. Jeżeli matka nic nie wskóra, ty księżę ruszysz naprzód z religją, wytłumaczysz jej święte, przez Boga ustanowione obowiązki dzieci względem rodziców, rozwiniiesz przed nią pasmo kar, zgryzot, nieszczęść — jakiemi niebo chłoszcze nieposłuszne potomstwo. — W ostatecznym razie, gdyby i to nie pomogło, ja wystąpię z nieubłaganym ojcowskim rozkazem, i rzecz zakończę.

— Zapewne — odrzekł kapelan — oczywisty bowiem wniosek, że opuściwszy tę przyjazną a co więkzsza ostatnią sposobność, nie pozostaje jak ugiąć szyję pod jarzmo bankiera. Wszelako, pozwól pan hrabia uczynić sobie uwagę, że o układach majątkowych z Porajem, córka jego nic widzieć nie powinna. Młodość dziwne ma nieraz przesady.

— Za kogoż mię bierzesz? — Marja dziś o kłopotach moich nic nie wie i bądź pewnym, że nigdy o nich nie usłyszysz. Myślmy tylko o Poraju. Teraz lub nigdy! Już późno. Idź księżę i módl się za pomyślność dnia jutrzejszego.

I rozeszli się oba handlarze zadowolnieni z siebie, sprzedawszy w myśli za wór srebrników — jeden własne dziecko — drugi owieczkę powierzoną kapłańskiej jego straży.

Kupczenie to ludźmi nosi na sobie szczególniejszy charakter; oburza w opisie, nie dziwi bynajmniej w rzeczywistym życiu.

Zaprzędający i zaprzędani, zarówno unoszą się zgrozą na myśl o mianowaniu u obcych, właściwem nazwiskiem, czynu, gwoli któremu sami, pod osłoną światowych formalności, zbezczeszcili prawdę rodzinnych związków.

Gasną ostatnie iskry rodzinnego ogniska!

Cudowny temat na zapalczywą filippikę przeciw zepsuciu świata, przeciw gangrenie materjalizmu i samolubstwa.

Cudowny temat na kilka kartek deklamacji spienionych żołącią przeciw przywilejom, monopolom i kastom.

Cudowny temat na fajerwerk przekleństw przeciw dziedzicom, ubolewań nad wydziedziczonymi, na fajerwerk któremu klaskałaby hipokryzja i sentymentalizm jednych, ciemnota i zawiść drugich!

Zaprawdę! warto umoczyć pióro w ogniu bolesnych, własnych doświadczeń, wybuchnąć długą fugą reformatorskich, zgrzytliwych pomysłów, nabawić strachu szczęśliwców; ujść za człowieka postępowego i zapopularyzować się u ogołconych.

Czasy burzliwe — kto wie co ztąd może wyniknąć?

Komedja! — jarmarczna komedja, gdzie w papierowej zbroi, głodny rycerz napuszytemi słowy trwoży lub zapala prostoduszną gawiedź! Dość tych herkulesowych ciosów, zadanych wydetym pęcherzem gdzie więcej hałasu niż skutku. Wyblakła trybuńska larwa za ciasna na szerokie oblicze prawdy? Przecz nikt dotąd nie wyzwiał do boju śmierci za to, że sprząta zgrzybiałe starce?

— Szaleństwo! — wrzeszczą doktrynery — có się rodzi i żyje musi umierać — lub przeradzać się — prawią apodyktycznie fizjologi; w naturze nic nie umiera. A historycy i ekonomiści i mędracy z innych pólek dobyci, już sam nie pamiętam co mówią.

Cokolwiek bądź, opiekuńcze rządy na to żywią żandarmów i prokuratora, ażeby pierwsi wlekli przed sąd, drugi zaś domagał się obwieszenia śmiałków powątpiewających o świętej a nieśmiertelnej żywotności rodziny. Ztąd łatwy wniosek że

nie ma prokuratora a nawet żandarma, któryby chciał zrozumieć sęk na jakim się zahacza teoria rodziny, chociażby mu ją rozwijano z wszelkim respektem dla jego munduru lub dla powołania, więcej bowiem jest dziś prokuratorów nie urzędowych i żandarmów bez munduru, niżeli śniło się naszym filozofom.

Ale nie o to chodzi. Mówiłem że żaden żandarm czyli on jest kupcem, czy właścicielem, czy sędzią, czy członkiem uczonych Akademji, czyli też kardynałem lub strategą, nie uwierzy gdy mu rzekną dla wytłumaczenia wszystkich po białym świecie chodzących Sokolników i kapelanów, że rodzina dziś istnieje raczej jako forma niż jak treściwy fakt. Co dawniej bywało, to nie nasza rzecz.

We wschodnim i w rzymsko-pogańskim świecie, rodzina opierała się na patriarchalnej lub prawnie despotycznej władzy naczelnika. Ten, obyczajem i prawem trzymał formę, niezgod nie dopuszczał, własnie rozsądzał, do posłuszeństwa wyrokiem swoim zmuszał. Uczucia krwi, popędy natury nie docieczone w przyczynach, nie oznaczone literą w bycie, stanowiły łącznię moralną, która dopomagała w udzieleniu formy i wprowadzała strój między duchem a materjalnemi stosunki. Małżeństwo zasadało się na wyborze ojca na przymiotach i dogodnościach jakie pokolenie starsze upatrywało w młodszem.

W średnich wiekach, przywilej tylko żył; massy były poniewolnem dopełnieniem społecznego porządku. Feodalizm, na prawie pierworodztwa dźwigał rodzinę. Syn najstarszy był uprzywilejowany nie jako indywiduum, ale jako wyobraziciel przeszłości i przyłości domu, jako najwyższe wcielenie nazwiska i przywiązanych doń historycznych kolei. Rodzeństwo, gwoli uczuciu rodowej godności, zrzekało się własnych korzyści. Przesądne wyobrażenia nie dostrzegały krzywdy za przyjętem powszechnie prawem. W małżeństwach dobierano szlacheckich klejnotów równej świetności, wyszukiwano zalet genealogicznych, żywiołów, w obec prawdy szalonych, ale przecież, jak na owe czasy, duchownych. O czyste sercowe uczucie wcale się nie troszczono; tem lepiej, jeżeli takowe grało pod krwawą herbu purpurą

i wprowadzało równowagę między moralnymi warunkami a materją.

Oddaj, świat nie skończył się a więc postąpił.

Krzyż wstał na zwaliskach pogańskiej władzy, z następnymi wiekami znikła wiara w kastowe przesady, w ostatnich wreszcie czasach, społeczeństwo zatoczyło się na jedynej osi, na własności, jako na dowodzie najwyższym działalności i poszczególniej zasługi.

Gdzież więc dziś duchowy żywioł, gdzie moralna zasada rodziny? — W uczuciach? — Strzeżmy się o nich wspominać! usta pełne frazesów o uczuciu, świadczą o sercu rozdętym obłudą i fałszem.

Nadto, jeżeli dawniej, społeczeństwo więcej wierzące, mniej biegłe w liczeniu, a tem samem mniej w sobie rozsamolubione, słusznie uważało namiętność za dodatkowy tylko kwiat, za coś dziś, gdy nie jeden rad bawi się algebraicznym obliczaniem dochodów swoich na dobę, chcielibyśmy brak przeszłych rękojmi, zastąpić jednym powietrznym uczuciem? — Zaprawdę, dość nam po sobie spojrzeć aby się przekonać, że całe nie wyglądamy na pasterzów i pasterki z Teokrytowej idylli.

A przecież gdyby nas kto czasami słyszał rozprawiających o uczuciu?

Nic dziwnego; mowa najczęściej toczy się o nieobecnych.

Wróćmy atoli do rzeczy, z której jasno ukaże się że Sokolnik mógł ze spokojnem sumieniem zaprzedać córkę.

Pierwszym warunkiem do szczęścia, jest niepodległość; pierwszym warunkiem niepodległości jest mieć swoje, cudzego nie potrzebować.

Przywiązany ojciec, troskliwy o niezależność potomstwa, dzieli majątek, i już tem samem, w pień rodzinnego drzewa zapuszcza klin interesu. Jeżeli w głupim zaufaniu, za życia wszystko odda — w epoce króla Leara, znalazłby może jeszcze Kordelję i przywiązanego błazna, dziś, na trzępku tego ostatniego musi poprzestać. Jeżeli po śmierci zaniecha dostatek dzieciom, których samo nawet prawo, nie dziećmi zwie ale sukcesorami, może spokojnie nie lękać się niewdzięczności. Dzieci naówczas — czyli raczej sukcesorowie, mało patrzą

po sobie, zawistnem natomiast okiem pilnują podziału. Łącznią jaka ich dotąd skupiała, był ojciec, wyobrażający nie podzielony majątek. Skoro jednak grosz się rozsypie a ziemia pokraje, każdy spadkobierca idzie w swoją stronę i przeprowadza własny swój byt, zazwyczaj rdzennie przeciwny dobru swoich współsuksesorów. Darmo! każdy dla siebie, a Bóg dla wszystkich: inaczej dla nowych suksesorów zabrakłoby kiedyś upragnionego testatora.

W podobnym składzie stosunków, struna uczucia o tyle dźwięczy, o ile w nią uderza tradycja światowej przyzwoitości. Głos jej, w ciągłej a zgrzytliwej niezgodzie z interesem, głuche nieraz spotyka ucho, nawet w ludziach roboczych, którzy skąpią chleba lub wypędzają niedołążne do pracy rodzice.

Małżeństwa atoli znacznie się uprościły.

Dawniej, czuły rycerz dochodził do lubej po saraceńskich głowach, lub po latach wdychań składał jej u nóg wiązkę zapleśniałych pargaminów. Dziś gdy akt aliansu podrośł do wysokości operacji handlowej, dziś, dzięki Podwójnej Rachunkowości, w kilku chwilach, z obu stron wykazuje się podobieństwo lub niemożebność związku. Byt niepodległy, wyrażony w osobie suksessorki silnie jest poszukiwanym; papiery uczucia z każdym dniem spadają. Doświadczenie, co rok nas przekonywa w grudniowym bilansie eksportacji panien w kraj hymenu, że rodzice, prędzej niż samotnych, osieroconych z drogiego kruszcu wdzięków, zbywają się towaru szpetnego, głupiego, ale ozłoczonego.

Fakt ten niezaprzeczony, rozbija wszelkie rozumowania.

Czasami jednak zdarza się, że najbieglej przemyślany handlowy obrot, zawiedzie, że obie strony kupieckiej wspólki pod firmą mężowskiego nazwiska, upatrzą dla siebie nowe a daleko znaczniejsze korzyści.

Jest i po temu w naszej Polsce dzielny środek: — rozwód.

Środek ten uzasadniony na wyklamaniu się przed prawem, na zakupieniu lub oszukaniu aż nadto jasnowidnych, świeckich i duchownych sędziów, środek ten jest cudownym balsamem zapomnienia długiej nieraz przeszłości. Wprawdzie dławi on ostatnią iskrę zasady rodziny, wyradza dziwne pokolenie siostr

i braci, z których jedni wypierają się drugich i uczą, od dziecięcych lat, pogardzać ojcem lub matką. Mniejsza o to! Czyliż dziecię nie ma wyboru? czyliż gwoli wygodzie naszej społecznej umowy, nie wolno mu kilka osób od razu zwać świętymi rodziców imiony?

Z tej anormalności bytu rodzinnego wypada, że osoby nań skazane, kruszą tu i owdzie ukradkiem nieznośne okowy, że swobodnego oddechu, że chwili równowagi, szukają na drodze rewolucyjnej.

Gdzież i czemu są w małżeństwie te rewolucyjne szlaki? — Dość tego! Pytacie jakbyście nie wiedzieli.

Tymczasem sprzeciwieństwo pojęć rodzinnych dobiega zwolna swego apogeum, przesilenia, a następnie syntezy. Zanim jednak błękitni mistycy wynajdą ją w harmonji siostrzanych duchów, zanim reformatory upatrzą ją w zasadzie stowarzyszenia czyli zamiast w pojedynczem uwylęczeniu w wielogłowej hydrze samolubstwa, zanim inni zechcą uderzyć na zło w samej jego treści, w źródle, w przyczynie jaka dziś kojarzy i rozrywa małżeństwa — któż poważy się rzucić kamień Sokolnikowi, kto godzien oskarżać go że nie przerósł swojego wieku, że wbrew powszechnej cnotie zafrymarczył własną kwią?

Nie należy, zwłaszcza zapominać, że magnat w niczem przyzwoitości nie uchybił.

Nazajutrz, z dniem dobrym, czule gościowi dłonie uściśnął i na przechadzkę do ogrodu go wyprowadził.

Ogród był szrankami, gdzie dygnitarz chętnie zasiadał na tronie właścicielskiej próżności. W stronie gospodarskich zabudowań, wprawne oko odwiedzającej go szlachty, łatwo mogło być odkryć grzechy zarządu, wyraźny nawet nieład. Idąc dalej, ku wiosce, również nie było czem się pochwalić. Nędzne wieśniacze chaty, do pół w ziemię zapadłe, smutno odbijały od wykwintnego pańskiego pałacu. Ogród natomiast, wydawał się dalszym ciągiem salonu. Sokolnik mniej dbał o pola orne, ale unosił się gniewem ilekroć nie wyczesano mu klombów, nie postrzyżono trawników, białym piaskiem nie usypano ścieżek. Lumpman wiedział, że panu mniej chodziło o stery niż o kwiaty, skarbił więc sobie łaskę szczególnie

staraniem, z jakim dodawał ogrodnikowi pańszczyzny i pomagał w utrzymywaniu kwietników i krzewów z pod ciepłego słońca. Te ostatnie, dzięki ezerwcowemu powietrzu, powynoszone z cieplarni, w misternych zakrętach, piramidach, szpalerach, zdala igrały z okiem, zbliiska nęciły świetnemi barwy i egzotyczną wonią.

Wrażenia dnia wczorajszego, pokrzepione drogim nadzieje, rozochociły duszę Piotra na wszelką radość. Wiosenne słońce, tęczowe gwiazdy kwiatów, rozmajone drzewa, nigdy przedtem nie odkryły mu tak doskonałych wdzięków. Lubował się wszystkim co widział, co słyszał; wszędzie piękność tylko i dobre spostrzegał; śmiertelnego nieprzyjaciela byłby w tej chwili do serca przytulił, ostatniego zbrodniarza ulaskawił.

Sokolnik cieszył się wesołem usposobieniem Piotra, mianowicie zaś przyjazną porą do rozpoczęcia dzieła. Swoim zwyczajem, zatrzymywał gościa na pięknych widokach, tłumaczył mu zapasy w jakie dla roskoszy oka sztuka musiała wchodzić z naturą, wtajemniczał do dalszych artystycznych zamiarów, zasięgał rady w powstających trudnościach, i jak łatwo można odgadnąć, pełnemi garściami sypał złoto.

Piotr podziwiał nadewszystko pracą i wyłożone koszta.

Oddaliwszy się znacznie od pałacu, oba weszli ślimakową ścieżką na szczyt wysokiego kopca, z kąd wzrok do koła ogarniał okolicę wystrojoną wiosennemi wdziękami.

— Piękna pan hrabia masz oziminę — rzekł Poraj przyglądając się, z dłonią nad oczami, rozzielenionym w oddali łonom.

Sokolnik milczał, ramiona na piersiach skrzyżował, wzrok utopił w ścianach swego pałacu.

Piotr odwrócił się, ujrzał zadumaną twarz gospodarza, zrozumiał że niewcześnie w poprzek myślom jego zajechał. — Projektuje — pomyślał w duszy, nowe gospodarskie zabudowania, lub może jakie zmiany w pałacu — i w tej nadziei dalej zahaczył:

— Pan hrabia przyglądasz się własnemu dziełu; myślisz zapewne co by tu dodać, co odmienić? Mojem zdaniem, należy wszystko zostawić jak jest; miejsca na ozdobę nie ma, gdzie już tyle piękności.

Magnat ocknął się niby z zadumki, przetarł oczy, krzepko gościowi uściśnął rękę.

— Nie, panie Piotrze, nie o ziemi ani murach, o ludziach się zamyśliłem. Własna moja rodzina stanęła mi przed pamięcią. Ilekroć wejdę na to miejsce i wzrokiem obejmę mnogie skutki zachodów moich i starań, tyle razy nie mogę oprzeć się smutnemu uczuciu. Zrozumie mię człowiek, który jako ja życie strawił w pracy. Dziś, wszystko do czego przyłożyliśmy rękę, błyszczy, trwa, urąga niemal czasowi. Ale po nas! — komuż się dostaną te liczne dowody pobytu naszego na ziemi? Kto zaręczy, że nowy właściciel jednego nie rozwali, drugiego nie zaniedba? że tu nie pozwoli wypełznąć chwastowi, tam nie da posypać się gruzom? — A przecież w każdym niemal ziółku, w każdej cegle, tkwi cząstka nas samych, nas, którzy, Bóg świadkiem, nie pracowaliśmy tylko dla siebie?

— Nieodmienna kolej rzeczy! — odparł Piotr na pół z uśmiechem. — My cieszyliśmy się myślą że zasiewamy i budujemy dla innych; ci którzy po nas nastąpią, tejsze samej przyjemności poszukują w ścinaniu naszych drzew, w rozwalaniu naszych budowli.

— Mówisz pan jak filozof, ale jak filozof który ani żony, ani dzieci po sobie nie zostawia. Gdybym przynajmniej miał syna, prędzej spodziewałbym się że potrafię mu wątek moich myśli przekazać. Ale dziś! — z zięciem moim, jeśli go się doczekam, mogę nic nie mieć wspólnego.

Serce Piotrowi silnie zakołatało, rumieniec wybiegł mu na oblicze; rad pośpieszył naprzód, gdy Sokolnik grzecznym gestem wskazał mu przejście pod długie sklepienie z pełznących krzewów, gdzie zielone tarcze liścia odbijały natarczywość słonecznych promieni.

Dygnitarz wolno kroczył, zatrzymywał się niekiedy i dalej rzecz ciągnął:

— Nie oskarżam pana o bezżeństwo; bynajmniej. Nieraz nawet, w obec trosk jakimi los drogiego dziecięcia dręczy każdego przywiązanego ojca, pragnąłbym znaleźć się na twojem miejscu.

— Zachcenia te, panie hrabio, krótko zapewne trwają;

jedna chwila widoku panny Marji je rozpędza. Wreszcie niekoniecznie trzeba być ojcem aby kogoś ukochać; ja także mam osoby których przyszłość szczerze mię obchodzi.

Tym razem Sokolnik dobył tabakiery i otworzył ją ze szczególnym przyciskiem.

— Wiem — przerwał — panie Piotrze, że masz młodszego brata któremu godnie ojcowaleś. Żałuję że w tej chwili odzywam się do jednego z Porajów, nie lękałbym się zarzutu pochlebstwa wyjawiając otwarcie zdanie moje o drugim. Ależ co brat to nie córka. Twoja odpowiedzialność skończona tam, gdzie moja dopiero się zaczyna; najważniejszy krok w życiu, możesz dziś, spokojnie zaniechać własnemu jego zdaniu, własnemu wyborowi.

— Rękojmię szczęścia — odrzekł Piotr — każdy sam nosi w sobie. Pod tym względem, córka pana hrabiego spokojnie może w przyszłość oglądać.

— Córka prędzej niżeli rodzice. Przymioty serca, wiara i prawdziwe pojęcie obowiązków, oto, według pana, rękojmię szczęścia. Nie przeczę; kobieta atoli jest istotą więcej bierną, i nie łatwiejszego jak z tych zalet wyprowadzić nieszczęście, powierzwszy niegodnym dłoniom ich kierunek. W mojem położeniu, spokojność jest błędnym ognikiem; napróżno starałbym się ją pochwyć. Nie dość ubezpieczyć się ze strony moralnej; materialne względy w życiu naszym grają przeważną rolę. Z troską o byt łatwo samemu walczyć; nie znam wszelako zjadliwszej trucizny nad myśl przekazania dzieciom dalszego ciągu tychże samych bojów.

Poraj roześmiał się i obejrzał pilnie do koła.

— Patrę czy nas kto nie słucha — rzekł z udaną prostodusznością — nie radbym aby jednego z nas, wyjąwszy mnie, posądzono o chorobę wyobraźni. Cóż zostanie biednej szlachcie, jeżeli panowie zagarną dla siebie wszystkie majątkowe kłopoty?

Sokolnik westchnął i zachmurzył oblicze.

— Drobna szlachta może być bezpieczną — mówił dalej — panowie nic jej nie zabiorą. Nazwiska są jeszcze w Polsce ale panów już nie ma. Znakomite domy popekały w dniu upadku ojczyzny; odtąd, zwolna gruz się z nich sypie. Świecą

jeszcze powierzchownym blaskiem ale w posady ich, robak zniszczenia, głęboko ząb zapuścił. Nie daleki czas wykaże prawdę słów moich. Runiemy pod ciężarem tego co było dotąd naszym zaszczytem. Nie będzie z czego utrzymać sławy przodków. Wierzaj panie Piotrze; myśl ta w nocy zasnąć mi nie dozwala, w dzień tłoczy, jak gdyby mi kto pierś kamieniem przywalił; za lada wspomnieniem, żelaznemi szpony serce mi rozdziera. Nie dalej jak wczoraj, na chwilę przed przyjazdem miłego nam gościa, Dahlman nie wiem z kąd i dla czego wpędził rzecz na te szlaki. Rozgadaliśmy się; żona moja spojrziała ukradkiem na swoją jedynaczkę, w młodocianej nieświadomości zadumaną zapewne o muzyce lub o kwiatkach. Kilka mimowolnych łez stoczyło się po matczynej twarzy. Zastależ nas wszystkich powarzonych.

Piotr zrzucił z serca wrażenia zimnego przyjęcia jakie go wczoraj spotkało na wstępie; smutek rozlany na twarzy magnata obudził w nim żywe spólczenie.

— Pan hrabia, rzekł, spoglądasz przez czarne szkła. Zarysy obrazów mogą być prawdziwe, ale barwa ich nie tak ciemna; świadczę się wiosną i tem oto słońcem. Przy pomocy Boga i własnych usiłowań, rzeczy na lepsze mogą się obrócić. W ostatecznym razie, przecież nie skupczeliśmy jeszcze tak dalece, aby w potrzebie nie znaleźć u przyjaciół dobrej rady i pospiesznych usług.

Sokolnik ujął gościa pod ramię, lekko ku sobie przytulił, szedł jakiś czas w milczeniu i zaczął podniesionym głosem:

— Szaleństwem nie zasięgać rady u ludzi, którzy jako ty panie Piotrze na cały kraj przedstawiają wzór gospodarza i obywatela. Mnie zarzutu tego nikt z moich nie uczyni. Z całą ufnością odkryję ci głębię myśli, rozścieleę dręczące kłopoty i o radę zapytam. Powiesz wówczas czyli choroba wyobraźni o jaką mię oskarżasz, nie jest rzeczywistym a może nawet i śmiertelnym symptomem.

W ciężkiej jestem przeprawie.

Majątek mój chwieje się; za miesiąc, za tydzień, jutro całkiem może z rąk mi wypaść.

— Co ja słyszę panie hrabio?

— Szczerą prawdę; ale wiesz skutek, dowiedź się i o przyczynach.

Dygnitarz zadumał się, szukał po głowie romansu. Znalazł go i powiedział:

— Ojciec mój, śp. kasztelan, zostawił mi dobra w oplakanym stanie. Uparte boje z wrogiem; nieszczęśliwe zbiory ojczyzny przeciw którym każdy prawy Polak walczył ostatniemi siły, ofiary jakie zewsząd znoszono na ołtarz swobody, a w których ojciec mój przyjmował serdeczny udział, wyczerpały naprzód rodzinne zasoby, następnie w majątku jęły wylamywać szerokie szczyby. Muszę mieć w archiwum kilka własnoręcznych listów Madalińskiego, Rejtana i generała Kościuszki, gdzie znajdziesz bliższe szczegóły tego co mówię.

Usiłowania nasze spełżyły na niczem; została nam tylko nadzieja. Żywiliśmy ją każdy pod rodzinną strzechą; zbliźnialiśmy dawne rany.

Zacząłem myśleć o powetowaniu strat mego ojca, o przekazaniu w całkowitości dzieciom dawnego majątku ich przodków.

Wkroczenie wojsk cesarza Napoleona, świeżo utworzone księstwo Warszawskie, znowu wyzwały mię na pole działań. Kraj dobywał nadludzkich wysilen; z pojedynczych ofiar stawiano pułki, uzbrajano żołnierzy. Pamiętałem com był winien pamięci mego ojca, zapomniałem o sobie; oddałem swoje i zapożyczone.

Książe Józef, kilka razy własnoręcznie do mnie pisząc, raczył pochwalić to, co czynił z nas każdy, co każdego było prostym, naturalnym obowiązkiem.

Opatrzność i tym razem chciała nas tylko doświadczyć.

Przyjąłem bez szemrania jej wyroki. Pragnąłem zamieszkać na wsi i znowu wziąć się do pracy, zwłaszcza że byłem już ojcem.

Kongres 1815 roku, usługi jakie mogli oddać ojczyźnie ludzie spoufaleni z dygnitarzami cesarstwa, powołały mię do Wiednia. Tu i owdzie udało się mi wyjednać dla Galicji pewne dogodności. Nie do mnie je wymieniać; inni lepiej pamiętają. Krajowi atoli o tyle mogłem być użytecznym, o ile utrzymywałem stosunki z dzierżycielami władzy. Musiałem

sam bywać wszędzie i nawzajem u siebie przyjmować wybór towarzystwa stolicy. Wydatki rosły, dochody się zmniejszały. Zarząd majątku powierzyłem ludziom, którzy korzystając z mojej nieobecności nadużyli mego zaufania, rozpręgli zaprowadzony porządek, wprowadzili niesłychany bezład, jednym słowem, którzy nielitościwie mię kradli.

Procenta wzmagaly się, nowe długi pokrywały hypotekę. Należało przypomnieć sobie że byłem nie tylko obywatelem ale i ojcem.

Opatrzyłem się po niewczasie..

Wróciwszy na wieś, wejrzałem w szczegóły mego położenia. Rozpacz mię ogarnęła. Zajęty od tylu lat sprawami kraju, odwykłem od ziemiańskich obrotów; nie wiedziałem co począć, gdzie szukać zbawienia.

Los nastęrczył mi Dahlmana który umieścił u mnie znaczne kapitały. W zamian za wyświadczone przysługi, zawezwalem jego rady, zwierzyłem się zupełnie. Bankier ułożył mi to co nazywa majątkowym bilansem i wytłumaczył, że jedynym środkiem ocalenia jest — — Zgadnij pan!

— Układ z wierzycielami?

Sokolnik przeczył głową.

— Pozbycie się jednej lub dwóch wiosek, zaspokojenie natarczywszych wymagań, zaprowadzenie ładu, przyjęcie nowych ludzi?

— Widzę że nie zgadniesz; oszczędzę ci trudu. Sprzedaj — jemu, Dahlmanowi, wszystkich moich posiadłości w zamian za nędzne dożywocie kilkunastu tysięcy złotych.

— Nie podobna! Nie podobna! — I pan hrabia —?

— Party koniecznością; przyjąłem, pod warunkiem, że zostawi mi kilka tygodni do namysłu. Na kontraktach mam mu dać ostateczną odpowiedź.

Piotr słupiał za każdym wyrazem; zawracała mu głowę otchłań którą Sokolnik przed nim otwierał. Nie pojmował jak tyle blasku mogło kryć tyle nędzy. Założył ręce i nieruchomym wzrokiem w ziemię poglądał.

— Dziwi cię to panie Piotrze — rzekł magnat który z pod oka śledził ruchy towarzysza; nie wierzysz aby jeden z pierwszych majątków w Galicji, mógł tak łatwo pójść z dymem.

Masz słusność. Rzeczywiście, wartość tego co mam przewyższa to co winienem, ale bankier jest głównym moim wierzycielem. Zastępuje mi z rewersem jak z siekierą na drodze, stawia warunki, grozi wywłaszczeniem. Cóż mam zrobić? Zobaczysz wreszcie na piśmie własnoręczne jego wyrachowania, stan rzeczy i zaradcze środki. Jeżeli raczysz poświęcić mi trochę cierpliwości, czytaj; przekonasz się i powiesz czyli mogę rzucić mu pod nogi byt mój a co większa mojej rodziny?

— Na moje słowo — zawołał Piotr z oburzeniem — nie z tego nie będzie! Chociażbyśmy cudownych pomocy mieli zawezwać, nie dopuścimy aby to żydowskie czy szwabskie robactwo, z miast rozlażiło się po naszym kraju. Podłe gryzby, wyrosłe na gnoju lichwy i szalbierstwa, chciałyby rozgosić się wśród najświeższych naszych kwietników! Czerń nikczemna, Bóg wie z kąd i zacz, nie dość że gryzie szlachtę ale jeszcze na biedny nasz lud zakasuje rękawy. Spragniona zysku, ze spiekłą gardzielą goni za pieniądzem, w nim jedynie szuka szczęścia, w nim mieści całą chlubę, wszystkie uczucia, wszystkie żądze i namiętności. Zgoda! rzucimy jej pieniądz, ale wara od naszego zboża, od naszej świętej gleby, od naszej polskiej krwi! Uspokój się pan hrabia; w trudniejszych ja znajdowałem się obrotach a przecież potrafiłem im podolać. Niemcowi do miejskiej budy ale nie do polskiej wioski! Niech wśród worów pieniędzy gnije za lwowskim swoim kantorem!

Umilkli oba. Sokolnikowi wątła gałązka ocalenia za którą chwycił, rosła w potężne drzewo; Poraj zapomniał na chwilę o własnych marzeniach, nurtował myślą po doświadczeniu, przebiegał szeregi środków zbawczych dla magnata, skutecznych na zniweczenie drapieżnych zamiarów bankiera.

Srebrny dźwięk wesołego śmiechu, wyrwał ich nagle z zadumki. Mignęła w dali, pośród zieleni biała postać hrabianki. Mgliste fałdy rannej odzieży, złoty błysk słomianego kapelusza, z szybkością promienia utonęły w ogrodowej gęstwinie; odgadnięto ją tylko po dźwięku głosu, którego ochocze tony wyzwał zabawny zapewne, zwykły jakiś wypadek.

Dziewiczy ten akord, wpadłszy niespodzianie między obu rozmawiających, do dziwnego ładu ułożył się z tonem na jaki każdy z nich był nastrojony. Magnat w głosie córki uważał opatrzną podniechę do wystąpienia ze stanowczym punktem obrotów; Poraj wpadł na tor drogich sobie nadziei; spokój Sokolnika, upokorzenie bankiera, zmieszają się mu tym razem z własnymi zamiary. Oba poczuli się rzeźwiejszymi, bogatszymi w otuchę na przyszłość; szczerzy śmiech dziewczątka każdemu rozchmurzył czoło, dodał ufności.

Pan domu pierwszy przerwał milczenie.

— Bawi się, śmieje, biega — rzekł wskazując ręką stronę, z kąd go głos córki dochodził; nie myśli nieboraczka co ją wkrótce może spotkać. Słusznie czyni. Dla dzieci wesele; troska dla rodziców. Ach panie Piotrze, gdyby nie zgryzoty o jakich ci wspomniałem, z jakąż roskoszą wszystkie godziny życia poświęciłbym zapewnieniu jej szczęścia. W obecnym jednak stanie rzeczy, trudno mi jakąkolwiek podobną myśl przypuścić do głowy. Zamięćcie mojej córki ustępuje pierwszeństwa majątkowym kłopotom. Porzeka nieboraczka dopóki ojciec, ze spokojnem sumieniem, nie będzie mógł poprowadzić ją do ołtarza. Na zalotnikach przecież nie zbywa. Nie dalej jak przed kilkoma dniami, miałem u siebie gościa, człeka młodego, nie bez zalet, ze znakomitem nazwiskiem, z świetną przyszłością. Jeżeli się nie mylę, córka raczej niżeli rodzice byli celem jego odwiedzin.

— Któż taki? zapytał Piotr niespokojnie.

— Znasz go, odparł wlokąc słowa Sokolnik; widywałeś go często w naszym domu; syn jednego z pierwszych dygnitarzy w cesarstwie; szambelan Fürstemberg.

— Ten! — wysoki! — chudy! — Niemiec!

— Dla tego też właśnie że Niemiec, nie radziłbym mu wrywać się z niewczesnem oświadczeniem. Pamiętam kim jestem, gdzie się urodziłem i jakie ciążą na mnie obowiązki. Córka moja zaślubi Polaka, lub zostanie panną.

Piotr głęboko odetchnął. Sokolnik spostrzegł szybkie a pożądane skutki drażniącego plastru, jaki mu przykładał w osobie szambelana Fürstemberga. Pochylił twarz ku gościowi i dalej ciągnął półgłosem:

— Składamy w tej chwili we dwóch familijną radę, idzie nam zarówno o los rodziny, słuszna zatem, abyśmy, jak na spowiedzi, wiedzieli wszystkie dotyczące jej szczegóły. Powtarzam ci panie Piotrze, szambelan próżno czas traci. Nie szukam blasku ale szczęścia mego dziecięcia. Zdarzy się roszak? — Człowiek młody, przyzwoity, z uczciwego szlacheckiego gniazda; nie dbam o marne cudzoziemskie tytuły — Bóg z nim! — Niech bierze dziewczynę, zwłaszcza też jeżeli wpadnie jej w oko.

— Szlachetne słowa, panie hrabio! odrzekł Piotr, słowa świętego i przywiązanego ojca. Mądrych życzeń niebo słucha, mówi staropolskie przysłowie.

— Przyszłość nas przekona o prawdzie przysłówia. Warunki z mojej strony nie trudne, a jednak lękam się często aby i tym nie znalazł się nikt z chęcią i z możebnością zadość uczynienia. Ha! panie Piotrze, w tym nawet względzie, pomieniałbym się z tobą; spokojną masz głowę. — Ale prawda! — Przepraszam; mówiłeś mi przed chwilą o bracie. Czy pan Kazimierz dotąd — bynajmniej — nie pomyślał o żadnym wyborze?

— Nie dawno wrócił z zagranicy; zajęty obejmowaniem majątku, nie miał jeszcze dość czasu — wreszcie, nic mi nie mówił.

Piotr pierwszy raz w życiu mijał się z prawdą; krew buchnęła mu do głowy; stał cały w płomieniach.

— Kłamie; tem lepiej! — Myślał w duszy Sokolnik ściągając ogień rozlane na licu Poraja — brat wspominał mu o małżeństwie — ale czy z Marją? — Trochę cierpliwości i dalej najprzód!

— Kiedy już o nim mowa — rzekł z uśmiechem, skorzystam ze sposobności i muszę go przed starszym oskarżyć.

— Mego brata?

— Pana Kazimierza we własnej jego osobie. Bywał u nas we Lwowie, mile go widywaliśmy; przyjechał na wieś — doznał jak najuprzejmiejszego przyjęcia; i w zamian za prawdziwą z naszej strony przyjaźń — —

— I oóż takiego panie hrabio?

— W zamian, popodbijał nam, pozabierał serca. Czy

uwierzyś że od chwili jego wyjazdu, żona moja od rana do wieczora śpiewa jego pochwały, że za każdym niemal słowem odwołuje się do jego zdania, przypomina jego wyrazy? Sam przyznaj panie Piotrze, że jeżeli wolno ludzi ujmować, są przecież pewne granice.

Poraj śmiał się na całe gardło, jak dziecię gdy mu pierwszy raz pokażą oddawna obiecane cacko.

— Pan hrabia zbyt jesteś łaskaw; brat mój i ja nigdy nie znajdziemy dość słów na zawdzięczenie gościnności, z jaką zawsze otwierano nam drzwi jego domu.

— Masz tobie! — dobraliście się jak widzę, z moją żoną; ona także dziękuje Bogu i nie może się wydziękować za znajomość z wami. Ona atoli kobieta i do tego silnie prawowierna, nie dość więc że dziękuje ale jeszcze błaga — o co błaga? — Gdybyśmy oba byli ojcami, prędzej mogliśmy się zrozumieć.

Piotr urwał w przechodzie gałązkę, i ze spuszczonemi oczyma, skubał ją z listków.

— Wprawdzie, rzekł, nie jestem ja ojcem, ale różnica wieku, starania jakie podejmowałem, pozwalają mi mniemać żem, względem brata, dopełnił ojcowskich obowiązków.

Zapewne; są jednak różnice; nie dość na sercu, aby mieć rodzicielską powagę.

Gdybyś był rzeczywistym ojcem pana Kazimierza, inaczej, śmielejbyś przemawiał; zacząłbym w te słowa:

— Panie Piotrze, ty masz syna, ja córkę.

Piotr ujął magnata za rękę; ścisnął ją konwulsyjnie.

— No cóż? — Nie chesz wyciągnąć wniosku, albo też ja może źle rzeczy widzę, może jak ślepy ojciec przeceniam własne dziecko? Może losom Kazimierza, Marja nie przedstawia dość rękojmi?

— Przestań pan hrabia, przestań na miłość bożą! Kazimierz nie uwierzy nigdy w tyle szczęścia — ja uwierzę, ale wtedy dopiero gdy w istocie tego dnia dożyję.

— Dożyjemy wszyscy dłużej; doczekamy się: ty synowców, ja wnuków. Nie o tem teraz mowa; zgadzasz się więc na wyciągnięcie wniosku?

— Cóż ja mogę rzec, panie hrabio? Cóż mój brat może

uczynić jak rodzicom paść do nóg? Zważ pan jednak że jeżeli ja w imieniu Kazimierza sumiennie i śmiało się odzywam, jeżeli znam jego usposobienia, jego uczucia, któż nam zaręczy?

— Że moja córka nie stanie nam na przeszkodzie. Bądź spokojny; nic od nas nowego się nie dowie; ona pierwsza gotowa nas o wszystkim uprzedzić. Wszakże sam uznałeś że jak na ojca, miałem wzrok dość jasny? Ergo więc — dodał Sokolnik wyciągając dłoń ku Piotrowi.

Oba padli sobie w objęcia.

— Rzecz między nami skończona — rzekł dygnitarz — wiadome mi zamiary twego brata; witam je z radością. Żona moja, za całą odpowiedź znów zacznie dziękować Bogu że ją tak prędko wysłuchał i prosić go o co innego. Co do Marji, sądzę że nie należy uwiadamiać jej o niczem; oboje młodzi bez nas sobie poradzą. Zostawmy ich samym sobie; pozwólmy im myśleć że kochają się i żenią pomimo naszej wiedzy a trochę nawet i pomimo woli. Przeszkody karmią miłość. Wszakże i my nie zawsze świeciliśmy siwym włosem. — Kiedyż sądzisz, panie Piotrze, że obaczym Kazimierza?

— Mego brata? — Hm. — Czyby nie można urządzić rzecz w następujący sposób?

— Słucham cię.

— Pan hrabia masz ważne sprawy do załatwienia. Według tego co dotąd wiem, sądzę że prędzej podołamy im we Lwowie niż tu na miejscu. Nie ma rady! musimy koniecznie być na kontraktach. Jeżeli więc pan hrabia chciałbyś zjechać naówczas do miasta.

— Zgoda! spotkamy się wszyscy na kontraktach we Lwowie.

— Wybornie! Nie zapominajmy tymczasem że Dahlman nie próżnuje, że godziny leca. Radbym dziś jeszcze przejrzeć wszystkie papiery i nie stracić przytem mego udziału w towarzystwie pani hrabiny i panny Marji.

— Mów raczej, przyszłej twojej bratowej. Stanie się jako rzekłeś. Chodźmy!

Poszli oba nawzajem z siebie uradowani; przed nimi leciała

o tęczyowych skrzydłach nadzieja, kwieciami słała im drogę, harmonją poila duszę, pięściwemi ramiony kołysała każde uczucie, każdą namiętność, każde marzenie.

Jeden oddawał siebie dla szczęścia brata, iścił uzupełnienie tego bytu w którym czerpał żywotne siły, na oślepu puszczał się gościńcem dokonanych a drogich mu życzeń.

Drugi, ciskał dziecię w zamian za własny dobrobyt, widział się odzłożonym na nowo, zbawiał splendor klejnotu, ocalał majątek, sypał jak dawniej pieniędzmi, nie przestawał na lud pieszę przyskać błotem, krzykliwie domagać się pokłonów, cześci i pochlebstwa. Obu zdało się że wkrótce w twardą ziemię zapuszczą kotwicę, że odtąd na zawsze odpawę dadzą troskom, że błogi spokój i wypoczynek i nieustanna rokosz używania, na chwilę progę ich nie opuszczą.

Oba dążyli po tęż samą nagrodę; jeden za długoletnie poświęcenie, drugi za niezmienną miłość ku samemu sobie. Poraj przekonywał się dokąd prowadzi szlachetna praca, Sokolnik poznawał jakie korzyści można wyciągnąć z zafrymarczenia córka. Ponieważ atoli tak Kazimierz, jak i Marja, w zamierzonym związku znajdowali szczęście, wypadalo że ani Piotr nie był winien zaparcia się samego siebie, ani magnat nie zasługiwał na szczególną pochwałę za wierną pamięć o sobie. Świat żadnemu z nich nie mógł odmówić poklasku; oba stawili na tęż samą kartę, los do obu zarówny się uśmiechnął.

Podczas gdy tak fortuna wyszczerzała zęby do swoich ulubieńców, Piotr nie przestawał coraz dalej skarbić jej fa-worów. Zamiast czas trawić na słuchaniu harmonijnych jej zgrzytów, pograżył się w papierach Sokolnika i wziął szczerze do pracy. Bilans ułożony przez Dahlmana, naj-przód zwrócił jego uwagę. Przeraziła go ogromna masa długów.

Sprawdził pilnie dowody bankiera, przejrzał wykaz hy-poteczny. Nie było wątpienia! Sokolnik po szyję brnął w grze-chach.

Poraj kazał podać sobie rejestra gospodarskie, zażądał dokładnego inwentarza dóbr.

Chaotyczny nieład, bezwstydną kradzież, z każdego faktu skakały mu do oczu.

Wszelako pod trzęsawiskiem zobowiązań i nieprawości, pojętny badacz, mógł dogłębić się stałej, zdrowej gleby. Synąwszy od razu mocą pieniędzy, dodawszy następnie nieugiętej pracy, zręcznych obrotów, wolno było jeszcze zamarzyć o podźwignięciu rozwalonej budowy.

Poraj przywołał na pomoc wszystkie wypadki własnego doświadczenia i całą potęgę przedsiębiorczego ducha; w różne strony myślą wybiegał; oczywistość zawsze zwracała go na jedyną możebną drogę ocalenia.

Większą część nieruchomości majątku oddać w dziale bratu, gotowe pieniądze wziąć dla siebie, rzucić je w rozpadliny Sokolnikowego mienia, objąć nad niem absolutny zarząd, wypędzić przeniewierców, sprowadzić podwładnych uczciwych, dobrze sobie znanych; prawnie zmusić lichwiarzów do ustąpienia pewnej części procentów, dokuczliwszych wierzycieli zaspokoić, z resztą się ułożyć, rozporządzalną gotówkę obrócić raczej na ulepszenia gospodarskie, niż na zupełne oczyszczenie hipoteki.

Innego środka zbawienia nie było pod słońcem.

Ależ uwięzić mozolną pracą zebrany grosz, po tylu latach trudów rzucać się w upartą niż kiedykolwiek walkę, wprzęgąć w ciężkie jarzmo dla człowieka sobie obcego?

— Nie, nie! nie dla obcego! dla ukochanego brata dla pięknej bratowej, dla lubej a hałaśnej zgrai synowców i synowic. Wreszcie, czyliż samo łamanie się z trudnościami nie nęciło czarownym urokiem umysłu rozmiłowanego w pracy, goniącego nowych powodzeń?

Piotr machnął ręką jakby przecinał wahania zwątpionej woli. Szala namysłu, z szybkością piorunu, opadła na stronę poświęcenia.

Sokolnik, z rozrzewnieniem przyjął ofiarę; tuląc Piotra do piersi, oddał mu nieograniczoną władzę nad sobą i nad majątkiem. Szczęśliwiec, za jednym zamachem ustalał los córki, zapewniał sobie do końca życia spokój i dostatek, pozbywał się kłopotów majątkowego zarządu, zyskiwał bezpłatnego sprawcę ze znakomitemi zdolnościami i z po-

święceniem bez granic. Widocznie, musiał w czepku się urodzić.

Układy między magnatem a Porajem, postanowiono dźwżyć w tajemnicy przed wszystkimi, mianowicie zaś przed Kazimierzem i przed Marją.

Wzięto na słuszną uwagę romansowość panny i poetyczne o małżeństwie wyobrażenia kawalera.

VII.

— Do stu piorunów, drwicie ze mnie albo też nie wiecie z kim macie do czynienia! — Koni i to natychmiast!

— Stajnia próżna; niech pan hrabia raczy się przekonać. Chyba ludzi moich zaprzęgę.

— Zaprzęż acan i samego djabła! wołał Wilczek wyskakując z powozu — ani chwili dłużej tu nie zostanę. Nie nauczyłem się dotąd czekać i nie do twojej szopy pójdę po naukę. O co chodzi? o pieniądze? — Jędrzeju, zapłać mu ile zechce.

— O pieniądze — odrzekł stary pocztmajster ze stłumionem oburzeniem, dbam wtedy gdy mi nie płacą ceny nakazanej prawem. Konie trzymam dla podróżnych; jeżeli ich nie dają to dla tego że nie mam.

— Na honor, jest z czego oszaleć! Czy pojmujesz kapi-tanie? Czy słyszysz Juljuszu? Jegomość ten, jak widzę, piechotą roznosi pocztę! Każe mi oglądać próżne swoje żłoby. Mówże, radź który z was! co teraz poczniemy? Kontrakta się otwierają; obiecaliśmy być jutro na balu u Lewickich; świece chyba gasić przyjedziem! Niech was piekło pochłonie z waszym porządkiem! Popamiętasz mię Waszeć; natychmiast za przyjazdem do Lwowa zaniosę skargę.

— Niech pan hrabia każe sobie przynieść rejestra; podróżni zewsząd spieszą na kontrakty; dyliżans wyszedł przed godziną; nie ma kwadransa jak wyprawilem dwa czterokonne powozy a dziesięciu minut, jak na obie strony ruszyły sztafety.

— Kiedyż konie z powrotem?

— Może za półtorej godziny a najdalej za dwie.

— Oszała! — Każ sobie Acan lodu przyłożyć na głowę. Dwie godziny! — Dwa wieki czekać przed twoją oborą! Ależ mój przyjemny panie, świętego do wściekłości byś przyprowadził.

Pocztmistrz wzruszył ramionami.

— Poślij pan chłopca na wieś — odezwał się Skalka; dostanie porządny napiwek jeżeli za kwadrans jakie takie cztery szkapy nam przyciągnie.

— Wieś o pół mili z okładem, odrzekł ekspedytor; konie w polu, u siana; napróżno by panowie czekali.

— Nie, nie, daj pokój kapitanie; widzisz dobrze że to umyślne postanowienie. Panie pocztmistrzu, słuchaj mię Waszeć, mówił Wilczek dobywając trzęsącą ręką zegarka; daję ci dziesięć minut czasu; skoro ta oto igielka stanie na szóstej, powinniśmy być w drodze. Jeżeli nie — pomyślimy co dalej.

W tej chwili rozległ się silny odgłos pocztarskiej trąbki.

Ucichli wszyscy; dochodził ich nawet zdala głuchy tentent kopyt. Juljusz klasnął w dłonie.

— Brawo Władziu! zawołał; fortuna cię nie opuszcza; są konie.

Pocztmistrz niespokojnie załamywał ręce.

— Cóż ci to? — Rzekł Wilczek trochę udobruchany; żalujesz naszego towarzystwa?

— Daruj pan hrabia — wyjąkał starzec z serdecznym frasunkiem; są konie ale nie moje; nowa ekstrapoczta — nowy podróżny! — Słyszycie panowie turkot powozu?

Wilczek zacisnął zęby, nogą w próg gwałtownie uderzył.

— Szatan się przeciw nam sprzysiągł! — Dwie godziny czekać, i potem jeszcze wlec się zmachanemi końmi. Powiadasz acan że za żadne pieniądze — uważaj dobrze — że za żadne pieniądze przed dwoma godzinami ztąd się nie ruszym?

Wilczek w oczekiwaniu na odpowiedź przechadzał się szybkimi krokami. Nagle, stanął na rogu domu pocztowego gdzie droga łamała się w kąć prosty, uskokzył na kilka kroków,

pochylił głowę, śledził okiem, oglądał, zwrócił się wreszcie ku poczmistrzowi i rzekł szybkim głosem:

— Krakales złowrogie przepowiednie które, szczęściem się nie sprawdzają. Juljuszu, obiecałem dostawić cię na bal; dotrzymam słowa. Są konie. Dalej chłopcy, do dzieła!

Skalka podbiegł ku miejscu zkąd Wilczek wpadł był na szczęśliwe odkrycie.

O kilkanaście kroków, na zakręcie od poczty, przed drzwiami gościnnego domu, stał powóz zaprzężony trzema końmi.

— Zgadujesz mię kapitanie?

— Rozumiem; chcesz prosić właściciela powozu o gościnność.

— Trafleś jak kulą w płot! Nie widzisz że konie stoją tyłem do Lwowa?

— Cóż więc?

— Jakto, nie zgadłeś że podróżnemu nie musi być spieszno, kiedy zatrzymuje się przed nędzną garkuchnią, kiedy pozwala pocztyljonowi z założonemi rękami chodzić koło powozu.

— Pojmuję; spodziewasz się wyjednać na nim dwie godzin cierpliwości.

— Panie hrabio, wtrącił poczmistrz, podróżny na chwilę przed panów przyjazdem kazał zaprządz i zajechać przed oberżę. Wstąpił posilić się. Od kilku dni jedzie jednym ciągiem. Nie zdaje się mi aby można co z nim wskórać. Jest to pruski oficer. Według tego co mówił, skupuje konie dla wojska.

— W takim razie, rzecz się ma inaczej — odparł Wilczek z szyderską uległością. Myślałem że będziemy mieli do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem, że trzeba będzie wdać się w prośby, ale skoro powiadasz, że człowiek ten jest oficerem, i do tego pruskim oficerem, położenie się odmienia. Ubywa nam zachodu. Dalej chłopcy! — Co żywo, odprządź konie, dwa dukaty na piwo za każdego konia! — Jędrzej, pokaż im drogę i sposób!

Stajenni poglądali po sobie, szukali wzroku gospodarza. Poczmistrz rad że zapalczywość panicza gdzieindziej znalazła ujście, cichaczem cofnął się do izby.

— Do miliona bataljonów, przyrosliście do ziemi! — Ty z czerwoną głową, śmiało ci z oczu patrzy — ruszaj naprzód! — masz zadatek.

Wilczek rzucił dukata. Chłopcy nie widząc pocztmistrza, mrugnęli po sobie; rozkaz tak wspaniałego pana nie mógł spotkać oporu.

— Zuch z Władzia, nie ma co mówić, rzekł Skalka do Juljusza; pije i bije jak nikt w całej Galicji; lękam się jednak aby, tym razem, butelka starego węgryzna którą duszkiem na strzemienne wychylił, nie brózdziła mu nieco po głowie. Wino mu dziś nie służy. Daj Boże abyśmy ztąd wyszli na sucho.

— Cóż się ma mam stać? My jesteśmy tu widzami i niczem więcej. Bawmy się krotoczwilą dopóki nie nastąpi tragedia. Ale oto i publiczność się zwiększa, dodał Juliusz powstając w powozie z którego się był dotąd nie ruszał. Znajoma twarz jeśli się nie mylę.

Trąbka zagrziała im w same uszy; zdyszane konie stanęły jak wryte przed pocztowym progiem; nowy podróżny lekko wyskoczył, strząśł z odzieży kurzawę, krótkiem skinieniem powitał obecnych!

Kazimierz Poraj dążył także na kontrakty.

Tymczasem, opodal wszczynaly się zgiełk i zwada.

Pocztyljon zaprzęzonego powozu, stary służbowiec, biczem przyjął stajennych napastników, odepchnął kamerdynera, na całe gardło wzywał swego podróżnego.

Wilczek spieszył swoim na pomoc, już kładł rękę na ramieniu zuchwalca który śmiał sprzeciwiać się jego woli, gdy w tem w drzwiach gospody, zasterczała wysoka, chuda postać, w szarym, pod szyję zapiętym surducie, w czapce kształtu melona, z długą porcelanową fajką w ustach skrzywionych w podkowę.

Zjawienie to zwróciło na siebie powszechną uwagę.

Z oberży, z poczty, swoi i przyjezdni, skupili się koło powozu, ciekawi końca zwady.

Niemiec za jednym rzutem oka poznał o co rzecz idzie, wyrazu twarzy cale nie zmienił, spokojnie zapłacił gospodarzowi rachunek, obejrzał zdawkową monetę, wcisnął grajcara słu-

żebnej dziewczynie, i ruszył ku swojej bryczce, obojętnie, jak gdyby do koła siebie nie nadzwyczajnego nie postrzegał.

Wilczek odsunął się o kilka kroków; oczy zabiegły mu krwią, gniewem zapłonęło oblicze.

— Poczeka dwie godzin na bryczce, jeśli mu niewygodnie w izbie! Dalej Jędrzeju, weź się do dyszla a wy hultaje do postronków! Dodaję każdemu po dukacie.

— Pocztyljon — siadaj na kozioł i w drogę! krzyknął Prusak chrapliwym ale bynajmniej niewzruszonym głosem.

— Ty, stary, zatwardziały łotrze — wrzasnął Wilczek tracąc wszelką miarę — jeżeli odważysz się ruszyć z miejsca, cienia ducha w tobie nie zostawię! Wyprzęgać konie albo wam lby porozwalam!

Jeden ze stajennych wyrwał pocztyljonowi bicz; inni rzucili się do koni.

Niemiec podniósł się jak na sprężynach, wypuścił cienki kłębek dymu, dobył z kieszeni pistoletu, zmrużył lewe oko, wyciągnął rękę i rzekł cedząc wyrazy:

— Pierwszemu który dotknie się moich koni, w łeb strzelę jak psu.

Usłyszano cyknięcie kurka; kobiety porozbiegały się z krzykiem wzywając opieki Jezusa i Najświętszej Panny; czeladź pocztowa opuściła ręce.

Jędrzej, Juljusz i Skalka podbiegli ku Wilczkowi; Kazimierz tuż obok oficera, rozmyślał nad dziwnym spokojem rysów jego.

— Pocztyljon — siadaj na kozioł i naprzód! powtórzył Niemiec niby skamieniały z bronią w ręku.

Wilczek odepchnął służącego który mu tamował drogę, wyrwał się z rąk Skalce i stanął naprzeciw podróżnego tak że piersią, dyszla prawie dotykał.

Słowa więzły mu w gardle.

— Łatwo — rzekł z wolnym przyciskiem, grozić tym, którzy broń rzadko kiedy widują a nigdy nie mają z nią do czynienia. Oddawna wiadomo, że w Szwabji nie brak zuchów na bezbronnych i że na szwabskich polowaniach, zajęte mniejby ginęły gdyby umiały się odstrzeliwać. Czy nie raczyłbyś pan nam objaśnić, o ile w tych pogłoskach prawdy?

Oficer zimno słuchał słów tych, miotanych w wiedeńskim narzeczu, cierpliwie pasował się z zatkanym cybuchem zbutowanej fajki, wbrew nareszcie zagadnięty, odrzucił płaszcz z kolan i długimi nogami z wolna dobywał się z bryczki.

— Miałeś słuszną kapitanie — szepnął Juljusz Skalka do ucha — Władysław szaleje; chodźmy między nich; Niemiec nie zdaje się być tohórzem podszyty.

— Głupia historia! mrugnął Skalka; zwiesił czapkę na bakier, namarszył brwi i podszedł ku Wilczkowi.

Niemiec tymczasem prostował się i ręce w kieszenie zatykał.

— Nie umiem panu powiedzieć, ciągnął, co dzieje się w Szwabji; nie znam tego kraju. Mogę atoli zaręczyć że w Kolonji z kąd jestem rodem, z równym pośpiechem dobywają broni przeciw napastnikom, jako i przeciw tym którzy targają się na nasz honor, zwłaszcza jeżeli ci ostatni zasługują na zaszczyt naszego strzału.

— Wyborny frazes; wymyśliłeś go pan pod Jeną! Ci do których pan mówisz, warci wystrzału nawet tych, którzy dziś panują skradzionym ich ojczyźnie ziemiom. Jestem hrabia Wilczek — przyjaciel mój kapitan Skalka — kawaler Dzierbiński — szlachta równie czystej krwi jak Hohenzollery i Brandenburscy.

— Tem lepiej — rad z ich znajomości Gottfried Brunnen von Brunnenstein, major z drugiego pułku dragonów Szwedów.

— W istocie, nie rozumiem przyczyny sporu — wtrącił Juljusz, ośmielony łagodnym tonem Niemca; jestem pewny, że gdyby pan major wiedział ważne powody, dla których tak nam śpieszno w drogę, sam ofiarowałby swoje konie.

— Milczże, na Boga! — krzyknął Wilczek po polsku; cóż to? chcesz go przeproszać?

— Nie idzie nam, rzekł wojskowy, ani o konie, ani o powody sporu. Możemy mówić ciszej; nie potrzeba aby nas wszyscy słyszeli. Panie hrabio — jestem gotów. Racz odesłać służbę twoją i tych ludzi. Dobędę mego pudełka z pistoletami; te oto są krótkie, podróżne, do pojedynku niezdatne.

— Kapitanie, mówił Wilczek uprowadzając na bok Skalkę,

proszę cię, dostań naszą broń z powozu i zajmij się zwykłym twoim obowiązkiem. Niemiec płynnie się wyraża.

— Oj Władziu, Władziu — odparł z westchnieniem Skalka; ty popędliwością swoją wpędzisz mię do grobu.

— Bah! nie czas na morały; śpiesz się i pamiętaj że Le-wiocy czekają nas na balu.

— Złote serce ale przekłeta głowa! kochać ciebie to stracony kapitał.

— Idźże kapitanie, pan major się niecierpliwi.

Juljusz tymczasem korzystał z oddalenia dwóch przyjaciół. Nie do serca mu szedł pojedynek, a raczej mogące wyniknąć prawne skutki z zaczepki na publicznej drodze. Urzędowa skarga oficera pociągnęłaby za sobą przykre następstwa dla Wilczka i dla dwóch jego towarzyszków. Zbliżył się do cudzoziemca i raz jeszcze wynurzywszy żale nad niepotrzebnem zajęciem, próbował z jakiej strony uderzyć aby go pierwszego nakłonić do zgody.

Major von Brunnenstein był niewzruszony jak skała.

Juljuszowi zdało się nareszcie, że myśł szczęśliwą uchwycił.

— Pojedynek, rzekł, jest sprawą której lekceważyć się nie godzi; między ludźmi honorowymi, z obu stron powinny być równe warunki. Hrabia Wilczek ma świadków, pan major jesteś sam jeden. Czy nie lepiej byłoby odłożyć na później.

— Zapewne — regulamin przedewszystkiem.

— Sądzisz więc pan?

— Że w obecnym wypadku, lepiej natychmiast rzecz zakończyć. Ją pierwszy raz w tym kraju podróżuję; jadę daleko i przez Galicję nie wracam. Świadka nie mam; to źle, to bardzo źle — ależ panów jest dwóch i jeden z was — pan na przykład — nie odmówisz mi tego zaszczytu. Ufam zupełnie pańskiemu charakterowi.

Juljusz przygryzł usta.

— Żałuję, rzekł — mocno, nieskończenie — że nie mogę służyć panu majorowi, ale oddawna przywykłem wyświadczać tę przysługę memu przyjacielowi i dziś — byłoby mi niesłychanie przykro. — Wiem jednak że podobnym wezwaniom

nie należy odmawiać, i jeżeli pan koniecznie żądasz — ale powtarzam.

— Bynajmniej — pokornie dziękuję.

Niemiec obejrzał się do koła; wzrok jego napotkał Kazimierza, który opodał nie bez pewnego wzruszenia wyglądał końca przygody.

Podróżny poszedł ku niemu; Juljusz mimowolnie także się doń zbliżył; Wilczek i Skalka nadchodzili.

— Byłeś pan świadkiem — rzekł pierwszy, uchylając nieco czapki, wypadku jaki mię spotkał? Jeden z tych młodych panów — zapewne rozweselony napojem —

Wilczek ścisnął pięście, podał ciało naprzód, do skoku niby na pastwę; towarzysze ujęli go za ramiona i osadzili na miejscu. Niemiec ciągnął dalej:

— Nie chcę zresztą wchodzić w powody, dość że zostałem napadnięty, znieważony czynem i słowem. Wypada mi teraz rzecz przywoicie zakończyć. Ci panowie są gotowi. Ja nie mam nikogo; jestem sam jeden. Pojedynek bez świadków niepodobny. — Regulamin przedewszystkiem. Przebac pan że lubo nieznamy, zmuszony jednak koniecznością, muszę odwołać się do jego usług.

Wzmianka oficera o podochoceniu winem, rozdmuchała w Wilczku nowe żary wściekłości. Prawdziwość zarzutu również oburzyła jego przyjaciół.

— Spodziewam się — krzyknął Juljusz po polsku, że pan Poraj nie stanie, przeciw rodakom, w sprawie jednego z wrogów naszej ojczyzny.

— Że nie przyczyni się do rozlewu bratniej krwi — dodał Skalka.

— Chyba, przerwał Wilczek, że zechcesz pan do końca obowiązków dopełnić i ze świadka przejść na grabarza?

— Każ mu pan djabła szukać na świadka — wtrącił Juljusz; wszakże djabeł z Niemca się rodzi.

— Powiedz mu że nie rozumiesz po niemiecku! — Krzyknął Skalka; że świeżo przybywasz z zagranicy i w pojedynki się nie wdajesz.

— Że szanujesz prawa; że kochasz cesarza i boisz się żandarmów — podchwycił Juljusz.

Kazimierz obojętnie przyjął grad mniej więcej niedorzecznych a nawet obraźliwych wykrzykników.

— W podobnej sprawie — odparł niemiecką mową, nie mam do powiedzenia w narzęcu nie zrozumiałem dla obrażonego.

— Dla obrażonego? — żartujesz pan.

— Bynajmniej; takie jest moje sumienne przekonanie. Co do pojedynków, nie tylko że się w nie nie mieszam — jak słusznie mówi pan Dzierżbiński, ale nadto uważam je za szaleństwo, które szalona zniewaga i szalona zemsta mogą tylko usprawiedliwić. Szanuję atoli każdego zdanie. Pan major czuje się obrażonym, wzywa mię na świadka; uczucie własnej godności nie pozwala odmawiać. Wdzięczny jestem za zaszczyt jaki mi czyni, odzywając się do moich usług. Służę panu.

Niemiec uściskał mu rękę.

— Na honor! zawołał Juljusz dotknięty do żywego; od dawna nie słyszałem równie pięknego kazania. Z takim usposobieniem nie popróznysz pan w Galicji. Siła między nami zbłąkanych owieczek, siła zgorszenia!

— Niepotrzebnie wspominasz pan o zgorszeniu, same jego słowa w tej chwili aż nadto wyraźnie mi to dowodzą.

Juljusz pobladł; twarz zaszła mu żółcią.

— Dalej, dalej! — Szepnął Skalka — chodźmy! — Zostaw tego obywatela, to filozof, Djogenes; pošlemy mu w podarunku honorową latarnię.

— A ja mu ognia w niej skrzese — dodał Wilczek półgłosem.

— Panowie, rzekł kapitan wskazując niedalekie krzaki brzeziny — nie mamy czasu do stracenia.

Podróźni oddalili się ku zaroślom i stanęli wkrótce w miejscu, zewsząd przed ludźmi zakrytem.

Rzucono pieniądz; los padł na pistolety oficera.

Pojedynek miał odbyć się do barjery.

O cztery kroki od siebie utkwiono dwie gałęzie; po obu stronach mety odmierzone po dziesięć kroków.

— Władziu, zaklinam cię, rzekł Skalka stłumionym głosem — nie strzelaj pierwszy. Niech djabli porwą i Lewickich

z ich balem i tę godzinę w którą tu przyjechaliśmy. Władziu, daj mi słowo że nie strzelisz pierwszy!

— Uspokój się, odparł Wilczek z pogodnym uśmiechem; przecież nie pierwszy raz wychodzimy na podobne polowanie. Dziś zapolujemy na drapieżne ptaki. Widzisz u guzika pana majora wstążeczkę czerwonego orła? Przypatrz się dobrze abyś po wystrzale znalazł jej miejsce.

Niemiec stał już na mecie wyciągnięty po wojskowemu. Przyzwyczajony snąć do lewej ręki, podniósł ją do góry, skroń zasłonił pistoletem, i zwolna, metodycznie, zamierzał posuwać się naprzód.

Wilczek poskoczył na miejsce ale zamiast naśladować przeciwnika, stanął jak skamieniały, wyciągnął rękę i zmierzył. Juliusz odwrócił się; Skalka zamrużył oczy.

Wystrzał rozległ się po okolicy.

Wilczek wydmuchnął pistolet, podszedł ku mecie, oparł się jedną ręką o gałąź, drugą szeroko roztworzył jakby dla przyjęcia odpowiedzi.

Niemiec opuścił broń, tłoczył pierś prawą dłonią, oczy w śtup zataczał, chciał naprzód postąpić — upadł; zebrawszy wreszcie siły podniósł się na jedno kolano, wodził drżącą lufą po przeciwniku i strzelił.

Kula świsnęła Wilczkowi nad głową.

Wszyscy poskoczyli ku rannemu; krew z piersi buchała mu obficie; orderowej wstążeczki nie było ani śladu; widno uwięzła w ranie.

Kazimierz przykląkł, wsparł oficera na sobie, chustką ubieg życia mu tamował.

— Nieszczęsny wypadek! zawołał Skalka; szatan nas przyniósł na tę przeklętą pocztę! Trzeba go przenieść. Dalej! — weźmy się we trzech!

Juljusz zawinał rękawy.

Niemiec otworzył oczy, spojrzął po obecnych; widząc że się doń zabierano, machnął ręką na znak przeczenia i objął Kazimierza za szyję.

— Dajcie mu panowie pokój! — rzekł z gniewem ostatni. Widzicie że odpycha szaloną dłoń, dla której igraszką pierwsze lepsze życie. Ja sam się nim zajmę; ja przy-

najmniej nie obawiam się go upuścić; we krwi się nie poślizgnę.

Przy tych słowach, krzepkiemi ramiony ujął rannego w pół, złożył go troskliwie na rękach i jak zwarjowany spieszył z nim ku gospodzie.

Wilczek wzrok w ziemię utopił; nie mógł oderwać oczu od krwawych plam, od kropel krwi kołyszących się na ziało. Słuchał, ale nie słyszał gorzkich wyrzutów Poraja; patrzył ale nie widział; tonął w odmęcie myśli ale nie myślał.

Towarzysze jego stali pogrążeni w dumaniach; rzekłbyś że zakłętę potęgi przykuwały ich do miejsca.

Juljusz pierwszy ocknął się i przerwał milczenie.

— Stało się! — zawołał klaszcząc w dłonie — nie ma o czem myśleć. Tak dobrze on ciebie, jak ty jego mogłeś trafić. Przypadek i nic więcej.

Wilczek przesunął rękę po czole, rozpogodził oblicze, zastydzony nieco i lękający się aby chwilowe zamyślenie nie otworzyło pola posądzeniom go o śmieszne uczucie żalu, o romansowość.

— Piękny mi przypadek — rzekł Skalka — o dwadzieścia pięć kroków, z nieznanego pistoletu, wpędzić w ciało naprzód oznaczoną wstążeczkę. Uniżony sługa, mój Władziu, bądź pewny że strzelać się z tobą nigdy nie będę.

— Niemiec zapewne toż samo powtarza — wtrącił Juljusz — jeżeli tylko doniósł go żywcem nasz smorgoński akademik.

— Młodzik nie w porę zjechał do Galicji; mógł był sobie w Rzymie pozostać. Prawi jak z książki; za rok byłby wstrzychnął się na kardynała. Żal mi go! będzie musiał na nowo u nas rozpocząć nauki.

— Nie troszcz się o niego, kapitanie — rzekł Wilczek zupełnie rozweselony — młody, ma czas przed sobą; wreszcie nie zabraknie mu na nauczycielach.

— Zapewne! — mógł się o tem przekonać z dzisiejszego strzału. Co mówisz, Juljuszu?

— Szczególniejszy panicz! bodzie językiem jak rogim.

— Nie radzę mu zbyt wiele się szastać, jeżeli chce aby mu nie przycięli pierwszego a nie stąpili drugich — ciągnął

zwolna Wilczek, wpatrując się w zegarek. — Wysaliśmy o samej dwunastej; jest teraz dwadzieścia minut na pierwszą; mieliśmy dwie godzin czekać na konie; śpieszmy! zyskaliśmy przeszło półtorej godziny. Staniemy na czas we Lwowie.

— Prawda! do stu granatów! — Mówił Skalka z wymuszonym śmiechem — zapomniałem o koniach, o naszej zdobyczy. Pan major cierpliwiej teraz poczeka. Dotrzymałeś słowa, Władziu, nam i tej której obiecałeś pierwszego mazura; nie spóźnimy się na bal.

Wilczek roześmiał się, ruszył ramionami, i wszyscy trzej podążyli ku poczie.

W gospodzie, Kazimierz przeniósł rannego do osobnej izby, złożył na łóżku; zajął się usługami jakie wskazywały mu doświadczenie lub wiedza.

Rozpiął na nim odzienie, wodą i octem okładał ranę, na własną nawet odpowiedzialność, z ramienia krwi mu upuścił.

Odprężono od bryczki najdzielniejszego konia, jedną z trzech przyczyn nieszczęsnej walki; pocztyljon co'duchu poskoczył do pobliskiego miasteczka po lekarza.

Oficer długo leżał jak martwy; po upuszczeniu dopiero krwi podniósł powieki, zakołował błędnym wzrokiem, poznał Kazimierza i wyciągnął ku niemu bezsilną dłoń.

Zaimprovizowany chirurg, gestem nakazał mu spokojność i dalej w milczeniu ciągnął swoje starania.

Po dwóch przeszło godzinach, przyjechał lekarz. Obejrzał ranę. Kula głęboko utkwiała tuż nad sercem i co goręza, wpędziła z sobą cząstki sukna a zapewne i nieszczęsnej wstążeczki. Chory wymagał dzielnej pomocy i jak najbłęgiejszych środków sztuki.

Lekarz, dawny znajomy Porajów, przyrzekł na chwilę go nie opuszczać, nie szczędzić zachodów i starań; za skutek atoli nie zaręczał.

Kazimierz, w razie nieszczęścia, przyjął na siebie wszelkie wydatki; kilkakrotnie powtórzył aby ich nie szczędzono i w potrzebie posłano, czyli to po chirurga, czy po drugiego lekarza. Następnie, widząc że obecność jego na mało mogła choremu się przydać, ze ściśnionem sercem ruszył ku Lwowu.

W stolicy połączonych królestw Galicji i Lodomerji, gęsta sława uwijała się po ulicach i domach, z wieścią o rycerskiej przygodzie Wilczka.

Młodzież kupiła się koło bohatera, wynosiła pod niebiosa zręczność, odwagę z jaką przywódca jej umiał zmuszać do respektu wrogów ojczyzny, Niemców.

Nazajutrz po balu u Lewickich, patryjoci wydali Wilczkowi huczne śniadanie. Patrjotyzm, jak się przekonywamy, po swojemu rozumiano i nie tanim opędzano kosztem. Pito do upadłego. Polowanie na czerwonego orla, podało treść do głównych toastów.

Skalka i Juljusz nie mogli opędzić się ciekawcom. Oba, po sto razy musieli opowiadać też same wypadki. Szczęściem, kapitan miał żywą wyobraźnię; za każdym razem niektóre szczegóły odmieniał, inne pomijał, nowe dodawał. Przy końcu nawet śniadania, tak dalece był się zapomniał, że przez chwilę trafny strzał sobie zaczął przypisywać.

Zbłąkany język zwrócono miłosiernie na drogę prawdy.

Towarzystwo atoli, w ocenieniu przygody, o ile można, unikało stronności. O Niemcu mówiono że tego się spisał, zwłaszcza jak na Szwaba; przeciw Kazimierzowi natomiast, zewsząd wznosiły się głosy oburzenia. Skalka oskarżał go o rozjątrzenie zajścia, o pogardliwe uśmiechy jakie z kolei rzucał na zwaśnionych. Juljusz, cieniem własnej niechęci barwił zlekka słowa Poraja, wydrwiwał napuszone morałami jego odpowiedzi; litościwie przytaczał zdanie że pojedynek jest szaleństwem; tajemniczo wspominał o łatwości z jaką Prusak, Niemiec, jeden z trzech katów ojczyzny, doszukał się obrońcy i świadka.

Obecni starali się oczyścić prawdę z tumanu dodatków. Każdy własnymi uwagami dopełniał i wyjaśniał sąd o Poraju.

Pan Kazimierz dziwny w istocie był człowiek. Na publicznych zabawach trzymał się na uboczu; zgromadzeń, obiadów, pohulanek młodzieży unikał; znalazłszy się przypadkiem na śniadaniu u Miera, dwa razy toastu «Kochajmy się» odmówił. Nie było wątpienia: gardził swoimi.

Ostatnia przygoda, pośpiech z jakim ujął się strony Niemca, dawały wiele do myślenia.

Rząd austriacki szukał zwolenników i znajdował ich we wszystkich klasach społeczeństwa. Ciężkie nastawały czasy; rodzonemu bratu trudno nieraz było zaufać. Długi pobyt za granicą często zupełnie zobojętniał względem ojczyzny. Nie jeden wyjeżdżał Polakiem, wracał kosmopolitą czyli wyraźnie mówiąc, zagorzałym stronnikiem s. przymierza.

Podobne wyziewy z bagnisk publicznej opinii, pełżyły zwolna ku stopom niedawnego gościa w rodzinnym kraju.

Jedynymi objętnikami, tak na rycerskie dzieła Wilczka jako też na zatajone nieprawości Poraja, byli ludzie zabrnięci w rzeczywistość, niemający czasu oddawać się fraszkom, a których w tej chwili inny wypadek w osłupienie wprowadzał.

Sokolnik zjechał do Lwowa, i zamiast uledeć pod ciosami licznych wierzyieli, wystawiał na świat weselsze, zuchwalsze, niż kiedykolwiek oblicze.

Magnat, ze spiknionymi na jego zgubę, odegrał szczególną komedję.

Pierwszego dnia po przyjeździe, wyszedł na ulicę z twarzą srodze zakłopotaną; widocznie znękany przyjął u siebie jednych, odwiedził sam drugich rewersowych napastników.

Żalowano go że nie miał w sobie nic gladjatorskiego, że z godnością umrzeć nie umiał.

Sokolnik wyjąkał bojaźliwie prośbę o zwłokę, o cierpliwość.

Odpowiedziano mu na nutę zapalczego chóru bachantek, rozdzierających Orfeusza.

Grzmiał zwłaszcza głos Dahlmana.

Bankier urządził już w myśli przyszłe rozgoszczenie się w majątku, obliczał możebne przedsięwzięcia, poił się nowo nabytym znaczeniem rozległego właściciela, kołysał nadzieją pozyskania tytułu, gdy w tem Sokolnik, wbrew umowie, rozbił mu czarowne sny, kładąc za przyczynę opór żony, która obyczajem heroin wolała raczej zginąć niż się poddać.

Dahlman zanosił się od gniewu, o zwłoce słyszeć nie chciał; chociażby ze stratą ostatniego grosza należytości, poprzysiągł natychmiast przystąpić do wywłaszczenia.

Inni wierzyciele odeszli wykrzykując po trzykroć straszne hasło — wywłaszczenie!

Przebrała się miara ich cierpliwości; pozostawały im ostateczne tylko środki, chociaż skądinąd wiedzieli że publiczna sprzedaż majątku, ukrywała się za długim dopiero szeregiem strat, prawnych zwłok, procesowych kosztów.

Sokolnik rozszrotywszy tak całą zgraję, wziął się do pojedynczych obrotów z każdym poszczególnie z wrogów. Każdemu z osobna i pod tajemnicą tłumaczył niekorzystne dla obu stron skutki wywłaszczenia, każdego natarczywie upraszał o zwłokę, aż nareszcie przywieziony oporem do ostateczności, przyznawał się skrycie do posiadania szczupłego zapasu gotówki: przeklinał innych wierzycieli, temu zaś, którego miał przed oczyma, ofiarował korzystny układ.

Gniew za gniew, łaska za łaskę! Kto wlece przed sąd, ten niech czeka dopóki prawo nie raczy, po latach, rzucić mu ogryzioną kość. Przeciwnie — na przyjacielskiej drodze, zgodziwszy się na małoznaczne ofiary, obie strony mogły rzecz ukończyć spiesznie, uczciwie i bez straty.

Wierzyciele, huczem wprawdzie wyruszali na jednego samotnego wroga, ale wspólny cel wyprawy, między szeregiemi bynajmniej nie rodził wzajemnych uczuć. Każdy widział w towarzyszu jednego z współuczestników w podziale łupów, jedną z przyczyn własnego frasunku; każdy dla własnego ocalenia pod resztą obozu chętnie byłby ziemię otworzył; każdemu ofiary Sokolnika przedstawiały podwójną rozkosz zostawienia innych w kłopotcie, unosząc samemu całkowitą prawie własną należytość.

Człowiek chciwie połyka haczyk, ile razy na końcu wędy postrzeże przywilej, czyli wyłączną jaką, jemu tylko jednemu właściwą korzyść.

Sokolnik, od świtu do późnej nocy, obiegając z kolei napastników, po kilku dniach pracy, był w stanie ukazać Piotrowi długi regestr układów uwieńczonych nadspodziewanemi zyskami. Apokaliptyczna bestja lichwy, zręcznie uchwycona za gardło, oddała część łupu.

W układach atoli, nie było dotąd nic urzędowego. Niektóre strony pozawierały je w przekonaniu, że magnat jeszcze

raz nie dotrzyma słowa, że wywłaszczenie swoją drogą nastąpi; przypadek nadto mógł odkryć tajemnicę, i w jednej chwili porozrywać oka biegle zarzuconej siatki.

Trzeba było czempredzej korzystać z okoliczności.

Piotr dzierzył na pogotowiu znaczne summy swojej gotówki. Magnat wyładował nią powóz, wyjechał z rana na miasto i wrócił wieczorem z pękiem martwych rewersów.

Dahlman wpadł w matnię jako i drudzy.

Widok brzęczącej monety, uroczysta obietnica, w przeciągu roku wyjednania mu tytułu, pocieszyły go z chybionego kupna i okroiły znaczną część jego roszczeń.

Sokolnik był zbawiony. Z ciemności zatrąty, wydostawał się od razu w kraj pełen powietrza i słońca.

Piotr ręczył że przy umiejętnym zarządzie, dobra magnata w przeciągu szczęściu lat z łatwością powrócą mu pożyczkę i znowu zajaśnieją jako pierwszy na całą Galicję majątek.

W kilka dopiero tygodni fortel zaczął na jaw wychodzić. Nie pojmowano gdzie Sokolnik odkrył tak obfite nurty Paktołu. Opatrzyli się wierzycciele ale za późno! Gniewni i zawstydzeni, że dali się pochwyć w zasadzkę zastawioną przez człowieka na pozór niedoświadczonego w handlowych obrotach, umilkli i pocieszali się wzajemnem jeden drugiego zaślepieniem.

Jeden Dahlman trząsał głową i domyślał się, że dłużnik był tylko narzędziem w dłoni po mistrzowsku wyćwiczonej. Zaciśnął usta i czekał czyje nazwisko wypełźnie samotnie na oczyszczonej z tylu innych hypotekę. Czekać zaś musiał chociaż się niecierpliwił, pomimo bowiem poufalej zażyłości z jaką Sokolnik na wsi go był ugaszczal, od chwili spłacenia długów, bankier mniej śmieie ujmował go pod ramię, nawzajem zaś magnat z partesu nań poglądał i nie zawsze kazał przyjmować.

Z obawą o niezależność bytu i o skutki haniebnego bankructwa, uleciało wiele dawnej, uprzejmości i pokory. Skoro tylko Sokolnik upewnił nogę w strzemieniu, wnet, wskoczył na grzbiet wielmożniczym obyczajom, rozpuścił cugle, pędził po uwygodnionej mu drodze, traktując je-

dnych, pryskając błotem na drugich, z góry patrząc na wszystkich.

Z niedawnych trosk i niepokojów została mu jedynie pamięć nieprzebaczonego na chwilę braku zaufania w swoją gwiazdę. Wolno było rozpaczać zagonowej szlachcie lub miejskiemu przemysłnictwu; dla tych na jedno wychodziło poślizgnąć się a upaść i przepaść. Ale on! — pan z panów, dźwigacz znakomitego nazwiska, tytułów, cesarskich godności, czyliż w obec losu i ludzi, z urodzeniem nie przynosił prawa do przywileju? Piotr o tyle zasługiwał na jego wdzięczność, o ile wyprzedził był inne środki, jakie opatrność musiała bez zawodu trzymać na pogotowiu dla ocalenia jednego z swoich wybranych. Zaguba magnata byłaby istnem zgwałceniem praw natury.

Tu dodać należy, że w przekonaniu Sokolnika opatrność mogła była uczynić rozsądniejszy wybór w narzędziach rątku. Przyszłe związki między hrabią imperium a rodziną Porajów, były widocznym anachronizmem. Bóg tyle już dokonawszy dla dygnitarza, mógł być zesłać mu wybawienie pod dogodniejszą postacią. Jak na złość, wyczytano w gazetach że szambelan Fürstemberg został mianowany asesorem tajnej rady cesarskiej. Z assessora na radcę, z radcy na ministra — nie daleko. Sokolnik byłby z radością wydał córkę za przyszłego kolegę księcia kanclerza, ale rzetelność przede wszystkim; wiązało go dane Piotrowi słowo, tembardziej, że w razie zgwałcenia obietnicy, szlachetny wybawca mógł łatwo przedzierzgnąć się w nieubłaganego wierzyciela.

Kość padła! Trzeba było do dna czarę wychylić.

Małżeństwo córki świetne zapewniało mu korzyści. Oczywistem szaleństwem było zrzekać się ich dla kilku przykrych chwil, jakie miały mu sprawić złośliwe przygryzki i zadziwienia ludzi równego rodu i godności. Magnat przygotował się dla nich na niezbitą odpowiedź. Anomalje zdarzają się w świecie. Córka jego schła z miłości ku rozkochanemu w niej szlachcicowi pospolitej krwi. Sokolnik nie czuł w sobie dość siły na Brutusa feodalnych przekonań. Przywiązany ojciec, przeniósł życie jedynaczki nad śmierć jej pod suto

wyherbowanym całunem. Wreszcie, czyliż życie rodziców nie jest ciąglem pasmem poświęceń dla dzieci?

Rodzice Marji poświęcali się dla niej bez granic.

Stosownie do umowy, Kazimierz i Marja nie marzyli nawet o układach pieniężnych, zaszytych między Sokolnikiem a starszym Porajem. Hrabia atoli, od niejakiego czasu, w obecności córki, tak nieustannie rozwodził się w pochwałach nad Kazimierzem, że Marja łatwo odgadła strojność woli rodziców, z własnymi jej uczuciami.

Z drugiej strony, Piotr nie mógł ukryć przed bratem swoich odwiedzin, wychwalał przed nim Sokolnika, unosił się nad Marją; tajemnicy wprawdzie nie zdradzał, ale uśmiechem, wzrokiem, dwunacznymi wyrazy, ciągłą namową do uczęszczania w dom magnata, wyraźnie dawał poznać, że rodzice hrabianki nic mu nie mieli do zarzucenia.

Młodzi ludzie tymczasem, nie wywołując całe ostatecznych zwierzeń, radem uchem słuchali pośrednich zachęt. Kazimierz wkrótce stał się domownikiem rodziny lubego dziewczęcia; wchodził do domu o każdej porze i zawsze równie uprzejmie spotykał oblicza. Biada mu było, ilekroć poważał się dzień na zewnątrz rodziny przepędzić. Sokolnik przyjmował go jak marnotrawnego syna; Sokolnikowa gromiła męża za zbytęcną łagodność, udawała że podobne obejście nie zasługiwało na przebaczenie; Marja jedna zapominała o wszystkim; obecność Kazimierza nie pozwalała jej na chwilę pomyśleć ani o przeszłych smutkach, ani o niepokojach na przyszłość.

Wykroczenie atoli pociągało za sobą karę. Sokolnik zatrzymywał winowajcę na obiad; Sokolnikowa na przejażdżkę w okolice miasta; Marja jedna nic nie mówiła, ale Kazimierz pomimo to, późną dopiero nocą wracał do siebie.

Dygnitarz zaczynał ściągać na siebie powszechną uwagę.

Dwie sprzeciwności fałsz zadające całemu jego życiu, jakskrawie odbijały na dobrze znanem tle jego przekonań.

Magnat płacił długi, i zamiast świecić bakę wysokim urzędnikom, zamiast przestawać z potomkami rodów równie zasłużonych w trzech rozbiorach Polski, kumał się za pan brat

z prostym szlachcicem, którego przodkowie i koligaci, otwarty bój niegdyś wiedli z Targowicą.

Świat do dna się przewracał.

Należy jednak wyznać że w podziwie miejskich i przyjezdnych, spłacenie długów pierwsze trzymało miejsce.

Sokolnik znowu stawał na czele świetnego majątku; córka jego błyskała jako hieroglif wyrażający nie tylko wielkie nazwisko ale i znakomity posag. Spółobywatele podwoili ku niemu szacunek, urzędnicy pokłonów, kupcy czolo-bitności; młodzież odkryła w Marji źródło nowych zalet i wdzięków.

Zażyłość Kazimierza tem więcej rozdrażniła przeciw niemu zalotników do ręki pięknej hrabianki. Postanowiono wszelkimi sposobami tajemnicę na jaw wydobyć, zamiary i położenie Poraja względem Sokolnika, w prawdziwym świetle oznaczyć.

Juljusz wyprawił się na zwiady. Pędziła go powszechna ciekawość, obietnica dana towarzyszom wyświecenia rzeczy i własne widoki jakie zrodziła w nim wieść o nowo odkrytych bogactwach dygnitarza.

Juljusz obległ naprzód Sokolnika, którego wewnętrzna radość każdemu otwierała wolniejszy niż kiedykolwiek przystęp. Poddał mu do woli upajających dymów z dworackiej kadzielnicy, zgręcznie przytulił się pod skrzydła jego wielkości i na pół obojętnie, niby mimochodem, kilka razy uczepił pytanie o Poraju.

Sokolnik stanowczo wynurzył swoje zdanie w sposób dla Kazimierza tak zaszczytny, tak pochlebny, że nie podobna było pomyśleć o cieniu podejrzenia, o możebności wślizgnięcia mu najsztubtelniejszej potwarzy.

Juljusz udał że zdanie Sokolnika jest wiernem odbiciem własnego jego sądu.

Z hrabiną sprawa była łatwiejszą.

Za pierwszym pociągnięciem sznurka, Sokolnikowa odśpiewała swoje kuranty. Kazimierz był dla niej urzeczywistnieniem ziemskich doskonałości.

Zostawała Marja.

Juljusz ruszył do niej w zaloty. Nadskakiwał zwykłym

trybem, wynosił jej piękność pod niebiosą, zawracał oczy i wzdychał nad jej muzyką, przejeżdżał konno pod jej oknami; w mieście, za miastem nie opuszczał jej śladów; na wieczorach, oparty w kącie, odosobiony, z włosami w nieładzie, z wyciągniętą twarzą, toczył po niej chmurnym wzrokiem, dając jej poznać wulkan uczuć jaki rozdzierał mu piersi.

Marja, z początku cierpliwie go znosiła; pochlebstwo, zkażdokolwiek pochodzi, zawsze mile dźwięczy w uszach kobiety; wkrótce jednak wezbrała miara; młoda dziewczyna uczuła się prześladowaną.

Odtąd, niewczesnemu zalotnikowi każdą odpowiedź zaprawiła trucizną; gorzko szydziła z jego postawy, z wzroku, z każdego gestu, chciwie rzucała się na każdą sposobność upokorzenia nienawistnej sobie istoty. Zdaje się że musiała matce nawet napomknąć o zamiarach Juljusza, wkrótce bowiem Sokolnik patrzył prawie nań nie chciał; hrabina zaś udawała że nie słyszy jego zapytań.

Kazimierz zagarniał całe żniwo uprzejmości i względów w domu magnata.

Juljusz, z pędzonego wewnątrz jadu, w kłębek się związał. Nie było wątpienia! — człowiek ten, którego za często pozynał na drodze swojej spotykać, i tu jeszcze gniótł go nieusprawiedliwionem szczęściem, urojoną wyższością. Na samą tę myśl, odprawiony z kwitkiem zalotnik, zaciskał pięści, zażarty wzrok w przyszłość zapuszczał, schnął od pragnienia odwetu.

Wprzódę atoli nim los miał mu przychylić do ust czarę zemsty, tej bogów roskoszy, Kazimierz i Marja pełnemi usty poili się roskoszą mniej olimpijską, roskoszą czysto ziemską, prawdziwie ludzką.

— — — — —

Oddawna już wiedę was po manowcach mojej powieści. Ani sobie, ani wam nie dałem jeszcze wytchnienia. Do koła ciemno i smutno. Wicher jasnovidnej rozpaczy pędził nas na ciernie tylko, na głogi! Ile razy chciałem wywieść was na słońce, na wiosenne widoki, ilem razy pokusił się dla was o miłe wrażenie, dla siebie o chwilę spoczynku, ile razy pragnąłem zastawić biesiadę godną spragnionych dobra duchów —

szum nietoperzowych skrzydeł slyszalem zawsze nad glowa, harpja rzeczywistosci, zlowroga rybitwa niecnoty, jak piorun na stol ucztowy spadala. Rostruchany polyskujace nektarem, nagle zapienialy sie trucizna. W zakrwawionem sercu maczalem pioro, a nieraz chcialem je podruzgotac, ale przeznaczonem mi bylo do konca wycierpiec meke.

Zbolaly szedlem dalej.

Zeby choc promyk blegitu — mowilem — zeby choc listek bladego kwiatka na znak, ze nie wszystko jeszcze wywidlo, zeby choc jeden daleki krzyk leśnej ptaszyny, na znak ze nie wszystko wymarlo, zeby na chmurnem niebie choc jedna gwiazdeczka, o ktora by mozna uczepic nadzieje, choc jeden ognik zwodziciel, niby bledzaca iskra uczucia.

Gdy tak zarliwie modlilem, znekany strasznie na duszy, z toku powiesci wypadlo, zem trafil strung dziewicza i posrod zgrzytow zwatpienia, taka zbudilem harmonje, jak anieli zawodza, gdy w wiecznym hymnie milosci, przeczystym ogniem goreja. Wiece powitalem zbawczynje, orodowniczkę spokoju, i chcialem reszte mej rzeczy w blagich jej dzwiekach zatopic — lecz czy mi dotrwa, sam nie wiem.

Patrzcie i sadzcie!

Mlodosc swiat im teczuję, swiat przez nich wymarzony, swiat wlasny, cale rozny od tego gdzie prowadza nas geografy lub wloka dziejopise. Uczucie prawdziwe, jak bezsennej nocy goraczka, gwałtowne jak uderzenie krwi do mozgu, tesczne i rzewne jak lzy powitania matki z najmłodszym dziecikiem, wiedzie ich w najbielszy z trzech krajow gdzie podobna sila wiedziony, wstapil niegdy wielki wieszcz Gibelinow. Kraj to, gdzie rzadki szczesliwiec raz tylko w zyciu zachodzi, a zkad zawsze niespodziewanie i zawczesnie powraca. Uluda, daje tam ciało mglistym owym majakom, jakie gawiedz popolicie zwie szczesciem. Tam, ukochana nad wszystkie, dla kochajacego staje się nadludzkiem stworzeniem, ideałem, Beatricą, aniołem. Tam ostateczny cel czlowieka na ziemi lub za ziemia — doskonałość — w jednej chwili się urzeczywistnia; wdzieki i zalety scinaja się w ksztalty niepozyte wiekami — tam, byle tylko nie zabraklo wzroku i sluchu

i w piersiach oddechu, nieskończenie możnaby w tenże sam przedmiot patrzeć i słuchać go i w bezmiar czasów, pofolgować lubym łoskotom serca. Tam, ukochany nad wszystkich, dla kochającej, wcieleniem marzeń oddawna ściganych po wieczornych błękitach, jedynym wyrazem prawdy i moralnej ducha potęgi, mężnym nad najśmielszych, zdolnym nad najmędrszych, wyższym nad najwznioślejszych. Jedna jego wada stokroć więcej warta niż tysiączne innych zalety.

Gdy zaś oboje spojrzą w przyszłość i złączonemi na wieki się zobaczą, wtedy nic już nie widzą, tylko bezdenną czarę nadziemskich roskoszy, długi hymn w nieskończoność z każdą chwilą wzmagającego się szczęścia. Zaczem, milczenie pełne słów i słowa bez związku, i mądrość wykwitająca z różanych listków uśmiechu, i pustota na dnie poważnej prawdy, i męski zapal roziskrzony w łzawych oczach niewiasty, i niewieścia rzewność rozlana na obliczu męża — i znowu potem milczenie, i każde słucha szeptu własnej myśli, i daje niesforne odpowiedzi. Więc ona weseli usta a marszczy czoło, więc on przeprasza, w oczach bada przebaczenia, ale zgoda naprzód już rozproszyła kłamane gniewy; oczy powtarzają nie żal ale dawne a jedyne serca nadzieje.

Przez wszystkie potęgi nieba i ziemi! na Boga Wszchemogącego! Dopóki glob ten w czerepy nie pryśnie, póki człowiek na pośmiewisko gwiazdom będzie udawał najdoskonalsze stworzenie — dopóty, kto jedną podobną chwilę — perłę w odmętach życia wynalazł, ten nie będzie miał prawa gonić dalej za szczęściem lub więcej na los wyrzekać! Pierwszego już doznał; dalszą niedolę na zawsze mu opromieni wspomnienie.

Zaprawdę, podobnych, choć tak przelotnych błysków szczęścia mniej w życiu, niżeli z własnego niby doświadczenia niejednemu się wydaje. Komu pierś schorzała, ten przysięga że brak na ziemi powietrza; ślepemu słońce nigdy dość jasno nie świeci. Inni stojąc śród drogi szukają gościńca; tamci po zaćmieniu księżycy biegają do gwiazdarni oglądać zjawisko.

Teraźniejszość! — Teraźniejszość, jedna z najrzeczywistszych prawd, powszechnie nieuznana i nieoceniona, odą

jak pewien filozof, który żył między tem tylko co zdało się mu że wynalazł, a tem co chciał wynaleźć, zawyrokował że w czasie mieszczą się — przeszłość tylko i przyszłość. Życie zatoczyło się odtąd między pamiątkami a nadzieją, tak że u kresu zostaje tylko pamiątka wielu nadziei i nadzieja że nie będzie już więcej pamiątek. Precz więc z jedną i z drugimi! Niech giną na ołtarzu teraźniejszości dobroczynnego Bóstwa, gwoli któremu widzę dwoje przynajmniej szczęśliwych; słyszę jak dziewczyna z pochyloną piękną głową, szczęśliwa a nieświadoma siebie, szuka światła na dnie ciemnej przeszłości i pyta czyli szaleństwem jest marzyć i chcieć w życiu szczęścia?

Szczęścia? — Mówi w duszy Kazimierz; ach po co go szukać, po co się za niem upędząć? — Ono jest przy nas.

Marja czeka na odpowiedź; wreszcie z rozniecierpliwionym uśmiechem ponawia pytanie. Poraj zakrył ręką oczy i zbierał myśli, rozprzężone długim widokiem czarownego oblicza.

— Zależy to, rzekł, od naszego sposobu pojmowania tego co nazywamy szczęściem. Dla mnie szczęście a spokój jedno znaczą.

— Jakto? — Spokój! życie jednostajne, bez wzruszeń, bez celu?

— Nie — nie; spokój a letarg, spokój a byt roślinny — zacięte na siebie przeciwniki. Co ja rozumiem pod szczęściem, trudniejszym może do urzeczywistnienia niż ta nienasycona dążność za pomyślnością, o jaką ogół się ubiega. Dorastać zawsze wypadków, burzom stawiać pogodne czoło, umieć dla godności człowieka poświęcić wszystko, nawet miłość — nie zachmurzaj się pani: niegodny nie kocha i nie wart kochania — znać prawdę, rzucać przed siebie wolę i dążyć prosto do jej spełnienia, nakoniec — jeżeli się jest we dwoje, ukochać w żonie swojej towarzyszkę ciężkich trudów, niebezpiecznych celów, poświęceń wydzierających się za obręb wedwójnego samolubstwa — oto warunki tego spokoju który nazywam szczęściem.

— A które, według tego co słyszę, odrzekła Marja, jest w naszych rękach. Nie myślałam nigdy aby w naszych cza-

sach, człowiek chciał i mógł tyle doznać i przedsięwziąć. Ależ w takim razie aby zdobyć sobie szczęście, dość podostatkiem mieć woli. Dla czegoż więc do koła wszyscy żalą się na los, jeżeli spokojem można na wieki zasłonić się przeciw nieszczęściu? Czy prócz nas samych, nikt inny, czy nic więcej, na dolę naszą nie wpływa?

— Chcesz pani wiedzieć czy nad samodzielność człowieka, są jeszcze w świecie inne jakie potęgi? — Dziwne, dziwne pytanie! — Szczególniejsze budzi we mnie pamiętki.

Kazimierz zadumał się, spuścił oczy i machinalnie obracał na małym palcu złotego węża, który niezręcznie ukutymi pierścieniami, utrzymywał z czarnego kamienia małą czworoboczną tarczę.

— Mówże pan! — Nie pozwolę zbyć mię milczeniem — zawołała wesoło dziewczyna. W wężu szukasz pan rady? Niepiękny doradca, wiedeński nasz jubiler byłby go lepiej wykończył. Staroświecka robota! Mylę się — to nie wąż doradza; radzi jak widzę dewiza wyryta na kamieniu.

Srebrny głos Marji rozleciał się w gammę wesołego śmiechu.

Poraj uległ przykładowi.

— Prawdziwa córka Ewy — rzekł powstając — nie może spojrzeć na węża żeby nie chciała zapytać go o radę! Nam, synom Adama, wąż nic nie ma do powiedzenia. A jednak pani odgadłaś. Zapytanie, czyli są w świecie niedocieczone jakie potęgi, mimowolnie zwróciło moją uwagę na ten niezgrabny pierścionelek. Wybiegły mi na pamięć długie rozmowy z dawnym jego właścicielem. Przeczając nieszczęściu, bluźniłem przeciw prawdzie, zapomniałem dozgonnej przyjaźni i moich nieukojonych żalów i jego nadludzkich cierpień.

Ostatnie słowa boleścią łamały rys po rysie Kazimierza na twarzy; głęboki smutek wyrzał mu z oczu. Żal niewczesnego śmiechu ścisnął Marję za serce; i na jej piękne czoło, genjusz tęsknoty rzucił cień swoich skrzydeł; poczuła winę i zarazem żalną ciekawość wypadku, który w mało znacznym na pozór przedmiocie, więził tyle uczuć.

Więc błagalny wzrok topiąc w pośepnem licu młodzieńca,

wyciągnęła po żebracemu dłoń i stanęła niby posąg pokory i prośby o miłosierdzie.

Kazimierz zrozumiał gest, zdjął z wolna pierścionek, złożył go na różanem wezglowiu ale dotknąwszy lubej ręki, zatrzymał ją i w milczeniu do ust przycisnął.

Splonęły rumieńcem dziewicze jagody; Marja z tajemniczą obawą końcem palców ujęła pierścionek.

W istocie, kształt i robota, w niczem do zwyczajnych niepodobne, zdawały się sięgać dalekich lat, a może i dalekich krajów.

Kamień, przytarty nieco długiem użyciem, nosił na sobie kręcone znaki, zupełnie od chrześcijańskich pism odmienne.

— Czy te litery mają jakie znaczenie? zapytała po chwili Marja.

— Nie inaczej; jest to wyraz maurytański, znaczący «przeznaczenie, fatalizm.» We właściwem narzeczu, wymawia się Al-khadar.

— Al-khadar! — powtórzyły z wolna purpurowe usta dziewczyny. Słyszałam nieraz że wschodni ludzie noszą talizmany i wierzą w nie; że jedne strzegą ich od nieszczęść, drugie utrzymują przy zdrowiu, inne, jako ten naprzykład, wywołują smutek. Nie lubię tych otatnich.

Kazimierz gorzko się uśmiechnął.

— Talizmanem smutku, rzekł, jest serce nasze i pamięć. Pod tym względem, pierścionek ten i do jednego we mnie i do drugiej się odzywa. — Przed kilkoma laty, we Włoszech — —

Poraj schylił głowę, zadumał się, skinął ręką jakby na powrót chciał wtłoczyć boleśnie wydzierające się wspomnienie.

— O mów pan, mów! — smutek lżejszy we dwoje.

Jakiemiż oczami na niego patrzyła!

— Przed kilkoma laty, w Neapolu, przypadek zbliżył mię do jednego z tych ludzi, z jakich historia wolności układa kalendarz swoich świętych.

Pokrewni wiarą i przekonaniem, żyliśmy długo razem. Złączyły nas też same nadzieje.

On pracował nad tem u siebie, o czem ja marzyłem dla własnego kraju. Ale on działał; ja żyłem dopiero w obłokach.

Wiele winienem temu spotkaniu, wiele dowiedziałem się rzeczy.

Myśl moja, ze sfer wiedzy i sztuki, zstąpiła na jasne pole rzeczywistości. Ogólne teorie, ubiegłe dzieje, wystąpiły przedemną w żywych a dotykalnych kształtach obecnych stosunków między ludźmi. Przedtem domyślałem się wielu cierpień; wówczas położyłem palec na ranie. Zrozumiałem tajemne znaczenie niejednej kropli krwi przelanej; odgadłem prawdziwe słowo głucho dochodzących mię jęków.

Człowiek ten zerwał mi z oczu zasłonę; ukochał mię całym sercem — jak gdyby w mojem do dna był się przejrzał.

Miał słuszność!

Przyjaciel mój, coraz głębiej posuwał zamierzone dzieło.

Dotąd nie pojmuję kiedy znajdował czas na wypoczynek. We dnie, wiódł przed ludźmi spokojne życie postrzegacza — artysty — magnata — lazaroną. W nocy, roziskrzył się wraz z gwiazdami; z gorączkowym zapędem rozpisywał listy, dawał zlecenia, wysyłał posłańców, przemykał się na umówione schadzki, przyjmował u siebie tajemniczych ludzi.

Ku zachodowi słońca, wychodziliśmy zwykle nad morze. Gwar ludu miłą mu był muzyką; bawiły go zwłaszcza rybackie połowy.

— Widzisz, mówił mi pewnego razu, skrzela tej sieci? toń do koła niemi orzucona; zdala szyba wód lekko się marszczy; matnia w głąb zapada; zdobycz pewna! płóć nawet nie ujdzie połowu. Taką samą tonią nasze piękne Włochy; na dnie jej atoli leże się cudzoziemczy płaz i o krwawych koronach zjadliwe potwory. Ale sieć już rzucona; ostatnie skrzela wybiegają na wierzch; czas ciągnąć do brzegu. Rybakom nie brak siły i tej wiary, od jakiej rwały się niegdyś matnie na Genezaretskiem jeziorze. Połów będzie obfity, a jeżeli matnia nie pęknie, pękną kajdany. Wczoraj jeszcze wątpiłem, dziś nadzieja całego mię ogarnia.

Mówiąc to, niewysłowionym wdziękiem promienił oblicze. Ja ścisnąłem mu rękę; z własnych uczuć na jego nadzieje dorzucałem zarzewia. Powątpiewanie byłbym przyjął za osobistą krzywdę. Uważałem sprawę za wygraną; roilem na-

przód świetne zamiary; z tryumfu wyprowadzałem nieskończone korowody następstw.

Zaufanie moje i spokój, budziły w nim trwogę, choć w żetatorów i w uroki nie wierzył.

Illekróć słyszał mię przemawiającego z nieograniczoną ufnością w los, chmurzył czoło i na ognisko moich chęci, upuszczał lodowaty wykrzyknik powątpiewania.

Zżymałem się; jako rachmistrz obliczałem konieczność wygranej, pytałem, co mogło mu stanąć na przeszkodzie, jaka tajemnicza potęga mogła rozbić doskonale wyrachowane zamiary?

Fatalizm! — przeznaczenie! — odpowiadał.

Śmiech mię zdejmował.

Fatalizmu innego nie było na świecie, jedno nieodzowne, logiczne zazębienie przyczyn i skutków, wypadków które wola pędziła w ruch, a konieczność gnała do spełnienia zamierzonych celów.

On słuchał mię z tą słodką uwagą z jaką Chrystus, na obrazie Tycjana, przezroczystą bóstwem dłoń wyciąga po cesarowy pieniądz. Słuchał, ale zdania nie mienił.

— Anch'io, prawil, dawniej filozofowałem; dziś — gdy czasami tchu mi nie staje na wniosek, rzucam go w otchłań nieoznaczoności. Są rzeczy których nie podobna dociec, nie podobna określić gdzie są, ile ich jest, co w sobie obejmują? Niewiadomość jest matką przypuszczeń. Dla czegożby przyszłość człowieka lub kolej jakiego wypadku, musiała wyłącznie zależeć od podpadających nam pod zmysły wpływów? Zkąd wiemy że inne a niedocieczone zupełnie nie istnieją? — W młodości, często na tym obłoku wycoczywałem zgnękaną myśl. Przed laty, znałem był, tam oto, naprzeciw nas — w Castellamare, dziwnego pielgrzyma, który nieraz długie noce trawił ze mną na obronie swych zasad. Przyjeżdżał z Fezu, był to Maur, potomek tych, których hiszpański, katolicki zapal nie dopalił był niegdys w Grenadzie.

— Stary Szeik wiele żył, wiele widział, słyszał, czytał w starych księgach, podróżował w dalekich krajach. Opowiadał mi młodość swoją pełną strasznych prześladowań, cierpień, boleści.

— Pytałem go jak zdołał tyle przenieść, jak nie oszalał nieraz z rozpaczy?

— Allah-Kerim! odpowiadał — nie moja w tem zasługa; byłbym zniósł więcej gdyby tak było chciało przeznaczenie.

— Podziwiałem niesłychaną pogodę, wesołość nawet jego umysłu; ciekawy byłem co w nim ją utrzymywało?

— Wiara w przeznaczenie — mówił — dzielny balsam na przeciwności, niezawodny środek na spokój ducha.

Człowiek cierpi, wtedy zwłaszcza, gdy nie pojmuje zkaąd i dla czego boleść nań uderza. Jemu wyraz «przeznaczenie» wszystko tłumaczył. Powtarzał to cudowne słowo w modlitwach, nosił je wyryte na pierścionku.

Talizman jego atoli miał inne jeszcze przymioty. Od kilku lat, jak go był dostał od naczelnika jednego z pustynnych w Arabji pokoleń, zdawało się że los względem niego złagodniał. Ostrzeżono go jednak że czar o tyle w sobie krył potęgę, o ile ofiarujący go w datku mieścił szczerego przywiązania. Dla obojętnego dawcy, dla zdradzieckiego przywłaściciela, talizman stawał się martwym kamieniem.

Pewnego dnia otrzymałem wieść o zgonie jednego z członków mojej rodziny, z którym łączyły mię ściśle węzły. Smutek mię owładnął. Maur spostrzegł moje troski, pocieszał swoim zwyczajem, wreszcie z nieśmiałością, na stanowcze niby pokonanie żalu, ofiarował mi pierścionek.

Musiałem przyjąć; odmowa, wedle zwyczajów jego kraju, była urazą.

Nazajutrz szejik wyjechał do Sorrento: chciał obejrzyć okolice miasta; wsiadł w korrikolo i więcej nie wrócił. Na spadzistej drodze ku Marigliano, uniósł go rozhukany koń. Znaleziono go z roztrzaskaną głową.

Był to pierwszy dzień, w którym talizman ja nosiłem na palcu.

— Ach mój Boże! — Biedny starzec! — Zawołała Marja. Pierścionek wypadł jej z rąk, zatoczył się po podłodze; Kazimierz podał jej go napowrót i ciągnął dalej:

— Przyjacieli mój, miał tylko parę dni ze mną pozostać. Spieszył w północną stronę Włoch, gdzie chciał rozwinąć kłębek nici, której koniec zaczepiał o Neapol.

Niewytłumaczone przeczucia ścisnęły mi serce; nie mogłem dość się na niego napatrzeć. Rozłączenie nasze było rozdarciem.

Wyjechał do Medjolanu; odprowadziłem go za miasto.

Wróciwszy do siebie, znalazłem list; wewnątrz pisma był pierścionek. Włoch polecał się mojej pamięci, żartobliwie wspominał nasze rozmowy o fatalizmie, zostawiał mi pierścionek dodając wesoło, że według niego jedyną własnością talizmanu, był warunek szczerego przywiązania dawcy do obdarzonego.

Odtąd, zdaleka, oczyma ducha, raz go tylko widziałem.

Śród gromów i płomieni, stał spokojnie z swoją Tycjanową twarzą. Wkrótce, przed wzrokiem mojej wyobraźni ciemność wszystko ogarnęła. Straszna przepaść rozwarła się przed apostołem prawdy; zapadł w nią, a brzęk kajdan i świst katowskich toporów zagłuszył ostatnie jego wyrazy.

— Cóż się z nim stało? — mój panie Kazimierzu!

— Obok poświęcenia, wyrastała zdrada. Na dzień przed wybuchem rząd austriacki pochwycił sprzysiężonych. Co miecz i stryczek oszczędził, przyjęły podziemia Szpilbergu. Straszne podziemia! — Jeżeli anioł wolności kiedy te bramy piekielne rozbije, świat nie będzie potrzebował czytać Danta; każdy za jednym spojrzeniem wyuczy się szczegółów stolicy szatana.

— Wrzucili go do więzienia? — Wtrąciła cichym głosem Marja.

— Do więzienia! — odrzekł Kazimierz i wbił w ziemię przerażający wzrok.

Dziewczyna zadrżała. Umilkli oboje.

— Weź pan pierścionek, weź — przerwała Marja podnosząc go z dłoni jakby w obawie, aby jej krwawych nie pozostawił śladów. — Są rzeczy na świecie których nigdy nie zrozumie; niepojęte siły nami kierują. Masz pan słusność; nikt nie uniknie swego przeznaczenia.

Tajemnicza trwoga powlekła jej lice; Kazimierz powstał i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Nie, nie! mylisz się pani! — pochopny ku cudowności umysł człowieka, rad wznosi na przypadku mistyczne teorie.

Krucha to podstawa; pęka za najłżejszem dotknięciem rozumu. W przeznaczeniu tego oto kwiatka jak jest, być zerwanym, skoro kto złamie mu łodygę. Tam, gdzie prawda spostrzeża jasne, konieczne następstwo, przesąd ślepy na przyczyny, oskarża fatalizm. Ha! ha! radbym nabyć przekonania o istotnym byciu nadzwyczajnych jakichś potęg, fatalnie rządzących ludźmi. Byłaby piękna sposobność do starcia z nimi silnej człowieczej woli. Nadzwyczajność zaś nasza, na nieszczęście, zwykle niżej sięga niż punkt któryby mogła, któryby powinna osiągnąć.

— Ależ i zwyczajność nasza musi gdzieś znajdować granice; dla czegożby więc nie miała oprzeć się tam gdzie zaczynają się rzeczy, w skutkach dla nas widome, w przyczynach niepojęte? Nie zaprzeczysz pan że kamień ten i napis niósł szczęście każdemu z kolejnych jego posiadaczy, dopóki — —

— Bez wątpienia; ostatniemu zwłaszcza przyniósł bezmiar szczęścia — przerwał Kazimierz szukając w oczach dziewczyny skrytych głosów jej serca.

Marja odgadła ciekawość; skryła wzrok pod jedwabnych rzęs wachlarzem i zapłoniona mówiła dalej:

— Sam pan przyznajesz, że w chwili nieszczęścia dziwny pierścionek nie znajdował się ani na ręku starca w Neapolu, ani na palcu biednego więźnia w Medjolanie.

Kazimierz przyglądał się piramidzie egzotycznych kwiatów, które w rogu salonu zwieszały wyjczyźnione kielichy i chorowicie dyszały resztkami rodzinnych balsamów.

— Nie odpowiadasz pan? — Rozumiem; nie ma co odpowiedzieć na oczywiste dowody!

— Że talizman mój jest wielkim podskarbinem szczęścia, zdrowia, życia, i t. d. — odrzekł Poraj z uśmiechem. Któż więcej odemnie ma prawo być przekonany o cudownych przymiotach mego pierścionka? Nie zaręczam, czy stosownej chwili, potęgą mojego czaru, nie potrafiłbym wskrzeszać umarłych. Nie wspominam o chorych, ci podnoszą się na sam jego widok!

— Panie Kazimierzu — mówmy poważnie.

— Najpoważniej w świecie! Czy nikt tu w domu nie

chory. Wszyscy jak na nieszczęście zdrowi. Może kanarek pani cierpi na piersi? — I to nie. Dom ten, jak widzę, jest przybytkiem upartego zdrowia. Ale po co daleko szukać? — Między temi kwiatami postrzegam jeden w niebezpiecznym stanie. Piękna Dafne, laur różowy, od niejakiego czasu szczególnie pobladł. Nie chcę wróżyć mu śmierci, boję się jednak aby ostatkiem sił nie gonił. Jeżeli pani pozwoli, jutro obaczmy go w pączkach i w kwiatach. Damy mu na wzmocnienie dwadzieścia cztery godzin talizmanu, rano i wieczorem po dwie stołowe szklanki wody, przytem słońca od wschodu do zachodu.

To mówiąc Kazimierz, z dziecinną powagą uczepiał pierścionek na jednej z uszłych gałązek.

Marja uległa wesołości i także śmiała się jak dziecko:

— Wstrzymaj się pan! — Zawołała po chwili, klaszcząc w dłonie — laur mój uschnie, czar mu nic nie pomoże. Wszakże pierwszym warunkiem działalności talizmanu jest aby między dawką a obdarowanym, istniało szczere uczucie przywiązania.

— Czyliż laur nie do pani należy? — Odparł Poraj, z pomiędzy kwiatów zwracając ku niej głowę. — Mamże jaśniej się tłumaczyć?

— Prosiłeś mię pan wczoraj o uwerturę z Armidy. Grałam ją sama przez cały poranek; teraz jestem o siebie spokojną i jeżeli chcesz pan posłuchać?

Fale harmonji pochłonęły dalszą rozmowę.

Muzyka przerywała perjodyczną co wieczór partję marjasz Sokolnikowej z kapelanem; wyprowadzała z gabinetu Sokolnika, który od pewnego czasu oddawał się niepomiarkowanej pracy. Gorliwość tę rodziły w nim codzienne nalegania nowego zawiadowcy majątku. Piotr był ukrytą sprężyną działań, z których każde, przed światem, winno było nosić cechę wyłącznej samodzielności magnata.

Podźwignięcie z gruzów rozpadłego mienia wymagało wiele zachodów, zmian, nowych urządzeń a tem samem nieustannych zleceń, objaśnień, rozkazów. Piotr co rana wyznaczał robotę, którą Sokolnik w przeciągu doby miał dopełnić.

Dygnitarz ledwo miał czas odetchnąć, ale natomiast z radością postrzegał jak z każdym dniem, właściciel nabierał w nim swobodniejszych ruchów, światła, powietrza, życia. Dom jego, gwoli natłokowi zatrudnień stał się mniej otwartym; ciżbę obojętnych zastąpiło kilku poufałych przyjaciół i kilkadziesiąciu interesantów których gospodarz przyjmował w swoim pokoju.

Chwilowe to zerwanie ze światem na rękę szło Kazimierzowi. Młodzi ludzie częściej znajdowali się sami. Wystarczali też sobie tak dalece, że i rodzice i ksiądz, nie spieszyli uprzyjemniać im chwil, mięszając się do ich towarzystwa.

Muzyka dopiero wszystkich razem łączyła.

Sokolnik biegł wypoczywać po dziennych trudach; hrabina do woli mogła nacieszyć się widokiem jedynaczki; kapelan, konieczne dopełnienie obrazu, drzemał gdzieś w kącie.

Kazimierz wracał do siebie rozkołysany, upojony rokoszną płataniną wrażeń, dźwięków i kształtów, piękności, uczucia i harmonji. Błogosławił dzień w którym się urodził, i słońce nad nim świecące i gwiazdy roziskrzony w błękitcie i potęgę własnego serca.

Pomimo spóźnionej zwykle pory, Piotr nigdy nie zasnął przed jego powrotem. Kazimierz wesoło go witał, mało wspominał o Marji; z toku atoli rozmowy, z rozhalanych radością wyrażeń, z rzewnej łagodności oczu, z uśmiechu gościa na ustach ciąglego, widać było że młodzieniec zanosił się od szczęścia.

Piotr sam nie tykał ziemi. W Marji widział anioła, prawdziwego anioła, w Sokolniku godnego jej ojca, w hrabinie podobną matkę, w bracie takiejże natury męża: w sobie stryja zachwycającego potomstwa, jakie miało powstać z niezrównanej pary. Ponieważ jednak nie był mistykiem, wywoływaniem nieustannem ducha policzków nie nadymał, gromieniem materji lub działaniem w duchu, z ducha, przez ducha i dla ducha czasu nie zaprzętał, nastroszenie zatem jego ducha na ton białym i różowym kolumnom duchów bliższy, nie przeszkadzało mu w zaciętszem niż kiedykolwiek oddawaniu się za-

biegom względem materji czyli majątku Sokolnika, i duszy czyli interesów brata.

Z tego oczywiście pokazuje się że Piotr w gruncie był materialistą, za co po śmierci miał odpokutować w skórze jakiego najmniej duchowego zwierzęcia, naprzykład ostrzygi.

Zanim jednak zasłużone oskorupienie byłoby spotkało uczciwego szlachcica, Piotr obojętny na pośmiertność, zrzeczył czasowi i obliczał ile dni musiało jeszcze upłynąć do wesela. Kazimierz, ze swojej strony, wyciągał na nieskończoność każdą chwilę spędzoną za domem Sokolnika. Nudził go pobyt we Lwowie; rad byłby czempędzej znaleźć się z dziewczęciem na wsi, gdzie wyzwolony od natrętów i rozpętany swobodą wiejskich obyczajów, byłby szerzej odechnął.

— Piękniejsza — mówił do Marji pewnego wieczora stojąc z nią na balkonie — stokroć miłsza ostatnia wioska od tych miejskich, kamiennych skrzyń, poprzerzynanych ulicami, włożonych jedne na drugie, gdzie zbytek ma wszystko prócz słońca, gdzie nędzy powietrza nawet nie dostaje.

— Za pół roku, odrzekła Marja — gdy zima nadejdzie, albo pan zdanie odmienisz albo ja sama jedna przy mojem zostanę. W zimie na wsi smutno, straszno — wiatr wyje przeraźliwie; w mieście czasami przynajmniej głuszy go balowa muzyka. W zimie wszędzie dobrze, byle nie na wsi.

— Co do mnie, odparł Poraj, gdybym szukał własnego upodobania, nie ściągnęłyby mię do Lwowa najhuczniejsze zapusty.

— Do Lwowa? — Zgoda; ja Lwowa nie bronię; mówimy o miastach nie o miasteczkach. Ach, lata przyjemności lwowskich, oddałabym za jeden tydzień spędzony w Wiedniu.

Kazimierz uczuł wrażenie, jakiego doznają osoby nie znające mowy o żabie lub o pajaku.

— Czy znasz pan Wiedeń? pytała dziewczyna, porwana wesołym korowodem wspomnień.

Znam na nieszczęście aż nadto.

— Ha! zgaduję po odpowiedzi, że w złą porę przyjechałeś pan do stolicy. Ależ zima, zima w Wiedniu! — Dwie zimy

minęły mi jak sen. W Wiedniu pierwszy raz wyszłam na świat. Co za przepych na balach! — Jakie towarzystwo, jaka muzyka! I opery włoskiej pan nie słyszałeś? Na wiosnę zaś, gdy Prater rozzieleni się, napelni powozami, pieszymi, jezdnyimi, co za rozmaitość strojów, osób, powozów! Nie ma drugiego równie wesołego miasta. Trzeba być chorym albo odlukiem aby w niem zatęchnąć.

Kazimierz upornie milczał; przeglądał śród nocy niebo pokryte gęstymi chmury. Obłoki parły powietrze ku ziemi; gorący wieczór pierwszych dni lipca zapowiadał nawałnicę. Poraj czuł w skroniach gwałtowne krwi bicie; parne oddechy przedburznej ciszy chłostały go po nerwach; fantastycznie obok niego z ciemności wyzierająca biała postać dziewczyny rozogniała w nim wyobraźnię; sam nawet widok czarnego księdza który daleko, w drugim jaskrawie oświetlonym pokoju, pochylał machinalnie głowę i niedosłyszczanym głosem czytał hrabinie gazetę — dodawał obrazowi dziwaczności. Biała jego sąsiadka także umikła.

Szczególny człowiek! mówiła w duszy — w każdym mieście zostawił smutną jakąś pamiątkę. Wczoraj we Włoszech, dziś w Wiedniu.

W tej chwili czarny obłok rozdętymi żaglami pędził przez niebo, zaczepił o księżyc, rozdarł się na dwoje i snop światła szczelinami chmurnej płachty padł na posępne rysy młodzieńca.

Diewicze miłosierdzie ogarnęło serce dziewczyny; żal zdjął ją cierpień ulatujących jak smętarne ogniki na licu jej towarzysza; wsparła czarowną głowę na skrzyżowanych niby do pacierza dłoniach, i pochylając się ku niemu rzekła pieściwym głosem:

— Mówmy o czem innem; nie mówmy już o Wiedniu.

Ręka Marji dotknęła lekko Kazimierzowego ramienia; Poraj drgnął jakby rażony elektryczną iskrą, pochwycił lubą dłoń i mówił:

— Nie — przeciwnie; mówmy o Wiedniu, mówmy szczerze, otwarcie. Są to rzeczy o których nie mówiliśmy dotąd. Grzech ciężki żeśmy o nich nie mówili, ciężki grzech. Rozmawialiśmy z sobą jak mężczyzna z młodą kobietą, ale nigdy

jak Polak z Polką. A przecież jeżeli komu to mnie, jeżeli przed kim to przed tobą Marjo, należało rozkryć ostatnie głębinę myśli.

Poraj, pierwszy raz zwał ją po imieniu. W dzień lub przy świetle możeby nie był z równą śmiałością odtrącił łachmanu częzej etykiety.

— W naszym kraju, mówił dalej, być kobietą trudniej i szlachetniej niż gdziekolwiek.

U nas nie dość umieć urodzić się, nie dość pozwolić udzielić sobie i przyjąć świetne wychowanie, nie dość czarować wdziękiem, w pamięci mieć masę wiedzy, w duszy wiele zalet, w sercu pełno uczucia — u nas trzeba aby kobieta wydarła się z powijków bierności, w jakie w reszcie świata prędzej może dać się kępować. W Polsce kobieta musi być czynną, musi walczyć, musi miłością sięgać za obręb domowego progu i rodziny, musi dowodnie kochać ojczyznę a wrogów jej nienawidzieć.

Zapytasz mię pani co za stosunek ma ten kaznodziejaki frazes z karnawałem cesarskiej stolicy? — Stosunek nader bliski — nierozłączny.

Na posadzce wiedeńskich salonów Niemce łatwo tańcować; Polka może upaść gdy raz w krwi się pośliznie.

— W krwi? — Na Boga, co pan mówisz? — Przecież ojciec mój Polak, przecież matka Polka — dla czegoż od żadnego podobnych słów dotąd nie słyszałam.

Przelotny uśmiech goryczy drasnął po ustach Kazimierza.

— Czyliż prawda wyrzeczona dziś, mniej warta dla tego że jej nie wypowiedziano wczoraj? — Zostawmy przeszłe pokolenie; ono dokonało swego; na przyszłość nic nam nie powie. Trzeba nam kroczyć o własnych, świeżych siłach. Nienawidzę Wiednia, gdyż jako Polak, jako człowiek, przekląłem cesarstwo i gniazdo w którym leże się dwugłowy potwór. Marjo! młodość twoja na smętarzu kwiaty jedynie spozstrzega; zapomina o trupach. Ale gdyby nagle wzdęła się i pękła ziemi skorupa, gdyby z pod każdej róży wyrzał czerep, gdyby z każdej czaszki zagrzegotały zęby, i mogły wyklekotać z czego powstał wianek zdobiący twą skroń — ach z jakimże wstrętem zerwałabyś go z głowy! Marjo —

Austrja jest tym smętarzem, na którym niewinna tylko bezświadomość spokojnie wije równiarki. Upierne to ciało, złożone z członków pokradzionych zdrowym i szlachetnym istotom, żelaznemi łańcuchy powięzało jedne do drugich; ciemnotą i piekielnym ogniem pędzi je do ruchu, krwią jednych zalewa drugie, nie pozwala umrzeć; samo niezdolne nadać dzielności i siły, żyje ciąglem konaniem.

— Straszne slysze rzeczy! — Ależ cesarz? — Oszukują go; on pewno o niczem nie wie; on taki dobry, dla wszystkich przystępny — powszechnie kochany.

— Cesarz? — Cha cha cha! — Pomazaniec boży! — Ojciec swoich poddanych! — Słuchaj Marjo!

W dwudziesto przeszło miljonowej rodzinie tego dobroczyńcy, zdarza się niekiedy że jaki syn spragniony dziedzictwa, poda truciznę własnej matce, że toporem dopyta się ojcowego mózgu; zdarza się czasami, że w ubocznej karczmie lub na otwartym gościńcu, zbójce wymordują podróżnych, że podpalacz z dymem puści wioskę i na żebraczy chleb wyprawi kaleki starce i matki z niemowlętami u piersi — że Żydzi na paschowe placki, nazarejskie dziecko zakłują.

Sąd skazuje winowajców na śmierć. Wyrok idzie do Wiednia; musi otrzeć się o tronową purpurę, inaczej nie nabrałby barwy.

Ale cesarz Jegomość, miłościwy nasz ojciec, wzdryga się na myśl rozlewu krwi; miłosierdzie jego bez granic; on z serca i z urzędu pierwszym obrońcą oskarżonych.

Rosa monarszego ulaskawienia spada na matkobójcę i na rozbójnika i na podpalacza i na rozjuszonego Żyda.

W teje samej dwudziesto miljonowej rodzinie tegoż samego naczelnika, zdarza się także że śród jednego z ujarzmionych ludów, szlachetna jaka pierś westchnie za przeszłą świetnością narodu, że zrozpaczony umysł zamarzy o wyswobodzeniu ojczyzny, że natchnione serce poety zanuci półgłosem hymn wiary i nadziei.

Czerń donosicieliw podchwyci ciepłe jeszcze westchnienie, marę zetnie w dotykalne na jawie kształty, wieszczowi w duszy wyczyta ostatnią zwrotkę.

Zbiera się sąd, ale zanim rozpocznie obrady, już tygrysiemi poskoki pędzi z Wiednia gotowy wyrok.

Cesarz Jegomość, miłościwy nasz ojciec, sam, osobiście nad nim pracował.

Z każdej głośki apostolskiego wyroku pełzną żmije, sypią się katusze, kapią trucizny.

Na progu szatana wyostrzone noże, kaleczą duszę i ciało.

Cesarz Jegomość, najmiłoświwszy nasz ojciec, rozpoczyna ze zbrodniarzami zabawkę.

W gabinecie wiedeńskiego swego pałacu, w jednym rogu komnaty, ma misternie wyrobione z drzewa wzory politycznych więzień. Nie brak ani jednej celi, ani jednego podziemia. Troskliwy rodzic wie pod jaką liczbą jęczy każde z występnych jego dzieci. Co rana otwiera myślą drzwi, wchodzi duchem do każdej ofiary.

Takie ma upodobanie — cóż z nim począć!

— Tyżeś to Orboni? — mówi do jednego — pokaż puls; nie długo pociągniesz. Kto ma słabe piersi, nie powinien wzdychać do wolności. Nie posłużyły ci śledzie za pokarm, suchy dzbanek za napój, zgniłe powietrze za lekarstwo.

Idzie dalej.

— Pellico! — Ha, mój wierszokleto! — Chybiłeś celu. Trzeba było opiewać monarsze majestaty — byłbyś nosił na palcach djamentowe pierścienie. Dziś za głupie rymy dla narodowej chimery, dostałeś żelazne obrączki. Spuchły ci nogi? — Szkoda! — Nie wdrapiesz się na Parnas.

Idzie dalej.

— Witaj młody mój przyjacielu margrabio Pallawicino! — Ogłuchłeś? — Szkoda! — Szczęściem nie oślepleś i gest zrozumiesz. Widzisz, te oto dwa moje palce okrążające szyję? — Znaczą one stryczek i szubienicę; w tym jednym geście radbym zawrzeć całą twoją przyszłość. A ty szlachetny hrabio Porro! — Miałeś majątek, znaczenie; byłbyś dosłużył się dworskich zaszczytów gdyby nie fatalne szaleństwo. Przez kilkanaście lat powtarzałeś jak opętany dwa tylko słowa: Włochy! — Niepodległość! — Może też dla tego milej ci u mnie w granitowym, niż u siebie w marmurowym pałacu. Zostawiłeś żonę młodą i piękną; nie lekaj się! nie zbrzydła.

Powiedziałbym ci o niej zabawne rzeczy. Cóż to — jeszcze z dumą poglądasz? — Hola! — Straż — spuścić go do ostatnich ciemnic i przykuć w pół ciała do muru!

Idzie dalej..

— Mości Andrjane! uniżony sługa! Kazałem ci dać celę, w której siedział niegdyś twój rodak, konwencionista i zbójcejskiej pamięci pocztmistrz Drouot. W Paryżu, podobno bawią się na zabój. Kuzyn mój Karol X. gra, lud tańczy. Żegnam! — Ha! — Zapomniałem donieść że ojciec ci umarł. Nie odpowiadasz! — Nie prosisz mię na śniadanie? — Gdzież się podziały dawny dowcip francuzki i grzeszność?

Sercu starczy jeszcze na dziś jadu; idzie tam gdzie jak niekształtna kupa członków, w kącie ciemnicy leży Confalonieri.

— Ach mój Boże, mój Boże, zlituj się nad nami! — Dość panie Kazimierz! — Biedni nieszczęśliwi! — Za cóż tak się nad nimi pastwią? — W czem zawinili?

— Cesarz Franciszek karze w nich najohydniejszą zbrodnię, jaką można popełnić w cesarstwie. Niewdzięcznicy ci chcieli wyzwolić ojczyznę z pod ojcowskiej jego opieki, poważyli się wbrew austrjackiemu Bogu i prawom utrzymywać, że człowiekowi wolno myśleć i myśl otwarcie wyjawiać, że wolno mu uwierzyć w prawdy Ewangelji, w równość między ludźmi, że wolno mu zamarzyć o oświacie ludu, o podniesieniu godności człowieka, o wydzwignięciu go z upodlenia i z nędzy. Wyzuci z wszelkiego sumienia, z szacunku dla cesarskich zbirów, śmieli dowodzić, że jeżeli sromotą jest znosić jarzmo rodaka, stokroć haniebniej giąć kark przed cudzoziemcem, dozwalać mu szaleć zdzierstwem i uciskiem, tłoczyć plugawą stopą ciało i ducha ojczyzny.

— Ależ uczucia te rodzą się w sercu każdego człowieka; wyprzeć ich się byłoby zbrodnią.

— Cesarz, miłościwy nasz ojciec, ma przeciwne zdanie i popiera je katem, jezuitą i żołdactwem. Prawo tam gdzie siła — powtarza książę kanclerz. Wszelka władza pochodzi od Boga — wtórują mu w Rzymie i prawią księga z ambony.

Na wzmiankę o Włoszech, Marja wspomniała wczorajszą przygodę pierścionka.

— Ten przyjaciel z Neapolu, z Medjolanu — wtrąciła szybko — o którym mówiliśmy wczoraj. Co się z nim stało? — Czy także? — Lękała się dokończyć.

— Także — odparł Kazimierz. — Cudownym prawie sposobem, nieszczęśliwy potrafił raz zmiękczyć serce więziennego strażnika. Ludzie ci, których zakamieniałość rząd wprzód dostatecznie wypróbował, ulegają niekiedy przystępom litości jakich nigdy nie poczuli w sobie ani wiedeński monarcha, ani zgraja wyzłoconych jego służalców. Na świstku papieru uklepanym z szmatek bielizny, atramentem z wody i z sadzy, dalej rdzawemi literami, zapewne krwią pisanemi, przyjaciel mój dał mi wiadomość o sobie; jedną tylko wiadomość! — Musieli mu potem odmienić strażnika.

— Gdzież jest?

— W Spielbergu — rzekł Poraj przytłumionym głosem.

— W Spielbergu? — Słyszałem raz to nazwisko; wymawiano je po cichu, ze strachem.

— I słusznie.

— Gdzie leży to przekłete miejsce?

— Przekłete, Marjo! prawdę mówisz. Po wiekach przekleństw, jeszcze ludzie dość go nie przeklą.

Na drodze z Pragi do Wiednia, nie daleko Berna, nad piękną morawską doliną, panuje olbrzym z brudnego kamienia, upiór któremu o zachodzie słońca szklanne ślepią krwią zabiegają. Tam dzieją się straszne rzeczy. Tam, na zimnych głazach, tyran, łzami i krwią ofiar pisze wyroki na wolność.

Dopóki trąba rewolucyjnego archanioła nie zatrzęsie posiadami tego gmachu, nie uściskę podobno tej dłoni, jaką najświętsza przyjaźń podała mi niegdyś we Włoszech.

Kilka lat temu, podczas hucznych zapust wiedeńskich, gdy cesarz Jegomość ojcowskim wzrokiem poglądał na zabawy swych dzieci — pamiętny to będzie dzień — 4. lutego 1824. roku, na ulicach Medjolanu, w nocy, zadudniły dziwnego kształtu szczelnie pozamykane wozy. Wieziono nieszczęśliwych do Spielberga.

W pierwszym wozie, siedział czy leżał Confalonieri.

Wszyscy byli ułaskawieni. Zamiast doraźnej śmierci, cesarz raczył im dozwolić przez długie lata konać, co chwila umierać.

Łaska władców tej ziemi zwykle w ten sposób się objawia.

W Spielbergu, czekało ich więzienie. Wyras ten, Marjo, znasz po dźwięku, ale na szczęście, dokładnej sprawy zdać sobie nie umiesz. Więzienie, znaczy to samo we wszystkich krajach gdzie szatan wypowiedział walkę światłu i swobodzie. Jest to kamienna studnia, mniej więcej ciemna, wilgotna, zamieszkała przez robactwo.

Syn człowieczy nie zna równości na ziemi; pod ziemią dopiero otrzymuje ją z rąk tych, o których bożem posłannictwie śmiał zwątpić.

Pierwszym tronem był pierwszy pień ofiarny pokryty czerwonym suknem. Przed tronem, przed katem, przed dozorcą więziennym, wszyscy są równi. Biada zwyciężonym! W więzieniu nie ma przywileju! Starzec co umiera, młodzieńiec pełen życia i siły, dostają jednaką strawę, nikczemną, odrażającą; jednaki łańcuch żelazny, wąż Laokonowy, obu zarówno ciężkimi pierścieniami oplata; jednaki głaz zimny służy im za wezglowie. Na wyschłe nogi opadają kajdany, wrzynają się w ciało, kości piłują — darmo! nie ma przebaczenia! — Jako skąpiec rubiny, cesarz chciwie liczy, pieści się widokiem każdej kropli krwi obwinionego.

Na rok przed powrotem do kraju, przejeżdżałem przez Wenecję. Widziałem kilku przyjaciół księdza Fortini, którzy mi opowiadali jego historję.

Starzec przechowywał u siebie tyczące się rodzinnych stosunków papiery jednego z więźniów nazwiskiem Villa.

Skazano go na śmierć.

Śród tłumu widzów, na otwartym placu, w mieście ślepego Dandola, w obec Patriarchy i duchowieństwa, golono mu głowę, szkłem z czaszki ścierano kapłańskie poświęcenie, palce ze skóry odzieraną pod pozorem, że się dotykał świętych rzeczy.

Gorzkie pośmiewisko! Piekło występowało w obronie świętości.

Męczennik miał umrzeć; czekał śmierci jak zbawienia. Wydarto mu tę ostatnią nadzieję. Cesarz go ulaskawił. Poszedł do więzienia.

Więzienie, Marjo! — Tam ani oddechu świeżem powietrzem, ani pogłoski o świecie, ani wieści od rodziny. Tam, żywcem pogrzebani, tracą miarę czasu; wilgoć per-jodycznymi kroplami ze sklepienia kapiąca, jedynym ich zegarem.

Mój Boże! — Mieli przez kraty trochę widoku na niebo; cesarz kazał zamurować okno. Jak o życie błagali o pracę; po długich prośbach, dał się nareszcie zmiękczyć.

Uszczęśliwieni że będą mogli rozkurczyć ręce i nogi, zrzucić ze złamanego grzbietu kilka strasznych godzin czasu, kto wie? — Może, kopać ziemię i szmatę błękitu okiem zachwycić — do skołatanej piersi pierwszy raz wpuszcili promień pociechy.

Przyniesiono im łachmany bielizny po umarłych szpitalni-kach, odważono i kazano drzeć skubankę.

Sam cesarz wynalazł tę pracę.

Oburzeni, że zgrozą odepchnęli zapowietrzoną łaskę.

Wzgarda cesarskich dobrodziejstw — nowa zbrodnia.

Odmówiono im nędznej strawy, zaczęto morzyć głodem, kijem przymuszono do pracy.

— Strasznie! — strasznie! — Zawołała Marja kryjąc twarz w dłoniach. Zdało się jej że nagle wśród ciemności nocy, wstają okropne postacie męczenników — istne wcielenia apokaliptycznych boleści.

— I nie ma dla nich żadnego ratunku? — Dla ich pięknych Włoch, nie ma żadnej nadziei zbawienia?

— Dla Włoch Marjo? — Mówiłem o Włoszech, tam bowiem uderzyły mię ostatnie wrażenia. Ale com rzekł o Lombardji, stosuje się do wszystkich krajów skradzionych przez dom austriacki. Przerazają cię męki Włochów? — Cóż powiesz gdy ci odkryje że w męczeństwie za prawdę i wolność, jest inny naród, który daleko za sobą zostawił i Włochy Franciszka, i dawną Hollandję księcia Alby i Maurów z czasów Izabelli i Żmudzinów na krzyżackiej Litwie. Narodem tym Polska, własna twoja ojczyzna. Ale o tem nikt ci w wie-

deńskich salonach nie wspomni. Włochy jednego, my kilku mamy katów.

W dniu zmartwychwstania swobody, w dniu ostatecznego zwycięstwa powszechnej sprawy, gdy inne ludy zaczną na pamięć uczyć się swoich martyrologów, my Polacy, nie doliczonym się pocztu naszych męczenników. Chcesz wiedzieć ilu po wszystkich stronach świata poległo w myśli, że walczą za ojczyznę, ilu Austriak między czterema ścianami zadławił, ilu Moskal zaknutował więzieniach, zameczył w Sybirze? — Idź na brzeg morski, policz wprzódzi ziarna piasku. Ach, gdyby prawda nie była nieśmiertelną, oddawna bylibyśmy w zapomnienie nawet zapadli! Pojono nas wszystkimi truciznami, zużyliśmy na sobie ostatnie potęgi męczarni. Pytasz o luba, kiedy i jak skończą się nasze cierpienia? — Kiedy? — Nie wiem; jak? — Prędzej mogę powiedzieć. Dla mnie, jeden wyraz na drugą odpowiedź wystarcza — wyrazem tym: zemsta!

— Nie Kazimierzu — nie, zemsta nie człowiecze uczucie. Silni sprawiedliwością celu musimy zwyciężyć, więcej warci, lepsi jesteśmy od naszych ciemiężców, więc zwyciężymy, a bylibyśmy mniej warci, gorsi, gdybyśmy szukali zbawienia na drogach naszych nieprzyjaciół, gdyby prócz naśladownictwa ich, niewola niczego innego nas nie nauczyła. Święta sprawa, świętych wymaga środków. Złe musi kiedyś zginąć, skoro zatem niebo karze, niech człowiek przebacza.

— Sentymentalizm! — Na Boga żywego sentymentalizm! — W różanych ustach niewieścich anielska prawda, w męskiej piersi fałsz, tęczowa bańka mydlana!

Cierpieć tylko i przebaczać! — Przebaczać zawsze i cierpieć! Ależ jesteśmy ludźmi i żaden z nas trzeciego dnia po ukrzyżowaniu nie wstaje. Dzień po dniu upływa, schodzą do grobu pokolenia za pokoleniami a każde sposoczone, zgnębane, wymordowane na ciele, wymęczone na duchu. Wróg tymczasem wykarmia się krwią naszą i łzami, i podczas gdy w hymnie błogosławieństw dla nieprzyjaciół, ginimy w przepaści, on, urąga naszej prostocie i dzieciom naszym kuje nowe kajdany. Bezpłodna pokora wycieńcza nas z ostatnich dzielności; przerastamy ludzi, tykamy już głową cherubino-

wych sfer, ale gdy w niebie zyskujemy palmę, na ziemi, z pod nóg umyka nam ojczyzna. Zostawmy Bogu co boskiego. Gubi nas nieszczęsna teoria zaświatnej kary. Szatan i piekło to szatański wymysł, to piekielny fałsz! Bóg sam panuje, nie dzieli się z djabłem władzą nad stworzeniem. Najwyższa dobroć, nieskończone tylko miłosierdzie; Stworzyciel może i umie przebaczać. On nie zna ani kary ani zemsty. Wszechmocna Jego potęga, jeżeli w istocie istnieje, jeżeli potęgą jest i wszechmocną, nie da się pokrzywdzić. Ale my! — My słabe twory! — Czyliż mamy zwać cnotą ugięcie karku pod hańbiącym jarzmem; czy, gdy nas kto zdradziecko napadnie i obedrze z najświętszych naszych praw, z tego co stanowi główną naszą wartość, co świeci w nas człowieczą godnością, co nam wrodzone jak oddech i zmysły, bez czego ciało nasze i dusza w uwierzęcenie zapada, czyliż i wtedy zamiast oporu, dziękczynnym psalmem powitamy mordercę? — Nie! kto nie cudotwórcą, ten nie umie, nie może przebaczać; ten musi walczyć przeciw wcieleniu złego, a jeżeli siła da mu zwycięstwo, powinien pamiętać że przebaczony nigdy nie przebacza. Padalec, ciepłą pierśią do życia wrócony, żądłem zwykł dziękować, a przecież tych którzy nas krzyżują za gołębie poczytać nie możemy!

Kazimierz gwałownie słowa wyrzucał, tłoczył ręką kratę gankową aż żelazo dzwoniło o kamień.

Marja słuchała przerażona. Fala namiętności, pierwszy raz z podobną mocą biła na tę niewieścianą wypieszczoną naturę. Wicher szalonych uczuć poderwany ojczystym zapalem i nienawiścią przeciw wrogom, miotał nią jak burza kwiatem jeziornej lilji. Drżała sama nie wiedząc czemu. Człowiek ten, bez miłosierdzia dla krzywdzących w nim pojęcie ojczyzny, miałaby więcej mieć litości dla osobistych nieprzyjaciół? Czyliż tak głęboko poczuła i namiętnie wyrażona teoria zemsty, zniknęła bez zastosowania, gdy mu szło o samego siebie?

Pytanie to, zrodzone w umyśle dziewczyny, wypędziła wnet na jaw ciekawość.

— Zemsta za ojczyznę! — mówiła jakby w zamyśleniu — urok drugiego wyrazu rzuca zasłonę na krwawe pierwszego

znamiona. Zemsty, samotnie wspominać nie można. Tak przynajmniej ja sądzę; ale ja, nie znam ludzi ani stosunków. Czy w razach wyłącznych, nas samych dotyczących, można zemstę usprawiedliwić?

Nie — można chcieć zemścić się, można życie całe poświęcić zemście, ale usprawiedliwić ją? — Nigdy!

— Czyliż nie łatwiej przebaczyć?

— Kobiecie trudniej i ztąd przebaczenie w niej jest zaśluga; mężczyźnie łatwiej i dla tego przebaczenie jest w nim lenistwem uczucia, zletargowaniem czasami własnej godności. Wreszcie, zależy to od stopnia krzywdy, od sposobu pojmowania samego siebie, od tysiąca rozmaitych położeń, od tyluż odcieni charakterów. Ogólnej w tym względzie zasady postawiłbym nie umiał. Co do mnie, nie mam żadnego wyobrażenia jak postąpiłbym w tym lub owym razie. W osobistych rzeczach, nic naprzód nie układam; wolę, zaufać natchnieniu niż krępować się systemem.

Mówiłem o walce z wrogiem kraju, o skruszeniu więzów narodu dziejowo-ewangelicznej miłości ku bliźniemu. Zbliża się godzina zwarcia stanowczej bitwy. Podziemny świat dążeń do swobody, lada chwila rozbije tajemniczą osłonę i wybuchnie na biały dzień; ale zanim obok zwycięskiej chorągwi walecznicy założą ramiona, wiele jeszcze łez i krwi upłynie. Los każe nam na ziemię naszą do dna wylać czarę poświęceń. Ostatnich nie zabraknie; jestem spokojny. Przecież, jeżeli dotąd żyjemy pomimo ciężkich ran, jeżeli w przyszłość nikt z nas nie wątpi, winniśmy to, nie wytrwałości w oporze, nie zgodzie w działaniu i miłości jedynych ku drugim, nie pracy ducha i kształceniu umysłu, ale jednemu i jednemu w nas żywiołowi: poświęceniu. Gotowość ta do chwilowego wprawdzie lecz zupełnego zaparcia się, zaofiarowania — gładzi w nas wiele złego i nieśmiertelnością nagradza. Nie wyprawdzamy w pole hufców wyćwiczonych wojsk; staropolskim obyczajem co chwila zwołujem pospolite ruszenie. I młodzież i starce, i matrony i dziewczęta, i męża i dzieci, wszystko walczy, wszystko w potrzebie się poświęca. Ciężkie to nieraz obowiązki, niebezpieczne przeprawy, życie obfitsze w niepokój niż w roskosze; ale co do mnie, gdyby mi w tej pielgrzymce

niewieści jaki anioł, czyli Polka kobieta chciała podać rękę, śmiało i szczerze roztoczyłbym przed nią chmurny ten, podobny do dzisiejszej nocy widokrąg, ukazałbym jej ciągnącą zdala burzę, prosiłbym aby posłuchała dalekiego łoskotu gromów, świstu wichrów, szumu nawałnicy, i rzekłbym: — Takie będzie nasze życie; tam musimy dążyć. Czy chcesz pójść zemną?

Kazimierz umilkł. Biała postać schyliła się ku niemu, piękna głowa dziewczyny wsparła się mu na piersiach; drżące usta wyszemrały:

— Ach, ja wszędzie pójdę za tobą!

Biada jej duszy, jeżeli nie dotrzyma obietnicy wypowiedzianej na sercu kochanka.

Wszakże nikt jej nie przymuszał!

VIII.

Przed laty — w dalekich zamorskich wędrówkach, zjechałem był do dziwnego kraju. Kraj smutny — po co go nazywać? Mogłaby przyjść komu chętka odprawienia się na tę samą pielgrzymkę. Ja z mojej gorzkie tylko wyniosłem pamiątki. Dość na jednym jednego rozczarowaniu.

Wspomnienia te długo mię bolały; ciężko było o nich mówić. Dziś, gdy śmiech częściej zdejmuję mię niż łzy, chociaż Bóg sam wie co się na dnie tego śmiechu ukrywa, dziś, sprawozdaniu dawnych wrażeń łatwiej podołam. O mężach nie wspomnę; byli tacy jak wszędzie; niewiasty natomiast były takie jak nigdzie.

A najprzód powiem że były piękne, nie wszystkie, ale po większej części. A potem dodam że do powabów ciała łączyły ten wdzięk, bez którego piękność jest martwą, a który często sam za doskonałość postaci wystarcza.

To powiedziawszy, mogę jak chcę zakończyć; choćby mię która czytała, dalsze uwagi przebaczy.

Próżno szukam czy gdzie w znajomym świecie nie ma podobnych kobiet, darmo śledzę, badam, porównywan; płonne trudy! muszę wrócić do pierwszego założenia.

Kobieta mojego kraju kocha, unosi się nad każdym szlachetnem uczuciem i byłaby podobną do innych tego rodzaju stworzeń, gdyby nie powszechna choroba, od pewnego czasu na tę ziemię rozstrożona, ósma plaga jaką Mojżesz zapomniał obłożyć Faraona, namiętna choroba wyobraźni.

Gwoli tej dżumie, kobieta kocha ale głową nie sercem,

łatwo płonie zapalem, ale łatwiej jeszcze stygnie; traci tętno prostoty, obojętnieje na wszelką rzeczywistość.

Czarowna istota rozplacze się nad frazesem romansu, zemdleje w teatrze na dramie, uleci w niebo na skrzydlatych słowach modnego kazania; w wyrazach dobranych, roziskrzonych głębokiem czuciem zachwyci się nad rokoszą poświęcenia, bezmiłosiernie potępi wszelki cudzy błąd, wszelką słabość, rozgore świętym ogniem w obronie cnoty; zaplacze nad brakiem sposobności zaparcia samej siebie, żarliwie westchnie do cierpień znoszonych w Jezusie dla dobra bliźnich, każde bowiem ludzkie uczucie, nieporównana ta istota, jako w bawełnę owija w imię Jezusa.

Co szczególniejszego, że zapaly te, iskry, ognie, buchają z niezaprzeczonej szczerości ducha.

Tak prawi prolog. W komedji życia scena się odmienia.

Gdy przyjdzie pokochać jak w romansie, w czyn wcielić poezję dramatu, przyoblec włosienicę dla zyskania raju, uskąpić dla prawdy błyskotek, próżnostek, przywyków, spokojną wygodę zamienić na troskę o jutro a raczej o dziś, znieść — nie mówię olbrzymie boleści, ale lekkie draśnięcie miłości własnej, wnet JA niewieście, ukryte za wyhaftowaną uczuciami kotarą, występuje ze zgrozą, rzuca nieublagane veto — i z ofiar, z zapalów, z dowolnych bólów, z poświęceń, zostaje — — Zostaje sposobność do nowych łez nad romanssem, do westchnień nad poezją, omdlewań na dramie, polotów w niebie ręka w rękę z antychrystem sentymentalizmu, namiętnych zgroź przeciw samolubstwu, i t. d., i t. d.

E sempre benel! wyrzekł Włoch jakiś zapewne, jak to widać po narzeczu przysłowia, co znaczy że w kraju gdzie wszystko zawsze i wszędzie dobrze, pobyt musi być nieznośny, zwłaszcza dla człowieka rozbratanego z prawdą w suchościach czyli z sentymentem.

Tu znowu, po raz drugi czy trzeci, w tej książce, mimo chęci, używam cudzoziemskiego wyrazu; ale że w Polsce podobne rzeczy się nie dzieją, polskie zatem słowniki, dla nie polskich bo nadziemskich pojęć, znowu nie wynalazły dotąd wyrazu.

Ztąd płynie wielki ku nim z mojej strony szacunek i chęć gorąca w niczem nieobrażenia religii ich puryzmu.

Dzieci dobrze nawet podrosłe, młodzieniaszki, gdy czytają Iliadę lub Rinaldiniego, dwie książki nierównego rozmiaru ale jednakiej moralności, wymykają się w krzaki czekając przejazdu fantastycznych kupców, lub chodzą w Ajaksowe zalebki i lżą się słowami Diomeda.

Boska malarka, wyobraźnia, wieki skurcza im w minutę, błyskawicą wpędza drobne istoty w szerokie historyczne postacie, i podczas gdy starzy goworzą po krążgankach, Achilles z Patroklem przechadzają się po podwórzu, Cinthio wysłany na zbójckie zwiady wygląda z za kurnika.

Z latami, z doświadczeniem, widokrąg coraz się zwęża, prawdopodobieństwo rozwiewa dziecinne mary, egzaltacja do pewnego czasu rośnie; a jeżeli wyobraźnia mniej szeroko ogarnia, wyżej natomiast sięga i już nie w ciała obce się obleka, ale w uczucia cudze się stroi.

Ludzie, porwani żądzą i nadzieją, śnią tysiączne wypadki; przed zwierciadłem próżności stawają w różnych położeniach, marzą wrażliwe spotkania, rozmowy, czasami nawet dowcipne odpowiedzi.

Nie ma w tem straty. Bez egzaltacji, można tylko kram pieprzu założyć.

Wielki czyn naprzód niekiedy się wyśni; poświęcenie, często wyobraźnia wprzód w liljowe szaty ubiera. Siła wreszcie do czynu wyrabia się przez ciągłą pracę fantazji.

Kto nie marzył, ten z deptaka powszednich zajęć, nigdy się nie wyprzął.

Nowa sfera narodowości, pełna namiętnych uczuć jaką Kazimierz odkrył przed Marją, niepojętym uderzyła ją blaskiem, rzuciła umysł jej w nieznaną dotąd wzruszenia, nadzieje i trwogi. Świat wydał się jej dwoma obozami; życie jednym polem walki. Z tej strony występowały piekielne potęgi, wcielone w nieprzyjaciół tego co Poraj nazywał ojczyzną i ludem, zbrojne w okowy, w topory, w katowskie narzędzia mąk — z tamtej, szczuple hufce męczenników samotnie kroczyły pod znakami wiary, nadziei, miłości. W obozie ciemiężców wrzały przekleństwa; walecznicy za prawdę zawodzili

pobożne hymny. Sposoczone morderstwo przechadzało się wśród ich szeregów; ofiary padały z pogodnym czołem; anioł wskazywał im niebo i dawał palmę męczeństwa.

Pośród świętego rycerstwa, wzrok mimowolnie zahaczał się o tego który hetmanił. Postać wodza, wsparta o rozburzony mu nad głowę proporzec, byłaby się zdała mistrzowskim posągiem, gdyby nie pełne życia oblicze, teńjące głębokim spokojem i nadludzką prawie siłą. Wróg rozkiełznawał na niego burzę gromów i pocisków, strach bezskutecznie szukał mu tworgi na twarzy: on, na okół siebie nie raczył nawet spoglądać, ale tęschny wzrok topił w przestrzeni, gdzie na skraju widnokregu błyskała mu już zorza zwycięstwa.

A przecież krwawe korale wystąpiły mu na ciału; nie jedną nosił już w sobie ranę.

Ach gdyby przyszło samemu sobie koleje życia wybierać, gdzież mąż, któryby z zapalem losów hetmana nie przyjął, gdzie niewiasta któraby do innego chciała należeć? — Oddychać jego nadziejami, dzielić jego trudy, koić nawalnie jego niepokoju, w trudnych razach stawać przy nim jako genjusz natchnienia, a może i życie za niego poświęcić! — Nie — nie — to byłoby za wiele szczęścia!

Łzy rozrzewnienia błyskały na rzęsach Marji; z uśmiechem drobne rączki wyciągała ku przyszłości; jasno przewidywała cierpienia i walkę, ale cierpień dna można było się dopatrzeć, walkom kres łatwo było naznaczyć — jedna miłość nie znała granic.

Więc i jego, objawiciela nieznanych dotąd pojęć, i siebie, nowowiernicę prawdy, ukochała we wspólnych nadal losach, w bycie o nieskończonność wyższym nad powszednie.

Tak wybiegłszy duchem nad poziom, sama dziwowała się nieraz nagłym niesmakom, jakie przejmowały ją do dawnych uciech, zastanawiała nad obojętnością do tego co przedtem ogarniało całą jej istotę, nad skarłowacieniem w jej oczach ludzi, na których tak długo z wzniesioną głową przyzwyczaiła się spoglądać.

Kazimierz wchłonał w siebie całą jej duszę; dla reszty młodzieży wzrok jej nie miał nawet promyka. Darmo niektórzy częstowali ją kadzidłami zwykłych pochlebstw, próżno

składali przed nią ofiary na ołtarzu niewieściej próżności, Marja słuchała ich jak o pogodzie; zdawkowej nawet monety uśmiechu nie mogli się dobrać.

Zniecierpliwieni, po motylowemu poskrzydełkowali dalej, tak że z licznej czeredy poczęstowanych harbużem, wkrótce jeden tylko pozostał.

Szambelan Fürstemberg pilnie nadstawiał ucha, ilekroć wspomniano o nowej a nadspodziewanej pomysłowości Sokolnika.

Przekonanie o dostatkach magnata, ścierało na czole jego jedynaczki grzech polskiego urodzenia. Dziewczyna, wspięta na workach pieniędzy, dorastała wysokości szambelana. Odmowy Niemiec nie przypuszczał; Sokolnik znał przecież wartość ludzi i wiedział z kim ma do czynienia. Niezawodność zabiegów, zaręczała mu nadto przyjaźń Wilczka, bliskiego krewnego rodziny, który popierał go całą duszą, i przysięgał że choćby mu przyszło drogę usłać spółzalnikiem, poprowadzi go z piękną Sokolniczką do ołtarza.

Wilczek wysoko cenił wiedeńskiego panicza.

Pokrewne tegoż stosunki w stolicy, blask urodzenia, wykwintne obejście, świetne w przyszłości u Dworu koleje, silnie za konkurentem przemawiały.

Podobne związki mogły zaszczyt tylko przynieść najznakomitszemu polskiemu domowi.

Uczucia ojczyste, narodowa odraza ku Niemcom, w swoim miejscu objawiały się, gdy szło o wyszturchanie podrzędnego austriackiego urzędnika, o zmierzenie się szablą z cesarskim szlachcicem lub z oficerem, o wychylenie kulawego kielicha na cześć Polski — nikły wszelako w obec ludzi, którzy z położenia swego nie należeli ani do Polski, ani do Niemców, ani do Francji lub Rosji, lecz do tego to kwiatu ludzkości, jaki we wszystkich krajach miał te same zalety, a który gawieź polspolicie zwała wysokiem towarzystwem.

Z tego, nie nowego już dla nas, stanowiska rzecz uważając, szambelan i Wilczek, i Sokolnik, i inni im podobni, wprzód nim do Niemiec lub do Polski, należeli do odrębnej sfery, w jakiej przypadek nad tłumem ich umieścił.

Z ucinanych rozmów z uwag, z na pół wyrzeczonych zwierzeń

Wilczek odgadł zamiary szambelana, otwarcie mu to wyznał, pomoc przybiecał i wziął się do dzieła.

Pokrewieństwo z Sokolnikiem ułatwiało mu zachody, wreszcie rzecz sama przez się wielkich trudności nie przedstawiała; dygnitarz zbyt dobrze rozumiał światowe stosunki, aby nie miał przyjąć z pośpiechem tak pochlebnej ofiary. Córka jego, jeżeli świata jeszcze nie znała, przeczuwała go już, w krwi prawdę nosiła, miała to uczucie własnej godności i zimną rozwagę, jakie odznaczały potomków znakomitych rodzin; w ostatecznym zaś razie niepewności, wahań, a może nawet i odmowy, wola ojca mogła zmusić ją do upamiętania i do posłuszeństwa wrodzonym zasadom i obowiązkom.

Wilczek ruszył prosto do Sokolnika, wręcz mu oświadczył nadzieje szambelana, gorąco wystawił zaszczyt związku, odwołał się do własnych jego uczuć i przekonań, i otwarcie zapytał o odpowiedź.

Magnat słuchał długiego szeregu korzyści jakie znaczeniu jego i dumie zapowiadało spokrewnienie z domem Fürstbergów, kłął w duszy konieczność zamknięcia drzwi fortunie, przyznawał słuszność czynionym sobie uwagom; odpowiedzi jednak stanowczej unikał.

Wilczek nie cierpiał dwuznacznych słów; popędliwy jego charakter gardził wszystkim co nie było ostatecznością; zapytania ujmował w kleszcze formuły tak lub nie — skoro zaś zdobycz umykała mu z objęć, sam wnioski wyciągał.

Sokolnik, party gwałtownymi wymogami jasnego wytłumaczenia się, usiłował zwalić z siebie odpowiedzialność, starał się wole swoją i przekonania całkiem z gry wycofać.

Związek z szambelanem — mówił — wchodził w jego myśl, odpowiadał zasadom, ale nie wywoływał w nim żadnych absolutnych środków przyprowadzenia go do skutku.

Obowiązki rodowe, chęci osobiste, wiele zapewne znaczyły, nie były atoli wszystkim.

Jako dziedzic dawnego nazwiska i zaszczytów, nie miał przeciw zamiarom szambelana; jako ojciec, pragnął przede wszystkim zabezpieczyć szczęście córki, a pierwszym do tego warunkiem było zostawienie jej nieograniczonej swobody w wyborze.

Wilczek wtrącił że piękna jego kuzynka nie mogła uczynić stosowniejszego wyboru, że kierowana radami rodziców, łatwo mogła zrozumieć o ile godniej było żyć jedną z ostatnich nawet pań w Wiedniu, aniżeli pierwszą we Lwowie.

Sokolnikowi lży żalu padały na serce, uczuł się schwytanym w samotrzask, odpychał sposobność zostania teściem jednego z pierwszych w przyszłości dostojników cesarstwa. Darmo! trzeba było uleść i nadrobić pozorem. Zmyślił więc obojętność na dworskie zaszczyty, zanucił hymn o słodyczach wiejskiej ustroni, o przywiązaniu do rodzinnej ziemi! dodał wreszcie, że w tajemnice serca córki nie wglądał, że ich nie znał, że atoli według kilku słów tu i owdzie rzuconych, nadzieje szambelana zdawały się mu niepodobnemi do wypełnienia.

Sielankowe i patryjotyczne wymówki magnata, obudziły w Wilczku silne podejrzenie.

Wbiegły mu na pamięć pogłoski o szczęśliwych zalotach Kazimierza, zobowiązania — jak mówiono — z obu stron uroczyscie zaciągnięte i gwoli którym, zapewne magnat nagle rozkochany we wsi i w ojczyźnie, zimno przyjmował zamiar wejścia w alians z pierwszą rodziną w Austrii.

Wilczek uderzył w sam rdzeń swoich domysłów i wprost zapytał, ile prawdy było w wieściach krążących o małżeństwie Marji z Porajem?

Sokolnik odznaczał się szczególną zdolnością do wypowiedzenia tego tylko co sam chciał; wytrawny gracz drugich mógł łatwo otumanić — w cudze pułapki z trudnością się dawał chwycić. Powtórzył więc obojętnie że nie miał i nie żądał mieć władzy nad sercem córki, że pogłoski o wzajemnych uczuciach Kazimierza i Marji, mogły zarówno być prawdziwemi lub fałszywemi, on bowiem, bynajmniej skłonności córki nie śledził, i wierny przyjętemu systemowi, jako ojciec, wymagał tylko, na dwadzieścia cztery godzin naprzód być zawiadomionym, aby miał czas ułożyć intercyzę, i zajęć się przygotowaniem uroczystości, w razie gdyby Marja, mieszczańskim obyczajem, chciała wejść w nowy stan, z biesiadą, z muzyką i z całym hukiem weselnym.

Odpowiedź nie zadowoliła Wilczka; zdało mu się że magnat

lekką z niego przedrwiwał; uczeplił jeszcze kilka uwag ale widząc że wszystkie pełzły na niczem, wynurzył cierpko że zbyt korzystne ma wyobrażenie o pięknej kuzynce i o jej rodzicach, aby ośmielił się przypuszczać że Marja może pomyśleć nawet o lada dorobkowiczu; że hrabina zgodzi się na spokrewnienie z człowiekiem, w którego dostatkach łokieć i kwarta tak przeważną grały rolę.

Nauka moralna nie w smak przypadła Sokolnikowi; pożegnał zimno niewczesnego doradcę mówiąc, że ktokolwiek zostanie jego zięciem, tak córka jako też rodzice odwołają się do własnego przekonania, w żadnym zaś razie do cudzych, chociażby grzeczniej nawet wypowiedzianych rad.

Wilczek byłby chętnie skoczył mu do oczu; bliskie pokrewieństwo i siwe włosy magnata, osadziły go na miejscu. Zbladł, usta zacisnął, zaklął w duszy Kazimierzowi i pospieszył do przyjaciela.

Szambelan dość obotętnie, jak na konkurenta, słuchał szczegółów niepomyślnej wycieczki, łagodził nawet oburzenie Wilczka, tłumaczył mu że odpowiedź Sokolnika w niczem nie przesądzała stanowczego wypadku, że wprzód należało zdać sobie dokładną sprawę z usposobienia hrabiny, zwłaszcza zaś jej córki. Co do rozpacz, na tę, po ślubie Marji z kim innym, aż nadto było czasu.

Spokój z jakim Niemiec poglądał na chmurny widok swych nadziei, zamiast ukojenia, rozdrażnił miłość własną w jego towarzyszu. Wilczek poczuł się upokorzonym; szambelan pokonywał go wyższością wychowania. Podczas gdy polski panek wpadał w gminne uniesienia, austriacki wielmożnik, jak przystawało na czystej krwi magnata, zbywał nawiasem pomyślne lub nieprzyjemne powodzenie jednego z najważniejszych w życiu postanowień. Z prawdziwie pańskim lekceważeniem wspominał o Marji, o Sokolniku, o jego żonie, jak gdyby sam jeszcze namyślał się czyli łaskę zaofiarowania swej ręki, może lub nie powinien wyświadczyć.

Mumjowanie to namiętności, uczuć, wzruszeń, w powi-jaki wysokiej ku wszystkiemu pogardy, dowodziło że szambelan z korzyścią bawił jakiś czas w Londynie, że z pierwszej ręki otrzymał towar angielskiego obejścia, towar nie-

oceniony, za którym przepadała wykwintna wiedeńska młodzież.

Wilczek nieraz usiłował nałamać się do modnej formy lordowego spleenu; płomienna jego natura upornie sprzeciwiała się chęciom wymrożenia w niej rodzinnych wybuchów. W Galicji, między swoimi, nikt braku tej ogłady nie pojmował, przedstawca atoli wiedeńskiego towarzystwa, łatwo mógł pośądzić go o parafianizm.

Wilczek, o samym sobie zaczynał nabierać lichego wyobrażenia.

Szambelan kończył rozmowę, przetrącając ją uwagami o małżeństwie swoim z Marją, o nowym angielskim zaprzęgu księcia Pawła Esterhazego, o uprzejmości Sokolnika, o Giudyty Fascarelli, nieporównanej tancerce cesarskiego teatru. Co do ostatniej — nie — myślę się — co do pierwszej, to jest co do Sokolniczanki, postanowił poświęcić kilka wolnych chwil, i sam, przez własne szkiełka, opatrzyć swoje stanowisko w domu jej rodziców.

Zwątpienia Wilczka oczywiście dowodziły przyjaźni jego raczej niżeli bystrości sądu. Jak rzekł, tak uczynił. Uzbroidł się w cierpliwość, i cały jeden wieczór wyłącznie poświęcił na wybadanie trzech osób z którymi miał do czynienia.

Wilczek podobno nie zupełnie był w błędzie; szambelan zaczynał dzielić jego obawy. Sokolnikowa przyjęła go z widocznym przymusem, cedziła przez zęby słowa, nie wszczyła pierwsza rozmowy, zbywała go płaskimi ogólnikami. Wprawdzie, Sokolnik obłożył go zwykłemi grzecznościami, posadził obok, na chwilę od siebie nie puszczał, natarczywością atoli tych względów, powodowała może chęć nieprzeszkadzania córce w wedwójnym rozhoworze z młodym jakimś jego mością, którego szambelan czasami w świecie spotykał, którego nawet kilkakrotnie mu nazwano, ale którego ani nazwiska nie pamiętał, ani rysów dokładnie przypomnieć sobie nie zdołał.

Przy końcu wieczora, gdy wbrew zwyczajowi i zasadom, pierwszy raz prosił Giudytę — czyli raczej Marję o muzykę, hrabianka także wbrew zwyczajowi pierwszy raz wymówiła się nieusposobieniem. — Obejście to ze strony dziewczyny,

należało przypisać fortelom kobiecej zalotności lub wyraźnemu objawowi nie chęci? — Szambelan o mało że się nie zadumał.

Należało koniecznie sprawę wyjaśnić; panicz niecierpliwił swoją godność nad rozplątaniem węzła zagadki; popędliwe sądy Wilczka nie wzbudzały w nim zaufania, szukał po głowie, wracając do siebie, środków i rady, gdy wtem przechodząc obok jezuickiego kolegium, nagle zatrzymał się, uderzył łasczką w róg gmachu i wykrzyknął niemieckie participium, mimowolne tłumaczenie okrzyku jakim Archimedes witał niegdyś wynalazek hydraulicznego swego prawa.

Nazajutrz, w mieszkaniu przełożonego zgromadzenia, wyciągnięty w szerokim krześle, siedział naprzeciw księdza Zefiry, szambelan Fürstemberg.

Jezuita układną miał postawę, wzrok wdzięczny, jak przystało względem członka możnej rodziny w cesarstwie, który do wrodzonych zaszczytów, łączył fawor pierwszych dostojników dworu.

Żarliwie polecony przez spółwyznawców z Wiednia, młody dygnitarz przywoził Zakonowi tajne nowiny od osób wysoko postawionych u majestatu, od księcia kanclerza, od wuja swego kardynała; sam wreszcie mógł przydać się na wiele jako świadek, jako sprawozdawca, jako pośrednik, jako bliski znajomy kilku dam dworu i ministrowych żon.

Dla podobnych ludzi, dla ulubieńców władzy, która przez łaskę wprost pochodziła od Boga, dla gałązek szczepów, które przed arką tronu, rozkwitały w bujny kwiat loyolskich zasad, Zakon na roścież otwierał skarbiec swoich błogosławieństw, świeckich wpływów, modlitw za duszę i pomocy na doczesnych manowcach.

Szambelan oddawna znał stosunki swojej rodziny ze Zgromadzeniem, wiedział że dzięki wzajemnym przysługom, tożsamości przekonań i potędze obosiecznej Zakonu, nie powinien był gdzieindziej szukać pomocy i rady. Wprost, atoli, w rzeczy tak dalece ziemskiej, nie wypadało odzywać się do szafarza duchownych zasiłków. Szambelan kierował się na dyplomatę, postanowił więc użyć swoich usposobień na zręczne, nawiasowe wybadanie Jezuity, o szczegóły zamiarów So-

kolnika względem córki, o możebność własnych swoich nadziei.

Ksiądz, z religijną uwagą słuchał potocznych niby zagadek, bawił się przezroczyściami niewyćwiczonych fortelów, nareszcie wsparł czoło na dłoni i po długiemi z obu stron milczeniu rzekł:

— Zaczyna jego rodzina wywiedziawszy się dokładnie — powtarzam — dokładnie wywiedziawszy się jak pan graf spędzasz czas we Lwowie, co porabiasz, gdzie bywasz — —

— Dokładnie wywiedziawszy się? — Przerwał szambelan z pozorną prostodusznością; któż mię tu dozoruje, kto o mnie donosi?

Ksiądz udał że nie słyszy, i mówił dalej:

— Rodzina pana grafa, kazała zdać sobie sprawę z położenia majątkowego JW. Sokolnika.

— Pokazuje się że ojciec mój ma tu przyjaciół i powierników. Dziwna rzecz! pierwsze o nich słyszę.

— Udano się do wszelkich możebnych źródeł, przerzucano hypoteki, zasiągnięto wiadomości na wsiach i w mieście, między sądowymi urzędnikami, i pośród kupców; odwołano się do ludzi otaczających Sokolnika, do zawiadowców jego dóbr i zabierano się już wyprawić do Wiednia ściśle sprawozdanie, pełne najniekorzystniejszych szczegółów dla przedmiotu śledztwa. Czekano tylko na otwarcie kontraktów. Roczne obrachunki stron, miały wypełnić niektóre braki opisu. Nagle gruchnęła wieść o nadspodziewanych dostatkach pana o którym mowa. Trzeba było ją sprawdzić. W istocie, Sokolnik, zręcznym obrotem, zawarł korzystny układ z wierzycielami, w przeciągu kilkunastu godzin, za gotowe pieniądze, skupił przeszło milion własnych długów, oczyścił hypotekę stanął na czele świetniejszego niż kiedykolwiek majątku.

Zkąd mu pomoc przybywała? — Nie można było z początku odgadnąć.

Doniesiono natychmiast o wszystkim do Wiednia. Odpowiedź rychło nadeszła. Rodzice pana grafa i krewni rozkazywali wszelkiemi sposobami ułatwiać mu drogę, pomagać w małżeństwie z Sokolniczką.

— Rodzina moja ma tu więc powierników?

Ksiądz, widocznie nie chciał odpowiadać na przerwy i prawil dalej:

— Wzięto się do dzieła — i szczerze, proszę mi wierzyć. Urzeczywistnienie zamiaru obiecywało pomyślne skutki dla wielu znakomitych osób i dla kościoła. Uderzono do rodziców.

— Któż taki? Dla czegoż ja, główny przedmiot zachodów, o niczem dotąd nie wiedziałem?

— Kto! — Przyjaciele; dość na tem; przyjaciele, którym, stosownie do poleceń z Wiednia, nie chodziło o przedwczesne zawiadamianie pana grafa, ale o czynną pomoc, o przygotowanie mu dzieła. Tu muszę wyznać, że pomimo usilnych starań, zabiegi brały niepomyślny obrót. Istotna atoli przyczyna niepowodzenia, nie mogła długo pozostać w ukryciu. Wyjaśnił ją jeden z domowników rodziny. Sokolnik spłacał długi pieniędzmi Piotra Poraja. W zamian za żywotną przysługę zobowiązywał się wydać córkę za młodszego brata swego wybawcy.

— Za Poraja, mówisz ojczyznie prowincjale? — Słyszałem to nazwisko; ba nawet, jego samego musiałem wczoraj spotkać u Sokolnika. Przechylny kupiec! nie będzie miał prawa skarżyć się że go szukano. Z otwartymi oczyma targuje; przez cały wieczór z bliska towar opatrywał.

— Mnożyły się zawady — ciągnął duchowny; z każdym dniem wstawały trudności nowe, coraz cięższe do zwalczenia. Poplecznicy pana grafa, nie chcieli ustąpić z pola, nie zużywszy wprzódki ostatnich środków. Sprawa przybierała inną postać, nieporównanie więcej zawikłaną. Chodziło o zerwanie szalonych zobowiązań, nie pozbawiając wszakże Sokolnika zdobytych korzyści. Inaczej, dzieło nie warte było zachodu. Pan graf nie byłby chciał żenić się z nieskończonym skaplerzem procesów za cały posag. Ułożono plan, napomknięto o nim zlekka Sokolnikowi, ale magnat cierpko zbył ludzi, którzy okazywali się troskliwsi niż on sam o własne jego dobro i godność.

— Jakże się tłumaczył?

— Zamilczał wyjaśnienia. Widno nie mógł przebaczyć

odmowy, jakiej przed niedawnemi czasy doznał był od tychże samych ludzi, gdy żądał od nich przysługi wyświadczonej mu dziś przez Poraja w zamian za bratową. Nic dziwnego! zamiana nie wszystkim przedstawiała też same dogodności.

Zostawała hrabina, zacna kobieta, uległa służebnica kościoła.

Horribile dictu! Szatan snać w tym domu obrał siedlisko.

Hrabina, dręczona dotąd ciągłą niespokojnością o pośmiertny los duszy, nagle straciła niebo z oczu, stanęła na stronie tego, który zbawiał jej życie doczesne, odepchnęła tych którzy mogli zabezpieczyć jej żywot wieczny.

— Hm! zaczynam lękać się o duszę hrabiny — wtrącił poważnie szambelan. Nie ręczę za innych, ale przyrzekam za siebie że na ostatecznym sądzie, pierwszy wystąpię przeciw niej z oskarżeniem.

Ojciec Zefiryn uśmiechnął się.

— Rad jestem, mówił, że pan graf spokojnem sercem przymujesz pociski losu. Wyborowe charaktery probują się wp rzeczywistościach. Człowiek o tyle wart, o ile umie zwyciężać w sobie lub na zewnątrz siebie.

— Cóż chcesz ojcze prowincjale abym uczynił? Mamże rozplynać się w potoku łez, echem okolicy, jako strapiiony Korydon, powierzać me skargi na niewdzięczność Chloi; lub może w donkiszockim zapale pokusić się o głowę mego spółzalnika? — Są to piękne rzeczy ale męczące.

— Broń nas Jezuu od złej myśli! — Odparł Zakonnik. Pan graf miałbyś mierzyć się z człowiekiem bez żadnej przyszości, wystawiać na zaturę duszę i ciało, gwałcić jeden z najświętszych bożych przykazów, dla zadość uczynienia djabelskim podszeptom miłości lub zemsty? — Nie, nie; zostawmy podobne wybryki tym, którzy nieużyteczni na ziemi, zawczasu zer dla piekła gotują. Wreszcie między nami mówiąc, co za ludzie oba Poraje? Starszy spędził życie w bezbożnych targach, w pogoniach za zyskiem z którego na ołtarz boży okruchy nawet nie spadły. Młodszy, za granicą — wiemy to od naszych braci we Włoszech, młodszy żył z ludźmi odsądzonymi od czci i od wiary; wylany na bezprawia i roz-

puść, drwił z rzeczy świętych; mówiono mi nawet że względem władzy, względem Rządu po rozbójniczemu się wyrażał. Truciznami temi nasiąknął zapewne między demagogją francuską i węglarstwem Włoch. Oba braci nikt dotąd nie widział w kościele ani przy spowiedzi; oba, jak od zarazy stronią od błogosławionego Zakonu. Aniół ciemności nienawidzi światła. Od pewnego czasu krążą po Lwowie o młodszym szczególniejsze pogłoski. Nie wiem ile w nich prawdy; przypuściwszy atoli dziewięćdziesiąt dziewięć części fałszu, ostatnia wystarczy na zniweczenie szczęścia młodej hrabianki.

— Dla czegoż więc nikt nie zawiadomi rodziców; czyliż Sokolnik nie ma przyjaciół, czy nikt nie posiada jego zaufania?

— Zapóźno panie grafie; małżeństwo Kazimierza Poraja zdaje się nieodmiennie postanowionem.

— Cóż z tego? czyliż między zamiarem a skutkiem nie znajdzie się miejsca na zręczną a silną wolę? — Wreszcie kto może zaręczyć jak daleko rzeczy zaszły?

— Musiały daleko już zajść. Dziś rano widziałem jednego z przyjaciół i domowników zarazem Sokolnika, którego patron wysłał był z poleceniem do starszego Poraja. Książę Tapczyc — po cóż tać nazwisko? Wstąpił do mnie z powrotem i doniósł jako z rozmowy obu braci, uciętej za jego przybyciem, łatwo można było odgadnąć, że dziś, powtarzam dziś jeszcze, starszy miał udać się do rodziców i uroczyście młodszego oświadczyć. Po oświadczeniu, natychmiast spodziewano się zaręczyn.

— I kapelan nic więcej nie dodał.

— Nic. Piotr Poraj naglony swojemi i Sokolnika sprawami, śpiesznie wyszedł i polecił bratu, między trzecią a czwartą czekać go na obiedzie w hotelu — nie pamiętam nazwiska; jest to nowy, najwikwintniejszy hotel, zbiegowisko modnego lwowskiego towarzystwa.

— W każdym razie — rzekł szambelan, przypatrując się przez szkiełka świętym obrazom zakonnej komnaty — w każdym razie, spodziewam się że nas obu zaproszą na wesele. W rodzie Porajów, nikt zapewne nie żeni się bez muzyki i fajerwerków.

— Biedna hrabianka! — westchnął prowincjał z wlepionemi w sufit oczyma.

— Biedna! — echowo powtarzał szambelan i tłumił chustką napad ziewania.

— Biedna! — wtórowała większa część lwowskiego towarzystwa, dowiedziawszy się niespodzianie o małżeństwie szlachcica z córką magnata.

Żale te wywoływała zawzięcie raczej przeciw Kazimierzowi niżeli spółczucie ku Marji.

Zamaszysta młodzież Galicji i Lodomerji, niechętnem okiem poglądała na nieusprawiedliwione, zdaniem jej, szczęście nowego przybylca. Nie pojmowano jakim prawem Poraj, który z nikim dotąd nie żył, do żadnych hulaszczych wypraw nie należał, żadnego dowodu obywatelstwa i tężyzny nie złożył, od razu sięgał po najwyższe dobro na ziemi, po piękną dziewczynę i suty posag. Oskarżano go o nietowarzystwość, o samolubstwo, wrócono że jeżeli teraz nosa zadzierał, po małżeństwie nie będzie chciał na nikogo patrzeć.

Kobiety, matki dorosłych córek, kobiety zamężne, kobiety wdowy, rozwódki i dziewczęta, nie spieszyły stawać w obronie obwinionego: każda dla wiadomych sobie, właściwych powodów.

Skąd inąd, sam Sokolnik nie mało wzbudzał oburzenia.

Po długim życiu blasku, szumu, lśniącego zbytku, zapowiedział nareszcie gorąco od wszystkich upragniony dramat wywłaszczenia, bankructwa, nędzy.

Pędzono zewsząd na widowisko; klaskacze trzymali wzniesione dłonie, widzowie nie posiadali się z radości. Obiecywano sobie mnóstwo uciechy, wruszeń, gdy wtem, magnat, zamiast z żebraczą torbą, wystąpił nagle z ogromnym worem pieniędzy i oświadczył że szanowna publiczność nadal, jak dotąd, będzie opryskiwaną błotem jego pojazdów, zmuszoną czapkować przed jego zbytkiem i dumą, schnąć z zazdrości na widok jego dostatków: za co, niekiedy, wolno będzie wybrany przyjąć udział w wyprawianych przez szczęśliwca balach i uroczystościach.

Krzyczący ten zawód do upadłego wszystkich rozjuszył; schylono wprawdzie głowę przed niepożytą Sokolnika potęgą,

umyślono atoli nie puścić mu płazem zawodu, postanowiono poszukać odwetu w dowolnem oznaczeniu źródeł jego pomyslności.

Jasny wniosek że głównie odgrywano się na Kazimierzu, jako na obwinionym o stanowczy wpływ w niegodnym przestoczeniu tragedji na krotoczwile.

W mozolnych zgłębianiach kopalni przypuszczeń, szczególną gorliwością odznaczała się część towarzystwa oderwana od rzeczy świeckich, poświęconą służbom bożym i zachodom wedle zbawienia duszy.

Stare dewotki, których zgrzyt słyszeliśmy już raz w naszej powieści, godnie odpowiedziały położonemu w nich zaufaniu. Zasznurowały w mętnej kałuży domysłów; widywano je często szepczące z czarnymi ludźmi z kolegium; skrzek tajemnicy wybiegał im kolejno na lica.

Wkrótce dowiedziano się z kąd Sokolnik dostał pieniędzy, dla czego córkę wydawał za Poraja.

We Florencji, w Londynie a może też i w Paryżu (nie zgadzano się z pewnością na miejsce), Kazimierz wkraść się był w łaskę pewnej wdowy, nie pamiętano, po amerykańskim bankierze czyli też po admirałe w służbie króla wszech Hiszpanji. Ożenił się z nią udając księcia polskiego, i odziedziczył znaczne bogactwa: wdowa bowiem, z niewytłumaczonej choroby, nagle, pewnej nocy skoła.

Inni utrzymywali że wdowa wcale nie umarła, ale że odarta z dostatków, jęczała gdzieś zagranicą w szpitalu obłąkanych.

Podobnym fortem uzbrowony w gotówkę, Kazimierz stanął przed Sokolnikiem w chwili, gdy temuż groziło wywłaszczenie i ostatnia ztrata. Magnat, chociaż nad przepaścią zwieszony, nie byłby przecie chwycił się brzytwy, gdyby wysokie osoby z Wiednia nie były mu nadesłały usilnych przyczyn za Porajem. Dla czego zaś cesarscy dygnitarze opiekowali się polskim szlachcicem, z kąd niczem nieusprawiedliwiona łaska na człowieka który ani rodem, ani otwartemi stosunkami jej nie dorastał? — O tem nie umiano jeszcze powziąć dokładnego wyobrażenia. Wreszcie, rząd austriacki tyłu potrzebował ludzi, tak dziwnych używał nieraz środków! — Dziwniejsze

rzeczy widywano na świecie! — Nie zawadzało trzymać się na ostrożności.

Pogłoski te i przestrogi, między młodzieżą rozpowszechniał Juljusz.

Nie wymieniał wprawdzie nikogo. Juljusz w podobnych sprawach pilnie unikał imion własnych, zręcznie atoli napomykał, dawał do zrozumienia, odpowiadał wymownem milczeniem, tłumaczył się gestami, zwierzał z tajemnicy w wykrzyknikach. Sam szatan byłby go nie schwytał na gorącym uczynku obmowy.

Cóż począć? — Życie jest walką; kto sam nie chce zginąć musi drugich gubić.

Dawne upokorzenie na pamiętnym pojedynku z pruskim oficerem, wyrzucenie z domu Sokolnika, małżeństwo z Marją, sama nakoniec wyższość moralna i majątkowa, nie mogły ująć Kazimierzowi bezkarnie. Juljusz czuł, że jeżeli zawczasu nie wyrwie z rany ościenia, prędzej czy później sam uledez musi.

Poraj wyraźnie niósł mu nieszczęście. Od przyjazdu jego, od pierwszego z nim spotkania, Juljuszowi nic się nie wiodło. Zdechła mu młoda wierzchowa klacz, dwa razy na polowaniu spadł z konia, na zalotach poczęstowano go czarną polewką; jednego parola, jednej lapy nie mógł syczeńliwie zagiąć; martyngały, kolejki, upatrzanki, wybiórki z zamkniętymi oczyma, zdradzały go jedno po drugim. Fortuna chłostała go bez miłosierdzia; nie było nawet o czem stawić jej oporu, czekać na obrot Sezostrysowego koła. Z puścizny po rodzicach, zostało tylko wspomnienie i tytuł dziedzica dóbr «in partibus.» Gleba zielonego stolika, jedyny sposób utrzymania, z tłustego czarnoziemiu przeszła nagle w wierutny piasek. Wyczerpały się dawne zasoby, a co gorsza i kredyt. Sam Izrael, niewdzięczny Izrael! odwracał głuche ucho na obietnice lubyh Talmudowi procentów. Na kontraktach, gdzie tyle przedstawiało się sposobności wypłynięcia na wodę, pośród młodzieży piennej i wcale nie republikańskiej względem króla Faraona — Juljusz był bez grosza.

Z losem, nie podobna było wejść w żadne układy; lichwa upornie zaciskała dłonie; pasierb rozmacoszonej ślepej bogini

wejrzał na ostatnią ucieczkę przed frasunkiem, na cudowny talizman, którego dotąd na próbę nie wystawiał, raz z obawy zniweczenia czaru, to znowu dla szczęśliwego braku wszelkiej potrzeby.

Juljusz, na łonie przyjaźni umyślił szukać pomocy. Często obyczajem podobnych mu ludzi, w to wierzył uczucie, którego potrzebował użyć na własną korzyść.

— O święta przyjaźni! — mówił sam do siebie — ty jesteś! — Ty jesteś! — Zobaczymy czem jesteś! — dodał wchodząc do Wilczka.

Oczywiście, dzień był to feralny.

Wilczek po rozmowie z Sokolnikiem, z której zdał był sprawę szambelanowi, przechadzał się szerokimi krokami, brwi na oczy nasuwał, marszczył czoło, stał przed oknem, konwulsyjnie bębnił w szybę, bez celu gdzieś poglądał. Twarzą i usposobieniem, przystępniejszym wydawał się do zwady niż do przysługi.

Wejście przyjaciela wcale go nie rozchmurzyło; rzucił mu kilka słów obojętnej treści ale namiętnego dźwięku.

Juljusz, jednym poglądem rozpoznał i ocenił położenie; wiedział że, dzięki długiej wprawie i zręczności, umiał, stosownie do woli, podniecać lub koić, rozpuszczać na wszystkie wiatry lub zwracać w żądanym kierunku gwałtowne towarzysza wybuchy. Rozwinął więc cały kunszt przebiegłości, zwolna, jedne za drugimi, z czoła pospędzał mu chmury, ugłaskał go w uprzedzeniach, upieścił w próżnościach, uweśelił na duszy i tak ku sobie uprzyjaźniwszy, wysunął żądanie koniecznej pożyczki.

Wilczek parsknął śmiechem. Objął go za szyję, ofiarował krew, życie, słowem wszystko, wyjąwszy to czego nie miał — pieniędzy.

Juljusz w zamian za gotówkę, poprosił o podpis, o zażeczenie.

Ale kropla atramentu, rozwiedziona w nazwisko, więcej znaczyła niż wszystka krew ciała. Panicz odrzekł z żalem że dał sobie słowo honoru, za własnego brata nie ręczyć, inaczej byłby z radością służył przyjacielowi; że atoli pierwszy wpływ do kassy, będzie na jego rozkazy.

Juljusz zaciął zęby, udał wiarę w przysięgę, zmyślił obojętność na odmowę, dodając wesoło że potrafi obejść się lub zaczekać, w głębi jednak uczył się do żywego zakaleczonym. Ponieważ zaś nie miał w zwyczaju przebaczać ciosów, natychmiast więc nakarbował sobie w pamięci nowy dług za doznaną krzywdę. Pożałował zachodów, płonnych uległości, bezskutecznych pochlebstw, straconych umizgów i znów wyciągnął haczyście palce dla rozdrażnienia tych strun, które miękką dłonią tylko co był uspokoił.

Wilczek kończył właśnie uwagę nad powszechną golizną młodzieży.

Juljusz przerwał mówiąc że zna liczne wyjątki, zepsute dzieci szczęścia, z których najukochańszem był bezwątpienia Kazimierz Poraj.

Nazwisko to zaczynało zbyt często objąć się Wilczkowi o uszy. Ukłuty nienawistnem wspomnieniem, ofuknął się prosząc, aby go nie nudzono panem Porajem, z którym nie pragnął mieć nic wspólnego.

Pokrasniało zarzewie; za lada podmuchem płomień miał buchnąć.

Juljusz wpatrywał się w kwiatki obicia i słowo za słowem prawił, że pan Poraj wcale nie był małoważną osobą, że dzięki majątkowi i osobistym zaletom, łatwo mógł sięgnąć po berło nad młodzieżą; że ci zwłaszcza nie mieli prawa lekce go ważyć, którzy jako kolligaci przez małżeństwo z bliską pokrewną, będą musieli wkrótce czule go do serca przycisnąć.

Wilczek słuchał cały w ogniach; wybiegły mu na pamięć pierwsze ciosy, jakie w skutek kilku zetknięć z Kazimierzem, poniósł był na miłości własnej, i Juljusz zadowolony z siebie a burzy nie ciekawy, już był na schodach, kiedy zapalenie cisnął za nim serdeczne przekleństwo.

Znalazszy się sam, skrzyżował ramiona, jął znowu mierzyć posadzkę szybkimi krokami.

Mimoходом, zawadził wzrok o zwierciadło. Przeląkł się sam siebie; strasznie był błądy, oczy miał zapadłe. Od kilku dni gorączka go trawiła.

Lekarz atoli nie byłby mu pomógł. Sprężysta jego postać

jakby ze stali ukuta, bronila przystępu cielesnym dolegliwościom. Cierpienia tkwiły w nim głębiej.

Wilczek przyniósł z sobą na świat ognistą duszę, rzadki hart woli i ów rycerski zapal, jaki siadał niegdyś na skrzydłach polskich husarzy.

Przymioty te na złe mu wyszły. Sam sobie wystarczyć nie mógł; poczynać myśli i z siebie snuć działania nie umiał. Na zewnątrz też zabrakło mu pola.

Urodzony w letargu ojczyzny, od pierwszych lat rzucony między ludzi, którzy stan ten uważali za historyczną konieczność, w pieczętach babki zaczerpnął pierwsze zasady życia, w wyobraźni szukał dla siebie celów, w holdach gawiedzi ujętej powierzchownemi jego zalety, słyszał głos publicznej opinii.

Potok wzbierał, pienił się, falił; ujścia nigdzie nie znalazł. Namiętności nieugięte pod jarzmem czynu i obowiązku, zwróciły się ku źródłu i szalały w nim niby rozkiełzane Tytany.

Po rodzicach, oprócz ziemskiej, miał także duchową puściznę.

Czasami, niewysłowiona tęsknota za czemś wyższem, lepszem, chwyciła go za serce; obracał wzrok na swą przeszłość i wzdrygał się ze zgrozy. W nienawiść szedł mu rozpasany żywot, brzydził się sam sobą, łzawem okiem błagał o święte natchnienie, unosił się napadami szlachetnych zamiarów.

Głos ten, był to głos sumienia, puścizna po matce, po biednej męczennicy, od kolebki w niebo go odbiegłej.

Częściej jednak, lada przeciwność, zawada, zadraśnięcie miłości własnej, skręcały w nim nerwy, zapalną krew pędziły do mózgu, wzrok powlekały bielmem szalu, rozwagę zapraszczały w otchłani uniesień.

Bachanalje te gwałtownych zapędów, przypadały mu w dzieciństwie po ojcu, po strasznej pamięci Augustie hrabi Wilczku, który żonę wpędziwszy do grobu, sam marnie zginął, nie wiadomo z czyjej ręki.

Córka może byłaby więcej wdała się w matkę; syn po ojcu się rozdziedziczył.

Za życia, nieboszczka jego matka słowa nie mogła wyrzec; mąż piorunem gniewu zamykał blade jej usta. W Wilczku, ile razy łagodny głos męczennicy budził upamiętanie, wnet święte odzywy tłumila nawałnica ojcowskich wybuchów.

Anioł - Stróż nie śmiał się odezwać; uciekł wylekły, i w skrytości modlił się gdzieś pod ostatnimi głębinami sumienia.

Szczęśliwy jaki a nagły wypadek, mimowolny czyn poświęcenia, silna duchowa boleść, mogły były wyzwąć go na jaw.

Panicz atoli, dalekim był od podobnych usposobień. Nie-smak ku samemu sobie, brak celów w przyszłości, roztargany stan majątku, przesycenie uciechą, wypędzaly mu z duszy ostatki spokoju, podczas gdy wąż zgryzoty oplatał mu i gryzł serce.

Wilczek przeczył istocie panującego w nim uczucia, sam siebie okłamywał, oczy pięściami zaciskał przed nieustannym wyrzutem, wcielonym w żywą postać wiejskiej dziewczyny.

Znudzila go Nastusia; nie kochał jej — cóż był temu wienien? — Sercu nie mógł rozkazać! I ona była niewinna; ona mogła prędzej duszę zgubić niż przestać go kochać.

Osamotniona na wsi, znała na pamięć każdą wlokącą się w przeszłość minutę. I ona sobie nie mogła wystarczyć, ale nie miała gdzie uciec przed sobą. Więc jedno pół życia cisnęła na pastwę rozpacz i tęsknocie, drugie otęczowane drżącą nadzieją, puściła z fałą przyszłości. Nierozważna! — Strumień kradł kształty, zmniejszał, daleko unosił nadzieje; boleść tuż przy niej zostawała.

Wieczorami, nim światło w pokoju zabłysło, od płaczu w serdeczne śmiechy czasem wpadała. Zdawało się jej wtedy że jutra nie dożyje. Marna pociecha! — Nazajutrz, słońce wyłączało okolicę, kwiaty okropłone rosą trzepotały do niej listkami i książka jakaś ulubiona zdradziecko wpadała do ręki. Nastusia oburącz chwytala się życia; z uśmiechem wspominała wczorajsze lzy.

Ona tak mało żądała!

Gdyby tu i owdzie czasami choć jeden promyk pociechy; ; jednego promyka byłaby sobie świat szczęścia uwiła.

Próżno dnie i miesiące czekała; chmury tylko garnęły się i czarna tęsknota pełzła na duszę.

A gdy przebierało się miary, gdy w sercu miejsca dla troski zabrakło, Nastusia przerywała milczenie, i piórem dziennym, pilnie wprzód każdą głoskę opatrzywszy, pisała do niemiłosiernika.

Jeden z podobnych listów, Wilczek gniótł w tej chwili z niesmakiem; nie raczył prawie nań spojrzeć.

«Mój panie — mówiła mu smętnie dziewczyna — głowy nie staje mi na samotne myśli, a więc piszę. Bo od wyjazdu twojego, rozniemogłam się na wesołości i ciężko mi żyć samej. Na zdrowiu także zapadłam; często suchy kaszel mię porywa choć u nas na wsi oddawna już nie zimno; słońko grzeje od świtu prawie aż do wieczora.

«I oczy mam czerwone; palą mię — jak gdyby kto żarą na powieki nasypał.

«Teraz oto, sama nie wiem jak stawiam litery; migają przedemną a każda świeci jak tęczą; może dla tego że przezły patrzę. Ale to minie. Minęłoby oddawna gdyby pan zjechał do domu choć na niedługo. A jak nie zechce minąć to niech się dzieje wola Boża. Matka kucharza Stefana zmarła. Wczoraj przez cały wieczór bili w dzwony. Cicho było na dworze tak, że choć odemnie daleko do kościoła, słyszałam księdza jak śpiewał gdy ją prowadzili na mogiłki. Zmówiłam pacierz za jej duszę; zmówią kiedyś ludzie i za moją. Był tylko Bóg dał zmrzeć w lecie, póki noce ciepłe i gwiazdy nie pootulane i nad świtem póki ptaszki świegocą. Ale w zimie, położyć się pod twardą ziemią, pod śniegiem, słyszeć jak wiatr wije, a w polu nie ma żywej duszy — musi być straszny strach. Wolę już płakać a chodzić po świecie.

«Coś wiele napisałam a napisałabym jeszcze więcej, tak mi ulżyło na sercu.

«Panie mój, wracaj; ja sama smutkowi nie podolałam; wróc choć na jeden dzionek do biednej Nastusi.

«Zapomniałam napisać że Piłka tu przybiega szukać swego pana. Ja sama jeść jej daję i głaszczę ją i proszę aby się nie smuciła i mówię że pan powróci. Dzisiaj była już z rana

i znowu tylko co jej nie widać. Jak się do mnie zęci, tak później nie będzie chciała ani zostać we dworze, ani pójść na polowanie.

«Od kilku dni nagabują mię okropne sny; śni mi się że jestem w wielkim murowanem mieście, że kruki i puszczyki ciągną za mną chmarami. Zlituj się Boże nad nami! Boję się we Lwowie jakiego nieszczęścia. Luby, drogi mój panie, wspomnij na chwilę że na wsi, sama jedna, tęschni twoja Nastusia.»

Wspomnieć? — Na nieszczęście Wilczek aż nadto często wspominał biedną dziewczeczkę. Wrócić? — Inna sprawa; trudniejsza, niepodobna, nieznośna!

Na wszystko jest czas. W pierwszym miesiącu pożycia, Wilczek za skarby nie byłby wsi opuścił; w pół roku potem, czasami wyjeżdżał; po roku, wracał niekiedy z przyjemnością, dziś — dziś wieś była mu karą, więzieniem, piekłem. Dość miał Nastusi! Widocznie przecież do chłopki przykuwać się było szaleństwem. Pogłoski o stosunkach jego z wieśniaczką, szkodziły mu w towarzystwie. Mógł pomyśleć o ustaleniu losu, o wyborze godnej siebie małżonki. Którejże matce, której córce, pochlebiałoby zwycięztwo nad miejską dziewczyną?

Ale cóż było z nią począć?

Do stu szatanów! któryż pan nie polował na własnym gruncie, któraż chłopka nie poczytywała za zaszczyt —? Czyliż lepiej było nawzajem się zgubić, przepaść we dwoje, aniżeli jedno poświęcić dla wyratowania drugiego?

W samym położeniu zapytania, leżała odpowiedź.

Poświęcić ją! — Poświęcić Nastusię, białą gołębicę, za to że orłu dała się porwać? — Za to że błogosławiła ostrym jego szponom, że ukochała w nim potęgę, że z roskoszą rzucała życie na igraszkę jego fantazji? — Czyliż nieboga prosiła kiedy o zamianę rodzinnej strzechy na złocone ściany pałacu; czyliż nie lepiej było zostawić ją przy starej matce, przy Krystynie, niżeli niewdzięcznie wydrzeć piastunce ostatnią pociechę, zbezczeszczyć, cisnąć na wieczną dwojga istot boleść, na wzgardę ludzką i pośmiewisko?

Precz z głupimi żalami! los kołem się toczy; jednych wznosi, drugich druzgoce. Gdyby trzeba było cierpieć nad każdym cierpieniem, świat uległby drugiemu potopowi — potopowi lez.

Wilczek tratował hydrę sumienia; ale na próżno w nieustannej walce gonił za zwycięstwem, za chwilą spokoju. Samotność stanęła mu męczarnią; w towarzystwie bodła go każda rozmowa, drażniły różne postacie, nużył chwilowy spoczynek.

Więc aby ulżyć szalonym zapędom krwi i złamać ciało zbuntowane przeciw wytchnieniu, zaczerpnął w środkach jakie podawały mu burza ducha i ogień wyobraźni. Zaczął grać z życiem ale w grę opętaną, w którą żaden z rówieśników puścić się za nim nie ośmielił.

Zbiegowisko młodzieży we Lwowie otwierało mu szerokie pole.

Wilczek sprowadził ze wsi swoje wierzchowce i otworzył wielki bank gonitw, zakładów, nieprawdopodobnych przechwałek, nazajutrz zamienianych w prawdę.

Widziano go palącego spokojnie krótką fajeczkę, podczas gdy rozhukany koń unosił go ku rzece. W chwilę potem, jeździec, jak Bóg morski okryty zieleń, ociekły wodą, wypływał na przeciwnym brzegu.

Innym razem, biedne zwierzę, zmuszone ostrogą do niesłychanego skoku, zwinęło się i runęło łbem na stos kamieni. Z jeźdźca i z rumaka, obecni ujrzeli postać Centaura dwóch stworzeń tak z sobą splecionych że nie można było oznaczyć początku człowieka i końca zwierzęcia. Nieszczęście było nieuchronnem. Zanim widzowie mieli czas odetchnąć, Wilczek zimno poprawiał na głowie kapelusz i oglądał stłuczone od zegarka szkiełko. Koń zabił się na miejscu.

Człowiek ten oczywiście wykutym był z djamentu; nic go się nie chwyciło.

W mieście tymczasem, brzmiały odgłosy o niesłychanej jego śmiałości i szczęściu. Młodzież pod niebiosą wznosiła okrzyki, sypała rześiste oklaski; sfanatyzowana odwagą i powrodozeniem, ubiegała się o zaszczyt trzymania mu strzemion, przysięgała na jego imię; byłaby w piekło za nim skoczyła.

Ale z niemałym zadowoleniem OO. Jezuitów nikt tak daleko się nie zapuszczał; wyprawy hałaśnej czeready kończyły się zwykle przy ołtarzu Bachusa.

Wilczek siadał do stołu czasem zmęczony, częściej znużony — uspokojony nigdy. Darty tajemną troską, konwulsyjnie ścisnął kielich i szukał pociechy w gorącym napoju. Inni kraśnieli, ulegali odurzającemu wpływowi; on sam jeden bladł za każdym toastem. Czerwień padała mu na mózg i serce.

Powoli, zaczął w nałóg tonąć, uważano atoli powszechnie że tracił dawną wesołość, i dziwiono się tembardziej że nastój młodego lwowskiego towarzystwa byłby Orfeuszowe w głazie obudził życie i ochotę.

Różne pogłoski zakrzyły o przyczynie trosk bohatera; zgłębiano je zwłaszcza tam gdzie wchodzimy w tej chwili, to jest do pierwszego w mieście hotelu, miejsca schadzki kontraktowych i przyjezdnych dla zabawy.

Była godzina obiadowa.

Na pierwszym piętrze okazałego domu, w obszernej sali, którą możnaby nazwać raczej galerją, stało kilkanaście różnego rozmiaru nakrytych stołów. W głębi, na rozcież otwarte drzwi, wiodły po czterech wschodkach do przybocznej komnaty, zajętej przez dwa bilary, ulubioną rozrywkę gości wykwiśniętej gospody.

Przychodnia, na wschodach jeszcze przyjmował gwar pszczelnego rojowiska, powitania wchodzących, wykrzykniki zasiadłych, dzwinkowy dźwięk szkła, głuchy brzęk talerzy, hałaśne odpowiedzi i obwieszczenia usługujących, wystrzały szampańskich korków, śmiechy, zaklęcia, przysięgi, zgiełkiwie uniesienia i szmer półgłównych wynurzeń.

Ku środkowi sali, w okół obszernego stołu, biesiadowało kilkunastu młodych ludzi pod przewodnictwem kapitana Skalki.

Ci, jak łatwo można było poznać, przeciągnęli byli śniadanie aż do obiadowej pory. Na stole owdowiałym z talerzy tułały się suche ostatki ucaty, po większej części wezwane na podniecie pragnienia. — Niemstraszonim szeregiem ciągnęły butelki na miejsce tych, które bez duszy już znikwały próżne

pod stołem, czyli jak Skalka nazywał, we wspólnej mogile różnorodnych trupów.

Za każdym kielichem przybywało wesołości i gwar się wzmagał.

Odbyto już przegląd kobiet, miejskich plotek, kontraktowych wydarzeń, szczególniejszych wypadków gry, wyścigowych koni, zakładów, dowcipów, anegdot, polowań, pojedynków; Skalka zabierał się do posetnego opowiadania o bóje Wilczka z Prusakiem, gdy wtem jeden z młodzieży rozbujany w krześle, przerwał mu gromkimi słowy:

— Na honor kapitanie, znamy na pamięć waleczną wyprawę, chociaż każdy jej szczegół codziennie pod nowym światłem nam się objawia. Lepiejbyś uczynił tłumacząc nam dla czego pomimo obietnicy, Władysław nie stawiał się na śniadaniu?

— Prawda! — Zapewne! — Powiedz nam, gdzie podział się Wilczek? — Co porabia? — Dla czego nie przyszedł.

Skalka skrzywił usta, wytrzeszczył oczy, głowę między ramiona zacisnął, dając poznać gestem że nie ma odpowiedzi.

— Co w tej chwili porabia? — Odrzekł Juljusz dobrze już podchmielony, jasnowidzący mógłby wam tylko powiedzieć. Że przyjdzie — nie wątpię. Musiała go zajęć ważna przeszkoda.

— Przyjdzie, wieczorem — jutro! — Jak się wszyscy rozejdziemy. Przecież nie zapomnieli, że na jego cześć wyprawiamy śniadanie?

— Pamięta, doskonale pamięta — ciągnął Juljusz, wazakie mówiłem że zapowiedział przybycie nowego członka do naszego towarzystwa.

— Prawda! krzyknął kapitan uderzając się w czoło; przekłeta pałka! — Pamięć w niej wietrzeje jak wino w odetkanej butelce. Dziś z rana, na własne uszy słyszałem; sam mówił mi że przyprowadzi gościa.

— Kogóż takiego?

— Nie wymienił; dodał tylko że nowy koleżka należy do jednego z najznakomitszych rodów.

— Bah! — Drwił sobie, żartował.

— Bynajmniej! słowem honoru ręczył za prawdę; przy-

sięgał że gość z głęboko szlacheckiej krwi, że sam cesarz nie odmówiłby mu pochlebnego przyjęcia.

— Widziałeś go na własne oczy kapitanie!

— Nie; nikt go jeszcze nie widział ani we Lwowie, ani nawet w Wiedniu.

— Nikt?

— Żadna żywa dusza; nikt, co się nazywa. Powtarzam słowa Władysia.

— Cha, cha, cha! — Wyśmienity żart! — Jakąż drogą personat przedarł się do Galicji, przecież nie spadł z obłoków? — Gdzie mieszka we Lwowie — w powietrzu — na chmurze? — Pod którym numerem? — Ach kapitanie, umrzesz na łatwowierność.

Skalka chciał odeprzeć zarzut, gdy wtem na dole domu a wkrótce potem na wschodach, wszczął się niewypowiedziany łoskot. Trzęsały się okna, dzwoniły szyby, drżała posadzka, chwiała się budowa, słychać było przeraźliwy łom desek i huk ciężkich uderzeń niby na okręcie śród nawałnicy, daleki głos gromu.

Lud kupił się na ulicy i rzecz dziwna, wesołe podnosił okrzyki. Obecni umilkli, ośłupieli na chwilę — zanim atoli kilku bliżej siedzących dośpiało poskoczyć ku progom, drzwi z trzaskiem się otwarły.

Wszyscy rzucili się ku wejściu.

Z parskającymi nozdrzami, z zadziwionem okiem gazelli, pokazała się naprzód piękna głowa konia, a tuż za nią jeździec i reszta ciała zwierzęcia niepospolicie wytwornych kształtów.

Grzmot okrzyków jakby z jednej piersi wyrwanych rozbił się o ściany i pędził na miasto.

Hurra! — Wiwat! — Niech żyje! — Wrzeszczano na całe gardło; miotano w górę butelki, talerze, serwety, czapki, kapelusze, włożono na stołki, ściskano się nawzajem, odchodzono prawie od zmysłów.

Szlachetne zwierzę, z wyciągniętą szyją, z rozdętymi nozdrzami, słuchało odorzającego łoskotu, przypominając sobie może pierwsze wrażenia przeprawy z rodzinnej Brytanji.

Wilczek postąpił ku środkowi, niby posąg Marka Aurel-

jusza, wyciągnął dłoń nad głowami tłumu do stóp mu przypadłego, dał znak że chce mówić.

Umilkli.

— Wdzięczen jestem — rzekł — za łaskawe przyjęcie, jakiego doznaje Lord Godolfin którego mam zaszczyt przedstawić szanownemu towarzystwu. Panicz ten jedzie prosto z Anglii; wczoraj wieczorem przybył dopiero do Lwowa. Cieszę się że zaraz przy pierwszym spotkaniu nabędzie o Galicji korzystnych wyobrażeń.

— Niech żyje Godolfin! — Zdrowie Godolfin! — Godolfin for ever! — Krzyczano na zabój.

— Hej, wina, kieliszków! — Niech djabli go porwą jaką piękną ma głowę!

— Co za oprawa oka!

— Szkoda że trochę więcej nie osadzony na zadzie!

— Pleciesz; angielska krew nie arabska! Widziałeś kiedy konia wyścigowego osadzonego inaczej?

— Do stu piorunów, nie dadzą nam dziś wina! — Czy wam wyschła piwnica?

— Ho ho hoo! — Wiiiirwat Godolfin!

— Co mówisz; gdybys miał takie nogi?

— Skoczyłbym z kościoła Ś. Szczepana.

— Niech go nie znam jak uszkiem strzyże! — Co za pierś!

— Jak u Trytona.

— Niech żyje Godolfin!

— Crescat et multiplicatur!

— Zdrowie Godolfina w ogólności i każdego z jego członków po szczególe!

— Cha, cha, cha! — Wyśmienita myśl! — Zdrowie kopyt!

— Niech żyje ogon!

— I djamenty oczu!

— I jedwab grzyw! —

Takie wykrzykniki krzyżowały się, podczas gdy jeździec rozdawał do koła uściski dłoni i starał się odpowiadać na tłum zapytań względem ceny, miejsca urodzenia, podróży, rodowodu, wieku, i t. d.

Szampań tryskał strumieniem; za każdą butelką roslegał się okrzyk na cześć konia i jego właściciela.

Trzeba było podziękować.

— Hej, służba, podać mi Wilczka! — Krzyknął bohater zgromadzenia.

Pod tym nazwiskiem znany był w gospodzie ogromny kielich który z łatwością chłonał w siebie butelkę, a nawet i więcej.

Wilczek napełnił imiennika po brzegi, wspiął się na strzemiączkach, podniósł kielich w górę.

— Godolfin — rzekł — serdecznie dziękuje za życzenia i nawzajem pije za zdrowie przyszłych wyścigowych spółzawodników i szanownych ich właścicieli.

To mówiąc zbliżył naczynie do ust, odchylił w tył głowę i niebawem suche dno obecnym pokazał.

Zagrzmiały okłaski, krzyki, wiwaty.

— To nie dość, Władziu! — wołał Skałka — jak cię kocham! — Słowa honoru! — Każdy za siebie! Od ciebie i za ciebie tylko przyjmujemy odpowiedź. Z Godolfinem jeszcze nie kwita.

Kilku z młodzieży uchwyciło konia za nozdrze, otworzyło mu pysk, podczas gdy kapitan wlewał mu w gardziel bełkoczącą butelkę szampana.

— Brawo, kapitanie! — Niech żyje Godolfin i jego podczasy!

— To mi polska gościnność! — Niech zna Angielezyk jak u nas piją!

— Winem, owsem i solą, ludzi, koni niewolą!

— Niech mylord pozwoli serwetą buzię sobie obetrzeć; znamy się na wyspiarskich zwyczajach.

— Może piórka do zębów?

— Zkąd wiesz że Jego Wielmożność już po obiedzie? Bierzesz go za głodnego eleganta?

— Cha, cha, cha! — Komedja, na honor — skonać od śmiechu!

Mylord tymczasem przeżuwał w myśli rozmaite uwagi. Obfite użycie napoju dość mu przypadło do smaku, chociaż po prawdzie byłby może wolał Porto lub Maderę. Zgiełk atoli, zamaszystość galicyjskiej gentry, niemile raziły angielski takt w postępowaniu i przyrodzoną ozię-

blość. Zaczynał się niecierpliwie; bił w posadzkę kopytem.

Jeździec zrozumiał życzenie, cofnął trochę mylorda, dotknął ostrogą, ściągnął cuglami do góry.

Godolfin wyprostował się jak świeca, chwiał przednimi nogami w powietrzu, wypędział na skórę sieć marmurowych żyłek.

Wilczek pochylony na grzywę obrócił go na tylnich nogach jako na panwach, spuścił na ziemię, pogłaskał mu szyję i ruszył ku wyjściu.

— Do widzenia! — wołano — obaczmy się na przyszłych wyścigach!

— Goddam! — Może też i nasze szkapy zdadzą za tobą!

Mylord perjodycznymi stępy rozbijał schody; czuć było zakłopotane kroki i niepewne dudnienie tylnich kopyt.

— Rule Britannja! krzyczano z francuskim akcentem; cieśle i stolarze nie zginały przy tobie z głodu!

— Słowo honoru, zabije się! — Słyszycie? — Poręcz pękła!

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — Potknął się padł! — Hola! — Chodźcie tu! — Na pomoc!

Wilczek już był na ulicy i wesołej czeredzie od ust przesyłał pozdrowienia.

Błagano, wzywano go na górę.

Lekko zeskoczył, oddał konia masztalerzowi i pospieszył ucieścić się świeżymi wawrzyny. Rzucili się ku niemu, ścisnęli w objęcia, wieszali szczęśliwej wyprawy, sypali gradem zapyań, wykrzykników, sadzali za stołem; choć sami po śniadaniu rozpoczynali drugie śniadanie, gdyż dla przyjaźni Cygan dał się obwiesić — a Wilczek jeszcze był naczczu.

Tego waru pryskającego na wsze strony, tej wesołości, tych braterskich uniesień, tej pogardy jutrem i niewyczerpanej fantazji — przejdź od Gibraltaru do Himalaj, od Kordyljery do ciałniny Berynga, nie znajdziesz w żadnym kraju, nie spotkasz w żadnym narodzie. Tu serca wiecznie rozchylone jak wiosenne kwiaty; lada wzrok na dnie ich dopatrzy ostatniego pyłku. Tu dłonie i usta otwarte; przyjazny uścisk tyle kosztuje co przysięga wzajemnych uczuć. Tu dusza w nie-

ustannej młodości a gardło w nieustannem pragnieniu, bo jak piją! — Jak tego piją! — Niemiec sto razy legnie pod stołem, Francuza na pół umarłego wyniosą, Anglik nawet zeszywnieje, podczas gdy u nas, szkarłat wybiegnie na czoło, ale nogi krzepkie, bez pomocy wracają do domu; wzrok jasny i ręka pewna, w potrzebie korek od trzewika potrafią ustrzelić. Nie darmo, panie świeć nad spragnioną jego duszą, Sas w Polsce panował! Szczęściem nie zatłumił tej ruchomości, gwoli której polscy biesiadnicy nie lubią długo siedzieć za stołem; wrodzone uczucie harmonji nie pozwala im roz hulanej myśli godzić za spoczynkiem ciała. Wszakże można bawić się kielichem i niekoniecznie przyrość do stołka.

Kapitan oddawna zapraszał do drugiej sali gdzie dwa bilarardy rozścielały zielone pola zwykłej poobiednej rozrywce.

Spojrzano na Wilczka; w oczach szukano mu potwierdzenia.

Skinął łaskawie głową; powstał i wszystkich za sobą pociągnął.

W pierwszej sali zostało tylko kilku gości, nienależących do towarzystwa; główny korpus biesiadników z całą artylerją butelek, przeniósł na bilar zgiełk swój, wesołość, i wrzawę.

Po kilku dniach troski, Wilczek pierwszy raz rozchmurzał czoło.

Pochwały sypane Godolfinowi i jeźdźcowi, uprzejmość z jaką go przyjmowano, niezaprzeczona nad drugimi wyższość której wyraźne składano mu dowody, wszystko to jeżeli nie dało mu spokoju, pchnęło go przynajmniej na chwilę w serdeczne usposobienie. Nikomu zdrowia nie odmówił, żadnego toastu nie zamilczał; choć przyszedł ostatni, jako wszędzie i zawsze tak i w kielichowej gonitwie wkrótce wszystkich daleko za sobą zostawił: nigdy też zapał na jego cześć nie buchał z równą siłą i jednomyślnością. Nie szczędzono mu w oczy przyjaznych oświadczeń; powtarzano za oczyma choć już nie słuchał, mniemania nad rzadkimi jego przymioty, nad nieocenionem sercem. Sławiono pana na wysokościach konia i na pieszym poziomie.

W jednozgodnym tym sejmiku uczuć, była jednakże jedna pierś kryjąca na dzień myśli zacięte veto. Juljusz miał nie-

podległy charakter. Ogólnym zapałom porywać się nie dawał, bezustannych oklasków nienawidził, w serce nieczyje nie wierzył, cierpiał na każdą choćby najmniejszą wyższość u drugich. Przewidywane krynice śmiertelnie go nudziły; rad mącił je, daleko więcej bowiem bawił się wirami prochów na dnie osiadłych.

— Nic nie ma trwałego na świecie — mówił sam do siebie — i to serce które dziś sławią pod niebiosami, zamyka się na pierwsze żądanie przyjacielskiej usługi, i ta wesołość na pozór bez granic, skurczy się w gniew za lada dotknięciem szpilki.

Więc aby prawdę słów wypróbować, jął zlekka otrząsać głównie niezgody. Szukał uczepek.

Tu i owdzie wyrwał się jeszcze toast na cześć Godolfina i jego następców. Inni o tymże samym przedmiocie toczyli rozmowy, wchodzili w drobne szczegóły, unosząc się nad każdym bez miary. Juljusz, wsparty zdaleka o ścianę, zadrasnął niby z niechcenia doskonałość Mylorda.

— Grzbiet ma trochę spadzisty, mówił — wątpię aby źrebięta po nim na co się przydały.

— Przyszaj się Julku, odparł Skalka że nie widziałeś grzbietu; chyba na schodach.

— Przecieżem oczu w kieszeń nie chował. Powtarzam i dowiodę według wszelkich zasad hippiatryki: głowa piękna, przód niczego, ale nie mówcie mi o grzbiecie, chyba żaden z was jak żyje, nie widział konia czystej krwi?

W istocie — przerwał Dzieduszycki, żaden z nas nic nie widział, ty sam jeden wszystko znasz, wszystko widziałeś.

— Wszystkiego nie znam, ale pokazuje się że więcej niżeli wy widziałem i porównywałem. Wreszcie pójdziemy jutro do stajni, zaprosimy znawców; niech rozsądzą.

— Nie troszcz się Juljuszu, po co te śledstwa? — rzekł Wilczek, oparłszy się krzyżem na bilarze i z jedną nogą podniesioną, krzając za sobą determinowany dublet — konia kupiłem, zapłaciłem; rad jestem z jego przymiotów a może więcej jeszcze z wad. Co do źrebiąt, bądź spokojny; żadne z nich nie oszpeci twojego stada.

Obecni się uśmiechnęli; stado znawcy na koniach, wraz

z dobrami, znajdowało się na księżycu. Juljusz zacisnął zęby; przymówka ostrzem uwięzła mu w piersiach.

— Wiesz dobrze Władziu, rzekł — że nie mam stadniny. Na honor, gdybym się był spodziewał że niewiary sąd o koniu w gniew cię wprawi, byłbym ust nawet nie otworzył.

— Ja, gniewam się? — Nie więcej znasz się na ludziach jak na koniach. Nie od dziś przecie z sobą żyjemy.

Wilczek chybił biłę, krew zaczynała podnosić się mu do mózgu; namiętnie kij kredą i duszkiem wychylił szklanekę starego węgryna.

— Cha cha, dobrze ci tak! mówił Skalka; przypinałeś ty, przypięli i tobie łątkę. Dopóty dzban wodę nosi póki — —

— Zgoda, zgoda! odparł Juljusz; jeżeli chcecie abym chwalił, z zamkniętymi oczyma będę sypał pochwały. Słowa nic nie kosztują. Alleluja! — Hosanna! — Od początku świata aż po koniec, nie było i nie będzie takiego konia jak Godolfin. Niegodne go ani Galicja ani Lwów; do Wiednia z nim, do Paryża! — Kto go tu oceni? — Gdzie na nim się pokazać? — Chyba na koronacji albo też — albo też — zapewne! — Zgaduję teraz w jakim celu Władysław sprowadził Angielczyka; wystąpi na nim w dniu uroczystym dla siebie i dla znakomitych swoich krewnych.

Wilczek przymrużył oko; słuchał, nie wiedząc czyli ma śmiać się czy gniewać.

— Cóż to za uroczystość? — Pytano do koła; wydajesz festyn Władziu i nikogo z nas nie zapraszasz? — Wstępujesz może do Kamedulów?

— Nic nie wiem o żadnej uroczystości; niech was Juljusz zaprasza; on więcej wie odemnie.

— O nieopatrzna młodzieży! — Mówił ostatni żartobliwie — liczysz gwiazdy, z butelką wprawdzie nie z teleskopem, a nie wiesz co dzieje się we własnym twoim domu. Czyliż dziś dopiero i odemnie potrzebujecie dowiadywać się że przyjaciel nasz wydaje za mąż swoją kuzynkę, że wesele pięknej Sokolniczanki wisi mu nad głową?

— Jako Władziu, wołało kilku z obecnych — ty kojarzysz to małżeństwo? — Winszujemy!

— Z młodszym Porajem? — Powiedźcie nam czy prawda co mówią w mieście?

Wilczek nasunął brwi; źrenice latały mu do koła jako jaskółki przed burzą.

— Janku! zawołał na służącego; zaprowadź tych panów do kancelarji parafialnej i proś odemnie księdza aby im natychmiast pokazał rejestra. Kto ciekawy czy moja kuzynka idzie za mąż i za kogo, niech rusza za chłopcem. Jeżeli proboszcz pokaże mu zapisaną zapowiedź, dowie się o wszystkim najdokładniej; w przeciwnym razie, od białego papieru tyle wyciągniecie co i odemnie. Stadnicki! — Chcesz jeszcze jedną partję? — Piętnaście dukatów na parol.

Znój grubemi kroplami występował mu na czoło; Wilczek zdjął chustkę z szyi, zawinął rękawy i z właściwą sobie zręcznością jął wpędzać niesłychane bile.

— Kapitalnie Władziu! rzekł Gorajski galicyjskim przysłówkiem; jeszcze kilka takich uderzeń a puścisz go na kiju.

Ostąpiono mistrza; zdumiona galerja ucichła na chwilę. Zanosiło się na pokój.

Juljusz bynajmniej tego nie pragnął.

— Władys — rzekł wolnym głosem, nie potrzebnie wyprawia was do proboszcza. Ja mogę wam zaręczyć że dziś rano złotnik Ziegler pokazywał mi wyprawne srebro panny Sokolniczanki; wszystkie noszą cyfrę M. P. Pojmuję atoli że Władys nie chce wdawać się w objaśnienia. Rodzice i krewni nie lubią o podobnych rzeczach mówić przed czasem.

— I mają słuszość — odrzekł Stadnicki; sprawy te w niczem obcych nie obchodzą.

— Mnie zaś mniej niż kogokolwiek — rzekł Wilczek. Moja kuzynka może wyjść za samego djabła, nie moja rzecz z piekła ją wyciągać.

— Nie taki djabeł czarny jak go malują — wtrącił Juljusz; chciałbym mieć tyle dukatów, ile dziewcząt w Galicji chętnie zaprzedałoby temu djabłu duszę. Kazimierz Poraj jest pod wszystkiemi względami zepsutem dzieckiem fortuny.

— Szkoda panny, rzekł Skalka ślaniając się na nogach; mogła była lepiej wybrać. Chłystek! — Oficerował pruskiemu sekundowi — nie — chciałem rzec — prusakował oficer-

cerskiemu — — Niech go kula trzaśnie! — Co mówisz Władziu — duszko; szkoda panny — he?

— Co ja mówię? — krzyknął Wilczek niesforenym głosem; ja mówię że szkolne młokosy weselej od nas się bawią, że szpitalnicy mniej boją się kielicha. Przed chwilą, jeden drugiego nie mógł usłyszyć; nagle zamilkliśmy wszyscy; osieroczone butelki próżno rozdziawiają gardła; nikt pogłaskać ich nie raczy. Czekacie dobrego przykładu? — Do pioruna, z nieba wam nie spadnie! Czy brak toastów, czy ochoty? — Hola, chłopcy! — Wina, mojego wina! Ha ha, spostrzegam rumieńce! gdzie wstyd tam i nadzieja zbawienia. W twoje ręce Stadnicki! i ciebie nieboraku potwarz oślinia, i o tobie mówią że chcesz nas porzucić, że chcesz się żenić. A wiesz co to małżeństwo? — Nie wiesz? — Tem lepiej, inaczej narzeczona twoja zostałaby starą panną. Tymczasem, pókiś między nami, wypijem za twoje zdrowie, za twoje Dzięduszycki, a potem za twoje Gorajski; za zdrowie wszystkich, bez różnicy wieku i stanu, przekonanych o małżeństwo, posądzonych o miłość, winnych i niewinnych, ujarzmionych, wszystkich powtarzam, bez różnicy!

— Czy nawet i tego? szepnął mu półgłosem Juljusz, wskazując w pierwszej sali otwierające się drzwi od wejścia.

Wilczek dochylał kielicha; upuścił go; szkło bryzło w kawałki. Zgrzytliwy ten dźwięk, jak zwykle bywa, chłostał obecnych po nerwach; pękły butelki, strumienie wina trysły; uspiiony na chwilę zgiełk zawrzał z nową gwałtownością; widać było że w walce tej z szalem, każdy dobywał ostatnich sił. Wilczkowi dzwoniły zęby, bladość występowała na lice; porywała go owa gorączka, jakiej ojciec jego niegdyś często ulegał. Błędnym wzrokiem zataczał po zamkniętych drzwiach, którymi tylko co był wszedł Kazimierz Poraj.

Jeszcze jeden kielich, jeszcze jeden zakład w bilar; ale kielich pełny po brzegi, zakład o gruby pieniądz! Dalej — rączo! mniejsza o środek, byle dopiąć celu, byle w czem wzburzenie krwi zaprzepaścić.

Nowy gość tymczasem przebiegł wzrokiem po obecnych, rzucił kilka badawczych spojrzeń między tłum bilarowej sali; po bezskutecznych poszukiwaniach, siadł naprzeciw wejścia

w kącie ściany przedzielającej dwie izby i machinalnie, jakby dla zabicia czasu, wziął do ręki Lwowską Gazetę.

Dobyl zegarka; wstrząsł głową z wyrazem lekkiego zdziwienia.

Pomimo upłynionej godziny na schadzkę, Piotra jeszcze nie było; musiał zabłąkać się gdzieś za sprawami; od kilku dni biedak nie mógł nastarczyć zatrudnieniom; od świtu do późnej nocy był na nogach.

Kazimierz postanowił czekać na niego z obiadem i obojętnie przeglądał świeże nowiny o zdrowiu cesarza, o pologach arcyksiężnej, o nowych godnościach i nagrodach spadłych na wierne monarsze sługi.

Z przybocznej izby, otwartemi drzwiami, jak kraterem buchał zgiełk, wpadały mu w ucho rozpasane okrzyki, gromkie śmiechy, uniesienia nad zręcznością Wilczka, łoskot bilardowych kul, brzęk kieliszków, wiwaty, zaklęcia, ucinane zwrotki bachicznych piosenek, improwizowane arje bez słów, naśladowania pocztarskiej trąbki, głośnie przyzywy służących, chrapliwe odpowiedzie piwniczego.

Kazimierz słuchał gwaru, jako czasami wieczorem słucha się szumu rozkukanej fali, nie myśląc o przyczynie hałasu, w błędnej po stepach marzeń gonitwie.

Jemu wiosna serca mała obrazy; jemu taka pogoda, taki spokój opromieniały duszę!

Zaraz przy wstępie na ziemię rodzinną powitały go dwa uczucia, z których zaledwie jedno rzadki jaki szczęśliwiec w życiu spotyka. Brat odkrył mu skarb matczynego poświęcenia, pokazał jak w szczęściu drugich własne łatwo znaleźć. A gdy tak otwierał mu serce na święte wrażenia, gdy młodzieniec wyciągał ku światu rozradowane ramiona, padła mu w objęcia śnieżna gołąbka miłości, drżąca dziewiczym wstydem kochanka.

Przed laty, błądząc po świecie, i on, z równianek wspomnień, z ognia wyobraźni wysnił sobie ideał kobiety. Dziś, cóż stało się z ideałem? Pierzchnął zawstydzony rzeczywistością. Przed blaskiem jawu znikły ogniki wyobraźni; wcielona prawda rozbiła niedokształt sennych mar.

Dziwna potęga kobiecego uczucia! — Dziewczę w jednej

chwili sercem odgadło i zrozumiało nieznanym jej dotąd świat społecznych bólów, ojczystych obowiązków, wysokich przed sobą celów. Utowarżyszone w nadziejach, wzrokiem roziskrzonym wiarą, odwagą, gotowością ofiary, spojrzęło na możebne w przyszłości koleje i tuląc piękną głowę do piersi lubego z łagodnym uśmiechem, witało przeciwnie losy, z niewiarą wspominało o cierpieniach, o nieszczęściu.

Ach, tam gdzie tyle pociechy, nie ma miejsca na nieszczęście!

Drogie, ukochane dziecię! — Z jakimże niesmakiem przeglądało na dotychczasowy swój byt błahych drobnostek, niewieściich oględów, bezbożnego czasami zbytku!

Trochę cierpliwości! — Czas wlecze się ale nie zasypia. Zanim miesiąc upłynie, przebijesz białą gołąbko pręty domowej klatki, umoczysz piórka w tych chmurach które ścigasz dziś niecierpliwem okiem, wylecisz na nowe okolice, w słońcu uczucia wyłocisz połotne skrzydła.

Cierpliwości! — Dziś jeszcze, za godzinę, na drobnym twym palcu czarowna dziewczyno, zabłyśnie pierwszy dar narzeczonego, symbol wzajemnej wiary, ze szczerego złota, prosto ukute ogniwo.

Obrączka! — Jaka małeńka! — Rzekłbyś na miarę dziecka zwiniećta.

Kazimierz wy dobył ukradkiem pierścioneł, wcisnął na koniec małego palca, obracał, z uśmiechem się przypatrywał.

Nagle rozśmiał się półgłosem?

Poglądając na własną rękę, pierwszy raz spostrzegł palec osierocony z tajemniczego pierścionka.

Talizman dotąd jeszcze wisiał na gałązce różowego lauru, przywracał mu zieloność, okrywał kwiatami.

Z dwóch talizmanów szczęścia, Poraj więcej wierzył temu, który w tej chwili lénął mu nieochybną nadzieją całego życia rokoszy.

Z bilarowej sali zbliżał się ktoś, gwiżdżąc strzelecką piosenkę.

Obrączka Marji znikła z obawy niewczesnego ciekawca. Juljez z włosami w Bachusowym nieładzie, przeszedł się po sali, skinął głowę nowo przybyłemu, chciał nawet z pod

oka nań spojrzeć, ale Kazimierz jednym wejrzeniem przycisnął go do ziemi.

Ciemny karmazyn wybiegł mu na czerwone już policzki; obojętnie niby słowikował dalej piosenkę, ważył w myśli jakieś zamiary i mierzonym krokiem wrócił do rojowiska.

Obecność Wilczka i Kazimierza, psuła mu smak wina; byłby chętnie bez obu się obszedł.

Warto było wreszcie ucztę zakończyć fajerwerkiem. Juljusz wstąpił w środek czeready, położył palec na ustach i rzekł półgłosem:

— W sam czas przerwaliśmy rozmowę; nie radzę rozpoczynać niewczesnych uwag.

— Dla czego? zawołał gniewnie Wilczek, który przegrawszy już dwa ważne zakłady, dwoił sumnę i zabierał się do trzeciego.

— Osoba — odparł tajemniczo namiętny kochanek Eumenid — osoba o której mówiliśmy jest tam — tuż obok nas — z drugiej strony ściany; drzwi otwarte; przestrzegam.

— I cóż z tego? alboż my tu handlujemy potwarzą? — Każdy z nas co ma na sercu to na języku, co sam przed sobą w myśli wypowiada — tego nie wacha się przed całym światem powtórzyć. Dalej Stasiu! — Zagramy przeciw sobie parol ze stu dukatów. Na mnie kolej!

Wilczek jedną ręką uderzył podwójny karambol. Okrzyk uwielbienia rozszedł się po sali.

— Wyśmienicie! — Brawo! — Kapitalnie! — Niech go kula porwie! Dawno nie widziałem podobnego sztosu.

— Dwanaście a będzie! Skrzeczał chłopiec znaczący punkta.

— Władys szalone ma szczęście, rzekł Juljusz w chwili gdy tenże zbyt w sobie zaufany, chybiał bilę stanowiącą o zakładzie.

Wilczek podniósł rękę do oczu; do koła widział czerwono.

— Szczęście! — Wielki wyraz, mój bracie, zawołał; do drobnych rzeczy zniżać go się nie godzi. Ha, miałbyś słusność nazywać mię szczęśliwym, gdybym naprzykład, z szlacheckiego

zagonu przeszedł na dorobkowicza, gdybym nie wiedzieć zkąd i dla czego wpadł w oko bogatej pannie, otumaniał rodziców, złapał ciężki posag, wszedł w związek ze znakomitą rodziną! — Ale prawić o szczęściu dla tego, że tu owdzi stukną o siebie dwie bile!

Juljusz wzruszył ramionami, wskazał głową ku drzwiom, przypominając gestem kto w sąsiedniej sali się znajdował.

Dzielniejszego bicza na namiętności Wilczka trudno było wynaleźć.

— Władziu, życie moje! — Bełkotał Skalka należycie podcięty; na wszystko są sposoby, byle tylko dobrze skończyć, mniejsza o początek. — Finis coronat opus.

— Nie przeczę kapitanie; są sposoby, ale nie u nas. W naszym kraju ludzie działają uczciwie, prosto, otwarcie, dla tego też każdy zostaje na swoim miejscu. Kto chce przekraść się z niskiego na wysoki szczebel, ten na polskich sposobach kark skręci. Chyba że z zagranicy — z Włoch dajmy na to — z ojczyzny Machiawela, przywiezie z sobą tłumok fortelów, intryg i podstępów. Wtedy może wygrać.

— W każdym razie nie wiele przegra, syknął półgłosem Juljusz.

— Ha ha, tyle tylko że dostanie harbuza! Ależ owoce ten z prawa się mu należał. Własnej osoby nie przegra; jestem o nią spokojny; pamiętasz co rzekł przy ostatniem spotkaniu, z jaką kaznodziejską powagą zawyrokował że pojedynek jest szaleństwem? Wierzę, mocno wierzę; słyszałem djabła to samo mówiącego o święconej wodzie. Są to zasady i zwyczaje wysoko cenione u Kwaków — u nas dzięki Bogu, jeszcze nie popłacają. Można chcieć je do Galicji wprowadzić, ale wprzód nim wejdą w życie narodu, reformator nie źleby uczynił swoich dni trochę mniej szczeniąc.

Wilczek chłostał się własnymi słowy; rozpuścił cugle uniesieniu, pomiótł wszelkimi względami; leciał sam, nie wiedząc gdzie go rozhukana krew unosi.

Obecni spojrzeli po sobie, nie pojmując przyczyny tak gwałtownego wybuchu.

Juljusz zatarł ręce; sam nawet Skalka jak gdyby rażony przeczuciem, zebrał nieco zmysły, wyjrzał do drugiej sali a obaczywszy Kazimierza, poznał na co się zanosi. Czempredziej szepnął kilka słów towarzyszom, zabierał się do ugiłaskania szalonych zapędów przyjaciela.

Wilczek za pierwszem słowem uciął mu głos, z oczyma krwią zabiegłemi, pędził na oślep, rwał tamy ludzkiego obejścia jedne po drugich.

Nadaremnie Skalka i kilku innych usiłowali na odmienny kierunek zwrócić rozmowę; zapamiętalec poznał fortel i tem zacięcej brnął w swoją kolej. Nie pomogły nowe toasty i losy dalej prowadzonej gry.

Wilczek znacierpliwiony zawiścią fortuny, przyjmował zakłady, ale za każdym uderzeniem ciągnął dalej niechętnie dla sąsiada przygryzki, coraz głośniejsze i w końcu tak przezroczyście że ten, pomimowolnie uciął własnym marzeniem i dał ucha treści zgiekliwych wyrazów dochodzących go z bilaru.

Na pogodne dotąd oblicze, wybiegł mu gorzki smutek; Kazimierz założył ręce i pierwszy raz skierował uwagę ku rozpustnej zawierusze, jaka tuż obok niego szalała.

— Tyle życia — mówił sam do siebie — tyle dzielnych sił tak marnie zużytych! — Szalają jako Helioga bałowe opętańce rokoszą! — Świata jeszcze nie zawojowali a już im pilno do grobu. Porwani obłędem, zamknęli oczy na przyczyny, oślepli na skutki. Ileż łez, ile krwi niewinnej opłaci każdą chwilę piekielnego wesela? — Biedna ziemi! nie uszanowali cię za życia i dziś grób twój bezczeszcząc srożą się że nie zmartwychwstasz!

Poraj wsparł czoło na dłoniach, jął snuć gryzące owe pasma myśli, jakie zwykle wśród rozhoczonych oplątują trzęwego.

Treść wrzawy wkrótce wyrwała go z zadumki. Juljusz nie bez przyczyny snąć dobywał coraz donośniejszego głosu.

— Chociażbym sam jeden — wołał — miał przeciw wszystkim wystąpić, nie przestanę bronić człowieka, którego obejściu, słowom wreszcie, można trochę zarsnąć, ale który

żadnym czynem nie usprawiedliwia zawziętości jaką przeciw niemu spotykam.

— Gdzie zawziętość? — Któż go tu szkaluje? — zewsząd krzyczano — unosisz się nie potrzebną, zbytęczną obroną.

— Na honor! ciągnął Juljusz; albo mię macie za głuchego albo nie pamiętacie własnych słów.

— Pamiętamy dobrze cośmy raz powiedzieli, odparł Wilczek; własnych słów żaden z nas nie zaprze. Może nawet lepszą pamięć mamy od ciebie, który zdajesz się zapominać że nie dawno pierwszy powtarzałeś, a teraz bronisz na całe gardło, wiedząc że cię słyszą w drugim pokoju.

Nie było wątpienia; rzecz toczyła się o obecnych i to w sposób szczególnie dotkliwy.

Kazimierz podniósł się na pół z kanapy, wsparł dłońiami na stole i słuchał.

— Porzuc Władziu! — Prawił Skalka miłosiernie; przestańmy o tem mówić; alboż nie mozem zająć się czem innym? — Zdrowie oto Godolfina! ostatnie zdrowie; piliśmy winem, wypijemy likworem.

— Zgoda na wszystkie zdrowia, przerwał Wilczek, nawet na toast za szczerość i niezmienność raz wyrzeczonego zdania. W twoje ręce Juljuszu!

— Jak najchętniej Władziu, i słów twoich za stosujące się do mnie bynajmniej nie przyjmuję. Zdania nie odmieniłem; powtórzę jeśli o to chodzi, ale na wszystko są granice, i każdy sąd, najstuszniejszy, za daleko posunięty, staje się niesprawiedliwością.

— Wysmienicie! krzyknął Wilczek; mamy nowego Lykurga; wypijemy za jego zdrowie! Żal mi cię mój Juljuszu; boję się abyś nie połknął kiedy własnego języka. Wierzaj mi; najlepiej trzymać się prostej drogi: kogo kochasz, kochaj, kogo nienawidzisz, nienawidź. — Słowa niepotrzebnie owijasz w bawełnę. Mów śmiało, otwarcie; nie lękaj się niczego. Wszakże ja tu jestem a ze mną, jak wiesz, nie łatwa sprawa.

Wilczek dumnie wznosił głowę; wyrzucił ostatnie wyrazy

ze zgrzytliwym przyciskiem. Śród wojennej wrzawy lub na okęcie podczas nawałnicy, głos ten byłby przedał się przez wiecher burzy, przez huk wystrzałów.

Nastała chwila milczenia. Zaczepka pędziła do ostatecznych krańców. Przewidywano nieochybne zswarcie dwóch ludzi, z których jeden zdawał się ogień mieć w żyłach, drugi zaś niepodobna aby miał tylko wodę.

Kazimierz usłyszawszy zuchwałą przechwałkę, zmarszczył czoło, niebawem skinał głowę z wyrazem niesmaku i z wolna siadł znowu na kanapie. Zwykły, tęskny, szyderski uśmiech osępił mu łagodne oblicze.

Oddawna postrzegał on brak spólcucia między sobą a większą częścią krajowej młodzieży; wiedział że od pojedynku pruskiego oficera, przywódzca jej żywił ku niemu wyraźną niechęć, nie przypuszczał atoli aby zniewaga śmiała bezprzyczynnie zastąpić mu na spokojnej drodze. Złożył więc na karb odurzenia napojem zawadjackie wybryki sąsiadów, znów spojrział na zegarek i zniecierpliwiony nieobecnością Piotra, postąpił ku oknu aby go prędzej zobaczyć.

W przybocznej sali, głośny, urągający śmiech Wilczka przerwał chwilę oczekiwania.

Zrozumiano wybuch udanego wesela. Ostra zaczepka osłiznęła się po pancerzu niesłychanej obojętności Poraja na własną godność, na pierwsze uczucia honoru, na zasadnicze pojęcia o wartości człowieczej, o szlacheckich obowiązkach względem samego siebie, względem rodziny, przyjaciół, kochanki, pamięci ojca i przodków. Kazimierz cofał się przed obroną tych zasad, bez których życie odarte z zacności, było tylko pasmem wstydu, pośmiewiska i wzgardy.

Jedni litościwie wrzuszali ramionami, drudzy ze zgrozą odwracali głowę; Wilczek rozgorzał żarem oburzenia. Ofiara jego zapędów, człowiek ten tak nikczemnej cierpliwości, miał wkrótce wejść w grono jego rodziny, miał zaślubić jego pokrewnę.

Szatan rozdzierał mu duszę! piekło tętniło w żyłach. Juliusz, biegły niby lekarz, śledził w nim każde uderzenie pulsu;

on jeden może z całej czeredy nie zwątpił w konieczność paroksyzmu.

Zaspokoileś ciekawość — mówił przedrwiwając; niczego więcej się nie dowiesz. Czy mogą służyć ci jedną włoską partją? — Tej dziś jeszcze nie grałeś.

— Każdą inną byle nie włoską; daj mi pokój z tem wszystkim co ma jakikolwiek stosunek z Włochami!

— Zgoda — niech i tak będzie! — Nie rozumiem, ciągnął dalej zwracając się do otaczających, co Władysław ma przeciw Włochom? — Kraj piękny, muzyka czarująca, kobiety anielskie — —

— Ale nie mężczyźni, odparł Wilczek. Nie cierpię ludzi, którzy chorują na wstręt do prochu i do żelaza.

— A coltellata? — Za nic że ją rachujesz?

— Zapewne! w nocy zakraść się, pchnąć nożem i uciec; na podobne wyprawy, rycerze.

— Dziewięć a trzy! krzyczał bilarowy chłopiec.

— Czerwona przez białą! — Na lewo, do ostatniej! — Karambol, jeden — drugi!

Ośmnaście a trzy!

Bile rozbijały się z głuchym łoskotem; Wilczek gwałtownymi uderzeniami co chwila wyrzucał je na posadzkę.

— Strzeż się Juljuszu, mówił dalej, cienkich krajanek i znajomości z Włochami. Niebezpieczni to ludzie. Kto z nimi się brata, łatwo może zarazić się zajęczem sercem! Czy słyszysz? — Zajęczem sercem — jak tego w tej chwili mamy w drugim pokoju oczywisty dowód — rozumiesz mię? — Jak tego, mamy, tam, za ścianą, oczywisty dowód. Do stu piorunów! — Przecież dość głośno się wyrażam — —

Kazimierz drgnął; dotknięty niby w serce rozpalonem żelazem.

Przebrała się miara cierpliwości. Krew ogniem zakrążyła mu w żyłach, warem buchnęła do głowy; byłby przysięgł, że mu lano na czaszkę strumienie wrzącego ołowiu.

Otarł chustką czoło; spokojnie wychylił szklanekę wody;

zwolna postąpił kilka kroków, i blady stanął w drzwiach bilarowej sali.

Kilkanaście wzroków utkwilo mu w twarzy; jedne obojętne, inne ciekawe; ostatnie szarpane przecuciem bolesnego wypadku.

Skalka chciał roześmiać się, zamówić sprawę, odwrócić dwa spienione potoki każdy na przeciwne a odległe manowce, ale darmo usta owierał; głos wiązał mu w zapiekłem gardle.

Wyrok na zaczepionego wydał się niektórym zawczasie wydanym; niejeden z sędziów odwoływał go w duszy.

Juljusz przezornie cofnął się w kąt izby, schwycił jakiś papier, rachunek, gazetę czyli podobno spis win, ukrył w nim twarz niby zagłębiony czytelnik, przez wierch jednak z pod oka poglądał na działaczów nowej przygody.

Wilczek, sam jeden zachował wyzywającą postawę, wznosił czoło do góry, na drżące usta wywołał konwulsję uśmiechu i przyspieszony takt nogą wybijając w podłódze, rzekł o ile możliwości donośnym głosem.

— Ah! — Pan Poraj! — Witamy — rzadki między nami gość — nie łaskaw na nasze towarzystwo?

Skalka nagle odzyskał mowę; powtórzył słowa przyjaciela nadając im co siły żartobliwe i przychylnie znaczenie. Uśmiech krzywił mu usta, niespokojność łamała rysy; zaplątany w beład wyrazów, zamiast łagodzenia, roziskrzył zarzewie zwady.

Wilczek rozkiełznywał w sobie ostatnie zapędy.

— Mylnie tłumaczysz moje słowa kapitanie — rzekł wspierając się na bilarowym kiju jak na rusznicy. Czynilem prostą uwagę nad odludztwem pana Poraja, ale nikt z nas go nie błaga aby raczył zmiłować się nad nami i odstąpić od wrodzonych zapewne zwyczajów i upodobań.

Kazimierz splótł ramiona na piersiach, oparł spokojny wzrok o rozdrgane rysy przeciwnika i rzekł:

— Każdy z nas, panowie, ma swoje zwyczaje i upodobania. Co do mnie, jeżeli mniej aniżeli bym pragnął, gonię za zaszczytem należenia do szanownego towarzystwa, czynię

to dla tego, że nie znajduję przyjemności ani w butelce ani przy zielonym stoliku.

— Nikt tu pana nie słucha sprawy z jego czynów — odparł Wilczek. Wiemy — aż nadto wiemy, że w gronie naszym zbyt wiele pokus dla surowej cnoty. Zatwardziało z nas grzeszniki. Cha, cha, cha! — Ale co począć? — Nie Kochamy tak dalece dukata, aby go czasami nie rzucić igraszkom losu na pastwę. Do skruchy jesteśmy za starzy. Jeżeli zaś niekiedy bawimy się przyjacielskim kielichem, to dla tego że spokojne sumienie nie lęka się na jasne słońce dna pokazać, że żaden z nas nie ma tajemnic, któreby chciał ukrywać przed światem. Inaczej, ja sam pierwszy, naśladowałbym pana; stroniłbym od ludzi i od zabawy.

Kazimierz zacisnął dłonie; poprzysiągł w duszy że cokolwiek nastąpi, zapanuje nad sobą.

— Wiem, przerwał, wyciągając rękę ku rzecznikowi, że nikt tu z niczem ukrywać się nie potrzebuje. Słowa te dokładnie dowodzą że tu ani w sercu ani w głowie nie ma tajemnic. Na nieszczęście, wszystko od razu można przejrzeć.

Gest wyraźnie wskazywał do kogo zwracała się ostra odpowiedź. Zgiełk oburzenia buchnął po sali; kilku z obecnych groźne miotają wyrazy; Wilczkowi dygotały ręce, oczy krwią zabiegły. Uderzył z całej siły kijem bilarowym w posadzkę, zniecierpliwiony że kto inny śmiało porywać się do podniesienia z prawa należącej mu rękawicy.

Więc całą pierś ciskał słowo po słowie:

— Mój młody panie — mówił — bystry masz wzrok — nasz nieco przytępiony — użyciem; zbyt często przymrużaliśmy — zwłaszcza lewe oko. — Radzę ci dobrze lewe oko przymrużać — ile razy zechcesz ze skutkiem pociągnąć za cyngiel — —

Kazimierz, z politowaniem chwiał głową.

— Pojmuję myśl — rzekł, ale ze mną nie skończy się jak z drugimi. Cudze szaleństwo, mojego wcaleby nie usprawiedliwiało; takie mam przekonanie. Z rady wszelako skorzystam. Nie tylko jedno oko przymrużę ale nawet oba

samkę aby nie patrzeć na ohydne rzeczy jakie się tu dzieją.

— Ha ha! wybornie, wymienicie mój prorok! — To daleko łatwiej. — Radzę panu abyś tak samo uczynił z uszami — mógłbyś nieraz usłyszyć nieprzyjemne rzeczy. — Wreszcie po co wam oczy i uszy? — Dla was obu z bratem, którzy pędzicie żywot w żydowskim kramarstwie, dość na palcach — abyście mogli rozróżnić oberżnięty dukat od okrągłego!

Pękły ostatnie tamy upamiętania i rozważki. Kazimierz obiema rękami uchwycił brzeg pierwszego bilaru, podczas gdy Wilczek, w głębi sali, o drugi się opierał.

— Zuchwalczel! — Krzyknął piorunowym głosem — ty i twoi! — Hańba! — Klęska narodu! — Jak śmiesz! —

Wilczkowi włosy powstały na głowie, twarz posiniąła granatem, usta zakipsiały pianą szału.

— Jak śmiem? — Ha! — Oto masz dowód!

Jednym rozpiędem wskoczył na bilar; rozjuszonymi rękami jak gromem cisnął w stronę przeciwnika.

Pocisk mignął przed oczami Kazimierza, przeleciał mu nad głową i rozbił drzwi z łoskotem.

Usłyszano przeraźliwy łom; brzeg bilaru pękł z trzaskiem pod żelazną dłoń Poraja.

Straszna była chwila powszechnego osłupienia.

Przecucie nieszczęścia przewiało obecnym po duszy, gorączka bolesnego oczekiwania zatargła krwią.

Młodzież przewidując nieublagany odwet, skupiła się koło dowódcy, jak gdyby chciała zasłonić go własnem ciałem.

Wilczek, z obłąkanym wzrokiem, po gladiatoru stał na bilarze; dyszał głęboko — prawą ręką gniotł serce, lewą odsuwał cisnących się mu pod stopy.

Z drugiej strony, Poraj okropnie wybladły, toczył w ślup zwartemi oczyma; konwulsyjnie ścisnął oderwaną, ogromną krawędź bilaru.

Niebawem, rysy wypogodniały mu spokojem silnego postanowienia; upuścił na ziemię bezużyteczne drzewo, zalczył!

ramiona, uderzył w napastnika bezdennym wzrokiem i wyciągając ku niemu rękę, rzekł:

— Do zobaczenia! — ostatniego, dla jednego z nas!

Obecni nie opatrzyli się nawet, kiedy znikł im z przed oczu.

— Jest nowy pojedynek! przerwał Skalka w którego objęcia, Wilczek wycieńczony padł prawie bez zmysłów.

IX.

Piotr wychodził z nieszczęsnej gospody. Szedł jak obłąkany. Dowiedział się o wszystkim.

Rozpustna zgraja, wystraszona rzekłbyś wzajemnym widokiem, pijana wzruszeniami i napejem, rozpierchła się na różne strony. Kilku pozostałych, obojętnych widzów zgorzenia, uwiadomiło Poraja o zajściu.

Nie dosłuchał opowiadania, nie badał o szczegóły, biegł czempredzej do domu — do domu gdzie czekały go: prawda, bliższe objaśnienia, gdzie spodziewał się zastać brata.

Jeszcze kilka kroków, jeszcze skręt ulicy — aby tylko minąć plac — jeszcze dwa domy — dalej na wschody, na górę! — Piotr był już u siebie.

Nie zastał Kazimierza.

Co tu począć? — Boże wielki daj cierpliwości! — Gdzie poszedł? — Gdzie go szukać?

Służący oznajmili mu, że jak wyszedł rano tak dotąd jeszcze nie wrócił. Pójść po niego — posłać? — Gdzie? — Do Sokolnika? — Niepodobna! Od rana do domu nie zjrzał? — Musi wrócić — wróci chociaż na chwilę, choć dla tego aby jednym słowem uspokoić brata, nie ma rady; trzeba czekać!

Piotr rzucił się w krzesło, ukrył twarz w dłoniach, tłoczył mózg który mu czaszkę rozsadał; głowa płonęła mu żarem, powstał, zbliżył się do okna, wyjrzał na ulicę. Słyszał kroki przechodzących i turkot powozów; przed oczyma cienie mu tylko migaly.

Zkąd wszczęła się kłótnia? — Jakim sposobem od słów przyszło do gwałtu? — Nie od dziś znano powszechnie napady wściekłości Wilczka. Kazimierz nie mógł dać powodu do zaczepki. Czyliż niepodobna było ich upamiętać? — Skalka, Juljusz, oba Stadniccy, Dzieduszycki, Mysłowski i inni obecni, jak mogli do tej ostateczności dopuścić?

Do jakiej ostateczności? — Kłótnia! — Cóż się takiego stało? Kto z kim?

Piotr myślał że jest w gorączce, że zmora rozszalałej krwi siada mu na piersiach i plecie straszne jakieś powieści.

Otworzył okno; wiatr chłodny go owiał; wyraźny gwar ulicy wrócił mu rzeczywistość. Nie było wątplenia; nie-szczęście stało się! — Ale kto winny? Jaki szatan z głębi piekła wy dostał niezgodę? Co dalej począć — któredy wybrnąć z nieszczęsnego wypadku?

Kazimierz jak na złość nie wracał.

Znowu wyjrzał oknem, na prawo — na lewo; osłaniał dłonią powieki, śledził dalekie kształty przechodniów, upatrywał podobieństwa. Nie, to nie on — i jeszcze nie on. Przekłęte spotkanie! — Cicho — ktoś wszedł na wschody. Ha przecież! — Dzięki Bogu!

Uchylił drzwi. Nie — to sąsiad z drugiego piętra. Trzeba czekać do sądnego dnia!

Znowu jął przechadzać się szybkimi krokami, znów padł na sofę; odetchnął głęboko i powoli, z dalekich gdzieś szlaków, począł ściągać rozprzężone myśli, przywozić na pamięć opowiadania gości piekielnego hotelu. Wywoływał z kolei głównych działaczy przygody, ważył ku czemu który z nich zdolny, dobierał wniosków.

Opary wzburzonej krwi, zawiejka obłądnych wrażeń, pierzchały zwolna przed potęgą rozwagi; Piotr sam siebie zaczynał rozumieć.

Przekleństwo! — Potępienie na niegodziwca! Czyliż nie ma już na ziemi sprawiedliwości, czyliż wiecznie wolno będzie lada szaleńcowi igrać ze spokojem, z uczciwą sławą, z bytem każdego przechodnia? Gawiedź upędma się, poluje na wściekłe zwierzęta; ząb człowieczy często zjadliwszy; rana zadna sło-

wem trudniejsza do wyleczenia niż pierś rozdarta tygrysiemi szpony.

Przez Boga! — Hańbiące to na cały kraj zgorzenie. Młodzież z zacnych domów, majątna, dzielna, zgubnym porwana przykładem, tyra wiek w próżniactwie i w bezwstydnym. Z dymem pijanej rozpusty ulatują dostatki; w bezwstydnym bagnisku gry, zapamiętałych biesiad, zawadjectwa, toną siły, cześć i zasady. Jeden czasami zbyt ni kielich, całe jedno życie rozbija jako gliniane naczynie.

Nie ma nad czem rozmyślać! Jakikolwiek powód — wypadek zawsze ten sam.

Opinja świata nie zna ani sądu ani miłosierdzia. Od winowajcy i od niewinnego, zarówno wrzeszczy o krew. Ostatni wniosek sporu — pojedynek.

Pojedynek!

Kazimierz jeszcze nie wraca; to nie do darowania! Miałżeby u kogo innego szukać pomocy i rady?

Piotr drgnął na myśl o następstwach zajścia.

«Pojedynek!» powtarzał z tą trwogą dzielnych, którzy znają bojażń, gdy chodzi o życie drogich im istot.

Wilczek grał w pojedynek jak w dziecinną zabawkę. Ranił, zabijał, sam zawsze wychodził nietknięty. Bóg szalał osłaniał go tarczą przekornej ludzom opieki, gnał, pędził prawie do bójk.

Szalenieć, za lada drobnostką, drażnił bezsilny los, śpieszył na pole, odkrywał pierś, urągał przypadkowi. Próżne zamachy! — Śmierć szczerbiła kość, jego zadrasnąć nawet nie mogła.

Dziś atoli chodziło nie o drobnostki; sprawa była przerażającej wagi. Jeden raczej zginie niż przeprosi; drugi prędzej zabije niż przebaczy. Spotkają się bez miłosierdzia — na zabój!

Wilczek jaskółki kulą zatrzymuje w locie. Pojedykuje się na upatrzonogo. Broń jego nie ma nic wspólnego z przypadkowością, ręki i oka więcej u niego niż serca. Świadkowie Wilczka świadczą nie zabytkom średniowiecznych rycerskich przesądów, ale pospolitemu morderstwu.

Morderstwu? — Miałżeby i jego zamordować?

Piotr otarł czoło; pot zimnemi kroplami wystąpił mu na oblicze.

Nie — nie; Kazimierz bić się nie może. Ciężka kilkonastoletnia praca, życie poświęcone jednemu celowi, nadzieje od tak dawna pieszczone, cały zapas uczuć zwarty w jednym ognisku braterskiego przywiązania — wszystko to miałożby zawisnąć na szali z jednym zbrodnicznym wystrzałem? Broń Boże nieszczęścia, nie jeden ginął — dwóch ginęło.

Dwóch razem, zatracić się w jednej otchłani? Bezbożne szaleństwo! Nie — dość było zawziętemu losowi na jednej ofierze; drugą gwałtem należało mu wydrzeć.

Któregoż jednak z dwóch wypadło naznaczyć krwawem znamieniem — który na więcej przydawał się sobie i ludziom?

Piotr ani chwili nie wahał się, nie wątpił. Przyzwyczajony do szybkiego obrachowywania niedogodności i korzyści w przedsięwzięciach, jął, nad bratem i sobą, rozmyślać niby nad dwojgiem całc obcych mu osób.

Z dwóch braci, starszy przekraczał już połowę ludzkiego wieku. Życie czynu, ciągłego ruchu, nieustannych zachodów, wkrótce miał zamienić na wypoczynek, na uciechę zasłużonym owocem pracy. Co mu przeznaczonem było do wypełnienia — wypełnił. Odchodził brata, dał mu świetne wychowanie, ubezpieczył przyszłość w znaczne dostatki, uprzętnął drogę życia z materialnych zabiegów i niepokojów.

W stowarzyszeniu tem, dwóch jednorodnych ludzi, pierwszego — konieczność zdawała się rzucać na wyłączne zapasy z materją, na wywalczenie osobistej niepodległości i środków szerokiego działania, podczas gdy drugi, podobnyż hart, podobnąż czynność miał przenieść w sfery ducha i prac nad dobrem ogółu.

Wprawdzie oba zakładali osiągnięcie tychże samych społecznych celów, ale jeden kuł narzędzia, drugi miał ich użyć.

Narzędzia były gotowe. Pierwszy pracownik dokonał dzieła, dalszych trudów przed sobą nie widział; co zaś do samolubnego wypoczynku, do roskoszowania się plonem moralnej siejby, te w niczem nie obchodziły kraju, w niczem

nie wpływały na skuteczne wypełnienie wyższego posłannictwa. Starszy, ubezwładniony, stawał się obojętną, nic nieznaczącą istotą.

Inaczej działo się z młodszym.

Kazimierz siły miał świeże, rozleglejszą wiedzę, wyżej sięgające zdolności. Stanowisko swoje w rodzinie, w narodzie, sumiennie pojmował, zbliżał się też właśnie ku progom rodzinnego bytu, wchodził dopiero w życie narodu; przykładem i czynem mógł oddać ojczyźnie znakomite usługi. Przyszłość widział przed sobą; w sobie, nieugiętą wolą, do koła siebie zapas dzielnych środków. Wreszcie, samotnym przestawał być na świecie. Los zsyłał mu towarzyszkę życia, piękną, młodą kobietę, całym sercem w nim rozmiłowaną bo — jakże można było znać go a nie kochać!

Odpowiedź na podobnie ustawione zapytanie, była gotową.

Bezrozumny przesąd wymagał koniecznej ofiary; zgoda! — Piotr z własnej osoby miał jej dostarczyć. Prawda, sumienie, obowiązki, stanowisko obu względem samych siebie, względem drugich i narodu, zamieniały w powinność dla starszego czyn, który młodszemu był zbrodniczym szaleem.

Wilczek nic na tem nie mógł stracić; spotkałby się zawsze z jednym z Porajów. Myśl Piotra krzepko zatoczyła się na tem postanowieniu; powstał rad z samego siebie; promyk wewnętrznej uciechy drasnął mu zachmurzone czoło.

Chwile upływały; Kazimierz nie nadchodził.

Przerwany wątek 'niepokojów znowu zaprzadł mu koło serca bolesne pasma — w duszę rozchyloną na szereg znosięjszych wrażeń wpadły hurmem trwożne przeczucia, wyłękłe domysły, błędne a nieznośne obawy. Słońce czerwieniło się już zachodem. Gdzie dotąd bawił — co porabiał — dla czego tak długo zapominał o bracie, dla czego brał go na męki?

Piotr krzyknął na służącego; kazał mu nieznacznie wywiedzieć się o Wilczku — czy był w domu — czy miał gości — czy nie zabierał się do wyjazdu za miasto?

Służący pobiegł w pęd.

— Czy nie zabierał się do wyjazdu? — A jeżeli już wyjechali — jeżeli w tej chwili są już na miejscu spotkania?

Do stu szatanów, już za późno! — Pojechali — niezawodnie pojechali! — Biją się — słycać wystrzały — już po wszystkim! Gdzie biją się — gdzie schadzka — gdzie ich szukać? — Za późno — za późno! — może już po nim, może zginął? — Zginął! — Niosą martwego, z roztrzaskanem sercem. Dziś rano jeszcze tyle życia, tyle dzielności — teraz trup. Ani go ludziom, ani bratu, ani kochance — robactwo ziemne dopomina się o zdobycz. Nieszczęście! — Ach Boże, po cóż dałeś dożyć tak okropnej chwili?

Piotr jak obłąkany porwał się za głowę; zakał rozdierającym westchnieniem; w zapamiętałym napadzie rozpacz, urojenia przedwczesnej trwogi brał za rzeczywistość. Pogębiony obłędem, ronił prawdę w otchłaniach boleści i powoli sam zapadł w bezmiar rozprzężonych myśli.

Powrót służącego przywołał go na ziemię.

Wilczek z kilkoma przyjaciółmi oddawna był wrócił do domu; służba jego nie sądziła aby pan miał zamiar przejażdżki za miasto; przeciwnie — zdawało się że całe z domu nie wyjdzie, gdyż zmęczony, słaby trochę, legł na pościeli.

Piotr kazał sobie po dwakroć powtórzyć odpowiedź.

Kamień spadł mu z serca; z otatniej rozpacz, błyskawicą przerzucił się w niewypowiedzianą radość; jedna chwila spokoju, rozjaśniła mu całą przyszłość.

— Nie było pojedynku! — powtarzał w duszy — nie zginął, żyje — nic niestracone! Zwycięstwo? — Bóg nie dopuścił niesłychanej krzywdy. Wygrana! na dziś przynajmniej. Jutro? — Mniejsza o jutro; Kazimierz i jutro bić się nie będzie!

Piotr ostatnie słowa wymówił półgłosem; myśl, przed chwilą, tak nieodmienne powzięta, objawiona w dźwięku wyrazów, po raz pierwszy uderzyła go uczuciem silnego zwątpienia.

Kazimierz ma odstąpić od pojedynku! — Ale czy zechce?

Piotr wpadł na nowy tor rozmyślań; widać było po ryśach że pasował się sam z sobą, że stawiał rozmowania i jednym zamachem prawdy je obalał, że szukał sposobu pogodzenia zasobów serca z światowemi wymogi — ale da-

remnie! — Konieczność biła go w oczy — dłużej samego siebie niepodobna było oszukiwać.

Więc żal go zdjął nad rozbitymi złudzeniami i gniew na bezpłodność własnej myśli. Gdyby nawet znalazł się możebny jaki środek usprawiedliwienia przed światem zastępstwa w walce, pytanie czyli sam Kazimierz dałby się nakłonić, czyliby chciał przyjąć ofiarę brata?

Ani myśleć! — Kazimierz nie przyjmie, oczywiście nie przyjmie, nie może przyjąć! — Jeżeli głupia opinja od dwóch stron domaga się krwi za poniesioną lub wyrządzoną zniewagę, jakże ją zaspokoić dając krew cudzą, w sprawie zajęcia całkiem dla niej obojętną? — Pośmiewisko i wzgarda tem ciężej upadłyby na zastąpionego. Odepchnęliby go przyjaciele, wyparła się rodzina, sam Sokolnik słyszećby o nim nie chciał, sama nawet Marja! — Ach i ona była kobietą, i dla niej śmierć była lżejszą od spółnictwa w mężowskiej bezczęści!

Trudno jednemu człowiekowi, samotną pierśią zwalić odwieczny przesąd; zwłaszcza też we własnej sprawie. Jeżeli oprócz zadość uczynienia zdaniom ogółu, chodziło o powetowanie doznanej krzywdy, o zaspokojenie uczucia obrażonej godności, o pogańską rokosz usprawiedliwionej zemsty — wtedy, tem pręcej należało stłumić w sobie myśl poświęcenia — więcej w niej było obłędu niż szlachetności, więcej upokorzenia niż braterskich popędów.

Jakto? — Czyliż on sam był bez serca, bez czucia, czyliż mógł pozwolić aby ktokolwiek inny stawał się sędzią jego honoru, mścicielem jego zniewagi, on pełen życia, dzielności i siły? — Nie ma bardziej zdradzieckiego ciosu od niewczesnej i nieproszonej przysługi. Każdy za siebie. Niech się pełni przeznaczenie! Choćby mu przyszło poledz, niech chwytaj broń, niech idzie, niech w ostatniej kropli krwi niegodziwca, dopytuje przyczyny zniewagi! Ha, zdarza się niekiedy że Bóg nosi kule. Może też i pan Władysław Wilczek trafił wreszcie na swego. Precz z nikczemnem zwątpieniem! Cóż pozostanie zbrodniarzowi, jeżeli prawda nie zaufa w pomysły skutek swej sprawy? — Kogo sumienie gryzie, ten niechaj wątpi!

Obowiązkiem atoli starszego brata, łagodzieć wrzące młodszego uniesienia. Piotr dziś ukoi w nim nawałnicę uczuć, natchnie spokojem, doda cierpliwości, jutro — jutro sam będzie mu świadcował, jutro, na placu spotkania, tłocząc kulę w pistolet, westchnie do ducha matczynego, aby modlitwą odwrócił cios przeciwnika; jutro, wezwie na pomoc wszystkie piekielne potęgi aby Kazimierz nie chybił. Oby raczyły go wysłuchać! pośle im w zamian ofiarę godną ich siedliska.

Tak jest; nie ma co odwlekać, jutro wszystko się skończy, jutro o świcie pojedynek musi nastąpić. Piotr ze Skalką dziś wieczorem ułożą spotkanie. Kilkanaście godzin zwłoki nie zawiele choć nawet na cierpliwość Kazimierza. W mieście dowiedzą się razem o przyczynie i o skutkach. Niechaj Kazimierz się zżyma na czas stracony; młodzież, wiadomo, w ukropie kąpienia; prędzej rzeczy niepodobna załatwić.

Piotr zatarł ręce, wznosił dumnie głowę; twarz tchnęła mu dziwną potęgą, oko błyskało niezwykłym zapałem. Rad byłby czempredziej wziąć się do dzieła, ale nie śmiał odejść nie widziawszy się wprzód z bratem. Wieczór szybko zapadał; musiał go się przecie doczekać.

Poraj dobył z szafy czworoboczną z hebanu szkatułkę, wyjął z niej pistolety, jął opatrywać kurki, lufy, cyngle, badać czy przeczyszczono zapalę, czy podostatkiem prochu, kul i przybitek?

Widok broni, która nazajutrz miała los jego rostrzygnąć, pędził go znowu w zadumki, gdy w tem drzwi zwolna się otwały.

Kazimierz stał na progu.

Piotr upuścił pistolet, poskoczył ku bratu.

Od kilkunastu godzin rozstania, ileż zmian, jaki bezmiar nieprzewidzianych uczuć i wrażeń! — Co stało się z pogodą duszy, gdzie uleciał spokój oblicza?

Wróciła pogoda duszy, dawny spokój zalegał oblicza; obaj bracia byli ludźmi prawdziwie męskiego hartu; innych trzeba było wypadków aby na długo zachmurzyć im czoła. Starszy umiał, sbyteczną może rzewność czucia, ujmować w kleszcze silnych postanowień; młodszy, niewiadomo co

krył w głębi duszy, na zewnątrz jednak nie zdradzał żadnego frasunku. Bledszy trochę niż zwykle, w oczach dziwnym świecił wyrazem; rzekłbyś że pod wpływem fatalnej jakiejś myśli nie należał już do siebie, że pędzony nieubłaganem przeznaczeniem, postępował nie o swoich ale o wyższej woli siłach; że pozorny jego spokój nie tyle podchodził ze stroju ducha, ile z potęgi tajemniczych przedsięwzięć zawczasu ścinających go w spiżowe kształty.

Piotr ujął go za rękę i ze szczególną czułością do serca przytulił.

Kazimierz oddał bratu szczere uściśnienie i rzucił się w szerokie krzesło. Snać mocno był zmęczony; zapylona odzież świadczyła że wracał z dalekiej przechadzki.

— Wiesz o wszystkim? — Rzekł po chwili milczenia, z piersi i z rękawów pilnie ostrząsając kurzawę — tem lepiej; oszczędzasz mi zachodu nudnego opowiadania.

— Wiem mój bracie, przerwał Piotr gwałtownie, wiem dokąd nas prowadzą, zbytek, nikczemna rozpusta, zbrodnicze szaleństwo naszej młodzieży. Wiem że do tego już doszliśmy, że wolno lada niegodziwcowi, za cel zapamiętałych uniesień, brać spokój i godność ludzi w innych nieuczestnictwa w haniebnych sprawkach obłąkanej zgrai. Ale wiem także, że do czasu dzban wodę nosi, że kosa trafia na kamień, że ludzka a nie Boża dłoń z szczerego zboża kąkol wyrывa. Pamiętasz Kazimierzu — niedawno rozmyślaliśmy jakby stanąć w poprzek zewsząd ogarniającej nas śmierci? Wróg kraju leje na nas niewolę i zepsucie; my sami, jedną i drugie chętnie w siebie chłoniemy. Pomnisz jak szukaliśmy środków na postawienie godnego oporu cudzoziemcom, na obudzenie żywotności w ostatkach nie zepsutej ojczyściej krwi? Ha! to czego nie znaleźliśmy na dnie serca, opatrność nam dziś zsyła. Wprzódy — powiada ona — nim zdrowa krew w żyłach narodu zatętni, potrzeba wytoczyć zepsuta. Zepsutszej niż w Wilczku, Bóg świadkiem — w nikim innym nie znajdziesz.

— Wszędzie ona mniej więcej jednakowa — odparł spokojnie Kazimierz. Wilczek nie gorszy od drugich; jeżeli chcesz nawet abym otwarcie wyznał, powiem, że Wilczek więcej

wart niż wielu jemu podobnych. Gdyby inaczej było, czyliż sądzisz, że potrafiłby samowładnie zapanować nad resztą młodzieży? Wpływu nikt darmo nie zdobywa. Wilczek ma rzeczywiste zalety, osadzone może na trochę gwałtownych namiętnościach. Zalety te obrócił na złe — nie przeczę; namiętności rozhukał, mamy tego codzienne dowody; samego atoli w sobie uważając, wolę go daleko od ludzi bez zalet i bez namiętności.

Piotr z przykrem zadziwieniem słuchał niespodzianej obrony.

— Co mi tam — zawołał, po wewnętrznej jego wartości! Nie jestem ani Bogiem ani spowiednikiem, abym śledził i ważył ludzkie chęci i zamiary. Po czynach sędzę człowieka. Chociażby kto niebo mógł lub chciał na ziemię sprowadzić, jeżeli w skutkach sieje zgorzenie, jeżeli z wrogiem ojczyzny spółzawinia w krajowym zepsuciu i niedoli, jeżeli sam kłamie i drugich wlecze do kłamstwa najświętszym obowiązkiem — mniejsza mi o podszewkę jego myśli: gardzę nim, wytykam palcem, nienawidzę, z roskoszą chwytam pierwszą sumienną sposobność sprzątnięcia go z ziemi. Dla mnie Wilczek jest ostatnim wyrazem krajowego zepsucia.

— Mylisz się Piotrze, patrzysz na niego przez pryzmat dzisiejszych wrażeń; człowieka zaś sędzić należy nie tylko po czynach ale i po zdolnościach do czynów. Z Wilczka, mógłby stać się jeszcze znakomity obywatel. Czyli to kiedy nastąpi? — Nie wiem; wątpię nawet; gdyby jednak nastąpiło, wcalebym się nie dziwił. Nic nie ma w świecie niepodobnego — mówił dalej Kazimierz powstając — niejedna młodość burzliwa, jeżeli znajdzie czas, jeżeli nie trafi na fatalną jaką przeszkodę, wyszumi się i upożyteczni ku własnemu i narodowemu dobru.

Piotr zaciął usta z widoczną niecierpliwością; nie pojmował z kąd w podobnej chwili, brat zdobywał się na chrześcijańskie traktaty o miłości ku wrogom, o drogocennym powrocie na drogę prawdy zabłąkanej owieczki, o bożych ale wcale nie o ludzkich odwetach chlebem za kamienie. Gęsty zmrok nie pozwalał mu rozeznąć wyrazu twarzy, z dźwięku atoli głosu poznawał że Kazimierz nie był w zwykłym usposobieniu, że w duszy cale nie miał tej łagodności, jaką gwałtem

wyprowadzał w słowach. Może też wrzкомо prawil ogólniki, aby oszczędzić bratu dręczących niepokojojw o konieczne skutki zajécia.

Piotr nie mógł do tego stopnia dać się zaślepić; aż nadto wiedział że sprawa dla obu stron nie skończy się obojętnie; wolał byłby od razu przystąpić do dzieła, niż trwonić czas na próznej pogadance.

Pierwszemu, trudno mu było uczepić drażliwe słowo; czekał na zwierzenie, na dowód ufności należnej mu z prawa i z serca.

Kazimierz splótlł na piersiach ramiona, chodził zamysłony; podszedł ku oknu i jął poglądać w milczeniu, jak na ciemnym szafirze niebios, jedna za drugą zapalały się gwiazdy. W komnacie, lekki szmer oddechu przerywał zaledwie grobową ciszę.

Oba bracia osamotnili się nawzajem każdy w swojej ciemności; każdy po rozdrożach przyszłych kolei ściagał własne marzenia, podobne może co do celu, rdzennie odmienne co do środków. Na raz ocknęli się oba; z błędnych pogoni oba nagle wracali w kraj rzeczywistości.

Służący wniósł światło, spojrział, czekał rozkazu; oddalił się nic nie usłyszawszy.

Kazimierz przetarł oczy olśnione niespodzianym blaskiem, opuścił je ku ziemi i mimowolnie zatrzymał na dobrze znanym mu przedmiocie.

Była to wydobyta na okno hebanowa szkatulka.

Młodszy brat podniósł jeden pistolet do oka; pilnie go opatrywał.

— Doskonała broń — rzekł obojętnie; Jan-Jakób Küchenreüter śmiało może się do niej przyznać; moje ręce jej niegodne; strzelałem kilka razy u ciebie na wsi. Szkoda — nie mam dość wprawy.

Piotr sądził że nie należało dłużej zwlekać; nastęrczała się sposobność, trzeba było otwarcie z niej korzystać i samemu zacząć.

— Słusznie mówisz — rzekł; wyborne pistolety! oglądałem je właśnie na chwilę przed twojem przybyciem, a oglądałem — powiem szczerze, dla tego aby się przekonać że cię jutro nie

zawiodą. Mój Kaziu, po co prawdę owijać w bawełnę? — W kimże już będziesz miał zaufanie, jeżeli mnie go odmówisz? Dzieckiem przecie nie jestem; udanym spokojem zbyć się nie pozwolę. Mówmy z sobą jasno, po bratersku; dzięki Bogu mamy wspólne, nie tylko nazwisko i ród, ale uczucia honoru i własnej godności. Sądzę że nie ma ważnej rzeczy, w której nie potrzebując się znosić i naradzać, nie wyrazilibyśmy tego samego zdania, w której oba nie postąpilibyśmy zarówno. Krótko mówiąc, dzisiejsze zajęcie musi skończyć się pojedynkiem. Nie przerywaj mi. Bądź spokojny; pomimo mego przywiązania znam konieczność pewnych obowiązków i poświęceń. Właśnie dla tego że jesteś moim bratem, nie wspomnę ani o układach ani o możebności przeprosin. Pierwszy nie pojmuję ich, nie przypuszczam. Przeciwnie; sam utwierdzę cię w twoich zamiarach. Chcesz bić się? — Zgoda, rozumiem; trzeba bić się i to na ostre, nie na przelewki. W słuszności sprawy nadzieja. Mam tu, w głębi piersi, nieomyślne przeczucie że zuchwalec ostatniemu tobie w drogę zajechał. Jest pewien rodzaj przeczucia które mię nigdy nie mylą. Na dowód, proszę cię abyś nikogo obcego nie wzywał na świadka. Ja będę ci świadczył. Ciebie niech pędzi przeznaczenie, mnie gorąca chęć odwetu. Nieprawdaż mój Kaziu, że nie odrzucisz usług twojego Piotra? — Powiedz że je przyjmujesz; dla własnej spokojności potrzebuję tego zapewnienia.

Kazimierz z tęsknym uśmiechem złożył napowrót pistolet, zamknął pudełko, klucz podał bratu.

— niesprawiedliwie, rzekł, posądzasz mię mój Piotrze, nic nie ukrywam przed tobą, mówić atoli mogę o tem tylko, o czem sam myślę. Zaniechaj przygotowań i przedwczesnych niepokojów. Nie ma z czem zbytecznie się spieszyć; mamy jeszcze dość czasu.

— Jako — dość czasu? — Przerwał Piotr; nie wiesz chyba która godzina. Wkrótce będzie zapóźno; nie dobudzę się Skalki.

— Zostaw go mój bracie; niech śpi spokojnie. Nie ma po co go budzić.

— Nie rozumiem cię; przecież sprawy odwłóczyć nie

myślisz. Pojmuję że dziś, z pijanym, nie chciałeś mieć do czynienia, ależ Wilczek przez noc się wytrzeźwi. — Byłem przekonany że wszystko skończy się, jutro — o świcie.

— Myliłeś się. Jutro? — Nie widzę potrzeby.

— Pojutrze zatem?

— Nie; tem mniej pojutrze.

— Chcesz załatwić pewne rozporządzenia; potrzebujesz czasu?

— Bynajmniej; nie myślę o żadnych rozporządzeniach.

— Kiedyż więc? — Na Boga, mów Kaziu; nie dawaj mi zagadek! Bez tego dość skołataną mam głowę.

— Zagadka dla obu nas jednakowa. Pytasz mię — kiedy? — Cóż ci mogę odpowiedzieć? — Kiedyś — później — może nigdy. Czas nie jest w naszej mocy; więcej rzec nie mogę; więcej sam nie wiem.

Piotr nie dowierzał własnym uszom.

— Niech mię piekło pochłonie, zawołał — jeżeli rozumiem choć jedno słowo! Ja mówię o jutrzejszym pojedynku, ty mi odpowiadasz — później albo nigdy! Oczywiście, każdy z nas co innego ma na myśli. Nie przypuszczam bowiem abyś w sprawie tego rodzaju, gdzie każda chwila pogorsza, rozjątrza stanowisko, chciał wahać się, odkładać, a co więcej — czemu nigdy nie uwierzę — całkiem krzywdę puszczać płazem.

— Źle czynisz że nie przypuszczasz i nie wierzysz. Trzeba przypuszczać i wierzyć w rzeczy zwyczajom często najprzeciwniejsze. Nic nie ma niepodobnego pod słońcem; dawny ale prawdziwy aforyzm. O czym mówiliśmy? — O pojedynku z Wilczkiem? — Powiedziałem i powtarzam że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień, ani za miesiąc, bić się nie będą. Wszakże ja jestem obrażony, do mnie zatem należy naznaczyć porę i miejsce, wyzwąć lub nawet nie wyzwąć.

— Nie przeczę mój bracie; uznaję również wagę sprawy; wiem że są w życiu położenia, w których popędliwość jest zgubną, głęboki rozmyśl koniecznym, ależ z drugiej strony, w gwałtownych razach, skutkują gwałtowne tylko środki. Dziś, głównie o to nam chodzi aby w mieście, jednocześnie

dowiedziano się o zajściu i o skutkach. Energiczne rozwiązanie sprawy wtłoczy napowrót w gardziel niesforne języki. Wprzódym nim potwarz rozesłini się jadem, kula mózg jej potrzaska. Zniewaga i hańba spadną na winowajcę. Niech później rozwija zabójcze swe skręty, niech nad kim innym pastwi się opinja!

— Opinja mój bracie? — Sakramentalny wyraz, Bóg, przed którym wszystko na twarz padać powinno! Któż tu śmiał wyrwać się z sumieniem, kto wspomniał że wewnętrzne zadowolenie, że pogoda prawego ducha, że błogość nieskalanego serca, jedynym probierzem człowieczych czynów? — Gawiedź holduje bałwanom — kto, wbrew gawiedniej ciemnocie poważa się Boga prawdy na jaw wynosić? Obłąd — szalony obłąd! — Precz z prawdą i z sumieniem! niech zgiełk kieruje nami raczej, niż jasna pochodnia wiedzy i przekonania! Opinja? — Dość wymówić ten wyraz, aby grobowem milczeniem zwarły się usta własnego sądu, aby w poniewierkę poszły wola i samodzielność, aby człek przed zapianiem kura dziesięćkroć pomiótł własnem zdaniem i wyparł się Świętego Ducha. Mniejsza o to czy w głosie jej prawda, czy fałsz tętni; przemówiła, i wnet z wolnego staje się służalec. Stworzony na wznoszenie głowy, ród ludzki pelza odtąd po robaczemu; zamiast braterskiej zgody, wre nienawiścią i wojną; zamiast miłości i wzajemnej pomocy, tchnie rozbojem i kradzieżą, zdradza, przeniewierza, kłamie, zabija, ginie, a za każdym czynem, za każdą plagą, powtarza wszechwładny wyraz: opinja! — Ha, gdyby jeden promyk światła padł na potworne kształty piekielnego bożyszczka! — Od zgrozy, włos słupem zajeżyłby im na głowie. I któż rodzi wielmożnicę? — Zkąd powstaje, z czego się składa jej potęga? Oko jej ślepe na szlachetne czyny; ale niech jeno gdzie biała pokaże się szata, niech ją blaskiem rozdrażni, niech jad zawiści wystąpi jej na usta i zakorci do orzucenia błotem śnieżystych fałdów — wnet przez szkła podejrzania i wzrokiem zatrutej wyobraźni, na słońcu plamy wynajdzie w niemowleciu upatrzy zbrodniarza.

Wszetecznica nad wszetecznicami! wdzięczy się do każdej pomyślności, proch zmiata przed każdym przesądem, przy-

wilejem, bogactwem, chociażby w źródle ich było więcej podłości niż piasku na brzegu morskim. Ale niechaj skromna zasługa, niech cichy trud, niech poświęcenie nieobębnione po rynkach, do niej się odwoła — hurra na wydziedziczoną w społeczeństwie sierotę, dalejże w zasłudze wykazywać nicosć, bezskuteczną nieudolność w trudzie, rachubę w poświęceniu! Dwie u niej miary; dwie wagi. Na jednej, zbrodnie światowych szczęśliwców przeistacza w z ręczne przedsięwzięcia, tłumaczy niewinnym szalem namiętności — na drugiej, błędy, niewieńczonych od urodzenia losem, tłoczy pod pręgierz, na rusztowanie, pod katowski miecz. Cała uwita z miłości własnej, z zawiści, z potwarzy, wtedy przestaje syczyć i schlebiać nawet zaczyna, gdy nogę postawi jej na gardle, gdy znużony walecznik powoli nikkzemnicę w rodzime jej bagnisko wszystkich niewolniczych wad wtłoczy, gdy z kolei wzgardzi nią i sromotę jej na biały dzień wywlecze.

Przykładałem ja nieraz rękę, mój bracie, na tę zjadliwą ludzkiego ciała gangrenę, nieraz chciałem zgłębić ranę, odgadnąć rzeczywiste jej kształty. Daremne zachody! — Polowa ohydneho tworu, ta która wlekła się za ulubieńcami fortuny, dotkliwie kłóła mię w oczy; druga jej postać, młot druzgocący samotnych bojowników przeciw przesądom i ciemnocie, majaczyła mi przed wzrokiem, w zabójczych wyziewach zatracala rzeczywiste zarysy. Zwano ją po imieniu, gdy zawodziła dytyramb pochwalny na cześć biesiadników społecznej uczyty; napróżno szukał jej nieszczęśliwy, obalony niewidzialnym jej ciosem. Zdrajczyni uciekala w mgły bezimiennosci. Ztamtąd zarażala powietrze otaczające ofiarę tak, że męczennik igłami oddychał; ztamtąd uzbrajala przeciw niemu rodzinę, przyjaciół, znajomych, rodaków, świat cały. Daremnie pokaleczony patrzył po wzrokach, próżno chwytal ruchy ust, podstępny szmer dwuznacznych słów; mara znikala za wyciągnięciem ręki, ale w odwrocie jeszcze, jako Part, tem niebezpieczniejszym razila pociskiem.

Każdy ma swój sposób widzenia; podaj mi jakie chcesz przyczyny; wysłucham cierpliwie, ale przez prawdę wiekuiста! nie wzywajmy na pomoc opinji; oba zbyt dobrze

czujemy i rozumiemy człowieczą godność i wagę prawego sumienia.

— Zgoda — odrzekł Piotr, co do mnie, nigdy w wielkiem poszanowaniu nie miałem ludzkich języków. Przyznaję że własne sumienie człowieka powinno być jedynym sędzią jego uczynków. Na nieszczęście wiele jeszcze wody upłynie zanim błogi ten pewnik wejdzie w życie ogółu. Co począć tymczasem — samemu jednemu niepodobna świata przerobić; wystąpić otwarcie do boju z przesądem — można, ale nie we własnej sprawie.

— A to dla czego? — We własnej lub w cudzej sprawie, rzecz obojętna, skoro walka toczy się między światłem a ciemnotą. Gdzież zasada, gdzie potęga która by zmusiła świadomego prawdy kłaniać się bałwanom dla tego, że pogańska czerń nie chce uznać istnego Boga? Kto za prawdę wojuje, ten zapiera się samego siebie, ten we własnej i w cudzej sprawie, ten zawsze i wszędzie zarówno piersi nadstawiać powinien. Kość padła! — Wiem że wynoszący się nad opinię ściągają na siebie gromy powszechnej zaciekłości; stokroć byłoby im wygodniej kamień młyński zawiesić u szyi i skoczyć w najgłębszą toń morza. Ludziom zdaje się, że kto gardzi ich przesądem ten nimi samymi pogardza, że goni za wywyższeniem, za władzą. Dotknięta próżność, obrażona miłość własna nie znają miłosierdzia. Bądź przekonany mój bracie, że w różanych tęczach przyszłości nie widzę, ale chociażby głupota, złość, potwarz, upokorzenie, miały mi ostatnią kroplę krwi wytrawić, choćby mi przyszło wieki męczarni wycierpieć, postąpię według siebie. Jeżeli zemstę mam w sercu — zemszczę się; niech mię religja, świat, prawo, niech mię wszystko i wszyscy potępia! Jeżeli pragnę przebaczyć, zapomnieć lub odepchnąć urazę — chociażby jednogodny chór wszystkich uczciwców i wszystkich szlachetników wstydem grzmiał mi w uszy — zapomnę, przebaczę.

Piotr czoło ocierał; zmarszczki niezadowolenia wybiegały mu na lice. Rzecz wydawała się mu zbyt prostą; nie sądził aby bratu przyszło do głowy we własnej sprawie wyprowadzać na jaw swój sposób widzenia, odrębny, przeciwny

zwyczajom, niebezpieczny dla młodego człowieka tylko co wchodzącego w świat, zgubny dla niego samego i dla tych którzy losy swe mieli z nim połączyć. Prawdziwych zamiarów nie mógł w słowach Kazimierza dopatrzeć, z tego jednak co dotąd usłyszał, przeczuwał że w najpomyślniejszym razie, zwłoka zagrażała rozwikłaniu zajęcia. Zwłoka, według Piotra była połową przegranej.

— Każdemu, rzekł, wolno samym sobą rozrządzać, ty wszelako mój Kazimierzu przestałeś być samym. Zważ na położenie, na chwilę w jakiej się znajdujemy.

— Zważam na chwilę; rozmyślałem nad położeniem więcej może aniżeli przypuszczasz. W krótkich słowach stanowisko moje oznaczę.

Z długiej i dalekiej podróży, wracam do kraju. Nie zbyt cudzoziemski przywożę z sobą, nie pogardę rodzinnej ziemi i drwiącą obojętność dla ojczystych spraw. Wracam spragniony polskiego powietrza, z sercem przepelnionem miłością ku rodakom, z nadziejami wspólnej pracy, z zamiarem zużyczenia sił dla ogólnego dobra. Rozwieram przyjazne ramiona, wyciągam do koła szczerą dłoń; każde słowo moje technie wiarą, zgodą, braterstwem. Sam gotów dla wszystkich, niczego dla siebie nie żądam, krom wzajemnego poczucia tych celów ku którym dążność, każdy z nas winien był wysać z piersi matczynej. Cóż na samym wstępie spostrzegam? Szalony obłęd, poniewierkę przeszłości, zaprzepaszczenie najświętszych obowiązków w otchłani zbytku i samolubstwa, haniebny przywyk do jarzma, nieubłaganą wzgardę ku przeszłości. Chwytają mię wprawdzie za ręce, ciągną ku sobie, ale słów nie chcą zrozumieć. Pij z nami — mówią, szalej, trwój chłopską pracę i ojców puściznę, namiętnościom rzuc lejce na grzywy, zmysłem na wszystkie wichry porozpuszczaj żagle — raz się tylko żyje na świecie!

Z bolesną tęsknotą cofam dłoń. Raczej być samotnikiem niż spółwinowajcą. Nie tracę jednak nadziei, nie unoszę się cierpkimi słowy, nie oskarżam świata — jak sam mówił mój bracie — jeden zwyczajny człowiek nie odmieni. Ale człowiek najzwyczajniejszy wiele może podolać, jeżeli przyzwie na pomoc czas, cierpliwość, nieugiętą wolę, roz-

miłowanie w środkach i w celu, w narodzie i w narodowcach.

Schodzę więc z drogi, usuwam się na bok; na dłuższą piędź rozciągam zamiary, w łagodnej pokorze ducha szukam łatwiejszych ścieżek.

Boć troszczyłem się i o siebie samego; żyć jak drudzy nie mogłem, a bytu jakiegom pragnął, samotnie przeprowadzić, było nie podobna.

Snać ciężko zawiniłem odmawiając uczestnictwa w nieustannej bachanalji.

Za odchodzącym, szeroką paszczą zionęła nienawiść. Zniecierpiano mię za odtrącenie bezdennego biesiadnego kielicha. Niechęć powszechna wytknęła mię palcem; stałem się celem złośliwych domysłów, obmów, potwarzy, pośrednich zaczepiek.

Sam tylko wiem com nieraz wycierpiał.

Nie zaliłem się przed tobą nawet Piotrze, któremu z prawa należały wszystkie moje myśli i uczucia. Chciałem oszczędzić ci niepotrzebnych zmartwień. Każde początki trudne — mówiłem sam do siebie; w trudnych na jaw przebojach, prawda nabiera hartu i potęgi.

Skądinąd sprawiedliwsza od ludzi Opatrzność, gotowała mi niesłychaną, niezasłużoną nagrodę. Wiesz o czem i o kim chcę mówić. Marzyłem nieraz kobietę; Bóg widzi, nie dla siebie — nie ufalem tyle we własne szczęście. Rzeczywistość daleko wybiegła nad moje marzenia. Przed pracą, jeszcze, przed zasługą, spotkała mię nagroda, której ogrom czuję, ale wypowiedzieć nie zdołam. Wyznam otwarcie że los ten niespodziany, obudzał we mnie czasami niepojętą trwogę.

Przystępniejszą mam duszę dla przeciwności.

Poczułem zdwojone w sobie siły, upotęgowaną wiarę i nadzieję; wzrok pełen zaufania wlepiłem w przyszłość. Ach, na widokręgu moich zamiarów powodzenie tyłkom spostrzegał.

Smutek i boleść, zwątpienie i rozpacz, już dla mnie nie istniały. Bezmiar udręczeń mógłże iść w porównanie z jedną chwilą takiego szczęścia jakie otwierało mi swój przybytek?

Piekła dla mnie nie było odtąd jak niebo miałem przy sobie. Dziś jeszcze łatwo mi wiele przebaczyć bom wiele ukochał. Mógłbym wiele zapomnieć, gdyby nie odgłos pewnych strun, które snąc od urodzenia drgają mi w duszy, a których zgrzytliwego dźwięku pomimo ostatnich wyteżeń woli, zagłuszyć w sobie nie zdołam. Zapomniałem że niekiedy kamień przypadkiem z dachu zrzucony, otwiera czaszkę niewinnemu przechodniowi. Na potoczystej drodze mego życia nagle wystąpił człowiek, napastnik, gospodarz tego pandemonium, które bezczelnie roztasowało się na rumowisku ojczyzny. Sam jeden zwierał w sobie niechęć wrzącą przeciw mnie do koła. Rozszalały rozpustą, rozzwierzęcony napojem, zaofiarował mi zagrać o życie.

Wzbraniałem się aż po krańce ostateczności.

Gra ta, w mojem przekonaniu, była bezbożnem szaleństwem, zwłaszcza też tam gdzie obie strony zakładały tak nierówne stawki. Ja, narażałem życie pełne przyszłości, wystawiałem szczęście moje i drugie, stokroć mi droższe, los zabezpieczony, siły skierowane ku szlachetnym celom. On, nic nie miał do stracenia.

On pragnął rozbić mi byt nienależący do mnie samego, byt cenny dla mnie przez istoty w nim rozmiłowane, przez szlachetne a szerokie dla dobra ogólnego cele — ja mogłem w nim tylko zagasić smętarny ogień, bez ciepła, bez użytku; który zapewne dla niego samego stawał się ciężarem.

Ha! gdyby mój zaczepnik, nie dla nikczemnego samolubstwa ale dla świętych względów, w części chociaż był sobie tak drogim, jako ja jestem dla siebie, nie wahałbym się ani chwili. — Ale on, samotny, bez przywiązania, bez uczuć, bez nadziei, bez zamiarów, a kto wie, może też i nie bez sumienia, gardzi sobą, nienawidzi samego siebie.

Z podobnego punktu zapatrując się na sprawę — nie pojmuję zemsty. Zabijając go, mógłbym mu oddać przysługę.

Nie lubię działać omackiem; ślepa zemsta jest głupstwem; głupstwo z trudnością potrafiłbym sam sobie przebaczyć. Gdybym wreszcie był pewien że go zabiję, ale znasz mój bracie niesłychaną jego zrzęczość. Ja dotąd bawiłem się

więcej szermierstwem myśli niż broni. Mogę nie strzelać; od niepewnego atoli wystrzału Boże mię uchwaj! W spotkaniach — odpowiesz mi — rządzi zwykle przypadek. Tem gorzej. Teorji przypadku w żaden sposób przyjąć ani poddać się jej — nie mogę. Gdzie rozważa i wola człowieka stwarzają czyn, tam nie wolno wchodzić w układy z przypadkowością. Rozpocząć dzieło może ten, kto siebie pewny, komu z rzeczywistego rachunku wypada że chęć jego i skutek, spadną na jeden i tenże sam punkt. System pojedynczej walki, system zemsty — jeżeli nie gorszy cię wypowiedanie tego niechrześcijańskiego uczucia — mają także swoją logikę, swoją sprawiedliwość. W nierówny bój wdają się obłąkańcy; słabszego gniotą zbrodniarze; człek prawy sumienną tylko walkę przyjmuje.

Piotr przechadzał się wolnemi krokami, słuchał brata, który wsparty o ścianę, wyprostowany, rozwijał mu swój sposób widzenia. Ostatnie słowa w poprzek zapewne musiały zajechać jego wyobrażeniom, wzruszył bowiem ramionami, zatrzymał się i rzekł:

— Obłąd mój bracie, nieszczęsny obłąd! Nic nie znam niebezpieczniejszego nad wyłączne odwoływanie się do rozumu w rzeczach prostego uczucia, lub niezwalzonego przesądu. Na papierze, z piórem w ręku, miałbyś może słusność; w życiu praktycznym nigdy mię nie przekonasz. Jakiemiż wyrazy wytłumaczysz człowiekowi niegodnie napadniętemu, aby pomierzył siły zanim odeprze napaść? Przypuszczasz chyba że w żyłach jego krąży nie krew ale ciecz jakaś filozoficzno-rachunkowa, ślimaczy płyn, na którym my szlachta polska wcale się nie znamy. Zgoda wreszcie na cyrkiel i na wagę; obrachunek nastąpił. Czyliż sam wypadek cyfr dostatecznie przekona słabszego, że obowiązkiem jego poddać się przewadze siły, znosić jarzmo ciężkie, bolesne, haniebne? Czyż mocniejszy, chociażby miał sprawiedliwość za sobą, w skutek samego nadmiaru swych sił, ma spokojnie znosić słabszego zniewagę i z odwetem czekać zrównoważenia środków? Walkę, Kazimierzu, a zwłaszcza obronę, nie wywołują względy na wymiar sił ale konieczność.

— Konieczność? — Nie znam tego wyrazu Piotrze, również

jak szlachta polska nie zna pobudek do walki zaczerpanych gdzieindziej niż w obiegu krwi. Ależ szlachta polska nie wszystko jeszcze poznała; są rzeczy których dotąd cale się nie domyśla. Miarą sił nie są bynajmniej materialne rachuby o jakie mię obwiniasz. Słabszym w walkach narodów jest ten, czyja wiara w świętość sprawy jest słabszą, kto wprzód w dziedzinie zasad i prawd nie odniósł zwycięstwa. W osobistych szacpekach, szaleństwo pełni kto uderzony kamieniem odpowiada chlebem. Nie odpowiadać, zapomnieć, przebaczyć urazę, rozumiem; żądania za skaleczoną godność lichej zapłaty — nie pojmuję. Wszystko albo nic. Konieczność rodzi półśrodki; wola dalej rzuca zamiary, wyższych i skuteczniejszych dosięga celów. Na półśrodkach nikt jeszcze nie zyskał; na poddaniu się bezrozumnym przesądom i fatalizmowi nie jeden wiele stracił.

Moja wina! zawołał Piotr; musiałem nie dość jasno się wytłumaczyć. O co rzecz chodzi? Ja mówię o bezzwłocznym, natychmiastowym pojedynku, ty odpowiadasz mi potępieniem półśrodków. Nie rozumiemy się nawzajem.

— Przeciwnie; doskonale się pojmujemy i dla tego właśnie starałem się dowieść, że z mojego stanowiska, twoje środki są zaledwie półśrodkami.

— Zastanów się Kazimierzu; bracie mój, daj przystęp prawdzie, wysłuchaj doświadczonej rady. Przesądem pojedynek — zgoda; ty atoli na poddaniu się temu przesądowi nie tracisz, tem bardziej że jak sądzę, sam nie jesteś mu przeciwnym. Więcej nawet; od razu zniszczysz nieszczęsny dla narodu, zgubny dla młodzieży wpływ Wilczka i jemu podobnych; od razu zapanujesz nad opinią, ustalisz swoją powagę, nabierzesz potrzebnego wpływu, będziesz mógł ze skutkiem przeprowadzać szlachetne twoje zamiary; od razu staniesz tam gdzie inaczej, zgnębany, na pół zużyty, dowieczasz się zaledwie po długiej pielgrzymce. Na Boga żywego! przecież nie zatrzymuje cię trafność Wilczkowego oka; trafniejsi od niego strzelcy kości zostawiali na miejscu pojedynkowych spotkań.

Uśmiech tęsknoty i goryczy, przebiegł po licu Kazimierza.

— Dziecko jesteś mój Piotrze, rzekł; nie poznałeś mię dotąd; nic dziwnego; przez tyle lat byliśmy rozłączeni.

Piotr byłby chciał sam siebie znieważyć; on który tak głęboko czuł godność braterską, on pierwszy, niewczesnem zapytaniem, rzucił na nią cień podejrzania, wystawiał ją na szwank. Co atoli znaczyły zwłoki wachania, pokręcone jakieś teorje? — Szatan podszeptował mu na to dziwne odpowiedzi.

W głowę zachodzę — rzekł po chwilowem milczeniu, wepchnąłeś mię w labirynt domysłów i niepokojów z którego o własnych siłach nie wybrnę. Zaklinam cię, błagam, nie zostawiaj mię w niepewności, mów — czy podniesiesz obelgę, czy odpuścisz ją bezkarnie, czy odwet masz na myśli czy zapomnienie? Przecież sami jesteśmy; możesz śmiało odkryć mi serce; nie zdradzę cię. Mój bracie czemuż zasłużyłem na tak dotkliwy brak zaufania?

— Ostatnie słowa, odparł Kazimierz, wyczytałeś mi w myśli; sam miałem je wyrzec. Z nas dwóch, kto powątpiewa, kto nie ufa, kto przypuszcza bezkarność zniewagi, niepojęty leżący obrażonej godności? — Powiedziałem co było do powiedzenia. Może na fałszywej jestem drodze, ale raz ją przedsięwzięłem i dokonam. Co dalej pocznę, sam nie wiem. Czekam na postawienie się względem mnie niektórych osób. Gdybym nieodmiennie chciał krzywdę zapomnieć, wyrzekłbym natychmiast, bez ogródek, otwarcie. W przeciwnym razie, odmawiając na jutro spotkania, musiałbym wdać się w dalekie pogroźki. Jakkolwiek zamyslałem rozwiązać sprawę dzisiejszego zajęcia, nie osłabię zamiaru objawianiem go przedwczesnem. Uczymy się od nieba: ono wprzód uderza nim błyska. Są pewne zamiary które wietrzeją chociażby przed jedną istotą odkryte. Gróżb nienawidzę; grożą słabi i dzieci. Nie marszcz czoła mój Piotrze; nie nowa to teorja w moim mózgu wylęła — dawna jak świat. Potwierdzą ją przykładem wielkiego męża. Powiastka może rozchmurzy ci posępność myśli.

Cezar potrzebował na wyprawę przeciw Gallom, zabrać skarby Jowisza Kapitońskiego.

Niezmierny jego genjusz wstrząsał już wówczas światem;

orał ludy, na które wkrótce miała paść siejba chrześcijańskich prawd.

Na progu świątyni, kroczącemu bohaterowi zastąpił drogę młody jakiś senator, najpłynniejszy z retorów foralnych, Metellus Celer, jeśli się nie myłę. Zaufany w potęgę języka, dalejże napuszystemi słowy bronić skarbcza olimpijskiego, odwoływać się do kapłańskich praw, powstawać na świętokradztwo.

Cezar słuchał z początku cierpliwie, ale filipika za długo trwała; postąpił o kilka kroków i gestem rozkazał niewczesnikowi zejść mu przecz z oczu.

Nie wystarczała niema przestroga; rzecznik szukał własnej chwały w oporze przyszłemu władcy świata; z coraz wzrastającym pathosem jął wyrzucać mu zamach na poświętne dostatki.

Wódz rzymski nie miał czasu do stracenia.

— Milcz i ustąp — rzekł mu spokojnie, albo każę zrzucić ci głowę z ramion — a wiedz że więcej mię kosztują słowa do ciebie niż rozkaz do liktorów.

— Piękna przypowieśćka — odrzekł Piotr bynajmniej nierozweselony; piękna i tem piękniejsza że miała miejsce na krótko przed walką. Co do mnie, mylisz się mój bracie, jeżeli mniemasz że pragnę od ciebie groźb, przekleństw, złorzeczeń. Wymagam czynu i niczego więcej. Nowej religii sam jeden nie zaprowadzisz. Chociażbyś lata przeciw pojedynkom apostołował, nic nie wskórasz, tylko samego siebie zatracisz.

— Kiedyż i gdzie mówiłem — przerwał Kazimierz, że za cel życia pokładam wytępienie przesądu o pojedynkach. Jedno życie stosownie upotrzebione, więcej warte niż wszystka krew jaka w podobnych walkach się przelewa. Przesąd ten, w nieuprawdilonem społeczeństwie ma swoje dobre strony; jest może nawet konieczny. Powiadam — konieczny. Wczoraj jeszcze, dziś z rana, nie byłbym zrozumiał jak przesąd może być koniecznym a zło potrzebnem. Wycieńczyłem na duchu. Ulegam wpływowi jakim dotąd, zawsze i wszędzie, spodziewałem się rozkazywać. Przystaję na teorię pojedynku, ale pojedynku dla samego siebie, dla nikogo i dla niczego więcej

nie zaś dla opinji, dla świata, dla głupich lub zawistnych cudzych wyobrażeń. Niech człowiek wtedy walczy, gdy znajduje w boju własne zadowolenie; słuźalcy tylko, niewolnicy, zewnętrznym względem hołdują, cudzym przywidzeniom ci-skają życie na pastwę.

— Mniejsza o pobudki; ani świat ani ja o nie wcale nie pytam. Bij się dla siebie raczej niż dla drugich, to rzecz twego sumienia; jakimkolwiek atoli pokierujesz się względem — nie zwlekaj. Szukasz własnego zadowolenia? — Czyliż nie lepiej znaleźć je prędzej niż później?

— Nie lepiej. Dotąd każdy stawał zuchwalcowi na za-wołanie jak cesarski żołdak. Wilczek chciał zabawić się pojedykiem; uległych sobie znajdował natychmiast. Teraz sprawa weźmie inny obrót; zapalczywiec poczeka na nowe wawrzyny; może je zdobędzie — za nic nie ręczę — ale do-czeka się swoich celów w stosownej porze.

— Jakież więc twoje zamiary?

— Pierwszy i nieodmienny że: ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień bić się nie będę.

— Kiedyż?

— Kiedyś! — Sam nie wiem kiedy.

— Może nigdy?

— Może nigdy.

Piotr drgnął niecierpliwie na ten spokojny odgłos wła-snego zapytania, wbiegł myślą na skutki niepojętej kolei za-miarów Kazimierza, ujrzał zniszczone w jednej chwili dzieło długich swoich prac, gorących nadziei; spostrzegł niesławę i pośmiewisko zasiadające na niepokalanym dotąd progu rodziny, zniszczony byt najdroższych sobie istot, własne życie odarte z pociechy i z celu. Bezkształtne odpowiedzi brata, kryły oczywiście zagadkę, której rozwikłać nie zdołał. Gdzie dążył Kazimierz? — Czyliż nieugięty jego charakter i obok szlachetnych przymiotów, pewien popęd do zaciętej mści-wości, jaki starszy brat od dziecinnych prawie lat w nim zauważał — przykazywały mu wprzód stał płytko wyostrzyć; następnie dopiero spełnić niezawodną zemstę, lub też — pobudek pomiecienia opinją i zwyczajem, wystawienia na nie-bezpieczną grę własnego szczęścia, dobrej sławy i spokoju,

trzebaż było szukać w tem nieszczęsnem uczuciu — w tej strasznej słabości? — Dla czego nie? — Ludzi szlachetnych sercem, znajkomitych umysłem, widywano nieraz ustępujących przed obawą narażenia życia!

Niejedna dzielna wola pękała na nieprzewyciężonym wstępie do wkroczenia tam z kąd nikt dotąd nie wrócił. Nie-wytłumaczona trwoga ciemnej wieczności, lub może święte przecucie zgrozy ku bezbożnej a barbarzyńskiej igrasze z powierzonym skarbem życia! — Namiętne przywiązanie do materji lub niewyleczona z urodzenia choroba nerwów! — Cóż atoli dzieje się wówczas z wygórowaniem uczuciem człowieczej godności? — Czyliż są sumienia, którym radziej żyć w hańbie niż godnie umierać? — Ha gdyby tak było, gdyby pod własnym dachem los chciał mu kogo naznaczyć tem nieszczęsnem piętnem, gdyby rodzony jego brat nie umiał zapanować nad słabością, pomieść zgubnymi względami i bezczesną trwogą, on sam pierwszy, Piotr, potargałby święte węzły krwi, wyrzekłby się go przed sobą i przed ludźmi, chętniej zniosłby zgryzotę samotnego życia, niż połowę spadłych na jednego z Porajów upokorzeń.

Zkąd jednak dowodne przekonanie o niezwalozonym zamiarze Kazimierza uniknięcia pojedynku? Czyliż zabrakło już wniosków, któreby potrafiły ustalić zachwianą jego wolę? Przed wyczerpaniem ostatnich środków, przed zupełnem rozpoznaniem dna jego myśli, zwątpienie było niesprawiedliwością.

Piotr powstał i kończąc niejako myśl w duszy zaczęta, porywczó rzekł:

— Nie ma innego środka chociażbyś mózg wysuszył! Sąd ludzki nie wchodzi w pobudki, zwłoki nie cierpi, czynu jeno patrzy. Masz wóz i przewóz: albo pojedynek jutro o świcie, albo o południu już, powszechne potępienie. Zastanów się! — Opuszczą cię znajomi i przyjaciele, nikt ci nie poda ręki.

— Przyjaciele — mój bracie? — Znajomi? — Gdzież oni — po czemże ich poznajesz? — Po ostatnich frazesach w liście czy po uchyleniu kapelusza na ulicy? Znajomym moim, ten kto mię zna; przyjacielem, kto znajomy mojej

duszy ukochał mię więcej niż samego siebie i z zamkniętymi oczyma, z nieograniczonem zaufaniem uwierzył że śród ważnych wypadków, postępowanie moje, w prawdzie, tylko w głębokościach czystego sumienia może zacerpnąć pobudki. Gawieź która po wierzchu uczy się na pamięć rysów hieroglifu postaci, ale ukrytej pod nim tajemnicy wyczytać nie umie; ludzie którzy oświadczeniami przyjaźni płacą wygodę jaką we mnie znajdują; cały ten zgiełk światowy zaślepiony samolubstwem a muskający tylko powierzchownie rzeczy prawdziwej wagi — jest mi jak najzupełniej obojętnym. Przez Boga! ludzie ci własnymi są wrogami; gdzie chcesz wynaleść między nimi znajomego lub przyjaciela? Dla obojętników zaś, dla zawistnych, wystrojonych w barwy zdradliwych uczuć, wyrzekać się własnego przekonania, rzucać im sumienie w zamian za kłamany pieniądz powszednich wynurzeń, ci tylko potrafią, których towar teje samej wartości. Łatwo i przyjemnie jest płynąć z nurtem; kierunek ten nawet w ostatnich czasach podniesiono do potęgi ogólnej zasady; trudniej samotną pierś wystawiać przeciw prądowi rozhułkanych fal. W rozpaczy atoli tych przebojach są zadowolenia, są rozkosze o jakich nie śniło się żeglarzom o wiecznie pomyślnym wietrze. Dla człowieka pojedynczego chociaż obcego, jestem gotów poświęcić wiele; dla ogółu, wszystko. Dla czerni znajomych i przyjaciół, nic nie mogę uczynić.

— Dla czerni! — Zawołał Piotr; któż tu o niej wspomina? Musisz przecie dbać o kogoś między znajomymi. Wolno ci drwić z wrzasków ogółu, ale pamiętaj że w tym tłumie niechętnych, znajdują się ludzie z którymi wszedłeś w zbyt ściśle związki, abyś zdaniem ich mógł bezkarnie pomiatać. Potępiony wyrokiem ogółu, co poczniesz nie znalazłszy nikogo; ktoby względem ciebie chciał wznieść się nad sąd opinji, co poczniesz w razie gdyby sam Sokolnik zamknął ci swój dom?

Gwałtem drzwi nie wysadzę. Blizsi i daleci znajomi, Sokolnik równie jak ci, których raz ledwo w życiu spotkałem, muszą mię przyjąć jakim jestem. Chociażbym nadludzkie siły z siebie wy dobył, zmienić się dla nikogo nie zdołam.

Kto chce mieć mię innym niż jestem, ten lepiej postąpi wyrzekając się mię zawczasu; oszczędzi sobie nadal niepotrzebnych złudzeń. Zewnętrzny, od nas niezależący wypadek, w niczem godności naszej unżyć nie potrafi; prawdziwe upokorzenie tam dopiero się zaczyna, gdzie człowiek dla jakichkolwiek widoków przeistacza lub zapiera się samego siebie. W ważnych wypadkach życia, jeżeli często niepodobieństwem wznosić ludzi do swego tonu, występkiem natomiast samemu zniżać się do fałszywego ich nastroju. Skądże wreszcie ta pewność, że Sokolnik jako baran Panurga pobiegnie za resztą trzody, a i wtedy nawet kto go będzie słuchał rachunku z moich czynów, kto go za nie pociągnie do odpowiedzialności? Na wspólność zdań z Sokolnikiem, na wzajemność przekonań, uczuć i czynów, dotąd jeszcze nie poprzyślałem. Każdy wolny za siebie, każdy niewolnik za drugich. Kto nie poczuwa w sobie dość silnych zamiarów, temu cudzy sąd natrętnem brzęczeniem owadu. Sam dobrze wiesz mój bracie, że o radę zwykle pytamy tych, o których tożsamości zdania zawczasu jesteśmy przekonani — najlepszy próbierz wagi jaką przywiązujemy do cudzego sądu.

— Przed trzema miesiącami, mój Kazimierzu, rzekł Piotr, nie byłbyś usłyszał odemnie połowy dzisiejszych rozumowań; wtedy żyłeś sam na świecie, sam powtarzam, na brata bowiem twego nie potrzebowałeś w postanowieniach zwracać uwagi; on dzielił dobrą dolę, mógł więc do pewnego stopnia i złą z tobą podzielić. Dziś zmieniło się stanowisko. Wzglądów twoich dla samego siebie zachowywać nie możesz. Zerwij z ludźmi, ze znajomymi, z przyjaciółmi, część dopiero życia i spokoju poświęcisz; wreszcie, po pewnym przeciągu czasu, przy dobrej chęci, potargane węzły znowu związać potrafisz. Ale spójrz przed siebie; pomnij że wkrótce z własnem życiem masz złączyć byt istoty, której zdanie, rozumiem, że może być dla ciebie wszystkim, wówczas nawet gdybyś opinię reszty ludzi do szczytu pogardził. W naszym kraju, kobiety niesłychanie są drażliwe na bearkość krzywd zadanych miłości własnej mężczyzn. Miley im nieraz zapłakać nad śmiercią, niż cieszyć się życiem, opłaconem poniewierką przeszłych we wiarę i w zwyczaj przesądów. Smutki, przeci-

wności, nieszczęścia, zniosą z pogodnym czołem, z wytrwałością jakiej my nigdy nie osiągniemy. Z uśmiechem pobiegną naprzeciw poświęceń i w koronę cierniową równie wesoło wystroją się jako w różany wieniec; radośnie przyjmą rolę życia pełnego walk i boleści — za żadną jednak cenę nie wezmą udziału w jednej chwili upokorzenia, w jednym uczuciu obojętności na poniesioną zniewagę. Cokolwiek mi powiesz, nigdy nie uwierzę aby Marja w tym względzie stanowiała wyjątek.

— Zobaczymy. Tymczasem, ja także nie uwierzę, aby wszystkie kobiety bez wyjątku nie знаły w działaniu innych pobudek, prócz miłości własnej lub chorobliwego sentymentalizmu. Nie trudno znieść cierpienie z którym do twarzy. Matka Siedmiu Boleści lub Niobe, mają tyleż artystycznego wdzięku co Medycejska Wenus lub Rafaelowa Fornarina, a może i więcej. Jeżeli kobieta zawsze oglądać się będzie, azali czyn przez nią dopełniony w misterne zawoje ubiera jej postać, przyjdzie czas że moda się odmieni, że to co ją dziś stroi urokiem cnoty, jutro może oszpecić pośmiechem znoszonych, przestarzałych zwyczajów. Z tego stanowiska uważane uczestnictwo w smutkach, w walkach i boleściach życia, wcale nie czerpie pobudek w tem uczuciu, jakie dziś prawie każdy nosi na ustach, prawie nikt w sercu. Miłość, bez nieograniczonego zaufania chociażby nawet wbrew oczywistym dowodom, jest chorobą krwi lub mózgu, ale nigdy świętem uczuciem. Oczy jej zawiązane, na znak że materialnego wzroku nie potrzebuje, że jasno widna duchem, granice zmysłów daleko prześciga; że widzi choć nie patrzy, że wierzy choć jej nikt dotąd ziemskim argumentem nie przekonywał. Jedno tchnienie nieufności gubi ją bez powrotu.

Wprzódym nim klamka zapadnie, nie zaszko dzi przekonać się, czyli które z nas samego siebie nie oszukuje. Sądzę że próba na wzajemną korzyść wypadnie; z mojej strony, ufam nieograniczenie. Sposobność, jak na początek, wyborna; tembardziej że ani jej nie szukałem, ani też drogi mojej nie kieruję dziennymi względami wystawiania kogokolwiek na próbę. Postępuję jak mi każe sumienne przekonanie, jak mię pędzi niezwalczona ducha mego natura. Opinia, jednozgodnie

skoczy mi do oczu; wiem co mię od niej czeka. Sądu, choć najsurowszego, nikomu za złe nie wezmę. Od jednej tylko istoty wymagam nieskończonego zaufania, od jednej żądam jasnowidnej znajomości mego charakteru. Jeżeli mię pokochała innym niż jestem, tem lepiej że zawczasu pozna omyłkę; jeżeli mię odgadła i powzięła to uczucie, które nazywam prawdziwem, jeżeli oboje nie zawiedliśmy się na sobie — sąd świata w porównaniu z mojem zdaniem nic u niej nie zaważy. Łatwo jej będzie zrozumieć że jako za dostatki, za zaszczyty, za sławę, za potęgę, nie byłbym zdolny jednego cienia moich przekonań zaprzedać, tak również najwyższego szczęścia o jakim człowiek może na ziemi zamarzyć, nie umiałbym okupić wyparciem się własnej myśli, zaniechaniem w sumieniu poczętych zamiarów. Odszczerpięstwo od wiary dąb od przekonań, za złoto, lub za inny jakikolwiek dar ku samolubnemu dobru obrócony, jest zawsze jedną i tą samą zbrodnią. Sprzedaż leży w zamianie, nie zaś w towarze lub w rodzaju zapłaty. Każde z nas postąpi jak zechce, poczem niech się dzieje wola Boga względem drugich, jaka nasza powinna dziać się względem nas samych. —

Piotr tracił ostatni promyk nadziei, poznawał że nieszczonego uporu w bracie nie przełamie, przewidywał że Kazimierz ugrzęzł w niedocieczonych teorjach, odpokutuje gorzkimi odczarowaniami. W przyszłości — nad wstyd i cierpienia nic więcej nie postrzegał. Rozpacz po zniszczonych w jednej chwili nadziejach, darła mu serce, chmury gniewnych niesień coraz gęściej zachodziły na niepokalany dotąd błękit braterskiego przywiązania; łagodna szlachetność duszy tonęła mu zwolna w nawałnicy rozdrażnionych przeciwnością uczuć. Namiętnemi słowy przerwał bratu i rzekł:

— Jesteś młody, niedoświadczony; bierzesz za rzeczywistość urojenia chorego umysłu. Dobrowolnie gubisz siebie i drugich; szukasz prawdy w obłokach, nie widzisz jej przed sobą. Społeczeństwo, na pewne wypadki, przyjęło pewne formuły od których odstępować niewolno. Czas może je zmienić; pojedynczy człowiek sto razy zginie, zanim zachwiać niemi potrafi. W pobudki oporu twego przeciw powszechnemu zdaniu, nikt wglądać nie zechce. Świat przyzwyczaił się po

wypadkach dzisiejszemu podobnych, natychmiast dowiadywać się o pojedynku. Jeżeli wieść zajścia i spotkania, krzywdy i odwetu, odrazu go nie uderzy, nie będzie pytał o przyczyny bezwładności znieważonego, nie uwierzy aby tenże mógł zacerpnąć je gdzieindziej aniżeli w nędznej obawie o życie. Nikt nie zrozumie subtelnych odkładań sprawy, zwłóczeń odwetu do stosownej pory, do zrównoważenia sił; nikt nie pojmie aby dziwaczna, niesłychana, nowa jakaś teoria, mogła zapanować nad słusznie rozdrażnionem uczuciem, nad prawdziwie męską odwagą. Złe każdemu łatwiej trafi do przekonania. Oburzenie, wbrew sprawiedliwości uderzy nie w napastnika, ale w napadniętego. Nie znasz ludzi i gotujesz się drogo opłacić znajomość ich nabytą własnem doświadczeniem. Słowom moim nie ufasz; poprzysięgam ci, że jeżeli jutro sprawy nie zakończysz, ludzie odskoczą od ciebie jak od zapowietrzonego. Znajomi, życzliwi, Sokolnik, Marja, ja sam, ja twój brat, twój jedyny przyjaciel —

Nie zatrzymuj się; kończ śmiało. Wszyscy mię odepchną; ty sam nawet, ty mój brat, mój jedyny przyjaciel, nie uczynisz wyjątku.

Piotr wzruszył ramionami dając znać że nic mu innego nie pozostanie. Kazimierz, z smętną goryczą, ciągnął dalej:

— Wprzódym zamiar powziąłem i ująłem go w ostateczny kształt niezmiennego postanowienia, rozmyślałem długo i pilnie. Żadne przeciwne następstwo nie uszło mojej uwagi; przyszłość rozglądałem w posępnych raczej niż w świetnych barwach. Upornie walczyłem sam z sobą i Bóg widzi że przed otrzymaniem ran, wycierpiałem już wszystkie boleści. Miałem chwile niepewności, wahania — wyznaję. Już chciałem biedz, wyzywać, bić się czempredzej. Rozwaga mię zatrzymywała. Namiętność, zatamowana uczuciem głębokiej zniewagi, zamiast rozlać się szeroką płachtą, zatętniła mniej widzialnym, wąskim nurtem ale stokroć gwałtowniejszym. — Pojedynek — zwykły pojedynek — i nic więcej? — Ależ tak samo byłbym bił się za małoważne, za najlżejsze uchybienie, za dwuznaczne słowo, za krzywy pogląd, za prędzej podniesiony niewieści bukiet, za plotkę wyrosłą na śmieciisku miej-

skiej złościwości, za przegrany zakład na wyścigach, za wystąpienie w pierwszą parę mazura; za każde z tych zajęć jakie w świecie wszczyną ostatniego rzędu miłość własna, a kończy głupia fantazja. Stanowisko to nie zgadzało się z moimi wyobrażeniami. Inaczej czułem, inaczej musiałem postąpić. Ku innym środkom, ku innym celom, zwróciłem myśl. Rozkazałem sercu milczeć i umilkło; wzburzoną krew ująłem w karby nieugiętej woli i wnet zakrążyła mi w żyłach, jak gdybym z pogodną przeszłością, swobodny na duchu, budził się do wesela przy różanych promieniach jutrzeńki. Jakkolwiek świat osądzi moje zamiary, dla mnie mają one nieocenioną wartość. Dzięki im, odzyskałem spokój; siłę i pogodę myśli. Dzięki im, poczuwam się we własnym bycie; mógłbym rzec: cogito ergo sum. Teraz, potrzebuję jeszcze przekonać się o wszystkich następstwach dzisiejszej przygody. Kto wie? — Może stosownie do nich, zamiar odmienię, albo raczej uwzględnię — o rdzennej bowiem przemianie nie ma co myśleć — już zapóźno. Nie przypuszczam atoli abym musiał pierwotną myśl gwoli wypadkom naginać a tem bardziej przeistaczać. Wilczek napróżno będzie czekał na wyzwanie. Ciekawcy, darmo nadstawiać będą ucha na szcęk szabel lub na wystrzały. Spodziewam się wszystkiego; na wszystko jestem gotów. Ludzie są ludźmi; pojedyncze usiłowania, jak sam rzekłeś, świata nie przekształcą. Każdy rodzi się wprzód człowiekiem niż bratem i zdarza się niekiedy że ostatni obumiera, gdy pierwszy jeszcze pełen życia. Braćmi moimi — powiedziano przed ośmnastu wiekami — są ci którzy pełnią ze mną sprawę moją. W najliczniejszym rodzeństwie często spotkać można jedynaka. Sierota lub podrzutek z północnej strefy, znajduje niekiedy brata pod równikiem. Wiedza, pamięć, rozwaga, na to nam dane, abysmy się niczemu nie dziwili. Względnie do nas samych, za jedną tylko rzeczą godzi się uganiać: za wewnętrznem z samego siebie zadowoleniem, za spokojem ducha. Nie rozumiem jak poświęcający własne przekonanie obcym sądom i widokom, może śmiało ludziom w oczy zazierać — co do mnie, świat mię potępi, jeżeli mu z tem wygodnie, ale pogody wroku mego nie zachmurzy, opinją oczu moich w ziemię nie wbije;

wyrokiem potępienia choćby jednogłośnym, rumieńca wstydu na czoło nie wywoła.

— Tem gorzej mój bracie — przerwał Piotr zaciskając dłonie. Nie my społeczeństwu stanowimy prawa i zwyczaję, ale przychodzimy już do ustanowionych. Wykraczający przeciw nim, w szalonej tylko dumie, w ślepej zarozumiałości, może znaleźć spokój duszy i wewnętrzne z siebie zadowolenie. Dotknięty nieszczęściem, rażony niezasłużoną klęską, skałeczon potwarzą, rozumiem że śmiało możesz stanąć przed światem — ale zubożytniały na uczucie honoru, samochętnie go się wyrzekający — nie pojmuję gdzie znajdziesz siłę stawienia pogodnego czoła słusznym zarzutom. Honor to życie moralne człowieka!

— Amen! — odparł Kazimierz; aforyzm ten prędzej może trafiłby mi do przekonania, gdybyś go był wyrzekł po francuzku; dziwacznie brzmi w ucziwej polskiej mowie.

— Wyraz — podchwycił Piotr, temu wydaje się dziwaczny, kto nie chce zrozumieć pojęcia — pojęcia, które, dość uderzyć się w piersi, aby na cały głos odpowiedziało.

— Nie konieczne. Ja naprzykład, napróżno rozbijałbym pierś dla podobnych celów. Wzruszasz ramionami, oburzasz się na moje słowa? Cóż winienem, że w foldze nie mogę dopatrzeć szczerzego złota, że w ciemnych majakach przesądu nie widzę rzeczywistej prawdy? Sam pierwszy przyznam, że honor jest zasadą moralną życia, jeżeli kto potrafi ściśle oznaczyć mi warunki tejże zasady i siedlisko. Czego atoli wyrazu, błędnych pojęć, za treściwą podstawę bytu, przyjąć nie mogę. Świat postępuje inaczej, być może dla tego że nikt wyrazu nie rozumie, a tem samym każdy nakręca go do wypadków i do namiętności. Nieraz długo, ale zawsze bezskutecznie, zastanawiałem się nad źródłem nieszczęsnego obłąd. Cienia nawet prawdy nie do badałem. Gdzie określenie, gdzie przedmiot pewny tego uczucia, tej zasady ułowionej w najmętniejszym zakręcie Sekwany? Fantazja ludzka, według przywidzeń, dziś tam, jutro gdzieindziej naznacza mu miejsce. Wczoraj, honorem było królowi podawać koszulę, jutro bezcześcią będzie pozdrowić go na ulicy. Wczoraj, plamiło dotknięcie kata, jutro szubienica stanie najzaszczytniejszym po-

mnikiem. Wczoraj, honor uciekał od pracy, rozwijał się w lenistwie i wyzyskiwaniu, jutro ostatnia pogarda obarczy wypasiony na próżniactwie przywilej. Pytam teraz, gdzie honor, któregooby jeden wykręt wyobraźni nie umiał przenicować na hańbę? Mówmy spokojnie, bez uniesienia; wynaleziono honor, bezdenne morze fałszu, w którym każdy czerpać może do upodobania. Trochę bezczelności, trochę siły nerwów, wiele obłudy, wiele nadętych frazesów i wnet człowiek od stóp do głowy uzbrojony, bezpiecznie roztrąca to wszystko, za co prawda powinnaby go na zewnątrz granic ludzkości wyrzucić. Nie trudno odgadnąć zkąd i dla czego zgubne to pojęcie zapanowało nad zdaniem ogółu. Wolność z każdym dniem jaśniej sama w sobie się poczuwa i wyszlachetnia ludzką naturę; niewola z każdą chwilą nowe ogniwo do dawnych kajdan lutuje, coraz gwałtowniejsze powodzie złego wylewa na ciało i na ducha. Do ostatecznej walki dwóch wrażeń sobie żywiołów jeszcze daleko; tymczasem z obozu zwycięzców, zepsucie szerokiem korytem płynie na hufce uciśnionych. Zmysły szaleją; prawda ucieka pędzona rozruchaniem przywiązaniem do materialnych roskoszy. Gawiedź o tyle żyje o ile używa; używanie ujednoznacznione z życiem, stało się dla niej najdroższym skarbem. Dla zachowania tego skarbu, wszystko gotowa poświęcić; przeszłość dla niej obojętną, przyszłość w niczem ją nie obchodzi; za teraźniejszością tylko na zabój się ugania. Nie ma interesu, któryby z przyjemnością życia mógł iść w porównanie; nie ma szczęścia wyższego nad byt wygodny na białym świecie. Ztąd jasny wniosek, że jeżeli tu i owdzie znajdzie się bohater, który dla zakupu względów opinji gotów narazić lub naraża skarb ten niewypowiedziany, tłuszcza wnet w zamian za nadludzkie poświęcenie, przebacza mu całe pasma fałszów, zdrożności, występków; bezkarnie pozwala drwić z najświętszych społecznych zasad, klaszcze jego bezczelności, zamyka oczy na niegodziwca, pod niebo wynosi znakomitego wyobraziciela uczuć honoru. Ten zaprzedał się wrogom ojczyzny za pieniądze lub za tytuły, ale w skutek powszedniej kłótni postrzelił jakiegoś niezdarę — z drogi przed nim! to człek honorowy. Ten żyje z kart, palcami dopomaga fortunie, ale ogołociwszy wprzód z mienia,

poranił kilka ofiar podwójnej zrzeczności — precz z uwagami! to człek honorowy. Ten nierząd wniósł w rodzinę, zbezczeszczył dzieciom matkę, ale natomiast w pojedynku zabił im ojca. W proch przed nim! na kolana! to człek podwójnie honorowy.

Szczególna komedja! — Aż na płacz od niej się zbiera. Wprzód nim ludzie ujrzą mię zadość czyniącego głupio haniebnym przesądom ale ważnym, uroczystym, gwoli uświęceniu przez zdanie ogółu, zanim do tego stopnia potyram głos własnego sumienia, padnę wprzód do nóg Wilczkowi i ze łzami pokory żebrać go będę przebaczenia za to, że mu dał mimowolny powód do gniewu. A przecież, Bóg świadkiem, lepiej podobno byłoby mu dnia tego nie żyć.

— Zgoda, rzekł Piotr — przypuszczam że masz słusność. I cóż dalej? Czyliż przekręcone wyobrażenia o honorze, myślisz prostować poświęceniem własnego bytu? Czyliż apostołstwo nowych prawd, chcesz rozpocząć od poniżenia własnej godności?

— Zwolna mój bracie! przerwał z zapalem Kazimierz; nie przesądzajmy zbyt śpiesznie spraw przekraczających obręb zmysłowego poglądu. Któż i gdzie zdobył prawo stawiania sędzią cudzego sumienia, kto lepiej zbadał cenę, komu droższą niż mnie własna moja godność? Jeżeli ja czuję się spokojnym, jeżeli mnie wyrzut za serce nie kąsa, kto dość świętym aby na niepokalaną swą duszę przyjmował część moich zgryzot? Zaprawdę, życzyłbym aby najmniej miłosierny z przyszłych moich potwarców, aby pierwszy z pojedynekowych zapaśników, cieszył się choć na chwilę pogodą mojego sumienia. Ha, gdyby każdy miał więcej wzroku dla siebie a mniej języka dla drugich, uczucie prawdziwej godności z ust przeszłoby może do serca, błysnęłoby w czynie. —

Piotr słuchał ale nie słyszał; myśl jego daleko gdzieś goniła po bezdroży skutków nieszczęsnego zajęcia i stokroć bardziej nieszczęsnych przywidzeń brata. Pękały mu w rękach ostatnie gałązki ocalenia; jutrzejszy świt otwierał przed nim długi łańcuch samotnych zgryzot, bolesnych walk za sprawę którą we własnem przekonaniu, pierwszy potępiał. W głowie nie mógł mu pomieścić się nagły przewrót życia

pełnego zadowolenia i nadziei, na byt najeżony cierniami odczarowań, wstydu i upokorzenia. Nie starczyło mu w piersiach oddechu, ilekroć pomyślał o czekających go boleściach. Brnąć w dalsze rozumowania nie widział potrzeby; najdzielniejsza, zdaniem jego, dowody, rozbijały się o potrójny pancerz obojętności, uporu i dziwacznych teorii Kazimierza. A przecież gdyby brzemień trosk na nich dwóch tylko miało się zwalić, Piotr chętnie podjąłby połowę ciężaru, rad podzieliłby się połową zgrzyzot — cios atoli uderzał w trzecią istotę, w kobietę, dla której spokoju, starszy brat byłby życie zaofiarował, on, ani mąż, ani kochanek! Tak dalece zatrwającącego braku serca, Piotr nie umiał sobie wytłumaczyć.

— Bądź spokojny, mój bracie — rzekł wzruszonym głosem; nie będę dłużej muru głową rozbijał; nie usłyszysz więcej odemnie ani dowodów ani rozumowań. Nie mam z czego zdobyć się na najmniejszą uwagę; wyczerpałem ostatnie siły. Sam nie wiem co jutro, co dalej pocznę. Myśl o przyszłości mózg mi rozsadza. Mniejsza zresztą o mnie. Ale ona? — Biedna dziewczyna! na przedwstępie życia, jak zniesie tę ciężką próbę, jak z uczuciami kobiety, Polki, potrafi przekonać się że obojętne zapomnienie zniewagi, może być wypadkiem słusznych, szlachetnych, męskich pobudek? Nie — nie Kazimierzu; nigdy nie uwierzę abyś miał wynurzyć przedemną zdanie szczere, poważne, ostateczne. Puśćmy w niepamięć naszą rozmowę. Żartowałeś z brata. Zgoda; przyjmuję żart; podziwiam w podobnej chwili pogodę twego umysłu; powiedz tylko że w głębi sumienia podzielasz mój sąd, że zamiar twój rozwiązania przekłętego zajścia, w niczem od mojego się nie różni. Nie uwierzysz, ilem wycierpiał przez te kilka godzin. Nie skarzę się — przeciwnie; wyznaję żem zasłużył na naukę. Powątpiewanie o tobie, z mojej strony było niegodziwością. Zbłądziłem. Ale czas upływa; mówmy z sobą poważnie, po bratersku, po przyjacielsku. Bądź przekonany że nie bez wysilenia nabędę potrzebnego spokoju. Oszczędz mi trudu. Szalony! jakże mogłem przypuszczać że w twojem położeniu, w wigilję prawie złączenia twoich losów z drogą ci istotą, w pierwszym niemal kroku między ludźmi, zechcesz rozpocząć drogę życia od podeptania zwyczajów, jeżeli chcesz: barba-

rzyńskich, fałszywych, ale koniecznych, nieodmiennych i nieuchronnych, wyrosłych bowiem na glebie niezaprzeczone szlachetnych uczuć. Omyliłem się? — Bracie mój, nieprawdaż?

Kazimierz ukrył twarz w dłoniach; zacięta walka uczuć wrzała mu w duszy. Piotr targał go za najdrażliwsze struny serca, błagał w imieniu szczęścia i spokoju brata i kochanki: brata którego był ukochanem dzieckiem, wychowawcą; kochanki dla której był wszystkim.

Ale zły duch niezwalczonej konieczności, pędził go inną koleją, tłumił w nim popędy czystego uczucia, zgrzytał mu w ucho inną pieśń, o krwawej zwrotce, o złowrogiej treści.

Kazimierz powstał z krzesła, wsparł się dłonią na stole. Strasznie był blady.

— Nie, mój bracie, rzekł — nie omyliłeś się; drogo płacę moje postanowienie, ale odstąpić go nie mogę. Czekałmy cierpliwie przyszłości. Dziś odmawiam ci tego, czego po daleko uporczywszych naleganiach, sam sobie musiałem odmówić. Dwie biegną przedemną drogi. Pierwszą zwyczajną, i łatwą znaczą ludzkie oklaski, wygodne zadość uczynienie płytkim namiętnościom obrażonego, zyskowny hołd oddany przesądnej świata opinii. Druga droga: to szlak pustynny, samotny, gdzie odpoczynkiem zgrzyty potwarzy, gdzie wędrowiec im bardziej zbliża się do celu, tem więcej oddala od szczęścia, od spokoju. Drugą drogę obrałem; już po niej krocę; na pierwszą wracać zapóźno.

— Nie zapóźno Kazimierzul — od zajścia doba jeszcze nie upłynęła. Powiedz słowo; sam natychmiast udam się do Wilczka, sprawę ułożę; jutro o świcie wszystko się skończy. Przez miłość boską nie zwlekaj! Gdyby nawet środki jakie ci doradzam, w tej chwili na opak stawały twoim przekonaniem — nie wahaj się. Zaufaj radzie brata, który od tylu lat twoje tylko dobro ma na celu. Wielki Boże! gdyby biedna nasza matka żyła, ona pierwsza, ze łzami, u nóg twoich, powtórzyłaby ci moje słowa.

— Droga matka! rzekł Kazimierz; szczęściem dla niej że nie dożyła tej chwili. Obpowiedziałbym jej to samo co tobie!

Ale ty Piotrze jesteś mężczyzną, ty więcej znieść potrafisz. Ona umarłaby z rozpaczy!

Płomień uniesienia coraz goręcej Piotrowi do głowy uderzał; wytrwał w nim ostatnie szczątki cierpliwości.

— Przekleństwo! — Zawołał; piekło podszeptuje ci słowa! Gonisz jak opętany za własną zgubą. Światne położenie, spokojność brata, los kobiety której przysiągłeś miłość, uczciwe imię Porajów, wszystko zuchwale depcesz, wszystko marnie poświęcasz dla fałszywych urojeń, dla dalekich jakichś celów, które wiele muszą być warte, kiedy wspomnieć nawet o nich się obawiasz. Przekłeta niech będzie godzina, w której wyjechałeś z kraju, w której napotkałeś obcych ludzi i zapowietrzyłeś się od nich zdaniem przeciwnymi zasadniczym uczuciom człowieka i Polaka! Dość ci było pierwszej sposobności, aby w jednym oka mgnienu zniszczyć pamięć długich i szlachetnych trudów całej rodziny. Szczęściem dla naszej matki, powiadasz, że dnia dzisiejszego nie dożyła. Masz słuszność. Umarłaby nie ze smutku ale ze zgrozy. Pękłoby w niej serce które dla ciebie tylko biło. Przywiódłeś mię do tego, że błogosławię wczesny jej zgon, że własne życie obmierzę mi odtąd i nieużyteczne, gorzkimi łzami gotów jestem oplakać. Obojętny na drugich, wszędzie widzisz tylko samego siebie. Ha! gdyby cię uderzyło nieszczęście, niecofnione, niepodobne do odwrócenia, do powetowania, pierwszy, wiesz dobrze, podałbym ci rękę, do ostatniego tchu walczyłbym za ciebie i cierpiał. Za nieszczęsny, szalony twój upór pokutować nie myślę; na stronie twojej nie stanę. Postąp jak zechcesz. Odwołujesz się do twego sumienia, ja także do mojego się odwołam. Nie mogę bronić czynu który we własnym przekonaniu potępiam. Między powstającymi na ciebie — pomnij — usłyszysz dobrze znany ci od kolebki głos brata. Zostaniesz sam, bez nikogo, powtarzam; sam jeden wszystkim. Ale nie — myślę się — sam nie wiem co mówię. Ciebie, obłąkał niespodziany dzisiejszy wypadek; ja tracę zmysły patrząc na groźące nam skutki. Dalej! — Spiesznie! — Jutro o świcie — broń: pistolety. Mniejsza o trafność jego strzału; zabijesz go, wyjdiesz nietknięty; mam niezawodne przecucie. Nie prawdaż Kazimierzu, bracie mój, że wierzysz

mojemu przeczcuiu? Słuchaj wreszcie; nie chcesz dziś nic postanowić; zgoda! zaczekajmy do jutra! Noc przyniesie ci dobrą radę; namyślisz się. Jutro o wschodzie słońca dość jeszcze będzie czasu. Przyrzeknij tylko że stałego zamiaru nie powzięłeś, że do jutra może go jeszcze odmienisz. Rozmyśl się, zastanów; masz przed sobą kilkanaście godzin.

Kazimierz obojętnie wysłuchawszy wyrzutów, na prośby tem niedostępniej zamykał serce. Owładnięty potęgą jednej, wyłącznej myśli, nie szukał nawet siły wydobycia się z pod jej przemocy. Oparł na bracie głębokie, ciemne oczy i głosem łagodnym, w którym atoli przebijało silne postanowienie, rzekł:

— Kilkanaście ani kilkadziesiąt godzin, nic dla mnie nie znaczą. Choćbym wiek rozmyślał, nie w mojej mocy odmyślić com umyślił. Niech się los pełni! Jeżeli błądzę, błąd odcierpię; wszakże nikt tu odemnie więcej nie traci.

— Mylisz się! — Kto o mało dba, ten mało traci. Nie obchodzi cię dobra sława rodziny, drwisz z opinji świata, gardzisz miłością szlachetnej kobiety, igrasz z własnem szczęściem jak zgorączkowane dziecko, nikogo nie kochasz, w nic nie wierzysz, żadnych obowiązków dla drugich nie czujesz — pytam więc co tracisz? Pokrzywdzonymi są ci, których wleczesz za sobą w przepaść, a którzy nad życie niemal, cenią to wszystko co ty ze wzgardą odpychasz. Złe stało się; niewinni powszechnym zwyczajem muszą odpokutować za grzesznych. Pojmuję dla czego i na mnie spadną zgryzoty i wstyd.

— Cóż począć? — Odparł Kazimierz! nie wysłuchasz, jeżeli ci powiem że wstyd nie z zewnątrz na nas upada, ale z wnętrza na lica nam wybiega. Konieczność wiąże między nami braterskie stosunki; nie w mojej sile zerwać je, zagładzić przed ludźmi ich pamięć, aby ci oszczędzić wzajemnienia w mojem stanowisku. Możesz jak zechcesz względem mnie postąpić; tego coś dla mnie uczynił, z serca mi nie wymażesz. Z nazwiska — chociażbym pragnął, wyzuć się nie potrafię. Przyzwyczaiłem się obracać na nie głowę; świat

także przyzwyczaił się zwać mię tym bezznacznikiem, sromoty więc, jaka według twego sądu, uderzy na miano Porajów, odwrócić nie jestem w stanie. Trzeba przyjąć ją jako czyn dopełniony. Nieszczęścia biją tak dobrze w ludzi jako i w nazwiska. Krótko mówiąc, wiem co narażam, wiem w czym grzeszę, wiem ile mógłbym zyskać postępując inaczej, ale łatwiej mi odrzucić korzyści niż zdanie. Chętnie poniosę straty i boleści; nie wypieram się win; samego siebie także się nie zaprę.

— Nic nie masz do zaparcia! — Tem lepiej! zawołał Piotr; ja o sobie tego nie powiem. Ja, przed ludźmi nie mogąc zaprzec braterstwa krwi, wyprę się przynajmniej braterstwa uczuć i pojęć. Przekonanie własne stawiasz nade wszystko; przed głosem sumienia każesz milczyć względem i obowiązkom. Przyjmuję zasadę. Zapytany w mieście co zamysłasz uczynić, szczerze odpowiem że zajęcia, zwykłych następstw, wcale nie zamierzasz naznaczyć. Przekonasz się jak ludzie — a kiedy mówię o ludziach, mam na myśli tych którzy z bliska cię obchodzą — przekonasz się powtarzam, jak ci ludzie powitają niespodzianą wieść o niesłychanem twojem postanowieniu. Może być że ja się myślę, że ja, stary jestem uporczywiec, że ja prawię duby smalone, inni może uznają że ty masz słuszność, że prawda, honor, obowiązki, na twojej wyłącznie stronie. Tem lepiej dla ciebie. Ja, chociażby mi przyszło jednemu pozostać, zdania nie porzucę, zamiarów twoich nigdy nie pochwalę. Zamiarów, mówię! — Jak gdybym je znał, jak gdybym cokolwiek innego wiedział, oprócz tego że ciężko znieważony, polkasz obojętnie zniewagę; że tłumisz w sobie uczucia, które pierwszy lepszy przechodzień na ulicy, więcej waży nad własną krew. —

Kazimierz drgnął mimowolnie, ale wkrótce zwykła spokojność głębokich wód, rozglądziła mu przelotne zmarszczki. Rękę wcisnął w zanadrze, tłoczył serce które w odpowiedzi na uniesienia brata, coraz gwałtowniej tłukło mu pierś.

Piotr co chwila wstawał i siadał; podchodził ku oknu, wyglądał na ciemną i pustą ulicę, zwracał się, rzucał na brata

rozplomienione spojrzenia, mierzył iabę namiętnemi kroki. Ta bladeść twarzy, ten wzrok mglisty, niepewny, te rysy łamiące się niekiedy w szczególny wyraz boleści, utwierdzały go w podejrzeniach. Kazimierz wzdragał się od pojedynku przez słabość serca, przez rozpasane przywiązanie do życia, przez haniebną obawę śmierci. Dziwaczna teorie, wymuszone dowody jakimi się bronił, pokrywały bezczesne wady charakteru.

Człowiek na dnie swojej istoty, kryje często niepojęte tajemnice. Piotr znał brata od kolebki; zdawało się mu że głową byłby mógł ręczyć za każdą jego myśl, za każdy czyn; że staranne wychowanie, że znakomite zdolności umysłu, że świadomość prawdy, że szlachetne zasady z mlekiem niemal wyssane, musiały w rzeczywistym życiu pociągnąć za sobą zgodne zastosowanie. Przed godziną jeszcze byłby przysiągł za niezawodność swoich przekonań; teraz, w jednym oka mgnienu przekonywał się że to co w bracie ukochał, czem się w nim chlubił, było połyskliwem na zewnątrz, ale w głębi ohydny fałszem, próchnem smętarnem świecącym w nocy, zagasłem i odrażającym za pierwszym promieniem prawdy.

Przeklęty dzień odczarowania.

Piotr w duszy szalał z gniewu i z rozpacz, czuł jak dawna słodycz braterskiego przywiązania, zwolna przeistaczała się mu w gorzką truciznę oburzenia i nienawiści.

— Przeklęty dzień! — Zawołał powtarzając wyrzeczone w myśli słowa — w jednej godzinie zabił mi całą przyszłość. Po tyloletniej pracy czekałem na wypoczynek, na nagrodę; znajduję piekło i zgryzotę. Ramię, na którym spodziewałem się wesprzeć, zabójczy cios mi zadaje. W dzień nie znałem wytchnienia; w nocy, snu sobie nieraz skąpiłem, aż nareszcie, po długich trudach i mazołach, zapracowałem na wstyd i ochydę. Ależ na mą duszę; byłem ci ojcem i do praw starego brata, ojcowskie słusznie mogę dołączyć, do nich sumiennie mogę się odwołać. Pogardziłeś radą, odrzuciłeś prośby; więcej ani radzić ani prosić nie będę, ale na mocy praw starszeństwa i oddanych ci przy-

sług, domagam się abyś odstąpił nieszczęsnego postanowienia, abyś szedł tą drogą jaką wskazują ci wola moja i doświadczenie.

Kazimierz pierwszy raz od początku rozmowy, powstał z pewnem uczuciem niecierpliwości. Prośba znajdowała go żałośnie niezłomnym, na rady głuche odwracał ucho; rozkaz, odwołanie się do woli, dotkliwie go bodły. Z natury swej, nienawidził wszelkiej władzy; oburzał się na myśl ślepego posłuszeństwa.

Zacisnął usta i milczał.

Piotr, w milczeniu brata poczuł nieubłagany opór; sam też wyczerpywał ostatki cierpliwości; stanął przed nim zagniewany i popędliwie rzekł:

— Rozumiem; dajesz mi poznać że każdy z nas winien być panem swej woli. Niech tak będzie! — Jednem słowem zakończę spór i rozmowę. Dla własnych moich względów, muszę wiedzieć co mam począć. Chcesz bić się jutro lub nie? Ostatnie słowo?

— Na początku już je powiedziałem i nie odmienię przy końcu.

— Nie chcesz?

— Nie.

— Zgoda! nie mamy z sobą nic więcej do mówienia. Leć na złamanie karku gdzie pędzi cię szalony obłąd, gdzie gnają cię pobudki, w których ściśle rozbiór wchodzić nie mam dość odwagi. Zostanem odtąd braćmi ale tylko dla ludzi. Bezbożnie potargałeś święte węzły; ja pierwszy ich nie zwiążę — przysięgam. Każdy za siebie — nauczyłś mię nieznanego dotąd hasła, przyjmuję je za swoje. Z honorem, lub bez honoru, każdy za siebie. Niech się dzieje wola Boża! —

Piotr, rozszroczonym gestem pożegnał brata; odszedł — wstrzymał się chwilę na progu, jak gdyby czekał jednego wyrazu aby mu paść w objęcia. Odpowiedziało mu uparte milczenie; zatrzasnął drzwi za sobą i wkrótce na kurtyarsu gościnnego domu, łoskot kroków starszego Poraja utonął zwolna w nocej ciszy.

Kazimierz został sam.

Otworzył okno, rozkrył gorącą pierś na powiew wiatru; wzrok mimowiednie zaprzepścił w gwiazdach rozhaftowanych na pochmurnem niebie.

— Odegrany prolog mego dramatu — rzekł po chwili, stłumionym głosem; spodziewałem się jego treści więcej, niż drudzy spodziewają się rozwiązania.

— Idźmy dalej!

X.

Przewielebny ojciec Serafion Tapczyc wcisnął na oczy mniszy kapelusz i chyłkiem, wśród ciemnej nocy, niby złoczyńca lub zapóźniony kochanek, przemykał się pustymi ulicami Lwowa. Śnać było mu spieszno, podwinał bowiem poły zakonnej sukni, śnać umysł silnie miał zaprzątnięty, mruczał bowiem pod nosem bezładny monolog, jak gdyby powtarzał w pamięci zapytania, uwagi, odpowiedzi, z którymi dążył posuwistemi kroki.

Doszedłszy do gościnnego domu gdzie mieszkali oba Poraje, zatrzymał się, przebiegł na przeciwną stronę ulicy, wzniosł głowę, bystrym wzrokiem powiódł po oknach. Świeciło się; dwaj bracia jeszcze nie spali.

Zakonnik rozbudził odźwiernego, szybko poskoczył na wschody, na kurytarzu dopiero, cichaczem, na palcach, sunął ku mieszkaniu Piotra.

Otarł znój z czoła, zapukał nieśmiało, i nagięty ku ziemi, z głową naprzód pochyloną, z uśmiechem swego powołania na ustach, trzema zwykłymi ukłony powitał gospodarza.

Piotr z założonemi rękami przechadzał się po pokoju; nasunięte brwi, sfałdowane czoło, rysy złamane boleścią i gniewem, jasno dawały poznać srogie udręczenia duszy, gorączkowy niepokój umysłu. Poraj należał do tych ludzi, dla których tłumiona, samotna zgryzota podwójnem była cierpieniem. Widok poufalego oblicza, możebność odkrycia głębi serca, najdzielniejszą były mu ulgą w dolegliwościach. Czuł wreszcie że po męczącej rozmowie z bratem, napróżno w śnie

szukałby odpoczynku. Zjawienie się księdza wcale nie było mu natrętnem. Odgadł że kapelan przychodził dostać języka, że wieść o zajściu Kazimierza z Wilczkiem obiegła już całe miasto, że w domu Sokolnika z niecierpliwością oczekiwano bliższych szczegółów.

— Witam księżę — rzekł, gestem wskazując mu krzesło; spóźniona pora twoich odwiedzin bynajmniej mię nie dzwi. Wiesz zapewne — wiedzą już bez wątpienia u was w domu, o nieszczęsnym dzisiejszym wypadku. Patrz dokąd nas doprowadziła rozpusta naszej młodzieży. Życie w szynkowniach stworzyło karczemne obyczaje. Szlacheckie dzieci ubiorem tylko i zbytkiem różnią się od ulicznych hultajów. Cóż powiesz? — Co mówi Sokolnik?

Kapelan pokornie spuścił oczy i jak przystało na człowieka, który przyszedł nie dla oddania lecz dla wzięcia prawdy, zakłopotanym mimowolnie głosem, rzekł:

— Nie widziałem dziś hrabiego; nie był w domu na obiedzie; wieczorem nawet nie wrócił; musiał go gubernator u siebie zatrzymać. Dotąd samą tylko hrabinę doszły błędne o wypadku posłuchy. Znasz pan Dobrodziej ludzkie języki; dodawać, przeistaczać, fałszować — to ich rzecz. Jedna z przyjaciółek hrabiny, osoba zresztą wielce nabożna, zwierzyła jej pod tajemnicą miejskie pogłoski. Struchleliśmy na samą myśl o następstwach zajścia. Szczęściem — powiedziałem sobie — na lwowskim bruku, z komara często rodzi się wielbłąd. Niepodobna aby rzeczy tak daleko zaszły, jak nam opowiadano. Uspokoilem hrabinę, przyrzekłem wywieść się o prawdzie i prosiłem aby przed hrabianką o niczem nie wspominała. —

Zakonnik powtórzył zajście w mniej więcej niedokładnych zarysach i zapytał czyli treść jego zgadzała się z rzeczywistością?

— Mniejsza o szczegóły! — Odparł Piotr, którego gniew zażęgły znowu wspomnienia dobitne przekłętej chwili — wiesz że nie byłem przy nich obecny. Nieszczęście chciało, żem się nie stawił na umowioną godzinę. Moja wina! Ja złego jedyną jestem przyczyną. Widziałeś jednak innych ludzi z miasta; co mówią — jak sądzą wypadek, na kogo zwalają

winę, kogo potępiają? — Mów księżę, czy głos opinji jest głosem Boga czy djabła!

— Ani jednego ani drugiego; opinja jest głosem słabych śmiertelników, z których każdy, jak powiada Pismo, siedmkróć grzeszy na dobę. Znana wreszcie oddawna popędliwość hrabiego Wilczka, znane niepomiarkowane jego uniesienia. Świat nie od dziś nauczył się go sądzić. —

Jezuita, widocznie pragnął utrzymać się na stanowisku bezstronnego potrzegacza. Rozkazano mu wyciągać na słowa, badać i słuchać; posłuszny ślepo rozkazowi, wyciągał na słowa, badał i słuchał; własnego zdania wyjawiać nie spieszył.

— Prawdę wyrzekłeś! zawołał Piotr z gorzkim uśmiechem; świat oddawna zna Wilczka, przyzwyczaił się do jego wykwintnych niegodziwości, otrząsał z jego szaleństwem; legł mu nawet do nóg olśniony szatańskim blaskiem jego rozpusty. Kobiety boją się jego języka; mężczyźni wolą z nim biesiadować, niż stawać na sztych zacieklej popędliwości do bójki. Wilczek okuł opinję w łańcuchy postrachu, bachi-cznego szału, zapędów na wszystko gotowych. Raz na ka-gańce ujawszy bezsilne lub nikczemne sumienia, śmiało odtąd, słowem i czynem, bluźni najświętszym prawom i zasadom. Potwarz jego dowcipem; zniewaga młodzieńczym zapalem; rozpusta poetyczną fantazją; rozchełzane szaleństwa wdzięcznym ku naśladowaniu przykładem, niewyczerpanem źródłem poklasków. Zawsze i wszędzie go uniewinnia, we wszystkim wynajdą mu dobrą stronę; białe słowa wszystkie dla niego; czarne, co do ostatka, dla jego ofiar. Ha! na mą duszę, księżę, jeżeli celem waszych trudów naprostowanie pokręconych ścieżek społeczeństwa, pierwszy raz powiem że za mało was na świecie, że kłós zboża silniejszy przeciw burzy, niż wy przeciw ludzkim nieprawościom. Oleum et labore! — czerpicie wodę przetakiem!

— Eheu! — Odparł kapelan — nie tajne Kościołowi siły jego nieprzyjaciół, ale i ostatni nie domyślają się jeszcze potęgi Kościoła. Powierzchny tylko wzrok może przypuszczać że złe bezkarnie rozpasuje się na świecie. Prędzej czy później, niecnota z lichwą płaci za winy. Sprawiedliwy nie dba na sąd przewrotnych; wie on że nikt darmo dobrych

uczynków nie spełnia. Co do hrabiego Wilczka, przebac pan, ale nie wszystkich słyszałem wynoszących go pod niebiosą. Bezbożność jego nieraz zwróciła kapłańską uwagę. W gronie jego przyjaciół znaleźli się i tacy, którzy kilkakrotnie zawsze atoli napróżno, namawiali go do powrotu ku chrześcijańskim obowiązkom. Czy uwierzysz pan, że nikt go dotąd nie widział przy konfesjonale?

— Nie dziwnego; Wilczek oddziedziczył po matce tylko majątek; po przodkach tylko nazwisko. Staropolskie cnoty z nieboszczykami razem, legły w grobie. Mówisz mi że są ludzie, którzy cenią go według prawdy i sumienia? — Rzadkie wyjątki, księżo! Ludzie ci nie stanowią opinii, w niczem nawet na nią nie wpływają; więcej oni czynią niż krzyczą, opinia zaś nie z czynów lecz z krzyków powstaje. Tłum półgłówek nigdy nie dopuści aby życie, spokój, honor ludzi szlachetnych, ostały się przeciw słowu lub zamachowi ręki pierwszego gorszego szaleńca. Rozbity był niewinnego tyle waży w oczach gawiedzi, ile stłuczona, po odurzającym napoju, próżna butelka.

— Szczęściem, panie Piotrze — rzekł kapelan podając mu tabakierę — uczciwy był w niczem nie zależy od tych wypadków, które jako ukąszenia wściekłych psów lub dachówki spadają na przechodzących. Kto prostą drogą dąży, ten patrzy w cel, ten nie zatrudnia wzroku rozglądaniem ubocznych manowców.

— I słusznie czyni, zwłaszcza jeżeli jest księdzem, jeżeli oderwany od ziemskich stosunków myśli tylko o zbawieniu duszy, jeżeli piędzią wieczności mierzy sprawy tego padołu. Ale nie każdy żyje w habicie. Nam świeckim, rzeczy świeckie nieobojętne. My, gwoli niezachwianym dziś przesądom, koniecznym wynikom naszej niedoskonałości, samymże warunkom popędu do udoskonalenia, musimy, chociażby dla dopięcia celu, naginać się czasem do środków. Osłepnąć na względy światowe nam dziś nie wolno. Osamotnieni żyć nie możemy. Zewsząd potrzebujemy pomocy; sami także przydajemy się drugim. Wylamując się z pod powszechnego prawa, targając węzły zwyczajów, narażamy się na zatracenie siebie dla drugich i drugich dla siebie. Darmo księżel! — Stokroć

milsza śmierć niż życie pędzone w poniewierce, w bezużytku i wzgardzie. —

Piotr ze szczególnym zapalem wyrzucił ostatnie słowa; usta konwulsyjnie mu drgały, zgroza błyskała z oczu. Jezuita pomiarkował że zajście Kazimierza, poderwało niezwykłą burzę w łagodnym i spokojnym zawsze jego bracie.

Jeżeli wszelako starszy czuł tak dotkliwie obrazę, cóż dopiero działo się z młodszym, gdzie kres był uniesieniu bezpośrednio znieważonego, jak daleko sięgała jego zemsta, jakieni wypadek zagrażał skutkami? — Ksiądz potrzebował rozjaśnić te zagadki i zdać z nich dokładną sprawę. Wprost atoli nie wypadało uczepiać pytania; musiał wbrew świeżo wyrzeczonej zasadzie porzucić prostą drogę i krętymi ścieżki dążyć do zamierzonego celu. Zadanie wreszcie, nie przedstawiało znacznych trudności; Piotr słów swoich nie kładł na szalę rozważki; głęboko wzburzony, ostatnią toń myśli bez ogródek odkrywał.

Kapelan obkleił twarz w wyraz ciężkiego frasunku. Serdeczny przyjaciel obu braci, nie mógł z innym obliczem do żadnego z nich przystępować po zaufanie.

Piotr nawzajem przekonany był, że w księdzu widział wierny odgłos własnych uczuć.

— Nieszczęsny, niepotrzebny wypadek! rzekł duchowny — ale co czynić? Zniewagą odpowiadać na zniewagę? — To sprawa ulicznych pachółków. Rozumiem przeto że pan Kazimierz, człowiek wzniosłego umysłu, szlachetnego serca, głęboko moralnych i chrześcijańskich zasad, pogardą zapomnienia pokryje obelgę; że zamiast schylać się po nią w bagnisko światowego zepsucia, wygładzi ją z zacnej pamięci, że napastnikowi niby opętanemu wściekłością, miłosiernie przebaczy.

— Bóg z tobą księże! zawołał Piotr; prawisz jak człowiek który albo prawdy nie widzi, albo dotknąć jej nie chce. Że zapomni! — Że przebaczy! — Ależ tego zapomnienia, tego przebaczenia, świat, do końca życia, nie zapomniałby mu, nie przebaczył. Porzuc na chwilę myśl o charakterze twego powołania; mów ze mną po przyjacielsku, po ludzku. My, nędzne, gliniane zlepki jesteśmy słabi, ułomni; nie wymagaj

po człowieku subtelnej, anielskiej natury. Bierz rzeczy w ich prawdzie, w ich mieszaninie błędów, ale i przymiotów zarazem. Jeżeli żądasz aby człowiek ciężką urazę z uśmiechem przebaczał, co zostawisz Bogu? Zepchnij go w takim razie, z wieczystej jego stolicy. Co nam po tym wzorze światła i miłosierdzia? Doskonałość przy Wszehpotędze niczem jest, w porównaniu moralnej doskonałości w ziemskim robaku, zwitym z uczuć i z namiętności, z krwi, z wad, z błędnych pojęć i z cierpień. Fałszywe to zasady i niebezpieczne, na fałszu bowiem prawdy nie zbudujesz. Spójrz na przyrodę! każde jestestwo broni swego bytu; kwiat cierniem kaleczy zuchwałą rękę — miałaby człowiek sam jeden dać bezkarnie życie swoje z kwiatów obrywać?

— Powiedzianem jednak jest — wtrącił nieśmiało kapelan — «będziesz miłował nieprzyjaciół twoje. Skoro cię uderzą w jeden policzek —»

— Nadstawisz drugi! — Przerwał Poraj z szyderstwem. Każda rzecz ma swój czas i swoje względy. W obec mściwości starego Zakonu, zapamiętałych w Izraelu osobistych zemst — polecanie nieograniczonej pokory i cierpliwości daje się wytłumaczyć. Dziś, prawo nie przypuszcza teorii ślepego odwetu, ale nawzajem moralność, świadoma rzeczywistości swoich warunków, oparta na prawdzie, nie wymaga od ludzi wysiłen wyższych na ich naturę. Co do mnie, ze spokojnem sumieniem poczuwam w sobie nienawiść ku wrogom, nie troszczę się bynajmniej gdy cios na mnie wymierzony, odwracam przeciw napastnikowi. Bóg karze winy — powiadasz, nie tylko w zaświatnym ale i w doczesnym żywocie; dla czegożby więc niewinnie pokrzywdzony nie miał być narzędziem bożej sprawiedliwości? — Wreszcie, czyliż nieśmiertelna część naszej istoty tak dalece jest lichą, że nie warto jej bronić przeciw niegodziwym napaściom? Słuchaj księże? — Połóż rękę na sercu, wyobraź sobie że nie jesteś świętym męczennikiem za pokorę, ale zwykłym, uczciwym człowiekiem. Spotyka cię straszna zniewaga. Świat ciekawem okiem patrzy co poczniesz. Jeżeli sam siebie tak mało cenisz, że nie staniesz we własnej obronie, on cię mniej jeszcze cenić będzie; on tobą pogardzi. Napróżno zechcesz milczenie usprawiedliwić

chrześcijańską pokorą; nikt ci nie uwierzy. Powiedzą że za-
jęcze masz serce, że nikczemnie troskliwy o życie, w obec
nieublaganej konieczności, niezdolny jesteś narazić je, po-
święcić. Prawdziwą wartością człowieka, wartością którą świat
słusznie najwyżej ceni, jest gotowość do poświęcenia się za
własne zasady, za szczęście drugich, za dobro narodu. Kto
dla siebie niezdolny piersi nadstawić, ten dla drugich nic nie
uczyni. Przecież za najwyższą doskonałość, polecono nam
kochać bliźnich jako siebie samych — nic więcej. Przecież
ukazano nam wyższe cele, dla których grzechem dbać o ciało,
mieć na jedynym względzie materję. Wzgarda publiczna
słusznie potępia tych najniższego rodzaju samolubów. Mów
księżu! — Powtarzam — czy pod sutanną twoją krew tak
dalece ci wystygła, że gdybyś nie był duchownym, prze-
niósłbyś długie życie w ohydzie nad chwilową grę pojedynku?

— Nad pojedynek panie Piotrze? — Wszelki duch Pana
Boga chwali! Pan Kazimierz miałby strzelać się z hrabią
Wilczkiem? Za marną obelgę, wyrządzoną po pijanemu, w sza-
leństwie, chciałby odpłacać zabójstwem, lub sam się na
śmierć wystawiać? Boże odwróć od nas ten cios! — Ale
masz pan słusność — ja biedny ksiądz nie znam się na rze-
czach światowych. Uczyłem się mszy i brewiarza; w stosun-
kach ludzkich czytać nie umiem. Jako kapłan jednak, jako
przyjaciel, gorzko boleję nad poniewierką praw bożych dla
światowych wymóg. Ha, gdybym mógł własną krwią okupić
spokojność drogich mi osób! Nieszczęście wisi nad nami,
panie Piotrze. Hrabia Wilczek uchodzi w kraju za najcel-
niejszego strzelca. Własnym uszom nie wierzę! Pojedynek! —
Gdzie i kiedy?

Poraj rozśmiał się gorączkowym, nerwowym śmiechem;
ujął za dłonie strwożonego przyjaciela i rzekł:

— Uspokój się księżu; za niczyją duszę nie będziesz potrze-
bował odmawiać pacierza. Jeżeli dla twoich przyjaciół, życie
uważasz za najdroższy skarb, zaręczam ci że brat mój na
włos nie zubożeje.

— Jako? — Nie rozumiem; czy nastąpiły przeprosiny?

— Wilczek nie ma zwyczaju przeproszać, i słusznie czyni

— Cóż więc?

— Możecie z Kazimierzem podać sobie ręce. Oba zároveň nienawidzicie pojedynku; ty jako zwiastun kościelnej pokory, on jak zwarzjowany na nieszczęsne, błędne jakieś przywidzenie. Tobie księżę, obojętni: ludzka cześć, osobista godność, nieskazitelność honoru; byleś był pewien zbawienia dla siebie i dla bliskich twemu sercu, nie dbasz o żywot haniebnie zmarnowany przed światem. Mnie, oprócz wieczności, chodzi jeszcze o teraźniejszy byt, o byt przeprowadzony z pożytkiem dla narodu, z zadowoleniem dla siebie, z zaszczytem dla rodziny, z wziętością u dobrych, u złych z postrachem. Sen, na którego urzeczywistnienie tyle lat pracowałem, pękł mi dziś w jednej chwili. Piotr Poraj nie ma już brata; ma tylko imiennika — na wstyd swój, na nieszczęście!

— Pan Kazimierz?

— Nie chce skończyć zajścia pojedynkiem. Na klęczkach go błagałem, zaklinałem w imię wszystkiego co miał lub ma najdroższem na ziemi, wystawiałem zgubne następstwa bezkarnego przemilczenia zniewagi, pokazywałem jak na dłoni zniszczoną przyszłość — wszystko daremnie! Na pozór, zda się, pełne zemsty mieć serce; w głębi kryje niepojętą, niewytłumaczoną obojętność.

— Pierwsze wrażenia zazwyczaj silne, pierwsze zamiary nietrwale — wtrącił kapelan; kto wie, może jutro całkiem odmieni zdanie?

— Nie odmieni księżę; znam go z tej strony. Ważniejsze rzeczy rozbijały się nieraz o nieugiętą jego wolę — o hart duszy, byłbym wczoraj powiedział — o zaciekły upór, dziś muszę wyznać. Ileż zmian bolesnych w tych kilku godzinach, ile odczarowań! — całe życie szczęścia ich nie okupi.

— Każda głowa ma swój sąd, rzekł ksiądz doktoralnie. Cóż ma począć, jeżeli sumienie każe mu urazę zapomnieć, napastnikowi przebaczyć?

Piotr powstał; uniesienie tłumilo mu głos; zaciskał gniewnie ramiona. Ręką wskazał ku oknu:

— Patrz mówił drżącymi słowy — widzisz za chmurami ten księżyc, widzisz tu i owdzie rozmrugane gwiazdy? — Prędej ten księżyc na zawsze zagasnie, prędzej burza te

gwiazdy na wieki w sobie pochłonie, aniżeli brat mój zatraci pamięć doznanej zniewagi, aniżeli zapomni lub przebaczy. Przy znakomitych zaletach, od kolebki prawie, dręczyła mię w nim dziwna zaciętość charakteru. Dzieckiem straciłem go z oczu; człowiekiem ujrzałem napowrót; rozwinął się w zalety, ale i tamta druga w nim nie próżnowała. Jak na dnie niepospolitej duszy potrafił ukryć zgubną słabość, której dziś dał mi dowody? — Nie pojmuję. Może w pierwszej chwili dał sobie słowo postąpić tak a nie inaczej, i sam, bez ratunku, okuł się w rzuconą sobie przysięgę? Ale nie! — To do niego nie podobne; on nim postanowi, długo rozważa. Wstręt po prostu do śmierci, namiętne przywiązanie do życia — i nie więcej!

— Szczególna zagadka! przerwał kapelan smutnie potrząsając głową. Jakież więc jego zamiary?

— Bóg sam je zna jeżeli jest co znać; ja mózgu sobie nad nimi nie suszę. Nie chce wyzwać Wilczka i w łeb mu strzelić — dość mi na tem. Pytasz o jego zamiary? — On sam może o nich nie wie. Jedynym zamiarem jest uniknąć pojedynku. Na skutki nie zważa, nie dba; przedewszystkiem idzie mu o teraźniejszość. Wilczek tym razem wiedział, przeczuwał kogo krzywdził. Niech go piekło pochłonie! Jeżeli chodziło mu o zadarcie z Porajem, czemuż ku starszemu się nie obrócił — trafny strzelec — tem lepiej! Kula w piersiach, przysięgam ci księżo, mniejby mię skaleczyła niż cios, jaki dziś, pośrednio, przez drugiego we mnie uderzył. —

Piotr upadł w krzesło, głowę wsparł na dłoniach, wzrok nieruchomy utkwiał przed siebie, domawiał w myśli przekleństw i żalów których przed obcym, choć sobie życzliwym, w całej potędze uczucia nie wypadało mu objawiać. On, który ciężkie trudy tylekroć wesoło podejmował, który w znużeniu pracą krzepił siły, niezmordowane członki i umysł ciskał bez miary w war twardej z życiem zapasów; on, padał teraz wycieńczony targaną bolesnych myśli, niespokojnych przeczuć. Gniew, oburzenie, troska i smutek, poszarpały mu zwykłą pogodę oblicza; niewidziane dotąd zmarszczki wybiegły na czoło, na skronia; uśmiech, ust jego mieszkawiec

nieustanny, odbiegł go, jak się zdawało, bez nadziei powrotu.

Ksiądz z pod oka rzucał na Poraja bystre poglądy, baczył w nim widoczne rozłamanie ducha, znękanie na siłach, rozważał, wyciągał wnioski. Stroskany na pozór, do głębi serca cały przejęty spólczeniem ku tym, których zwał się przyjacielem, raz tłumaczył i bronił Kazimierza, to znowu gwoli przyjaźni a wbrew przekonaniu, ustępował od kapłańskich zasad pokory i zgody, potakiwał zapędowi Piotra, potępiał wraz z nim, złorzeczył, przeklinał.

Poraj zaprzepaszczone we własnych niepokojach, pod serdecznymi wynurzeniami, skrytych widoków bynajmniej nie odgadywał, nie domyślał się nawet że ksiądz polował na tajemnicę, że późne odwiedziny, zręczne obroty rozmowy, nawiasowe niby pytania, miały jedynie na celu wywiedzenie się dokładne o szczegółach, a zwłaszcza też o następstwach dzisiejszego wypadku.

Kapelan nie dowierzał Kazimierzowi, lękał się z jego strony braterskiego podstępów, sądził że tenże tylko dla uspokojenia brata udawał wstręt do pojedynku. Dręczony tą niepewnością uczeplił kilka zręcznych pytań. Piotr powtórzył mu całą niemal z bratem rozmowę, rozproszył wątpliwości, upewnił w nim nieodzowne przekonanie o ostatecznych, nieodmiennych zamiarach młodego Poraja.

Ksiądz niczego więcej nie potrzebował. Przychodził dostać języka o czasie i o warunkach powszechnie spodziewanej bójki; chwycił i wynosił z sobą niespodzianą wieść o nierycerskiem postanowieniu Kazimierza.

Należało teraz dziwną nowinę, nieocenioną dla ciekawców, otrzymaną z pierwszej ręki, ciepłą jeszcze zanieść komu przypadła z prawa.

Jezuita puszczał rozmowę coraz wolniejszym taktem; korzystając z zagłębienia Piotra w myślach, sam także nurzał się niby we własnych uwagach, uрониł kilka sentymentalnych ogólników, dodał środek przeciw zgryzotom w zafiarowaniu ich na chwałę Wszechmocnego, zaręczył że przy Bożej pomocy dzisiejsze przeciwności na dobre się obrócą, serdecznymi słowy ukołysał nieco wzburzenie Piotra,

uściskał mu dłonie i opuścił z pełnem rozrzewnieniem uczuciem.

Wyszedłszy z gospody, sługa Przedwiecznego skreślił w bok pierwszą ulicą, dobył pugilaresu, podbiegł ku pierwszej latarni i przy mdłym jej blasku, szybko ołówkiem kilka słów nakreślił.

W chwilę potem, dzięki pospiesznym krokom znalazł się u drzwi kolegium OO. Jezuitów.

Odźwierny ocknął się na szczególny sposób stukania, właściciel braciom Zgromadzonym w Jezusie, otworzył kratowane nad bramą okienko i wyjrzał na ulicę.

— Wręczyć ojcu prowincjałowi i to natychmiast! — Rzekł Tapczyc podając mu papier, poczem zwrócił się ku domowi i przepadł w nocnych ciemnościach.

Kapelan, zdając Przełożonemu sprawę ze szczególnego obrotu zapalczywej zwady, wcale nie wypełniał umyślnego ad hoc polecenia. Posłuszny syn Zakonu, stosował się tylko do zasad raz na zawsze w podobnych razach przyjętych a przestrzeganych surowo.

Święty Ignacy — Ignacy Lojola, jest bowiem i drugi a podobno i trzeci święty tego imienia, uroczyście przykazał był swoim następcom, aby każdy wypadek zasługujący na uwagę, zaszedł w Zakonie lub na zewnątrz Zakonu, w Kościele lub w narodzie, w publicznem zgromadzeniu lub w pustelniczej celi, w rządzie lub w rodzinie, natychmiast, bez wchodzenia w przyczyny, bez wdawania się we własne wnioski ale ze ścisłym opisem szczegółów, donoszonym był Przełożonemu Societatis. Ustawie tej nie zbywało na przyczynach.

Założyciel Towarzystwa, przekonany że dobro Kościoła należało ściagać wszelkiemi środkami i na wszelkich drogach, mniemał że nie było wypadku z którego umysł zręczny, zawiadomiony wcześniej, w porę, nie potrafiłby wyciągnąć skutków pożytecznych dla chwały Bożej.

Krzewić wiarę z kazalnicy tylko, przed ołtarzem lub nawet w konfessjonale — nie wystarczało. Zakon ująwszy w dłonie końce węzłów politycznych, narodowych, rodzinnych, mógł dopiero pomyśleć o stanowczem zwycięstwie nad szatanem.

Ponieważ zaś szatan jeden był tylko na świecie, bądź że krył się pod królewską purpurą lub za okładkami heretyckiej książki, bądź że dzwonił pod rycerską zbroją lub siadał w dołkach kobiecego uśmiechu; bądź że wyzierał z kramu handlarza, z mniszego kaptura, z pod gwiazdy ministra, z serdecznych uścisków rodziny, z zimnych staré interesu, z namiętnych zapałów uczucia, Zakon przeto pilnie zarzucał sieć na jednego i tegoż samego szatana we wszystkich sprawach tego padole płaczu, pojedynczych lub ogólnych, moralnych lub znikomą materję mających na celu. Nic nie uchodziło przed bogobojną jego pieczołowitością, urodzenie i śmierć, zaręczyny i rozwód, małżeństwo i bezżenność, przyjaźnie i niechęci, miłoscie i nienawiści, poświęcenia i krzywdy, zaszczyty i hańba, dostatki i ubóstwo, szczęśliwe lub zgubne igrzyska losu — Zakon na wszystko wzrok Argusowy obracał, wszędzie stawał jako podżegacz lub rozjemca, obrońca lub sędzia, zbawiciel lub oprawca — Zakon we wszystkim dokopywał się pożytku sprawy, potęgi Jezusowego Zgromadzenia.

Jedna głowa oczywiście nie byłaby wystarczyła ku upożytecznieniu wydarzeń, ku wyciągnięciu korzyści z rozmaitych wypadków, zwłaszcza też ku zręcznej działalności.

Zakon, dla tem większej chwały Bożej, ułożył się w hierarchiczną piramidę osobistego znaczenia i mocy. Czerni braci, stanowiąca podstawę, z wstępem w klasztorne progi, zrzekała się wszelkiej woli i samodzielności; ślepe posłuszeństwo było jej hasłem. Wyżej nieco, podrzędni zwierzchnicy, w pewnych razach mogli działać na własną rękę, w innych, ściśle oznaczonych, naśladowali uległość prostych szeregowców. Coraz wyżej postępując, wpływ dygnitarzów się uwielmożniał, aż narazie ku południowi Europy, gdzieś nad Tybrem, pod Tarpejską skałą światła i wolności, zbiegał się w jedno ognisko; tam tracił wszelką odpowiedzialność, nabierał nieograniczonej wszechwładzy, nagradzał lub karał, wynosił lub mścił się w zapalczowości gniewu swojego, aby widziano, jak mówi Ezechiel, że jest pan.

Ojciec Zefiryn, przełożony lwowskiego kollegium, był między bracią jednym z pierwszych dostojników. Rozkazywał

na polskie i ruskie dzierżawy; od najwyższej władzy w Rzymie, przegradzał go tylko jeden pośrednik w stolicy apostolskiego cesarstwa, w Wiedniu.

Wrzкомо pokorniejszy od ostatniego z braci, lwowski personat samowładnie kierował wielu dziełami i rozstrzygał mnogie ziemskie sprawy często z zadziwieniem ogółu, nigdy atoli w sposób dający komukolwiek poznać w obrocie wypadku przeważną rękę Zakonu.

W celi jego, lampa gasła nieraz z pierwszemi dopiero promieniami jutrzeńki; zdarzało się że bracia szli już do chóru podczas gdy prowincjał rzucił się na łożo, zmęczony całonocnem czytaniem i odpisywaniem listów, zgłębianiem różnych aktów, sprawozdań, dokumentów, doniesień, prośb o radę, ofiar z usługą lub zwierzchnych rozkazów.

Czynności te, dziennego światła nie znosiły, w dzień duchowny pasterz pracował żywym słowem.

Powołanie, jak widzimy, mistrza ceremonji przy bramie rajskiego przybytku, nie liczyło się w rządzie synekur; znakomite zdolności i niesłychana praca, zaledwie mogły mu godnie odpowiedzieć.

Tej nocy, ksiądz Zefiryń wcześniej niż zwykle zabierał się do spoczynku, gdy wtem wręczono mu świstek od brata Tapczyca. Przetarł wzrok, założył napowrót okulary; w gnieniu oka dopatrzył się wątku lakonicznego doniesienia.

Kapelan donosił mu, że Kazimierz Poraj dla przyczyn przez własnego brata niedocieczonych, zajęcia z Wilczkiem wcale nie miał zamiaru zakończyć pojedynkiem. Ojciec prowincjał wyjął z szafy w murze ukrytej zwój papierów osobno związanych i dotyczących zapewne tego rodzaju spraw i osób jakie w tej chwili miał wziąć na uwagę.

Papiery te znacznie powiększyły się od czasu spłacenia Sokolnikowych długów. Zakon powrócił szacunek magnatowi, skoro tylko tenże odzyskał dawną świetność i stanął znowu na czele znakomitego majątku.

Pośrednictwo Piotra w ocaleniu dygnitarza od zaguby, oddawna wiadomem było w kollegium OO. Jezuitów. Zaczem, na braci Porajów zwrócono także szczególną bacność. Starszy, majątkiem i zabiegłością, z każdym dniem nabierał większego

wplywu; mlodszy — wedle swiadomego zdania, mial rowniez z czego nabyc wzietosci, slowem, oba obracia rozrzadzali znacznym zapasem moralnych i materialnych sil. Gdziekolwiek byla sila, tam Zakon musial wzrok uczepliac, kazda bowiem sila, zrecznosc, ku pewnym celom mogla upozytecznic.

Od kilku atoli tygodni, osoba Kazimierza Poraja, dla innych jeszcze wzglodow zaprzatala troskliwosc Zgromadzenia.

Przelezony z Wiednia, kilkakrotnie pisal do ojca Zefiryna polecajac jego opiece szambelana Furstemberga. Wiedziano juz w stolicy ze mlody panicz zalecal sie do polskiej hrabianki, ktorej niedostateczna liczba przodkow, wynagradzaly od biedy, wdzieki, mianowicie zas suty posag. Szambelan wreszcie jako najmledszy z rodziny, a tem samem bez majatku, w malzenskich zwiakach prędezy mogle zamruzyć oczy na dotkliwe braki pargaminowej pleśni w rodzinie przyszlej towarzyski swojego zywota. Krótko mówiac, w Wiedniu silnie tego zwiaku ządano; ojciec Zefiryn odebral rozkaz doprowadzenia go wszelkimi sposobami do skutku.

Z drugiej strony, gorliwosc lwowskiego Zgromadzenia, w tym razie bynajmniej nie potrzebowała podniety z Wiednia. Korzyści malzenstwa szambelana z hrabianka zbyt byly wyrazne. Sokolnik mogle trafic pośród rodaków na zięcia, który, gwoli niepodległej, burzliwej nawet polskiej naturze, bylby moze wiecej szkody niz pozytku przyniosl usilowaniom Zakonu. Polakowi zupełnie dowierzac bylo niepodobna; jedna chwila mogla go rzucic na droge marzeń o wolności myslenia, powstań przeciw władzy, walk o niepodleglosc ojczyzny i tym podobnych swiętokradzkich niegodziwosci, do głębi Kościołowi obmierzłych.

Z szambelanem, nie zagrazalo zadne tego rodzaju niebezpieczenstwo.

Majatek Sokolnika, przeszedlszy w niemieckie rece, bylby posluzyl ku ustaleniu w Polsce wplywu rodziny z duszą oddanej zasadam Zgromadzenia, szczerze przywiazanej do tronu, szanujacej władze z woli Bozej wynikla, dbajacej o ukrzepienie potęgi cesarskiego domu, nieublaganej na bunt i herezje.

W skutek powyższych względów, spółzalotnicy szambelana stawali się wrogami Zakonu. Na nieszczęście, rzeczy wzięły tak pospieszny obrót, że zanim opatrzo się w kollegium, już powszechna wieść nie wątpiła o małżeństwie młodszego Poraja z hrabianką.

Ojciec prowincjał zaklął w duszy aż się w piekle zatrzęsało i niepomyślną pogłoskę czempredzej doniósł do Wiednia.

Odpowiedziano mu że o małżeństwie wtedy tylko należy donosić, gdy młoda para odeszła już od ołtarza.

Nauka była gorzką; ksiądz Zefiryń zgryzł ją nie bez wstępu, napróżno jednak myśl natężał, sposobu zadość uczynienia rozkazom władzy nie znajdował.

Sam Sokolnik przyspieszał stanowczą chwilę; ślub wkrótce miał nastąpić po zaręczynach, przeklęty związek wywijał się jak z płatka; o żaden podstęp, o żadną trudność, o żaden niespodziany wypadek, nie podobna było się zahaczyć. Małżeństwo hrabianki, Zakon z żalem musiał uważać za sprawę ostatecznie straconą i zapisać pod rubryką strat.

Przygoda Kazimierza w hotelu, doniesienia Tapczyca, podnosiły pierwszą chmurę na widnokręgu nienawistnego Jezuitom małżeństwa.

Ha, gdyby można było chmurkę tę rozdać w nawałnicę, najeżyć gromem, potrzaskać związek; gdyby pomimo trudności i wbrew rozpaczonym odpowiedziom Wiedniowi, udało się mistrzowskim obrotem wyższe życzenia wypełnić!

Ojciec Zefiryń wyciągnął ręce, uśmiechnął się do tej myśli jako dziecię do snu różanego. Utkwił wzrok w jeden punkt, obiegał duchem potrzebne mu do działania postacie, badał ku czemu która z nich zdolna, dokąd można ją doprowadzić, na jaki ton da się nastroić.

Rozpoznawszy wzajemne siły jednostek, niby biegly gracze, zaczął mięszać między sobą młódki i starki, układał je w różnych ku sobie stosunkach, odbierał stanowiska, mięszał na nowo, znowu przed sobą rozścielał, w dalsze zagłębiał się kombinacje a wygranej patrzył niecierpliwie.

Niejeden plan, złotoskrzydły owad, skończył mu w chwili urodzenia; inne rzeczywistość dławiała w pierwszym zawiazku poczęcia; tamte, na pozor nieochybne, znikaly za dzielniejszym

natarciem rozwagi; te zawiele potrzebowały czasu, zwłaszcza w obecnym razie, gdzie zwłoka nie tylko że groziła niebezpieczeństwem, ale co więcej, wystawiała na niepowrotną stratę.

Ksiądz prowincjał brał myśl na męki, cierpiał boleści porodu — czegoż cz ek dla zbawienia cudzych dusz nie wycierpi!

Po długich wreszcie i upornych przebojach, zdawało się że Minerwa wróciła do ulubionego sobie siedliska. Jezuita poczuł że z manowców zwątpienia, zwolna przedzierał się na szeroki gościniec prawdopodobieństw. Złagodniały mu trudy pielgrzymki; coraz jaśniej rozglądał przed sobą przyszłe koleje. Zwycięstwo wprawdzie było wątpliwem, ale przynajmniej znalazły się powody a raczej pozory do zaczepki i jakie takie materiały do rozpoczęcia walki. Szło głównie o punkt oparcia; zagadka podważenia ziemi podobna była do rozwiązania przy potężnej dźwigni jezuickich podstępów.

Ojciec Zefryn klasnął w dłonie, sprzątnął nieznoszące otwartych miejsc papiery i sam z siebie zadowolony, gotów do czynu, prawowiernym obyczajem, na brewiarzu pragnął zakończyć pracę w pańskiej winnicy.

Ale już było późno, noc miała się ku schyłkowi; duchowny pomyślał że należało ku sprawom raczej niż ku słowom obrócić siły, że w brewiarzu nic nowego nie wyczyta, że dzisiejsze modlitwy, bez bożego uszczerbku i z tymże samym sukcesem, jutro będzie mógł powtórzyć. Zaniechał więc roztropnie litanji, psalmów i koronek, westchnął z głęboką intencją: wiadomo bowiem że w wielu razach intencja wygodnie czyn zastępowała — i legł na chwilowy spoczynek.

Co Jezuita to nie Bernardyn. Ksiądz prowincjał bynajmniej ciału nie folgował; zaledwie słońce wybiegło na błękit już stał na nogach, już wydawał rozporządzenia, rozsyłał posłańców, dawał hasło stowarzyszonym, sam wybierał się na miasto.

Jeden z prędkomównych braci odprawił cichą mszę, po której Przełożony spiesznym krokiem ruszył do Sokolnika.

Wczesne te odwiedziny, nie miały w sobie nic szczególnego. Ludzie wyżyci w świecie, oddawna wzwyczailli się

w ślad każdego, ważnego dla nich wypadku, spostrzegać zjawiającego się na progu jednego z ojców, lub z świeckich szeregowców Jezusowej kohorty.

Sokolnik tem szczerzej gościa powitał, że pomoc przebiegłego umysłu i zręczna rada, w tej chwili wcale nie były mu bezużytecznymi. Tapczyc stał w kącie z założonemi na piersiach rękami i nieznacznemi gesty dawał poznać prowincjałowi, że w domu magnata o wszystkim już wiadano. Widać to było wreszcie po licu gospodarza; Sokolnik czuł że w obec gościa wszelka komedja była daremną, nie zadawał sobie też trudu rozpogadzania czoła, przeciwnie — od razu przystąpił do rzeczy, do wypadku, który w tej chwili zaprzętał całe lwowskie towarzystwo.

— Zaprawdę, rzekł — przewielebny ojcze, w pięknych czasach żyjemy; młodzież nasza nic nie ma do zazdrośczenia wiejskim parobkom. Wkrótce do tego przyjdzie, że między hołotą a urodzonymi, potyrane szlacheckie nazwisko postanowi jedyną różnicę. Cóż powiesz o wczorajszym wypadku?

— Głęboko nad nim boleję — odparł Jezuita; dopędza się miara nieprawości. Brak religji, nieszczęsny system wychowania, bezbożne pojęcia jakie od czasu wielkiego buntu przeciw prawowitym królom, Francja nie przestaje na nas wylewać, coraz ostrzej w krew społeczeństwa zapuszczają zepsucie. Nie ma czego owijać w bawełnę; zataczamy się ku przepaści. Młodzież, która dzięki dostatkom i urodzeniu, przykładem powinaby stawać dla drugich, razi zgorszeniem, tonie w rozpuście. Jeżeli starsi, doświadczeniemi siły nie podeprą zachwianej budowy, pod zwaliskami wszyscy musimy zginąć.

— Starsi, ojcze prowincjale, zaledwie trzymają się sami; młodzież gardzi ich doświadczeniem, odpycha wpływ, uraga powadze wieku, drwi z towarzyskiego położenia. Wilczek jest po kądzieli dalekim moim krewnym. Ileż razy, Bóg świadkiem, po przyjacielsku upominałem go, prosiłem aby się upamiętał, aby spokojnie, przyzwoicie, zajął miejsce odpowiednie rodowi i stosunkom. Groch na ścianę! — Namawiałem go aby pojechał do Wiednia; tam przecie znalazłby

godne siebie towarzystwo. Ludził mię obietnicami poprawy, przyrzekł że wyjedzie. W godzinę potem myślał o czem innym i znowu spotykałem go na czele zgrai niewiadomo zkąd wydobytych przyjaciół. Piekło, zdaje się, umyślnie orszak dla niego stworzyło; wymieniano mi ich po nazwisku; większą część po raz pierwszy w życiu słyszałem. Nie dalej jak tych zapust, w skutek sceny którą na balu gubernatora wyprawił z węgierskimi oficerami, błagałem go aby wyjechał do stolicy. «Śmiejemy się wujaszku ze stolicy! odrzekł podając mi kielich szampana; wolę być pierwszym we Lwowie niż drugim w Wiedniu!» Pierwszym we Lwowie! — Pierwszym między ludźmi, z których każdy przed dziadem jego o sto kroków byłby zdejmował czapkę.

— Istna Babel! rzekł Jezuita — od czasu pomieszania stanów zmieszaly się i pojęcia. Nikt swego miejsca nie trzyma, nikt też drugiego nie rozumie. Winnych atoli — z żalem wyznam — na górze więcej niż na dole. Kto pierwszy przełamał zapory szczytowego przywileju urodzenia, kto podwoje pałaców na rościęz otworzył eizbie z pod mieszczańskich dachów, kto pierwszy pobratał się z ludźmi, których dawniej raczył tylko być wodzem i opiekunem? Panowie cierpią za własne grzechy; pokumali się z lada dochrapskim w urzędzie, lub dorobkowiczem w majątku i dziś przeklinają kąkol, którego sami nasypali w siejbę.

— Zapewne — odparł Sokolnik, któremu ten zarzut milszym był od niejednego pochlebstwa — zbłądziliśmy — nie przeczę. Zdawało nam się że zdolności, że zasługi, mogą niekiedy zastąpić liczny szereg przodków. Zapomnieliśmy że natura jedną jest zawsze i wszędzie. Nie każdy kamień błyszczący ogniem djamentu; z nasienia ostu nie wschodzi róża; leśne jabłko choćby stokroć szczepione, nie wyda pomarańczy; a kto w stadzie ma same szkapy, ten arabskich rumaków nie dosiada. Gatunki i różnice krwi znajdują się tak dobrze w roślinach i w zwierzętach jako i w człowieku. Prawdy bezkarnie nikt nie obraża; codzien odbieramy tego bolesne dowody. Co do mnić wreszcie, mniej może mam sobie do wyrzucenia aniżeli wielu innych, którzy co do rodu i szczytów, daleko mię wyprzedzają. Nie mam prawa, urodzeniem

sam jeden nad wszystkich wybiegać; nazwisko moje szlacheckie, dawne, ale nic więcej.

— Za pozwoleniem — przerwał Jezuita z uśmiechem; nazwisko o którym mowa, wiele więcej niż dawne i niż szlacheckie. Przerzuciałem niegdyś herbarz i pamiętam główniejsze jego szczegóły. Z Paprockim, zwłaszcza zaś z Wielądkiem nie od wczoraj moja znajomość. Nie wiem czy jest w dziejach druga rodzina licząca tyle świetnych aliansów. Pomijam małżeństwo pana hrabiego z panną wojewodzianką, stryjeczną wnuczką króla Leszczyńskiego, ale czyliż ojciec pański ś. p. kasztelan nie był żonaty z ostatnią dziedziczką domu Uchańskich? Dziad, jeżeli się nie mylę, miał za sobą Kurjatowiczównę, z udzielnego ongi gniazda litewskich książąt; sam rodził się z Gasztoldówny potomkini pierwszego męża królowej Barbary. Trzech dalszych w historii praojców, powiodło do ołtarza, jeden Oleśnicką, drugi córkę wojewody Poznańskiego Górki, ostatni Firlejównę. O innych zadługo byłoby mówić gdyby nawet pamięć starczyła. Co jednak szczególnie uderza, a co pan hrabia musisz lepiej wiedzieć odemnie, jest to historyczny fakt, że w rodzinie jego żadna kobieta nie została panną, żadna nie wybrała męża ustępującego jej co do świetności klejnotu. Dość otworzyć Niesieckiego. Z sześciu kobiet, które uczony heraldyk w ostatnich dwóch wiekach wzmiankuje, cztery zaślubiły cudzoziemców, dwie zostały w kraju. Jesteś pan hrabia spokrewnionym z książęcami domy Sonderhausenów i Waldeków w Niemczech, z Pignatellemi w Neapolu, z Rakoczymi w Węgrzech. W kraju dwóch braci Czetwertyńskich, niezaprzeczonych Rurykowiczów, pojęło w małżeństwo rodzone dwie ciotki nieboszczyka kasztelana. Nie ma, powtarzam, drugiej rodziny w kraju, któraby mogła poszczycić się równie świetnym szeregiem związków. —

Sokolnik poił się harmonją znakomitych nazwisk jakie książdz wymawiał zwolna, z uroczystym przyciskiem; zdawało się mu że na każde imię tężnieniem odpowiadała w żyłach krew wywoływanych swoich i cudzoziemskich kolligatów; ciskał z pod oka na Tapczyca wyniosłe wejrzenia, jak gdyby wyrzucał mu niewiadomość wszystkich dostojęństw osoby,

za której zbawienie, kapelan miał zaszczyt co niedziela modlić się przy ołtarzu.

Na dnie atoli czary słodkiego nektaru, znalazła się kropla goryczy. Sokolnik pierwszy rwał złoty łańcuch przekazanych mu aliansów, pierwszy o kosztowne ogniwa zaczepiał pospolicity szlachecki klejnot; córkę wydawał za Poraję, za człowieka zaledwie znajomego w swoim powiecie. Myśl ta zachmurzyła mu pogodne dotąd oblicze; myśl gorzka, rozjątrzona jeszcze wspomnieniem wczorajszego wypadku. On potomek tyłu dostojników, pokrewny tyłu grafów, hercogów i kniaziów, on, ostatnią dziedziczkę tej chwały mieścił pod strzechą wczoraj niemal wylęgłego szlachcica, a który na domiar zgryzoty dźwigał na świeżej tarczy przygodę w niczem klejnotowi nie dodającą blasku.

Nastąpiła chwila zadumki. Sokolnik kłął w duszy nieśczęsną konieczność swego położenia. Jezuita śledził wewnętrzną walkę, jaką zręcznymi słowy umyślnie w nim wywołał.

Stało się! zapadła klamka; ciosu nie podobna było odwrócić. Gdyby przynajmniej Kazimierz chciał w pojedynku szukać pomsty za zniewagę! Kula Wilczka mogła wszystko naprawić. Unikał walki jak na złość! Żałował życia, które niespodziany los zdołał mu związkami z pierwszą w kraju rodziną. Przekleństwo! — Za garść złota jaką pierwszy chłystek mógł wygrać na loterji, trzeba było oddawać owoc pracy długich wieków, nazwisko skąpane w blasku starożytnej chwały.

Magnat dumiał, frasował się, przed obcym jednak tajników trosk swoich nie odkrywał; mniemał że wypadało mu nieomylnością własnej powagi zmusić do milczenia złośliwych rozbieraczy jego postanowień. Chciał wreszcie pierwszy usłyszeć sąd przebiegłego księdza o położeniu jego obecnem, otwarcie wypowiedzianem.

— Dawne dzieje, ojczyzno prowincjale! — Rzekł powstając z miejsca. W obec dzisiejszej biedy, nie godzi się wspominać czem byliśmy niegdyś. Wszystko co żyje, przeistacza się, upada. Ileż znakomitych domów dochowało dawną potęgę i świetność? — Żaden! Runęło rzymskie imperium, cóż dzi-

wnego że jedna za drugą chylą się pojedyncze rodziny? — Każda epoka przynosi z sobą swój właściwy rodzaj klęsk i zniszczenia. Gmachu przeszłości nie odbudujemy; rody z każdym dniem tracą dawne przywileje. Cóż począć? — Raczej niż zginąć w odosobieniu, lepiej otworzyć przystęp nowym żywiolom, uszlachetniając je; może co dobrego z nich wyniknie. Nikt zapewne uroczyściej odemnie obowiązków swoich nie pojmuje, nikomu pamięć przodków nie jest droższą, a jednak, szanowny ojcze, pomimo czi dla przekazanego dziedzictwa i dla własnych przekonań, sądziłem że słusznie uczynię, otwierając dom mój nie tylko rodowi ale i wychowaniu, nie tylko spadkobiercom historycznych pamiątek ale i osobistej zasłudze. Pan Bóg herbarza nie układał; nie można czasami brać człowiekowi za złe że zapóźno przyszedł na świat. Dla dobra ogólnego, rzekłem się własnych praw. Więcej nawet. Jednemu z ludzi świeżej daty, dozwoliłem przystępu do własnej córki. Rzecz to dziś powszechnie wiadoma. Mniejsza o urodzenie! powiedziałem. Jeżeli młody człowiek podobał się, jeżeli dziecięciu memu potrafi zapewnić szczęście, niech je bierze! Postanowienie to między nami mówiąc, trochę mię kosztowało. Zawiele może byłem ojcem; za mało synem i potomkiem.

— Jakże daleko zaszły sprawy? — Przerwał wręcz Jezuita; czy pan Kazimierz Poraj już się oświadczył, czy otrzymał jaką odpowiedź, czy z obu stron nastąpiły pewne zobowiązania? —

Sokolnik wiedział że dla Zakonu, każdy niemal mur miał uszy; skręcać prawdę przed księdzem Zefiryнем, było jednym z najniewczesniejszych trudów.

— Uroczyste zobowiązania, rzekł — takimi zaś nazywam zaręczyny lub układ interczyzy, nie miały dotąd miejsca. De facto atoli, Poraj mógł uważać się za przyjętego przez rodziców, i jeżeli nie myłę się, przez ich córkę. Wczoraj, młoda para miała zamienić obrączki; nieszczęsne zajęcie w poprzek stanęło zamiarowi. Co teraz nastąpi? — Nie mam żadnego wyobrażenia.

— Nieszczęsny wypadek, w istocie nieszczęsny! — Powtarzał Jezuita jak gdyby sam mówił do siebie. Nie znam osobiście

młodszeo Poraja ale według tego co o nim słyzałem, jestem pewny że byłby godnie odpowiedział powziętym nadziejom. Młody człowiek pełen zdolności i zalet! — Jeżeli sądom ludzkim zawsze można dowierzać, rzadko bowiem w zdaniu o bliźnim, świat prostą drogę wybiera — w złem i w dobrem, zarówno traci miarę. Co do zajęcia z hrabią Wilczkiem, uważam je za przypadek, przy szczerej chęci nietrudny do załatwienia z powszechnem zadowolnieniem.

— Zapewne! — Odparł Sokolnik dotknięty pochlebnym sądem jaki ksiądz zdawał się wyjawiać o Kazimierzu — łatwo wybrnąć z podobnego położenia duchownemu, który każdy cios ofiaruje Bogu za swoje grzechy, lub szlachcicowi który jak przystało, podnosi rzuconą mu rękawicę. Trzeci sposób: bezkarne zaniechanie zniewagi, pozostaje dla ludzi, którzy ani kapłańskim charakterem zasłonić się nie mogą, ani krwi zacnej w żyłach nie czują lub nie mają.

— Rozumiem — rzekł ksiądz; mówisz pan hrabia o pojedynku. Poraj wcale o nim nie myśli; pod tym względem mogę zaręczyć że nie ma się czego obawiać.

— Wiesz więc już o wszystkim! zawołał zdziwiony nieco dygnitarz. Winszuję! kollegium, jak widzę, ma na swoje usługi wierne echo nietylko czynów ludzkich ale i zamiarów. Tem lepiej. Możemy mówić z sobą bez ogródek, otwarcie, po przyjacielsku. W ważnych wypadkach życia, umiem cenić wartość rady i pomocy przewielebnych ojców Zgromadzenia i czcigodnego ich prowincjała. Wiem, że o świeckich rzeczach, po świecku z wami można traktować. Nie wyprowadzajmy więc na plac chrześcijańskiej pokory, apostołskiej cierpliwości na obelgi, ewangelicznego rozmiłowania we wrogach. Są to zasady prawdziwe, wzniosłe, święte; ludzkość winna dążyć i dąży ku ich urzeczywistnieniu; dziś atoli, zbyt wiele drogi ma jeszcze przed sobą, dziś szaleństwem wymagać aby jeden człowiek od razu stawał tam, gdzie społeczeństwo dokroczy za ledwie, po wiekach walk i pielgrzymki. Wilczek sam jeden zawinił we wczorajszym zajściu — nie przeczę. Na ostatecznym sądzie, on sam jeden odpowie — przed światą trybunałem, napadnięty częściej bywa potępiany niż napastnik. Wczoraj głos powszechny uderzał na Wilozka;

jutro, skoro wszyscy dowiedzą się że pokrzywdzony w kieszeń schował zniewagę, jutro Poraj stanie się celem pośmiewiska i wzgardy. Ludzie często lgną do niesłusznej siły; słabości, chociażby najsumienniejszemu usprawiedliwionej — nie przebaczą nigdy. Zagorzalcy nie znajdują przeciw niemu dość gorących wybuchów zgrozy; tłum pospieszy przekonać, że umie cenić własną godność i na całe gardło zawtóruje krzykaczom; miłośnierni i pobłażający nie odważą się wystąpić z obroną, obojętni zamilczą; jednym słowem, zewsząd podniosą się zapalczywe wrzaski, gorzkie przygryzki, nieubłagane sądy. Przed dwoma miesiącami, wypadek mniej żywo byłby mię obszedł. Byłbym zasmucił się, umilkł, a może nawet podjął niewdzięczny trud obrony postępowania Poraja. Dziś ust w jego sprawie otworzyć nie mogę; świat nie uwierzy bezstronności mego zdania. Poraj ma wkrótce zostać moim zięciem; tajemnica wszystkim wiadoma. Ojczyzna prowincjale, wyliczałeś znaczne aliance mego rodu; powiedzże teraz, mów szczerze, osądź czy ostatni potomek znakomitego domu, mogę jedyne dziecko oddać człowiekowi, który nie dość że córki mojej nie dorósł nazwiskiem, ale nadto okrył się niesławą — człowiekowi który poprowadzi ją do ołtarza przy poświęconych wzgardy, przy okrzykach oburzenia? — Na Boga żywego! — Przecież jestem ojcem! —

Jezuita nogę założył na nogę, wsparł łokieć na kolanie, a głowę na dloni, poglądał z pod nasuniętych brwi na wrastający niepokój magnata i rzekł wolnymi słowy:

— Trudne położenie — przykra sprawa — dokuczliwy węzeł, który łatwiej przeciąć niż rozplątać. Ależ mówisz pan hrabia że z Porajem nie łączy go żadne zobowiązanie; ani intercyza, ani zaręczyny dotąd nie nastąpiły. Po cóż więc niepotrzebnie uginać się pod brzemieniem frasunku? Czyliż nie snadniej zostawić niedojrzałego zięcia następstwom jego postanowienia i zachowując córkę dla godniejszego udziału w nich, rzec się, nie przyjmować? Cóż przeszkadza w rozwiązaniu tego co dotąd wcale jeszcze niezawiazanem?

— Niepodobna księżo! Najuroczystsze przysięgi spisane przed regentem, przy świadkach, niczem są w porównaniu z wyrzeczonem raz szlacheckim słowem. Inaczej, między

tłumem a nami nie byłoby żadnej różnicy. W prawdzie z młodszym Porajem o małżeństwie, dotąd ani słowa nie rzekłem, starszy atoli, wręcz mi wynurzył uczucia, zamiary względem Marji i nadzieje Kazimierza. Domagał się odpowiedzi. Dałem ją zupełnie przychylną, zastrzegając mojej córce własnowolność wyboru. Wkrótce spostrzegłem, że w domu moim nikt nie stał Porajowi na zawadzie. Przeciwnie. Miłość córki wyprzedziła przyzwolenie ojca. Kazimierz uważał odtąd progi moje za swoje własne. Ja sam dodawałem mu podniety, budziłem w nim zachęty; byłbym mu nieba przychylił od chwili, jak dziecię moje zdawało się w związku tym szczęście własne znachodzić. I cóż mi z tego żem nie słyszał jeszcze urzędowych oświadczeń? Starszemu dałem słowo wyraźne; przed młodszym nie kryłem przyjemności jaką mi sprawiały jego zamiary. Nie zapomnę com winien samemu sobie. Obiecałem i dotrzymam. Prędkiej wszystkie najświętsze względy poświęcę, aniżeli poszukam ocalenia w pospolitych wykrętach. Klejnot szlachecki ciąga za sobą nieubłagane obowiązki; dopełnię ich, chociażby miał przepaść. Oba bracia wiedzą z kim mają do czynienia. Od żadnego z nich, żadnej łaski nie byłbym w stanie przyjąć, tembardziej przed żadnym z nich charakteru mego nie zdradzę. A jednak księżę, gorzki to dla mnie kielich.

— Nie do pojęcia, zaprawdę nie do pojęcia! — Prawił Przełożony. W naszym kraju, gdzie na nieszczęście, młodzież aż nadto do bójki pochopna, nie rozumiem jak młody człowiek, na pozór pełen siły i dzielności, potrafił nie znaleźć w sobie dość odwagi na obronę uczucia, bez którego, po światowemu mówiąc, życie ciężarem raczej niż wygodą. Nie do zaprzeczenia są wnioski, jakie pan hrabia wyciągasz z postępowania Poraja. Barbarzyńskie przesady tak głęboko tkwią jeszcze w społeczeństwie, że bezkarnie puszczona lub przebaczona zniewaga, hańbę wlecze za sobą. Opinia potępi przywiązanego ślepo do życia; wyprą się go przyjaciele; złość ludzka choiwa żeru i wiecznie nienasycona, bezustannie będzie go szarpać.

W podobnym stanie rzeczy, pan hrabia córki za pana Poraja wydać nie możesz. Tam gdzie chodzi o szczęście

jedynego dziecka, o utrzymanie godności znakomitego rodu, trzeba na bok odłożyć szlachetne skądinąd zaparcie się samego siebie, dla niewolniczych kajdan pospiesznie wymówionego słowa.

— Należałoby tak postąpić przewielebny ojciec, ale każdy ma swoje zasady. Ja, od kolebki nauczyłem się dotrzymywania wiary danemu raz słowu; na stare lata charakteru odmienić nie zdołam.

— Któż tu mówi o złej wierze? przerwał szybko duchowny. Przyrzekłeś pan hrabia wydać córkę za człowieka niepokalanej godności, w niczem przez świat nie potępionego. Człowiek ten przestał istnieć. Kazimierz Poraj, okryty niesławą, nic nie ma wspólnego z wczorajszym Porajem, otoczonym powszechną cziłą i szacunkiem. Teraźniejszego Poraja pan hrabia nie znasz; skoro dawny powróci, czyli wyraźnie mówiąc, skoro zajście z Wilczkiem załatwione według przyjętego w świecie trybu, nie zostawi po sobie żadnych śladów, natenczas będzie można pomyśleć o małżeństwie, o dotrzymaniu wyrzeczonego słowa.

— Jeżeli jednak idzie tylko o dopełnienie formalności pojedynku — rzekł Tapczyc, pierwszy raz zabierając głos, można by dobrać świadków, rozmówić się z nimi i ułożyć spotkanie, w sposób, w niczem nienarażający życia obu pańników. —

Rada kapelana nikomu nie przypadła do smaku. Dłużnik Piotra miał na myśli zerwanie stosunków z małżonkiem przyszłej córki, bynajmniej zaś z wierzycielem ojca. Prowincjał zobowiązał się komu innemu oddać hrabiankę.

— Pleciesz księżu! zawołał Sokolnik zrywając się z krzesła. Jakiem prawem sądzisz mię zdolnym do przyjęcia roli w tak niegodnej komedji? — Załatwiać sprawy honorowe pistoletami nabitemi prochem? — Środek to nie zawsze dobry nawet dla jarmarcznego junaka. Człowiekowi zajęczego serca można jeszcze od biedy podać rękę; dla kłamanej odwagi uczciwe sumienie nigdy nie zdobędzie się na dość wzgardy.

— Słusznie pan hrabia mówi — dodał prowincjał, gniotąc spojrzaniem niewczesnego doradcę. Obluda ciężkim jest

grzechem i złą rachubą. Przypuściwszy wreszcie że powszednim podstępem udałoby się zatkać paszczę Baalowi przesądu, kto nam zaręczy że świadkowie dotrzymają tajemnicy. Prędeż czy później fałsz wyjdzie na jaw. Świat, surowy dziś dla słabości, niemiłosiernie mścić się będzie za oszustwo. Nie ma o czem mówić; na tej drodze dla nikogo nie widzę korzyści: wszyscy musieliby stracić. Co do mnie, sędzę że należy rzecz jak najprościej postawić. Pan hrabia nie wchodziś w powody zajścia, nie pytasz kto pierwszy dał mu przyczynę, kto winny, kto bez grzechu? Dość na tem że gorszący wypadek miał miejsce, że miasto całe trzęsie od oburzenia i że przed załatwieniem sprawy według zasad honoru i sądu opinji, o małżeństwie pana Poraja z hrabianką, myśleć niepodobna. Postanowienie to, które każdy musi uznać za roztropne i słuszne, powinno bezzwłocznie dojść do wiadomości głównie zainteresowanej w niem osoby.

— Święta prawda ojcze prowincjale; trudno inaczej wybrnąć z kłopotu. Z tem wszystkiem jednak, ja, osobiście nie mogę stanąć przed Porajem i wręcz mu rzec: — albo zabijesz mego krewnego, albo nie dostaniesz mojej córki. — Dla człowieka honoru, dość podobnej pogroźki aby tem samem odstręczyć go od najszlachetniejszych zamiarów. Jeżeli zaś Poraj obojętnym jest na uczucia honoru, jeżeli nie umie czuć własnej godności — pytam, co pomoże moja nauka?

— Pan hrabia, przerwał jezuita, wcale nie potrzebujesz wdawać się w osobiste tłumaczenia przed Porajem, tembardziej że z nim nigdy otwarcie nie mówiłeś o małżeństwie. Pierwsza myśl związku wyszła od starszego brata, który dotąd sam jeden otrzymał ustne zobowiązania; jemu więc tylko należy przedstawić obecne stanowisko sprawy. Piotr Poraj jest człowiek łatwy do obrócenia. Wystawiwszy mu rzecz w należytem świetle, jestem pewny, że sam, chociaż z bolem, uzna konieczność zawarunkowania małżeństwa. Nieźle byłoby nawet tak rozumowanie nastawić, aby Piotr od samego siebie przełożył wnioski, których tu, między nami uznaliśmy niezbędnosc. Młodszego brata prędeż możemy zostawić własnym jego losom; cokolwiek atoli nastąpi, nie sędzę abyś

pan hrabia chciał zrywać stosunki ze starszym. Przeciwnie; niemam że należy troskliwie je pielęgnować, ukrzepić nawet, przeciągając go na naszą stronę w razie, gdyby Kazimierz dotrwał w nieszczęsnych swoich postanowieniach. Przyjaźń Piotra Poraja, w dzisiejszych czasach, uważam za tak drogą, że gdyby zaszła tego potrzeba, dla utrzymania z nim ścisłych stosunków, nie wahałbym się przyjąć na siebie połowę ochydy jaka spadnie na jego brata. Ale bądź pan hrabia spokojnym; do tej ostateczności nie przyjdzie. Przezorna ręka zrywa różę — cierniami się nie kaleczy. —

Sokolnik wybornie pojął ukryte znaczenie przestrogi; nie rozumiał tylko z jakich powodów ksiądz tak gorliwie pomagał mu w zerwaniu małżeństwa Marji z Kazimierzem.

Jakiegokolwiek były te pobudki, w tej chwili dzielnie one posługiwały jego zamiarom; po osiągnięciu celu, dość było czasu łamać sobie nad nimi głowę.

Uradowany w duszy z biegle rozwijających się zasadzek, ujął Jezuitę za rękę, mocno ją uściskał i rzekł:

— Czytasz w mojej myśli, doskonale mię zgadujesz ojczę prowincjale; słowom twoim nic dodać, nic ująć nie podobna. Stanie się jako rzekłeś! Znam dobrze obu braci i mam nadzieję, że względem nich Bóg naszym zamiarom pobłogosławi. Byle tylko młodszy nie prysnął nam w rękach, byle zdania nie odmienił, i nagle, dowiedziawszy się co mu zagraża, nie poskoczył do broni.

— Nie ma niebezpieczeństwa — odezwał się kapelan; pan Piotr zna brata swego na pamięć; gdyby na chwilę przypuszczał możebność pojedynku, inaczej byłby się o nim wyraził.

— Podzielam zdanie księdza Tapczyca, dodał Przełożony. Mordercza chęć walki jest szalonym grzechem wypływającym z wzburzenia krwi. Kto w pierwszym uniesieniu potrafi przy sobie utrzymać rękę, ten po długiej rozwadze, tem mniej pomyśli o zmianie zamiaru. Raz złamany zapęd nie ma z czego więcej wybuchnąć.

— Tak i ja sądzę — rzekł magnat; chybaby człowiek ten nie człowieczą miał naturę. Do dzieła więc przewielebny ojczel! — Słusznie uczyniłeś przypominając mi z historją

w rękę, obowiązki względem mojego rodu. Sława przodków moich nie poniesie krzywdy w osobie ostatniego jej dziedzica. Czas złe naprawić. Gdybym tylko był pewny! — Ha! księżo Zefiryńco, niełatwą mam przed sobą drogę; lękam się przeszkód o jakich nie masz wyobrażenia; powinienbym je skruszyć a jednak — szczerze wyznam — sił dość w sobie może nie znajdę. —

Jezuita zmarszczył czoło jak gdyby szukał w myśli zkąd mógł pochodzić niepokój Sokolnika; nie trafił na odpowiedź, wzruszył przecząco ramionami i rzekł:

— Nie pojmuję o czem pan hrabia chcesz mówić, zwłaszcza gdy wspomnę że oprócz Piotra Poraja, z którym sprawa nie powinna być trudną, nikogo innego oszczędzać nie potrzeba. Raz ze starszym bratem rzecz załatwiwszy, któż jej może stanąć na zawadzie? Szczęście hrabianki żywo mię obchodzi; ksiądz kapelan jest także doświadczonym całego domu przyjacielem. We trzech, prędzej może, znaleźlibyśmy dobrą radę. —

Sokolnik stał zamyślony.

— Nie wątpię czcigodny ojczy — wszczął po chwili, nie wątpię że szczerzej rady i chętniejszego serca nigdzie nie spotkam. Przeszkody o jakich mówiłem, mogą się znaleźć we własnym moim domu. Kto mi zaręcza że Poraj na oślepie córki mojej nie otumaniał? Dziewczyzna porwana namiętnością może mi rzec, że kocha go pomimo świata, że kocha go nie dla świata ale dla siebie. Młoda, nieznająca społecznych wymóg, obojętna na rodowe obowiązki, zamiast oburzenia, wdzięczność mu zachowa, że dla niej nie chciał się narażać. W sprawach uczucia, dzieci zwykle nie dowierzają rodzicom; gdzie starsi widzą białe, tam młodsze pokolenie w czarnym tylko spostrzega prawdę. Ojczy prowincjale, córka moja jest jedynaczką; od kolebki, nikt w niczem się jej nie przeciwiał. Wola jej dla wszystkich była rozkazem i dziś, ktokolwiek chciałby z nią rozpocząć walkę, lękam się aby nie miał do czynienia z nieugiętym przeciwnikiem. —

Jezuita powstał, rozśmiał się na całe gardło, wziął laskę i kapelusz; zabierał się do wyjścia.

— Odchodziś księżo, rzekł Sokolnik zdziwiony niespo-

dzianym wybuchem wesołości człowieka, którego twarz zdawała się nigdy nie dopuszczać uśmiechu — żartujesz z moich kłopotów; przysięgam ci że nie urojonym trwogom ulegam.

— Bynajmniej panie hrabio — odrzekł duchowny. Odcóż, gdyż nie mamy czasu do stracenia. Trzeba kuć żelazo póki gorące; jeden szczegół zaniedbany lub opuszczony, łatwo może zniweczyć całe przedsięwzięcie. Co do hrabianki, ta wcale nie wzbudza we mnie niespokojności, chociaż doskonale pojmuję że niewyrozumowany, surowy rozkaz silny opór w niej napotka. Ależ tak nie postępuje się z dziećmi, zwłaszcza zaś z kobietami. Córka pana hrabiego, z własnego natchnienia, z własnej woli musi wybrać żadaną przez nas drogę; powinna być nawet sama w sobie przekonaną, że młodzieńcze jej zdanie, jako takie, nic nie ma wspólnego ze sposobem widzenia rodziców. Zaprawdę, sprawa przepadłaby bez nadziei, gdyby hrabianka na chwilę zwątpiła że postępuje jedynie według własnego serca. Młodzież potrzebuje złudzeń. Siła nie jest udziałem kobiety; im zaś istota słabszą tem więcej prze się do przekonania o swojej sile. Z młodą i gorącą wyobraźnią nie trudno sobie począć. Wszakże dotąd hrabina sama tylko wie o wypadku. Mając na usługi kierunek pierwszego wrażenia, o następstwa troszczyć się nie godzi. Żegnam paną hrabiego. Mam w Bogu nadzieję że jutro będę mógł powinszować mu zupełnej wygranej. —

Sokolnik pozostał sam i długo ważył w myśli rady, jakimi książd wytknął mu kręte ścieżki żywotnej dlań sprawy. Nad planem nie potrzebował męczyć głowy, Jezuita wskazał mu go z niepospolitą zręcznością. Chodziło o wykonanie, o śpieszne wykonanie.

Magnat zadzwonił na służącego, rozkazał aby tego dnia w domu nie przyjmowano żadnych odwiedzin i aby posłano do Piotra Poraja z zapytaniem czy jest w domu, czy można go zostać samego?

Następnie, udał się do pokojów żony, polecił jej aby wystrzegala się wszelkich rozmów z Marją o wczorajszem zajściu i przeszedł do salonu gdzie dźwięk muzyki oznajmiał mu obecność córki.

W istocie, hrabianka była czarującym stworzeniem. Od

niejakiego czasu urosła jeszcze w krasę; zdawało się że pod łagodnym tchnieniem uczucia, kwiat jej wdzięków rozwił się w niespodziane powaby.

Kto inny niż Sokolnik byłby chętnie zatrzymał się przed uchylonemi nieco drzwiami i upieścił wzrok orzeźwiający widokiem wdzięcznej postaci.

Roztęczowana w mglistej toni porannych muslinów dziewczyna, liljom jeziornym zabrała polot kibici, od sułtanki ogrodów, róży, pożyczyla rumieńców. Nieopatrzna wesołość która tak długo igrała na dziecinnem licu, uleciała przed wyrazem rokosznej jakiejś tęsknoty, niewysłowionego uczucia, trwożnych a pomimo to gorących upragnień za przyszłością. Ku czemu, w samotnych chwilach zamyślenia, niedościgły uśmiech mimowolnie nieraz rozchyłał drżące jej usta, ku czemu lube niepokoje wznosiły pierś jej dziewczęcą, ku czemu serce pospiesznie biło i oko błyskało łzą rzewnej radości? — Nie ona wiedziała, nie ona, rozkołysana marzeniami, których ani treści ani przyczyny nie usiłowała nawet odgadnąć.

Jeszcze jedna chwila szczęścia! — Jeszcze jeden promyk pogody! — Wkrótce na jednej i na drugiej zabraknie. Zła dola rozbija złote uroki, boleść połamie spokojną harmonję rysów, gorączka rozpaczy poszarpie tęskny uśmiech nadziei, gorzkie łzy spłyną po licu od smutków wybladłem, serce rokosznie bijące odrętwieje żalem — z bezmiaru błogich snów zostanié otchłań strasznej rzeczywistości.

Dość na to jednego słowa. Przeklęty język człowieczy!

Całe miasto wrzało już odgłosem wczorajszego wypadku, podczas gdy Marja o niczem jeszcze nie wiedziała. Kazimierz wbrew zwyczajowi, tego dnia wcale się nie pokazał. Dziewczęciu czas dłużył się bez miary.

Ku wieczorowi, panna Karolina Dahlman, w towarzystwie jednej z miejscowych matron, zajęchała z odwiedzinami. Czas był piękny; jedynaczka bankiera namówiła hrabiankę na przejażdżkę, ztamtąd zaś do siebie na wieczór.

Panna Karolina miała niepospolitą zdolność do muzyki. Dziewczęta zapomniały godzin przy fortepjanie i przy poufalej pogadance. Marja wróciła dość późno, i w przekonaniu

że wszyscy w domu już spali, cichaczem przemknęła się do swego pokoiku.

Myliła się; rodzice w dolnej komnacie oczekiwali w milczeniu powrotu kapelana z wiernem sprawozdaniem o zajściu i o następstwach. Słyszeli wracającą córkę, ale przed wyświeceniem rzeczy, postanowili o niczem jej nie uwiadamiać.

Marja dowiedziała się od garderobianej że wieczorem nikogo z gości nie było.

Nikogo!

Błyskawica niespokojnych przecuć mignęła jej przed oczyma. Hrabianka rozśmiała się z płonnej trwogi. Może wspólny jaki znajomy spotkał ją na przejażdżce, może doznał — może on sam spostrzegł ją gdzie zdaleka? — Cóż znaczy jeden dzień, zwłaszcza gdy wkrótce drugiego zaświta jutrzienka? Jutro tak bliskie!

Dziewczyna swobodnie usnęła z jutrem na myśli, z jutrem na ustach.

Nazajutrz wstała późno; jak dla niej — zawczasie. Kilka godzin rozdzielało ją od chwili w której dobrze znajome kroki zwykle dawały się słyszeć na wschodach. Na nieszczęście, były to z całego dnia najdłuższe godziny; każda z nich nieskończoność zawierała tych, jakie zbiegały w towarzystwie z Kazimierzem.

On zapewne niecierpliwił się tak samo; jemu również gorzkim było rozłączenie, on także liczył minuty.

Przez cały dzień mógł żyć w tem samem miejscu i jej nie widzieć? — To nie do uwierzenia a bardziej jeszcze nie do przebaczenia! Zobaczymy co dziś powie, jaką znajdzie wymówkę? Trzeba mu na wstępie zaraz dać uczuć że tak się nie postępuje. Wszystko ma swoje granice. Popamięta na przyszłość! Byle tylko czempredziej nadszedł!

— Ach cztery śmiertelnych godzin! mówiło dalej w duchu dziewczę, rzucając na zegar zafrasowane wejrzenie. Cztery! — Nie zupełnie — mniej kwadransem; wreszcie może dziś wcześniej nadejdzie. Trzy godzin; nie więcej. Niech tylko jedna upłynie — drugie dwie w oka mgnieniu ulecą. Trzeba zabić nieprzyjaciółkę!

Ha! zwój nowych nót świeżo przysłany z Wiednia. Trzy

sztuki; na każdą po dwadzieścia minut. W nagrodę za wczorajszą nieobecność usłyszysz nową muzykę.

W istocie, nie ma stworzenia nieszczęśliwszego od kobiety: smutek i poświęcenie, oto całe jej życie!

Filozoficznej tej uwadze, towarzyszyło kilka przejść i akordów.

— Nie! — Do rozgmatwania nowych nót trzeba swobodnego umysłu. Byle choć na szóstą chciała zejść większa igielka; od szóstej do dwunastej łatwiej się przesunie. Lepiej wziąć na pulpit dawniejsze rzeczy, dobrze znane. Wyjątki z Zaczarowanego Fletu — Dwie Arje Cimarosy — hymn Palestriny. Chodź tu hymnie! on cię tak lubi; on cię słyszał przy pierwszym spotkaniu i odtąd nigdy dość nie może nasłuchać. Za pierwszym taktem, uśmiecha się, dziękuje spojrzeniem, wpatruje się w oczy, lub głowę na piersi opuszcza i duma. Mój drogi, kochany — hymnie!

Uderzyła w klawisze. Czarowna melodia wionęła, zabrzmiały poważne dźwięki: Marja do każdego z nich niemal uczepiała jakieś wspomnienie razem spędzonych chwil. Wkrótce, zapomniała już spoglądać ukradkiem na zegar, pozwoliła porwać się uroczym falom harmonji, bezwiednie dawała ogarniać się wszechwładnej potędze sztuki, gdy w tem skrzyknęły drzwi i wszedł jej ojciec.

Sokolnik przybrał teatralną postawę; ponury dramat wyglądał mu z oczu; uroczysty i posępny, niósł wyraz twarzy księdza, który idzie spowiadać skazanego na śmierć.

Stanął we drzwiach i utkwiał w córce wzrok osłupiałej, grobowej boleści.

Miał wreszcie ku temu potrzebną błądź; noc całą spędził na rozmowie z kapelanem; po godzinnym spoczynku znowu kazał go być przywołać i zatrzymał u siebie aż do rozejścia się z ojcem Zefirysem.

Niezwykły ten widok gromem uderzył Marję.

Przerwany, ucięty akord skonał ze zgrzytliwym oddźwiękiem; dziewczyna zerwała się, odepchnęła krzesło, postąpiła kilka kroków ku ojcu i stanęła jak wryta.

Pierwszy raz w życiu widziała tak gwałtowną zmianę rodzicielskich rysów.

Sokolnik zbliżył się powoli; w milczeniu, złożył na jej czole patriarchalny pocałunek i czule do piersi ją przytulił.

Marja zadrżała.

— Wielki Boże! rzekła po chwili, podnosząc ku ojcu strwożone źrenice — cóż się takiego stało? — Nieszczęście w naszym domu?

Magnat powtórzył dozę pocałunku i uściśnienia, posadził córkę na kanapie, sam obok niej usiadł i rzekł:

— Dzięki Bogu, nie stało się dotąd żadne nieszczęście; spotyka nas lekka przeciwność, nic więcej. Dotknięci jesteśmy w osobie jednego z przyjaciół naszego domu; mam atoli nadzieję że zle z łatwością da się naprawić.

— Na miłość Bożą, mój ojcze! — Nieszczęście! — Przyjaciel naszego domu. —

Zatrzymała się; Sokolnik spuścił oczy.

— Pan Kazimierz! zawołała, rażona niewieścim przecuciem.

— Wymieniłaś go moje dziecię; odparł magnat z westchnieniem.

— Cóż więc, czy zabił się? — Czy umarł? — Przez litosć — mów mój ojcze! —

Marja konwulsyjnie ścisnęła mu rękę.

— Bądź spokojną moja luba, żyje, zdrow; przysięgam ci — mojem nawet zdaniem nie ma o co się troszczyć, ale każdy ma swój sposób widzenia. Wszystko opowiem, przyrzeknij tylko że spokojnie wysłuchasz. Najprzód wyznam, że jego samego nie widziałem, że powtarzam co mi doniesiono z miasta. Według tego com słyszał od naocznych świadków, pokazuje się że Kazimierz, wczoraj, na obiedzie, spotkał się z Wilczkiem. Kuzyn nasz, podochocony jak to często się mu zdarza, wszczął z nim żywą nieco rozmowę. Poraj, zaprzętnięty ważniejszymi zapewne myślami, zbywał go obojętnie, aż nareszcie znudzony natarczywością trzpiota, rzucił mu kilka cierpkich odpowiedzi.

Od słowa do słowa przyszło do zaciętej kłótni.

Kazimierz którego znaleźmy tak łagodnym, spokojnym, dobrze wychowanym, wpadł — o ile mi zaręczano, w nie-

opisany napad uniesienia i wyrzekł wyrazy, które najcierpliwszego do głębi byłyby oburzyły.

Na nieszczęście, wiesz dobrze że cierpliwość jest najslabszym przymiotem Wilczka. Przywiedziony do ostateczności, rozszalały wpływem gęstych kielichów, stracił głowę i w przystępie ślepej zaciekłości porwał oburącz łaskę bilarową i rzucił nią w przeciwnika. Obecni, wpadli pomiędzy zwaśnionych, inaczej, nie wiem na czem zwada byłaby się skończyła. Wczoraj wieczorem pogłoska gruchnęła po mieście; dziś, nikt o niczem innym nie mówi. Krzyżują się tysiączne zdania; tysiączne sądy biegają po ulicach; wszyscy oczekują wypadku zajścia.

— Pojedynek, mój ojcie — niezawodny pojedynek! — Zawołała Marja, tuląc twarz w dłonie. Kuzyn mój Władysław, wszystkiemu winien. Oddawna, zewsząd skarżą się na niego; nikomu nie daje spokoju; on pierwszy zaczął! Pan Kazimierz — jestem pewną, bronił się tylko przeciw napaści.

— Nie do nas sądzić kto zblądził, kto niewinny — odparł poważnie Sokolnik; być może że Wilczek jedyną złego przyczyną; ale nie o to teraz chodzi. Lękam się aby popełnione szaleństwo nie pociągnęło za sobą równie szalonych skutków. Młodzież nasza, zdaje się że na wieki wzięła rozbrat z rozumem; za lada drobnostkę porywa się do broni, naraża, traci życie, które często nie do niej samej należy. Żaloba i boleść spadają na rodziców, na krewnych, na przyjaciół, czasami na jedną ale stokroć droższą osobę. Rady starszych wiekiem i doświadczeniem, nikt słuchać nie chce. Zapaleńcy gardzą głosem rozsądku. Napróżno dowodzić że najszlachetniejszą wygraną jest zwycięstwo nad samym sobą, że marnotrawstwo własnej krwi jest bezbożnym grzechem przeciw Bogu i ludziom; że człowiek niezasłużenie napastowany, tyle na godności i sumieniu powinien czuć się dotkniętym, ile ten komu na głowę spadłaby dachówka.

Daremnie prawdą świecić im w oczy!

Świat — odpowiadają — inaczej sądzi; opinja ogółu jest głosem Bożym. Godność człowieka mierzy się nie na skalę obrazy, ale zamiaru zalekceważenia jej lub ubliżenia. Starsi,

oparci na długim szeregu czynów, słusznie czynią, pomiatając pociskami bezskutecznymi przeciw doświadczonej, powszechnie uznanej ich zasłudze. Młodzież, dla braku sposobnych i stosownych wypadków, często zagadką jest dla siebie i dla drugich. Jeżeli obojętnie przepuści obrazę, czemu dowiedzie że moralną swoją istotę wyżej ceni nad materialne względy na niebezpieczeństwo? Jak przekona o pogardzie życia w porównaniu z nieskazitelną sławą, z wiarą wszczepioną w ludzi i w siebie, że jako dziś, dla osobistych wprawdzie ale wyższych pobudek, tak jutro, dla ogólnego dobra, potrafi się poświęcić. Rachuba w tym razie rzadko znamionuje szlachetną naturę, częściej zdradza nikczemny brak odwagi. Świat z trudnością wierzy dobremu, chociaż je widzi; złe choć nie dowiedzione, szybko przypuszcza. Kto na wstępie życia zaniecha wyrwać żądło potwarzy i zmusić ją do milczenia, kto nie wymusi na opinii przychylnego dla siebie sądu, kto lekkomyślnie nią pogardzi — ten, lepiej aby się był nie rodził; tego za każdym krokiem spotka upokorzenie, na tym złość ludzka zużyje szpony, za tym hańba w ślad się powlecze; ten, bezużyteczny sobie i drugim, styra byt w powiewie.

Tak prawią zagorzalcy i na domiar złego, każde słowo popierają przykładami wyjętymi z rzeczywistości. Żaden z nich nie ma odwagi zajrzeć w oczy prawdzie i zamiast ludzi przesąd wyzwać do walki. Co pocnie Kazimierz? — Czy pójdzie za rozsądkiem, czy za namiętnością? — Nie zgaduję. —

Marja załamała dłonie; każde słowo ojca, jak młotem ją uderzało; słuchała z wlepionymi w ziemię oczyma; twarz jej i usta pokryły się śmiertelną bladością, głos tonął w piersiach; rozprężone myśli mózg jej szarpały i serce. Na pierwszą w życiu przeciwność, cios był to za srogi. Nie pojmowała dotąd boleści; teraz, zdało się jej że w jednej chwili zgłębiła otchłań najstraszniejszych cierpień.

Sokolnik powstał; w oczekiwaniu na ton jakim mu odzwięczy córka, zaczął przechadzać się po salonie; gestami i twarzą wyrażał ciężki frasunek.

— Trudne położenie — rzekł po chwili, ale uspokój się

moje dziecię; Bóg natchnie go dobrą myślą, wskaże mu prawdziwą drogę.

— Cokolwiek pan Kazimierz postanowi — mówiła drżącym głosem dziewczyna — będzie postanowionem dobrze i prawdziwie.

— Nie koniecznie! przerwał magnat. Przed kilkoma miesiącami Poraj mógł namyślać się i wachać; dziś zmieniły się okoliczności. Dziś, nie pora mu upędzać się przedewszystkiem za uczynieniem zadość światowym przesądom, za okupieniem ceną życia wygórowanego uczucia własnej godności. Kazimierz nie o siebie tylko dbać powinien; mówię tu jako ojciec; przecież i twoje szczęście mię obchodzi. Gdyby rzeczy nie były między nami tak daleko zaszły, prędzej może przystałbym na zakończenie zwykłym trybem przekłętego zajścia. Kazimierz nie może zapominać że w ostatecznym razie, brat jego, krewni, przyjaciele, łatwiej zniesliby straszny jaki wypadek, podczas gdy ty biedne moje dziecię — jedna łza twoja więcej warta od opinji całego świata. —

Marja zwróciła wzrok na ojca, z wolna podniosła się z kanapy, blade jej lica spłonęły rumieńcem, oko zabłysło dziwnym zapalem; stanęła nie pognębioną już na duchu dziewczyną, ale dumną i silną kobietą, prawą dziedziczką tej sławy przodków, której wspomnienie Sokolnik dochowywał na guzikach tylko swojej liberji.

Krew polskiej niewiasty zawrzała jej w żyłach, owładło ją uczucie silniejsze nad wszelką rozwagę, wyciągnęła drobną dłoń ku ojcu i porwana niejako natchnieniem, rzekła:

— Kto tu o mnie wspomina, kto łzy moje waży mój ojcze? Ja miałabym stawać mu na zawadzie w obronie najdroższego skarbu człowieka? Miałżeby on dla mnie wyrzec się tego czem dowolnie rozrządzać nie może, co z urodzeniem, z wiarą razem, przyniósł z sobą na ziemię: świętego uczucia honoru i godności, dowiedzenia świata że życie szlachetnego jest na zawołanie powątpiewających o jego szlachetności? Nie, mój ojcze — znam go zbyt dobrze, on tak myśleć nie może. On mnie także zna, on wie że ja o nim nie wątpię, że jestem przekonaną iż w ważnych wypadkach

tycia, w poświęceniu, na nikogo oglądać się nie należy. On wie że stokroć wolałabym dla niego zaszczytny grobowiec, niż życie w niesławie. Prawdziwe przywiązanie wzrasta z przeciwnościami, ale nie ma uczucia któreby ostało się przeciw upokorzeniu. Tyle razy z sobą o tem rozmawialiśmy! Zdaje mi się że słyszę jeszcze jego słowa, że je w tej chwili powtarzam. Chciałeś mię doświadczyć mój ojczu, uspokoić może albo przygotować do strasznej jakiej wieści! Jestem kobietą, zniosę wszystko, powiedz mi tylko prawdę. Więcej wiesz niż powiedziałeś. Na Boga, zaklinam cię mój ojczu — nie ukrywaj nic przedemną! — Tak strasznie dziś wyglądasz; jesteś zmartwiony? Dobry mój, kochany ojczu, wszakże dotąd niczego jeszcze mi nie odmówiłeś! Mów — powiedz, czemu go dotąd nie ma, co się z nim dzieje? — Ach ja nieszczęśliwa! —

Chwila męskiego uniesienia wyczerpała siły dziewczęcia; padła ojcu w ramiona i zalała się łzami.

Sokolnik przyjął ją z rozrzewnieniem.

— Drogie dziecię — rzekł rozczulony — gdybym był spodziewał się że tak dalece weźmiesz słowa moje do serca, nie byłbym cię o niczem uprzedzał. Niepotrzebnie się smucisz. Zaręczam ci, przysięgam na przywiązanie moje ku tobie, że dotąd — nie mówiono jeszcze o pojedynku. Wiem z pewnością; posyłałem dowiedzieć się; w tej chwili przyniesiono mi odpowiedź. Cokolwiek nastąpi, rad jestem że się na tobie nie pomylił. Przywykłem widzieć cię dziecięciami i nie postrzegłem się kiedyś mi wyrosła na kobietę. Rodzicielska troskliwość zatłumiła we mnie względy, o jakich w rodzie naszym nie godzi się zapominać. Szczęście twoje zasłoniło mi resztę świata. Kto wie czy sam, na miejscu Kazimierza, nie posłuchałbym prędzej rad córki niżeli ojca? A jednak, Bóg widzi że postąpiłbym przeciw własnemu przekonaniu. Dla wrzasku kilku półgłówek narażać się na utratę skarbu jakim ty jesteś luba moja córeczko — szaleństwo, niepojęte szaleństwo! Mówię co myślę i czuję — dla czegożby Kazimierz tak samo nie miał czuć i myśleć?

— Nie mój ojczu, ja niczem nie jestem i on inaczej czuje, inaczej myśli. On, jak sam rzekłeś, nie ma ani twego wieku

ani twoich zasług. On zechce światu pokazać kim jest, jak go należy szanować. Onegdaj jeszcze, wieczorem, mówił mi — już sama nie pamiętam co mówił — biedna moja głowa! — Posyłałeś mój ojcie przed kwadransiem — przed półgodziną? — Poślij jeszcze! — Każda chwila może być stanowczą. Kogo posłać? — Zadzwoń. — Ach może już za późno! — Nie, nie! — Szczęśliwie mam przecucie. Pan Bóg zesłał mi myśl. Władysław jest naszym krewnym — on cię słucha, poważa; kochany mój ojcie, idź sam do niego, wystaw mu szkaradne jego postępowanie, odezwij się do jego serca, namów, nakaż aby pana Kazimierza publicznie, przy wszystkich przeprosił. On taki dobry, on mu przebaczy; pogodzą się, zapomną sobie nawzajem; wszystko szczęśliwie się skończy. Nieprawdaż mój ojcie że pójdziesz, że myśl moja z nieba zesłana? —

Sokolnik, smutnie wstrząsł głową.

— Jako — odmawiasz?

— Nie moje dziecię; wiesz że nic nie mam ci do odmówienia, ale widzę że nie znasz nieszczęśliwego charakteru Władysława. Albo nie będzie chciał mię słuchać, albo wszystko przyrzecze i niczego nie dotrzyma.

— Ciebie, mój ojcie nie wysłucha?

— Ani mnie, ani żadnego ozłowieka z przyzwoitością i z rozsądkiem. Władysław skończy w szpitalu obłąkanych.

— Ależ to niegodziwość bez miary!

— Nic nie wskóram, chociażbym nawet powtórzył mu twoje słowa.

— Ha kiedy tak, niech się więc dzieje wola Boża! Jest na złych kara. Gdydys jednak mój ojcie trafił na dobrą chwilę? — Powiadają że najzaciętsi ludzie mają przystępy dobroci. Ja tymczasem pomodłę się do Najświętszej Panny aby go natchnęła. Jeżeli cię nie usłucha, sam będzie winien swemu nieszczęściu. Mój drogi ojcie — idź! Dowiesz się przynajmniej prawdy — już późno — czas leci tak szybko!

— Zgoda moje dziecię, odrzekł Sokolnik; przyrzekam że co będę mógł uczynię; ale ty nawzajem przyrzeknij, że do mego powrotu nie będziesz się dręczyła, niepotrzebną trwogą. Pod tym tylko warunkiem obiecuje moją po-

moc. Dowiodłaś mi że nie jesteś dzieckiem; ufam twojemu słowu.

— Przyrzekam, po tysiąc razy przyrzekam mój kochany ojciec; patrz! — Suche mam oczy — przekonasz się za powrotem, ale za spieszonym, za jak najspieszniejszym powrotem! —

Ostatnie słowa Marja wymówiła we drzwiach; Sokolnik raz jeszcze ją uściskał i wyszedł, według wyrażenia ojca Zefiryna — wyszedł — brat Piotra w obroty.

Mimochodem polecił starej klucznicy, służebnicy z duszą państwu oddanej, aby pilnie zważała na każdego przychodnia, aby nic nie stało się bez uprzedniej jego wiadomości; aby najnieznaczniejszy na pozór, każdy wypadek, święcie był mu doniesionym.

Sokolnik nie zawsze potrafił ułożyć plan bitwy, ale raz bój rozpoczynawszy, wybornie doglądał szczegółów i zewsząd umiał trzymać się na ostrożności.

Marja pobiegła ku oknu; patrzyła za odchodzącym ojcem; obiema rękami tłoczyła niezmierne bicie serca.

Namiętnościom szeroko było rozpasać się na świeżej dla nich niwie. Dziewczyna zaznała dotąd w życiu drobnych przeciwnostek, dziecinnych cierpień; bój z rzeczywistością pierwszy raz chwycił ją za duszę. Na tle gorącego społeczcucia ku Kazimierzowi, węzowemi sploty, wiły się roje gwałtownych wrażeń. On cierpiał, a ona przy nim nie była! Wszakże święcie sobie przyrzekli dzielić nawzajem nietylko kwiaty ale i ciernie. — Ach, ona zazdrościła mu tych ostatnich, ona, dziewczącą skroń, z roskoszą byłaby pod kolce poddała, byle tylko wszystkie róże jemu się dostały. Z jej strony, żadne poświęcenie nie mogło mieć miejsca: ona życie za niego oddawszy, byłaby obowiązek tylko spełniła, powinność jaką ma każdy człowiek zaofiarowania się za wyższą, użyteczniejszą, doskonalszą istotę. Jakiemże więc prawem inni ludzie, którzy wartość stóp mu ledwo sięgali, którzy nikli przed nim, niby stado kruków przed orłem, jakim prawem śmieli głos przeciw niemu podnosić, wątpić o nim, znieważać? — Zkąd tyle złości, zkąd na jasnym świecie brało się tyle ślepoty! — Niegodziwi!

Walki na zalety serca, walki na przymioty umysłu, walki na wzniosłość ducha, żeden by z nim nie przyjął. Nic im nie pozostawało prócz trochę materialnej odwagi! — Z ostatkiem sił, karły rzuciły się na olbrzyma. Szaleni — nie wiedzą co ich czeka! On sam jeden, w jednym uderzeniu serca więcej ma dzielności, niż oni z całego życia potrafiliby jej wydobyć. Dość spojrzeć na ciemne jego oko, łagodne, spokojne a jednak tchnące męskim zapachem i siłą niezwalczoną. Poznają go poniewczasie. Zły duch ich opętał; w krzywdzie jemu zadanej zgubę dla nich gotował. Jeżeli Wilczek dziś nie ukorzy się przed człowiekiem którego przyjaźń zaszczytem mu być powinna, jeżeli wzrok zamknie na słońce prawdy — Bóg wesprze dobrą sprawę: jutro miłe usta Kazimierzowi podszepną mu aby nigdy nie przebaczał. Jemu życie środkiem tylko, nie celem, tylokrotnie powtarzał; zbrodnią nadaremnie szafować, hańbą oszczędzać w potrzebie. W obronie tego co sam w sobie tak wysoko ceni, w obronie tego co w nim kochają znający go głębiej, dla siebie, dla bliskich, a raczej dla najbliższej znajomej — nie on cofnie się przed śmiercią!

Przed śmiercią! — Straszne słowo! — Jest więc śmierć na tyle życia, na tyle uczuć, na tyle przyszłości! — Któż rządzi losem? — Umrzeć? — Leżeć pod ziemią, w nocy, gdy wiatr wyje, gdy burza łamie niebiosą; słyszyć obojętne rozmowy grabarzy — okropność! — A przecież on mawiał że nie ma piękniejszego nad śmierć poniesioną za prawdę! — Dla umierającego może, ale dla tych co po nim zostają, dla tych co go płaczą?

Dla tych którzy po nim płaczą? — Czy, ostatnia ucieczka powszednich charakterów! Ktoby umiał płakać go tylko po śmierci, ten go nie wart za życia!

Kochać i być kochaną, pójść za męża, poprzestawać na zwyczajnym bycie, prowadzić dom, odwiedzać i przyjmować gości — na to dość pierwszej lepszej natury, na oślepiętej z tłumu. Dla wyjątkowych istot, czułych na urok poświęcenia, niezwykła boleść milszą od pośredniej rokoszy. Szczęście każdego stroi; z cierpieniem, wyłącznym tylko rzadkim w ludzkości wyjątkom, do twarzy.

Jeżeli los upatrzy w nim ofiarę dla swojej zapalczywości — on zginie dla świata; dla niej wiecznie żyć będzie. Ona, pozostała część duszy, niewystarczającą odtąd ani dla ludzi ani dla siebie, poświęci wspomnieniom poległego w obronie świętych zasad honoru, czci, godności. Przeciw katuszom serca i wstrętowi do świata, religja podała schronienie. Zamknięte w bożych przybytkach niewiasty, w rozpamiętywaniu i modlitwie, topią ziemskie dolegliwości.

Tak jest — jeżeli on umrze, ona skończy dni w klasztorze.

Tam, trawiona gorączką nieugaszonej boleści, z zapadłemi oczyma, w długiej zakonnej odzieży, jak widmo ślaniać się będzie po samotnych kurytarzach; okropną bladeścią oblicza przestraszy pobożne towarzyski, surowem umartwieniem ciała, zadziwi najgorliwsze siostry. Zdala od wszystkich, zawsze sama; pierwsze promieni jutrzeńki zastaną ją nieraz klęczącą u stóp starożytnego jakiego grobowca, z głową w dłoniach ukrytą, z twarzą łzami zroszoną, rozpamiętywującą ogrom swej straty. W nieszpornych chórach, głosu jej nikt nie usłyszy; jej pierś ledwo wystarczy na cichą modlitwę; dla niej, jedynym śpiewem westchnienie, jedyną muzyką grobowa cisza. Ach muzyka! — Namiętnie ona ją niegdyś lubiła ale z ostatnią iskrą jego życia, uleciał ostatni jej akord; czego on słuchać nie może, tego nikt słyszeć nie powinien. Z rodzicielskiego domu zabierze tylko pamięć gorzkiej przeszłości i może — może kilka tych kwiatów, dodała w myśli hrabianka, zbliżając się jakby w jasnovidnym śnie ku miejscu, gdzie wznosiła się znajoma nam piramida egzotycznych barw i zieleni.

Jemu tak miłe były niektóre kwiaty! — Nie kamelje; te oskarżał o pyszną, o samolubną obojętność, o brak uczucia w bezwonnych listkach. I z magnolją zgodzić się nie mógł za wstręt, jaki w niej upatrywał do polskiego powietrza. Konwalje pieścił, dzwonki i drobne kwiatki, które mu przypominały rodzinne łąki i lasy. Nie spoglądał nawet na kwiat, który ona dla niego przeznaczała; śmiał się z mieszkańca wysp greckich, z różowego lauru. Wprawdzie ona marzyła nie o kwiecie ale o liściu.

— Biedny laur! — Rzekła z goryczą; już usychał, od kilku dni znów puszcza zielone listki.

Marja potrąciła krzew ręką. Drobny, świecący przedmiot spadł z gałązki i do stóp jej się zatoczył.

Poznała pierścioneł który przed niedawnemi czasy, w skutek żartobliwej rozmowy, Kazimierz zawiesił był na dogorywającym laurze, przepowiadając mu zmartwychwstanie.

Myśl, zwrócona innym kierunkiem, ocknęła ją z błędnych marzeń i przywiodła na pole rzeczywistości. Marja przypomniała sobie dziwne przygody pierścioneł, tajemniczy wpływ, jaki talizman wywierał na los kolejnych jego posiadaczy, klęski jakie gromadził na opuszczających go, szczęście jakim darzył nowych nabywców.

Młoda jej wyobraźnia, pochopna ku cudowności, w stroskaniu zwłaszcza serca, czarodziejskiemi barwy, wytęczywała skutki talizmanu. Ksiądz kapelan i matka jej, przywiązywali gorącą wiarę do potęgi szkaplerzów, paciorek różnych, krzyżyków, relikwji — pierścioneł w niczem nie ustępował kościom, pestkom i drewnikom — przeciwnie, dał już był kilkarotne dowody utajonej mocy; wreszcie, czyliż rozum ludzki co chwila nie spotykał rzeczy, których przyczyny ani zgłębić ani domyślać się nawet nie umiał?

Marja zadrżała na myśl, że Kazimierz w tak stanowczym dniu znajdował się pozbawionym cudownego talizmanu; zapominał go nierozważnie, kto wie, czy nawet dla tego nie ginął? —

Niepodobna! — Wszakże ojciec przysiągł jej że dotąd nikt nie pomyślił o pojedynku. Jeszcze był czas, jeszcze wszystko było do zyskania!

Przejęta ufnością, pokrzepiona nadzieją, przycisnęła do ust pierścioneł, zawięła go szybko i wybiegła szukać spieszniejszego posłańca.

Stara klucznica Kawecka, pierwsza wpadła jej w oczy. Marja nigdy nie miała do niej wielkiego nabożeństwa, ale nie pora było przebierać. Drżąca, wzruszona, rzuciła się jej na szyję i zakleła aby doreczony przedmiot natychmiast odesłano młodszemu panu Porajowi. Chodziło o rzecz ważną, dodała; każda chwila mogła stanowić o życiu.

Klucznica wystraszona, trzykroć się przeżegnała i uroczyście przyrzekła że stanie się wedle woli hrabianki, chociażby sama miała ruszyć z posyłką. W istocie, już puszczając się w drogę, gdy wtem, wyszedłszy do sieni, nagle wspomniała na surowy rozkaz Sokolnika aby nic w domu nie działo się bez jego wiadomości.

Oczywiście, od wczorajszego wieczora snuły się nadzwyczajne jakieś wypadki. Pan graf całą prawie noc przegadał z księdzem, hrabina nad rankiem dopiero legła na spoczynek; od rana, wszyscy chodzili kwaśni, powarzeni — dziwny rozkaz Sokolnika nie był bez kozery.

Klucznica zatrzęsła głową, podwinęła merynosowy fartuch, i cichaczem wpuściła talizman do kieszeni, żąd, przed powrotem pana, przyrzekła sobie nie wydobywać go na jaw.

W dopełnionym herbarzu Niesieckiego, wydanym w Lipsku przez księgarza Bobrowicza, który, niby Bóg heraldyczny, z niczego, jednym pociągnięciem pióra i siódmego dnia wcale nie odpoczywając, natworzył masę niestworzonych faktów i szlachciców, w herbarzu tym, ceny pomiernej, ale szczegółów nieocenionych, napróżno szukałem czyli Sokolnik, zrodzony z ojca kasztelana, i z matki wojewodzianki, otrzymał był w spadku po przodkach jakowy talizman. Szczegół ten, ważny dla historii galicyjskiego gniazda rycerstwa, a który, nie pojmuje dla czego lipski wydawca opuścił, wiadomo mi bowiem że o prawdzie istnienia onego sumiennie i dowodnie był przekonany, szczegół ten, raz jeszcze powtarzam, byłby żywe światło rozlał na niektóre ciemne ustępy mojej powieści.

W drugim wydaniu — które, że wkrótce nastąpi, nie wątpię, dzięki pokupowi jaki dzieło znalazło na Białej, Małej i Czerwonej Rusi, księgarz Bobrowicz z wiarogodnych źródeł wypełni zapewne tę dotkliwą szczyrbę. Tymczasem jednak zakłopotany historyk musi błędzić w mgłach niepewności, tam gdzie za lat kilka, szczęśliwszy jaki kolega oprze się na gruncie autentycznych dokumentów.

Domysł o istnieniu talizmanu w rękach magnata, mimowolnie powstaje w najupartszym skeptyku, na widok wygody

z jaką tenże (magnat nie zaś skeptyk) jedną za drugą, roztrąca przeszkody na drodze swego żywota. Wszystko idzie mu jak z płatka i gdyby jaki prorok nieszczęścia odważył się krzyknąć mu mimochodem że «dopóty dzban wodę nosi — dygnitarz miałby prawo spokojnie mu odpowiedzieć: «dopóki beczka się nie napelni.»

Nakręciwszy córkę, Sokolnik z radą czcigodnego ojca Zefiryna, jak z kluczem wszystkie zamki otwierającym, śpieszył do Piotra, który ze swojej strony, zawiadomiony o odwiedzinach, starał się przez szlachecką dworskość uprzedzić je, tem bardziej że posłaniec napotkał go już był w drodze do dygnitarskiego pałacu.

Sokolnik zdaleka spostrzegł Poraja, przysporzył kroku i obie ręce czule mu uściskał. Piotr z westchnieniem oddał uścisk. Gorzki ale poważny smutek wisiał na czole szlachcica; wyraz usługowego politowania łamał rysy magnata.

— Wiesz pan hrabia o wszystkim? rzekł pierwszy, głosem, w którym naprzemian grały boleść i oburzenie.

— Dotąd słyszałem tylko o wczorajszym zajściu, zapewne więc wiem nie o wszystkim. Od wczoraj, blisko doba już upłynęła. Dowiedziałem się późno — za powrotem do domu. Przez całą noc oka nie mogłem zamrużyć; niespokojność spędzała mi sen. Na Boga panie Piotrze, mów co się stało, co porabia Kazimierz? —

Piotr spuścił głowę i wzruszył ramionami; nie wiedział co rzec, jak zacząć.

— Stosownie do naszej umowy, ciągnął dalej magnat czekałem was obu wczoraj z niecierpliwością. Przekłety fatalny dzień! właśnie ten, który wybraliśmy na wzajemne upewnienie o bliskim osiągnięciu najgorętszych naszych nadziei — dzień zaręczyn! Dziwna rzecz! jak gdyby w przeczuciu wypadku, nie uprzedziłem mojej córki; chciałem sprawić jej niespodziankę. Tem lepiej! — Oszczędziłem jej dzień zmartwienia i niepokoju. Wreszcie, mniejsza o kilka dni; pierwszego poranku po załatwieniu sprawy powetujemy stratę. Nieprawdaż panie Piotrze? — Przez miłość Bożą mów, co się dzieje, wprawiasz mię w okropną trwogę! Czy pojechali się bić — czy wrócili — czy stało się jakie nieszczęście?

Piotr machnął ręką; bolesny uśmiech przebiegł mu po licu.

— Cóż więc? — Niepodobna aby od wczoraj, rzecz na krok dalej się nie posunęła.

— Czy znasz pan hrabia szczegóły wczorajszego zajścia? rzekł nagle Poraj podnosząc ku niemu oczy, jak gdyby wszczył nową rozmowę.

— Słyszałem je po kilka razy od naocznych świadków.

— Znasz więc wszystko; ja nic więcej nie mam do powiedzenia.

— Jakto? — Nie rozumiem — każda przecież przyczyna ma swoje skutki.

— Tak i ja dawniej sądziłem; pokazuje się że oba byliśmy w błędzie.

— Na honor, z zagadki wpadamy w zagadkę; nie domyślam się nawet pierwszego słowa i nie znajduję go, choćbym przez wiek szukał, tem bardziej że daleki jestem od spokojnego umysłu. Przecież stanowimy jedną rodzinę; co was obchodzi to i mnie dotyka. Kazimierz jest moim synem; spokojność jego, szczęście, honor, równie są mi drogiemi jak moje własne. Wprawdzie Wilczek jest bliskim moim krewnym, naganny atoli jego sposób postępowania, oddawna odebrał mi ku niemu serce. I jemu także zajechała była do głowy myśl starania się o moją córkę. Wręcz odmówiłem. Miałem słusność. Bóg mi to wynagrodził zsyłając zięcia w Kazimierzu. Tenże sam Bóg — spodziewam się — oddali od niego niebezpieczeństwo, godnie, uczciwie, szlachetnie; wybawi z położenia w jakie wtrąciła go zuchwała, szalona lekkomyślność Władysława. Radbym tylko wiedzieć na czem stało? — W mieście o niczem innem nie mówią; pogłoski, plotki, przedrą się wkrótce do mojego domu. My, mężczyźni bierzemy rzeczy więcej na rozum, ale kobietom za wszelką cenę należy oszczędzić niespokojności. Cóż im odpowiem, gdy mię zapytają? —

Żeby się daremnie nie trwożyły — odrzekł Piotr ponuro — że nikt dotąd nie myśli o pojedynku.

— Co słyszę? zawołał Sokolnik udając głębokie zdziwienie; Wilczek nie przyjął wyzwania? — Niepodobna! Szaleniec, zapamiętała głowa — znam go, w honorowych atoli

sprawach nikomu dotąd nie odmówił zadość uczynienia. Może przeprosił? — Na nieszczęście to mniej jeszcze do niego podobne.

— Wilczek nie miał czego odmawiać, nie miał kogo przepraszać; ani jednego, ani drugiego nikt dotąd po nim nie żądał.

— Co mówisz panie Piotrze? — Kazimierz miał-żeby —?

— Dość tego panie hrabio, odparł Poraj; prawdy nie ma co w bawelnę owijać. Brat mój Kazimierz bić się nie chce. Mówię otwarcie. Wiem ile winienem szlachetnej przyjaźni jakiej w domu pańskim doznałem. Chciałbym sam własnym słowom nie wierzyć. Darmo! — Z boleścią muszę powtórzyć: Kazimierz nie chce słyszeć o pojedynku. —

Sokolnik rozśmiał się z niedowierzaniem.

— Zgaduję — rzekł; prosił cię o tajemnicę; obiecałeś przed nikim jej nie zdradzać, ależ mnie za obcego uważać nie możesz. W razie nawet gdyby z bratem twoim nie łączyły mię żadne stosunki, ty sam panie Piotrze nie masz bliższego i szczerzego odemnie przyjaciela. Czy zapomniałeś już, że ja i rodzina moja winniśmy byt szlachetnemu twemu poświęceniu? Do trosk twoich niezaprzeczone mam prawo i prawa tego nikomu nie ustąpię. Przeciwność jest wdzięcznem dla przyjaźni tłem, dzielnym probierzem prawdy i siły uczucia. —

Piotr znępany na duszy, z rozrzewnieniem przyjął braterską dłoń, jaką magnat ku niemu wyciągał, krzepko ją uściskał i rzekł:

— Bóg zapłać panie hrabio. Umiem cenić łaskawe względy, powtarzam jednak i przysięgam na uczciwość, że w tej chwili nie ukrywam żadnych tajemnic. Bratu mojemu, żartem nawet fałsz przez usta się nie przecisnie. Muszę przyznać mu tę zaletę, że słów na wiatr nie rzuca. Cały wieczór, aż do późnej nocy, strawiłem z nim na rozmowie. Zużyłem wszelkie dowody na przekonywanie go o konieczności orężnej rozprawy z Wilczkiem.

— Cóż odpowiedział?

— Wręcz oświadczył że bić się nie będzie, że niepotrzebnie.

ofiarowałem się za świadka — chciałem bowiem natychmiast iść do Skalki i ułożyć z nim spotkanie.

— Jakież dawał przyczyny?

— Bóg raczy go rozumieć! — Prawił o zemście, kłął przesady świata, wzgardę miotał na głos publicznej opinii, utrzymywał że o godność swoją dba dla siebie nie dla ludzi, że nikt nie ma przywileju wyrokować o nim, stawać sędzią jego honoru i sumienia. Na dowodach mu nie brakowało: otrzymał świetne wychowanie; płynnie wyrazić się potrafi. Ja tymczasem, prostak, wyciągnąłem ten tylko wniosek że wygórowane nauki, zamiast oświaty, w obłęd ciskają rozum i serce. Znieważony a nieprzeproszony bije się — dalej wymowa moja nie sięga.

— Nie, panie Piotrze — przerwał dygnitarz po chwili zobopólnego milczenia. Sam mylisz się i mnie ciągniesz za sobą na omylne twoje szlaki. Jest w tem coś, czego oba nie rozumiemy. Czy brat twój miał już w życiu jaki pojedynk?

— Nie słyszałem. —

— Nie wiesz więc jak zwykł w podobnych razach postępować. Każdy ma swoją metodę; najlepszą jest więcej czynić niż mówić, krewnych i bliskich przyjaciół o niczem nie zawiadamiać; dla spokojności w błąd ich nawet wprowadzać. Kazimierz wiedział że nic nie zyska wpędzając cię na kilka chociaż godzin w niepotrzebną trwogę. W obu was przecie płynie ta sama krew. Bądź pewny panie Piotrze że myśl, na którą twoja natura się oburza i jego charakterowi równie jej przeciwną

— Takby się przynajmniej zdawało; pozory jednak często mylą. Z bratem moim nazwisko tylko mamy wspólne.

— Zaprawdę — odrzekł Solkolnik, nie spodziewałem się ażebym ja kiedyś potrzebował bronić przed tobą Kazimierza.

— Nic dziwnego. Pan hrabia ulegasz wpływowi własnych przekonań, nie pojmujesz jak człowiek młody, wiodący ród z uczciwego szlacheckiego gniazda, może do tego stopnia zaślepnąć na najświętsze obowiązki względem siebie, względem rodziny i świata. Niedaleka przyszłość pokarze nam, zdarzają się niekiedy rzeczy całkiem nieprawdopodobne.

— Przyjmuję odwołanie się do przyszłości; ufam jej i spodziewam się że mię nie zdradzi. Dopóki na własne oczy się nie przekonam — nie pojme, nie uwierzę aby zajście tak daleko posunięte, miało skończyć się na niczem. Nie idzie o to kto zawinił, kto niewinny; jeden musi dowieść że za szaleństwo gotów odpokutować, drugi, że bezkarnie nie zdoła przepuścić ciosu zadanego jego honorowi. Zbaczący z tej drogi prostej i jedynej — naturalnym porządkiem rzeczy utraci to o co nie dba, czego nie chciał bronić. Rozumowanie jasne jak słońce; Kazimierz doskonale je pojmuje. Nikt mi nie wytłumaczy aby młody człowiek z jego głową, z jego uczuciami, z jego wychowaniem, mógł tak dalece dać porwać się obłądnym pojęciom; nikt mię nie przekona aby brat twój, nad własną godność, przenosił życie w niesławie. Znam trochę ludzi. Nie chciał przyjąć cię za świadka; poznaję w tem jego serce; obecność brata na placu spotkania dla obu was mogła być przykrą. Odmówił bezwzględnego pojedynku? — Człowiek poważny, w podobnych razach potrzebuje opatrzyć się, rozporządzić. Stanowczego zamiaru wytrwania w obojętnem przyjęciu krzywdy, daruj mi — ale nie widzę. —

Wywody Sokolnika zachwiały nieco zrozpaczonem przekonaniem Poraja; on z takim szczęściem byłby go się wyrzekł zupełnie! Niepodobna mu było atoli pogodzić własnych nadziei z tonem niezmiennego postanowienia, w jakim brat oświadczył mu był wczoraj ostateczne swoje zamiary. W obawie przedczesnych nadziei i dotkliwych odczarowań, z wątpiewaniem przyjął pocieszające argumenta magnata.

Sokolnik nie pozwolił mu snuć dalej posępnych myśli; surowe dotąd oblicze rozwidnił uśmiechem i rzekł:

— Trochę cierpliwości, trochę zaufania, kochany panie Piotrze; przeczuwam że oba ugrzęźliśmy w przedczesny, nieuzasadniony frasunek. Kazimierz w pierwszej chwili mógł uledz pęgnięciu ekscentrycznych jakichś zapatrzeń; nie wątpię jednak że pó kilku godzinach rozważy wróci na prawdziwą drogę. Młodzież niechętnie poddaje się zwyczajowi; radaby zawsze coś nowego i lepszego wynaleść. Między bezczescią atoli a przelotną pogonią za użyciem nowych, właściwych

sobie środków, leży niezgłębiona otchłań. Bądź spokojny; Kazimierz dobrowolnie w nią nie wekoczy. Sprawa zakończy się z powszechnem zadowoleniem; mam niezwalzone przecucie. Jeżeli może obejść się bez pojedynku — tem lepiej; ja mniej niż ktokolwiek chwalebę tego rodzaju wyprawy. W tym nawet celu ruszam prosto do Wilczka. Użyję całego wpływu jaki mi nad nim daje wiek mój i rodowe związki. Wystawię mu naganną, niegodziwą lekkomyślność jego postępków, i może naklonię do przeproszenia pokrzywdzonego. — Byłem go tylko zastał w domu. — Do widzenia panie Piotrze; jutro spodziewam się obaczyć cię spokojnym i wesołym.

— Ale — zapomniałem dodać małą uwagę, którą zapewne sam uznasz za stosowną. Oddaję ją wreszcie pod twój sąd. Przed pojedynkiem, lub przed załatwieniem zajęcia, mniemam że lepiej byłoby aby młodzi nasi zakochani przestali się z sobą widywać. Kobiety moje domyślają się — w tej nawet chwili zapewne wiedzą już o wszystkim. Nie zaszkodzi uniknąć niepotrzebnych rozmów, oszczędzić im daremnych niepokojów — jak sądzisz? —

Piotr uznał słuszność uwagi i przyrzekł udzielić jej bratu który sam, bez wątpienia, wpadł już był na podobną myśl.

— Wilczek nie powinien być w domu — mówił sam do siebie, odchodząc Sokolnik, czyli raczej, chociażby na krok się nie ruszał, ja nie powinienem go zastać. Zagorzalec ten umie tylko zawadzać. W niebezpieczną gram grę; dwa losy przeciw jednemu; stawiam córkę i własny byt. Jeżeli młodszy brat się namyśli, jeżeli przyjmie pojedynek i szczęśliwie go ułatwi, muszę mu oddać córkę. W odmowie walki lub, od biedy, w trafności Wilczka, jedyna moja nadzieja. Byłe tylko starszy nie zerwał umowy, nie zażądał pieniędzy! — Ba! — Pan Piotr mękki jak wiosk, sentymentalny jak młoda dziewczyna. Raz ujęty za serce na wędkę szlachetnych uczuć, da się zaprowadzić na koniec świata. Dalej do dzieła! — Trzeba, wedle świętych słów ojca Zefiryne, kuć żelazo póki gorące. —

Piotr tymczasem zamajaczony pocieszeniami magnata, oburącz uchwycił się ostatniego jaki mu zostawał promyka

nadziei. W istocie, dlaczegożby Sokolnik nie miał jaśniej od niego przewidywać wypadków, dlaczego nie miałby odgadnąć skrytych myśli Kazimierza — on, człowiek w świecie wyżyty, świadomy ludzi i rzeczy? Na zaofiarowanie pojedynku nie było jeszcze zapóźno; Kazimierz mógł wyrzec się nie-szczęśnych postanowień, gdyby zwłaszcza udało się przekonać go, że sposób widzenia starszego brata podzielali ludzie zacni i doświadczeni, w pierwszym zaś miejscu, ojciec Marji, Sokolnik.

Po wczorajszej atoli waśni, Piotr nie miał serca wszczynać z bratem powtórnej rozmowy, tem mniej wszelako chciał opuścić sposobność poparcia swego zdania jednym więcej, ważnym dowodem.

Zatoczył do koła przenikliwym wzrokiem, jak gdyby szukał środków wybrnięcia z kłopotu. O kilka kroków przed sobą, spostrzegł sklep księgarza, z którym częste miewał stosunki i co dnia prawie zachodził dla przeglądania świeżo wyszłych książek i zagranicznych gazet. Wszedł do księgarni, pozdrowił obecnych i udał się do małej izbedki tuż za kantorem, gdzie właściciel sklepu, dla bliższych znajomych trzymał na pogotowiu literackie nowości i niektóre zakazane dzienniki.

Tym razem atoli Piotr cale nie zagłębił się w drukach; zażądał listowego papieru, siadł w kącie, wsparł czoło na dłoni, i po chwili namysłu jął szybko pokrywać papier charakterem, z którego grafolog łatwo byłby odgadł niespokojne pisarza usposobienie.

«Posyłam — pisał do brata — te kilka słów z miasta, gdzie o niczem nie mówią tylko o wczorajszym wypadku. Oburzenie przeciw Wilczkowi zdaje się powszechnem, równie jak i nadzieja że szaleństwo to, z jego strony, będzie ostatniem. Widziałem Sokolnika. Pomimo związków krwi jakie łączą go z napastnikiem, nie mógł znaleźć dość słów na potępienie niegodziwego postępku. Wspominał mi o tobie z głębokiem współczuciem i żalił się na konieczność, która często zmuszała niewinnie pokrzywdzonego do narażania własnego życia w odpowiedzi na poniesioną zniewagę. Hrabina i córka jej wiedzą już o wszystkim. Sokolnik uczynił

mi uwagę że dla spokojności tych pań, lepiej może byłoby zostawić je same aż do załatwienia zajścia z Wilczkiem. Jeżeli mię potrzebujesz — daj znać jednym słowem. Wczorajszą rozmowę puśćmy w niepamięć; oba nie byliśmy przy swobodnej myśli.»

Piotr posłał z listem sklepowego chłopca, przykazał mu pośpiech, sam wziął jakąś gazetę i machinalnym wzrokiem szukał w niej możebnej od brata odpowiedzi. Chłopiec uwinął się z poleceniem; w kwadrans był już z powrotem. Przynosił odpis. Piotr czekał go na progu; drżącą ręką pochwycił pismo, zewsząd je opatrzył, lękał się rozłamanej pieczęci.

«Domyślałem się — brzmiał list młodszego Poraja — że wczorajszy wypadek jest treścią rozmów całego miasta a nawet i przedmieść. W podobnych razach to samo dzieje się we wszystkich miastach. Wdzięchen jestem Sokolnikowi i tym którzy w sprawiedliwości sumienia, na winnego składają winę. Jest to wszystko co mogę uczynić dla opinji Sądu atoli o konieczności i o stosownej porze do narażenia życia za poniesioną zniewagę, nikomu przyznać nie zdołam. W tym względzie, sam jestem ostatecznym sędzią. Szczerze żałuję niepokoju jakiego mimochętnie nabawiłem hrabinę i jej córkę, więcej jednak żałuję niepotrzebnej i niewczesnej uwagi Sokolnika względem tegoż spokoju, droższego dla mnie niż dla kogokolwiek w świecie.

«Zrozumiałem ukryte znaczenie przestrogi, ale uprzedzam, że co do mnie, żadnym warunkom się nie poddam, żadnym zewnętrznym wpływom nie ulegnę. Postąpię według własnego przekonania; wypowiedziałem je wczoraj i każdy ciekawy może je usłyszyć powtórzone w tychże samych słowach, dziś, jutro, i kiedy się mu podoba.»

Piotr konwulsyjnie gniótł papier; szarpał go w drobne kawałki.

Znał Kazimierza, odgadł, widział go upartego na zabój, nieugiętego jak glaz, gubiącego siebie i drugich, niszczącego swoje i cudze szczęście bez żadnej nadziei ocalenia. Wszystko było straconem bez ratunku, na zawsze!

Odarty z ostatnich złudzeń, Poraj usiłował mekkiem ser-

cem znieść cios jaki go uderzał w najdroższych jego uczuciach i marzeniach. Przywołując na pamięć słowa Sokolnika, główną zwłaszcza jego uwagę, przewidywał że Kazimierz odmową pojedynku, zamykał sobie drzwi domu magnata.

Rodzicom hrabianki, w zerwaniu małżeństwa, nic nie było do zarzucenia. Sokolnik od początku stosunków postępował jak najszlachetniej; ojcowskim sercem ukochał przyszłego zięcia, co chwila dawał mu dowody niewyczerpanej przychylności; w zajściu z Wilczkiem, pierwszy gromko powstał przeciw swemu krewnemu, przedsięwziął nawet płonny zamiar nakłonienia go do przeprosin, cieszył się szczęściem córki, nie bacząc co los gotował mu w niedalekiej przyszłości. Wymagać atoli po nim aby jedyne dziecko rzucał na pastwę nieublaganej a zasłużonej opinji; żądać aby tarczą starożytnego nazwiska osłaniał hańbę człowieka, z którym dotąd nic nie miał wspólnego — oczywiste szaleństwo! — On także był jednym z tych, którzy najdotkliwiej uczują, najboleśniej wycierpią za postępowanie Kazimierza. Zaczyna, szlachetna dusza! — Dręczył się, gryzł, niepokoił myślą pojedynku, chociaż sam przyznawał że inaczej załatwić sprawę niepodobna.

Biedna Marja! — Lube dziecię, ona go tak kochała! ona tych rzeczy nie rozumie, ona poszłaby za nim na koniec świata, nie pomnąc na życie zgorzkniałe od ludzkich potępień. Nieugięta a słuszna wola rodziców wpędzi ją do grobu! Niegodziwe szaleństwo jednego, ślepy upiór i Bóg wie jakie pobudki drugiego, ileż nieszczęść za sobą pociągną? Darmo! — Niepodobna losu odwrócić; złość ludzka zaczyna już wrzeć i wkrótce na wsze strony zakipi.

Piotr nie zawsze mylił się w swoich przeczuciach.

Polip opinji wyciągał tysiączne chwytty po obfitą dla siebie zdobycz.

Małżeństwo, zwada, pojedynek — trzy fakta złączone na raz w jednym człowieku! — Kazimierz dostarczał miejskim językom niewyczerpanych skarbów.

Posłuszny zasadzie strzeżenia wiernych dusz od niebezpiecznych stosunków, Zakon OO. Jezuitów, pierwszy wziął

się do dzieła. Rozstawił czaty, wysłał harcówników, opatrzył stanowiska, urządził strzelnice.

Rozkaz dzienny brzmiał mniej więcej następującą treścią:

Kazimierz strawiwszy onegdajszą noc na kartach i przegrawszy znaczną sumę, którą w wigilję pewna nieszczęśliwa wdowa z siedmiorgiem dzieci, powierzyła była sumieniowi i hipotece braci Porajów — rozdrażniony przeciwnym losem, rzucił się w kielichu szukać pociechy. Wczoraj z rana, widziano go zataczającego się na ulicy. Nieszczęsny nałóg! Około obiadowej pory, wszedł do wielkiego hotelu gdzie zastał liczne towarzystwo a między innymi Wilczka.

Gniewny sam na siebie, zgorączkowany, ni ztąd ni zowąd począł obecnym ubliżać wzrokiem, gestem i postawą. Napominano go kilkakrotnie — napróżno! Z każdą chwilą tracił przytomność, wychylał gęste kielichy; srożył się zwłaszcza przeciw Wilczkowi, kłół go cierpkimi wyrazy, aż nareszcie do tego doszło, że rozjuszony zimną krwią swego przeciwnika, porwał się do krzesła. Straszne zgorzenie!

Wilczek pomiarkował że należało kres położyć przykraj scenie, sam też, trochę w gorącej wodzie kąpany, poskoczył na napastnika, ujął go silnie za barki i wyrzucił za drzwi. Okropne skutki złego wychowania!

Nazajutrz, oczekiwano pojedynku, ale Kazimierz wytrzewiony, przypomniał sobie znaną zręczność Wilczka i odwagę. Zamiast wystąpienia na plac, wdał się w przeprosiny; ze wzgardą odepchnięty, krył się odtąd przed ludźmi i mścił rozsiewaniem przeciw hrabiemu Władysławowi pokątnych potwarzy, którym atoli nie uwierzy żaden rozsądny człowiek. Prędzej czy później prawda wychodzi na jaw — fałsz odnosi zasłużoną karę. —

Powyższe sprawozdanie zmieniano stosownie do natury pochłaniających je uszu; tło zawsze zostawało to samo. Obrót ten miał dzielnie przyczynić się do zerwania małżeństwa i do wydania hrabianki za miłego Zakonowi i Bogu, szambelana Fürstemberga.

Tak przygotowane ziarno, wymagało stosownej gleby.

Zamyszkowano wzrokiem po ludziach. Nie wszyscy dawali się do uprawy; wielu jednak pokazało się nader do-

godnymi, bliżej nawet się rozpatrzywszy, liczba nieużytecznych zupełnie prawie znikła. Jedni, podniszczeni na majątku, goniący resztkami lub chciwi grosza zawidzili Porajom dostatków; dla tych chmura na błękanie pomyślnego bytu obu braci, była z nieba zesłaną tęczę. Inni, rozgniewani że świeży przybylec porywał im z przed nosa dziewczynę znakomitego rodu i rzadkich wdzięków; albo że człowiek młody, bogaty, żenił się z cudzą nie zaś z ich własną córką, siostrą lub krewną, potrzebowali się zemścić. Oczywisty wniosek! każdy kocha swoich, każdy ma swoje namiętności. Ci nie mogli przebaczyć Sokolnikowi że szumiąc i błyszcząc przez całe życie, w chwili gdy ich miał pocieszyć upadkiem, nagle wzbijał się wyżej niż kiedykolwiek; że dzięki pomocy Porajów coraz zuchwalej zadzierał czuba, puszył, dął i pogardzał. Nic dziwnego! — Spółzawodnictwo jest matką postępu, a pochop do równości pierwszą szlachecką zaletą. Tamci, przesiękli jadem, praktykujący złość dla złości, jako niektórzy sztukę dla sztuki, lub styl dla stylu, byliby w całym znaczeniu wyrazu nieocenionymi pomocnikami, gdyby w hierarchji tej posilków, pierwsze miejsce z prawa nie należało czeredzie obojętnych głupców, którzy na każdą pogłoskę chciwe rozdziałali garzdziele, którzy w braku własnych pojęć, żyli rozpowszechnianiem cudzych zdań, sądów, wieści, domysłów. Tych ostatnich słusznie ceniono na wagę złota; był to główny korpus wyprawy.

Zakon atoli nie mógł wchodzić w bezpośrednie i poszczególnie zetknięcie z każdym organem opinji; wpływ jego w kształtowaniu się publicznego głosu musiał pozostać niewidomym. Ostrze pugi na każdy miał poczuć; rękojeści nikt nie powinien był dostrzedz.

Zgromadzenie zaczynało od wtajemniczenia do sprawy kilku bogobojnych niewiast, podeszłych w lata dewotek, zadyśzanych na gościńcu zbawienia, nienawidzących grzech całą potęgą grzechów własnej młodości, matron ciekawego ucha i świerzbiącego języka.

Zastęp ten skruszonych na słodko pokutnic stanowił pierwsze ogniwo długiego łańcucha opinji. Zakon rzucił na nie skrycie iskrę elektryczną pogłoski; iskra w polocie na-

bierała siły, aż nareszcie ku ostatnim ogniowom razła blaskiem jak straszny meteor; huczała jak wichra, grzmiała jak nawałnica, uderzała jak piorun. Grzesznik leżał zwałony z nóg; Archanioł ludzkiego sądu deptał mu pierś zwycięską stopą. Alleluja! — Hosanna! —

Czarne forpoczą, dokonawszy swojego dzieła, chyłkiem wracały do kolegium; ogień wkrótce miał wszcząć się na całej linii; już tu i owdzie, jako w dniu Zesłania Ducha błyskały płomienne języki; kilka tylko dni przedzielało niecierpliwych od uroczystego stosu, na którym miała spłonąć cześć zatwardziałego heretyka, zbuntowanego przeciw świętemu areopagowi zwyczajów i opinii. Gloria in Excelsis —!

Sokolnik po dwugodzinnej przechadzce wracał do domu: żony nie zastał; powiedziano mu że wyszła z księdzem kapelanem do kościoła. Zapewne, stosownie do męzowskiego polecenia, chciała zostawić córkę samą.

Magnat nastroił twarz, wkroczył do salonu. Nie było nikogo; udał się na górę, do pokoju córki.

Marja, pogrążona w szerokim krześle, z głową ukrytą w dłoniach, siedziała bezwładna jak posąg wykuty z marmuru. Szmer wchodzącego ocknął ją z zamyślenia.

Lekki krzyk przestraszu wyrwał się z piersi dziewczyny — powstała — wsparta o poręcz krzesła, z głową naprzód pochyloną, z ciekawie zatrwożonemi oczyma, niespokojna, przejęta bojaźnią i nadzieją, pewna że los sprawę na dobre obróci, przekonana że wszystko straciła. Na jedwabiu ręk jej, chwiała się jeszcze dwie djamentowe łyzy — dwa klejnoty niewieściego serca, rozgęzowane żalem i obawą wezbrawszy nad miarę, zwolna toczyły się w ślad za licznemi — jak było widać, poprzednikami. Rodzicielski wzrok wywołał tuż za niemi przejrzysty szkarłat rumieńca — dziewczyna, z gorzkim uśmiechem podniosła chustkę do twarzy; rada byłaby wszystko od razu usłyszyć, zapytania atoli ucześcić nie śmiała.

Sokolnik niósł na obliczu wyraz bolesnego niezadowolenia. Postąpił kilka kroków, uściskał córkę, ale wraz z pocałunkiem wydarło się mu z piersi mimowolne a ciężkie westchnienie. On także cierpiał!

Marja odgadła że ojciec nie miał [jej do powiedzenia nic pocieszającego. Kilka godzin samotnej z własnymi myślami walki, zamiast wycieńczenia na duchu, dodało jej siły i gotowości. Poczowała w sobie niezwykłą, niepospolitą kobietę, godną tych strasznych cierpień w jakich tłum upatrywał nieszczęście, ale które wyłącznym naturom służyły za powód wzniosłych z losem przebojów, pełnych uroku poświęceń.

— Wracam moje dziecię — rzekł Sokolnik — wracam nie z oliwną gałązką; sam nie wiem co mam ci powiedzieć — jak zacząć?

— Bądź spokojny o mnie mój ojcze — odrzekła Marja głosem, którego natchniona uroczystość po raz pierwszy uderzała zadziwiony słuch magnata — od razu widzę że nie wolno mi spodziewać się niczego dobrego. Gotowa jestem na wszystko; zniosę nieszczęście nie jak dziecko, ale jak kobieta. Mów śmiało mój ojcze — czy już po pojedynku? —

Sokolnik, skinieniem głowy dał przeczącą odpowiedź.

Marji kamień spadł z serca; odetchnęła głęboko; posępne atoli ojca oblicze nie pozwoliło jej rozjaśnić duszy spokojem. Nie pojedynek przynosił jej ale zmartwienie; boleść uderzała w nią pod innymi kształty.

— Spotkanie odłożone! — Gdzie — na kiedy? — Wtrąciła szybko. Okropna męka oczekiwania! —

— Nie potrzebujemy obawiać się walki. Kazimierz żyje, żyć będzie, umrze zwyczajną śmiercią i to zapewne w późnych latach. Nie lękam się o niego — umie siebie oszczędzać.

— Nie rozumiem cię mój ojcze.

— Słuchaj mię, moje dziecię — powiedział Sokolnik łagodnie wracając córkę na krzesło — z szlachetnem twojem sercem, niestety, niezadługo aż nadto mię zrozumiesz. Jest to pierwszy w życiu twojem wypadek, gdzie będziesz musiała odwołać się już nie do przekonania rodziców, ale do własnej twej woli. Zważ dobrze na moje słowa; pochodzą one od człowieka, który za chwilę twego szczęścia oddałby całe swoje życie, gdyby oddawna nie był go już poświęcił tobie, dla ciebie tylko, droga moja jedynaczko.

Przestałaś być dzieckiem; muszę mówić z tobą o rzeczach, o których dotąd nie rozmawialiśmy nigdy.

Myśl o ustaleniu twego losu była dla mnie niewyczerpanym źródłem błogich marzeń i ciężkich niepokojów. Ciebie jedną miałem na świecie; ty byłaś ostatnią dziedziczką nazwiska i majątku przekazanego nam przez długi szereg znakomitych przodków.

Przed trzema laty, w Wiedniu, ofiarowano mi dla ciebie zaszczytne związki. Odmówiłem — najprzód dla tego że byłaś za młodą, powtóre że chciałem zostawić cię panią twego wyboru. Byłem pewny że odpowiesz godnie rodzicielskiemu zaufaniu i obowiązkom względem naszego domu. Te ostatnie były mi najdroższymi; ród nasz co do sławy, żadnemu innemu nie ustępuje w cesarstwie. W żyłach twoich krąży krew panującego nam łaskawie domu Habsburgów.

Wróciwszy na wieś, matka, dla twojej rozrywki, namówiła mię do przepędzenia zapust we Lwowie. Przystąpiłem na jej życzenie tem chętniej, że mnie również miło było poszczycić się tobą przed światem. Serce mi rosło gdy widział że w całym kraju, żaden ojciec nie miał więcej przyczyn kochać swego dziecięcia.

— Mój drogi ojczel —

— Nie mówię pochlebstw. Pierwszy raz słyszysz odemnie podobne słowa, ale przyrzekłem ci odkryć głąb mojej myśli; dotrzymam obietnicy.

Nie będę przypominał jak weszliśmy w znajomość z Piotrem, zawłaszczła zaś z Kazimierzem Porajem; sama wiesz o tem najlepiej.

Z początku zaraz odgadłem, że młodszy brat podnosił wzrok ku tobie, że owładnięty uczuciem ciebie miał tylko na myśli. Nic dziwnego; na jego miejscu byłbym tak samo postąpił.

Przyzwoite jego ułożenie, wstręt do próżniactwa i do rozpusty, zaszczytnie odróżniały go pośród młodzieży i przychylnie nas ku niemu uprzedziły. Otworzyłem mu drzwi mego domu, z przyjemnością widywałem go częstym gościem.

Jeżeli się nie mylę, odwiedziny jego i tobie nie były narętnymi.

Długo nieraz sam rozmyślałem, długie nieraz w przedmiocie tym z matką twoją toczyłem rozmowy. Inne marzyłem dla ciebie zamełcie. Blask naszego rodu pragnąłem przekazać człowiekowi, któryby dziedziczkę tyłu znakomitych dygnitarzów, wprowadził w dom, godnością odpowiedni naszemu.

Ale przodkowie nasi żyli w niebie tylko i w dziejach — ty chodziłaś po ziemi.

W przywiązaniu bez granic dla ciebie, puściłem ich w niepamięć.

Spółczucie twoje dla Poraja było widocznem. Przebacziałem mu poziomość urodzenia, byle mi tylko szczęście mojego dziecięcia zapewnił; zapominałem mu że pochodził z zagonowej szlachty, że w rodowodzie nie posiadał ani buławy, ani infuły, ani laski, ani nawet drążkowego w senacie krzesła. Sądziłem że nie należało zbyt zważać na brak familijnych zaszczytów, że chęć i podobieństwo błęgiego ustalenia twojej przyszłości, wypadało poczytać mu za zasługę wyższą nad nieskończony szereg antenatów.

Z jednozgodnem oburzeniem ludzi równie nam urodzonych, przyjąłem go i ukochałem jak własnego syna.

Słodkie nadzieje świetnego dla ciebie związku, powinności dla zaszczytnego nazwiska, w krwi krążące przekonania — wszystko poświęciłem, wszystkiego się wyrzekłem, skorom tylko poznał że Poraj nie był ci obojętnym.

Traciłem wiele, zyskiwałem jedną rzecz, ale droższą nad skarby całego świata: zyskiwałem spokojność o twój los, wiarę że znajdziesz szczęście idąc za popędem twego uczucia.

Starszy brat wspomniał mi o małżeństwie; odwołałem się do twojej woli. Co do mnie, wręcz oświadczyłem, że na związek z Kazimierzem chętnie udzię mego błogosławieństwa. Kochana twoja matka, podobnąż dała odpowiedź. Obojgu ubyłoby nam lat; odetchnęliśmy nowem życiem. Rozłączaliśmy się z jedyną pociechą naszej starości, oddawaliśmy córkę zięciowi pospolitego urodzenia, powierzaliśmy znaczny majątek częścią po rodzicach odziedziczony, częścią zapracowany własnym trudem, człowiekowi miernych zaledwie dostatków — bylibyśmy i duszę mu oddali. Dla ciebie a tem

samem dla niego, dla niego a tem samem dla ciebie, nie mieliśmy do odmówienia. —

Lzy rozrzewnienia zabłyły w oczach Marji. Za blisko dotąd żyła rodziców, za nadto zbliśka na nich poglądała; nie mogła objąć wzrokiem całego bezmiaru ich przywiązania, nie domyślała się nawet jakie głębiny kryją miłość matczyną i serce tkliwego ojca.

Sokolnik z radością dostrzegł w oczach córki potrzebne wzruszenie; upieścił ją powłóczytym wzrokiem i ciągnął dalej:

— Wczorajsze zajście Poraja z Wilczkiem, nie wiem czyli należy uważać za istotne nieszczęście lub też za zbawienną z nieba przestrożę?

— Jakto mój ojcze? — W czym przestrożę? — Ach powiedz raczej, nieszczęście!

— Każdy z nas, moje dziecię, ma prawo sądzić wedle własnego sumienia. Ja dotąd przyjść do siebie nie mogę. Co za szczególny, co za nagły a niespodziewany przewrót! Człowiek, za którego byłbym duszą zaręczyl, w którym widziałem wzór całej młodzieży! —

— I słusznie mój ojcze; zdanie to jest wszystkich którzy go znają.

— Nie zupełnie. Gdybyś słyszała co mówią o nim na mieście, przyjaciele i obojętni, znajomi i nieznajomi? — Lwów cały jednym trzęsie się głosem. Dziś z rana, nie opowiedziałem ci dokładnie wypadku; sam o szczegółach nie byłem jeszcze zawiadomiony. Prawdę mówi przysłowie: «nim poznasz człowieka, musisz zjeść z nim beczkę soli.» Według opisu naocznych świadków, Kazimierz podochocony napojem, pierwszy wszczął zwadę z Wilczkiem, pierwszy napadł nań w słowach których nie pojmuję, jak w ustach jego mogły znaleźć miejsce.

— Niepodobna mój ojcze — przysięgam ci — niepodobna! — powtarzasz wyrazy jego nieprzyjaciół.

— Powtarzam wyrazy brata jego Piotra. Dotąd wreszcie, nie ma jeszcze tak wielkiego zgorzienia. Gdybyś znała zwyczaj naszej młodzieży! — Najprzyzwoitszemu zdarzą się niekiedy uledek zgubnemu przykładowi, rozszałeć w sobie zmyśły,

wybiedz słowem lub uczynkiem za granice umiarkowania. Wilczek, wbrew swojej naturze — przez wzgląd zapewne dla naszego domu, długo znosił napaść cierpliwie, aż nareszcie przyprowadzony do ostateczności, wybuchnął swoim zwyczajem i zadał Kazimierzowi, najdotkliwszą dla człowieka honoru, niewysłowioną zniewagę. —

Lica Marji oblały się szkarłatem; krew senatorska uderzyła jej do głowy; dziewczyna strasznie cierpiała.

— Przebacz mi — prawil dygnitarz — radbym oszczędzić ci bolesnych szczegółów, ale kielich napoczęty, trzeba go do dna wychlić; przyrzekłem wyjawić całą prawdę.

Świat, nim człowiekowi zaufa, wystawia go niekiedy na próbę, pyta co więcej ceni, godność czy życie? — Żąda jasnej odpowiedzi, wyraźnych dowodów.

Wczoraj jeszcze Wilczek spodziewał się wyzwania. Z pewnością mogę ci zaręczyć że krewny nasz żałował swego postępku, że byłby oszczędzał swego przeciwnika; głowę ma niespokojną ale serce szlachetne; kto wie nawet czyli na placu boju nie byłby mu pierwszy padł w objęcia, uściskał, przeprosił i zakończył sprawę z powszechnem zadowoleniem.

Należało jednak koniecznie, nieodzownie, dopełnić niektórych formalności, zastosować się do przyjętych w towarzystwie zwyczajów.

Sądź teraz sama moje dziecię; doba upłynęła, Kazimierz się nie odezwał.

— Cóż z tego mój ojczę? — Jeszcze przecie ma czas, jeszcze może namyślić się, posłać do Wilczka, wszystko naprawić.

— Próżne nadzieje! Przed chwilą rozstałem się z starszym bratem — zacny, szlachetny człowiek, mało takich na świecie! Piotr całą noc strawił z nim na rozmowie; na kolanach błagał go, ze łzami zaklinał, wystawiał mu wstyd jakim okryje rodzinne nazwisko. Kazimierz ani chciał słuchać o pojedynku.

— Dla czego — jakie dawał przyczyny?

— Nie dowierzał wspaniałości Wilczka; przeląkł się o życie.

— On? — Nie, nie — mój ojczę, nigdy nie uwierzę! — Nie zrozumieli go!

— Powtarzam słowa tego, który zna go od kolebki, który go wychował. Nieszczęsna słabość — zgubny brak woli do poparcia czynem przekonań pojętych rozumem, ślepe przywiązanie do życia, wada urodzenia, niedostatek szlachetnej krwi w żyłach, prawda i odwaga w słowach, fałsz i zajęcze serce w zastosowaniu, porywcze usta i leniwa dłoń, szczerze złoto po wierzchu, szych, folga na wewnątrz! Nie pierwszy to przykład! — Rzadko wprawdzie, ale spotykałem już podobne charaktery.

— Dość, dość mój ojcze! — I ty go obwiniasz, ty któryś go tak ukochał! —

Złożyła ręce, łkania przerywały jej słowa, serce pękało z boleści, rozpacz połamała piękne rysy; zdało się że była dla niej ostatnia godzina.

Sokolnik z zimną biegłością anatoma śledził na córce koleje wrażeń. Rzecz szła mu po myśli; postanowił zadać stanowczy cios. Nie bacząc na rozprzężenie biednej dziewczyny, powstał i silnym głosem rzekł:

— Wspomniałem o wypadku, muszę teraz dać ci wyobrażenie o następstwach. Osobiste bezpieczeństwo przynoszący nadewszystko, Poraj może być pewnym że odtąd nikt nie targnie się na ten drogi mu skarb. Ludzie to tylko w nim potępią, czem on sam w sobie pogardził; wyrzekł się honoru, godności — okrzykną go bez honoru, bez godności; dowiódł że nie ma odwagi — wytkną go palcem jako nikczemnika. Zamiast szlachetnej walki, przyjął bój z opinią — opinja podniesie rękawicę i zgniecie go bez miłosierdzia. Nikt uczciwy nie poda mu dłoni, nikt słowu jego nie zawiery; rękę tę tylko można uścisnąć, która w potrzebie umie chwycić za broń; słowo takie tylko zasługuje na wiarę, które w ostatecznym razie poparte bywa czynem poświęcenia. Wczoraj niejeden chlubił się jego znajomością; dziś każdy przysięgnie że po przyjacielsku dwóch wyrazów z nim nigdy nie mówił.

Tak postąpią umiarkowani — ludzie nietyle zawziętego serca ile nieubłaganej sprawiedliwości.

Ogół inaczej pocznie. Tłum żyje złością jak salamandra ogniem. Najzacniejsze charaktery wpadają pod żądla zawiści;

ślota ulicznych obmów obryzguje najbielsze szaty. Cóż dopiero dzieje się tam, gdzie zaciekłość ludzka znajduje dla siebie obfitą pastwę? Potwarz zewsząd na niego uderzy; wynajdą mu w życiu takie zbrodnie, o jakie dotąd żaden sędzia nie słyszał; obedną go z ostatniego łachmana człowieczych uczuć, rozniosą na rozjuszonych językach, wyśmieją, wyklną, wyzłorzeczą, wystroją w potworne kształty, obniosą po ulicach na wzgardę i pośmiewisko gawiedzi.

Obym fałszywym był prorokiem — ale przypomnisz sobie — chwila ta nadejdzie prędzej niż wichur jesienny. Gdzież wtedy szukać ratunku, kto za nim głos podniesie, kto ośmieli się stanąć w jego obronie, kto znajdzie powód na ujęcie się za honorem człowieka, który w oczach świata sam dobrowolnie go potyrał? — Wspólnicy tylko bronią słusznie potępionego; któż zechce przyjąć współnictwo z obłąkańcem, który po długim namyśle, sam własną cześć zaprzepścił?

Nie znasz jeszcze świata lubo moje dziecię. Najgorsi — najzawzięciej przeciw niemu powstaną, choćby dla dowiedzenia że surowy sąd czerpią w nieskazitelności własnych uczuć i zasad. Bóg widzi, żal ciężki serce mi uciska, gdy pomyślę nad jego przyszłością; ale ja sam, z moją i z nazwiska mego powagą, ze stosunkami mojemi w kraju i ze znaczeniem, przepadłbym bez nadziei, gdybym chciał przeciw wszystkim wystąpić.

Wczorajszy wypadek na zawsze zamknął mi usta; mogę tylko milczeć i umilknąć. Nie obwiniaj mnie o srogość, o niesprawiedliwość. Głosu sumienia nikt w sobie zagłuszyć nie zdoła, sumienie zaś wprzód widzi złe niż osobę i zarówno potępia je w bliskim jak w dalekim, w obojętnym jak w ukochanym.

Nieszczęśliwy — gdyby domyślał się co go czeka, stokroć przeniósłby śmierć nad podobną męczarnię życia! Któż mu atoli winien, kogo ma prawo oskarżać? Złe nie leży bynajmniej w zajściu ale w następstwach wypadku.

Pytam teraz, gdzie znajdzie się istota, którą szalone samobójcze popędy zdołałyby nakłonić do przyjęcia na siebie połowy zasłużonej wzgardy, hańby i pośmiewiska? — Gdzie

kobieta któraby nie cofnęła się ze zgrozą przed tem okropnem jarzmem ochydy?

Zacne nieszczęścia, szlachetne cierpienia, dla dusz wielkich kryją w sobie niepowściągniony urok — dorowolne uczestnictwo w poniżeniu cechuje nikczemne tylko stworzenia. Zasługą jest poświęcenie za prawdę — nieprzebaczonem bezbożnem szaleństwem zatrata dla niegodnych celów. Widzieć przed sobą, otwartą — chciałem rzec, przepaść — powiem kałużę — i dobrowolnie w niej się zanurzyć — przez brak uczucia godności, z niegodnością się połączyć — na Boga — lepiej nie rodzić się, lepiej marnie zginąć lub żyć samotnie! Biada temu kto zapomina, że wstyd spadający na jedną głowę kała i tych, których urodzenie do koła niej stawia! —

Marja zwieszona na poręczu krzesła, zanosila się od płaczu; spazm rozpaczy szarpał jej łono, każdy wyraz uderzał pionunem.

Sokolnik nagle uciał, zbliżył drugie krzesło ku córce, siadł obok, ujął ją za rękę, oparł na swoich piersiach; wylagodził, wyrzucił głos, i jak gdyby z głębi serca dobywał wyrazy, mówił dalej:

— Trochę odwagi, biedne moje dziecię! Rozchorujesz się — dożyliśmy pięknego dnia. Przemennie cierpisz luba moja jedynaczko, ale cóż czynić? — Musiałem odkryć ci całą prawdę. Od kogóż ją usłyszysz, jeżeli nie od twego ojca? Pamiętaj wreszcie że słowa moje są sądem względny do mego wyłącznie przekonania, że nikomu, a tem bardziej tobie, nie myślę ich narzucać za ostateczny wyrok. Jesteś panią twojej woli; nikt nie ma prawa i nie będzie do niczego cię przymuszał. Postąpisz jak sama zechcesz. Uroczystych zobowiązań dotąd nie było — czyż zaś zaszły między wami, wyraźne jakie, wzajemne obietnice? — Nie wiem. Cokolwiek przedsięweźmiesz bądź pewną, że ani odemnie ani od matki, nie usłyszysz słowa wyrzutu. Nam chodzi tylko o twoje szczęście; gdziekolwiek je znajdziesz, wszędzie za tobą pociągniemy, choćby nam przyszło karmić się na stare lata nie-sławą naszych dzieci, napawać ich upokorzeniem. My, nie dla siebie już żyjem; śmierć prędzej zapewne nas spotka niż tobie przeminą młode lata. Byliśmy tylko widzieli los twój

ustalony, chętnie i spokojnie każde z nas legnie w mogile. Jeszcze kilka lat, a może nie usłyszysz już więcej głosu twojego ojca, a zamkną się na wieki usta które tylekroć pieściły cię i modliły o sen spokojny dla dziecięcych twoich powiek. Ujrzyś się samą na świecie, mój aniele, o własnych siłach będziesz musiała kroczyć przez życie. Uczże się więc zawczasu na własnym przekonaniu opierać, we własnym umyśle szukać rady, na własną rękę działać — aby później gdy zabraknie rodziców, nie zabrakło ci zdrowego postanowienia i czynu. — Odkryłem ci ostatnie tajniki mojej myśli, wypowiedziałem wszystko; nic więcej dodać nie potrafię i nie potrzebuję. Raz jeszcze powtarzam: jesteś nieograniczoną panią twojej woli; użyj jej według rozsądku lub upodobania. Ostatnią jesteś, ale najgodniejszą dziedziczką naszego domu; nie troszczę się o ciebie ani o drogę jaką wybierzesz — nieprawdaż lube, kochane moje dziecię? —

Marja widziała już rodziców rozciągniętych na katafalku, słyszała wrzaski i przekleństwa, jakie zewsząd podnosiły się przeciw Kazimierzowi; leżały u nóg jej rozbite ideały świętych uczuć, szczęścia drogich osób, marzeń lubyh przyszłości. Czarna otchłań cierpienia od razu wszystko pochłaniała. Rój niepojętych boleści wpijał się jej w mózg, kaszał serce, targał nerwy, aż nareszcie z ostatnimi słowy ojca, porwał ją konwulsyjny śmiech; oczy słupem stanęły, lica pokryły się siną bledością; załamała ręce, chciała zerwać się i padła bez zmysłów.

W tej chwili otwarły się drzwi; Sokolnikowa i kapelan wracali z kościoła.

Hrabina, postrzegłszy córkę pasującą się ze strasznym cierpieniem, przeraźliwie krzyknęła; ksiądz wylękły, stanął we drzwiach jak wryty.

Sokolnik sam jeden, nie okazywał żadnego wzruszenia.

— Nie ma czego się trwożyć, nie ma czego krzyczyć — rzekł ponuro — to dla jej dobra — lekkie omdlenie, nic więcej. Dać jej odetchnąć amoniaku, natrzeć skroń kolońską wódką — za godzinę będzie zdrowa.

Wyrazy te, zimno wypowiedziane, przekonywały że magnat nie cierpiał ani na zbytek czułego serca, ani na natłok fizjo-

logicznych wiadomości. Odrazu zawyrokował proste omdlenie, tam gdzie należało się obawiać silnego newralgicznego napadu.

Indignus intrare in docto corpore, wyszedł i córkę spokojnie zostawił staraniom matki. A jednak między omdleniem a newrozą, *inter syncopam et nevrosim*, nie mała zachodziła różnica. *Distinguimus*: pierwszym cierpieniem nauka zwie nagłe zatrzymanie pulsu. Omdlenie zwykle towarzyszy chorobom serca i perikardy czyli tkanki mięśniowej, pokrywającej serce i umieszczonej w rozłączeniu mediastinu, tuż nad środkową aponewrozą diafragmu.

Stan ten anormalny, poprzedzony zwykle młodościami, niepokojem epigastru, zaćmieniem wzroku, tętnieniem w uszach, bladeścią faciesu, dreszczami w rękach i w nogach — stan ten, *dicimus* nie ma w sobie nic zatrważającego. Często, samo odetchnięcie kwasem siarczanym, rozwiedzionym w stosownej dozie alkoholu, wraca pacjenta do sił.

Inaczej dzieje się, skoro zatrzymanie działalności funkcji organicznych, wypływa z nagłej predominacji systemu nerwowego.

Wzruszenia moralne, sprawiające zapalenie arachnoidy, membrany gastro-intestinalnej, mózgu a czasami i szpiku paciierzowego, mogą pociągnąć za sobą niebezpieczne skutki. W podobnych razach, nie zawsze można ufać środkom anty-spazmodycznym i narkotycznym. Zdarza się nawet że użycie niedokwasu cynku, amoniaku płynnego, lub kwasu hydrocjanicznego, jest zupełnie nieużytecznym; że już nie wspominamy o protochloranie merkurjuszu, który pomaga wprawdzie na chwilę, ale często wlecze za sobą nieszczęsne następstwa.

Diagnoza wówczas potyka się z trudnym zadaniem; podobny bowiem stan nie jest bynajmniej chorobą ale tylko symptomem. Do zwalczenia złego, biegły terapeutik musi nieraz odwołać się do arkanów nauki, inaczej, *casus* staje się *periculosus* i pacjent, łatwo może przejść *ad patres*. Ztąd jasny wniosek, że Sokolnik lekkomyślnie postąpił nie przywołując natychmiast lekarza: raz dla tego że gdzie choroba tam powinien być lekarz; powtóre że takowa obojętność

na cierpienia bliźniego jest naganną w każdym człowieku, tembardziej zaś w ojcu.

Szczeńciem dla niego, omdlenie córki wcale nie było niebezpiecznem; ale mogło niem być, a wtedy broń Boże przypadku, i przypuściwszy że magnat miał sumienie, nie ma wątpliwości że do końca życia byłby wyrzucał sobie zgnubną nieopatrność.

O wpływie zgryzot sumienia na organa żywotne, zwłaszcza na mózg i żołądek, jeżeli zdarzy się sposobność, napomkniemy później, tymczasem nie tracąc czasu na próżne hipotezy, wróćmy do rzeczywistości.

Rzeczywistością nazywam to wszystko co nie jest urojeniem, co zaś jest urojeniem a co rzeczywistością, ten tylko może wiedzieć kto przeżył Matuzalowe lata i każdą chwilę życia obrócił na doświadczenie siebie samego i drugih.

Kwestja ta, nader ważna dla postępu doktryn filozoficznych, ekonomicznych, politycznych, teologicznych i społecznych, dałaby się może nieco rozświecić, gdyby porządek rzeczy, przedewszystkiem od nas nie wymagał przywrócenia do zmysłów omdlonej dziewczyny i powzięcia wiadomości, co porabiał miałko serdeczny jak się zdawało, jej kochanek.

Pośród działaczy i widzów, wśród opowiadających i słuchaczy wczorajszego wypadku, Kazimierz wrzokomo najmniej okazywał wzruszenia. Wzrok jego spokojny, twarz łagodna i blada, nie zdradzały żadnej wewnętrznej walki. Rozmyślał nad własnem położeniem jak gdyby nad stanem obojętnego mu człowieka; zimno przebierał różaniec spostrzeżeń i uwag nad dziwnym składem społeczeństwa, nad dziwniejszą daleko teorią przypadku, która pomimo powszechnych odwoływań się do sprawiedliwości i rozumu, tłoczyła ludzi niemiłosiernem jarzmem głupstwa, przesądu i złości.

Czasami wszakże, na pogodne jego czoło lekkie wybiegały zmarszczki, wzbierała w nim toń myśli, wrzały w głębi tajone uczucia, ogniem zachodziło mgliste spojrzenie; dłoń ukryta w zanadru konwulsyjnie cisnęła roznamiętnioną pierś.

Obraz zapewne lubej dziewczyny, wspomnienie poróżnienia z ukochanym bratem, a może też i przelotny błysk zemsty, nagle skakały mu do myśli. Zapęd trwał krótko; potęga

woli znów brała w karby rwącą się na jaw nawałnicę uczuć, spokoila mu oblicze i światłem jasnego rozumu promieniła zaćmione namiętnością widoki. Wola i rozum — dwa święte jego ideały, stawały mu bożyszczem, przed którym w proch padać musiała reszta człowieczej istoty.

Kazimierz był fanatykiem wolności ujętej w system i mniemał że miał prawdę za sobą: jak gdyby niewolnik najświętszej zasady, woli nawet i rozumu, także nie był niewolnikiem; jak gdyby wolność w nieograniczonej swej dziedzinie, nie dźwżyła czasem prawa dać się porwać szałowi, uczuciu, wyobraźni, natchnieniu, fantazji — jak gdyby dążący do nieskończoności cyrklem ją wprzódychcieli oznaczyć.

Marzyciel! —

Rozmowa z Piotrem pokaleczyła mu serce. Kazimierz sądził że w stanowszych wypadkach życia, przekonanie człowieka winno być mu wystarczać; nie cierpiał żadnego obcego wpływu, nie dowierzał cudzej radzie, mniemał że na podparcie cudzego rozumu, własna wola nie potrafi wynaleźć stosownych w sobie sił. Żądał wiary i zaufania; i jednej i drugiego bez granic.

Względy jakimi brat pchał go do pojedynku, wywracały zamiary i ubliżały jego dumie. Młody dialektyk, przez szkła rozumowej krytyki, inaczej widział następstwa wczorajszego zajścia.

Tracić przytomność umysłu gwoli poniesionej zniewadze, za cały wniosek zapamiętane rzucać się do broni, szaleństwem odpowiadać na szaleństwo — było w oczach Kazimierza sponiewierać się przed samym sobą więcej, niż mogło zbecześcić doznanie tysięcznych obelg. Szał rozgorączkowanego napojem obłąkańca nie miał w sobie dość siły na powalenie czci i godności w niczem, w obec prawdy nieposzlakowanych. Można było mścić się za skutki ale nigdy za przyczynę, zwłaszcza gdy ta przyczyna czerpała źródło w bezprzytomnem rozjuszeniu krwi; skutki zaś mające nastąpić z zajścia, przyszłość dopiero mogła oznaczyć. Wreszcie, dla czegożby Wilczek wytrzęźwiony, upamiętany, nie miał sam z wstrętem spojrzeć na wczorajsze swoje szaleństwo, dla

czego rażony promieniem prawdy, nie miałby otwarcie wyznać winę, ukorzyć w obec świata niegodny postępek przed własną i cudzą godnością, zarówno znieważonemi w napadzie zwierzęcych rozwściekleń? Rzucić przedwcześnie rękawicę, było zamykać mu drogę prawdy. Kazimierz sumiennie czekał na sąd, jaki trzeźwy wyda o postępku pjanego, na wyrok jakim prawda uderzy fałsz, jakim rozum napiętnuje szaleństwo.

Przekonanie, cześć dla zasady słuszności, nie pozwalały mu działać inaczej.

Gorący wyznawca religji raz powziętych zamiarów, w przyjaciółach nawet występujących przeciw ich spełnieniu, spozstrzegał wrogów. List Piotra i sprawozdanie rozmowy z Sokolnikiem, mocno go rozdrażniły. Uwaga magnatą, trąciła zuchwałstwem, zakrawała na upokorzenie. Człowiek który okazywał mu tyle życzliwości, przyjaźni, który wkrótce miał zostać jego teściem, który zdawał się posiadać głęboką znajomość ludzi — człowiek ten cofał mu dziś zaufanie, wątpił o jego charakterze, głosił się sędzią jego godności, wytykał mu drogę, nakładał warunki!

Zawyrokowaniem więc było że w obec światowych przesądów, w obec rutyny niewolniczo przyjętej, znikająca prawda obowiązków i uczuć na sumieniu opartych?

Ale cóż dziwnego? — Sokolnik na własną rękę nic nie stwarzał; był tylko wiernem odbiciem społeczeństwa, pośród którego sam zajmował jeden z najwydatniejszych szczebliów. Piosnkę jaką światu śpiewał, świat miał mu powtórzyć na wszystkie tony, od wysłodzonych a zatrutych uwag aż do zgrzytliwego choru obmowy i potępienia.

Kazimierz jasno przewidywał skutki swego postanowienia. Zdradzili go swoi, opuścili bliscy; na mieście znajomi których spotykał, przebiegali na drugą stronę ulicy, udając że go nie spozstrzegają.

Czegoż dopiero należało spodziewać się od gawiedzi?

Zarzut o nikczemny brak odwagi, zewsząd musiał przeciw niemu wybuchnąć. Przepowiednie Piotra, miały wypełnić się co do słowa.

Brak odwagi! —

Poraj z uśmiechem przypomniał sobie kilka w życiu wy-

padków, gdzie śmierć zajrzała mu w oczy i uciekła strwożona zimną pogardą jego wzroku.

Szlachetne jednak umysły utrzymywały, że łatwiej było spotkać się ze śmiercią, niż samotną pierś wystawiać przeciw wszystkim falom rozhukanej opinii.

Dalsze zamiary Kazimierza pozwalały mu doświadczyć na sobie prawdy tego założenia.

Duchy dzielne, prawe, artystycznie namiętne i jako takie, z natury swej buntownicze, nie mogą zwykle oprzeć się urokowi podobnych z ogółem zapasów. Z dziką rokoszą rzucają się w pełną wzruszeń grę, nie bacząc czyli im nie wypadnie każdej życia godziny trucizną zaprawić. Tym ich nie rozumie, wzrok przyjaciela, brata nawet, nie dostrzega kierujących nimi sprężyn; znajome i życzliwe twarze do koła łamią się w wyraz niechęci i wzdargy; nieszczęsnicy, za każdym ruchem kaleczą się o jadowity sztylet opinii, wszystko ich zdradza, opuszcza, przeklina — wszystko — chyba że fortunem losu igrzyskiem, udało im się na ciernistej ścieżce życia spotkać — więcej niż człowieka, więcej niż przyjaciela, niż brata, niż rodzinę, więcej niż wszystko o czem zamaryć można w niebie i na ziemi i w piekle — chyba że spotkali kobietę! — Kochającą i kochaną kobietę! —

Kazimierz nie wątpił że przypadło mu w podziale wynagrodzenie to całego życia boleści. Chociaż go wszyscy opuszczą, cóż straci jeżeli ona mu pozostanie? — Ona mu świat zastąpi, więcej nawet, ona w miejscu złego świata stworzy mu inny pełen cudów uczucia, uroku wspólnych myślań połów. Tuląc lubą istotę do piersi, czyliż trudno zapomnieć o reszcie?

Zapomnieć — dopóki przypomnieniu nie wybije stosowna godzina.

Wrazie nawet gdyby męgnat zwarzowany na głupią fanaberję towarzyskiego formalizmu, chciał mu stawiać przeszkody, cofać dane słowo, odmawiać córki, i wtedy jeszcze nic nie ma straconego. Przemoc rodzicielska rozbija się o nieugiętą wolę dziewczęcia.

Ludzka moc bezsilna na rozłączenie serc, które Bóg stworzył jedno dla drugiego. Kazimierz, z pogardą odepchnie

:zuchwałą dłoń któraby śmiała targnąć się na wolność uko-
chanej, porwie ją jak swoją zdobycz i własność; niech mu
sprobują potem ją wyrześć! — Przypomni im napis na że-
laznej Włochów koronie: «Bóg mi ją dał, biada temu kto
ośmieli się jej dotknąć.»

Poraj wymówił ostatnie słowa z posągowym gestem; na
nieszczęście nie mógł zachrząsnąć zbroją, wesprzeć prawicy
na mieczu, co bezwątpienia byłoby dodało wykrzyknikowi
rycerskiej barwy — za całą broń, trzymał w ręku wiszniowy
cybuch.

Brak ten kolorytu-wcale w nim nie osłabiał ufności w serce
kochanki. Dusza Marji nastrojoną była na tak wysoki ton,
że poziome towarzyskie względy z żadnej strony nie zdoła-
łyby znaleźć ku niej przystępu. Jedna chwila rozmowy mogła
dowodnie potwierdzić mu nieochybność jego przekonania. Jedną
chwilę wedwójnej rozmowy, Kazimierz chętnie byłby opłacił
długiem godzinami cierpienia. Potrzebował widzieć ją, wy-
powiedzieć położenie swe w prawdziwym świetle, usłyszyć
z ust jej wyrazy szlachetne, odmienne od brzęczeń powsze-
dniego tłumu, jednozgodne z własnem jego pojęciem i po-
czuciem.

Schadzka z Marją była niepodobną. Nie wypadało mu
krokiem postać w domu Sokolnika, dopóki by tenże pierwszy
do niego nie przyszedł i nie wytłumaczył dziwacznej przestrogi
którą Piotr, oczywiście, musiał źle zrozumieć.

Magnat znalazł się na ludziach; samochętnie wrogowi nie
byłby ubliżył; nie było wątpliwości że za samym domysłem
nieporozumienia, pospieszy z naprostowaniem pomyłki —
chyba że i on taki jak drudzy! W ostatnim razie, trzeba
będzie wymazać go z pamięci, postąpić jak gdyby wcale na
ziemi nie istniał, obejść się bez niego i dopiąć celu na mocy
praw człowieczej godności.

Nie widzieć jednak Marji, nie słyszeć lubego jej głosu, nie
wypełnić, jak zwykle, piersi objawem świętych jej uczuć —
było tem samym co jej nie kochać.

Stan ten wydał się Porajowi nieznośnym. Człowiek tak
łatwo przyjmuje nałogi, tak trudno zrywa ze zwyczajem
codziennego widywania kochanki. Przyzwyczajenie jest drugą

lub raczej pierwszą naturą — nie ma prawdziwszego aforyzmu!

Kazimierz umyślił poszukać ulgi w naśladowaniu pamiętnych a jednych dowodów miłości Abeilarda do Heloizy, czyli wyraźniej mówiąc, wziął się do listu.

Ludzie wtedy najchętniej chwytają za pióro, kiedy powinni najpilniej wystrzegać się wszelkiego pisma. Dowiedziona jest rzeczą że w politycznych spiskach i w miłości, szpargały zawsze na złe wychodzą. Ale ród Adamowy, smac nigdy nie dochrapie się do rozumu; tem gorzej dla Adamowego rodu.

Kazimierz, nieprzyjaciel rutyny, rzucał się w ścieżki wydeptane przez wszystkie romanse rzeczywiste i wymarzone, czyli wymarzone w rzeczywistości i rzeczywiste tylko w marzeniu. O trzeciej kategorii, patologia serca człowieczego dotąd nie wspomina. Z czasem może ludzie i to jeszcze wyjadą; niczego nie należy się zarzekać; wyraz „niepodobiestwo” z każdym dniem, w słowniku, blednieje.

Tu wpada mi na myśl dziwne zdarzenie, którego sam byłem naocznym świadkiem. Przed kilkoma laty — dzienniki szeroko o tem pisały — pewien młodzieniec i pewna młoda dziewczyna — czyli oboje byli pewni? — Trudno zaręczyć — —

Nie czas atoli prawić dykteryjki gdy właśnie powieść przesilenia dobiega. De litteris agitur, quaeramus litteras.

Kazimierz w ten sposób pisał do Marji, a pisał po polsku i Panią jej nie nazywał, co w patetycznym stylu, między młodemi ludźmi, czasami uchodzi. W wigilję zwłaszcza zaręczyn, syntaxis społecznych obyczajów przez szpary pogląda na podobną licencję.

«Trzeci dzień upływa — mówił Kazimierz — jak nie widziałem cię Marjo. Trzy dni rozłączenia — zawiele na nas dwoje. Ile ich jeszcze upłynie? — Sam nie wiem i wiedzieć nie chcę; gdy przeminą będę je liczył na chwile — dopóki trwają, miary naznaczyć im nie zdołam. Może atoli niesłusznie żalić się i rozłączeniem zwać nieobecność. Materjalne zapory nie istnieją dla ducha; wzrok uczucia dalej

sięga niż zmysłowe oko. Na drugim końcu świata, Marjo, widziałbym cię tak wyraźnie jako cię widzę, gdy nas tylko tchnienie jedno przedziela. Patrząc na ciebie, widzę cię nieustannie i błogosławię dzień w którym spotkałem kobietę. Kładę rękę na sercu i czuję pierś przepelnioną roskoszą tego uczucia. Dzięki temu strojowi duszy, boleść mnie się nie chwyta, nie kaleczą pociski jakimi potwarz zewsząd zaczyna mię razić.

«Gdybym nawet umiał był kiedy złorzeczyć — dziś, zapomniałbym przekleństw; za wiele mam na to w sobie spokoju.

«Kto nie rozumie, ten się gniewa i unosi; kto wiele kocha, ten wiele rozumie.

«Szaleństwo, rozpusta, przesąd — wypowiedziały mi walkę. Przyjąłem ją i do końca doprowadzę, choć innym może szlakiem niż ten, którym ciemna gawiedź kroczy od wieków.

«Ciężkie pierwsze ogniwa tego łańcucha jakim społeczny przesąd krępuje rozum i wolność człowieka. W ślad towarzyszą im potwarz i potępienie.

«Na szkaplerzu tym żelaznych pierścieni, mało kto miał cierpliwości domodlić się zbawienia; większa część zaraz, z początku uległa.

«Hydra opinii żywi się pozorami, oddycha oszczerstwem; śmiercią dla niej prawda i rzeczywistość. Z prawdą jednak i z wytrwałością, nie trudno doczekać się stosownej chwili i jednym zamachem, od razu uciąć wszystkie jej głowy.

«Przyjdzie czas że potwór legnie nam u nóg — poprzy sięgam!

«Ale w zadaniu stanowczego ciosu, nie wymogi ludzkie — własna wola powinna rozkazywać.

«Gdybym dbał tylko o siebie, może prócz obojętności lub wzgardy, nie znalazłbym w sobie innego uczucia. Do siebie nie należę. Myśl moja, życie moje, na zewnątrz mnie dziś krążą. Sam zacząłem być sobie drogim, od czasu gdym zaprzestał samotnej wędrówki życia, od czasu gdym obok siebie ujrzał światło, moc i pociechę.

«Od razu skończyłem z nieszczęściem; przyszłość nie potrafi mię dotknąć.

«Walka mię nie zatrważa; zbyt silnie wierzę w zwycięstwo. Biada temu kto na zapasy z losem zaniecha uzbroić się w potrójny symbol zbawienia, w nieubłagany warunek zwycięstwa prawdy. Kto nie kocha, nie wierzy i rozpacza, ten poległ już za życia. Przeciwnemu uczuciu, które całe w jednym tylko się zwierza, sam Bóg może naznaczyć granice; człowiek albo zupełnie niezdolnym jest do miłości, albo rozwija ją w nieskończoność.

«Z nas dwojga, komu braknie na wierze, na zaufaniu?

«Mnie brakłoby, gdybym śmiał powtórzyć pytanie, gdyby na myśli moje lub na słowa, padł najłżejszy cień zwątpienia. Ja mój Aniele, ufam bez granic.»

Kazimierz zawołał na służącego.

— Komu, rzekł, oddajesz kwiaty i książki, gdy cię posyłam do domu pana hrabiego.

— Garderobianie panny hrabianki — była odpowiedź.

— Którędy do niej wchodzisz?

— Od podwórza — panna Justyna ma swój osobny pokój.

— Jeżeli jej nie zastajesz, co czynisz?

— Oddaję posyłkę pani Kaweckiej, klucznicy, niańce jak powiadają, panny hrabianki.

— I nikt inny cię nie widzi?

— Widzą ludzie; wychodząc, zaglądam zwykle do przedpokoju przywitać się z kamerdynerem.

— Gdybys zaś nie zajrzał do przedpokoju?

— Nikt z państwa ani ze służących by mię nie spostrzegł. W domu pana hrabiego, kobiece pokoje całkiem osobne. Kto chce spotkać garderobianę albo klucznicę, nie potrzebuje nikomu więcej nawijać się na oczy.

— Dobrze; weźmiesz ten list i postarasz się aby go doręczono do własnych rąk panny hrabianki. Zaczekasz chwilę na odpowiedź. Ale do własnych rąk — rozumiesz? — Śpiesz się!

Służący był już za drzwiami.

Sokolnik stał w swoim pokoju i obracał w palcach pierścionek, który klucznica tylko co była mu wręczyła, wiernie przytem powtarzając słowa hrabianki. Szyderski uśmiech

igrał mu na ustach. Nikczemny ten klejnot, dowodzący miernego smaku posiadacza, oczywiście, krył w sobie tajemne jakieś znaczenie. Wprawdzie, Poraj mógł go przed kilkoma dniami zapomnieć; Marja, po prostu odsyłała mu zgubę, ale w takim razie zkąd ten pośpiech, dla czego posłaniec nie miał ani chwili do stracenia? — Kto wie czyli żydowski, jak się zdawało, napis, nie służył im za umówiony znak, za hasło do uwiadamiania się, lub co gorsza do wspólnego przedsięwzięcia jakiego zamiaru? Bezpieczniej było zamknąć go w biurku aż do załatwienia sprawy, lub przynajmniej do nadejścia stosowniejszej chwili.

Przybycie Tapczywa przerwało uwagi magnata; ksiądz donosił mu że córka wróciła do zmysłów, ale że od płaczu nie mogła się dotąd utulić.

— Bez burzy, nie byłoby pogody — odparł zimno dygnitarz — lzy wreszcie nie szkodzą. Malfatti, pierwszy wiedeński lekarz, zwykł mawiać że na wzruszenie, nie ma dzielniejszego środka. Czy matka jest przy niej i co mówi?

Pani hrabina płacze wraz z córką — rzekł ksiądz z serdecznym westchnieniem; utyskuje boleśnie nad postępkiem pana Kazimierza, żali się że nas oszukał, że siebie i przychylnych sobie wystawił na pośmiewisko, że wstydem okrył uczciwie miano, że w mieście nie mogą wydziwić się nieszlachetnym i nieszlacheckim z jego strony skutkom zajścia, że własni jego przyjaciele nie chcą o nim słyszeć i ze wzgardą go wspominają. — Mniemałbym — dodał kapelan po chwili namysłu — że może byłoby lepiej zostawić samą hrabiankę; uwagi te zdają się żal w niej podwajać; lękam się aby zdrowiem nie przypłaciła wzruszenia.

— Bynajmniej księżel! — Mylisz się — przerwał żywo Sokolnik — od podobnych cierpień nikt jeszcze nie umarł. Gorzki napój lepiej odrazu wychylić niż rozcedzać na krople. Żona moja wysmienicie sobie poczyna. W istocie, rzekłbym że sam czcigodny ojciec Zefiryn pokazał jej drogę.

— Pani hrabina widziała się w kościele z ojcem prowincjałem; oboje długo z sobą rozmawiali.

— Ha, rozumiem! Żona moja wie co czyni; jestem o nią spokojny. Rzecz doskonale się rozwija. Wypada teraz, księżo,

abyś postarał się spotkać dziś Piotra Poraja i oświadczył mu odemnie, że przez cały dzień z domu nie wyjdę, że w razie gdyby mię potrzebował, gotów jestem na jego usługi, że zostawiłeś mię mocno zmartwionego i niewiedzącego co począć. Powtórzysz mu od siebie miejskie pogłoski. Nikt nie daje wiary aby Kazimierz chciał bezkarnie przepuścić Wilczkowi zniewagę. Oburzenie przeciw memu krewnemu jest powszechne. Wszyscy życzą szczęścia pokrzywdzonemu i z niecierpliwością oczekują na czem skończy się pojedynek. Powiesz mu także — zawsze od siebie — nie zapominaj — że żona moja i córka, dotąd wiedzą tylko o zajściu, chyba dowiedziałyby się, w chwili gdy będziesz z nim mówił o niesłychanym uporze i obojętności Kazimierza na obelgę. Marja, choć nie bez boleści, z pokorą jednak przyjmuje cios; pamiętna na krew jaka krąży w jej żyłach, ufa w wyroki opatrności i modli się za szczęśliwy obrót dobrej sprawy. Następnie — dowiesz się — —

Zastukano zlekka; w uchylonych nieco drzwiach, pokazała się postać starej klucznicy.

Sokolnik, pół ciała za drzwi wysunął i ciekawie podał ucha.

— Od pana Poraja — do panny hrabianki — służący czeka na odpowiedź — rzekła półgłosem wierna służebna, wsuwając mu kryjomo list w rękę.

— Od pana Kazimierza? — Powtórzył magnat i gwał pismo jak gdyby palcami chciał domacać się treści.

— Tak jest; prosił aby go wręczyć do własnych rąk panny hrabianki, i to czempredzej. Czeka na odpis.

Dobrze; powiedz mu że nie ma odpowiedzi, że później ją nadesłają. Albo nie — wstrzymaj się! — Niech zaczeka! upewnij go że list według polecenia oddany, że niebawem dostanie odpis.

Magnat przeszedł się po pokoju, zaszeptał między zębami na pół zrozumiałe wyrazy, stanął przed księdzem; zamyślony o czem innem, machinalnie wpatrzył się mu w oblicze. Myśl dojrzała na błogosławionej tej niwie; natchnienie buchnęło nań ze źrenic duchownego, mignął mu po rysach uśmiech zadowolnienia, dygnitarz chwycił kapłana za ramię i rzekł porywczo:

— Teraz księżę albo nigdy! Bóg zsyła nam niespodzianą pomoc; nie darmo Zakon za nami się przyczynia. Dziś, wieczorem, chociażby późno, muszę widzieć się z ojcem Zefiryнем. Tymczasem, możesz mu rzec odemnie że łódź nasza przybija do brzegu.

Przy tych słowach, ukrył pismo w zanadrzu i pośpieszył do pokoju córki. Kapelan, snąc z przyzwyczajenia, jako duch opiekuńczy, następował mu w ślady, ale magnat, na wschodach, pożegnał go skinieniem ręki.

Potrzebował sam na sam znaleźć się z Marją, i zaraz na wstępie, wzrokiem objawił wolę swoją hrabinie.

Sokolnikowa, istnie biblijna małżonka, ze spuszczoną głową, łyzy chude ocierając, zostawiła jedynaczkę z ojcem.

Marja siedziała blada jak widmo.

Gorączką rozżarzone źrenice, błyskały przez obrylantowane łzami jej rzęsy; usta chorobliwie czasami drgały; postać zdawała się na pół złamaną.

Widok ojca który w pierwszej tej boleści, odkrył jej tyle skarbów rodzicielskiego przywiązania, zamiast ulgi, rozdmuchał w niej zarzewie udręczeń. Wielki Boże! — Tyle miłości i cierpienia zarazem! Wysiliło się przeciw niej zdradliwe losów igrzysko!

W milczeniu wyciągnęła drobne rączki i ujawszy dłoń ojcowską, ukryła w niej splekaną głowę.

— Biedne moje dziecię! — Rzekł z rozrzewnieniem Sokolnik, gładząc rozwity jedwab włosów dziewczyny — cierpisz nie więcej odemnie, który i twoje i własne bole noszę w sercu. Szczęśliwa że możesz płakać! Nic dziwnego mój aniele — nie miałaś gdzie i kiedy wyhartować duszy na przeciwności; pierwsze ciosy w życiu zwykle najgłębsze i najboleśniejse.

Marja podniosła głowę; wyrazy politowania nad kobiecą słabością, lekkim rumieńcem pokryły jej lice. Zawstydzona, usiłowała koniecznym uśmiechem bronić się przeciw zarzutowi; zbuntowane żalem rysy odmówiły jej posłuszeństwa.

— Sama nie wiem co się zemną dzieje — mówiła odgarniając wezbrane na skroniach warkocze — serce mię rozboleło — od kilku już dni, czuję że nie jestem zdrową —

ale to przejdzie — da Pan Bóg, wkrótce przejdzie — Lwowskie powietrze nieznośne — wracajmy na wieś.

— Wrócimy, skoro tylko zechcesz. Pobyt nasz lub wyjazd od ciebie zależy. Wszak wiesz że na świecie, jedna została mi pociecha: spełniać twoje życzenia.

— Mój dobry, kochany ojcze!

— Nie ma w tem z mojej strony żadnej zasługi. Każdy szuka szczęścia gdzie je znajduje; nie moja wina jeżeli gdzie indziej znaleźć go nie mogę. Żądanie twoje wreszcie, ze wszech względów słuszne; nie mamy powodu na dłuższy pobyt we Lwowie. Wracam z miasta, myślałem że przyniosę ci dobrą wiadomość; do ostatka nie chciałem tracić nadziei. Nadaremnie! — Próżno mrużę wzrok przed rzeczywistością; prawda zewsząd bije mię w oczy.

Marja byłaby rada nie wszczynać przykrej rozmowy; w niej także pierwsze wrażenie, do posad zachwiało nadzieją. Córka ciekawej Ewy, nie mogła poprzestać na mglistem zapowiedzeniu nowych szczegółów. Jeżeli już los strącał ją w otchłań, chciała przynajmniej uleść mu z otwartymi oczyma. Kto wie z resztą, czyli w rozpaczem strąceniu, na parościach bezdni, nie byłaby mimowolnie zahaczyła się o zbawczą jaką gałązkę?

Sokolnik czekał na zapytanie; jemu także doskwierał żądania odpowiedzi.

— W istocie, trudno mi zebrać myśli, rzekł wodząc dłoń po zafrasowanem czole. Mniemałem że w moim wieku nic już nowego nie zobaczę; łudziłem się do ostatniej chwili, broniłem go przeciw własnemu jego bratu; teraz nie pozostaje mi nic, jedno wzruszyć ramionami i zamilknąć.

— Cóż takiego mój ojcze?

— W mieście o niczem innym nie mówią; znajomi i nieznajomi rozprawiają tylko o zajściu, o koniecznych tegoż skutkach. Jedni, nie wiadomo z kąd, dowiedzieli się prawdy i utrzymują na zabój że Kazimierz nikczemnie wchłonął w siebie zniewagę; drudzy nie dają wiary, nie przypuszczają podobnej słabości w człowieku który na pozór, wydawał się wzorem szlachetnych uczuć. Wilczek nie chce słyszeć o pogodzeniu; przysięga że pierwszy zwady nie wszczywał, że

odpowiedział tylko na kilkakrotne grubiańskie zaczepki. Naoczni świadkowie, potwierdzają jego słowa.

Gdy tak opinja waży się na dwoje, gdy starczyłoby jednego tchnienia męskiej piersi aby szala przechyliła się na jego stronę, on tymczasem — mówię i własnym słowom nie wierzę — on — —

— On, mój ojciec? —

— On, obojętnie wyjeżdża na wieś.

— Wyjeżdża? —

— Widziano przed bramą zaprzężony jego powóz. Nie ma teraz wątplenia że on pierwszy dał powód do zwady, że następnie nie tylko nie żąda odwetu, ale obłąkany szaloną trwogą, ucieka przed Wilczkiem. —

Marja zaciskała ręce; gorączkowe zimno dzwoniło perłowemi jej ząbkami, spieka osuszyła łzy, oczy szklily się niewypowiedzianą od boleści targaniną serca.

— Wyjeżdża? — Mówiła przerywanym głosem — wszystko — wszystkich opuszcza — wyjeżdża! — Dla czegoż koniecznie miałby wyjeżdżać na wieś? — Może jedzie na to nieszczęsne spotkanie? — Zkąd ta pewność?

— Powóz — odrzekł Sokolnik — zapewniono mię, stoi wyladowany jak do długiej podróży.

— Może nie chce aby się domyślano? —

— Bynajmniej moje dziecię. Wilczek nie ruszył się z domu; pełno u niego znajomych; Poraj nie dał im znaku życia. Droga moja jedynaczko — z żalem widzę że nie mogę oszczędzić ci ostatniego dowodu. Napisał list z pożegnaniem; patrz! — Ten oto, do ciebie. Służący czeka jeszcze na dole; przyniósł go w tej chwili. —

Marja wzięła pospiesznie pismo i spostrzegłszy swoje nazwisko nakreślone dobrze znajomą ręką, zabierała się do złamania pieczętka.

Sokolnik uchwycił ją za ramię.

— Co zamýślasz czynić? — Zawołał żywo tuląc w swych dłoniach drobną rączkę dziewczyny.

— Rozpieczętować, mój ojciec — odrzekła obracając ku niemu zdziwione oczy.

— Przyjmować i otwierać listy od młodego człowieka, czytać

je a może i odpowiadać? — Nie zastanowiłaś się moje dziecko; rzeczy te nie godzą się z twojem urodzeniem, z wychowaniem.

— Ależ mój ojciec, czyliż wolno nam sądzić oskarżonego, wprzód go nie wysłuchawszy? — jakże inaczej dowiemy się co nam mówi, co przytacza na swoją obronę?

— Na nieszczęście, odparł Sokolnik z westchnieniem — nie mamy o czym się dowiadywać. Bez tego, za nadto już wiemy. Wreszcie, jesteś panią twojej woli; czyn jak sama zechcesz. Ja, na twojem miejscu, może inaczej bym postąpił. Powtarzam atoli; na twoje postanowienia w niczem wpływać nie żądam. Mogę z ojcowskiego serca udzielić ci rady przyjacielskiej, rady wspartej na doświadczeniu, na przywiązaniu ku tobie, bez granic. Rozkazywać, choćbym pragnął — nie potrafię. Wszakże od kolebki, nie słyszałaś jeszcze z ust moich rozkazu. —

Magnat muzykował głos, urzewniał spojrzenie; czule ścisnął dłoń córki, rachował bowiem w duszy, że Marja jedną ręką nie rozerwie fatalnej pieczętki.

— Pytasz mię jak masz sobie postąpić? mówił dalej widząc że wzrok dziewczyny, odpowiadał mu wyrazem nieograniczonego zaufania — jeden tylko znam sposób: odesłaj list temu kto go przysłał. —

Marja zadrżała, jak gdyby nastąpiła na węża; tajemny głos sumienia ostrzegał że podobny postępek był więcej niż nieszlachetnym — nikczemnym.

— Odesłać mój ojciec? — Rzekła wzruszona — lepiej zniszczyć, spalić; gdyby kto ze mną tak postąpił, serce pękłoby mi z żalu. Odesłać? — Nie, nie! — Przecież on człowiek — on także umie cierpieć! —

Niespodziany ten opór, mógł tylko być bodźcem dla obfitego w fortele umysłu magnata.

— Odesłać go — nic więcej. Odesłesz go, przysięgam! zawołał z tryumfem Sokolnik rażony niby nagłą a szczęśliwą myślą. Posłuchaj mię! Kto wie czyli Bóg nie rzuca nam pod nogi jedynej a ostatniej kładki zbawienia? Niezwalczone przecucie mówi mi że Kazimierza o upór tylko należy oskarżać. Być może że w sprzeczce z bratem, zaciął się w swoim

zamiarze i teraz nie chce ustąpić; wyrzekł porywcze słowo i wierny błędnej ale raz przyjętej drodze — przed rozważą, przed namysłem, pośpieszył się z pożegnaniem i z wyjazdem. Zaręczam że w tej chwili gorzko żałuje swego postępku. Jeżeli otworzysz ten list który, upewniam cię, że zawiera proste tylko pożegnanie, zamkniesz mu tem samem drogę do odmiany zgubnych postanowień. W przeciwnym razie, nie przyjmując listu — nic nie wiesz o wyjeździe, zostawiasz mu czas do namysłu, wskazujesz niejako kierunek, stajesz się opiekuńczym jego aniołem — ach moje dziecko, nie pierwszy to raz, umysł męski wtedy dopiero spostrzeżga prawdę, gdy kobieta dłoń rozświeci mu przed oczyma pochodnię! Dobrzeby nawet było abyś sama mu napisała kilka słów bezznaczných, obojętných — inaczey pomyśli że nie wręczono ci listu, i przepadnie nam ostatnia nadzieja. Wyborna myśl! — Dalej, nie traćmy czasu! masz oto papier — pióro; śmiało moje życie; każda chwila jest nam nieopłaconą!

Marja ogłuszona, olśniona wymową ojca, wzięła pióro do drżącej ręki — ale na dnie sumienia słów nie mogła wynaleźć.

— Kilka wyrazów! — Cokolwiek bądź! — Prawił szybko Sokolnik. Zaczekaj! — Pomogę ci jeżeli pozwolisz! przyjmę nawet na siebie połowę winy; on zna moją ku niemu życzliwość; tem łatwiej zrozumie prawdziwe znaczenie odsyłki. Pisz:

«Ojciec mój któremu pokazałam załączony tu list, poradził mi abym go odesłała.

«Jestem mu posłuszną tem chętniej że z przekonania wiem o ile rada jego ma zawsze na celu prawdę, honor i szczęście tych, którzy są jego sercu drogimi.»

— Rozumiesz mię teraz moje dziecko? — Mówił dygnitarz z nieudaną tym razem radością; przystosowanie widoczne! Chociażby nie chciał — odgadnie. Złóż papier — oto pieczętka z twoją cyfrą — dobrze — podpisz nazwisko. A teraz w imię Boże! poleć się opiece twojej patronki i czekajmy cierpliwie wypadku. Szczęściem zatrzymałem posłańca; każę mu aby pospieszył.

Sokolnik zbiegł do swego pokoju gdzie u drzwi czekała go stara klucznica.

— Masz list! — Zamyślił się — weź także i ten pierścionek — dodał po chwili — powiesz posłańcowi że jedno i drugie, otrzymałaś z własnych rąk panny hrabianki. O mnie nie wspomnisz ani słowa choćby się dopytywał. Spiesz i nie spuszczaaj go z oka aż wyjdzie na ulicę. —

Magnat znalazłszy się sam, zatarł ręce z rokosznym uśmiechem.

— Zwycięstwo! — Zawołał; pierścionek i list! — Dwa pociski więcej warte od najtrafniejszych strzałów Wilczka! Miał słuszną dygnitarz.

Tamten potępieniec czekał na odpowiedź. Cekał na nią i po raz pierwszy w życiu, niepokój kołatał mu sercem, pierwszy raz na bladym jego czole usiadło zwątpienie, i zaczął lękać się napadów rozpaczki, jakie porywały go, gdy na rodzinnej ziemi oglądał się do koła po ludziach — po tych ludziach, którzy mieli za co i z czego być ludźmi.

Powiewy wiary i nadziei, chłodziły mu wprawdzie niekiedy gorączkę udręczeń, ale wierzyć i spodziewać, często więcej się obawiał niż uledez. Głęboki wyznawca zimnego rozumu, wierzył w to tylko, o czem dowodnie był przekonany, spodziewał się tego jedynie co musiało wypaść z koniecznego rozwoju wypadków. Jeżeli tu i owdzie pozwalał przystępu do duszy promieniom wiary i nadziei, bez wątpienia myślał wówczas o kobiecie.

A przecież zastanawiał się nieraz nad psychologją uczucia i umiał cenić je jak należało. Wiedział, że co powszechnie nazywano miłością, było tylko szalem mózgowej maligny, głupim a nieszczęsnym bałwanem czczego sentymentalizmu, szychowym strojem osłaniającym zwykle szkielety, bezbożną komedją w mimowiednem obłąkaniu odgrywaną na rzecz nikczemnej rokoszy wzajemnego oszukaństwa; larwą jaką fałsz i próżność pokrywały zwierzęce chucie i błotniste namiętności, wydętem mamidłem które rzeczywistość życia przemieniała w obojętność, jeżeli nie w nienawiść lub w pogardę, chluba dla wynędzniałych duchów niezdolnych do po-

ważnego czynu, zamianą — nie poświęceń ale samolubstw, nie istotnych uczuć ale osobistych dogodności, nie zaparcia się jednego dla drugiego, ale wyparcia w stosownej chwili i dla pewnych widoków.

Szaleniec! — Skoro to wszystko wiedział, czegoż więc szukał w kobiecie?

Czegoś wyższego nad to uczucie, które żyło niepewnością a ginęło od zaspokożenia. Szukał prawdy opartej na rzeczywistości a nie pożytej zasadzie, szukał zbratania jednozgodnych dusz, zespolenia uharmonizowanych bytów dla zewnętrznego wyższego celu nie dla własnej uciechy; szukał zdwojenia sił ku rozwiązaniu sprawy, jaka naówczas i w jego kraju przypadła w udziale trudowi społecznego mu pokolenia, jednym słowem, szukał kwiatu paproci, filozoficznego kamienia, kwadratury koła.

I nie dość na tem że szukał ale co gorsza, myślał że znalazł — że znalazł tam, w tej warstwie społeczeństwa, gdzie można było znaleźć tylko życie upiorne, tylko sycyderskie nawoływania cnoty na pozór a w treści, fanatyzm przesądu; próżności i samolubstwa, gdzie, krom próchna świecaącego wieczorem, w biały dzień można było dostrzedz powszechny jedno rozkład, konanie żywiołów oddawna przez historję skazanych na śmierć.

Uniknąć tej nieszczęsnej pomyłki można tylko było, broniąc się wszelkimi sposoby od złudzeń, nie pozwalając ich sobie pod żadnym warunkiem. Żyć atoli bez złudzeń i od-dychać bez powietrza — jednakową było zagadką. Każdy ma swego hipogryfa na którym cwałuje — inaczej, niktby nie ruszył się z miejsca. Dykjonarz złudzeń złożony z mil-jona tomów, znajdował się niegdyś w bibliotece Aleksandryjskiej. Podpalił go Cezar a dopalił Omar, co wszakże nie przeszkadza że w europejskiej bezstronności, na ostatniego całą winę zwalono, tak że dotąd dziejopisy i szkolne żaki, łapczywie karmią się tem historycznem złudzeniem i klną w pień jednego z najcnotliwszych Kalifów. Ha, gdyby dziś drugi Cezar lub drugi Omar, znalazł się na wszystko co jest pergaminem lub papierem! — Może trudniej byłoby samowładcy Jowiszowi przywalić górą książek Tytana prawdy i

swobody. Płonne marzenia! — Napisanem jest widać że drukarskie tłocznie wycisną z nas ostatnią kroplę krwi, zadławią ostatnią iskrę rozumu.

W kwestji tej byłoby wiele do powiedzenia, gdyby Kazimierz nie czekał na odpowiedź; wiadomo zaś czem jest oczekiwanie, nawet dla zakochanego.

Służący wbiegł zadyszany, powtórzył słowa klucznicy, wręczył pismo i pierścionek. Niezwykła objętość przesyłki, zastanowiła Poraja; rozerwał pieczęć, znalazł własnoręczny swój list nietknięty, znalazł lakoniczne wyrazy kobiety, ideału swej myśli i serca.

Przetarł oczy; sam sobie nie dowierzał.

Nie było wątpienia! — Odsyłała mu list nierozpieczętowany.

Biedne dziecię! — Tyle winne o ile słabe — pozwoliło otumanić się-niegodziwości starego dworaka, jej ojca.

Marja miała w sobie iskrę chociaż sumienia! — Iskierki wystarczyło na niespełnienie podobnej nieszlachetności. Marja przecież wierzyła w Boga, znała modlitwę! — Kto modli się o wysłuchanie, ten sam umie wysłuchać. Szatan tylko nie słuca; szatan zawczasu, na wszystko gotowe ma potępienie.

Spadała mu powoli z oczu zasłona, ale każdy jej ruch rwał pierś nieszczęśliwego żelaznemi kleszczami. Odmawiano mu wiary i zaufania, poświęcano go dla przesądu, dla próżności, dla fałszu! Wiotkie uczucia, za których świętość byłby w otchłań poskoczył, pryskały za pierwszym dotknięciem przeciwności. Słowo — mara! — Przyrzeczenie — wiatr! przysięga — kłamstwo! — Im cacko delikatniejsze, tem prędzej się tłucze.

Wszystkoż więc od razu miało zagać? — Budowa niezachwianego na pozór szczęścia miałaż w proch rozwalić się za pierwszym zadraśnięciem próżności?

Samotnej, zabłąkanej prawdzie, trudno było ostać się między dzisiejszymi ludźmi; prędzej czy później, musiała uleść pod brzemieniem fałszu.

Jakiemuż uczuciu można było z pewnością zaufać? — Przyjaźni, rodzinnym węzłom, braterskim związkom, ko-

biecej miłości — lub też samolubstwu, nienawiści i zemście? —

Ha, ta ostatnia była roskoszą bogów! W zemście, wola osobista znachodziła jeszcze ponętną walkę, dobiegała do wszechmocności, sięgała wyżej niż poświęcenie, głębiej niż jednorazowa życia ofiara. W zemście tylko przyszłość, wypadek natężenia woli, nieomylnie dawały się przewidzieć — reszta była igraszką! —

Kazimierz spojrział na pierścionek, przypomniał sobie ostatnią o nim rozmowę; wyraz, Alkhadar — przeznaczenie — zdawał się odpowiadać jego myślom.

— Zgoda! — Rzekł po chwili; szczęście zostawmy przeznaczeniu; obowiązki, woli; wytrwałości, zadość uczynienie raz powziętym przekonaniom i zamiarom. Namietność dotąd prowadziła rozum, niech teraz rozum wiedzie namietność; może prędzej staniemy u celu! Prolog odegrany; skończył się akt pierwszy dramatu mego życia. Zaprawdę, zaprawdę — rozwiązania, ani ja, ani nikt zgadnąć nie zdoła! Idźmy dalej, chociaż samotnie, kiedy tak chciało godło starego Szeika! —

Sokolnik, mówiąc przed córką o odjeździe Kazimierza, kłamał proroczo.

W chwilę po odebraniu listu, Poraj otrząsał proch obuwia na progach miasta Lwowa. Wyjeżdża! —

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

